

**Robert Sztilmark**

**SPADKOBIERCA Z KALKUTY**

**Tom II**

Przekład  
Zofia i Stanisław Głowiakowie  
Tadeusz Piekło



## **Bajka o Jednookim Diablu**

### **1**

Mijały lata... Wciąż od nowa wiosennymi sokami nabrzmiewały trawy, zapalała się i gasła jesienna pożłota liści i odwiecznymi szlakami ciągnęły karawany ptactwa, by na cichej Północy wychować przez lato młode i znów jesienią powrócić z nimi na wybrzeża ciepłych południowych mórz... Miarowy oddech oceanów zakłócały niekiedy sztormy wstrząsające lądem, a przybój zamieniał ostre odłamki skalne w gładki, okrągły żwir.

...Płomyk łojowej świecy w latarni okrętowej zawieszony u pułapu oświetlał wnętrze chatki i pochyloną głowę siedzącego przy stole mężczyzny. Jego lewy oczodół był pusty. Czarna przepaska, zdjęta z twarzy, leżała na brzegu stołu. Obok, z brodą wspartą na rękach, siedział kędzierzawy chłopczyk. Za małym okienkiem z naciągniętą podwójną warstwą baraniego pęcherza świszczał wiatr. Przy silniejszym podmuchu z pieca tryskały iskry i wtedy chłopczyk pogrzebaczem poprawiał kawałek blachy zastępujący drzwiczki.

W chatce panowało milczenie.

Jej starszy mieszkaniec składał z gotowych, misternie wykonanych części małą kuszę. U końca łożyska umocował giętki łuk i założył cięciwę splecioną ze ścięgien górskiego kozła. W małym kołczanie leżącym na stole czekały już gotowe opierzone strzały z żelaznym grotem na końcu.

Naciągnąwszy cięciwę za pomocą małej korbki, również własnej roboty, mężczyzna sprawdził leżącą w wyłobieniu strzałę i wręczył broń chłopczykowi, wskazując mu wzrokiem przybitą do ściany deszczułkę. Obaj rozumieli się bez słów.

Chłopczyk oparł kuszę o ramię i długo mierzył. Mężczyzna poprawił mu lewą rękę, by nie zraniła jej spuszczone cięciwa. Po chwili niemal jednocześnie dał się słyszeć dźwięczny odgłos cięciwy, krótki świst, głuche uderzenie i trzask rozłupanej na dwoje deszczułki.

- Brawo - powiedział mężczyzna i ostrożnie wyjął tkwiącą w ścianie strzałę.

Gdy tylko z ust starszego padło to pierwsze słowo, chłopczyk zaczął mówić szybko i z ożywieniem, jakby nagle odzyskał utracony dar mowy.

- Wujku Tobby, dziś od samego południa bawimy się w milczenie. Nie bardzo lubię tę grę.

- To bardzo ważna gra, Lie - odparł starszy - i powinieneś ją polubić. Na polowaniu i na wojnie często trzeba milczeć. Nie ma czasu na długie wyjaśnienia, a nieraz w ogóle nie wolno rozmawiać. Jeśli chcesz zostać myśliwym i wojownikiem, musisz się nauczyć rozumieć mnie bez słów. Powinno ci wystarczyć jedno moje spojrzenie. Jestem dziś z ciebie bardzo zadowolony, mój mały Lie.

- To znaczy, że będziemy oglądać obrazki w naszej książce?

- Nie, jutro poczytasz mi na głos. Przecież czytasz już lepiej ode mnie.

- Wujku Tobby, to opowiedz mi bajkę o Jednookim Diablu.

- To straszna bajka, mój chłopcze. Niedobrze jest słuchać jej przed snem.

- Wcale nie taka straszna! Teraz już ani trochę się nie boję Jednookiego Diabła. Gdyby nawet tu przyszedł, nie zląkłbym się. Przecież ty się go nie boisz, prawda, wujku?

- Myślę, że mnie by nic nie zrobił. No, dobrze, Lie, opowiem ci po kolacji. Mężczyzna założył czarną opaskę na lewe oko i zapalił łojówkę w lichtarzu z morskich muszelek. Zostawił świecę chłopcu, sam zaś wziął latarnię i zarzuciwszy na ramię dwururkę wyszedł z chaty.

Na dworze było zupełnie ciemno, drzewa gięły się i szumiały na wietrze. W szum wichru i

ryk oceanu wdzierał się łoskot przyboju bijącego o skalisty brzeg wyspy. Gwiazdy jedna po drugiej kryły się za chmurami.

- Mamy dziś dwudziestego dziewiątego maja. Tutaj - jesień, a tam, w domu, już przekwitły pomarańcze - mrucał do siebie mieszkaniec wyspy. - Charlie też wybrał sobie dzień, by mówić o Jednookim Diable! W Europie na pewno zapominają już z wolna o mogile na wyspie... Ale to nic, będzie jeszcze miał miłą niespodziankę ktoś w Anglii, gdy się dowie, że stary Bernardito zmartwychwstał!

Na podwórku zabrzączał łańcuch i szary cień przemknął wzdłuż płotu.

- Leżeć, Caramba! - krzyknął gospodarz na kulawą wilczycę, która wyskoczyła z wąskiej długiej nory.

Dla ochrony przed deszczem wejście do tej nory było osłonięte małym daszkiem; na jej dnie leżała kupa gałganów i siana.

Caramba, urodzona w nadbałtyckich lasach, została przywieziona do Anglii z Rygi. Przysłał ją do Chancefieldu, w upominku dla małego Charlie, agent Kompanii Północnobrytyjskiej, Geoffrey MacRail, zajmujący się tam skupem drzewa. Wkrótce wilczątko odbyło jeszcze jedną morską podróż - zabawnego szczeniaka zabrano w rejs na „Orionie”. Po zawaleniu się pieczary i powrocie do zdrowia pseudowicehrabiego doktor Gracewell kazał usunąć ze statku wszystko, co mogło przypominać ojcu o bolesnej stracie. Z kajuty ogólnej zabrano wysokie krzeselko Charliego, a doktor sam wyniósł na brzeg klatkę z wilczęciem i wypuścił małego jeńca na wolność. Niedługo potem zwierzę wpadło w potrzask zastawiony przez mieszkańców wyspy i ze zranioną łapą znalazło się w chatce, ku nieopisanej radości Charlesa. Dziś była to już sześćioletnia, ogromna i zła wilczyca, pędząca żywot na łańcuchu.

Bernardito wszedł do chlewika i przeliczył leżące na podściółce oswojone dzikie kozy. Światło latarni obudziło oswojonego żurawia, kilka gęsi i kaczek z przyciętymi skrzydłami i z pół tuzina zajęcy siedzących w niskiej drewnianej klatce. Pod stropem zagruchały spłoszone gołębie. Ze stojącej u wejścia do chlewika budy wyrzwał duży czarny pies.

- Nie śpisz, Nero? - rzekł mężczyzna. - Będiesz tak długo na uwięzi, dopóki się nie oduczysz ganiać jak głupi za zwierzyną.

Bernardito zamknął chlewik na skobel i pchnął niskie drzwiczki sąsiedniego budynku. Jego dach na pół stopy pokryty był ziemią i obłożony darnią, która rozrosła się tak bujnie, że całość sprawiała wrażenie niewielkiego zielonego pagórka. Była to spiżarnia mieszkańców wyspy. Bernardito wziął gomułkę sera, wędzoną rybę i drewnianą dzieżkę pełną koziego mleka... Gdy wrócił do chaty, chłopiec powiesił już na swoim miejscu wszystkie narzędzia i palił śmieci w piecu. Umyli obaj ręce w umywalni przy ścianie i usiedli przy czysto wyszorowanym dębowym stole.

Chłopiec szybko odmówił modlitwę, poczekał, aż starszy przełamie swój praśny placek, i dopiero wtedy zabrał się do jedzenia. Mężczyzna wskazał na potarganą podściółkę pod drzwiami.

- Gdzie się podziewa Carnero? Nie widzę go przez cały wieczór. Zawołaj go, Lie, i daj mu jeść. Spróbuj pójść jutro nad jezioro i zabierz z sobą Carnera. Może uda ci się ustrzelić kaczkę.

Chłopiec wyszedł do sieni i co sił w małych płucach zawołał:

- Carnero! Hej, ostrouchy!

Szum lasu i wiatr zagłuszyły dźwięczny dziecięcy głosik.

- Fiu-u, fiu-u, fiu-u - gwizdał cieniutko chłopczyk. Z drzwi wyrzwał Bernardito.

Czarne przed chwilą niebo było teraz brudnoszare, mgliste i niskie. Nad lasem wschodził księżyc oświetlając brzeg kłębiącej się chmury.

Bernardito włożył do ust dwa palce. Chłopczyk skulił się i zatkał uszy. Przeszywający świst rozbrzmiał we wszystkich, zdawałoby się, zakątkach wyspy. Było coś groźnego w tym przeciągłym, iście zbójckim gwizdzie.

Gdzieś niedaleko dało się słyszeć chrapliwe warczenie; przez uchylone wrota przecisnęło się potężne zwierzę niosące coś w zębach, przemknęło obok ludzi i wpadło wprost do chaty. Był to ogromny pies o krótkiej lśniącej sierści.

Swoje istnienie zawdzięczał Carnero lekkomyślności okrętowego psa Nerona, który na parę godzin przed odpłynięciem „Oriona” postanowił odbyć spacer po wyspie. Tymczasem ostatnia łódź odbiła od brzegu i pies nie wrócił już na bryg. Znalazłszy przytułek u mieszkańców wyspy zaprzyjaźnił się potem z wilczycą Carambą i ta z kolei obdarzyła mieszkańców chatki ostrouchym szczeniakiem, któremu nadano imię będące kombinacją imion matki i ojca.

Z daleka można było wziąć Carnera za dużego wilka. Nad szerokim łbem sterczały zawsze czujnie nastawione uszy. Jego potężna, pokryta puszystą, jasnoszarą sierścią pierś była teraz umazana krwią. Gdy chłopiec wszedł do chaty, pies złożył u jego stóp koźlątko; stał nad swą ofiarą na szeroko rozstawionych mocnych łapach niby zwycięski bokser na ringu.

- Nakarm go dobrze, Charlie, i nie żałuj mu lepszego kaska - zawołał Bernardito. - Jeśli on dzieli się z przyjaciółmi nie ukrywając zdobyczy, przyjaciele mogą na nim polegać.

Nakarmiwszy psa chłopiec rozebrał się i wsunął pod wełniany koc. Bernardito zdmuchnął świecę w latarni, usiadł przy piecu i zapalił fajkę. Odblask ognia padał na siwiejące włosy i ogorzałą twarz kapitana o kanciastym podbródku i wydatnym nosie, z drobną siatką zmarszczek wokół oczu.

Rozpięty kołnierz i podwinięte rękawy koszuli odsłaniały opaloną na brąz pierś i ręce z tak wyraziście zarysowanymi mięśniami, jakby przez całe życie trudził się nad nimi jakiś cierpliwy rzeźbiarz.

Oprócz lewego oka, utraconego w młodości, nie brakowało kapitanowi ani jednego zęba, ani jednego nawet włosa. Nigdy też nie chorował, jeśli nie liczyć febry tropikalnej, która powaliła go na „Czarnej Strzale”. Wprawdzie sześć ran pozostawiło blizny na jego ciele, nigdy jednak lekarz nie zbliżył się jeszcze do jego łóża.

Bernardito pyknął fajkę i wpatrzył się w cienkie strużki dymu znikające w piecu.

- A teraz posłuchaj obiecanej bajki, Lie. Otóż pewnego razu płynął Jednooki Diabeł na swym czarnym okręcie. W jednej z zatok Morza Tyrreńskiego zobaczył nagle trzech ludzi na wysokiej przybrzeżnej skale, z dymiącą jeszcze bronią w rękach. Cała kompania królewskich strzelców otoczyła skałę i źle byłoby z tymi trzema, gdyby...

- Nie, nie, wujku Toby, nie chcę tak - zaprotestował chłopczyk. - To takie ciekawe, zacznij od początku.

- Przecież słyszałeś już początek tej bajki.

- Nie szkodzi, opowiedz najpierw o Hiszpanii.

- No dobrze, słuchaj więc, Lie, mojej bajki od początku.

## 2

...Żył sobie w Katalonii pewien młody biedny hidalgo. Nazywał się Bernardito Luiz el Gorra. W Hiszpanii rodzice chętnie nadają dzieciom bardzo wiele imion, sądząc, że w ten sposób pozyskają dla swego dziecka więcej orędowników pośród świętych. Stąd też pełny rejestr imion tego młodzieńca otrzymanych przy chrzcie brzmiał, o ile cię to interesuje: Don Juan Maria Carlos Fernando Gonzalvo Domingo Isabel Rodrigo Sebastian Nicolo Cristoforo Angel Dolores Bernardito Luiz el Gorra.

Jak widzisz, Bernardito miał bardzo wielu orędowników w niebie, lecz wyraźnie brakowało mu ich na ziemi. Stary hidalgo, ojciec caballera, nauczył swego syna fechtunku, dotrzymywania słowa i pogardy śmierci. Lecz w spadku pozostawił mu jedynie owe dźwięczne imiona, na wpuł zrujnowany dom w pewnym miasteczku pod Barceloną i

chromego konia. Bernardito miał niespełna dziewiętnaście lat, a jego siostra piętnaście, gdy zmarł ich ojciec.

Donia Estrella, matka tych młodych ludzi, wychowywała ich bardzo surowo. Siostra Bernardita, seniorita Dolores, wyrosła na piękną i dobrze ułożoną pannę. Brat kochał ją gorąco i ona również czule go kochała, dumna nie tylko ze zręczności we władaniu szpadą, lecz również z pewnego odczytania swego brata.

Mimo młodego wieku serce seniority Dolores było już zajęte. Należało do zgrabnego marynarza don Ramona de Garcia. Dolores była z nim zaręczona od dnia swych urodzin. Nosiła zawsze na piersi medalion z jego wizerunkiem, pendent zaś szpady don Ramona zdobyła wstążka z dziewczęcego warkocza seniority.

Oficer marynarki Ramon de Garcia, chociaż starszy od Bernardita o trzy lata, był jego najbliższym przyjacielem. Bernardito ze swej strony znakomicie spisywał się w roli zaufanego pocztyliona zakochanych.

Bernardito również pragnął zostać marynarzem. Nieraz wypływał na morze z katalońskimi rybakami lub też na korwecie, gdzie dowódcą artylerii był jego przyjaciel Ramon. Bernardito znał język marynarzy i umiał obchodzić się z żaglem nie gorzej niż z koniem czy szpadą.

Kiedyś podczas spaceru seniorita Dolores wpadła w oko pewnemu staremu hiszpańskiemu grandowi. Był to pan rozległych włości, mile widziany u dworu wielmoża, don Salvador Morillo del Portez. Don Salvador był w wielkich łaskach u króla. Cała okolica drżała przed jego okrucieństwem i pychą. Wszyscy go się bali i wielu płaszczyło się przed nim, schlebając pyszałkowi. Don Salvador miał ogromną władzę i nie liczył się z nikim poza - rzecz co najmniej dziwna - zubożałym ojcem Bernardita i Dolores. Dumny grand bał się i nienawidził tego człowieka, jakkolwiek nieraz próbował narzucić mu swą udaną przyjaźń...

- Wujku Toby - odezwał się z mrocznego kąta dźwięczny głosik chłopca - dlaczego don Salvador bał się ojca Bernardita? Nigdy mi o tym nie mówiłeś...

- Nie wiem, czy potrafisz to zrozumieć, mój mały Lie, ale spróbuję ci wytłumaczyć...

Trudne to były czasy dla narodu hiszpańskiego. Gdy ojciec Bernardita był jeszcze młody, zmarł okrutny król zwany Karolem Drugim. Był to zły, ponury gbur, którego ulubionym zajęciem były dziecinne gry. Gdy tylko zamknął na wieki zawistne oczy, w kraju zaczęły się waśnie. Ponieważ król nie pozostawił następcy, od razu zgłosiło się dwu pretendentów do tronu hiszpańskiego. Jednym z nich był francuski książę Filip Andegaweński, drugim - przeklęty Niemiec Karol z austriackiej rodziny Habsburgów. Doszło pomiędzy nimi do zacieklej wojny, którą też nazwano wojną o sukcesję hiszpańską. Filipa Popierała Francja, Karola - Anglia i Holandia. A uczciwym Hiszpanom, prawdę mówiąc, nie podobał się ani jeden, ani drugi...

Obce wojska zalały i tak już zubożały i zrujnowany kraj. Szala zwycięstwa przechylała się to na jedną, to na drugą stronę. Raz wojska Karola zdobywały Madryt i Filip musiał się wycofywać, to znów Filip uzyskiwał przewagę i wtedy z Karolem bywało krucho. Ojciec Bernardita również brał udział w tej wojnie. Dowodził kompanią piechoty hiszpańskiej walczącej po stronie Filipa Andegaweńskiego, którego - jak twierdzili hiszpańscy możnowładcy - sam Karol Drugi wyznaczył na swego następcę. Lecz gdy tylko ów „prawowity” pretendent zajął Aragonię, z miejsca pozbawił jej ludność odwiecznych przywilejów. Ojciec Bernardita przyjął to z wielkim oburzeniem. A gdy nowy król oświadczył, że „Pireneje przestały istnieć”, i podporządkował kraj cudzoziemcom - Francuzom, ojciec Bernardita podał się do dymisji rezygnując z królewskiego żołdu...

- Nie śpisz jeszcze, Lie?

- Skądże, wujku Toby!

- Otóż ojciec Bernardita służył w pułku don Salvadora. Jaśnie oświecony grand figurował wprawdzie jako dowódca pułku, lecz obowiązki swe zwał na barki innych, zajmując się zgoła ciekawszymi rzeczami. A gdy pewnej nocy wojska Karola znów przeszły do natarcia i królowi Filipowi groziła klęska, don Salvador posłał zaufanego gońca do obozu przeciwnika ofiarowując Karolowi swe usługi i oddając do jego dyspozycji cały swój pułk.

Senior Luiz el Gorra, ojciec Bernardita, wyjechał właśnie na nocny patrol i zauważył podejrzanego jeźdźca. Dogonił posłańca don Salvadora i odebrał mu sekretny list z propozycją zdrady...

- Dlaczego zamilkłeś, wujku? Zdrajca został chyba ukarany, prawda?  
Opowiadający westchnął.

- Widzisz, moje dziecko - odpowiedział po chwili - ojciec Bernardita zdawał już sobie podówczas sprawę, że dla biednego człowieka jest rzeczą najzupełniej obojętną, który z dwóch pretendentów zasiądzie na tronie, tym bardziej że obaj byli cudzoziemcami. Filip, pod którego znakami walczył ojciec Bernardita, pokazał już w Aragonii, jak wysoko ceni sobie hiszpańskie przywileje... Lecz jako człowiek honoru ojciec Bernardita zapłonął oburzeniem na tak niktzemną zdradę. Z przejętym pismem udał się do sztabu, aby zażądać natychmiastowego zwołania wszystkich oficerów i postawienia zdrajcy przed doraźnym sądem polowym. Don Salvador jednakże też nie spał i po swojemu rozprawił się z szlachetnym hidalgo, nasyłając na niego najemnych siepaczy. Napadnięty przez nich ojciec Bernardita odniósł w walce ciężkie rany i tylko z wielkim trudem, przy pomocy wiernego żołnierza, zdołał się uratować z tej opresji, zachowując nawet przy sobie ów kompromitujący list. Na w pół żywy dotarł jakoś do domu, gdzie długo jeszcze musiał leczyć rany.

Gdy wreszcie powrócił do zdrowia, wojna już się skończyła. Don Salvador Morillo del Portez zdążył już tymczasem wkraść się w łaski nowego monarchy, Filipa Piątego, którego tak haniebnie zdradził w trudnej dla króla chwili. Ojciec Bernardita - biedny, złamany chorobą - całkowicie rozczarował się do nowego króla. Nie wzruszyła go ani wiadomość o przyjęciu przez króla jego dymisji, ani wieść o sukcesach wiarołomnego dowódcy na dworze królewskim. Świadom tego, że wszelkie próby zdemaskowania don Salvadora są już spóźnione i nic nie dadzą, zrezygnował ze swego zamiaru, ale też mimo usiłowań granda nie chciał się z nim pojednać. Don Salvador ze swej strony bez trudu przekonał króla, że hidalgo jest niebezpiecznym buntownikiem, który porzucił służbę w wojsku jedynie z nienawiści do króla-cudzoziemca.

Minęło wiele lat. Przyszły na świat dzieci, Bernardito i Dolores. Dzieci wyrosły i w końcu nadszedł dzień, w którym ich ojciec pożegnał się ze światem. Tej wiosny Bernardito brał udział w wyprawie morskiej na okręcie don Ramona i nie był obecny przy śmierci ojca. Stary hidalgo skonał na rękach żony i córki. Przed śmiercią wypowiedział się, prosząc Boga o przebaczenie starego grzechu, gdyż z jego to winy zdrajca don Salvador nie został zdemaskowany w oczach ludzi i władz. Wyznał przy tym, że ów pamiętny list gdzieś się zawieruszył w domu...

Nie mnie osądzać, jakim sposobem tajemnica tej spowiedzi stała się wiadoma don Salvadorowi. Faktem jest, że dowiedział się o niej bardzo szybko. Myślę, że mnich-spowiednik zyskał na swej szczerości wobec don Salvadora znacznie więcej, niż otrzymał od rodziny za udzielenie ostatniej pociechy umierającemu.

Mniej więcej w miesiąc po pogrzebie ojca Bernardito powrócił z wyprawy odbytej z don Ramonem. Wieść o śmierci ojca dotarła do niego już w Barcelonie i młody człowiek ze smutkiem wracał do osieroconego domu.

W sam dzień powrotu Bernardita stary senior Salvador Morillo del Portez po raz pierwszy

zaszczycił swymi odwiedzinami położony na skraju miasteczka skromny dom donii Estrelli i jej dwojga dzieci. Rodzina zmarłego seniora Luiza el Gorra zajmowała trzy boczne pokoiki i ocalałą narożną basztę swego „zamku”, pozostawiając resztę pomieszczeń pająkom i hulającym przeciągom. W trzech mieszkalnych pokojach paliło się tylko w jednym kominku, gdyż nigdy nie starczało drzewa, a jeśli idzie o jadło, to nasz dzisiejszy zwykły posiłek byłby dla nich święteczną ucztą.

Don Salvador przybył z wizytą w pozłacanej karecie i od razu dojrzał tę całą rozpaczliwą nędzę. Swoje przybycie tłumaczył chęcią złożenia wyrazów współczucia osieroconej rodzinie starego towarzysza broni, głównie zaś pragnieniem poznania czarującej seniority Dolores.

Matka zastała córkę przy czytaniu czułego, aczkolwiek nader skromnego listu don Ramona. Poprawiwszy strój dziewczyny zarzuciła jej na ramiona czarny koronkowy szal i jakby mimochodem napomknęła, że rozmawiając z grandem Dolores winna pamiętać o... spowiedzi ojca.

Młodziutka Dolores stanęła przed grandem jak wiosenny kwiat przed starym kosmatym trzmielcem. Grand obsypał ją komplementami, z każdą chwilą bardziej przymilny i łaskawy. Seniorita z zażenowanym uśmiechem słuchała jego pochlebstw, rozmawiała z nim uprzejmie, lecz po opuszczeniu pokoju natychmiast zapomniała o tej wizycie. Czekąco ją bowiem bez porównania ciekawsze zajęcie - lektura ostatniego listu don Ramona.

Pozostawszy znów sam na sam z donią Estrellą don Salvador począł się uskarżać na swój smutny los wdowca. Nie pogardził też łykiem kwaśnego domowego wina, a nawet tak daleko posunął się w swej łaskawości wobec gospodyni domu, iż raczył zjeść morelę zerwaną w naszym zaniedbanym ogródku...

- Coś ty powiedział, wujku Tobby? - przerwał w tym miejscu chłopiec. - Jak to „w naszym ogródku”?

- Czyżbym powiedział w „naszym”? Musiałeś się przesłyszeć, chłopcze. Nie, to była morela ze starego sadu rodziców Bernardita...

Otóż zjadłszy morelę don Salvador wstał i przybrawszy uroczystą pozę uczynił coś, co było niebywałym zaszczytem dla rodziny jego byłego oficera - poprosił o rękę seniority Dolores.

- Chciał się z nią ożenić?

- Tak, Lie. W każdym razie tak twierdził. Wówczas stara seniora znów posłała po córkę, prosząc granda, by powtórzył to pannie. Don Salvador nie był tym zbyt zachwycony, jako że w podobnych sprawach własnych dzieci zwykł był sam decydować. Gdy zaś powtórzył swe oświadczenia senioricie, ta spojrzała w oczy matce, przeniosła wzrok na zawieszony na szyi medalion i... grzecznie, lecz stanowczo odmówiła.

Donia Estrella odetchnęła z ulgą. Rozwścieczony grand, z trudem hamując złość i oburzenie, spytał jeszcze, dlaczego seniorita nie chce zgodzić się na ich wspólne szczęście. I tu Dolores nie potrafiła oprzeć się niebezpiecznej pokusie. Z najczarowniejszym uśmiechem oświadczyła, iż nie może uwierzyć w trwałość uczuć don Salvadora, którego przeszłość daje wszelkie podstawy, by mieć zastrzeżenia co do jego wierności!

Nie można było zadać grandowi boleśniejszego ciosu! Zrozumiał, że mnich mówił prawdę i że niebezpieczeństwo nie zostało pogrzebane wraz ze starym towarzyszem broni. Kipiąc z gniewu odszedł z dumnie zadartą rzadką bródką i tejże nocy... Dolores znikła z domu.

Wszystko odbyło się tak cicho, że nawet nikt z domowników się nie obudził. Wieczorem seniorita wzięła papier i pióro i wyszła ze swego pokoiku, w którym mieszkała wraz z nianią, udając się do narożnej baszty, gdzie usiadła przy świecy, by napisać list do don Ramona. I stamtąd znikła, porwana przez ludzi don Salvadora, którzy przedostali się przez opuszczoną część domu.

Obudzony dopiero nad ranem tą straszną wieścią Bernardito osiodłał kulawego ojcowskiego

konia i truchtem pospieszył do Barcelony, w nadziei, że zastanie jeszcze w porcie korwetę don Ramona i zawiadomi narzeczonego siostry o jej porwaniu. Lecz gdy wieczorem znalazł się na okręcie, dowiedział się, że senior Ramon przebywa gdzieś na brzegu. Rozpoczął więc gorączkowe poszukiwania po pobliskich tawernach i znalazł wreszcie przyjaciela w małym pokoiku portowego hotelu. Don Ramon zaszył się w samotności pragnąc dać upust poetyckiemu natchnieniu - tworzył właśnie poemat poświęcony Dolores.

Tymczasem donia Estrella udała się do miejskiego corregidora prosząc go, by wysłał alguacilów na zamek don Salvadora i uwolnił jej córkę.

Lecz przewrotny corregidor od razu się zorientował, że nic nie zyska u biednej donii Estrelli, natomiast zatarg z wszechwładnym grandem mógłby pozbawić go poważnych dochodów, a być może nawet intratnego stanowiska. Obludnie przyrzekł donii Estrelli wszelką pomoc w poszukiwaniu córki, oświadczając zarazem, iż jest głęboko przekonany, że dostojny grand nie ma z tą sprawą nic wspólnego. Jego zdaniem pannę porwał nie kto inny, tylko niecierpliwy naręczony don Ramon de Garcia!

A tymczasem don Ramon, przybity nieoczekiwanym nieszczęściem, jeszcze przed świtem odszukał w Barcelonie pewnego zamożnego przyjaciela, niejakiego Juanita Prentoza, pożyczył od niego dziesięć złotych dublonów na zakup koni i prosił go, by wziął udział w poszukiwaniach panny, nie wiedząc o tym, że Juanito Prentoz jest krewnym starego corregidora. W obawie, by przyjaciele nie wzięli go za tchórza, Juanito zgodził się pojechać z nimi, lecz przez całą drogę tłumaczył im, że nie powinni wszczynać zwady z tak wpływowymi ludźmi i że można rzecz całą załatwić polubownie. Wieczorem wszyscy trzej przybyli do miasteczka. Był to już drugi dzień po porwaniu panny, lecz nadal nie było o niej żadnej wiadomości. Od matki dowiedzieli się tylko, że corregidor obwinia o porwanie don Ramona.

Don Ramon, człowiek prawego charakteru i gorącego temperamentu, nie zsiadłszy nawet z konia z miejsca zawrócił, spał zmęczonego rumaka ostrogami i pomknął do corregidora. Bernardito, nie namyślając się długo, popędził za nim. Tylko Juanito Prentoz, tłumacząc się zupełnym wyczerpaniem swego konia, pozostał z seniora, pocieszając ją w nieszczęściu. Wkrótce zresztą, gdy wypadki poczęły przybierać coraz bardziej niebezpieczny obrót, Juanito chyłkiem czmychnął z powrotem do Barcelony...

Przed domem corregidora drzemał starszy już, wąsaty alguacil z halabardą w ręce. Don Ramon odtrącił halabardnika, wdarł się do wnętrza domu i wyciągnawszy corregidora z łóżka dał wyraz swemu oburzeniu, dotkliwie okładając oszczercę płazem szpady.

Tymczasem na krzyk halabardnika zbiegło się jeszcze kilku ludzi ze straży miejskiej. Wszyscy oni rzucili się na Bernardita, który czekał na dziedzińcu trzymając uzdę wierzchowca przyjaciela. Chcąc nie chcąc don Bernardito musiał zeskoczyć z siodła i podjąć rozprawę z napastnikami, przy czym - na skutek własnej nieostrożności - dwóch z nich nadziało się na ostrze szpady migającej w ręce młodego caballero. Pozostali alguacilowie naparli jeszcze mocniej, gdy z domu wypadł don Ramon. Obaj młodzieńcy tak znakomicie wywiązali się z roli żniwiarzy, że ani jeden z pięciu skoszonych alguacilów nie podniósł się z płyt dziedzińca.

Wskoczywszy na konie Ramon i Bernardito cwałowali teraz w stronę zamku don Salvadora, odległego o sześć mil od miasta. Jednakże ich wierzchowce były już tak zmęczone, że dopiero nad ranem znaleźli się pod murami zamku. Świtało zaledwie, lecz mimo to dostrzegli, jak w najbardziej odległej części muru zamkowego otworzyła się mała ukryta furtka i dwóch ludzi wyniosło jakiś podłużny biały przedmiot. Rozglądając się dokoła ludzie ci podeszli na sam skraj brzegu górskiej rzeki, wrzucili niesiony ciężar do wody i nie zatrzymując się, tą samą drogą wrócili pędem do zamku.

Obaj przyjaciele przeczekali w nadbrzeżnych zaroślach, aż tamci znikną za furtką, i dopiero wtedy, ukrywając konie, zeszli na dno wąwozu, gdzie wśród potężnych głazów pienieł się



rwący górski potok. Długo chodzili wzdłuż brzegu wpatrując się w ciemną, kotłującą się wodę, nim wreszcie - o ćwierć mili poniżej zamku - dojrzelili wśród fal coś białego, co zaczęło się o krzak przy skalnym występie. Wszedłszy po pas do wody wyciągnęli na brzeg ciężki worek, a gdy go rozcięli, oczom ich ukazała się... martwa, uduszona Dolores.

Wstrząśnięci tym potwornym odkryciem w milczeniu okryli płaszczami ciało nieszczęsnej dziewczyny, wzięli je na ręce i złożonywszy na koniu don Ramona postanowili jechać z tym strasznym brzemieniem wprost do Madrytu, do stolicy, by oskarżyć zbrodniarza przed królem i zażądać najsurowszej kary dla zdrajcy i mordercy.

Było już całkiem jasno, gdy obaj caballeros ruszyli w drogę. Nagle zza pobliskiej skały wypadł konny oddział alguacilów i sług don Salvadora, dowodzony przez samego granda. Obaj przyjaciele w jednej chwili zostali związani; od razu na miejscu spisano urzędowy protokół i powieszono schwytanych do więzienia razem z martwym ciałem Dolores.

Bernardito dobrze rozumiał, co ich czeka. Gdy byli już pod miastem, udało mu się niespostrzeżenie uwolnić z więzów. Przeczekał chwilę, aż poczuł w odrętwiałym ciele normalny obieg krwi, i wtedy nagle wyprostował się w siodle, zrzucił z siebie resztki sznura i wyrwawszy szablę najbliższemu ze straży począł wyrąbywać sobie przejście przez zwarty szyk oddziału. Już strącił z siodła dwóch jeźdźców, już chwycił za uzdę konia swego przyjaciela, gdy nagle huknął oddany z bliska strzał i koń don Ramona runął na ziemię wraz z przywiązanym do niego jeńcem.

W tej chwili podjechał do Bernardita don Salvador i wypalił do niego z pistoletu. Kula trafiła w szablę, lecz jej odłamek ugodził młodzieńca wprost w lewe oko. Oślepiiony, zalany krwią, Bernardito poderwał jednak konia i pomknął krętymi uliczkami przedmieścia. Przed jednym z domków zeskoczył z konia, uderzył go mocno płazem szabli, by biegł dalej, a sam, wyczerpany resztki sił, wpadł na podwórko i ukrył się w ciemnej piwniczce. Jego prześladowcy pocwałowali dalej, lecz gdy po chwili zobaczyli konia bez jeźdźcy, zawrócili, zaglądając na każde podwórko, do każdych drzwi, a nawet na strychy domów.

Właściciel piwniczki obserwował całą scenę przez okno i gdy tylko Bernardito ukrył się za beczkami, zawiesił na drzwiach piwnicy ogromną kłódkę zamykając ją na jeden z kluczy dyndających u jego pasa.

Wkrótce alguacilowie wpadli również na podwórko winiarza. Gospodarz pokornie pozwolił im przeszukać cały dom i podwórze, a gdy doszli do piwnicy, zaklął się na wszystkie świętości, że nie otwierał jej jeszcze od wczoraj. Alguacilowie pojechali wobec tego dalej. Winiarz zaś, poczekawszy, aż umilknie stuk kopyt, zdjął z drzwi kłódkę i nie mówiąc ani słowa powrócił do domu. Człowiek ten nazywał się Pablo Villas. A Bernardito przekonał się, że są jeszcze w Hiszpanii wielkoduszni ludzie.

Widząc, że ocalony przez niego zbieg nie spieszy się z opuszczeniem swej kryjówki, Pablo Villas kilka razy w ciągu dnia zaglądał do piwnicy, uparcie nie chcąc zauważyć długiej klingi wystającej zza beczki, a nawet przez roztargnienie zostawił obok tej beczki pajdę chleba, kawałek sera i dzban z wodą. Bernardito obmył rany, zaspokoił głód i pragnienie, a gdy zapadł zmierzch, opuścił gościnną piwnicę i przedostał się na sąsiednią uliczkę, gdzie, jak wiedział, mieszka stara Mauretanka, wróżka i znachorka. Przez dwadzieścia dni ukrywała stara w swym domku rannego caballera. Wyleczyła go z ran, oko jednak było na zawsze stracone. Od tej pory Bernardito nosił czarną opaskę, taką samą, jaką ja noszę.

Już na drugi dzień po uwięzieniu don Ramona całe miasteczko wiedziało o jego strasliwej zbrodni. Ludzie corregidora rozpuścili pogłoskę, jakoby Ramon de Garcia porwał i zamordował swą byłą narzeczoną, senioritę Dolores el Gorra, z zemsty za to, że zgodziła się zostać żoną granda don Salvadora. W zbrodni tej brał również udział brat zamordowanej, Bernardito Luiz. Obaj złoczyńcy napadli ponadto na miejskiego corregidora i okrutnie go pobili, usiłując go ograbić i zabijając przy tym pięciu poddanych króla, dzielnych alguacilów, czuwających nad spokojem miasta. W końcu podkradli się nocą pod zamek don Salvadora i

próbowali podrzucić tam ciało swej nieszczęsnej ofiary, aby podejrzenie o porwanie i zabójstwo padło na szlachetnego granda.

Nie wszyscy mieszkańcy miasteczka uwierzyli w te oszczerstwa, lecz nikt nie odważył się wypowiedzieć głośno swych podejrzeń. Tylko nieszczęsna matka sama udała się do Madrytu, by przedstawić królowi całą prawdę i prosić go o ukaranie właściwych winowajców. W czasie jej nieobecności „sprawiedliwym” wyrokiem sądu doraźnego obaj młodzi ludzie zostali skazani na haniebną publiczną śmierć przez ścięcie i utratę wszelkich praw majątkowych. Bernardito, skazany zaocznie, był uznany za banitę wyjętego spod prawa; każdy miał teraz prawo zabić go jak wściekłego psa.

Wyrok przedstawiono do zatwierdzenia jego królewskiej mości, akurat gdy donia Estrella przybyła do Madrytu. Mimo wszystko udało się jej uzyskać audiencję. Król kazał odroczyć wykonanie wyroku i wysłał do miasteczka generalnego prokuratora, by raz jeszcze rozpatrzył sprawę. Głównym świadkiem obrony obu przyjaciół miał być trzeci uczestnik ich wyprawy, Juanito Prentoz.

Wtedy to don Salvador i corregidor przekupili podłego Juanita i ten potwierdził przed królewskim prokuratorem, że zbrodnię popełnili Ramon i Bernardito. W piśmie przedłożonym królowi Juanito Prentoz zeznał, że nienawiść obu caballeros była silniejsza od wszelkich innych uczuć i tak wielka, że woleli zamordować Dolores, niż pozwolić, by została żoną ich wroga.

Po raporcie złożonym przez prokuratora król zatwierdził wyrok i szlachetny don Ramon de Garcia został publicznie ścięty na rynku miasteczka, a następnie poćwiartowany. Egzekucji przyglądał się z balkonu don Salvador, obok niego stał corregidor. Przed śmiercią don Ramon zdążył krzyknąć: „Umieram niewinny, oto morderca!” - i ręką wskazał na balkon. Głuchy pomruk przebiegł przez tłum, wszyscy bowiem nienawidzili tamtych dwóch. Ale kaci już powlekli don Ramona do pnia i po chwili głowa skazańca, zatknięta na pikę, ukazała się nad tłumem. Na tym samym pnieniu ścięto symbolicznie głowę słomianej kukły opatrzonej deszczułką z napisem: „Bernardito Luiz el Gorra”, a król wyznaczył nagrodę za ujęcie samego Bernardita.

Don Salvador nie poprzestał jednak na usunięciu ze swej drogi niebezpiecznych dla niego młodych ludzi. Postarał się o to, by nawet rodzinny dom Bernardita został spalony i zrównany z ziemią, a stara matka, donia Estrella - wtrącona do więzienia. Przez pół roku trzymano ją tam jako zakładniczkę, po czym, z rozkazu miłościwego króla, wygnano z Hiszpanii. Donia Estrella dostała się do Wenecji i tam spędziła wiele lat w domu pewnego wielmoży, hrabiego Paolo d'Ellano, którego musiała poruszyć jej smutna historia. W tym właśnie domu odnalazł ją później Bernardito...

Od tej pory przewoził swą matkę z miejsca na miejsce, aż w końcu pozostawił ją w Grecji. I tu rozstał się z nią, być może na zawsze...

- Dobrze, wujku, ale opowiadaj dalej, co się działo z Bernarditem. Teraz on już stanie się Jednookim Diabłem, prawda?

- Tak, synku. Wtedy to właśnie Bernardito zamienił się w Jednookiego Diabła. Posłuchaj, jak to się stało.

### 3

...Opuszczając domek Mauretanki po zaleczeniu ran Bernardito nie zgolił brody, która mu przez ten czas urosła, nałożył na oko opaskę zakrywającą pół twarzy, wdział na siebie żebracze łachmany, przepasał się sznurem i wziął do ręki gruby sękaty kostur. Co prawda, we wnętrzu kostura tkwiła szpada z toledańskiej stali, w zanadrzu zaś żebrak ukrywał nabity pistolet. Od starej Mauretanki wiedział Bernardito o wszystkim, co się działo w mieście... i

zdążył w samą porę na miejsce kaźni!

Stojąc wśród tłumu przyglądał się w milczeniu okrutnej śmierci don Ramona. Nikt nie zwrócił uwagi na żebraka o pobladłej twarzy, w której płonęło jedyne oko. Po kaźni, gdy ludzie rozchodzili się w ponurym milczeniu, Bernardito precyzyjnie się do szafotu, umoczył swą jedwabną chustkę w krwi przyjaciela, rozlanej na drewnianym pomoście, i z tym smutnym znakiem ukrytym na piersi odszedł w pobliskie góry. Tu wyszukał sobie wśród skał pieczarę, wyjął z zanadru skrwawioną chustę i rozłożywszy ją na kamieniu uroczyście poprzysiął zemstę.

Przybity nieszczęściem i wyczerpany do ostateczności zwałił się na nagie kamienie, nie podłożywszy nawet pod głowę żebraczej opończy. Ciałem jego wstrząsały dreszcze, ciężkie myśli przygniatały jak młyńskie kamienie. Bernardito myślał o tym, że pozostał całkiem sam na świecie, bez matki, bez siostry i przyjaciela, pozbawiony własnego kąta i dachu nad głową. Wszystko mu wydarł don Salvador, nawet prawo chodzenia po ziemi i oddychania powietrzem, teraz bowiem każdy mógł go zabić i otrzymać w dodatku nagrodę wyznaczoną przez króla. Wszystkie dawne uczucia miłości i przywiązania umarły w jego sercu. Pozostała jedynie paląca żądza zemsty. Bernardito zapomniał nawet o Bogu i przyzywał piekło ku pomocy.

Zapadł już zmrok, gdy udręczony tym wszystkim przymknął oczy. Natychmiast jednak otworzył je znowu. Doznał nagle uczucia, że nie jest sam w pieczarze. Pod mrocznym sklepieniem płały mgliste, bezgłośnie cienie. W jednej chwili przypomniała mu się, słyszana jeszcze w dzieciństwie, opowieść starego pasterza Jose o rozbójnikach, którzy tu, wśród tych skał, ukrywali swe łupy, a potem uciekli w strasznym popłochu gonieni przez całą zgraję diabłów.

Taniec cieni stawał się coraz szybszy i Bernardito począł już odróżniać ohydne pyski wirujących diabłów. Diabły te, szare jak nietoperze, podobne były zarazem do obłoków brudnej mgły. W pewnej chwili omszałe ściany pieczary też poczęły się ruszać. Wirujące wciąż diabły przybliżyły się do Bernardita, chwyciły go za gardło. Bernardito czuł, jak pęka mu głowa, nie ma czym oddychać... I w tym momencie czerwone światło zalało pieczarę...

A gdy rój cieni jeszcze gwałtowniej zawirował nad ciałem leżącego caballera, drgnęła nagle ziemia, zapach siarki wypełnił całą pieczarę i przed Bernarditem stanął szatan w szkarłatnym płaszczu, przebijając go na wskroś ognistym wzrokiem.

Władca piekieł wskazał ręką na odległy kąt pieczary i nieszczęsny Bernardito ujrzał tam, pośród kłębiących się oparów - biały worek z ciałem siostry i martwą głowę przyjaciela na katowskim pniu...

Wtem jakby ożywym chłodem powiało w jaskini. Znikł straszliwy gość w szkarłatnym płaszczu a wraz z nim wszystkie widziadła i cienie. Bernardito przetarł oko i usiadł rozglądając się nieprzytomnie dokoła. Niebo rozjaśnił już pierwszy brzask, do pieczary wpadały powiewy porannego wietrzyka. Gdzieś z daleka, z dołu, dobiegał głos dzwoneczków owczego stada. Na dnie wąwozu szumiała woda potoku. Cienie gór spowijały dolinę, w której leżało uśpione rodzinne miasteczko.

W kącie pieczary widniała na kamieniu skrwawiona chusta. Na jej widok nowa gorąca fala nienawiści zalała serce nieszczęśnika. Pochylił się, by podnieść chustę, gdy wtem ręką natknął się na jakieś żelazo. Z ogromnym wysiłkiem, jak człowiek ciężko chory, Bernardito wyszedł z pieczary, zerwał smolistą gałązkę cyprysu, zapalił ją i oświetlił ciemny kąt. Na kamieniu leżał zardzewiały oskard, obok zaś bieleły trupie czaszki i kości. Bernardito odwalił kamień i ujrzał pod nim czarną szczelinę. A gdy ją poszerzył oskardem, znalazł w niej gliniany garnek owiązany skórą. Na garnku była wymalowana czymś białym trupia czaszka i skrzyżowane piszczele.

Uderzeniem oskarda caballero rozbił garnek. We wnętrzu znajdowała się jakaś czarna szmata; gdy ją wziął do ręki, zetlała tkanina pękła i na ziemię posypały się złote monety. Bernardito

napchał złotem kieszenie, resztę schował do swej zebraczej sakwy. Były to monety wszystkich krajów, przeważnie stare hiszpańskie dublony i piastry, francuskie luidory, ciężkie, bardzo stare gwinee z wizerunkiem anioła - znakiem brytyjskiej mennicy, włoskie floreny, tureckie dukaty i holenderskie guldeny.

Ledwo Bernardito zdążył schować złoto, gdy na górskiej ścieżce, wijącej się poniżej pieczary, dały się słyszeć czyjeś ostrożne kroki. Wyjrzawszy zobaczył czarnego mnicha, który rozglądając się wciąż dokoła i czepiając krzaków wspinał się pod górę, w kierunku pieczary. Wówczas Bernardito odskoczył szybko w najdalszy kąt, wdrapał się pod samo sklepienie, wyjął z zanadru pistolet i przyczał się bez ruchu. W tej chwili w otworze pieczary ukazała się głowa mnicha; mnich zapalił świecę, rozejrzał się, a zobaczywszy rozbity garnek jęknął przejmująco i runął na ziemię...

- Nie śpisz jeszcze, Lie?

- Ależ. wujku Tobby, naturalnie że nie!

- I nie jest ci straszno?

- Trochę straszno, ale to bardzo ciekawe!

- A czy nie dosłyszałeś nic w szumie wiatru za oknem?

- Zdawało mi się, że słyszę jakiś jęk czy wycie. Ale nic więcej. Mów dalej!

- Widocznie mnie też tylko się zdawało... A więc słuchaj!

Długo leżał mnich na ziemi, aż Bernardito przez ten czas zdrętwiał cały w niewygodnej pozycji pod sklepieniem. Wreszcie mnich podniósł się, wziął świecę i zaczął grzebać w dołku pod odsuniętym kamieniem. Po chwili wydobył stamtąd niedużą szkatułkę, której Bernardito w pośpiechu nie zauważył, i ukrył ją w worku podróżnym pod sutanną. Następnie wyjął z kieszeni ręcznik, zmoczył go w strumyku płynącym nie opodal i wrócił do pieczary. Postawiwszy świecę nad rozkopaną szczeliną owinął twarz mokrym ręcznikiem, tak by usta i nos były zakryte, i znów zaczął dłużyć oskardem w ziemi. Nie trwało to nawet długo. W pewnej chwili mnich wyprostował się i popatrzył na świecę. Równy i jasny z początku płomyk teraz zaczął się kurczyć, świeca zatrzeszczała i nagle zgasła.

Mnich odrzucił oskard, mocniej przycisnął ręcznik do twarzy i wybiegł z pieczary. Bernardito też opuścił natychmiast swą kryjówkę pod sklepieniem. Nim jednak zdążył zejść na dół, poczuł w ustach słodkawą, nieprzyjemny posmak. Zakręciło mu się w głowie, miał wrażenie, że wszystko dokoła płynie jak we mgle. Zeskoczył ze skalnego występu, chwycił swój kostur i czując, że traci przytomność, ostatkiem sił wyczołgał się z pieczary na świeże powietrze. Okropnie go mdliło, ręce i nogi mu drżały, a czyste, chłodne powietrze wąwozu raniło, zda się, płuca. Bezwładnie stoczył się ze stromego zbocza i na wpół żywy wylądował obok małego jeziora w zaroślach leszczyny. Nim jednak zdążył ocknąć się po upadku, ujrzał nagle tuż przed nosem lufę pistoletu i usłyszał ochrypły głos:

„Oddaj złoto, włóczęgo, inaczej czarci w piekle zaleją ci nim twą zachłanną gardziel!”

Bernardito z wysiłkiem uniósł głowę. Zobaczył przed sobą mnicha z bronią w ręce i poczuł, jak druga ręka w zatłuszczonym czarnym rękawie obmacuje woreczek na jego piersi. Mnich zerwał woreczek z szyi leżącego bez sił caballera i wyjął z niego skrwawioną jedwabną chustę.

Ujrzawszy swą chustę w obcych rękach Bernardito przemógł słabość i wycedził przez zaciśnięte zęby:

„Bierz złoto, ale to mi oddaj!”

Mnich z ciekawością przyglądał się chustce.

„To twój talizman?”

„Nie, to moje znamię, pod którym zwycięzę lub zginę!”

„Krew na nim jest jeszcze świeża. Czy to przypadkiem nie z wczorajszej egzekucji? Kim

jesteś, jednooki włóczego?”

„Mścicielem” - odparł Bernardito.

Mnich podał mu kubek wody. Bernardito wciąż jeszcze był oszołomiony, Język odmawiał mu posłuszeństwa, niemniej nawet w tym stanie zdawał sobie sprawę, że gdyby mnich był wysłannikiem mocy piekielnych, które nawiedziły go nocą, mógłby doskonale obejść się bez nowiutkiego pistoletu z napisem: „Paryż, 1742 r.” Caballero domyślił się już, że nocne widziadła należy przypisać działaniu jakiegoś trującego gazu, przenikającego do pieczary przez szczelinę w jej dnie. W głowie jego zrodziło się nagle niejasne podejrzenie, że chytry mnich może być członkiem bandy rozbójników, o których opowiadał stary pasterz, i bacznie spojrzął w twarz rozmówcy.

„Słuchaj, ty, włóczego-mścicielu - powiedział mnich unosząc znów pistolet - masz jeszcze przy sobie szatańskie złoto. Nigdzie go nie zanieziesz, przepali ci kieszenie!”

W tej chwili na ścieżce ukazało się trzech pasterzy. Nie opuszczając pistoletu mnich położył palec na ustach. Pasterze usadowili się nie opodal i zabrali się do rozpalania ogniska.

„Zostawmy już w spokoju piekło i szatany. Wystarczy ci to, co masz w torbie” - szepnął Bernardito siadając i obmacując kieszenie pełne złota.

Nagle wyrwał z kostura ojcowską szpadę, odtrącił nią rękę mnicha z pistoletem i chwyciwszy dominikanina za kołnierz, przytknął mu ostrze do gardła. Tuż przed sobą ujrzał wytrzeszczone oczy tamtego. Jednakże zabobonny lęk przed czarną szatą przeciwnika okazał się silniejszy - Bernardito puścił mnicha i schował szpadę.

Tymczasem szelest w krzakach zwrócił uwagę pasterzy. Obejrzeni się i porwali w ręce potężne kije. Bernardito i mnich zamarli w bezruchu, spoglądając tylko na siebie spod oka. Pasterze uspokoili się i znów usiedli wokół kociołka.

„Jestem okrutnie głodny” - mruknął sługa boży.

„Chodźmy do tych ludzi” - zaproponował Bernardito.

„A ty ich znasz?”

„Nie znam tu nikogo.”

Jednakże czarny współtowarzysz wołał poczekać z posiłkiem, z czego Bernardito wywnioskował, że on też niezbyt pewnie czuje się w tych stronach. Mnich przesypał złoto z sakwy Bernardita do swego worka i zważywszy go w ręce mruknął ze złością:

„Przeklęty Jednooki Diable! Czy wiesz, kogo ograbiłeś? To nie moje złoto, a w twoich kieszeniach zostało pięć razy tyle...”

„Jeśli to jest diabelskie złoto - z niezmaconym spokojem odparł Bernardito - dostało się we właściwe ręce. Jak się nazywasz, chytry mnichu z pistoletem?”

„Kiedyś wśród rozbójników nazywano mnie ojcem Simonem. Jesteś jeszcze widać bardzo zielony, jeśli nie słyszałeś o mnie i śmiesz mi podtykać pod nos tę dziecinną zabawkę. Udławisz się jeszcze tym złotem, żółtodziobie!”

W oku Bernardita błysnęła taka wściekłość, że mnich mimo woli cofnął się o krok.

„Nie tak dawno nadziałem na tę szpadę pięciu alguacilów. Pilnuj swego różańca, mnichu, i radzę ci po dobru, idź w swoją drogę!”

„Mam wrażenie, że moja droga i twoja jest ta sama - rzekł pojednawczo mnich. - Niech ci przebaczy święty Dominik, żeś mnie... hm... że zmusiłeś mnie, abym się z tobą podzielił! A teraz mi powiedz, w jaki sposób zwąchałeś złoto Gonzagi?”

Bernardito nie przyznał się, że pierwszy raz słyszy to nazwisko, i dał wymijającą odpowiedź. W końcu zgłodniały żebrak i mnich zeszli razem w dolinę.

W nędznej traktierni, odwiedzanej wyłącznie przez pasterzy, poganiaczy mułów i włóczegów, usiedli przy osobnym stoliku. Obok, przy dzbanie wina, siedziało dwóch wieśniaków rozmawiając o wczorajszej egzekucji. Bernardito usłyszał swoje imię powtórzone kilka razy. Wtedy skrzypnęły drzwi i do traktierni weszło dwóch alguacilów.

„Masz tych aniołów-stróżów” - mruknął jeden z wieśniaków i podniósłszy dzban nad głowę, począł lać wino w otwarte usta.

„Hej, ty tam, przy stoliku - krzyknął alguacil - zamknij gębę! Odwróć no się! Chodź tu bliżej!”

Obaj alguacilowie obejrzeni dobrze, a nawet zrewidowali wieśniaka. Dopiero na uroczyste zaklęcie właściciela traktierni, że człowiek ten nie jest przebrany Bernardito, puścili delikwenta. Następnie alguacil wyjął papier i głośno go odczytał, wymieniając charakterystyczne cechy wyglądu Bernardita oraz zapowiadając, że za głowę żywego czy umarłego przestępcy skarb królewski wypłaci tysiąc duros.

W obwieszczeniu nie było ani słowa o utraconym oku caballera. A więc władze nic o tym nie wiedziały. Niech ktoś teraz spróbuje rozpoznać w jednookim oberwańcu ze zmierzwioną brodą don Bernardita et Gorra!

Żebrak zbliżył się do alguacilów, którzy podeszli tymczasem do kontuaru, kładąc obok dopiero co odczytane obwieszczenie. Przyłożywszy dłoń do ucha żebrak starczym głosem spytał, o czym jest mowa w tym papierze.

„A może ty też, dziadku, masz ochotę zapolować na Bernardita?” - zażartował alguacil.

„Tylko uważaj, żeby i ciebie nie zaszył w worku” - dodał drugi.

„Daj no spróbować winka, gospodarzu - zażądał pierwszy. - Tylko się pospiesz! Senior corregidor kazał nam wrócić za godzinę z tym papierem. Chce go posłać do drukarni, żeby jutro afisze mogły być rozklejone na wszystkich murach.”

Słyszając to Bernardito wziął leżący na kontuarze ołówek i niepostrzeżenie napisał na odchylnym rogu obwieszczenia kilka słów. Alguacilowie wypili raz i drugi, zapłacili za wino pełnym zadowolenia pochrząkiwaniem i zabrawszy swój papier, z powagą wyszli z traktierni.

Otrzymawszy z powrotem papier corregidor od razu zwrócił uwagę na dopisek w dolnym narożniku:

*„Mości corregidorze, jeśli mojej matce w więzieniu spadnie włos z głowy, powieszę cię na warkoczach twojej córki Migueli. Bernardito”.*

Gdy w godzinę potem cały oddział alguacilów otoczył rynek, żebrak i mnich podążali już górską ścieżką do Barcelony.

W jakieś dwa tygodnie po tych wypadkach, późnym wieczorem, zebrało się Pięciu mężczyzn w rybackiej chatce zagubionej wśród przybrzeżnych skał Katalonii. Siedzieli przy stole i grali w kości. Za oknem wiał sztorm...

Pośród grających wyróżniał się mężczyzna w liliowym aksamitnym kaftanie i berecie z piórem. Jego lewe oko zakrywała czarna opaska. Trudno było określić jego wiek. Włosy miał przyprószone siwizną, lecz jedyne oko błyszczało młodzieńczym ogniem. Obok siedział pijany mnich z odkrytą głową. Wygoloną tonsurę okalały rzadkie, zmierzwione kosmyki. Mnich miał zawieszony na piersi kościany krucyfiks, a z kieszeni wystawał mu gruby brewiarz.

Naprzeciwko mężczyzny w berecie siedział syn gospodarza, młody Mateo Velmontez. Nosił czerwoną trójkątną chustę na kędzierzawych włosach, związaną z tyłu na węzeł i nasuniętą nisko na czoło, aż po krucze gęste brwi. Człowiek ten, z dwoma pistoletami i dwoma nożami zatknętymi za pas, był najstłynniejszym przemytnikiem na całym wybrzeżu, zaś jego ojciec, stary rybak Cristoforo - właścicielem barki żaglowej „Tuluza”.

Obok, wsparłszy głowę na lewej ręce bez trzech palców, rzucał kości smagły jak Maur Andaluzyjczyk z kędzierzawą bródką, o potężnej, włochatej piersi. Był to Antonio Carillo, sławny ongiś toreador, ulubieniec sewilskiej publiczności. W fatalnym dla niego dniu rozjuszony byk - jedenasty z kolei, którego miał powalić na piasek areny w ciągu jednej

świętecznej corridy - rozpruł mu cały bok i okaleczył lewą rękę. Wśród widzów znajdował się sam król Filip Piąty. Widząc, co się dzieje, król głośno wypowiedział obelżywą uwagę pod adresem rannego toreadora. Wtedy Antonio dźwignął się, zdjął z palca pierścień, który jego królewska mość nie dalej jak wczoraj raczył ofiarować śmiałkowi za dziesiątego byka, i cisnął nim w lożę królewską. Pierścień ugodził w twarz dowódcę straży królewskiej, Antonio zaś runął na piach zaciskając rękami straszliwą ranę. Ocknął się dopiero w celi więziennej, z zaszytym naprędce bokiem i amputowanymi palcami. Oprócz trzech żeber i tyłuż palców torero utracił na zawsze łaskę monarchy i wkrótce znalazł się pod jednym dachem z Bernardito, którego spotkał na górskiej ścieżce.

Piąty gracz był niewysoki, jasnowłosy, o długich anielskich rzęsach i subtelnej, nieomal dziewczęcej twarzy. Lecz ów młodzik zginał podkowę w swej delikatnej dłoni, z dwudziestu kroków trafiał do każdej karty, a jego zgrabne nogi w trzewikach ze sprzączkami były niestrudzone jak nogi gończego psa.

Ten młody człowiek wyrósł w kochającej się, licznej rodzinie. I nagle, w ciągu paru dni, utracił wszystko - rodziców, braci i siostry, dom i majątek. Jego ojciec, sławny kapitan de Las Pados, był śmiałym żeglarzem a przy tym człowiekiem uczonym. Za złote piasy, zebrane u dworu i ofiarowane przez przedsiębiorczych kupców, kilka razy organizował niebezpieczne wyprawy morskie, podejmując żeglugę ku nieznanym wybrzeżom nowo odkrytych lądów i wysp południowych mórz. Po powrocie z tych wypraw kapitan opisywał nowe ziemie i sporządzał dokładne mapy. Wszyscy żeglarze Hiszpanii, Portugalii i Francji błogosławili go za ten szlachetny trud. Lecz kupców mało interesowała wiedza i naukowa sława ich rodaka. Żądali złota, licząc na to, że kapitan szybko napelni ich skrzynie skarbami.

Szczególnie dużym sukcesem zakończyła się ostatnia wyprawa kapitana de Las Pados, chociaż jego okręt wrócił do portu barcelońskiego mocno nadszarpnięty burzami. Odkryto na Oceanie Spokojnym wyspę szczęśliwości, zamieszkaną przez wesołych ciemnoskórych ludzi. Tutejsi kapłani zaskoczyli kapitana znajomością matematyki, astronomii i sztuki leczenia. Chaty i przedmioty codziennego użytku tubylców były zdobione misterną rzeźbą, tkaniny zaś olśniewały bogactwem barw i pięknnością wzorów. Nieliczne większe osiedla na wyspie upiększały fantastyczne baszty i świątynie zastawione złotymi posągami jakichś dziwnych zwierząt i ludzi.

Mieszkańcy wyspy przyjęli kapitana i jego towarzyszy jak przyjaciół, a żegnali ich jak braci. Urządzono wielką uroczystość na cześć gości, dziewczęta przystroiły okręt kwiatami, a gdy żeglarze ruszali w powrotną drogę, żegnał ich chór życzliwych głosów.

Gdy wierzytel kapitana, barceloński kupiec Prentoz, ojciec podłego Juanita, dowiedział się o bogactwach cudownej wyspy, przygotował potajemnie trzy okręty z uzbrojoną załogą, złożoną z gotowych na wszystko bandytów, i zażądał od kapitana, by popłynął z tą armadą na wyspę. Uczciwy żeglarz kategorycznie odmówił. Zdawał sobie bowiem sprawę, czym to grozi jego przyjaciołom na dalekiej wyspie. Cała jej ludność zostałaby skazana na niechybną zagładę, osiedla puszczone z dymem, świątynie zaś doszczętnie ograbione. Nie chciał być mordercą całego narodu!

Wtedy to nikczemny Prentoz oskarżył szlachetnego kapitana o zdradę wobec króla, kapitana wtrącono do więzienia i przez pięć dni i nocy torturowano, by wskazał drogę ku wyspie. Lecz kapitan nie zdradził swej tajemnicy i piątej nocy zmarł na torturach. Jego dom i cały dobytek uległ konfiskacie, po czym za bezcen dostał się Prentozowi. Gdy śludzy kupca przyszli do domu kapitana, trzech jego synowie chwycili za szpady. W krótkim starciu dwóch z nich zabito, tylko najmłodszemu, Alonso, udało się uratować. Obie córki kapitana na rozkaz królewski zostały zamknięte w klasztorze. Nieszczęsna matka na skutek tych strasznych przeżyć utraciła rozum i niebawem znaleziono ją martwą na brzegu morza, przy trapie osieroconego okrętu...

- Wujku Toby, zapomniałeś już, że Bernardito gra w kości w rybackiej chacie i że piąty gracz...

- Słusznie, mój chłopcze, rozgadałem się o szlachetnym kapitanie i nie powiedziałem jeszcze, że piąty gracz, ów młodzieniec o dziewczęcej twarzy, był właśnie najmłodszym synem kapitana. Nazywał się Alonso de Las Pados. Wykluczony ze społeczeństwa, skumał się z ojcem Simonem i teraz rzucał kości przygadując pozostałym graczom.

Kiedy przyszła kolej na Bernardita, ten odsunął kości na bok i wpatrzył się w niskie okienko. Za oknem była noc. Fale z hukiem biły o występy przybrzeżnych skał, a ich spienione grzbiety niby płomienie białych błyskawic przecinały wodę w blasku księżyca.

„Seniores - zwrócił się Bernardito do grających. - Proszę o ciszę! Od dziś mamy się związać surowym braterstwem broni. Przed nami jeszcze długie godziny oczekiwania, wątpię bowiem, aby w taką burzę barka Cristofora wypłynęła z Minorki. Przerwijmy grę i umocnijmy nasz związek. Mało jeszcze znamy się nawzajem, a nasze bractwo powinno być wieczne. Za odstępstwo - śmierć! Kto nie czuje się dość silny duchem, może jeszcze odejść w pokoju, póki nie zostało powiedziane ostatnie słowo.”

Gracze odłożyli kości. Bernardito był najmłodszy wśród nich, lecz jego posiwiła głowa, świadcząca o tym, jak wiele już przeżył, i jakaś wewnętrzna siła kazały tym wszystkim ludziom, tak bardzo niepodobnym do siebie, podporządkować się jego woli.

Bernardito rozwinął swe smutne znamię, zaciął sobie rękę sztyletem i krwią wypisał na czystym pergaminie słowa przysięgi. Następnie przywołał Mateo Velmonteza. Ten krótko opowiedział o swym burzliwym życiu przemytnika i żeglarza i za ogólną zgodą również krwią przypieczętował swą przynależność do bractwa. Po nim to samo uczynili Antonio Carillo i Alonso de Las Pados. W końcu przyszła kolej na ojca Simona.

„Powiedz braciom, kim jesteś i czyje to złoto trafiło do naszych rąk” - rozkazał Bernardito.

„Przyjaciele - powiedział mnich - mój stan duchowny nie pozwala mi składać żadnej innej przysięgi poza przysięgą na wierność Kościołowi. Wysłuchajcie mej historii i uważajcie mnie, bez podpisywania się krwią, za swego brata do końca moich dni. Na znak, że mówię prawdę, całuję przed wami ten oto krzyż!”

Stary mnich opowiedział, jak to kiedyś w młodości zakochał się w pannie i poślubił ją wbrew woli ojca. Lecz ojciec, człowiek okrutny i dumny, wydziedziczył go i wypędził z domu. Pewnego razu, jadąc nocą konne przez góry, zderzył się na wąskiej drodze, w rodzinnej okolicy, z jakimś jeźdźcem zdążającym z przeciwnej strony i przypadkiem strącił go z siodła. Poszkodowany chwycił za szpadę. Młody człowiek, zmuszony do walki, zeskoczył z konia i w nocnym starciu zabił tamtego. A gdy przyniesiono pochodnie poznał w zabitym własnego ojca! Wstrząśnięty tym, co się stało, wstąpił do klasztoru pod imieniem ojca Simona. Dwadzieścia lat spędził na postach i modlitwach, pragnąc odpokutować swój grzech, i rozczytywał się w świętych księgach i dziełach ojców Kościoła. Aż raz, wdawszy w dysputę teologiczną z pewnym uczonym członkiem świętej inkwizycji, zapalił się tak mocno, że chwycił leżący pod ręką gruby tom pism świętego Augustyna i trzasnął nim po głowie swego oponenta, który na miejscu wyzionął ducha. W wielkim popłochu ojciec Simon uciekł do lasu. I tam ujrzał we śnie świętego Piotra, który uprosił Pana Boga, aby odpuścił grzesznikowi jego winy. Widocznie święty strażnik bram niebieskich też nie bardzo żałował ojców inkwizytorów!

Wkrótce potem ojciec Simon znalazł się przy ognisku bandy rozbójników dowodzonej przez starego Gonzagę, będącej postrachem wszystkich podróźnych w górach włoskich, francuskich i hiszpańskich. Ojciec Simon przystał do bandy i odtąd wiódł burzliwe życie rozbójnika, odpuszczając z góry grzechy i odbijając sobie dwadzieścia lat postu i wyrzeczeń. Ale przyszedł w końcu czas gdy banda została rozgromiona przez muszkietierów króla Ludwika XV we francuskich Pirenejach.

Po długiej tułaczce kilku ocalałych rozbójników dotarło z nagrabanym złotem do Katalonii.



Mieli zamiar wsiąść w Barcelonie na okręt i odpłynąć do Genui. Tymczasem noc zaskoczyła ich w górach, więc postanowili przespać się w zacisznej pieczarze wśród skał. Ojciec Simon, który tego wieczora szczególną gorliwością przyłożył się do butelki, poczuł nagle wśród nocy mdłość i wyszedł z pieczary. Całą noc przeleżał nad strumykiem. Czuł się dziwnie rozbity, dręczyły go koszmarne sny. A gdy rano wrócił do pieczary, oczom jego ukazał się straszliwy obraz. Wszyscy jego towarzysze byli martwi, tylko Pablo Villas, leżący tuż u wejścia, dawał jeszcze słabe oznaki życia.

„Pablo Villas? - wtrącił Bernardito. - Czy to nie ten Villas, co ma piwnice win w moim mieście?”

„Ten sam - potwierdził ojciec Simon. - Z całą pewnością nie uprawiałby dziś swej zacnej profesji, gdybym go nie wyciągnął wówczas za nogi z pieczary i nie napił mlekiem u pasterzy. Pasterze ci wyjaśnili mi, że pieczarę zamieszkuje sam diabeł i dusi nieproszonych gości.”

Śmiertelnie przerażony tym wszystkim, co mu się przywidziało w nocy, Pablo postanowił machnąć ręką na złoto spoczywające w torbach martwych towarzyszy i rozpocząć uczciwe życie winiarza. Ojciec Simon, który zachował przy sobie woreczek dukatów, został przypadkowo rozpoznany na ulicy przez jednego z kupców, ograbionych niegdyś przez szajkę Gonzagi, i musiał czym prędzej uchodzić z tych stron.

Gdy po pięciu latach pobytu w Italii jego zapas złota całkowicie się wyczerpał, postanowił sprawdzić, czy nie ocalało coś ze skarbu Gonzagi w katalońskiej pieczarze. Wybrał się więc znów do tego straszego miejsca i znalazł tam dwa szkielety w butach, przegniłe torby ze złotem i zardzewiałą broń. Pieczarę wypełniała dusząca woń jakiegoś gazu.

Poszedł zatem do miasteczka, przyniósł stamtąd gliniany garnek i oskard, po czym owinąwszy twarz mokrą szmatą obejrzał dokładnie pieczarę. Zauważywszy, że trujący gaz wydobywa się ze szczeliny w kącie, zatkał ją szczelnie gliną. Następnie wykopał dołek, połowę złotych monet zawinął w czarną szmatkę, włożył do garnka, narysował na nim kawałkiem wapnia trupa czaszkę i ukrył go w dołku. Skończywszy z tym ojciec Simon obrzucił wzrokiem kości swych dawnych towarzyszy, westchnął i postanowił po chrześcijańsku pogrzebać w ziemi ich śmiertelne szczątki. Dotknąwszy żeber starego Gonzagi odkrył pod resztkami odzieży szkatułkę okutą srebrem, a w niej dwadzieścia dziewięć skrzących się diamentów, jeden większy od drugiego. Coraz mocniej jednak odczuwał objawy zatrucia; zbyt już długo przebywał w pieczarze. Zebrawszy resztki sił szybko wrzucił szkatułkę do schowka, zasypał dołek żwirem, przywalił z góry ciężkim kamieniem i nie myśląc już o kościach rozbójników, z trudem wyczołgał się na zewnątrz.

Złoto, które zabrał ze sobą, starczyło na dalsze pięć lat wesołego życia we Francji i Włoszech. I znowu, w lipcu 1742 r., ojciec Simon puścił się w drogę, by uzupełnić swe zapasy. Dalszy ciąg znali już słuchacze z opowieści Bernardita. Wszystko złoto i diamenty, złożone razem, nowi przyjaciele powierzyli opiece surowego mściciela - przywódcy bractwa...

#### 4

Następnej nocy pięciu braci-mścicieli odpłynęło na barce starego Cristofera Velmonteza ku wybrzeżom Turcji, biorąc kurs na Sztambuł. Tydzień wcześniej w tym samym kierunku wypłynął z Barcelony po brzegi wyładowany towarami okręt „Goliat”. Na jego pokładzie znajdował się właściciel statku, kupiec Prentoz, sprawca zagłady całej rodziny młodego Alonsa. Stary Prentoz zabrał z sobą w ten rejs swego syna Juanita, tchórza i niegodziwca, który tak podle zniesławił don Ramona i Bernardita.

Przyszły ciężkie chwile dla braci-rozbójników żeglujących na wątlej łupince po Morzu Śródziemnym w porze sierpniowych sztormów. Stary Cristoforo, Mateo i Bernardito byli

doświadczonymi żeglarzami, lecz dwaj pozostali członkowie bractwa dopiero uczyli się manewrować żaglami i utrzymywać kurs według gwiazd i słońca, jako że nie posiadali kompasu. Sześć razy sztorm zatrzymywał, przyjął w drodze. Na swoje szczęście zastali jeszcze statek podlego Prentoza w zatoce Złotego Rogu. Kupiec zdążył już sprzedać towary przywiezione z Hiszpanii, a „Goliat” przyjmował właśnie na pokład nowy ładunek. Były tam wschodnie wonności i korzenie, safian i kość słoniowa, biała broń z damasceńskiej stali, złotogłów, jedwabie tureckie, tytoń i beczułki oleju różanego. Prentoz liczył, że sprzedaż tych towarów, na które czekali już hiszpańscy grandowie i klasztory, przyniesie mu grube zyski. Toteż dniem i nocą straż nie spuszczała oka z dobrze zamkniętych ładowni i nie dopuszczała nikogo nawet w pobliże statku.

I oto na krótko przed odpłynięciem „Goliata” na nabrzeżu zjawił się znakomity cudzoziemiec ze swą małżonką. Przybyli w bogatej lektyce brytyjskiego posła w Stambule i poprosili Prentoza, by zechciał zejść do nich. Wysoki mężczyzna w mundurze angielskiego oficera objaśnił w łamanym hiszpańskim języku, że jest brytyjskim pułkownikiem i właśnie odbywa podróż poślubną Żona pułkownika - Polka nie rozumiejąca ani słowa po hiszpańsku - stała w milczeniu obok męża, wodząc spojrzeniem błękitnych oczu od okrętu do jego właściciela. Para ta wracała już do Anglii, pragnęła jednakże po drodze odwiedzić jeszcze Madryt. Toteż w imieniu brytyjskiego posła pułkownik prosił o przyjęcie na okręt ich obojga wraz ze służącym, jak również biskupa francuskiego - ich przyjaciela i towarzysza podróży. Pułkownik był już szpakowaty, stracił oko na polach Flandrii w 1714 r. i nosił czarną opaskę przecinającą ukośnie twarz.

W trakcie rozmowy na brzegu zjawił się syn kupca, Juanito. Urocza jasnowłosa Polka zrobiła błagalną minę i posłała mu tak czarujący uśmiech, że i on poparł prośbę znakomitych cudzoziemców. Tymczasem pułkownik dobył z kieszeni sakiewkę ze złotem, której rozmiary bardziej niż jakiegokolwiek inne argumenty przecięły wahania ostrożnego kupca. Złoto przeszło do kieszeni Prentoza, a Juanito sam zaofiarował się, że pojedzie z nowymi pasażerami „Goliata” do brytyjskiego poselstwa i pomoże im w przeniesieniu się na pokład. Wsiedli więc we troje do zamkniętej lektyki, by udać się - na ramionach atletycznych tragarzy - do podmiejskiej willi. Kupiec uprzedził, że okręt już wychodzi na redę i będą musieli dopłynąć do niego łodzią.

Pozostawwszy za sobą brudne ulice Stambułu lektyka zatrzymała się w końcu przed niedużą willą. Dom był dość pusty, a służba składała się nie z Anglików, lecz Turków. Wprawdzie posła nie było w domu, niemniej w przytulnym gabinecie czekał już przygotowany lunch z mnóstwem doskonałych win. Przy lunchu pułkownik i biskup francuski zainteresowali się, czy „Goliat” jest dobrze uzbrojony i czy posiada dostateczne zapasy prochu. Otrzymałszy od Juanita w pełni uspokajające zapewnienie, pułkownik kazał służbie natychmiast spakować niewielki bagaż. W godzinę później całe towarzystwo znów siedziało na miękkich poduszkach lektyki. Juanito znalazł się między pułkownikiem i jego młodszą żoną, biskup zaś w fioletowych jedwabnych szatach zajął miejsce naprzeciw nich. Podchmielony kupczyk, korzystając z półmroku panującego w lektyce, dotknął w pewnej chwili rączki uroczej damy i ta - ku jego nieopisanej radości - lekko odwzajemniła uścisk. Przy każdym potknięciu się tragarzy rączka zalotnej niewiasty wciąż mocniej ścisnęła jego palce.

Zapalając fajkę pułkownik niespodziewanie zauważył ten niedozwolony flirt. Grzmiącym głosem zażądał niezwłocznej satysfakcji; wychylił się z lektyki, rzucił jakiś rozkaz tragarzom i zamilkł ponuro, łypiąc swym jedynym okiem na Prentoza i groźnie potrząsając ręką długiej szpady.

Gdy przybyli na nabrzeże, zbliżał się już wieczór, lecz w porcie było jeszcze pełno ludzi. „Goliat” stał daleko na redzie, a u samego nabrzeża kołysała się barka ze starym szyprem w hiszpańskim berecie i jego brodatym pomocnikiem, który u lewej ręki miał zaledwie dwa całe palce.

Pułkownik mocno ujął za łokieć młodego Prentoza, pod drugą zaś rękę, ku niemałemu zdumieniu Juanita, boleśnie chwyciły go delikatne palce kobiety. W jednej chwili znaleźli się na barce. Pułkownik jeszcze raz zeskoczył na brzeg i Juanito usłyszał, jak posługując się przedziwną mieszaniną językową radził on tureckim tragarzom, by jak najszybciej zamazali godło brytyjskiego poselstwa na lektyce. Ostatnie zdanie przyprawiło Juanita o drżenie. Wręczając bowiem jednemu z tragarzy garść złotych monet pułkownik powiedział: „Żegnaj, stary, i nie wspominaj źle Jednookiego Diabła, Bernardita!”

Straszliwy domysł przeszedł mózg Juanita, lecz barka pruć już fale Złotego Rogu i w dwie godziny później przybiła do brzegu nagiej, pustynnej wyspy.

„Wysiadaj!” - rozkazał zdrajcy Bernardito i sam zszedł za nim na kamienisty grunt.

Było już ciemno. Daremnie jednak wypatrywałbyś jakiegoś światełka w tym bezludnym miejscu. Tylko daleko, daleko na horyzoncie jaśniał słaby odblask świateł tureckiej stolicy.

„Spójrz mi w twarz, Juanito Prentoz - rzekł Bernardito. - Poznajesz mnie?”

Zdrajca wpatrywał się w surowe oblicze, lecz nie mógł rozpoznać rysów byłego caballero, jakkolwiek domyślał się już, kto przed nim stoi.

„Czy pamiętasz straconego don Ramona, ty parszywy psie?”

Drżąc na całym ciele Juanito wyjąkał, że był przyjacielem nieboszczyka seniora Ramona de Garcia.

„A więc powtórz teraz, potwarco, coś oświadczył przed królewskim prokuratorem, i powiedz, ile zapłacił ci don Salvador za tę nędzną przysługę?”

Juanito padł do nóg mściciela.

„Senior Bernardito! - wołał błagalnie. - Siłą zmuszono mnie do podpisania tego oświadczenia!”

„Łżesz, tchórzliwy psie! Mów, ile ci zapłacono?”

„Tysiąc złotych duros, zaledwie jeden tysiąc!”

„Bracia - zwrócił się Bernardito do swych towarzyszy - na co zasłużył sobie ten judasz?”

„Na śmierć!” - odparł przebrany za kobietę Alonso.

Pozostali w milczeniu skinęli głowami.

„Więc giń, śmierzdzący psie, na tej wyspie psów! Czy znasz to miejsce?”

Juanito dopiero w tej chwili uświadomił sobie, gdzie się znajduje. Już od pewnego czasu dochodziło jego uszu ochryple szczekanie i wycie, teraz zobaczy nawet jakieś szare cienie snujące się dokoła. Ogarnęło go przerażenie. A więc czeka go śmierć na bezludnej Psiej Wyspie, dokąd mieszkańcy Stambułu wywożą chore i stare psy, których muzułmanom nie wolno zabijać! Co jakiś czas przybywają tu łodzie pełne psów i wioślarze w pośpiechu wysadzają je na ląd, by jak najszybciej oddalić się od przeklętego miejsca, gdzie dniem i nocą słychać tylko rozdzierające wycie zdziczałych zwierząt.

Juanito wrzasnął nieludzkim głosem i rzucił się do ucieczki. Bernardito podniósł pistolet i kula zraniła uciekającego w nogę. Następnie bracia zdjęli z Juanita kaftan i beret i pozostawili go samego. Nim wrócili na barcę, cała zgraja zdziczałych psów warcząc rozszarpała już ciało zdrajcy...

Mateo Velmontez, który był tego samego wzrostu co skazaniec i miał podobne włosy, włożył kaftan i beret Juanita i położył się na ławce. Przyjaciele nakryli go płaszczem. Gdy przed świtem przybili do burty „Goliata”, pułkownik z uśmiechem wytłumaczył ojcu, że Juanito wypił trochę za dużo wina. Przyjaciele dźwignęli przebranego Mateo z ławki, podtrzymując go pod rękę, i ten zwiesiwszy głowę dobrnął jakoś do kajuty.

Podniesiono żagle na „Goliacie” i wkrótce światło Złotego Rogu przesłonił spieniony przestwór morza.

W ślad za „Goliatem”, nurzając się w falach, płynęła „Tuluza”. Na jej pokładzie znajdował się tylko „stary szyper”, Cristoforo Velmontez. Jego „majtek” bez trzech palców zdążył się już przedzierzgnąć w służącego pułkownika i był wraz ze swym państwem na okręcie.

Rano, gdy „Goliat” wpłynął na wody morza Marmara, młody Prentoz poprosił ojca do swej kajuty. Byli tu już pułkownik i jego małżonka...

W kilka minut potem Prentoz wezwał do tejże kajuty dowódcę straży okrętowej, składającej się z dwudziestu ludzi. Pod przenikliwym spojrzeniem pułkownika kupiec łamiącym się głosem kazał otworzyć wszystkie trzy ładownie „Goliata”. Drżącą ręką podał klucze dowódcy straży i polecił, aby po wykonaniu rozkazu zgłosił się do niego z dziesięcioma żołnierzami.

„Z bronią?” - spytał dowódca straży.

„Nie, bez broni” - wtrącił pułkownik.

Gdy żołnierze z głośnym tupotem wwalili się do kajuty, pułkownik surowo zganiał za to oficera. Należało bowiem zachować ostrożność.

„Wśród załogi okrętu szykuje się bunt. Trzeba po cichutku wyłapać spiskowców - tłumaczył dowódca straży. - Idźcie do kubryka, wywołujecie marynarzy pojedynczo do ładowni, tam ich wiążcie i układajcie na podłodze.”

Rozkaz został dokładnie wykonany. Wkrótce bosman i wszyscy marynarze, oprócz wachty, byli zamknięci w ładowni na rufie. Następnie pułkownik polecił oficerowi i jego dziesięciu żołnierzom zejść cichutko do środkowej ładowni, przycisnąć się tam i czekać na dalsze rozkazy. Gdy żołnierze zajęli ładownię, pułkownik i jego służący szybko opuścili ciężką klapę luku i założyli na niej ogromną kłódkę. W końcu pułkownik zebrał pozostałych żołnierzy, powiedział im, że w ładowni dziobowej pojawił się przeciek i kazał przesunąć skrzynie z towarami. Ledwie żołnierze wzięli się do roboty, nad ich głowami z łoskotem opadła klapa i szczęknęły zasuwki. Teraz na statku pozostało piętnastu wachtowych, kapitan i jego zastępca.

Pułkownik wszedł na mostek kapitański i powtórzył kapitanowi polecenie Prentoza: natychmiast rzucić żagle, zebrać załogę na baku i wezwać swego zastępcę.

Gdy i ten rozkaz został wykonany, za plecami pułkownika wyrosli jak spod ziemi Antonio, Alonso i Mateo, każdy z pistoletami w obu rękach. Ojciec Simon w tym czasie roztrząsał sumienie Prentozowi i spowiadał go z grzechów.

„Przyjaciele! - zwrócił się pułkownik do zebranych. - Spuśćcie szalupę, wsiadajcie do niej i płyncie do brzegu, co widnieje w oddali. Okręt znajduje się we władzy Jednookiego Diabła, Bernardita Luiza, i za pięć minut wyleci w powietrze!”

Wszyscy osłupieli ze zdumienia. Ani kapitan, ani jego zastępca nie dotknęli nawet rękojeści swych marynarskich kordzików, a innej broni przy sobie nie mieli. Podczas gdy marynarze spuszczali łódź na wodę, Bernardito podszedł do kapitana i wręczył mu jakiś papier i sakiewkę.

„Na swoje usprawiedliwienie proszę wziąć ten dokument, kapitanie. Zaświadczam w nim, że całkowicie spłaciłem stary dług Prentozowi. Ażeby pańscy ludzie nie cierpieli biedy, niech pan rozdzieli, senior, między nich to złoto”.

Następnie przyjaciele wypuścili bosmana i marynarzy z ładowni rufowej i kazali im szybko doganiać pierwszą łódź.

W końcu wypuszczono pojedynczo żołnierzy i dowódcę straży. Gdy już wszyscy zebrali się przy trzeciej, ostatniej łodzi, Bernardito powiedział do nich:

„Słuchajcie, wy, obrońcy chciwego lichwiarza i podłego donosiciela. Wasi dawni chlebodawcy doprowadzili do zguby niewinnego ojca i całą rodzinę mego przyjaciela Alonsa de Las Pados. Być może, iż wśród was są też ludzie przebiegłego corregidora, którzy polowali na Bernardita Luiza i z lubością przyglądali się kaźni szlachetnego Ramona de Garcia. Lecz nie chcę na próżno przelewać krwi swych ziomeków i puszczam was wolno!”

Tymczasem barka Cristofora Velmonteza przybiła do burty „Goliata”. Przyjaciele przeszukali wszystkie ładownie, przenieśli na barkę najcenniejsze towary i zmusiwszy Prentoza do wydania całego posiadanego złota, opuścili okręt. Pozostał na nim tylko Prentoz przywiązany do koi. W prochowni okrętowej tlił już zapalony lont...

W dziesięć minut potem, gdy „Tuluza” prując fale mknęła na zachód, rozerwany wybuchem „Goliat” pograżył się w spienionej morskiej toni. Tylko czarny obłok dymu długo jeszcze snuł się nad wodą.

Barka z pięcioma mścicielami na pokładzie zostawiła za sobą burzliwy Hellespont, wpłynęła na Morze Egejskie, ominęła archipelag i dobiła wreszcie do brzegów Italii, gdzie przyjaciele sprzedali towary Prentoza.

Z Genui udali się do Paryża i Bernardito pozwolił swym towarzyszom na miesiąc pełnego uciech odpoczynku. Tu też wyszukał utalentowanego jubilera i zamówił sobie u niego sztuczne oko, które to zamówienie zostało wykonane przez mistrza francuskiego istotnie z wielkim kunsztem.

W osiem miesięcy później na pokładzie przygodnego okrętu mściciele przybyli do Portugalii i stąd okrężną drogą wrócili do rodzinnego miasteczka Bernardita. Teraz bractwo liczyło już nie pięciu, lecz piętnastu dzielnych kompanów, którzy przystali do Bernardita w Italii, Francji i Hiszpanii. Cały oddział ukrył się w górach, gotując się do nowego zadania. Udało się je szybko wykonać, jako że Bernardito dowiedział się właśnie o wydaleniu matki z granic Hiszpanii. Pewny, że nie grozi jej już niebezpieczeństwo jako zakładniczce, poprowadził swych przyjaciół na nową mścicielską wyprawę, po której postanowił opuścić ziemię hiszpańską i przenieść się na morze...

- Ale ty już chyba zasnąłeś, Lie?... - Nie otrzymawszy odpowiedzi Bernardito pochylił się nad małym. Z rozrzuconymi na poduszce kędziorami chłopiec spał mocnym dziecięcym snem.

Bernardito przestąpił zwiniętego w kłębek Carnero i wyszedł jeszcze raz zajrzeć do chlewika. Na dworze szalał sztorm, ulewny deszcz smagał korony drzew. Przemoknięty do nitki kapitan co prędzej wrócił do chaty. Zamykając drzwi nasłuchiwał chwilę i znów wydało mu się, że w wyciu burzy słyszy jakby daleki, przeciągły jęk.

- Czyżby na wyspie pojawiły się szakale? - mruknął do siebie i wyciągnął się na ławce przykrytej kozłą skórą.

## 5

Wschodzący poranek zastał jeszcze we śnie mieszkańców wyspy. Pierwszy otworzył oczy chłopiec i przypomniawszy sobie nie dokończoną opowieść, zerwał się z posłania. Wstyd mu było, że usnął, teraz nieprędko doczeka się zakończenia tak ciekawej bajki. Nie wiedząc, jak naprawić swój błąd, począł łupać drzazgi na rozpałkę i stukiem obudził Bernardita. Ten spojrzawszy w zmieszana twarz chłopca i od razu wszystko zrozumiał. Przyciągnął go do siebie i powiedział ze śmiechem:

- Bardzo chciałbyś wiedzieć, co było dalej, prawda? No cóż, dokończę ci swoją bajkę. I tak na dworze leje i nigdzie nie można wyjść. Zresztą niewiele zostało do końca. Słuchaj!

...Był ciepły i słoneczny maj tysiąc siedemset czterdziestego trzeciego roku. Akurat dwudziestego dziewiątego maja mijała pierwsza rocznica śmierci młodzietkiej Dolores, siostry Bernardita.

Do Barcelony wrócili już tymczasem marynarze i straż z „Goliata”. Ich opowieści o Jednookim Diablu napełniły strachem serce tchórzliwego corregidora, przerażony zaś don Salvador Morillo de Portez podjął takie kroki dla ochrony swego zamku, że teraz przypominał on raczej oblężoną fortecę.

W przeddzień fatalnej rocznicy, późnym wieczorem, don Salvador siedział w gabinecie i grał w szachy ze swym synem Rodrigo, gdy wszedł szambelan i zameldował, że do bramy zamkowej dobiega się niecierpliwie jakiś jeździec, który podaje się za królewskiego gońca i

przywozi pilny list od jego królewskiej mości.

Don Salvador kazał go natychmiast wprowadzić. Po chwili stanął przed grandem wysoki mężczyzna o wyniosłym czole, przyprószonych siwizną włosach i dumnej postawie, w mundurze oficera gwardii królewskiej. Oddawszy szpadą honor don Salvadorowi wręczył mu wyjęty zza mankietu mały pakiecik z królewską pieczęcią. Don Salvador złamał pieczęć i w świetle świec poznał od razu znany mu, niedbały charakter pisma monarchy. List był pisany własnoręcznie przez króla, co było nowym dowodem wyjątkowej łaski.

Drogocenny dokument głosił, że jego królewska mość, będąc w drodze do Barcelony, chciałby tej nocy zatrzymać się w zamku don Salvadora. Z istic królewską uprzejmością monarcha prosił o gościnę na parę godzin. W swej łaskawości wyraził też życzenie, by poniechano wszelkich ceremonii powitalnych, prosząc jedynie, z uwagi na nocną porę, o wysłanie naprzeciw kilku konnych dla wskazania najkrótszej drogi.

Don Salvador ucałował pismo królewskie i klasnął w dłonie. Po chwili ogromny zamek przypominał mrowisko, do którego ktoś wetknął kij. We wszystkich świecznikach pojawiły się świece, wszędzie trzaskały drzwi, otwierano piwnice, skrzynie i szafy. Goniec don Salvadora natychmiast popędził po corregidora.

„Jego królewska mość wyraził nadzieję, że zastanie waszą miłość w domu, prosił jednakże, by nie zakłócać nocnego spoczynku mieszkańcom miasta - powiedział sucho goniec królewski. - Orszak najjaśniejszego pana dzieła od zamku jeszcze dobre trzy godziny jazdy. Poczekam u bramy na ludzi corregidora i sam ich poprowadzę”.

Nie minęła godzina, gdy przed bramą zamkową zadzwoniły podkowy... Dziesięciu alguacilów i sam senior corregidor na białym koniu oddali honory królewskiemu wysłannikowi. Tymczasem mroczny zamek don Salvadora rozbrzmiał światłem setek pochodni, kolorowych latarni i chińskich lampionów.

Ich blask odbijał się w strugach ogromnej fontanny, drżał na ciemnej zieleni drzew i wspaniałych klombach kwiatowych. Obudzone łabędzie na sadzawkach parkowych unosiły głowy spod śnieżnobiałych skrzydeł, a poruszona przez nie woda skrzywiła się w świetle iluminacji.

Zadowolony z próby, która istotnie wypadła wspaniale, don Salvador kazał na razie pogasić światła i zapalić je dopiero za dwie godziny, po czym wraz z synem Rodrigo przyłączył się do oddziału corregidora. Cała kawalkada z królewskim wysłannikiem na czele wyruszyła na spotkanie najdostojniejszego gościa.

Półtorej godziny galopowali górskimi drogami, nim wreszcie dojrżeli w oddali światła pochodni. Trzy pary białych koni lekko niosły podróżną karetę z królewskimi liliami na drzwiczkach. Towarzyszyło jej pięciu oficerów gwardii. Dwaj z nich cwałowali przed kareta, dwaj po jej bokach i jeden z tyłu. O jakieś sto kroków przed orszakiem jechało dwu ludzi ze służby królewskiej oświetlając drogę pochodniami zatkniętymi wysoko na drzewcach kopii, zamykała zaś orszak niewielka konna świta.

Goniec królewski zbliżył się do karety i złożył meldunek. Wysłuchawszy miłościwej odpowiedzi oficer zwrócił się do don Salvadora.

„Jego królewska mość - powiedział - dziękuje za łaskawe przybycie i zaprasza don Salvadora wraz z synem do zajęcia miejsc w karecie”.

Pozostawiwszy swe wierzchowce pod opieką ludzi królewskich don Salvador i senior Rodrigo z nabożnym przejściem weszli do karety. Gdy tylko drzwiczki zatrasnęły się za nimi, herold dał sygnał i konie ruszyły z kopyta.

W półmroku karety don Salvador zdołał dojrzeć tylko wysoki pióropusz na królewskim kapeluszu. Pochylił się, by ucałować rękę uwielbianego monarchy. Usta granda dotknęły już delikatnych palców królewskich, gdy nagle miłościwie podana do ucałowania dłoń zacisnęła się w żelaznym uchwycie na jego brodzie.

„Zdrada”! - wychrypiął don Salvador, lecz w tejże samej chwili otrzymał silny cios w głowę.

Obok szamotał się charcząc jego syn, którego ktoś przygniatał kolanem do dna karety. Jednocześnie świta królewska z obnażonymi szpadami otoczyła ludzi corregidora i nim zdołali się opamiętać, już leżeli martwi na ziemi. Zręcznie rzucona pętla zacisnęła się na gardle samego corregidora. Następnie wyniesiono z karety skrzepowanych sznurem don Salvadora i jego syna. Podobnie jak corregidora przerzucono ich przez siodła i trzech jeźdźców poprzedzanych przez siwowłosego „gońca królewskiego” pocwałowało z jeńcami w góry, zmierzając do pieczary, w której ongiś Bernardito spotkał się z ojcem Simonem. Reszta „orszaku królewskiego” wraz z kareta podążała dalej swoją drogą. Wreszcie w oddali ukazały się światła zamku. Gdy pozostawało do niego już nie więcej niż pół mili, stangret odwrócił się i zapalił lont prowadzący do wielkiej beczki ukrytej wewnątrz karety. Beczka ta po brzegi wypełniona była artyleryjskim prochem. Ujehawszy jeszcze kawałek stangret ześliznął się z kozła i wskoczył na konia corregidora. Płomyk lontu zbliżał się już do beczki. Towarzyszący karecie jeźdźcy pędzili galopem ponaglając i tak już wściekle rwące konie zaprzęgu. Oto rozbłysły przed nimi, rozsypując się po niebie, różnokolorowe ognie powitalnego fajerwerku. Po drugiej stronie zwodzonego mostu rozwarła się na oścież brama zamkowa, ukazując dziedziniec, na którym ustawiła się szpalerem służba don Salvadora. Czeladź zamkowa wyciągała z ciekawości szyje, gotowa każdej chwili przyjąć konie i rozścielić dywan od stopni karety do paradnego wejścia. Nie dojeżdżając do mostu „świta królewska” spięła wierzchowce i ostro zawróciła w miejscu, podczas gdy zaprzęg wraz z kareta w dzikim pędzie przetoczył się po moście, przemknął pod łukowatym sklepieniem bramy i nie zwalniając biegu wpadł na dziedziniec. Ustawiona szpalerem służba rozbiegła się w popłochu. Oczekujący przed paradnym wejściem miejscowi dostojnicy - a zebrała się tu niemal cała elita miasteczka - ze zdumieniem i niepokojem spoglądali na ten zgoła niezwykły wjazd „jego królewskiej mości”. Tu i tam poczęły się już rozlegać trwożne okrzyki, gdy nagle potworny wybuch wstrząsnął murami zamku. Ogarnięci przerażeniem goście w atlasowych szatach, zbryzganych teraz krwią i okopconych dymem, runęli ku bramie. Lecz ciemność nocy przywitała uciekających strzałami. Miotali się więc po moście, tracąc zabitych i rannych, gdy nad zamkiem wytrysły w górę czerwone języki płomieni. To jeźdźcy, przyskoczywszy do okien zamku i zabudowań, wrzucili do nich zapalone smolne żagwie. Krzyki, jęki rannych, rzenie koni, ryk bydła w objętych ogniem zabudowaniach - wszystko to zlało się w jakąś przerażającą symfonię. Rozszalałe płomienie przyćmiły blask dogasających fajerwerków i iluminacji. Całe miasteczko się obudziło. Jego mieszkańcy biegli na pobliskie wzgórze, by przyjrzeć się największemu pożarowi, jaki kiedykolwiek w życiu widzieli. Z początku przypuszczano, że zamek zapalił się od fajerwerków, gdy nagle ktoś sobie przypomniał, że dokładnie w tym dniu i o tej godzinie zginęła rok temu siostra Bernardita. To przypomnienie od razu przywołało na usta wszystkich imię mściciela. Mieszczanie w popłochu biegli do swych domów i kufrow, pozostawiając własnemu losowi dopalający się w przedrannym mroku zamek. W tym czasie Bernardito z trzema braćmi zmierzał znajomą ścieżką ku pieczarze. Tu też, skończywszy z zamkiem, spieszyli pojedynczo lub małymi grupkami pozostali towarzysze. Tchórzliwy corregidor skamlał o litość. Ze łzami w oczach przypominał Bernardito, że jego matce nie wyrządzono żadnej krzywdy w czasie jej pobytu w więzieniu. „Dlatego też cię nie powieszę, lecz zetnę ci głowę” - powiedział Bernardito. I senior corregidor natychmiast został ścięty. Bernardito podszedł teraz do zmartwiałego ze strachu don Salvadora i głośno, by wszyscy towarzysze mogli go usłyszeć, powiedział: „Sprzedawczyku i zdrajco Hiszpanii, kupczący hiszpańskimi przywilejami, sługusie obcych ciemżycieli, grabieżco rodaków, morderco Dolores i Ramona, w imieniu naszego Bractwa

Mścicieli skazuję cię na śmierć!”

Przyjaciele Bernardita wrzucili don Salvadora i jego syna Rodrigo do zatrutej Pieczary, a wejście do niej zamurowali i zawalili głazami. Straszne musiały być widziadła dręczące okrutnego granda, nim serce mu pękło i zatruta krew zakrzepła w żyłach!

Tak to młody Bernardito, liczący wówczas zaledwie dwadzieścia lat, rozprawił się ze swymi potężnymi wrogami i nasycił żądzą zemsty spalającą jego serce. Swoje krwawe znamię pogrzebał pod wysoką skałą i kazał na niej wyryć następujące słowa:

„Tu spoczywa szlachetny Ramon de Garcia, który zginął niewinnie i został pomszczony przez swego przyjaciela Bernardita Luiz el Gorra”.

A następnej nocy Bernardito w chłopskim przebraniu pojechał na mule do swego rodzinnego miasteczka. Odnalazł piwnicę Pabla Villasa i zapukał w zamknięte okno. Zły, że go wyrwano ze snu, Villas otworzył drzwi i z wielkim zdziwieniem ujrzał przed sobą nieznanego chłopca, który bez słowa wetknął mu w rękę jakieś zawiniątko i natychmiast się oddalił. W zawiniątku tym był przepiękny diament w złotej oprawie, sakiewka pełna dukatów oraz karteczka ze słowami: „Od uratowanego przez ciebie Bernardita”.

Stara Mauretanka już nie żyła, toteż wprost od winiarza Bernardito powrócił w góry.

- Wujku Toby, a co było z nim potem?

- Potem? Zebrał swych braci i oświadczył im, że wyrównał wszystkie długi wobec swych krzywdzicieli, prześladowców i nielicznych dobroczyńców. Powiedział także, że bracia mogą sobie teraz wybrać nowego przywódcę, gdyż on, Bernardito, wstępuje na drogę inną niż zwykły rozbój dla pieniędzy. Bogactwo nie nęciło Jednookiego Diabła. Nieszczęśliwy, ścigany, pozbawiony ojczyzny, rodziny i przyjaciół, postanowił wyruszyć na morze i w miarę swych sił i umiejętności pomagać podobnym jemu, skrzywdzonym niesprawiedliwie, w ściganiu krzywdzicieli i prześladowców.

- I co mu odpowiedzieli bracia?

- Nikt nie odezwał się słowem przeciwko Bernardito... Wszyscy się zgodzili pójść razem z nim i zostać wolnymi korsarzami. Tegoż ranka na pokładzie „Tuluzy” starego Cristofora Bractwo Bernardita na zawsze opuściło Hiszpanię. Niedługo potem udało im się zagarnąć portugalską brygantynę należącą do handlarzy niewolników i... Bernardito rozpoczął nowe życie pirata, które też nie przyniosło mu szczęścia ani radości.

Przeszło dwadzieścia lat żeglował po morzach kapitan Bernardito, zmienił sześć okrętów i stracił do ostatniego wszystkich swych dawnych towarzyszy. Dawno zginęli w krwawych walkach członkowie Bractwa Mścicieli. Nawet szklane oko wybiła mu drzazga przy wybuchu na jednym z okrętów. Jako ostatni zmarł ze starości ojciec Simon. Po prostu usnął przy stole, pozostawiając nie dopitą szklankę słodzonego xeresu.

- A powiedz mi, wujku, czy udawało się Jednookiemu Diabłu pomagać skrzywdzonym i prześladowanym ludziom, jak tego pragnął?

- Ech, synku! Bardzo szybko Bernardito zrozumiał, że prawie cały świat składa się z takich ludzi i że nie korsarstwem należy zwalczać zło, które rządzi światem! Korsarz to bądź co bądź rozbójnik i niejeden z załogi Bernardita więcej myślał o łupach niż o cudzej niedoli... Nie mówmy na razie o tym! Kiedyś przecież wydostaniemy się z tej wyspy, wyrównamy jeszcze jeden stary dług, a wtedy... zobaczymy, być może i nasze siły przydadzą się w jakiejś słusznej sprawie. Zresztą niekiedy i korsarzowi Bernardito zdarzało się pomóc dobrym ludziom w nieszczęściu. Wielu nieszczęsnych niewolników, białych i kolorowych, dzięki niemu odzyskało wolność. Niektórzy z nich na długo pozostali jego przyjaciółmi. Był taki dzielny grecki marynarz z Pireusu, Georgi Karidas... Jednooki uratował go z rąk bezlitosnego tunezyjskiego pirata... Była piękna Zoe... wyrwał ją z rąk handlarzy niewolników... a ona,



synku, pokochała starego Bernardita! Pamiętam też rodaka Bernardita, oddanego mu całą duszą Fernanda Diaza, ocalonego od szubienicy... Trudno spamiętać wszystkich, którzy przewinęli się przez te dwadzieścia lat. A potem... potem Jednooki Diabeł na swoje nieszczęście spotkał i uratował... złoczyńcę!

- Jakiego złoczyńcę, wujku Tobby?

- E, synku, to już inna bajka. Zresztą straszna dziś ulewa, więc i tak musimy siedzieć w domu. Wczoraj właśnie chciałem ci opowiedzieć o Leopardzie. Otóż pewnego razu Jednooki Diabeł płynął na swym czarnym okręcie. Nagle wzrok jego padł na przybrzeżną skałę...

W tej chwili gwałtowny poryw wiatru targnął drzwiami i rozerwał je na oścież. Leżący u progu Carnero cofnął się przed zacinającym deszczem, czujnie nastawił uszy i nagle sierść zjeżyła mu się na grzbiecie. Mieszkańcy chatki wyraźnie usłyszeli dziwny, przeciągły dźwięk i jakby dalekie jęki zlewające się z wyciem wichury. Bernardito zerwał się i chwycił ze ściany sztucer.

- Przecież to głos trąbki sygnałowej i... dzwonu okrętowego! - mruknął. - Że też nie domyśliłem się jeszcze w nocy!...

Szybko narzucił płaszcz z żaglowego płótna, polecił chłopcu siedzieć cichutko i nie rozpalać ognia, sam zaś, schowawszy broń pod płaszcz, skinął na psa i razem z nim wyszedł w burzę i ulewę.

## **W Bękitnej Dolinie**

### **1**

Był rok 1778.... Nad Nowym Światem płonęły łuny wojny wyzwolenczej. Ludność zamorskich kolonii Imperium Brytyjskiego chwyciła za broń, by potwierdzić swe prawo do niezawisłego państwa. Przesiedleńców, którzy opuścili niegdyś Europę i przybyli do Nowego Świata uchodząc przed nędzą i prześladowaniami, zawiodły nadzieje na lepsze jutro. W amerykańskich koloniach Anglii napotkali te same surowe brytyjskie prawa, okrutnych gubernatorów, upadlający system niewolnictwa i przeróżne ograniczenia. W końcu wyczerpała się cierpliwość narodu. Zahartowani w trudach farmerzy, miłujący wolność rzemieślnicy i robotnicy, drobni kupcy, traperzy, czarni niewolnicy z plantacji Wirginii i wolni Murzyni północnych stanów szturmowali brytyjskie porty, zatapiali uzbrojone okręty królewskie, zdobywali miasta, przepędzając brytyjskich gubernatorów. Nad tym bogatym w lasy, jeziora i stepy kontynentem, którego brzegi dopiero trzy wieki temu dojrzał z pokładu swej karaweli śmiały Genueńczyk Krzysztof Kolumb, snuły się dziś dymy wojennej pożogi. Jego królewska mość Jerzy III potrzebował wielu żołnierzy dla zdławienia powstania. Regularnych pułków miała Anglia zbyt mało, toteż za ciężkie funty kupowała mięso armatnie w księstwach niemieckich. Tysiące młodych Niemców z Hesji, Saksonii i Wirtembergii, porzuciwszy pługi i narzędzia pracy, z niechęcią wciągało na siebie brytyjskie mundury. Sprzedani przez swych kurfürstów i herzogów niemieccy wolontariusze zapełniali ładownie angielskich okrętów, by rychło znaleźć za oceanem śmierć od celnych kul powstańczych... Brytyjscy generałowie szukali sojuszników również wśród plemion indiańskich. Zazarte walki na śmierć i życie rozgorzały pod Bostonem i nad Potomakiem, pod Filadelfią i nad rzeką Delaware.

Z wybrzeży Oceanu Atlantyckiego, z dawno już skolonizowanych najstarszych stanów Nowej Anglii, płomień wojny przerzucił się na zachód, w głąb kontynentu, za Appalachy, gdzie z rzadka rozrzucone faktorie i osiedla białych gubiły się wśród dziewiczych lasów. Ziemie te według prawa królewskiego należały do Brytyjskiej Korony i kolonistom w ogóle nie wolno się tu było osiedlać. Prawdę mówiąc zakaz ten niejednokrotnie łamali odważni squatterzy, jak nazywano w Ameryce osadników, którzy samowolnie zajmowali ziemię.

Bo też przebogate były te dziewicze ziemie za Appalachami! Liściaste puszcze i szpilkowe bory pełne zwierzyny łownej i zwierząt futerkowych; głębokie rzeki, gdzie łowiło się ryby tonami; wilgotne, porośnięte bujną trawą łąki i pokryte mchem bagniska - królestwo łosi i jeleni; a w dolnym dorzeczu Ohio i po drugiej stronie Missisipi - nieogarnione morze prerii ze stadami bizonów.

Ta szczodra ziemia hojnie żywiła swych odwiecznych gospodarzy - Indian, i plemiona Algonkinów, Irokezów, Siuksów życzliwie przyjęły białych przybyszów - Francuzów i Hiszpanów, a potem angielskich handlarzy futer.

Ufni jak dzieci, ci synowie lasów i wolnych prerii zapoznali przybywających tu z Kanady Francuzów ze swym krajem. Przeprowadzili ich do Ojca Wód - potężnej rzeki Missisipi - i odślonili przed nimi wszystkie skarby swej ojczyzny. Nauczyli przybyszów hodować nową roślinę - kukurydzę, której ponad dwadzieścia odmian uprawiali Irokezi na swych poletkach wydartych odwiecznej puszczy. Wprowadzili swych białych braci w wiele tajników myślistwa, uczyli ich polować rozumnie i rozważnie, by nie wytępić zwierzyny.

I biali dużo się nauczyli. Zachowali indiańskie nazwy rzek i dolin, jezior i górskich szczytów, lecz równocześnie poczęli bezlitośnie tępić... samych gospodarzy tej ziemi. Drogą krwawej grabieży i przemocy, to znów nikczemnym podstępem zagarniali ogromne tereny. Anglik

William Penn nabrał ufnych i uczciwych Indian „nabywając” całą Pensylwanię za kilkadziesiąt dolarów, która to „transakcja” w zupełności uspokoiła jego kwakerskie sumienie. A holenderski kupczyk Minuit „kupił” całą wyspę Manhattan płacąc Indianom towarem wartości... dwudziestu czterech dolarów! Za tę cenę uzyskał czterdzieści dwa tysiące akrów ziemi, na której potem wyrosło miasto New York.

Lecz nawet i takie „transakcje” należały do rzadkości. Plemiona Algonkinów, zamieszkujące wybrzeża Wielkiej Słonej Wody - Oceanu Atlantyckiego, z początkiem XVIII w. zostały po prostu wytepione, a ich niedobitki wyparte za Appalachy.

W czasach, w których rozgrywa się akcja tej powieści, biali koloniści, posuwając się wciąż na zachód, zagarniali już tu i tam nowe indiańskie ziemie po drugiej stronie Appalachów. Handlarze futer rozpijali Indian rumem i kupowali od nich za bezcen „miękkie złoto” osiągając przy tym bajeczne zyski. W ślad za kupcami podążali obłudni misjonarze, za nimi zaś nieodłączne wojsko. Obok pierwszych osiedli i faktorii handlowych w lasach i nad jeziorami powstawały nieduże, budowane z grubych bierwion wojskowe forty...

...W Błękitnej Dolinie, leżącej w dolnym dorzeczu Ohio, wyrąbywano wiekowy las. Biali osadnicy pracowali pod dozorem żołnierzy w czerwonych mundurach. Szmer listowia zagłuszał różne uderzenia toporów i ostry zgrzyt pił. Pyszne korony podciętych jesionów, dębów, klonów i świerków waliły się ze świstem na ziemię. Konie farmerów wlokły po lesistych stokach ogromne kłody w dolinę Błękitnego Potoku, na brzeg Srebrnej Rzeki.

Łączyła ona swe jasne, istotnie srebrzyste wody z czystym nurtem Wabashu, dolnego dopływu wielkiej rzeki Ohio. Na stromym brzegu, w miejscu gdzie Błękitny Potok wpada do Srebrnej Rzeki, powstawała nowa, zupełnie w tych stronach nie znana budowla...

Ku rzece schodził łańcuch niewysokich łagodnych wzgórz, by na samym jej brzegu, jakby w ostatnim wysiłku, wystrzelić w niebo samotną stromą górą. Na tym to właśnie najwyższym wzgórzu, panującym nad całą okolicą, spieszenie wznoszono fort. Z płaskiego szczytu na wszystkie strony otwierał się widok na niezmierzone obszary puszczy, ciągnącej się też daleko na zachód, gdzie o trzysta mil stąd toczyła swe wody potężna Missisipi, za którą rozpościerał się zielony ocean prerii.

U stóp wzgórza, nad brzegiem Błękitnego Potoku, ukryte w zacisznej zieleni stały świeżo wzniesione domy mieszkalne niedużej osady białych, którzy zjawili się tu kilka lat temu.

Nie opodal wznoszonego fortu popędzani przez żołnierzy osadnicy wyładowywali barękę rzeczną. Na przybrzeżnym piasku widać było głębokie ślady kół kilku armat sprowadzonych do fortu. Przy strzelnicach w dębowej palisadzie artylerzyści ustawiali lufy armatnie na ciężkich lawetach.

Ku wzgórzu, na którym budowano fort, podjechał jakiś jeździec w szerokoskrzydłym kapeluszu i luźnej bluzie. Kary, dopiero od niedawna ujeżdżony mustang łysnął ognistym okiem na angielskiego oficera dragonów, stojącego z trójgraniastym kapeluszem w ręce przy mostku przerzuconym przez świeżo wykopaną fosę.

- Pańscy żołnierze, kapitanie - zwrócił się do niego jeździec - rozbierają zręby nie wykończonych jeszcze domów naszych farmerów, jakby nie było tu dość drzewa. Proszę, aby ukrócił pan tę samowolę.

- Moi żołnierze, mister Murray, mają rozkaz gubernatora sir Hamiltona skończyć w ciągu trzech tygodni budowę fortu w Błękitnej Dolinie. Jest wojna. Biorę wszystko, co mi potrzeba.

- Jeśli pana dobrze zrozumiałem, kapitanie Burns, nie uznaje pan prawa poszanowania cudzej własności i cudzej pracy. Zapomina pan, że ludzie w dolinie nie są pańskimi niewolnikami!

- Postępuję tak, jak uważam za stosowne. Osiedliliście się tu samowolnie i bezprawnie zajęliście ziemie Brytyjskiej Korony. Toteż jeśli zajdzie potrzeba, każę nie tylko rozbierać domy dla naszych warownych strażnic ale i wysiedlić stąd tych ludzi.

- Kapitanie, nadużywa pan cierpliwości spokojnych farmerów. Zmusił ich pan do przerwania robót polnych, skonfiskował konie dla waszych potrzeb, żołnierze panoszą się w osadzie.

Muszę panu z całą powagą oświadczyć, że takie postępowanie nie przyczynia się do zwiększenia sympatii dla armii królewskiej nawet wśród nas, neutralnych Amerykanów.

- Mister Murray, ja z kolei z całą stanowczością wypraszam sobie podobny ton. Nie wiem, co to znaczy „Amerykanie”! Znam tylko zamorskich kolonistów różnej maści, którzy bez względu na to, czy biorą udział w buncie, czy zachowują neutralność, nie przestają być poddanymi jego królewskiej mości. Buntowników czeka szubienica, panu zaś, jak i wszystkim innym squatterom, radzę nie wtrącać się do zarządzeń angielskiego dowództwa. Sierzancie Lins! - zawołał oficer zwracając się do kogoś w górze. - Co tam bieleje na rzece?

- Jakiś żaglowy statek zbliża się do ujścia, panie kapitanie - odpowiedział ze szczytu wzgórza rudy, wąsaty sierżant obserwator.

Wezwijcie do mnie porucznika Sheltona - rozkazał komendant fortu i ruszył ku rzece nie zwracając więcej uwagi na jeźdźca.

Hamując gniew Murray zawrócił wierzchowca i pogalopował w stronę osady. Pokonawszy niewielkie wzniesienie zatrzymał się przed piętrowym drewnianym domem, zeskoczył z konia i wszedł na werandę oplecioną młodymi, wątlymi jeszcze pędami dzikiego wina.

- Emmy! - zawołał od progu. - Na rzece widać żagiel. Jedziemy prędko, twój koń już osiodłany!

## 2

Dwoje jeźdźców klusem spieszyło naprzeciw płynącego w górę Srebrnej Rzeki statku. Obok karego mustanga Murraya harcował pod damskim siodłem długogrzywy hiszpański bułanek. Wiatr rozwiewał granatową amazonkę kobiety, ciężkie jedwabne fałdy z szelestem ślizgały się po końskim zadzie.

Duża dwużaglowa barka rzeczna zbliżyła się już na tyle, że widać było długie, migające wiosła. Ktoś stojący na dachu nadbudówki wymachiwał na powitanie kapeluszem. Ujrawszy jeźdźców sternik skierował barkę do brzegu. Zazgrzytały muszelki i zwir pod dnem statku. Kilku niecierpliwych pasażerów zeskoczyło na piasek, jeszcze nim przerzucono mostek z barki na brzeg.

- Witam was, moi kochani, witam w Błękitnej Dolinie! - mówił ze wzruszeniem Murray ściskając ręce młodemu dzentelmenowi w marynarskiej kurtce i jego towarzysze, ładniutkiej lady w białym szalu. - Drogi Edwardzie, pani Mary, nareszcie się was doczekaliśmy! Dzięki Bogu, jesteście już w domu... Ale nie widzę seniorzy Estrelli i małego Diego. Czy aby są zdrowi? Jak znieśli tę trudną podróż?

- Świetnie! Obeszło się bez przygód... - odpowiedział Edward Went. - Wszyscy są zdrowi. Seniora jest u siebie w kajucie, jeśli można tak nazwać nasze klitki na barce... A mały Diego, nie mogąc się doczekać Błękitnej Doliny, usnął przed samym przybyciem. Chodźmy na barkę, lady Emily, przedstawię panią seniorze Luiz el Gorra.

Gdy Emily, schylając głowę, zeszła po dwóch stopniach do maleńkiej kajuty, ujrzała starą Hiszpankę o czarnych, przenikliwie patrzących oczach. Staruszka uniosła pomarszczoną rękę z bursztynowym różańcem okręconym podwójnie wokół przegubu, uczyniła w powietrzu znak krzyża i podprowadziła lady do ławki nakrytej starym płaszczem. W półmroku kajuty Emily dojrzała śpiącego chłopca lat około dziesięciu. Długie rzęsy ocieniały bladą, wąską twarz.

- Nasz Diego... Diego Dolores Ramon seniorito Luiz el Gorra - szeptem wypowiedziała staruszka bynajmniej niepełne imię małego Hiszpana, syna sławnego korsarza pogrzebanego na dalekiej wyspie.

Wraz z Wentem przybył również były marsowy z brygu „Orion”, wesoly, bystrooki Dick Mills, który w żaden sposób nie mógł zapomnieć - choć już upłynęło pięć lat od wyprawy na

wyspę - czarnych oczu mademoiselle Kamili Leblanc, pokojówki lady Emily.

Gdy znów znaleźli się na brzegu, Edward Went podprowadził do damy w amazonce piętnastoletniego chłopca z piegowatym nosem i szelmowskimi oczami.

- Czy przypomina sobie pani, lady Emily, tego bultończyka? - spytał.

- O, tak niewiele miałam w Anglii przyjaciół, że nie mogłabym zapomnieć szanownego Thomasa Bingle'a. Witam, mister Thomas! Jak się miewa mamselle Mixy?

- Mamselle Mixy czuje się doskonale, chociaż jest na uwięzi - odpowiedział za chłopca Edward Went. - Ta mała diablica sprawia nam masę kłopotów, lecz oddała nieocenione usługi w poszukiwaniach seniora Estrelli i małego Diego...

Podczas gdy lady Emily ścisnęła znowu swą przyjaciółkę Mary, żonę Edwarda Wenta, i ich trzyletnią córeczkę, mężczyźni odeszli na bok.

- Otóż, jak pan widzi, mister Murray, doprowadziłem do celu swą arkę nie tylko w całości, ale i bez szczególnych przygód... Mogło być gorzej. Wojna! Naturalnie, że na pustych wodach Missisipi tak bardzo się jej nie odczuwa, jakkolwiek zdarzały się nieprzyjemne spotkania... Lecz i tu widzę żołnierzy? Nic mi pan o nich nie pisał.

- Niedawno przybyło tu pół kompanii królewskich dragonów. Dowodzi nimi prostak i gbur, niejaki kapitan Burns... Przesłał ich tu gubernator wojskowy dla budowy fortu i nadzoru nad osadnikami. Bo nie bez powodu dopatrują się oni w nas, tutejszych pionierach, swoich wrogów... Na razie staramy się utrzymać ich w przekonaniu, że zachowujemy neutralność. Inaczej nie można - wojska generała Washingtona są zbyt daleko. Walki toczą się we wschodnich, od dawna zagospodarowanych stanach, lecz chodzą słuchy, że do zimy powstańcy dotrą tutaj.

- Ach tak. A sąsiadów macie? Myślę o białych.

- Faktorie w lasach i kilka angielskich fortów... Dawniej były to forty francuskie, ale w roku sześćdziesiątym trzecim przeszły w ręce Anglików. Najbliższa osada to Vincennes, nad rzeką Wabash, nieco powyżej miejsca, gdzie nasza piękna Srebrna Rzeka wpada do Wabashu.

- Też należą do Anglików?

- Vincennes? Teraz tak, lecz większość mieszkańców to Francuzi. Nie jest to nowa osada, ma już z pięćdziesiąt lat. Pierwsza duża faktoria w tych stronach. Zbudowano tam również fort i to dość silny. Załogę stanowią królewscy dragoni, takie same nieokrzesane gbury jak nasi. Zresztą o tych wszystkich sprawach pomówimy potem, w domu, gdy odpoczniecie po podróży.

### 3

Niebawem gościnny dom Murraya napełnił się gwarem, okrzykami dzieci i brzękiem naczyń. Po obiedzie, który przeszedł w wesołym nastroju, pan domu - pozostawiwszy damy w towarzystwie swego przyjaciela, francuskiego pioniera monsieur Maurice Villiera - poprosił Wenta na górę, do gabinetu.

Ciemna dębowa boazeria pokrywająca ściany do dwóch trzecich wysokości upodabiała ten pokój do dużej kajuty okrętowej. Na półkach ustawione były dzieła współczesnych francuskich i angielskich autorów, najbardziej dociekliwych umysłów owej wspaniałej i pełnej sprzeczności epoki. Na dwóch przeciwległych ścianach - portret Emily i kopia Madonny Sykstyńskiej Rafaela, na ciemnoczerwonym zaś dywanie, nad kanapą pokrytą niedźwiedzimi skórami - dwie skrzyżowane myśliwskie strzelby.

Wierzchołki młodych drzew sięgały już do okien na piętrze. Wpadając z ogrodu lekki wietrzyk poruszał firankami w szeroko otwartych oknach.

- Wcale nieźle jak na pierwotną puszcę! - zawołał Went, - Jak się panu udało stworzyć tutaj taki rajski zakątek?

- Pamięta pan z naszych dawniejszych rozmów, Edwardzie, że nieśmiertelna idea Rousseau sprawiedliwej społeczności ludzkiej, żyjącej na łonie wolnej natury i na zasadzie równości wszystkich ludzi, była zawsze bardzo bliska mojemu sercu. Nie uznaję bezpłodnych marzeń i od dawna postawiłem sobie za cel wcielić w życie tę ideę mego wielkiego nauczyciela. Doświadczenie życiowe nabyte w dżungli indyjskiej i na wiadomej panu dalekiej wyspie umocniło mnie w tym postanowieniu i wiele nauczyło. Wszystko, co pan zobaczy w naszej osadzie, to rezultat pracowitości, wzajemnej pomocy i wspólnych wysiłków.

Zapadał coraz głębszy zmierzch. Mężczyźni przysunęli wyplatane fotele bliżej tradycyjnego angielskiego kominka z żółtego ciosanego kamienia, przed którym leżała ogromna wilcza skóra. Gospodarz wyjął z szafki butelkę wina i podpałił drzewo w kominku.

- Dlaczego wybrał pan tę właśnie dolinę, Alfredzie, i jak pan tu trafił? - spytał Went.

- Błękitną Dolinę odkryli francuscy osadnicy z Vincennes. Dowiedziałem się a niej od mego przyjaciela Maurice Villiera, w którego domu spędziliśmy pierwsze cztery miesiące po przybyciu do Nowego Orleanu. W lipcu siedemdziesiątego trzeciego roku służący Emily, nasz poczciwy wielkolud Samuel Hopkins, przywiózł nam z Anglii dokumenty rozwodowe, list starego Williama Thompsona i mnóstwo rzeczy potrzebnych w gospodarstwie. Z końcem lipca byliśmy już z Emmy po ślubie i natychmiast wyruszyliśmy w górę Missisipi, by rozpocząć nowe życie w Błękitnej Dolinie. Monsieur Villier z żoną, szwedzki lekarz-emigrant Niels Wahlner, kilku znakomitych myśliwych i farmerów z rodzinami - oto wszyscy biali uczestnicy naszej wyprawy.

- A inni?

- Reszta to wykupieni z niewoli Murzyni. Tam, w Nowym Orleanie, ja i Emmy po raz pierwszy ujrzeliśmy na własne oczy straszliwy obraz targu niewolników... Zaczęło się od tego, że zobaczyłem ogromne ogłoszenie: „Sprzedajemy zdrowych, niedawno dostarczonych z Afryki Murzynów, którzy przebyli już ospę. Ceny przystępne, na kobiety z dziećmi - bardzo niskie! Towar wcześniej do obejrzenia na pokładzie «Glorii!»...” Pan rozumie, Edwardzie, to był okręt... sir Fredericka Rilanda!

- Tak, handel niewolnikami dał finansowe podstawy Kompanii Północno-brytyjskiej... A więc pan, mister Murray...

- ...Wykupiłem u agentów Grellego dwadzieścia osób i darowałem im wolność ku wielkiemu zgorszeniu monsieur Villiera. Jako człowiek miejscowy tak jak przywykł do widoku sprzedaży ludzi, że uznał nasz postępek za szaleństwo. Ci czarni to były naiwne dzieci natury, zastraszone i bezradne. Błagali, by nie zostawiać ich w Luizjanie i zabrać ze sobą. Zawarliśmy więc z nimi kontrakt, dając każdemu wynagrodzenie, i przyjęliśmy ich jako wioślarzy na nasze barki. Płynęliśmy blisko trzy miesiące. Nie potrzebuję panu opowiadać o trudach tej drogi... Sam ich pan doświadczył! Późną jesienią siedemdziesiątego trzeciego roku wykarczowaliśmy szmat lasu na brzegu rzeki i zbudowaliśmy sobie dom w Błękitnej Dolinie. Pierwszym nowo narodzonym w osadzie był mój syn Reginald. W roku później urodziła się Jenny...

Murray uśmiechnął się wyciągając nad ogniem ręce - ręce marynarza, cieśli i myśliwego. Poprawił szczypcami ogień w kominku i ciągnął dalej:

- Wiosną siedemdziesiątego czwartego roku podjąłem wyprawę w górę rzeki Ohio, przeszedłem na drugą stronę Appalachów i korzystnie sprzedałem w Bostonie partię futer zakupionych przez monsieur Villiera u Indian Seneca. Stamtąd też wysłałem listy do Bultonu, do pana i starego Thompsona. Przebywszy w ciągu czterech miesięcy ponad dwa tysiące mil na łodziach i konno, przy pomocy indiańskich przewodników, wróciłem tu z nową grupą squatterów, ludzi świeżo przybyłych z Anglii, Francji i Skandynawii. Większość z nich stanowili niewolnicy zbiegli od swych okrutnych panów.

- Biali niewolnicy? Nie bardzo rozumiem...

- Widzi pan, i do tego pojęcia przywyknie pan w Ameryce. Ci, co przybyli ze mną, to

poczciwi chłopscy synowie, przeważnie Anglicy... Żadnemu z nich nawet się nie śniło porzucać ojczyzny, ale konieczność ich do tego zmusiła! Landlord przepędził chłopów z dzierżawionych przez nich skrawków ziemi, zagarnął je przemocą i zamiast ludzi wpuścił tam owce...

- Tak samo było w Chancefieldzie, to dla mnie nic nowego.

- Pozbawionym ziemi ludziom pozostała tylko torba żebracza... Ale zna pan angielskie ustawy o włóczęgostwie - grożą za to plagi, więzienie, a nawet stryżek! Cóż więc ma począć biedny człowiek? Jedyne dla niego wyjście to - ziemia obiecana, Ameryka. Lecz jak się tam dostać? Przejazd kosztuje dziesiątki funtów szterlingów. I tu właśnie wkracza agent werbunkowy... Bardzo często zajmują się tą profesją kapitanowie angielskich okrętów. Propozycja jest prosta: ja cię przewiozę do Ameryki, a ty za to odpracujesz, powiedzmy siedem lat na amerykańskich plantacjach, w kopalni lub warsztacie. Nie mając wyboru, biedak podpisuje umowę - i staje się niewolnikiem. Za próbę ucieczki - śmierć!

- A... po upływie tych siedmiu lat?

- Rzadko kto je przetrzyma. Chlebodawca stara się w tym terminie wycisnąć z robotnika możliwie najwięcej. Traktuje się go o wiele gorzej niż bydło. Bo przecież bydło na zawsze pozostaje w gospodarstwie.

- I pan zaryzykował pomoc tym ludziom, Murray? Nie obawiał się pan pogoni?

- Pomogli nam Indianie. Tajemnymi ścieżkami przeprowadzili nas przez Appalachy, omijając fort Pitta.

- A gdyby was schwytano?

- No cóż, uzbroiłem jako tako tych zbiegów, nie daliby się wziąć żywcem. Lecz, jak pan widzi, wszystko skończyło się szczęśliwie. I teraz w tej błogosławionej głuszy wspólnie budujemy nowe życie.

- A Murzyni? Czy też przystosowali się do nowych warunków?

- O, ci ze swą umiejętnością podporządkowania sobie dziewiczej przyrody okazali się nieocenionymi pomocnikami i wiernymi przyjaciółmi. Żyją wśród nas jako ludzie wolni i równouprawnieni. Trzeba widzieć, jak wzorowo gospodarzą na swych farmach! Nawiasem mówiąc jedno Murzyniátko, któremu jeszcze w Afryce handlarze zastrzelili dziadka i babkę, ani rusz nie chciało odejść ode mnie, no i zostało w moim domu. Sprytny chłopaczek, ale jeszcze dziś wzdryga się cały na najdalszy nawet odgłos wystrzału.

- A jak się zachowują wobec was czerwonoskórzy sąsiedzi?

- Handlujemy z nimi, kupujemy od nich futra. Przyjeżdżają tu czasem z fajką pokoju wodzowie sąsiednich plemion. A niedawno byłem zaproszony przez plemię Kiowa-Siuks na polowanie na bizona po drugiej stronie Missisipi. Futra kupujemy u algonkińskich plemion Shawnee i Miami. Handlujemy również z Irokezami-Seneca... Zbrojnych starc z Indianami dotąd, dzięki Bogu, nie mieliśmy. Nie wolno jednak zapominać o smutnym losie mieszkańców Vincennes w czasie powstania Pontiaka. Indianie zdobyli wtedy szturmem Vincennes i jak to oni mówią - „ozdobili swe pasy skalpami białych twarzy”.

- Dawno to było?

- Piętnaście lat temu, w sześćdziesiątym trzecim roku. Wtedy to indiański wódz Pontiac zdobył wszystkie angielskie forty. Oparło mu się tylko Detroit...

- Pontiac, wódz Wyandotów? Pamiętam, że za czasów mego dzieciństwa pisały o nim nawet bultońskie gazety. Czytałem to z wielkim przejęciem!

- Drogi panie Went, nie napisano o nim jeszcze całej prawdy. Ale wdzięczna pamięć o nim trwa w indiańskich legendach... Był to, jeśli chce pan wiedzieć, indiański Spartakus! Z tą chyba różnicą, że Indianie nigdy nie byli i nie będą niewolnikami - zbyt wiele mają w sobie poczucia godności osobistej, umiłowania wolności i nieugiętej dumy... Po tym, jak Anglicy zawarli pokój z Pontiakiem w zdradziecki sposób go zamordowali, Indianie nie wierzą białym i my też naturalnie musimy się mieć na baczności. Taka jest nasza nowa ojczyzna,

drogi Edwardzie!... A teraz, myślę, zaprosimy tu nasze panie - chciałbym, aby Emily też posłuchała pańskiego opowiadania.

Po chwili na schodach zaszeleściły damskie suknie. Do gabinetu weszły Emily i Mary prowadząc pod rękę sędziwą Hiszpankę w koronkowej mantyli. Murray sadowił starszą na honorowym miejscu, w fotelu przy kominku, młode damy siadły na kanapie zakrywając ją całkowicie szeleszczącymi falami muślinu i koronek.

- Drogie panie, za chwilę usłyszemy opowieść o niezwykłych przygodach mister Wenta. Teraz, gdy wszelkie niebezpieczeństwo jest już poza nim, nasza miła Mary może jej wysłuchać bez obawy o los męża. Jestem szczęśliwy, że i seniora Luiz el Gorra, matka mego najbliższego przyjaciela, znajduje się wśród nas i że cała nasza bratnia rodzina w Błękitnej Dolinie razem z nią troszczyć się będzie o małego Diega... Mister Went przywiózł także sekretną przesyłkę od starego Thompsona... Niech ją pan wreszcie pokaże, Edwardzie!

Edward Went wyjął z kieszeni marynarskiej bluzy niewielki pakiecik i z ukłonem wręczył go lady Emily. Zdjąwszy ze ściany sztylet lady rozpruła czerwony turecki safian, którym była obszyta przesyłka. Wszyscy patrzyli z zainteresowaniem, jedna tylko seniora Estrella odwróciła wzrok.

Emily wydobyła z safianu małą szkatułkę z cyprysowego drzewa, pokrytą kunsztowną inkrustacją. Pewno jakiś mnich z klasztoru na górze Atos musiał się trudzić, i to długo, nad tym cackiem! Młoda kobieta otworzyła szkatułkę... Ze środka wypadł list. Wszyscy wstrzymali oddech.

Lady szybko przebiegła wzrokiem list i podała go razem ze szkatułką mężowi.

- Przeczytaj głośno, Fred - rzekła zdławionym głosem. - Niech nasi przyjaciele usłyszą, co pisze do mnie Fernando Diaz!

I Murray na głos odczytał list nieżyjącego Fernanda:

### **„Czcigodna Lady Emily!**

*Po przybyciu do Pireusu powtórzyłem seniorze Estrelli Luiz ze wszystkimi szczegółami naszą rozmowę w chancefieldzkim zagajniku i oddałem jej Pani wielkoduszny podarunek. Jak już Pani zapewne wiadomo, natrafiłem dzięki Jej pomocy na ślad kamienia przeznaczonego dla seniorzy Estrelli i odebrałem go w Bulionie z rąk pacholków pirata Giacoma Grellego, mojego śmiertelnego wroga, w którego władzy i Pani się znajduje, a który przywłaszczył sobie drogą oszustwa tytuł i posiadłość wicehrabiego Chancefieldu.*

*Tymczasem położenie seniorzy Luiz zmieniło się, dzięki Bogu, na lepsze. Nieoczekiwanie przyszedł jej z pomocą dawny grecki marynarz, a dziś kupiec, Georgi Karidas, gdy się dowiedział, że seniora jest matką jego dawnego kapitana, któremu zawdzięczał nie tylko wolność, ale i swój obecny dorobek. Pomoc Georgi Karidasa, łącznie z przesłanym przez Panią złotem, całkowicie zapewni seniorze spokojną starość...*

*Pragnąc dać wyraz swej wdzięczności za wielką życzliwość, okazaną przez ranią rodzinie nieżyjącego kapitana, oraz uznaniu dla Jej męstwa w samotnej walce z jego podstępny wrogiem, seniora Luiz el Gorra prosi, by zechciała Pani Przyjąć ten kamień jako dar od jej syna, kapitana Bernardita. Ja ze swej strony podejmuję się dostarczyć go do Anglii.*

*Niech Bóg ma Panią w swej opiece, piękna, szlachetna senioro!*

**Oddany Fernando Diaz**

**Pireus, 28 stycznia 1773 roku.”**

Emily Murray podniosła się z kanapy i podeszła do starej Hiszpanki. Seniora Estrella siedziała zgarbiona patrząc w ogień. Emily osunęła się na wilczą skórę u jej stóp i ucałowała



pomarszczoną rękę z różańcem na przegubie. Staruszka przeżegnała młodą kobietę i ucałowała w czoło. Nikt nie śmiał naruszyć milczenia. Tylko ogień cicho trząsał w kominku...

Na dnie cyprysowej szkatułki, wyścielonej czarnym aksamitem, leżał zamszowy woreczek. Murray otworzył go i w świetle kominka zaskrzył się wszystkimi kolorami tęczy cudowny diament.

- Piękny jest ten kamień - przerwał milczenie Murray - i drogocenny, lecz jeszcze cenniejsze są serca, które biły w piersi takich ludzi, jak Fernando i Bernardito! Bolesna jest myśl, że w naszym niesprawiedliwym świecie serca te nie znalazły innej drogi prócz buntu i korsarstwa... A teraz, Edwardzie, gotów jesteśmy choćby do rana słuchać pańskiej opowieści.

#### 4

- No cóż, moi państwo, zacznę chyba od tego, że jeszcze na wyspie w przeddzień odpłynięcia „Oriona”, zrobiłem małe odkrycie, które w pierwszej chwili wprowadziło mnie w zdumienie. Pamięta pan, mister Murray, ten moment, gdy łodzie odbijały już od brzegu z ładunkiem wydobytym z ukrycia wśród skał. Wtedy to na piaszczystej mierzei natknąłem się na zardzewiałą kotwicę z na wpół zatartym napisem „Ophir”. Domyśliłem się, że zagarnięta przez piratów brygantyna nie została zatopiona w walce, lecz ukryła się u wybrzeży wyspy. Poza tym ładunek był zbyt wielki, by mógł się zmieścić na malutkiej tratwie, na której jakoby uratował się mister Murray. Zrozumiałem, że dziennik starego Mortona, ojca mojej Mary, zmienia fakty lub też przemilcza jakąś ważną tajemnicę. Nie było w nim przecież ani słowa o tym, by „Ophir” dotarł do wyspy!... Zajęty innymi sprawami nie zaprzętałem sobie więcej głowy tą zagadką aż do dnia, gdy stary bultoński adwokat William Thompson w największym sekrecie odsłonił przede mną ponurą tajemnicę Chancefieldu...

Pamiętam, wróciłem wtedy późnym wieczorem do Chancefieldu, cały pod wrażeniem tego, co usłyszałem. Nasza roczna podówczas córeczka spała w kołysce obok łóżka matki. Zacząłem mówić tak straszliwym szeptem, że biedna Mary wyskoczyła z łóżka, potknęła się o kołyskę i obudziła dziecko. Mała rozplakała się, żona tuliła ją do siebie i to mnie przywiodło do opamiętania.

Powtórzyłem Mary bez ogródek wszystko, co usłyszałem od Thompsonów, nie przemilczając również roli jej ojca. Mary natychmiast zaczęła pakować rzeczy i ubierać dziecko. Poblądła z wrażenia oświadczyła stanowczo, że opuszcza ten dom na zawsze. Rano przenieśliśmy się do hotelu „Biały Niedźwiedź”, a Mary posłała list do Thomasa Mortona:

*„Ojcze! Ja i mój mąż dowiedzieliśmy się całej prawdy, którą haniebnie sfalszowałeś w swym dzienniku. Opuszczamy na zawsze Chancefield. Żegnaj*

*Mary”*

Bezwzględnie udałem się do kapitana Brantleya i zażądałem zwolnienia tak stanowczym tonem, że od razu je uzyskałem. Brantley zrozumiał, że zaszło coś poważnego, i nie próbował mnie nawet przekonywać. Nieszczęsny Morton, otrzymawszy list córki, nie miał odwagi nas szukać. Więcej go nie widzieliśmy, podobnie jak i Grellego... Zawiozłem rodzinę do Francji, wynająłem domek w okolicach Rouen, a sam udałem się konno przez całą Francję do Tulonu, aby przy pierwszej nadarzającej się okazji odpłynąć do Pireusu. Gnał mnie tam, jak się państwo na pewno domyślicie, niepokój o najbliższych kapitana Bernardita.

Went zamilkł i wyjął z kieszeni pustą fajkę. Gdy znów sięgnął do kieszeni po tytoń, Murray powstrzymał go, podając mu piękny skórzany kapciuch, zdobny indiańskim ornamentem wyszytym czerwonymi paciorkami - podarunek wodza plemienia Shawnee, Górskiego Orła.

Went z zainteresowaniem przyjrzał się ornamentowi i wolno nabił fajkę. Zapalił ją węgielkiem wyjętym z kominka i wypuścił pod sufit kółeczko aromatycznego dymu.

- Świetny tytoń! - oświadczył! - Nie gorszy od tureckiego i mocniejszy! Widzę, że pańscy przyjaciele Indianie znają się na rzeczy!... A więc, moi państwo, nie będę tu wdawał się w szczegóły, jakim sposobem samozwańczy wicehrabia dowiedział się o tym, że w Pireusie żyje synek kapitana Bernardita. Był to po prostu przypadek. Moja Mary w przystępie szczerości opowiedziała o nim ojcu, a ten natychmiast doniósł o wszystkim Grellemu.

Wiadomość ta mocno poruszyła tego łotra. Widział w chłopcu przyszłego mściciela, który na pewno wiedział od Fernanda Diaza, czyje ręce splamione są krwią Bernardita.

Odbył naradę z Pattersonem, a ten na nasze szczęście wygadał się przed Thompsonami, jakie kroki zamierza podjąć Grelli. Oczywiście, postanowił on zastosować swoją zwykłą metodę: wysłać do Pireusu swego zausznika Caracciola, który miał odszukać i zabić chłopca. Proszę mi wybaczyć, seniora, że tak bez obłonek mówię o tych strasznych sprawach. Powiedzieli mi o tym Thompsonowie, gdy usłyszeli ode mnie, że mam zamiar szukać szczęścia w Błękitnej Dolinie. Życzyli mi powodzenia, prosili o doręczenie lady Emily przesyłki od Fernanda Diaza i radzili, abym się pospieszył z wyjazdem do Pireusu, jeśli biorę sobie do serca los małego Diega. Już dawno, jeszcze w listach z Anglii, przyrzekłem panu, mister Murray, odnaleźć chłopca i przywieźć go do Błękitnej Doliny, lecz przez długi czas nie mogłem się dowiedzieć adresu seniora Estrelli w Pireusie. Otrzymawszy z rąk Thompsonów pakiecik od Fernanda, ku mej radości zobaczyłem ten adres na kopercie. Na szczęście nie znali go agenci Grellego.

Przybywszy do Pireusu przede wszystkim rozejrzałem się w porcie. Trwoga ścisnęła mi serce, gdy zobaczyłem znajomą sylwetkę „Fortuny”. Okazało się jednak, że szkuner Caraccioli dopiero wczoraj rzucił kotwicę w Pireusie, i to mnie trochę uspokoiło. Przeszedłem szybko obok, szczęśliwie nie rozpoznany przez nikogo z załogi, i udałem się do miasta położonego na stokach gór.

Seniora Estrella na pewno o wiele lepiej ode mnie może opisać ten malowniczy port prastarej stolicy Hellady, jęczącej dziś pod okrutnym jarzmem tureckim.

O tym, gdzie mam szukać domu kupca Karidasa, dowiedziałem się jeszcze w Porcie od urzędnika policji.

Dom ten znajdował się daleko od portu, przy drodze do Aten. Pojechałem tam już pod wieczór w wynajętym faetonie. Ma się rozumieć, że po drodze z nabożeństwem przyglądałem się szczątkom „długich murów” i w każdy stłuczonym czerepie skłonny byłem dopatrywać się zabytku z epoki Peryklesa. Mimo to zwróciłem uwagę, że od samego miasta jedzie za nami na mule jakiś człowiek w tureckim fezie. Jeśli to przebrany policjant - pomyślałem sobie - nie mam się czego obawiać. Władze tureckie w Grecji nader przychylnie odnoszą się do brytyjskich oficerów. Toteż nie próbowałem nawet umknąć nieproszonemu towarzyszowi. Caracciola nie wiedział o tym, co łączy kupca Karidasa z rodziną Bernardita, z punktu więc odrzuciłem myśl, że mógłby to być agent Grellego. A jednak mój woźnica co chwila oglądał się na podążającego za nami truchcikiem jeźdźca i był wyraźnie zaniepokojony. Gdy tylko zaleźliśmy się za miastem, dorożkarz schował głęboko w zanadrze otrzymane pieniądze rozejrzał się na wszystkie strony i galopem popędził pod górę. Miał widocznie własny pogląd na bezpieczeństwo na greckich traktach.

Już o zmroku odszukałem dom Karidasa i zapukałem w zamkniętą okiennicę. Dom był ogrodzony, otoczony budynkami gospodarczymi i krzewami winnej latorośli, tak że straciłem z oczu człowieka na mule. Na moje pukanie długo nikt nie odpowiadał. Wreszcie okiennica się uchyliła i wyjrzała zza niej jakaś gruba, rozczochrana starucha. Szybko powiedziała kilka słów, których nie zrozumiałem, i chciała zamknąć okno. W rozpaczy uchwyciłem się okiennicy i po prostu wymieniłem imię seniora Estrelli. Wtedy stara zapaliła świecę i podeszła z nią do okna. W głębi pokoju zdołałem dojrzeć klatkę z małpką. Staruszka nabrała widać do mnie zaufania, gdyż zamachała rękami, powiedziała jakieś długie zdanie i

zatrzasnęła mi okno przed nosem. Dom zaległa cisza. W kompletnych ciemnościach zrobiłem parę kroków i raptem natknąłem się na coś ciepłej i włochatego. Wzdrygnąłem się cały, gwałtownie cofając rękę, lecz w tejże chwili usłyszałem głębokie westchnienie i chrupot szczęk przeżuwiających pokarm. Nietrudno było się domyślić, że przede mną leży wierzchowiec mojego prześladowcy.

Stałem zastanawiając się, gdzie może być jeździec, gdy nagle w domu skrzypnęły drzwi i mych uszu dobiegły przyciszone głosy. W jednym z nich poznałem głos staruchy, drugi mógł należeć tylko do jakiegoś młodego chłopca. Mówili po grecku, przy czym chłopak z trudem wysławiał się w tym języku. Pochwyciłem dwa słowa z ich rozmowy - „seniora” i „Marsylia” - które na nowo obudziły mą czujność.

Po chwili rozległy się w ciemności kroki i nieomal tuż obok siebie ujrzałem drobną figurkę chłopca. Trącił nogą muła, by go zmusić do wstania, rzuciwszy przy tym dźwięcznym chłopięcym głosem tak soczyste, typowo angielskie przekleństwo, że od razu wyczułem w tym młodziku rodaka. Po długich wysiłkach przytroczył w ciemności do siodła ni to skrzynkę, ni to klatkę i wreszcie sam wygramolił się na grzbiet narowistego bydlęcia. Muł wierzgał parskając i komicznie usiłował zrzucić z siebie jeźdźca. W tym momencie postąpiłem krok naprzód, chwyciłem muła za uzdę i już chciałem coś powiedzieć, gdy nagle oślepił mnie snop ognia, wystrzał z pistoletu strącił mi kapelusz z głowy, muł szarpnął się i przewrócił mnie na ziemię. Po chwili usłyszałem już na drodze tętent jego kopyt.

Paskudnie mi się dziś nie wiedzie - pomyślałem i odszukawszy swój kapelusz ruszyłem z powrotem w stronę miasta. Po drodze zdawało mi się kilka razy, że jakieś cienie to zbliżają się, to znów oddalają ode mnie. Byłem cały potłuczony, a i kula, która musnęła mi czoło, zachwiała nieco moją równowagę duchową. Toteż przypisywałem te mgliste przywidzenia swej rozstrojonej wyobraźni. Dopiero na przedmieściu Pireusu wyminęli mnie dwaj mężczyźni w płaszczach.

W końcu znalazłem się na ulicy, która po skalistym zboczu biegła w dół do portu. Pod latarnią uliczną ujrzałem trzech podchmielonych greckich marynarzy.

„Nie wiecie, panowie - spytałem po francusku - czy dziś odchodzi jakiś statek do Marsylii?”

„Już odszedł” - odpowiedział jeden z nich.

„A co to był za statek?”

Popatrzyli na mnie i widocznie mój żalony wygląd i przestrzelony kapelusz wzbudziły w nich sympatię.

„To balia starego Karidasa - wyjaśnił mój rozmówca - szkuner, za przeproszeniem. Za czasów Aleksandra Macedońskiego była jeszcze całkiem jak nowa. Nazywa się «Jutrzenka»,».

„Jeśli ci się pali grunt pod nogami - dorzucił drugi marynarz - to może złapiesz ją jeszcze w Małej Przystani. Ma tam zabrać jakichś pasażerów”.

Wy tłumaczyli mi, że niedaleko portu znajduje się niewielka osłonięta zatoczka, gdzie zawijają tylko małe statki.

Choć byłem bardzo zmęczony, ruszyłem we wskazanym kierunku. Marynarze zawołali jeszcze za mną.

„Hej przyjacielu! W przystani możesz nie znaleźć łodzi. Idź do portu i łap stamtąd jakąś barkę”.

Posłuchałem dobrej rady i wkrótce na niesamowicie brudnej łodzi rybackiej z poszarpanym żaglem opłynęliśmy moło starożytnego portu ateńskiego. Przybrzeżny wiatr był słaby i łódź płynęła dość wolno. Spoza skalnych występów coraz to wyłaniał się ciemny cypel, za którym właśnie znajdowała się przystań. U wejścia do zatoki kołysał się na wodzie niewielki statek z dwiema latniami na masztach. Dzieliły nas od niego już niecałe dwa kable, gdy wtem zza cypla ukazała się sylwetka łodzi. Przy wiosłach siedziało dwu mężczyzn, na rufie zaś czerniały jeszcze jakieś postaci i toboły. Łódź zmierzała do statku z dwiema latniami. W ślad za nią z głębi zatoki wypadła druga. Siedział w niej tylko jeden człowiek, z całych sił

pracujący wiosłami. Człowiek ten krzyknął głośno, wzywając tamtych z pierwszej łodzi, by się zatrzymali.

Poznałem ten głos od razu. Był to Caracciola!

Pierwsza łódź pomknęła jeszcze szybciej, już tylko parę jardów dzieliło ją od statku. Wtedy Caracciola odłożył wiosła i chwycił za karabin. Równocześnie z hukiem wystrzału ktoś jęknął i przednia łódź zakreśliła się w miejscu.

Widziałem, jak prześladowca znów rzucił się do wiosła, a na dziobie jego łodzi ukazał się drugi mężczyzna z karabinem, dotąd ukrywający się na dnie.

Towarzysz Caraccioli też strzelił do uciekinierów. Krótki błysk oświetlił n mgnienie twarz Duńczyka Oge Jensena. Z pierwszej łodzi padł w odpowiedzi strzał z pistoletu.

Ja również wyrwałem pistolet i z odległości jakichś stu stóp krzyknąłem: „Ręce do góry!”

Na dźwięk mego głosu Jensen rzucił karabin, a Caracciola odłożył wiosła. Widocznie trzyletni nawyk bezwarunkowego wykonywania moich rozkazów rzucanych w ciemności z mostka „Oriona”, automatycznie podziałał u obydwu prześladowców.

„Poruczniku Went, czy to pan? - ze zdumieniem zawołał Włoch. - Proszę nie strzelać! Niech pan nam pomoże zatrzymać bandytów!”

„Sam jesteś bandyta! - wyrwało mi się. - Stój, łotrze!”

Jednakże Caracciola wolał uniknąć rozmowy ze mną i rzucił się do ucieczki. Tymczasem stateczek Karidasa przyjął na pokład wszystkich pasażerów z pierwszej łodzi i podniósłszy żagle szybko zaczął oddalać się od brzegu. Pogoń za Caracciolą była bezcelowa, dopędzenie szkunera Karidasa też okazało się rzeczą niemożliwą...

Schowałem do kieszeni niepotrzebny już teraz pistolet i kazałem swemu Grekowi zawrócić do portu. Tu, nie pozwalając sobie ani na godzinę odpoczynku ku, wynająłem większą barcę, załadowałem na nią swój jedyny sakwożaż i już w południe odpłynąłem do Marsylii...

Went zamilkł, machinalnie pykając dawno już wygasłą fajkę. Emily Murray delikatnie głaskała rękę starej seniory. Nikt się nie poruszył, nie wypowiedzi słowa. Ulegając tej milczącej prośbie Went wyjął fajkę z ust...

## 5

- Cóż - podjął znów swą opowieść - mogę państwa zapewnić, iż tak żegluga po morzu na zwykłej łodzi rybackiej w niczym nie przypomina morskiej podróży poślubnej. Nie będę jednak państwa zanudzał szczegółami. Po krótkim postoju u wybrzeży Sycylii przepłynęliśmy Morze Tyrreńskie, lecz tu, niestety wyprzedził nas szkuner Caraccioli „Fortuna”. W jedenastym dniu od opuszczenia Pireusu przybyliśmy do moła portowego w Marsylii.

Od razu zacząłem rozpytywać o „Fortunę”. Dowiedziałem się, że szkuner zatrzymał się w Marsylii na jakieś dwie godziny i zaopatrzywszy się w słodką wodę odpłynął na zachód. Wszelkie próby odszukania „Jutrzenki” nie dały niestety rezultatów. Według informacji kapitanatu statek o tej nazwie w ogóle nie zawijał do tego ożywionego portu.

Pogrążony w niewesołych myślach udałem się do miasta, gdzie jak zawsze tłumy ludzi wypełniały skąpane w wiosennym słońcu, zakurzone, gwarne ulice. Przechodząc przez rynek zobaczyłem gromadę gapiów otaczającą wędrownego kuglarza. Coś mnie tknęło, by podejść bliżej, i wtedy ujrzałem może trzynastoletniego chłopca w tureckim fezie oraz małą małą, która rzeczywiście wyczyniała przezabawne sztuczki. Ludzie pokładali się ze śmiech i gdy po skończonym przedstawieniu chłopiec obszedł tłum widzów, do jego fezu posypało się sporo monet.

Ja też rzuciłem mu niedużą złotą monetę. Chłopiec natychmiast wyłowił ją z kupki miedzi i srebra, popróbował zębami, schował do kieszeni i spojrzał na mnie. Małpka wskoczyła mu na ramię, tłum zaczął się już rozchodzić, a my staliśmy naprzeciw siebie, bacznie przyglądając

się jeden drugiemu. Poznałem swego prześladowcę z Pireusu, poznałem małą z domu Karidasa i postanowiłem za wszelką cenę zatrzymać chłopca. Na wszelki wypadek mocno chwyciłem go za rękę.

„Tylko nie próbuj znowu strzelać do mnie z pistoletu, huncwocie - szepnąłem do niego. - Nie próbuj też uciekać, bo postawię na nogi całą policję. Posłuchaj, przyjacielu, chciałbym z tobą poważnie porozmawiać. Jestem porucznik Went. Nie bój się, nie mam zamiaru cię uwięzić”. Chłopak, który przez cały czas wypatrywał tylko momentu, by czmychnąć, na dźwięk mego głosu i nazwiska jakby odetchnął.

„Daj mi słowo, że nie uciekniesz - powiedziałem - to pójdziemy razem do tawerny i tam porozmawiamy przy stoliku”.

„Dobrze” - zgodził się mój jeńiec i wsadził małą do klatki.

Weszliśmy do kawiarenki na wolnym powietrzu, wśród świeżej wiosennej zieleni, i usiedliśmy pod tentem przy stoliku.

„Jak się nazywasz?” - spytałem.

„Luigi”.

„Posłuchaj, Luigi. Mogę cię nazywać nawet koczokodanem, jeśli zyczysz sobie zachować w tajemnicy swoje prawdziwe imię. Ale jeśli masz zamiar łąć, to rób to chociaż umiejętnie. Ja sam jestem rodem z Bultonu”.

Chłopiec zbladł i na pewno by dał drapakę, gdybym go pod stołem nie chwycił boleśnie za nogę.

„Siedź! - rzuciłem rozkazującym głosem. - Chodzi o życie bliskich mi osób. Powiedz mi prawdę, czy wiesz coś o seniorze Estrelli Luiz i małym Diego?”

Chłopak wbił oczy w talerz i uparcie milczał.

„Myślisz na pewno, że chcę im wyrządzić krzywdę. Zrozum - przekonywałem go dalej - przybyłem tu z Anglii, by ratować tych ludzi przed mordercami. Już mi się to raz udało w Pireusie. Powiedz mi, czy Diego i seniora są w Marsylii? Mam ich zawieźć do Ameryki”.

Widziałem, że w chłopcu toczy się walka pomiędzy uczuciem nieufności a chęcią okazania przysługi swym przyjaciołom. Domyśliłem się również, że chłopiec z małą towarzyszący w Bultonie podpalaczowi stoczni i mój rozmówca to jedna i ta sama osoba. Fernando mógł powierzyć swemu młodemu przyjacielowi adres rodziny Bernardita... Postanowiłem zagrać w otwarte karty

„Posłuchaj, Luigi Koczokodanie, Piegowaty Nosie! Wiem doskonale, kim jesteś. Uciekłeś ze szkoły pana Chiswicka, brałeś udział w podpaleniu stoczni i nazywałeś się Thomas Bingle. Zdradziła cię twoja mała. Jeśli chcesz, mogę i ciebie zabrać do Ameryki razem z Diego. Nie jest dla ciebie bezpiecznie w Europie, gdzie węższą agenci Rilanda. Pomogę ci, mimo że mnie omal nie zastrzeliłeś na podwórku Karidasa”.

Z początku Tom wiercił się na krześle, niespokojnie rozglądając się na boki, lecz stopniowo jego wątpliwości się rozwiały. Zdecydowanym ruchem wbił widelec w pieczeń, uznawszy widocznie, że wstrzeźliwość można odłożyć na inną okazję.

„To mi się podoba - zaśmiałem się. - A teraz prowadź mnie szybko do naszych przyjaciół, zanim «Fortuna» zawita w ślad za wami do Marsylii”.

O reszcie, moi państwo, o naszym serdecznym spotkaniu z seniora Estrelli Luiz nie będę opowiadał. Sami doskonale możecie sobie wyobrazić to spotkanie a ja... nie umiem mówić o takich wzruszających rzeczach. Powiem tylko jeszcze jedno, mister Murray. Po tym wszystkim, co przeżyli seniora i jej wnuczek chciałbym mieć pewność, że to, co było, nigdy się już nie powtórzy. Dlatego nie można zbyt ufać tutejszej głuszy i oddaleniu. Grelli ma długie ręce i boi się nas wszystkich... Nawet tu nie wolno nam o tym zapominać.

- Co też pan opowiada, Edwardzie! - roześmiał się Murray. - Tu, na drugi koniec świata, nie osiągną niczyje, nawet najdłuższe ręce. Zapomnijmy, przyjaciele, o przeżytych niebezpieczeństwach. Ale zmęczyliśmy nieprzywoicie naszego gościa, Emily. Czas zejść do

jadalni, by jeszcze raz uczcić radosne spotkanie przyjaciół!

## 6

Kiedy całe grono słuchaczy Wenta przeniosło się do przytulnej jadalni z werandą, była już noc. Przez okna zasłonięte muślinowymi firankami wpływały ożywcze zapachy. Cmy tłukły się o falujący muślin, z lasu dolatywały głosy jakichś nocnych ptaków. Całe towarzystwo zasiadło do stołu.

A teraz, Edwardzie, opowiadaj pan nam o „pocziwym starym Bultonie” - poprosił Murray. - Jak się miewa mister Patterson? - spytała Emily.

- Patterson! Stał się zwykłym pionkiem na szachownicy Grellego. Pożar toczni oddał go całkowicie w jego ręce, a nowa stocznia bultońska powstała już pod szyldem Kompanii Północnobrytyjskiej.

- A mister Landy, stary bankier?

- Zmarł nagle rażony apopleksją. Również jego bank przeszedł w ręce samozwańczego wicehrabiego, który, jak się okazało, posiadał największą ilość akcji. Pomału Grelli staje się panem całego hrabstwa.

- A proszę powiedzieć, co się dzieje z biedną Doroteą Cenni? Jest jeszcze w Chancefieldzie czy...

- Los obszedł się bardzo okrutnie z Doroteą i jej bratem Antonio. Dawno już opuścili Chancefield i tylko przypadkiem dowiedziałem się, co się później z nimi stało. Szczegóły opowie państwu jutro Tom Bingle. Spotkał on Cennich w Neapolu, gdzie właśnie spadło na nich nieszczęście.

- Cóż się z nimi stało? Niech pan powie, Edwardzie - złożyła ręce lady Emily. - Zawsze miałam dużo sympatii dla nich obojga. Zresztą wszyscy mieszkańcy ponurego Chancefieldu lubili Antonia i Dorotę.

- Nasz dzielny Tom zetknął się z nimi najzupełniej nieoczekiwanie. Po podpaleniu stoczni chłopiec przybiegł do domu, porwał klatkę z małpką i uciekł do portu. Tam zakradł się na włoski szkuner, ukrył w ładowni i dopiero w Hawrze został odkryty przez załogę. Chłopak spodobał się marynarzom i został junga na szkunerze. Po przybyciu do Pireusu pożegnał swych nowych przyjaciół i pamiętając o prośbie Fernanda odszukał rodzinę kapitana Bernardita. I tu Karidas wziął go jako jungę na swój szkuner „Jutrzenka”.

Pewnego sierpniowego dnia siedemdziesiątego czwartego roku szkuner starego Greka stał w porcie neapolitańskim. Tom skrobał właśnie makrele na obiad, gdy z mola zawołał na niego jakiś przystojny młodzieniec w znoszonej odzieży, którego twarz wydała się Tomowi jakby znajoma. Obok niego stała młoda kobieta o smutnych oczach.

Młodzieniec przemówił po włosku i niebacznie naruszył honor bywałego jungi, zwracając się do niego mniej więcej z takim pytaniem: „Hej, ty, smoluchu, dokąd płynie twoja balia?”

Obroniwszy honor swej bandery dosadną, iście marynarską odpowiedzią, junga z „Jutrzenki” uznał, że teraz można wdać się w pokojowe pertraktacje. Znajomość, która zaczęła się od sprzeczki, skończyła się w gwarnej portowej tawernie. Tu wyszło na jaw, że młody człowiek nazywa się Antonio Cenni, towarzysząca mu zaś kobieta jest jego siostrą Doroteą. Tom przypomniał sobie, że widział ich przelotnie w Chancefieldzie. Ziomkowie wypili pokaźną ilość najróżniejszych win, co wprawiło obu w doskonały humor. Doroteą próbowała ich hamować, lecz „mężczyźni” stanowczo sprzeciwili się jakimkolwiek zakusom na swą niezależność. Wreszcie padli sobie w objęcia i przysięgli sobie nawzajem wieczystą przyjaźń. Junga dał folgę sercu, wyznając przyczyny swej ucieczki ze szkoły, były zaś groom opowiedział mu o wszystkim, co zaszło na wyspie, również o swym odejściu z domu Rilanda. W tym stanie zamroczenia trzynastoletni junga wykazał mimo wszystko więcej przezorności

niż dziewiętnastoletni groom. Kiedy bowiem do ich stolika podeszły jakieś podejrzone indywidua w wysokich butach z wyłogami, próbował pomóc Dorotei wyprowadzić pijanego Antonia z tawerny. Jednakże czterej przybysze nieomal przemocą usadowili Antonia obok siebie, poczęstowawszy mister Bingle'a dotkliwym kopniakiem. Antonio dalej pił w towarzystwie tych typów, ścisnął ich i szlochał. Tom nie pamiętał potem, kiedy i jak wyszedł z tawerny. Ostatni obraz, jaki pozostał mu w pamięci, to widok Antonia podpisującego jakiś papier, i Dorotei, która załamując ręce podbiegała to właściciela tawerny, to znów do stolika pijanej kompanii.

Nad ranem dwaj marynarze z „Jutrzenki” przywlekli swego jungę na statek. Gdy się Tom obudził, było już południe. Niespokojny o swego nowego przyjaciela pobiegł do tawerny i tu dowiedział się, że Antonio został zwerbowany na francuski okręt, który płynie do Afryki. Wrócił więc do portu, gdzie właśnie wojenny okręt francuski „Saint Antoine” podnosił żagle na redzie. Stojąca na brzegu młoda kobieta, w której Tom poznał Doroteę, z płaczem wołała coś w stronę okrętu. Chłopak zobaczył jeszcze, jak dwaj marynarze, wracający jako ostatni na okręt, brutalnie wepchnęli ją do łodzi. Okręt przyjął na pokład marynarzy i Doroteę i oddalił się od brzegu...

Tom opowiedział Karidasowi tę smutną historię prosząc go, by odszukał w Sorrento starą Angelikę Cenni. Razem odwiedzili nieszczęsną matkę, opowiedzieli jej o tym, co się stało z jej dziećmi, i jak mogli, pocieszali biedną kobietę.

- I nigdy więcej nie było jakichś wiadomości o nich? - przygnębionym głosem spytała Emily.

- Niestety, pani Emily, były!

- Zginęły?

- Tak, i to prawdopodobnie męczeńską śmiercią. Dowiedziałem się o tym stosunkowo niedawno, już w drodze do was, do Ameryki. Tak się złożyło, że, aby się tu dostać, musiałem objąć dowództwo francuskiego barku „Perpignan” Zgodnie z umową miałem w pierw odbyć rejs do Afryki Południowej, a potem do Brazylii. W czasie tego rejsu spotkaliśmy nieopodal Wyspy św. Tomasza u zachodnich wybrzeży Afryki, francuski okręt wojenny „Saint Antoine”. Jego kapitan opowiedział mi, że przeszło rok temu wysadził na ląd u ujścia Zairy\* oddział złożony z wszelkiego rodzaju włóczęgów zwerbowanych do polowania na Murzynów. Trudny klimat dziewiczych dżungli i tropikalne choroby przeredziły wkrótce oddział. Ci zaś, którzy zapuścili się w głąb murzyńskiego państwa Kongo, zostali śmiało zaatakowani przez tubylców i nieomal doszczętnie wytępieni. Zaledwie kilku ludziom udało się uratować na tratwie i powrócić na pokład „Saint Antoine” krążącego po wodach zachodnioafrykańskich. Spytałem kapitana, czy nie przypomina sobie młodego Włocha imieniem Antonio Cenni. Powiedział mi, że Antonio był sanitariuszem. Również Dorotea, siostra, pielęgnowała chorych. Wśród ocalałych na tratwie nie było ani Antonia ani Dorotei. Dostali się do niewoli plemienia Bakongo i najprawdopodobniej zginęli.

Cała ta wyprawa po niewolników do Afryki Równikowej była idiotycznym pomysłem jakiegoś francuskiego markiza, który w ten sposób chciał podreperować własne interesy. Przedsięwzięcie to znalazło poparcie władz wojskowych, które oddały mu do dyspozycji stary okręt, kilku oficerów-awanturników i sprytnego agenta werbunkowego, niejakiego Charlesa Leglois, zdegradowanego kapitana. Osobnik ten szybko zwerbował oddział „ochotników”, to znaczy złapał w swe brudne sieci kilkudziesięciu naiwnych, takich jak nasz biedny Antonio.

No, teraz już, drodzy państwo, wiecie wszystko... A ciekaw jestem, Fred, kiedy otrzymał pan mój list z zawiadomieniem o naszym przyjeździe.

- Dostałem go kilka miesięcy temu, przez okazję z Vincennes - odparł Murray. - Wczoraj rano przybył też stamtąd, przedzierając się konno przez las, posłaniec z wiadomością o zbliżaniu

---

\* Zaira - dawna nazwa rzeki Kongo.

się waszej barki... Moi państwo, a teraz podziękujmy panu Wentowi, wy zaś, droga Mary i Edwardzie, pozwólcie, że was odprowadzę do waszych pokoi.

Tej nocy w narożnym oknie strażnicy angielskiego fortu w Błękitnej Dolinie długo paliło się światło. Kapitan Burns pisał coś na listowym papierze, po czym wezwał dwóch żołnierzy i wręczył im zapieczętowaną kopertę.

- Daję wam dwa miesiące czasu! Macie dostawić ten list do fortu Pitta nad rzeką Ohio i wrócić tu z potwierdzeniem odbioru - powiedział do nich. - Wyruszyście jutro o świcie. List musi dotrzeć do adresata w Anglii najdalej za trzy miesiące.

Adres na liście brzmiał: „Anglia, Bulton, Chancefield, sir Frederick Riland, do rąk własnych”.



## **Zadatek wiecznej szczęśliwości**

### **1**

Zbiory hrabiego Paolo d'Ellano zajmowały całe drugie piętro wielkiego domu z rzeźbionymi wieżyczkami, znanego w Wenecji pod nazwą Marmurowego Pałacu. W sześciu dużych salach mieściło się dwieście tysięcy tomów, wspaniała zbiór rękopisów, ponad dwadzieścia inkunabułów - bardzo rzadkich pierwodruków, zbiór miniatur i emalii i wreszcie kolekcja starych monet, medali i herbów, stanowiących prawdziwe unikaty. Środkowa, największa i najjaśniejsza komnata służyła za główną salę biblioteczną. Skarbami tymi opiekował się wielebny ojciec Fulvio di Gracciolani, spowiednik hrabiego Paolo i kapelan pałacowej kaplicy, a zarazem kustosz zbiorów bibliecznych i artystycznych Marmurowego Pałacu.

W przewodnią niedzielę 1778 roku ojciec Fulvio, postawny mężczyzna lat około pięćdziesięciu, w czarnej jedwabnej sutannie, z aureolą srebrzystych kędziorów wokół tonsury, stał przy oknie głównej sali bibliecznej i pilnie przyglądał się człowiekowi w doktorskim birecie, który właśnie wysiadał z gondoli u podjazdu pałacowego. Przybyły skierował kroki w stronę łukowato sklepionej bramy i ojciec Fulvio stracił go z oczu.

Kapłan postął jeszcze chwilę w zamyśleniu przy oknie i wrócił do swego ulubionego stołu w kącie sali. Otworzył rzadki egzemplarz „Dziejów Towarzystwa Jezusowego”, napisany przez bezimiennego naśladowcę Ignacego Loyoli, pogрузił się w lekturze żywota założyciela i pierwszego generała zakonu jezuitów.

Dzieło bezimiennego autora przeniosło myśli ojca w odległą przeszłość - początek XVI wieku, w owo burzliwe stulecie, kiedy to okręty hiszpańskich i portugalskich konkwistadorów niosły krzyż i miecz, niewolę i śmierć ludom nie znanych dotąd zamorskich krajów. Polała się wtedy krew meksykańskich Azteków, peruwiańskich Inków, krajowców Kuby i Gujany, Sumatry i Jawy. Krew ta szybko zamieniła się w złoto. Strumieniem płynęło ono do starych portów Europy napełniając skrzynie kupców i czyniąc ich potężniejszymi od feudalnych książąt. Bogacące się kupiectwo poczynało niechętnym okiem patrzeć na stare feudalne przywileje. Coraz mocniej chwiał się grunt pod zmurszałymi tronami... Zachwiał się również autorytet największego feudała - Kościoła Katolickiego.

Kościół był tym, który wyprawiał pierwsze okręty owych rozbójniczych ekspedycji, błogosławił i ekwipował konkwistadorów. Płynęło więc złoto i do skarbców Kościoła. Ale właśnie stamtąd, z nowo odkrytych zamorskich krain, powiały nowe, niebezpieczne wiatry.

Świat stawał się coraz większy, poszerzyły się jego horyzonty. Powiew nowego rozwiął nie tylko ślady karaweli Magellana na morskich falach, lecz zarazem stare przesady utwierdzone przez Kościół w ludzkich umysłach.

Poczęły się zmieniać wyobrażenia pokornych dotąd owieczek o wyglądzie ziemi, jej rozmiarach, miejscu we wszechświecie. Runęły tysiącletnie scholastyczne dogmaty ojców Kościoła. Dochodzący do głosu rozum ludzki gotował się do zrzucenia okowów ciemnoty i zacofania.

Grzmiał w swych pamfletach Erazm z Rotterdamu. Głos Ulricha von Hütten przyzywał ku światłu wiedzy. Anglik Thomas Moore poruszył umysły pierwszą książką o komunistycznym ustroju społecznym. Biała karta z dziewięćdziesięciu pięciu tezami - przybita nocą na murze katedry w Wittenberdze przez mnicha Marcina Lutra - dała początek „największej herezji” zwanej reformacją, która wprowadziła rozłam w owczarni Chrystusowej. Grzeszne owieczki za podpuszczeniem heretyków zbuntowały się przeciwko strzyżeniu ich na rzecz

watykańskiego tronu. Przestały wierzyć w nieomylność papieża i grzęzły w odmętach grzechu, nie chcąc dłużej opłacać papieskich indulgencji.

Te nowe wiatry przybierały zapierającą dech siłę żywiołu. Fale powstań chłopskich zalewały place miast, płonęły zamki. Z klasztornych studni sterczały nogi potopionych mnichów. Na próżno inkwizytorzy, uczniowie Torquemady, zakrywając twarze czarnymi kapturami, torturowali w lochach tysiące „odszczepieńców”, na próżno płonęły stosy, mające „w sposób łagodny i bez rozlewu krwi” oczyścić świat od heretyków - rozum ludzki i ludzki geniusz ruszyły do szturm na twierdzę Kościoła. A z wysokości wzgórza watykańskiego Ojciec święty Paweł III i jego kardynałowie z przerażeniem patrzyli poprzez dym inkwizytorskich stosów na ów obraz powszechnego zamętu i zachwiania niewzruszonych zasad.

I wtedy to, w najtrudniejszej godzinie, Wszechmocny posłał swego wybrańca na pomoc Kościołowi Chrystusowemu.

W niewielkim hiszpańskim miasteczku Montrez leżał w ciężkiej niemocy szlachetnie urodzony Kastyljczyk, potomek zubożałej szlachty, don Inigo Lopez Ignatio di Loyola.

Rana od kuli paliła jak ogień, ciałem chorego wstrząsały dreszcze gorączki. I wtedy to, we śnie, Bóg objawił mu jego wielkie posłannictwo. W aureoli niebiańskiej światłości zesłała ku niemu Najświętsza Panienska. Ogarnięty nieziemską ekstazą chory ujrzał Jezusa Chrystusa i wreszcie ukazał mu się sam Duch Święty w oślepiającym blasku płomieni. Don Ignatio usłyszał wyraźnie boski głos mówiący: „Idź i ratuj Kościół święty przed knowaniami nieprzyjaciół”.

I chociaż sztuka lekarska okazała się bezsilna wobec choroby, Bóg sprawił, iż umierający powstał z łoża i ujął w rękę kostur pielgrzyma. Ze starożytnej Barcelony Ignatio Loyola udał się nad brzeg Tybru, do Rzymu. Przybywszy do Watykanu ukląkł na stopniach papieskiego tronu i zwierzył swój plan Ojcu świętemu. Jego świątobliwość Paweł III pochwalił zamysł Hiszpana i podpisał słynną bullę „Regiminis militantis Ecclesiae”. W ten sposób dnia 27 września 1540 roku powstał nowy zakon, oparty na regule przedstawionej przez Loyolę, zakon „wojska Chrystusowego”.

Był to nader osobliwy zakon. Od pierwszych dni istnienia otaczała go głęboka tajemnica. Generał zakonu jezuitów nie uznawał innej władzy nad sobą oprócz Ojca świętego, po upływie zaś lat kilkudziesięciu „czarny papież” jezuitów usunął w cień nawet watykańskiego namiestnika.

Podobnie jak w armiach świeckich, w Towarzystwie Jezusowym istniała jak najściślej przestrzegana hierarchia. Członkowie zakonu dzielili się na cztery grupy: nowicjuszy, scholastyków, koadiutorów i profesorów. Żadna też armia na świecie nie znała dotychczas tak bezwzględnej dyscypliny... Jak posłuszny jest kij trzymającej go rękę, tak posłuszni byli swym oficerom żołnierze zakonu, bez słowa wykonując każdy rozkaz.

Zewnątrz ojcowie jezuita niczym nie odróżniali się od otoczenia. Mogli nosić lub nie nosić sutanny, mogli przyjmować dowolną postać, wyznawać pozornie dowolną wiarę i uciekać się do dowolnych przysiąg, dodając w duchu tajną formułę: „Czynię to w imię Kościoła Chrystusowego”.

Pod postacią kupców i żeglarzy jezuita docierali do krajów zamorskich, nurzając ręce po łokcie w złocie i krwi. W Paragwaju stworzyli nawet własne państwo, w którym ucisk tubylców był szczególnie okrutny. W kaplicach i kościołach Europy jezuita wznawiali „cuda”, objawienia i cudowne uzdrowienia, pomnażając zasoby guldenów w zakonnej kasie i pozyskując dusze. Tym jednak, którzy wzbraniłi się przed „słodką niewolą”, synowie zakonu gotowali straszny los... Wenecyja jezuita schwytała Giordana Bruno, a „czarny papież” Klaudiusz Aquaviva posłał go na stos, rozpalony pośrodku placu Kwiatów w Rzymie. Jezuita Garnet włożył do ręki Guy Fawkesa płonący lont, by wysadził parlament brytyjski, w którym protestanci osiągnęli większość. Inny jezuita Antonio Possevino wysyłał do Rosji swych agentów w celu obalenia Kościoła Prawosławnego. Oni to właśnie nakłonili awanturnika

Dymitra Samozwańca do potajemnego przyjęcia katolicyzmu, w nadziei, że przez niego uda się utrwalić na Rusi duchową władzę papieża... Kardynał Bellarmin, jeden z wyższych oficerów zakonu jezuitów, torturował w lochu więziennym wielkiego Galileo Galilei...

W kościołach i tawernach, w sztabach i lazaretach, na katedrach uniwersyteckich i w buduarach królewskich nałożnic, ojcowie jezuiti przez wieki pletli swe misterne sieci kierując się straszliwą zasadą: „Cel uświęca środki”. Niewidoczny cień krzyża padał od rzymskiego Palazzo del Gesù - kwatery głównej zakonu - na wszystkie strony świata, przesłaniając mogiły tajemnie straconych ofiar i nie ostygłe popioły publicznych stosów.

We wszystkich krajach rosła coraz groźniejsza nienawiść ludu do czarnych wojowników zakonu. We Francji, Hiszpanii, Anglii ludzie różnych stanów z gniewem i wstrętem zrzucali z siebie duchowe jarzmo znienawidzonych jezuitów. Dokładnie w dwa i pół wieku od czasu „boskich” objawień „świętego” Ignacego fale powszechnego gniewu uderzyły o podnóże samego Watykanu. Ogarnięty strachem papież Klemens XIV wyparł się swych wojowników i w roku 1773 ogłosił bullę o zniesieniu zakonu jezuitów.

Uchodząc przed zemstą ludu jezuiti zeszli w podziemie, kryjąc się za jeszcze bardziej czarną i gęstą zasłoną tajemnicy. Rozwiązany zakon istniał nadal, a jego synowie doskonale wiedzieli, iż nie upłynie nawet kilkadziesiąt lat, a Ojciec święty znów powoła go do życia.

...Białe palce ojca Fulvia ostrożnie przerzucały karty kroniki zakonu. On sam od dawna odgrywał poważną rolę wśród weneckich jezuitów, którzy szczylic się tym, że im, a ściślej mówiąc ich szczęśliwym poprzednikom, udało się wciągnąć w pułapkę Giordana Bruno, aby go potem oddać w ręce kurii rzymskiej. Po oficjalnym rozwiązaniu zakonu znaczenie ojca Fulvia, jako wysokiego oficera tajnej armii Chrystusowej, jeszcze bardziej wzrosło. Tkał więc swą niewidoczną pajęczynę, mając na to błogosławieństwo z góry, a podziemni „bracia” posłusznie wykonywali każdy jego rozkaz.

Ojciec Fulvio nie bez racji uważał, że największą jego zasługą wobec zakonu było zdobycie z latami władzy moralnej nad swym „synem duchowym” hrabią d'Ellano, który to „syn” zresztą był o dziesięć lat starszy od niego. Władza ta miała nader praktyczne cele...

Majątek hrabiego oceniano na pięć do sześciu milionów skudów. Było to ogromne bogactwo, a hrabia Paolo nie miał bliskich spadkobierców, albowiem utracił nie tylko żonę, która zginęła tragicznie w 1748 r., lecz wkrótce po śmierci hrabiny Beatrice pochował również dwoje dzieci zabitych przez bezlitosną chorobę.

Nieszczęścia te wtrąciły hrabiego w stan zupełnego upadku ducha. Uwierzył, że ciąży nad nim nieubłagana, karząca ręka przeznaczenia. Jedyłą pociechę znajdował w rozmowie ze złotoustym ojcem Fulvio, podówczas dwudziestoosmioletnim sługą bożym, który wkrótce stał się spowiednikiem i powiernikiem hrabiego. I oto już przez ćwierć wieku ojciec Fulvio wytrwale nakłaniał swego „duchowego syna” nie tylko do surowego ascetyzmu w życiu doczesnym, ale i do miłej Bogu pośmiertnej ofiary. W końcu też osiągnął upragniony cel: hrabia notarialnie zapisał cały swój ogromny majątek na rzecz Kościoła.

W swym testamencie, spisany przy najściślejszym udziale ojca Fulvia, hrabia zastrzegł sobie jedynie, że testament nabierze mocy prawnej dopiero po zdobyciu niezbitych dowodów śmierci jego pierwszego, co prawda nieślubnego syna - Giacomina Molli. Niestety, ta drobna klauzula przyczyniła ojcu Fulvio niemało kłopotów, o czym stary hrabia Paolo nie miał najmniejszego pojęcia.

Już przeszło dwie godziny minęły od chwili przybycia do pałacu nieznanego w doktorskim birecie. Ojciec Fulvio zamknął wreszcie historię swego zakonu i przywołał służącego.

- Zejdź na dół, Giovanni, i dowiedz się, czy jest jeszcze w pałacu nieznanany gość i czy został on przyjęty osobiście przez ekscelencję.

Jeszcze służący nie zdążył dojść do drzwi, gdy te otwarły się i sam hrabia Paolo d'Ellano pojawił się na progu, przepuszczając przed sobą niskiego, korpulentnego człowieczka w zwyczajnym stroju uczonego teologa.

- Signor Buotti, pozwoli pan, że go przedstawię naszemu wielce uczonemu ojcu Fulvio di Gracciolani. Jego to właśnie nieustającej trosce całkowicie zawdzięczam porządek, jaki panuje w tych zbiorach - powiedział pan domu, Podprowadzając doktora do swego spowiednika.

Ojciec Fulvio z promiennym uśmiechem przywitał gościa.

- Drogi kolego - grzecznie powiedział przybyły - przed miesiącem pozwoliłem sobie napisać do hrabiego, prosząc o pozwolenie wstępu do jego biblioteki, abym mógł się zapoznać z jej drogocennym zbiorem rękopisów. Hrabia był tak łaskaw, że zaproponował mi spędzenie w jego domu tyle czasu, ile tego będzie wymagała praca nad moim traktatem. Obawiam się jednakże, abym nie naprzykrzył się ojcu swą obecnością, gdyż nawet najbardziej pobieżne zaznajomienie się z zebranymi tu skarbami musi zająć co najmniej dwa tygodnie... Ekscelencjo - zwrócił się gość do gospodarza - same tylko cytowane przez pana z pamięci rękopisy każą mi błogosławić go jako twórcę tych zbiorów!

- Niechże pan mnie nie zmusza, abym się rumienił, doktorze. Ja tylko w niewielkim stopniu przyczyniłem się do powiększenia naukowych zbiorów mego dziada i ojca. W młodości pasjonowałem się raczej sztuką i zbierałem przeważnie obrazy, marmury, porcelanę i cyzelowane srebro. Ogromnie się cieszę widząc w pańskiej osobie nie tylko uczonego, ale i prawdziwego znawcę sztuki i gotów jestem uwięzić pana w moim domu co najmniej na pół roku. A teraz czas pomyśleć o odpoczynku po trudach podróży. Giovanni, odprowadź pana do przeznaczonych dla niego pokoi.

Po odejściu doktora Buotti hrabia Paolo zauważył chmurkę niezadowolenia na wysokim czole ojca Fulvia i pomyślał, że i ten uczony mąż nie jest całkowicie wolny od uczucia zawiści i zazdrości. Ta myśl ubawiła w duchu hrabiego.

Wieczorem znów wszyscy trzej spotkali się w jadalni hrabiego. Przy szklaneczce chianti signor Tommaso Buotti opowiadał historyjki ze swych czasów studenckich. Rozweselił pana domu i wywołał nawet uśmiech na wąskich, zaciśniętych wargach ojca Fulvia di Giacciolani.

## 2

Już po tygodniu pobytu w pałacu dobroduszny doktor Buotti pozyskał sobie szczerą sympatię hrabiego d'Ellano. Polubili go również wszyscy domownicy, nazywając doktora po prostu signor Tommaso. On zaś sam, przekonawszy się o niekłamanej namiętności starego arystokraty weneckiego do sztuki i nauki, odwzajemniał mu się równie szczerą życzliwością. Ich rozmowy we dwóch lub też we trzech z ojcem Fulvio przeciągały się daleko poza północ. Okazało się przy tym, że ów porządek w zbiorach bibliotecznych i kolekcjach artystycznych pałacu, którym tak chlubił się hrabia i który przypisywał zasługom ojca Fulvia, pozostawiał wiele do życzenia. Skąpość katalogów, chaos w klasyfikacji i w dyletancki sposób prowadzone opisy bibliograficzne - to wszystko w najwyższym stopniu zaskoczyło doktora. Niedbałe przechowywanie pergaminów doprowadziło do zniszczenia całych stron drogocennych rękopisów. I gdy zamiast jednego ze starohebrajskich rękopisów doktor Buotti znalazł jedynie obgryzione przez szczury deszczułki oprawy, nie mógł pohamować swego oburzenia i zawiadomił hrabiego o pożałowania godnym stanie rzeczy w jego domowym muzeum.

Większość artystycznych zbiorów nagromadzonych w ciągu pokoleń przez właścicieli Marmurowego Pałacu przypominała raczej stosy towarów w ładowni okrętowej, co prawda niezbyt starannie ułożonych, lecz za to głęboko ukrytych przed ludzkim okiem. W piwnicach pałacu leżały opakowane w rogożę i wióry płótna mistrzów, marmurowe posągi, grawiury, porcelana i brązy, weneckie szkło i cyzelowane srebro wschodnie.

- Ziemskie piękno przedmiotów sztuki - mawiał ojciec Fulvio do hrabiego przy kolejnym

poleceniu usunięcia z którejś sali „nieskromnie” nagiego anioła Donatella, Niepokalanej Dziewicy Fra Angelico czy sztyletu roboty Celliniego - odrywa duszę od kontemplacji piękna wiecznego, jakie nam nakazuje wiara, modlitwa i święte sakramenty.

Po takim „kazaniu” hrabia pokornie odprowadzał wzrokiem wynoszoną skrzynię, która znajdowała przytułek gdzieś pod schodami lub na strychu.

Ojciec Fulvio miał poważne powody, dla których tak nieugięcie walczył z „ziemskim pięknem” dzieł sztuki. Stanowczo też przeciwstawiał się nieśmiałym próbom hrabiego, który chciał wystawić na widok publiczny swe drogocenne zbiory. Niewątpliwie sprowadziłyby to do pałacu tysiące ludzi i mogło natchnąć hrabiego nierozsądną myślą ofiarowania zbiorów rodzinnemu miastu, co było najzupełniej sprzeczne z interesami zakonu jezuitów. Z tym większą więc niechęcią odnosił się do wszelkich poczynań doktora Buotti, pragnącego choćby powierzchownie zapoznać się ze skarbami sztuki nagromadzonymi w Marmurowym Pałacu.

Pewnego dnia doktor Buotti przechadzał się po pustej amfiladzie dziesięciu dolnych sal pałacu, z roztargnieniem słuchając gadaniny starego sługi pałacowego, Giovanniego, który został przydzielony do jego usług.

- Powiedz mi, Giovanni - przerwał w jakiejś chwili wywody gadatliwego sługi - dlaczego nie wystawia się skarbów pałacu na światło dzienne tu, w tych jasnych, przestronnych salach? Spójrz, jakie one puste i zaniedbane.

Giovanni zniżył głos do szeptu i podzielił się z signor Tommaso swoimi domysłami. Doktor Buotti pokręcił tylko głową i nic nie odpowiedział. Wychodząc już z ostatniej sali zatrzymał się przed portretem niezwykle pięknej damy, przedstawionej przez artystę w całej postaci, w pełnym blasku młodości i olśniewającej urody. Bardzo stara, żałobna krepa okrywała wypukłe złożone kwiaty ramy.

- Kim jest ta dama?

- Madonna della casa, nieboszczka hrabina Beatrice d'Ellano.

- Ta, która zginęła z ręki szalonej rywalki?

- Tak.

- Jak nazywała się ta nieszczęsna?

- Signora Francesca Molla. Znałem ją, wasza miłość. Niewiele brakowało, by została żoną hrabiego Paolo. Sześć lat mieszkała tutaj i wszyscy już przyzwyczailiśmy się do niej. Gdyby ojciec nie zagroził hrabiemu Paolo wydziedziczeniem, Francesca Molla byłaby tu panią, a hrabia miałby teraz dorosłego syna Giacoma.

- Czy nie zachował się jakiś wizerunek tej kobiety?

- Była jedna miniatura, ale wątpię, by się zachowała...

- A chłopiec?... Jakie były jego dalsze losy?

- Nie wiem, panie. Mówiono, że uciekł z przytułku...

- Czekać, czekać Giovanni! Jak, powiadasz, on się nazywał?

- Giacomo... Signor Giacomo Molla.

- Powiedz mi jeszcze, czy ojciec wspominał kiedyś o nim? Czy może samo to imię stało się nienawistne dla hrabiego?

- Ale co też pan mówi, signor Tommaso! Przeciwnie, wiem, że hrabia po całym świecie szukał syna. Ojciec Fulvio ponoć mu pomagał w tych poszukiwaniach. Tylko, widzi pan, on ma swoje cele, boże... - Stary sługa zamilkł i zerknął na obydwa wyjścia z sali.

- Zdaje się, że cię rozumiem, Giovanni. Nie sądzę też, abym miał wielkiego przyjaciela w osobie ojca Fulvia. Ale i ja nie potrafię, Panie Boże przebaczyć, zwalczyć w sobie pewnego uprzedzenia do ojców jezuitów!

Tego samego wieczora doktor Tommaso Buotti poprosił hrabiego o pozwolenie obejrzenia

jego zbiorów artystycznych. Przez cztery dni pięciu silnych ludzi pod kierunkiem Giovanniego rozpakowywało w piwnicach, komórkach i na strychu dzieła sztuki, wyjmując je ze skrzyń i otrzepując z wiórów, śmieci i kurzu.

Doktor Buotti prowadził te oryginalne poszukiwania z pasją prawdziwego znawcy. Z takim też zapalem malował przed hrabią kuszący obraz Marmurowego Pałacu zamienionego w pałac sztuki, że ten przezwyciężył w końcu swój zwykły lęk przed spowiednikiem i zaproponował doktorowi Tommaso, aby pozostał u niego i zaopiekował się wszystkimi zbiorami i skarbami sztuki w jego pałacu. Hrabia napomknął przy tym o licznych obowiązkach kapłańskich ojca Fulvia, które nie pozwalają mu w dostatecznej mierze poświęcić się sprawom świeckim. Po krótkim namyśle doktor Tommaso mocno uściśnął wyciągniętą ku niemu dłoń hrabiego Paolo i... zgodził się!

Już w miesiąc po objęciu przez doktora Buotti funkcji kustosza biblioteki i zbiorów artystycznych Marmurowy Pałac zmienił się nie do poznania.

### 3

Kolekcję miniatur, emalii i kamei rozpakował doktor Buotti na samym ostatku.

Późnym majowym wieczorem 1778 roku krzątał się on, ożywiony i radośnie podniecony, w głównej sali biblioteki. Hrabia Paolo, otulony pledem, siedział obok doktora. Był tu też wielebny ojciec Fulvio di Gracciolani. Siedział z zaciśniętymi wargami i ironicznym wzrokiem obserwował pracę doktora.

Na stołach leżały wydobyte ze skrzyń setki perskich, włoskich i francuskich miniatur, egipskie skarabeusze z rozgrabionych piramid, starogreckie kamee, rzymskie gemmy, hinduskie i chińskie figurki rzeźbione w kamieniu i drobne kościane przedmioty kultu wykonane przez surowych ascetów z pierwszych wieków chrześcijaństwa - prymitywne i wzruszające.

Stary Giovanni mył każdy z tych drobiazgów w ciepłej wodzie, wycierał i rozkładał na stołach okrytych płótnem. Doktor Buotti sortował te skarby, robił notatki i dzielił się uwagami z hrabią.

W pewnej chwili obok perskiej miniatury będącej ilustracją fragmentu poematu Firdausi spoczął owalny portrecik w emalii z wąską złotą ramką. Na widok tej emalii hrabia umilkł w pół słowa.

Doktor wziął lupę i dopiero z jej pomocą zdołał odczytać napis wpleciony w ornament ramki: „Signora Francesca Molla z synem Giacomo. Wykonał mistrz Vincenzo Antonio Cardoso z Mediolanu. Wenecja 2 kwietnia 1743 roku”.

Z miniatury patrzyła na doktora piękna kobieta o bujnych włosach, tuląca do twarzy kędzierzawego, może pięcioletniego chłopczyka. Subtelna twarzyczka dziecka zdradzała jego przyszły charakter - samolubny, uparty i okrutny.

Hrabia zauważył, że doktor jakoś zbyt długo wpatruje się w emalię, i spytał ściszone głosem:

- Czy znana jest panu, doktorze, rola, jaką odegrała ta kobieta w moim życiu?

- Tak, ekscelencjo, słyszałem... Czy wolno mi zapytać, jakie były dalsze losy tej damy?

- Została skazana w Livorno na wygnanie i po wielu latach wyszła w Marsylii za męża za pewnego cudzoziemca. Zmarła w roku 1762, prawie jednocześnie ze swym mężem. Tylko dzięki wytrwałym poszukiwaniom ojca di Gracciolani dowiedziałem się o tych szczegółach.

- A co się stało z dzieckiem?

- Nie wiadomo. Chłopiec, którego wizerunek trzyma pan w ręku, po skazaniu matki został oddany do przytułku Św. Magdaleny. Uciekł stamtąd i od tej pory wszelki ślad po nim zaginął, chociaż ojciec Fulvio nie szczędził trudu i starań, by się czegoś o nim dowiedzieć.

Przez wiele lat odnalezienie tego chłopca było dla mnie jedynym celem życia. Lecz zbyt późno zabrałem się do tego! Po śmierci żony egoistycznie szukałem ukojenia w pieszczotach Geronima i Laury, dzieci, którymi obdarzyła mnie Beatrice, i nie podałem w porę pomocnej ręki memu pierworodnemu. Za ten grzech sprawiedliwość boska nie tylko pozbawiła mnie obojga maleństw, lecz odebrała także nadzieję na odzyskanie dziecka, o którym tak lekkomyślnie zapomniałem.

- Ekscelencjo - z pewnym wysiłkiem powiedział doktor, zerkając nieznacznie na wydatny profil jezuita - boję się obudzić w pańskim sercu płonną być może nadzieję, lecz niech mi będzie wolno powiedzieć, że wiem coś niecoś o losach pewnego młodzieńca imieniem Giacomo, syna skazanej artystki, zbiegłego z przytułku Św. Magdaleny w Livorno. Spotkałem ludzi, którzy blisko znali tego chłopca... Co prawda było to dawno, bardzo dawno temu.

Hrabia Paolo, ojciec Fulvio i stary Giovanni z wielkim poruszeniem patrzyli na bolońskiego doktora.

- Na miłość boską - jęknął hrabia chwytając się za serce - niech mnie pan dłużej nie dręczy, signor Tommaso, i opowie wszystko, co pan wie o Giacomo!

- Ekscelencjo, wiem bardzo niewiele. Może jednak te skąpe wiadomości wskażą kierunek dalszych poszukiwań.

- Proszę mówić, signor, będę panu dozgonnie wdzięczny.

- Byłem studentem ostatniego roku teologii na uniwersytecie w Bolonii, gdy mój przyjaciel, medyk, zaproponował mi odbycie wspólnej wędrowki po Italii. Pochodzi on z Anglii i po ukończeniu studiów miał zamiar powrócić do swej ojczyzny. Nazywał się Gracewell, Randolph Gracewell. Wiosną siedemset pięćdziesiątego szóstego roku wyruszyliśmy w drogę. Postanowiliśmy dotrzeć do Neapolu, zwiedzając po drodze napotykaną miasta, jak również odwiedzić Sycylię.

Na mułach, to znów piechotą, nocując w przydrożnych zajazdach, wędrowaliśmy po kraju w poszukiwaniu artystycznych wrażeń, dobrego wina i tradycyjnej gościnności. Te dwa miesiące młodzieńczej swobody były chyba najszcześniejszym okresem w moim życiu.

Nie opodal Sorrento natrafiliśmy na ubogą wioskę rybacką. Zapadał już zmierzch, gdy posiliwszy się w nędznej traktierni udaliśmy się na poszukiwanie innego noclegu, jako że nieprzebrane ilości pcheł w proponowanej nam izbie zachwiały nawet naszą młodzieńczą odwagę. Przechodząc pod oknami jakiegoś domku usłyszeliśmy wyraźnie jęki dochodzące ze środka. Mój towarzysz od razu się zorientował, że to jęczy rodząca kobieta. Z domku wybiegła mała wystraszona dziewczynka. Popatrzyła na dwu nieznajomych podróżników i chciała biec dalej, lecz mister Gracewell złapał ją za warkoczyk i współczująco zapytał, czy chora nie potrzebuje pomocy. Gdy dziewczynka dowiedziała się, że ma przed sobą lekarza, z płaczem i lamentem wciągnęła go natychmiast do domu. Nie pozostało mi nic innego, jak pójść za nim.

Położnica była już bliska śmierci, krzątająca się zaś przy niej od dwóch dni akuszerka zupełnie straciła głowę. Mój towarzysz, który miał ze sobą w podróżnym worku niektóre instrumenty, odprawił bezradną babkę i śmiało przystąpił do operacji. Dzięki jego opanowaniu, umiejętnościom i odwadze poród zakończył się w miarę szczęśliwie.

Nazajutrz stan chorej pogorszył się, wystąpiły symptomy gorączki połogowej. Młody lekarz spędził przy niej jeszcze jedną bezsenną noc, wykazując upór i cierpliwość, które w pełni zadowolilyby jego nauczycieli. Postanowił twardo, że musi uratować sympatyczną rybaczkę i jej dziecko. Cały tydzień spędziliśmy w jej domku i chora opowiedziała swemu dobroczyńcy prostą historię swego życia. Nazywała się ta rybaczka Angelica Cenni. Stawszy się mimowolnym słuchaczem jej nieskładnego opowiadania, starałem się ulżyć duchowym cierpieniom tej kobiety z równą gorliwością, z jaką mój przyjaciel trudził się nad złagodzeniem jej cierpień fizycznych. Angelica Cenni gorzko oplakiwała niedawną śmierć

męża, dzielnego Rodolfo, prostego rybaka z wyspy Capri. Z bólem serca wspominała również swego przybranego syna, który wyrósł w ich domu. Młodzieniec ten uciekł z przytułku Św. Magdaleny, gdy miał trzynaście lat, i został przyjęty do rodziny Cennich. Po śmierci przybranego ojca był jedyną podporą biednej Angeliki.

- Przepraszam, doktorze Buotti, czy tym młodzieńcem był...

- Pański domysł jest słuszny, ekscelencjo. To był właśnie signor Giacomo. Tylko że nazwiska jego Angelica nie mogła podać, gdyż - jak sądziła - nie posiadał go wcale.

Z opowiadania Angeliki Cenni wynikało dalej, że uciekinier z przytułku, Giacomo, który wyrósł na postawnego młodzieńca, wkrótce po śmierci Rodolfo, w siedemset pięćdziesiątym piątym roku, odpłynął na szwedzkim statku, pozostawiwszy wdowie cały swój zarobek.

Opuszczając Sorrento daliśmy kobiecie trochę pieniędzy i sprowadzili do niej miejscowego księdza, ojca Benedykta, który ochrzcił nowo narodzonego imieniem Antonio.

Dobrze zapamiętałem ten wypadek. Pamięta go zapewne i mój przyjaciel, doktor Gracewell, z którym rozstałem się na zawsze po zakończeniu naszej wspólnej wędrówki. Pozostawiony przy bolońskim uniwersytecie obroniłem swą dysertację magisterską i w roku siedemset sześćdziesiątym dziewiątym, w trzynaście lat od czasu naszej przygody w Sorrento, znalazłem się w Livorno. Będąc w bibliotece klasztornej odwiedziłem przytułek Św. Magdaleny, gdzie od razu przypomniałem sobie opowiadanie Angeliki Cenni. Stary odźwierny pamiętał jeszcze małego uciekiniera Giacomina. Dowiedziałem się, że tego chłopca, syna skazanej tokańskiej śpiewaczki Franceski Molla, skierował do przytułku urzędnik policji Gabriel Moletti. Chłopiec uciekł w siedemset pięćdziesiątym pierwszym roku, a w pięć lat później zjawiał się w przytułku mnich zwany ojcem Benedyktem, który otrzymał te same informacje co i ja. O dalszych losach chłopca nic w klasztorze nie wiedziano. Dopiero tutaj, pod pańskim dachem, ekscelencjo, dowiedziałem się o jego pochodzeniu. Oto wszystko, co zdarzyło mi się słyszeć o pańskim synu, signor Paolo.

- A więc jego wyjazd z Italii w siedemset pięćdziesiątym piątym roku na szwedzkim okręcie to ostatnia wiadomość o nim? - cicho spytał hrabia.

- Tak...

Hrabia ścisnął rękami czoło.

Nieoczekiwanie z kąta sali, gdzie w milczeniu, zupełnie zapomniany przez rozmawiających, siedział stary Giovanni, rozległ się błagalny głos:

- Proszę mnie wysłać do Sorrento, ekscelencjo. Żebym miał wyleźć ze skóry, przywiozę panu nowe wiadomości o tych ludziach.

- Sądzę, że należałoby również odszukać Gabriela Moletti, urzędnika policji z Livorno - dodał doktor Buotti.

- Daremny trud - beznamiętnym głosem odezwał się ojciec di Gracciolani. - To nazwisko jest nam znane. Ów podły człowiek, który przywłaszczył sobie cały dobytek Franceski Molla i odesłał chłopca do przytułku, zmarł przed dwoma laty.

- Ale myśl udania się do Sorrento uważam za słuszną! - zapalił się doktor Buotti. - Może Angelica Cenni i jej dzieci żyją tam szczęśliwie do tej pory? Może w ciągu tych długich lat otrzymali jakieś nowe wiadomości o Giacomo. Trzeba koniecznie odszukać rodzinę Cennich! Chętnie podejmę się tej misji, jeśli zechce mi pan ją powierzyć, ekscelencjo!

- Z radością przyjmę pańską gotowość, z wielką radością! Giovanni, pojedziesz razem z signorem Buottim. Ile dni potrzebuje pan na przygotowanie się do drogi, kochany doktorze?

- O, to nie zajmie wiele czasu, mogę wyruszyć choćby jutro.

Na twarzy ojca Fulvia odmalował się wyraz czujnego napięcia. Po chwili namysłu zabrał głos, tłumacząc z powagą:

- Ja osobiście uważam, że signor Buotti powinien najpierw udać się do Livorno. Trzeba tam koniecznie przejrzeć raz jeszcze papiery pozostawione przez Gabriela Moletti. W końcu warto by odwiedzić Marsylię, porozmawiać z sąsiadami zmarłej signory Franceski. Sam



wybiore się do Marsylii, jednocześnie z wyjazdem doktora Buotti do Livorno.

- Ależ, wielebny ojcze, w Livorno mogę być po powrocie z Sorrento. Poza starymi papierami policyjnymi wyprawa do Livorno nie rokuje nic nowego ani ciekawego. Tymczasem z Sorrento przywiozę może jakieś nowe wiadomości o Giacomo.

- Przyjaciele, brak mi słów, by wyrazić wam obu mą wdzięczność. Mój wiek i związane z nim dolegliwości skazują mnie na bezczynność, lecz signor Buotti znów zapalił w moim sercu promyk nadziei. Może Bóg pozwoli mi jeszcze pobłogostawić wnuki... O, moi drodzy, z jakąż niecierpliwością będę oczekiwał wieści od was!

Ojciec Fulvio, zdawało się, z niezbyt wielką uwagą słuchał, co mówi hrabia. Przeszedł się po sali marszcząc czoło, jakby ważył w sobie jakieś postanowienie, i wreszcie zwrócił się do służącego.

- Giovanni, pojedź natychmiast na lagunę i dowiedz się, czy w najbliższych dniach odchodzi jakiś statek na południe. Sądzę, że o wiele wygodniej będzie doktorowi Buotti odbyć tę podróż drogą morską niż lądową.

- Najzupelniejsza racja, wielebny ojcze! Naturalnie, że spokojna, obszerna kajuta będzie dla doktora Buotti o wiele wygodniejsza aniżeli trzęsąca kareta i męczące noclegi w przydrożnych zajazdach. Powiniennem był sam o tym pomyśleć, lecz wszystko mać mi się w głowie. Pozwólcie, że was uścisnę, drodzy przyjaciele!

#### 4

W kilka dni później, o wczesnym majowym poranku, dwie gondole odbiły od nabrzeża kanału, nad którym wznosił się fronton Marmurowego Pałacu, i znikły pod łukowym mostem. Hrabia d'Ellano z progu żegnał odjeżdżających. W każdej gondoli znajdowało się po dwóch pasażerów.

Pierwsza z tych czarnych łodzi skierowała się w stronę laguny. Wenecka galeota „La Bella Veneziana” przyjęła na pokład doktora teologii Tommasa Buotti i jego służącego Giovanniego. Po paru godzinach statek podniósł kotwicę i wziął kurs na Brindisi.

W drugiej gondoli razem z wielbnym ojcem Fulvio siedział zakrystian pałacowej kaplicy Luigi Grinelli.

Gondola popłynęła aż na kraniec miasta, gdzie na brudnym placu przed starym hotelem stało kilka dyliżansów i karet mających wyruszyć do różnych miast Italii. Według słów ojca Fulvia, który przedstawił swój plan hrabiemu, udawał się on do Genui, gdyż - jak się dowiedział - stamtąd właśnie w najbliższych dniach miał odpłynąć francuski statek wprost do Marsylii.

W pokoju hotelowym, wynajętym przez ojca Fulvia na kilka godzin, zaszła zdumiewająca zmiana w wyglądzie zewnętrznym duchownej osoby. Zrzuciwszy szaty kapłańskie ojciec Fulvio przykleił sobie wąsy i wdział strój oficera, wybierającego się konno w daleką podróż. Naciągnął skórzane rajtuzy, buty z wyłogami sięgające prawie do połowy łydek i przypiął ostrogi zdolne poskromić każdego rumaka. Przeobrażony w ten sposób wetknął wreszcie za pas dwa pistolety i przykrył swe siwe włosy i tonsurę szerokim kapeluszem z podwiniętym zawadiacko rondem. Luigi Grinelli przybrał nie mniej wojowniczy, choć bardziej skromny wygląd ordynansa. Pod wieczór Luigi przyprowadził przed hotel dwa wypoczęte karę konie. Jednakże dwaj jeźdźcy pocwałowali bynajmniej nie w stronę Genui. W dużym pośpiechu, zmieniwszy po drodze wierzchowce, dotarli do Rzymu. Tu, prawie nie odpoczywając, znów dosiedli świeżych koni i prostą, ruchliwą Drogą Apijską, zbudowaną jeszcze przez starożytnych Rzymian, ruszyli w kierunku Neapolu.

Ojciec Benedykt Morsini mieszkał obok swego kościółka, którego parafianami byli rybacy i

chłopi z okolic Sorrento.

Odmówiwszy wieczorne modlitwy ojciec Benedykt zdrzemnął się już w swej ciasnej i dusznej izdebce. Minęła północ. Lecz „żołnierz Chrystusowy” miał czujny sen... W pewnej chwili posłyszał tętent kopyt. Jacyś jeźdźcy zeskoczyli z koni przed jego domkiem i ktoś zapukał do drzwi. Dwa wolne i trzy szybkie, ostrożne uderzenia. Mnich poderwał się, momentalnie otrzeźwiony ze snu, spiesznie zapalił świecę od lampki oliwnej i pobiegł otworzyć.

W pierwszej chwili nie poznał dwóch zakurzonych podróżnych o nader wojowniczym wyglądzie i w przestrachu cofnął się do sieni, przekonany, że to jacyś nocni łotrzykowie oszukali go tajemnym znakiem i zaszczycili swą wizytą. Ale kiedy blask świecy padł na twarz starszego z podróżnych, a z jego górnej wargi, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, znikły zawadiacko podkręcone wąsy, ojciec Benedykt zgiął się w pełnym szacunku ukłonie i z pokorą ucałował rękę wyswobodzoną ze skórzanej rękawicy.

Upewniwszy się, że okiennice są dość szczelne, a ściany dość grube i że w pobliżu nie ma ciekawskich sąsiadów, ojciec Fulvio kazał zaryglować drzwi i usiadł przy małym stoliku z krucyfiksem.

- Bracie Luigi, możesz odpocząć - rzucił swemu towarzyszowi, który jednak mimo to pozostał przy drzwiach. - Dlaczego od tak dawna nie otrzymałem żadnych wiadomości bracie Benedykcie?

- Nic szczególnego nie zdarzyło się od czasu ostatniej spowiedzi Angeliki Cenni, wielbny ojcze - tłumaczył się mnich, wyraźnie drżąc ze strachu przed zwierzchnikiem.

- Czy spowiadałeś ją jeszcze?

- Trzykrotnie, wielbny ojcze. Zrzuciła ciężar z serca wyznając wszystko, lecz nie dodała nic nowego, o czym byśmy nie widzieli.

- A czy Giacomo Grelli, to znaczy wicehrabia Chancefieldu, nie przysyłał kogoś do Sorrento, aby odwiedził Angelikę?

- Ani jeden z jego statków nie zawijał do Neapolu i nikt obcy nie odwiedzał Angeliki.

- Powiedz mi, bracie Benedykcie, czy ten Giacomo może pamiętać twoje imię i mógłby cię poznać?

- Co do tego nie mam wątpliwości, wielbny ojcze! Wielekroć widywał mnie w kościółku, dwa razy przystępował u mnie do komunii świętej i nazywał mnie po imieniu. Jego przyjaciele Giuseppe i Woodrow także bywali w kościółku i znają mnie osobiście.

- Bracie Benedykcie, spodobało się Bogu, abyś stał się narzędziem jego woli. Naszej sprawie grozi wielkie niebezpieczeństwo. Sama Opatrzność, bez naszej pomocy, usunęła syna Giacoma Grellego, małego Charlesa, pogrzebanego na wyspie pośród Oceanu Indyjskiego. Dzieci Angeliki, Dorotea i Antonio Cenni, które znały tajemnicę Giacoma, zginęły podczas wyprawy „Świętego Antoniego”. Gabriel Moletti nie żyje, a w Livorno nie ma śladu jakichkolwiek papierów dotyczących dziecka imieniem Giacomo. Przemiana Giacoma Molli w pirata Grellego, o czym wiedział Moletti, a następnie metamorfoza Grellego, który stał się wicehrabią Chancefieldu, o czym wie Angelika Cenni, dotychczas pozostawała tajemnicą dla hrabiego d'Ellano. Ale jest już na tropie tej tajemnicy niejaki doktor Tommaso Buotti. W tych dniach wyruszył z Wenecji i tylko z wielkim trudem udało mi się skierować go okrężną drogą, aby móc go wyprzedzić. Angelica Cenni musi jeszcze przed przybyciem doktora Buotti... zniknąć stąd. Nie wolno dopuścić, aby Buotti z nią rozmawiał! Niech zastanie tutaj tylko ciebie. Mam nadzieję, że nie muszę cię pouczać, co masz mu powiedzieć... Czy zrozumiałeś zadanie, jakie masz wykonać w imię interesów zakonu? Audaces fortuna iuvat\*.

Mnich zasepił się.

---

\* Audaces... (łac.) - Śmiałym los sprzyja.

- Age quod agis\* - szepnął nie patrząc na zwierzchnika.

W źrenicach ojca Fulvia zamigotał gniew.

- Ojciec naszego zakonu uczył, że dobra jest każda droga wiodąca do wytyczonego celu, albowiem cel uświęca środki! - zawołał groźnie błyskając oczami. - Z najcięższych doświadczeń wychodzimy zawsze nieskalani, gdyż wszystko, co czynimy, czynimy ad maiorem Dei gloriam\*. Ogromne bogactwa hrabiego nie powinny trafić do rąk grzesznych, żadnych ziemskich uciech potomków tego pomyleńca. Jego złoto przeznaczone jest dla naszej matki Kościoła. Przysporzy ono potęgi zakonowi i posłuży wielkim celom! Przeszło dwadzieścia lat trudzę się, by urzeczywistnić ten plan, od chwili gdy ty, bracie Benedykcie, wyjawiałeś mi, jako spowiednikowi hrabiego, tajemnicę pochodzenia Giacoma Molli. Kościół policzy ci tę zasługę, pomnożoną o dwudziestoletnią służbę zakonowi. Teraz musisz zapobiec nowemu niebezpieczeństwu: Angelica Cenni nie może spotkać się z Buottim.

- Ależ ona jest chora i ani na chwilę nie opuszcza łóża!

- Bracie Benedykcie! - w głosie ojca Fulvio zadźwięczały bynajmniej nie chrześcijańskie nutki groźby i zniecierpliwienia. - To jest kwestia dni, a nie tygodni. Buotti może wylądować wcześniej i przybyć tu, zanim ona wyzdrowieje. Pozwalam... na wszelkie środki.

- W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego - wyszeptał mnich blednąc.

- To jeszcze nie wszystko! Po wyjeździe Buottiego odczekasz miesiąc i udasz się do Anglii, do Bultonu. Zgłosisz się do wicehrabiego i powiesz mu, że Angelica, którą spowiadałeś przed śmiercią, przebaczyła grzesznemu Giacomo uwiedzenie jej nieszczęsnej córki. Przyniesiesz mu pociechę prawdziwego Kościoła, umocnisz go w wierze, że jest prawowitym, przez Boga wybranym nosicielem swego obecnego tytułu. Bądź mu podporą we wszystkich jego poczynaniach, mając przy tym na uwadze interesy Kościoła i zakonu. Niech je wesprą także brytyjskie funty wicehrabiego Chancefieldu. Po jakimś czasie możesz mu wyjawić, że twoim zadaniem jest podtrzymanie katolicyzmu w Anglii w oparciu o środki pieniężne syna naszego Kościoła, zmuszonego do udawania heretyka-protestanta. Obiecasz wicehrabiemu przebaczenie Kościoła w zamian za znaczne ofiary pieniężne na naszą rzecz. A najważniejsze - odwracaj jego myśli od Italii... Otworzysz w Bultonie kaplicę i musisz zasłynąć jako mąż świętobliwy, dając przykład bogobożności, miłosierdzia i wyrozumiałości. Staraj się pozyskać jak najwięcej parafian i wyławiaj zbłąkane dusze. Pamiętaj, wicehrabia Chancefieldu potrzebuje sojuszników. Podda cię próbie i winien się przekonać, że pod każdym względem może na ciebie liczyć.

- Ale tamtejszy nowy biskup...

- Sam wiesz od Angeliki, że ten protestancki klecha pięć lat temu spowiadał Giacoma, gdy ten był śmiertelnie ranny, i do dziś zachowuje jego tajemnicę. Przekup go. Przyrzeknij mu sto tysięcy, dwieście tysięcy z przyszłego dziedzictwa po hrabim, jeśli... Giacomo do śmierci pozostanie Rilandem i wicehrabią Chancefieldu, a ekscelencja Paolo nigdy się nie dowie, że jego syn żyje. Co do ceny za milczenie już się dogadacie... Nie spuszczaaj również z oka córki wicehrabiego. Z czasem postaraj się zyskać wpływ i na nią. A najważniejsze - odciągaj ojca i córkę od myśli o Italii. Potajemną łączność ze mną będziesz utrzymywał nadal przez Luigi Grinellego. Ale nie wolno ci tego zdradzić nikomu, nawet pod groźbą, nawet gdyby cię mieli wziąć na tortury! A teraz...

Ojciec Fulvio uniósł lewą rękę i ostrożnie zdjął z serdecznego palca duży pierścień z agatową pieczęcią. Rysunek na pieczęci wyobrażał salamandrę. Odwróciwszy się ku światłu ojciec Fulvio odkręcił ciemnoczerwony kamień. Pod nim, w złotym gniazdku, leżały dwie maleńkie białe kuleczki. Ojciec Benedykt przyjął pierścień, z wielką ostrożnością przykręcił agatową pieczęć i włożył dar ojca Fulvio na palec.

---

\* Age quod agis (łac.) - Czyń, co masz czynić.

\* Ad maiorem... (łac.) - Ku większej chwale bożej - dewiza zakonu jezuitów.

Musnąwszy ustami zroszone potem czoło mnicha nocny gość dał znak swojemu „ordynansowi”, że czas ruszać w dalszą drogę. Luigi Grinelli usłużnie otworzył przed nim drzwi.

## 5

Gorący czerwcowy wiatr wzbijał tumany kurzu na ulicach Marsylii. Firanki w oknach hotelu „Pod Trzema Łabędziami” trzepotały w strumieniach suchego żaru bijącego z rozpalonych słońcem kamieni nabrzeża. Doktor Buotti, zrzuciwszy w pokoju swój lekki płaszcz i wilgotny od potu kapelusz, siedział przy stole naprzeciw ojca Fulvio di Gracciolani. Jezuita czynił dziś wrażenie jakby mniej pysznego i chmurnego niż zwykle.

- Bardzo jestem rad słyszeć - powiedział przymilnie - że i pan, doktorze Buotti, pokochał mego duchownego syna i tak mocno bierze sobie do serca jego sprawy. Ale co skłoniło pana do przybycia tutaj i odszukania mnie w Marsylii?

- Wielebny ojcie - odpowiedział zgnębiony doktor - po niepowodzeniu w Sorrento pośpieszyłem do Marsylii w nadziei uzyskania od ojca rady, jak przygotować hrabiego na tak smutne wiadomości. Sądziłem też, że może tu będę mógł pomóc ojcu w poszukiwaniach.

- Tak, wiadomości są rzeczywiście nader smutne. A więc Angelica Cenni opuściła ziemski padół... I mówi pan, że zmarła niedawno?

- Tak, stało się to na parę dni przed moim przybyciem do Sorrento. Może gdyby nie moja małoduszność, która skłoniła mnie do obrania wygodniejszej drogi morskiej zamiast lądowej, zastałbym ją jeszcze przy życiu.

- Wszystko jest w rękach Boga, signor Buotti... A co było przyczyną jej śmierci?

- Angelica była chora i od kilku dni nie wstawała z łóżka. Jej sąsiadka opowiadała mi, że miejscowy ksiądz, dobry ojciec Benedykt Morsini, we wzruszający sposób podtrzymywał duchowe i cielesne siły chorej. Sam też posłał po lekarstwo zapisane przez doktora z Sorrento. Sąsiadka podała wieczorem chorej to lekarstwo, a wśród nocy Angelica zaczęła jęczeć, wic się na łożu, straciła przytomność i wkrótce zmarła, jakoby na atak serca. Ojciec Benedykt powziął obawę, czy aptekarz nie pomylił się w dozie opium. Spróbował sam lekarstwa ze szklanki, zanim wylał resztki, i przekonał się, że było całkiem nieszkodliwe. Widocznie niedawna wiadomość o zagładzie francuskiej ekspedycji w Afryce, do której przemocą zwerbowano dzieci Angeliki, ostatecznie ją dobiła.

- Czy uważa pan za pewną wiadomość o śmierci Antonia i Dorotei Cenni?

- Niestety tak, wielebny ojcie. Dowiadywałem się u władz portowych. W spisie nielicznych ocalałych z „Świętego Antoniego” nie figuruje ani imię Antonia, ani jego siostry. Jaki straszny, nowy cios dla ekscelencji Paolo! Nie pozostał już nikt z tych, którzy znali bliżej Giacoma Mollę!

- A o nim nie udało się panu zdobyć jakichś nowych wiadomości?

- Widzi ojciec, pomodliwszy się na świeżym grobie Angeliki Cenni, pojechałem na Capri, gdzie Giacomo wyrósł w rodzinie rybaka Rodolfo...

Lekki cień trwogi, jaki przemknął przez czoło ojca Fulvio, uszedł uwagi rozmówcy. Cień ten zupełnie zniknął, gdy doktor z westchnieniem oświadczył, iż na Capri dowiedział się tylko, jak w przybliżeniu wyglądał Giacomo, i że był to młodzieniec o stanowczym, upartym charakterze.

- W rozmowie z jednym z sąsiadów zmarłego Rudolfo - dodał doktor - udało mi się jeszcze ustalić, że w pięćdziesiątym piątym roku Giacomo odpłynął na szwedzkim statku nie sam, lecz z angielskim marynarzem, którego na Capri nazywano Bartolomeo Grelli.

Przy tych słowach na czole jezuita pojawił się już nie lekki cień, ale trzy głębokie bruzdy. Ojciec Fulvio wstał od stołu i zaczął chodzić po pokoju. Doktor nie podejrzał nawet, jak

gorączkowo pracuje umysł jego rozmówcy. Jezuita rozważał, czy wolno nadal ukrywać przed Buottim, że właśnie ów Bartolomeo Grelli został później mężem Franceski Molla. Nazwisko to dawało wścibskiemu teologowi niebezpieczną nić do rąk. Przebywając w Marsylii z łatwością może sam dojść do prawdy...

Ostatecznie ojciec Fulvio doszedł do wniosku, iż ukrywać tę prawdę jest rzeczą jeszcze bardziej niebezpieczną, niż pozwolić doktorowi odkryć ją samodzielnie. Trzeba się tylko postarać, by ta nowa dla doktora wieść została przezeń przyjęta jak coś zupełnie nieistotnego...

- Ów Bartolomeo Grelley czy Grelli, jak go pan nazywa - zaczął powróciwszy do stołu i siadając znów naprzeciw swego, tak bardzo niepożądanego pomocnika - ożenił się potem z signorą Franceską. Zmarli oboje w rok po ślubie podczas epidemii grasującej wówczas w okolicach portu marsylskiego. Stało się to z początkiem ubiegłego dziesięciolecia.

- O, to bardzo ważny szczegół! - wykrzyknął uradowany teolog. - A więc podróż do Marsylii nie była bezcelowa!

- Niestety, signor, już od dawna posiadam te wiadomości, nie rzucają one jednak najmniejszego światła na losy samego Giacomina.

- Ależ, wielbny ojcze, przecież nie może być rzeczą przypadku małżeństwo Bartolomeo Grellego z matką jego młodego towarzysza wyprawy! Znaczyłoby to, że po powrocie Bartolomeo i Giacomo razem odszukali signorę Franceskę.

- Małżonkowie Grelli stracili wkrótce Giacomina z oczu, wyjechał bowiem z Marsylii jeszcze przed ślubem.

- A więc jednak przybywa nowy szczegół! Giacomo był w Marsylii tuż przed zawarciem małżeństwa Bartolomea Grellego z signorą Franceską Molla. Kiedy odbył się ich ślub?

- Zarejestrowany został w roku sześćdziesiątym pierwszym. Wszyscy troje przybyli do Marsylii w roku sześćdziesiątym.

- I w tym samym roku Giacomo opuścił to miasto?

- Tak.

- A w sześćdziesiątym drugim Franceska i Bartolomeo zmarli podczas epidemii?

- Tak.

Doktor Buotti zamyślił się głęboko.

- Warto by przeprowadzić tu bardziej szczegółowe poszukiwania - rzekł z przekonaniem.

Ojciec Fulvio spojrzął na niego z wściekłością. Z trudem hamując rozdrażnienie westchnął i odwrócił się do okna.

- Może będzie pan miał więcej szczęścia ode mnie, signor Buotti. Rozmawiałem z dziesiątkami ludzi, którzy znali Franceskę i Bartolomea Grelleya. Nic to jednak nie wniosło nowego poza tym, co już wiemy o Giacomo. Niech pan zostanie w Marsylii i prowadzi dalej poszukiwania w sprawie, którą ja uważam za zakończoną. Moje obowiązki wzywają mnie z powrotem do Wenecji, do mego ukochanego duchowego syna... Jedyłą i wielką pociechą dla hrabiego będzie świadomość, że jego dziedzictwo stanie się własnością nie pojedynczego potomka, lecz wykorzystane zostanie dla dobra setek i tysięcy dzieci Chrystusowych!

Doktor Buotti podniósł się w zamyśleniu, uściśnął dłoń jezuitę i opuścił jego pokój w marsylskim hotelu „Pod Trzema Łabędziami”.

## 6

Po zoranej zmarszczkami twarzy hrabiego Paolo spływały łzy. Nie próbował nawet ich ocierać. Skłoniwszy głowę na ręce słuchał opowiadania doktora Tommaso Buotti.

Skończywszy doktor ze współczuciem dotknął ręki hrabiego.

- Ekscelencjo - szepnął wzruszony. - Pański ból rani mnie tak głęboko, że gotów jestem

uczynić celem mego życia doprowadzenie do końca rozpoczętych poszukiwań... Czy wierzy pan w przeczucie, hrabio?

Ten pokręcił głową.

- Signor Buotti, mój spowiednik przygotował mnie już na to, co w tej chwili od pana usłyszałem. Wierze nie w przeczucie, lecz w nieubłaganą moc przeznaczenia. Fatum, przeznaczenie, nieunikniony los! Kismet, jak powiadają pobożni Persowie, korząc się przed przeznaczeniem. Idę za ich przykładem, albowiem wierzę, że w świecie istnieje prawo równowagi dobra i zła. Wierzę także, iż ani jeden zły czyn nie pozostaje bez kary, tak samo jak dobry - bez nagrody. Ja zostałem ukarany za błędy i grzechy mej burzliwej młodości. Kismet!

- Nie podzielam pańskich poglądów, hrabio, jakkolwiek daleki jestem od lekceważenia tej fatalistycznej wschodniej mądrości. Jednakże nie wydaje mi się, by sprawa była aż tak beznadziejna. Nie wierzę, aby owo fatum obrało sobie właśnie pana jako obiekt zemsty na ludzkości za istniejące w świecie zło...

- Pan jest zbyt łaskaw dla mnie, doktorze! Muszę wyznać, że w ciągu wielu, wielu lat gorzkiej samotności nie spotkałem nigdy człowieka, do którego tak lgnęłaby moja dusza, jak lgnie do pana, signor Buotti. Początkowo sądziłem, że to pańska wyjątkowa erudycja tak mnie w pana pociąga. Później dopiero zrozumiałem, że przyczyny tego tkwią głębiej, a mianowicie w zaletach pańskiego serca, mój przyjacielu.

- Niech więc pan pozwoli, ekscelencjo, abym wolno, skrupulatnie i ostrożnie poprowadził dalej rozpoczęte dzieło. Moja ostatnia podróż była zbyt pochopnym przedsięwzięciem. Wpierw trzeba zbadać ponownie wszystkie stare ślady, przygotować i zebrać wszelkie dane, rozesłać listy, nawiązać nowe kontakty. W Marsylii dowiedziałem się od kilku osób znających Franceskę i Grelleya, że pański syn służył w szwedzkiej armii generała Hamiltona, walczącej na Pomorzu. Może tam, na północy, Giacomo nawiązał jakieś nowe stosunki. W Sorrento dowiedziałem się na przykład, że Angelica przez pewien czas otrzymywała czeki pieniężne z Anglii, gdzie jej córka Dorotea, bardzo piękna dziewczyna, przebywała podobno w domu jakiegoś znakomitego lorda. Później Dorotea wróciła do Sorrento i przez kilka lat żyła wraz z matką w bardzo trudnych warunkach, utrzymując się ze skromnych środków zdobywanych przez jej brata Antonia. Ta rodzina musiała pamiętać o Giacomo i na pewno go poszukiwała. Być może, ojciec Benedykt, tamtejszy ksiądz, wie ze spowiedzi Angeliki znacznie więcej niż to, co mnie wyjawiał. Przy wytrwałych poszukiwaniach można nieoczekiwanie natrafić na jakiś nowy, ważny ślad. Jestem starym molem książkowym i posiadam dostateczny zasób cierpliwości. Proszę mi powierzyć dalsze poszukiwania, a... mam nadzieję, że zostaną uwieńczone powodzeniem!

- Drogi przyjacielu, czy wziął pan jednak pod uwagę, że mój syn, jeśli żyje, może czuć się śmiertelnie dotknięty moją obojętnością w najtrudniejszych dla niego latach chłopięcych? Giacomo mógł sam postarać się o to, aby pod przybranym nazwiskiem ukryć się przede mną na zawsze. To on właśnie jest owym narzędziem kary w rękach losu!

- Uparcie powraca pan do swoich „wschodnich dogmatów”, ekscelencjo. A ja wierzę w przeczucie, które mówi mi, że pan jeszcze przycisnie do serca swego potomka tu, w tym Marmurowym Pałacu. Czy zgadza się pan, abym podjął dalsze poszukiwania?

- Błogosławię pana i pański przyszły trud - szepnął hrabia i serdecznie uściśnął doktora.

Pewnej letniej nocy 1778 roku długo paliło się światło w górnym oknie chancefieldzkiego zamku.

Szczelnie zaciągnięte zasłony przepuszczały na zewnątrz tylko wąziutką smugę światła. Ten jeden jedyny oświetlony nocą pokój był górnym gabinetem pana domu. Wicehrabia w zamyśleniu wpatrywał się w migotliwy płomyk świecy. Siedzący naprzeciwko właściciel

bultońskiej tawerny portowej opuścił oczy i wprawnym ruchem skręcił papierosa.

- To nie jest taka prosta sprawa - przerwał milczenie Woodrow Crag. - Diabli go wiedzą, co on knuje, ten klecha.

- Ależ pomyśl tylko, Woodrow! Gdyby istotnie knuł coś przeciwko nam, to po co ujawniałby się przede mną.

- O, to szczone lisy, ci ojcowie jezuiti - mruknął Crag.

- Nie ukrywa też przede mną swych zamiarów. Katolicyzm nie umarł jeszcze w Anglii i Kościół Rzymski pragnie go odrodzić. Ten jezuita jest jego tajemnym wysłannikiem. Tak sobie tłumaczę jego przybycie.

- Ależ tobie, Giacomo, nie wolno otwarcie popierać katolików! Wiesz, jak ich naród nienawidzi. Przypomnij sobie Thomasa Garneta i Guy Fawkesa. Dotąd jeszcze londyńczycy obnoszą po ulicach jego kukłę w dniu piątego listopada.

- On też nie żąda jawnego poparcia... A ja od dawna pragnę się pogodzić z Kościołem Katolickim. Jest to kościół silny, bardzo silny... I ten ojciec Benedykt może nam się przydać... W młodości nie mało krwi napsułem ojcom jezuitom. Oni też porządnie dali mi się we znaki. Teraz, po tylu latach, jesteśmy kwita. A wiesz, Angelica przebaczyła mi przed śmiercią Doroteę! Księżulo przywiózł mi chrześcijańską pociechę i prosił tylko o niewielki datek na urządzenie skromnej kaplicy.

- No, nie na darmo się mówi: „Pokaż mnichowi palec, on cię złapie za całą rękę”... Zresztą nie chodzi tylko o pieniądze. Czy nie jest on ukrytym szpiegiem w sutannie?

- Pamiętam go jeszcze z dzieciństwa. Spowiadałem się u niego, Dorotea także. Angelica sama posłała go do mnie z przebaczeniem.

- To... on tak twierdzi.

- A dlaczego mam mu nie wierzyć, Woodrow?

- Wygląda, jakbyś się po prostu cieszył z przybycia tego mnicha, Giacomo. Z kim on jest związany w Italii? Kto go przysłał do ciebie... oprócz Angeliki?

- Przypuszczam, że zakon. Nie może mi tego zdradzić, jezuiti potrafią nie gorzej od nas chronić swe tajemnice. Nie moją rzeczą jest w to wnikać, jak długo zakon nie żąda ode mnie nic więcej prócz marnych kilkuset funtów. Przypuśćmy, że pozbedziemy się tego Benedykta Morsini. Ale ci, którzy go przysłali, pozostaną w Italii i staną się moimi zaciekłymi wrogami, czy nie tak? Nie, nie mam zamiaru wojować z jezuitami. Jest dla mnie rzeczą jasną, że ci, którzy przysłali do nas tego mnicha, doskonale znają i nasze nazwiska, i nasze sprawy! Gotów jestem pomóc w tajemnicy temu wysłannikowi Kościoła. Ale jeśli on nie jest wysłannikiem Kościoła, wtedy biada mu! Dlatego będziesz musiał wziąć go pod taki nadzór, by nawet gołąb nie mógł przelecieć, nawet kret przekraść się do niego nie zauważony przez nas.

- Czy on już upatrzył sobie miejsce na swoją przyszłą kaplicę?

- Tak, w porcie. Mądrze to zrobił, tam kaplica będzie służyć podróżnym z okrętów. Tutejsza gmina nie będzie miała nic przeciwko temu, aby przyjezdni modlili się w swojej kaplicy. Przecież ze czterdzieści już lat stoi w samym mieście grecka kaplica.

- Port jest wielki! Gdzież ten klecha ma zamiar postawić kaplicę?

- Znasz domek nieboszczyka Andrew Lawsona?

- Pewnie, że znam. Po śmierci staruszka już chyba rok stoi pusty. Mieszka tam niejaki Gregory Webst, ale i on zamierza wyjechać, aby poszukać sobie innej pracy. Gregory to mój człowiek.

- Tym lepiej. Niech on bezwzględnie tam zostanie. Lawson zapisał ten domek jakiemuś dalekiemu krewnemu. Kupię go dla ojca Benedykta i przebuduję na kaplicę. Mój malarz, mister August Jarnes, jest pobożnym katolikiem. Potrafi zamienić ten domek w prawdziwą włoską kaplicę. Rozumiesz, mój stary, mimo wszystko właśnie tego brakowało mi jakoś w Bultonie!

## **Sekretarz wicehrabiego**

### **1**

Lady Ellen Riland przebierała się na wieczorne przyjęcie gości. Gorset, ciasno opinający i bez tego wąską talię wicehrabiny, czynił jej postać podobną do smukłego kielicha. Wykwintne uczesanie - dzieło francuskiego fryzjera milady - zręcznie łączyło klasyczne gusta mistrza z wymogami angielskiej mody 1778 roku. Balowa toaleta lady odznaczała się ową trudno osiągalną prostotą, która kosztowała pana wicehrabiego trzykroć więcej aniżeli najbardziej wymyślne stroje małżonek innych bultońskich bogaczy.

Aby nie zespsuć sobie figury, lady Ellen ani na moment nie dopuściła do piersi swojej jedynej córki Izabeli. Urodzona wkrótce po powrocie małżonków z podróży po Skandynawii, dziewczynka od pierwszych chwil swego życia ssała mleko mamki, szwedzkiej wieśniaczki Helgi Lund.

Zgodnie z tradycją, do której przywykła służba Chancefieldu jeszcze za czasów poprzedniej pani domu, mamka wykazywała więcej troski o dziecko niż sama milady. Lecz gdy mały Charles zaznał przynajmniej ciepła ojcowskiej miłości, los Izabeli okazał się o wiele smutniejszy. Wicehrabia przyjął narodziny córki z nieukrywanym rozczarowaniem i w ciągu pięciu lat ani razu nie podszedł do łóżeczka. Izabela rozpoczęła już szósty rok życia i rosła w rodzicielskim domu jak mały kopciuszek, obojętna ojcu i matce, zdana wyłącznie na opiekę swej surowej, rosliej niani.

Jesienne barwy ogrodu gasły już za oknem we wczesnym sierpniowym zmierzchu, gdy lady Ellen przypięła do gorsetu trzy żywe róże z domowej cieplarni i poprawiła wisiorki brylantowej koliai. Uniósłszy ręce ku złocistym włosom skłoniła głowę, a ruchy te powtórzyło wiernie sześć zwierciadeł gotowalni.

W tej chwili za plecami stanęła mamka Izabeli. Łamaną angielszczyzną zawiadomiła wicehrabinę, że jej córka zachorowała. Dziecko ma wysoką gorączkę i czerwoną wysypkę na ciele.

Milady poprosiła niańkę, aby się odsunęła od gotowalni, i szybko ustawiła między nią a sobą pięcioramienny świecznik, jakby tworząc w ten sposób ognistą zaporę przeciwko nieznanemu zarazie. Następnie wicehrabina poleciła pokojowej, by zameldowała jej, gdy tylko przybędzie doktor Gracewell, który był również na dziś zaproszony, i przyrzekła niańce, że później zajrzy do dzieciennego pokoju.

- Dziecko dlatego zachorowało, że pozwalasz mu bawić się z Bóg wie kim - dodała z niezadowolaniem milady, przypomniawszy sobie, jak to niedawno podczas konnej przejażdżki spotkała na łące grupę chłopskich dzieciaków, wśród których bawiła się Izabela razem ze swą skandynawską nianią. - Możesz odejść i nie opuszczaj dzieciennego pokoju!

Tymczasem w dolnych salonach odnowionego do niepoznania domu zaczęli już zbierać się goście. Jako jeden z pierwszych przybył redaktor bultońskiego tygodnika „Monitor”. Od razu w hallu natknął się na zażywnego mister Ruby Rosiniusa”, wydawcę „Bulton Advertiser”, bardzo marnego pisma opozycyjnego. Panowie wymienili chłodne ukłony i natychmiast wdali się w zażartą dyskusję na aktualny temat niepowodzeń amerykańskiej wojny.

Po chwili wśród gości pojawił się barczysty mężczyzna o kwadratowym podbródku, właściciel położonego w sąsiedztwie dużego majątku Wolveswood, sir Henry Blandhill, potomek starego rycerskiego rodu. Sędziwy ojciec sir Henry'ego, markiz John Blandhill, cieszący się wciąż doskonałym zdrowiem, liczył sobie co najmniej dziewięćdziesiąt lat.



Pamiętał on sir Francisa, pierwszego wicehrabiego Chancefieldu, pradziada obecnego dziedzica, i uważał Rilandów za parweniuszy i dorobkiewiczów. Jednakże mariaż sir Fredericka z urodzoną lady i wciąż rosnące powodzenie świeżo upieczonego wicehrabiego w sprawach handlowych skłoniły sir Blandhilla juniora do odstąpienia sąsiadowi, za bająką sumę, kawałka pogranicznych terenów myśliwskich. Odtąd wicehrabia i przyszły markiz polowali często razem i bywali u siebie. Fama głosiła, że sir Henry nie pozostał obojętny na wdzięki milady Riland, lecz jej małżonek widać niezbyt się tym przejmował.

U kolumn paradnego wejścia zatrzymywały się wciąż nowe powozy, a gdy goście wysiedli, odjeżdżały biegnącą łagodnym łukiem aleją podjazdu na dziedziniec stajenny. Panie i panowie poprawiali przed lustrami stroje, w salonach, w korytarzach i na schodach szeleściły już suknie, rozbrzmiewał stłumiony śmiech dziewczęcy i narastał gwar. Siwy majordomus z sięgającymi do ramion bokobrodami (też tradycja Chancefieldu) głośno obwieszczał nazwiska przybyłych.

- Jego ekscelencja ksiądz biskup Thomas Redling - oznajmił w pewnej chwili.

Gdy padło to nazwisko, wicehrabia przeprosił sir Blandhilla, z którym grał właśnie w bilard, podał kij staremu Mortonowi i pośpieszył powitać gościa.

Mister Redling otrzymał wysoką godność biskupią zaledwie przed dwoma laty i to bynajmniej nie bez poparcia swych świeckich przyjaciół, a zwłaszcza osobistego konta bankowego sir Fredericka. Przy wyliczaniu zasług bultońskiego wikariusza ze szczególnym naciskiem podkreślano jego misjonarskie zasługi w Afryce.

Biskup wstępował po schodach lekko podtrzymywany pod łokieć przez sekretarza swej kancelarii wielebnego Simona Brandy. Wicehrabia, w uniformie oficera marynarki, z dystynkcjami kapitana i wspaniałymi okrągłymi epoletami, powitał biskupa u szczytu schodów.

- Pan dziś w żołnierskim ubiorze? - cicho spytał biskup wznosząc rękę do błogosławieństwa.

Wicehrabia skłonił przed nim upudrowaną perukę i odpowiedział również półgłosem:

- W takiej chwili to jedyny strój, jaki przystoi szlachcicowi, którego ojczyźnie grozi niebezpieczeństwo.

Po czym obaj rafinowani obłudnicy przeszli do salonu, gdzie lady Ellen bawiła już gości.

Dzisiejsze przyjęcie wydane zostało z okazji urodzin wicehrabiny. Skończyła ona trzydzieści dwa lata i przyjmowała teraz życzenia i komplementy z nieco melancholijnym uśmiechem.

W środkowej, rześkiej oświetlonej sali z balkonem i galerią zabrzmiała muzyka. Zaczęły się tańce. W pierwszej parze szli gospodarze domu. Wicehrabia tańczył wręcz świetnie. W starym szkockim „ecossaise” był tak wytworny, a zarazem tak męski, że całe towarzystwo nagrodziło huczny brawami ostatnie pas pięknej pary. Do walca milady została zaproszona przez sir Henry'ego Blandhilla, który przybył bez małżonki. Dyskretnie chroniąc w tańcu noski swych atlasowych pantofelków przed niebezpiecznym zetknięciem z potężnymi buciskami sir Henry'ego, hrabina posłyszała wśród ostatnich nazwisk wymienionych przez majordomusa nazwisko doktora Gracewella i wreszcie przypomniała sobie o chorej córeczce. Wysłuchawszy prośby wicehrabiny doktor udał się do dziecinnego pokoju.

Po zalanych światłem paradnych salonach pokój dziecinnie wydał się doktorowi ciemny. Para wielkich chabrowych oczu, błyszczących od gorączki, popatrzyła na niego z ciekawością i obawą. Wilgotne płowe kędziory wiły się wokół twarzyczki dziecka. Zmięta pościel była odrzucona w nieładzie, a w nogach dziewczynki spał na kółdrze mały kotek.

Doktor usiadł przy łóżeczku i połaskotał kotka po brzuszku, czym natychmiast zawojował pacjentkę.

- To Punch - z ożywieniem powiedziała Izabela. - On jest jeszcze całkiem malutki.

Zakłopotana Helga chciała zabrać kotka, lecz doktor ją powstrzymał. Doktor Gracewell był

zagorzałym zwolennikiem Rousseau i jego metod wychowawczych.

- Słusznie robicie, Helgo, przyzwyczajając dziecko do zwierząt - powiedział. - To rozwija spostrzegawczość i przyrodzony humanizm człowieka. Proszę tylko uważać, aby kot w zabawie nie zranił dziecku oka. A parę lekkich zadrapań nie ma w tym wieku znaczenia.

Doktor stwierdził u dziewczynki kur. Przepisał lekarstwo, kazał zasłaniać dniem okna pokoju i pożegnawszy się bardzo serdecznie z małą, pospieszył do milady.

Wicehrabina, zmęczona tańcem, chłodziła się wachlarzem. Usłyszawszy diagnozę uspokoiła się i zdecydowała wejść do pokoju dziecinnego. Szumiąc fałdami jedwabiu, niby chancefieldzki zagajnik podczas burzy, lady Ellen podeszła do łóżeczka i dziewczynka ujrzała przed sobą olśniewającą matkę.

- O Boże, co tu robi to wstrętne zwierzę! - skrzywiła się z obrzydzeniem wicehrabina.

Niańka pospieszyła usunąć z łóżeczka pechowego Puncta, albowiem idee autora „Emila” były widocznie obce milady. Chwycony za kark Puncta wrzasnął i rozpostarł w powietrzu puszyste łapki. Dziewczynka podniosła rozpaczliwy krzyk i milady opuściła pokój z zagniewaną twarzą, pozostawiając po sobie subtelny zapach perfum. Kotek kichnął, chowając nos we własnym futerku, po czym „wstrętne zwierzę” spokojnie ułożyło się na dawnym miejscu.

W pokoju zaległa cisza, przerywana raz po raz odgłosami muzyki. Chore dziecko wzdrygało się, otwierało oczy, aż wreszcie usnęło, ukołysane zmęczonym głosem swej niani.

Tymczasem na dole otwarto drzwi do jadalni. Na dwóch długich stołach, przybranych bukietami orchidei, połyskiwał paradny serwis na osiemdziesiąt osób ze starego angielskiego fajansu, rodzinne srebra i kryształy. Zasiadłszy wraz z innymi gośćmi do tego odświętnego stołu, mister Richard Thompson nie mógł odmówić sobie przyjemności podrażnienia pana domu, swego zacieklego antagonisty. Umyślnie głośno spytał Norwarda, kiedy wróci do Anglii kaper „Skrzydlaty”. Thompson wiedział, że sir Frederick wolałby, aby tym jego okrętem jak najmniej się interesowano, a to z powodu pewnych operacji „Skrzydlatego”.

Usłyszawszy pytanie adwokata wicehrabia czujnie nastawił ucha. „Co, u diabła, obchodzi tego gryziopiórka mój okręt?” - pomyślał z rozdrażnieniem. W ładowniach „Skrzydlatego” spoczywała duża partia zdobycznej broni z zatopionych okrętów. Niedawno wicehrabia przesłał Lornowi sekretne polecenie, aby poszukał odpowiedniego nabywcy na ten kłopotliwy towar. Chętnych, którzy gotowi byli płacić za broń trzykroć drożej, niż płaciły władze angielskie, nietrudno teraz znaleźć za oceanem. Wicehrabia uśmiechnął się uprzejmie, poinformował adwokata, że jego okręt walczy w tej chwili z wrogami króla - amerykańskimi kolonistami - i zrećnie skierował rozmowę na inny temat.

Od dawna sir Frederick miał zwyczaj, że gdy sobie coś postanowił, odwracał pierścień na serdecznym palcu lewej ręki kamieniem do wnętrza dłoni. Nieznośnie uwierający kamień przypominał mu o postanowieniu i wicehrabia nie odwracał z powrotem pierścienia dopóty, dopóki nie zrealizował swojego zamysłu. I teraz obdarzając adwokata życzliwym uśmiechem, odwrócił pierścień. „Pozbyć się Richarda Thompsona” - oto o czym dzień i noc miał mu on przypominać. Nie była to zresztą nowa myśl, zrodziła się ona w głowie samozwańczego wicehrabiego jeszcze po podróży „Oriona”, kiedy to adwokat poznał tajemnicę Chancefieldu.

Po kolacji odbył się domowy koncert. Goście mogli podziwiać sztukę włoskiego skrzypka, którego błada twarz wywarła na damach nie mniejsze wrażenie niż wykonywane przez niego utwory Haendla i Haydna. Następnie francuska śpiewaczka, odbywająca tournée po miastach Północnej Anglii, uraczyła ich paroma modnymi piosenkami, nie pozbawionymi pewnej frywolności. Sama lady Ellen dość wprawnie odegrała kilka etud na harfie, instrumencie rozmyślnie wybranym przez nią dla efektownej demonstracji pięknych ramion. W końcu mister Richard Thompson z dużym powodzeniem zadeklamował kilka monologów z tragedii

Szekspira. Sir Henry Blandhill, który usnął w pierwszym rzędzie foteli jeszcze podczas introdukcji Włocha, taktycznie i w porę obudził się przy ostatnim monologu, bardzo zadowolony, że koncert trwał tak krótko, co uważał za jego największą zaletę.

Następnie goście przeszli na górną, krytą galerię, skąd w dzień otwierał się piękny widok na park i jezioro, by podziwiać fajerwerki. W mglistym powietrzu wzbily się w górę czerwone, zielone i złociste rakiety, trysnęły fontanny zimnych ogni bengalskich i na niebie w oślepiającej świetlnej winiecie rozbłysło imię milady.

W balowej sali znów zabrzmiała muzyka. A, że grono krytycznie przyglądających się zabawie starszych pań i panów mocno się przerzedziło, młodzież z tym większą ochotą oddała się tańcom i grom towarzyskim. Amatorzy kart zasiedli do pokrytych zielonym sukniem stolików. Wreszcie część towarzystwa pożegnała gościnny dom, któremu nowa gospodyni potrafiła dodać blasku, czego mu dotąd tak bardzo brakowało.

Dobrze po północy, gdy większość pozostałych na noc gości spała już w swych pokojach, przed bramą zamku (tak w okolicy nazywano teraz przebudowany dwór chancefieldzki) zeskoczył z konia jakiś zapóźniony jeździec. Odźwierny, najstarszy ze sług Chancefieldu, wyszedł ze swej izdebki mieszczącej się w baszcie przy bramie i wpatrzył się w mrok. Przybyły niecierpliwie dobijał się do furtki.

- Czego chcecie? - spytał odźwierny.

- Pilne wieści dla pana Rilanda.

- Pan wicehrabia jest zajęty i kazał nie wpuszczać nikogo.

- Proszę natychmiast oddać to wicehrabiemu - powiedział nocny gość podając przez kratę świstek papieru z kilkoma słowami napisanymi po włosku.

Odźwierny dojrzał wpierw marynarski uniform, a potem twarz posłańca z blizną pośrodku czoła. Otworzył furtkę, wpuścił przybyłego do swej izdebki i posłał drugiego stróża do kamerdynera.

Kamerdyner, Eric March, pomny pewnych poleceń swego pana, natychmiast udał się z kartką do wicehrabiego.

## 2

Ogień płonący na ogromny kominku, w którym można było upiec na rożnie całego wołu z Manningtree, rzucał blask na ściany myśliwskiego pokoju. Nie trzeba tu było lamp ani świec; z wielkiego żyrandola wiszącego pośrodku sufitu nie zdjęto nawet pokrowca.

W oszklonych szafach połyskiwały lufy wszelkiego rodzaju broni palnej. Czarna, stal woodfordzka, dzieło angielskich mistrzów, żelazo z nadreńskich kopalni poddane obróbce w zbrojowniach Essen i Suhl, wschodnia, pokryta pięknymi wzorami stal damasceńska, złote inkrustacje na szlachetnych wyrobach szwedzkich - to wszystko przyciągało wzrok znawców do tych szaf, w których mieściło się ze dwieście sztuk najprzedniejszej broni.

Na ścianach, całkowicie pokrytych wschodnimi dywanami, zawieszona była biała broń i różne części zbroi. W wąskich długich witrynach, wyścielanych granatowym aksamitem, leżały pod szkłem pistolety wszystkich rusznikarzy świata, od niezgrabnych, brytyjskich z XV wieku począwszy aż po współczesne - francuskie, belgijskie, rosyjskie i angielskie systemy. Para wspaniałych pistoletów podróżnych, roboty tulskiego rusznikarza, leżała wprost na biurku wicehrabiego. A nad jego fotelem wisiał najnowszy typ karabinu Fergusona, wprowadzony niedawno jako uzbrojenie armii angielskiej w koloniach.

Fotel gospodarza był zarzucony wspaniałą skórą afrykańskiego lamparta z łbem o zielonych ślepiach i białych straszliwych kłach, które pozostawiły niegdyś niezatarte ślady na ciele

wicehrabiego. W rogach gabinetu stały cztery statuy w stalowych zbrojach, a u nóg jednego z nich znajdowało się legowisko charcicy Lady.

Oparłszy długi pysk na łapach Lady leżała bez ruchu na wełnianej derce, spoglądając na grono dżentelmenów przy kominku. Sir Henry Blandhill, mister Norward, komendant wojskowy Bultonu pułkownik John Barthold i pan domu omawiali z łowczym Chancefieldu plan jutrzejszego polowania. Siedzący opadał, na szerokiej sofie, pokrytej perskim dywanem, doktor Gracewell, obaj redaktorzy, Patterson i Morton półgłosem rozmawiali o wojnie. Wicehrabia kazał przynieść do gabinetu wina i zaczął się przysłuchiwać ich rozmowie.

- „Deklaracja niepodległości” ogłoszona przez tego amerykańskiego proroka Jeffersona to bardzo mocna rzecz - powiedział Patterson. - Zdobyła sympatię w Europie i pozyskała Amerykanom wielu zwolenników, szczególnie we Francji. Co gorętsze głowy rwą się po prostu, by się przysłużyć „sprawie wolności”...

Pułkownik Barthold, komendant bultońskiego garnizonu, skrzywił się z niesmakiem, gdy doktor Gracewell dramatycznym tonem począł wyliczać niepowodzenia brytyjskiego oręża.

- Nie wyszkolona, lecz bitna armia George'a Washingtona stanowi poważną siłę. Nikt nie przypuszczał, że regularne wojska naszego generała Gage'a mogą ulec rozproszonym po lasach i miasteczkach kolonistom uzbrojonym w strzelby myśliwskie. Królewski garnizon w Bostonie nie oparł się atakowi powstańców. Wątpię też, by nasze wojska utrzymały Filadelfię. Klęska naszych najemników z Hesji pod Trentonem, gdzie wojska Washingtona nocą sfrosowały rzekę Delaware, dodała ducha powstańcom i pomogła Beniaminowi Franklinowi skłonić Francuzów do uznania niepodległości kolonii. Obawiam się, że kapitulacja naszego generała Burgoyne'a pod Saratogą świadczy już o całkowitym załamaniu się strategicznego planu kampanii.

- Tak, rząd jego królewskiej mości wyzyskał niezdecydowanie na początku działań wojennych, kiedy można było jeszcze zdławić bunt w zarodku - stwierdził z ubolewaniem mister Patterson. - Teraz, gdy pożar na dobre się rozpałił, jeden Bóg wie, czym się to dla nas skończy. Francuzi przystąpili do wojny, wspierając powstańców pieniędzmi, wojskiem, flotą... A najgorsze to rewolucyjny duch powstańców! Trudno z nim walczyć... rękami najemników... Żle się dzieje, panowie!

- Nie lubię, gdy cywilne osoby zaczynają się wypowiadać w sprawach natury wojskowej - z rozdrażnieniem przerwał Pattersonowi pułkownik. - Całe to amerykańskie tałatajstwo, nie mające pojęcia o regularnych działaniach wojennych...

Nie zdążył jednak wygłosić do końca swego głębokiego sądu, gdyż przerwało mu w pół słowa pojawienie się kamerdynera.

- Proszę wybaczyć, wasza miłość - zwrócił się kamerdyner szeptem do wicehrabiego. - Jakiś jeździec przy bramie domaga się koniecznie rozmowy z panem. Prosił o doręczenie tej kartki. Pan domu rzucił na nią okiem i natychmiast się podniósł.

- Moi panowie - powiedział - myślę, że przed polowaniem należałoby przespać się kilka godzin. Nie nadużywajmy więc gościnności sir Henryka, dla którego ten pokój jest przeznaczony.

Goście zrozumieli tę niedwuznaczną aluzję.

Wicehrabia udał się na górę do swego gabinetu. Po chwili kamerdyner wprowadził zdrożonego mężczyznę w sfatygowanym marynarskim uniformie. Wicehrabia odprawił kamerdynera i mocno uściśnął przybyłego.

- Jakie przywozisz wieści, Giuseppe? - spytał po włosku. Joseph Lorn rozejrzał się wokół.

- To jedyny pokój, który poznaję w Chancefieldzie. Zrobiłeś z tego domu istny zamek. Masz jakichś ważnych gości?

- Gości pełen dom, ale tutaj nikt nam nie przeszkodzi. No, opowiadaj, Giuseppe.

- Cóż, wieści niezbyt pocieszające dla króla. W Ameryce sprawy stoją kiepsko. Za to zdobyczną broń sprzedałem bardzo korzystnie. Te amerykańskie kupczyki zapłaciły

brzęczącą monetą. Ale nowej partii na razie nie zamówili. Uważają, że wkrótce będą mieli dosyć trofeów angielskich.

- Nikt nic nie zwąchał?

- Nie. Blackwood myśli, że przekazałem broń naszym wojskom.

- No cóż, pecunia non olet\*. Zresztą cała partia broni to sama zbieranina... A ty jak zawsze spisałeś się gracko, Giuseppe! W jakim stanie jest okręt?

- „Skrzydlaty” trochę ucierpiał. Ma wyrwę w rufie. Wypaliła się też część lewej burty i nie ma fokmasztu. Biliśmy się z trzema amerykańskimi kaperami. Załataliśmy dziury i jakoś dowlekliśmy się tutaj.

- Jutro wprowadzimy okręt do doku. Gdzie się odbyła ta bitwa?

- Na północny wschód od Bermudów. Amerykanie nie są jeszcze zbyt biegli w morskim rzemiośle. Dwa okręty zatopiliśmy, trzeciemu udało się ująć. Wstąpiłem w porcie do Woodrowa. Przekazał mi dwa listy dla ciebie. Jeden przybył z Ameryki, z transportem rannych, drugi przywiozła wojenna fregata z Afryki, z Kapsztadu. Cóż mi się tak przyglądasz?

- Starzejesz się, Giuseppe! Myślę o tym, że źle ci się odwdzięczam za twoją przyjaźń. Z mojej przyczyny musisz wieść niespokojny żywot, mój stary druhu! Zostań ze mną, ożenię cię. Chciałbyś osiąść na ziemi i niańczyć dzieci?

- Ech, Giacomo, nie pamiętasz już, jak to przed śniadaniem zabijałeś pół tuzina niemieckich rajtarów, a potem uskarżałeś się przed generałem Hamiltonem na nudy, domagając się prawdziwej roboty! Nie, wolę moje życie od twego! Niech na razie zostanie wszystko po staremu.

Podczas gdy Joseph Lorn zabrał się do pieczonych kuropatw, zakrapiając je bez żenady nie rozcieńczonym rumem, pan domu otworzył listy.

- Przywiozłeś ważne wiadomości, Giuseppe! Nie darmo kazałem mieć na oku tego świętoszka Murraya.

- Murraya? Ach, tego... z wyspy? Więc on pozostał przy tym nowym nazwisku?

- Tak, zaopatrzyłem go w dokumenty pewnego nieżyjącego Amerykanina rodem z Wirginii. Jedyne wuj Amerykanina też zmarł. Dokumenty pewne na mur. Ten dureń mógłby żyć jak u Pana Boga za piecem, gdyby zapomniał o istnieniu Chancefieldu. Ja jednak postanowiłem nie wypuszczać go z pola widzenia i, jak się okazuje, słusznie!

- Kogo tam posłałeś?

- Kapitana Burnsa. Pamiętasz go?

- Tego przecherę z naszej kompanii? A gdzieżeś go odkopał?

- Tam, gdzie wszystkich naszych.

- Wyciągnąłeś go może z mamra?

- A skądże by! Wiadomo, że nie z pałacu windsorskiego! Kupiłem mu stopień kapitana i wysłałem do Ameryki z pewnymi instrukcjami. Tak jak przewidywałem, dowództwo fortu Detroit uznało, że Błękitna Dolina jest „ważnym punktem strategicznym”. Z rozkazu więc dowództwa, jak i na skutek moich tajemnych zabiegów, wysłano go tam z oddziałem naszych dragonów.

- Cóż to za Błękitna Dolina?

- Rajski zakątek, Giuseppe, gdzie mister Murray uwił sobie gniazdko. Fruwa tam jak gołąbek nad tysiącami akrów zagarniętej ziemi i przynosi w dzióbku robaczki dla swej ukochanej mistress Emily. To jej bardziej odpowiada niż rola wicehrabiny... A zły jastrząb krąży tuż nad głową.

- Co oni ci przeszkadzają? Niech sobie gruchają i kochają się.

---

\* Pecunia non olet (łac.) - pieniądz nie cuchnie.

- Widzisz, wokół tego gniazdko zaczęły się osiedlać inne ptaszki. A to już mi się nie podoba. Właśnie o tym zawiadamia mnie Burns.

- Cóż to za ptaszki?

- Po pierwsze zagnieździł się tam ten postrzelony Edward Went z córką Mortona. Starego o mało nie trafiła apopleksja, kiedy oni uciekli.

- Pisałeś mi o tym. Mów dalej.

- Po wtóre Went zawiózł tam w swojej arce syna i matkę Jedookiego.

- Co? Syna Bernardita? To już coś poważniejszego! Ile lat ma to... tygrysiątko?

- Chyba z dziesięć... Jeszcze pięć, sześć lat i stanie się niebezpieczny.

- Stanie się? On już jest niebezpieczny, Giacomo! To syn diabła! Czyżby nawet po śmierci Bernardito wciąż jeszcze był groźny dla nas? Chłopak wie, że ty, Giacomo, polowałeś na starego po całej wyspie, wie i o kamieniach... To źle, bardzo źle, że Caraccioli nie udało się wtedy w Pireusie. Tak, to znaczy, że w Błękitnej Dolinie rośnie gałąź z twardego pnia! Gdzie leży ta Dolina?

- W dorzeczu Ohio, nad dopływem rzeki Wabash. Znalazł się tam i ten smarkacz z małpką, co włączył się z Fernando.

- Rzeczywiście, wesoła ptaszarnia! Co masz zamiar zrobić, Giacomo?

- Gdyby ten bałwan Burns, zamiast bronić Doliny przed Indianami, pomógł im uzupełnić kolekcję skalpów kosztem niektórych kolonistów! Ale jak podsunąć tak delikatne zadanie takiemu głupcowi?

- A gdzie jest teraz Caracciola?

- Ty zawsze zrozumiesz mnie wpół słowa, Giuseppe! Niestety, Caracciola jest daleko. Właśnie od niego otrzymałem list z Kapsztadu.

- Cóż on tam robi?

- Niepokoi go los dwóch moich okrętów - „Glorii” i „Dorotei”. Wyszły z Kapsztadu i nie wróciły w umówionym czasie. Caracciola pyta mnie, co ma robić.

- Czekaj, opowiedz po kolei. Skąd Caracciola wziął się w Kapsztadzie?

- Wysłałem go do Afryki z trzema szkunerami jako dowódcę wyprawy.

- Znowu Rzeki Oliwne czy Kamerun? Bo ty przecież nie lubisz utartych szlaków, Giacomo.

- Nie, tym razem Kongo. Wprawdzie tam się rządzą Portugalczycy i myszkują Francuzi, ale zaryzykowałem. W połowie lutego wszystkie trzy szkunery wyruszyły w górę rzeki Zairy, lecz „Fortuna” osiadła na mieliźnie i z uszkodzonym dnem wróciła do ujścia. Murzyni okazali się dobrymi wojownikami. Moi ludzie ustalili, że w dżunglach Kongo zginął niedawno cały francuski oddział. Lecz Anglicy mają więcej doświadczenia... Nasz przyjaciel O'Heary tak sprytnie skłócił ze sobą dwóch kacyków, że Caracciola załadował na swoje okręty około dziewięćuset niewolników i odpłynął z nimi do Kapsztadu. Co prawda „Fortuna” ledwo, ledwo się tam dowlokła.

Jeszcze wyprawiając Caracciolę do Afryki kazałem mu wysłać na moją wyspę ze dwie setki czarnoskórych kobiet, młodzieży i mężczyzn dla założenia plantacji, a resztę zawieść do Ameryki i tam sprzedać. Teraz „Fortuna” została w Kapsztadzie, a „Gloria” i „Dorotea” odpłynęły piątego maja z Murzynomami ku wyspie. Droga tam trwa mniej więcej dziesięć dni. Z końcem maja szkunery powinny wrócić do Kapsztadu, tymczasem ani „Gloria”, ani „Dorotea” nie wróciły. Caracciola wysłał ten list dwudziestego czerwca. Boję się, że coś się z nim stało...

- Może czarni się zbuntowali i wycięli załogi?

- Diabli wiedzą? Caracciola pisze, że „Fortuna” jest już wyremontowana, ale myślę, że teraz nie warto jej posyłać do Ameryki. Caracciola będzie musiał odesłać tych Murzynomów na wyspę, a sam wracać tutaj. Plantacją na wyspie zajmie się O'Heary. Caracciola pojedzie do Błękitnej Doliny.

- Posłuchaj, Giacomo, a jeśli oba szkunery dotarły do wyspy i Murzyni tam się zbuntowali?

Wtedy Caracciola dopiero wpadnie w kabałę, dostarczając posiłków Murzynom.

- Myślałem już o tym. Ale załoga „Fortuny” składa się z dziewięćdziesięciu chłopca. Czyżby nie dali rady z bandą gołych Murzynów? Wtedy posłałbym Caracciolę do przytułku dla starców.

- Nie zapominaj, że ci Murzyni, jak sam mówiłeś, jednak wytlukli cały francuski oddział. Ja też coś niecoś o tym słyszałem. Opowiadał mi przypadkiem pewien Francuzik... A wiesz co, Giacomo, to jest robota dla mnie! Poślij mnie na wyspę, a na moje miejsce na „Skrzydlatym” znajdź sobie kogoś innego. Zbrzydli mi już z kretesem ci panowie oficerowie, jak codzienna porcja solonego mięsa... „How do you do, mister Blackwood?” „Very well, mister Lorn!” Tfu! Diabli człowieka biorą, że taki okręt dostał się w ich ostrożne, czyściutkie ręce! Wyobraź sobie, ile by dokonał na „Skrzydlatym” nieboszczyk Bernardito? Przysięgam na Madonnę, że ani jeden kapitan w promieniu tysiąca mil od „Skrzydlatego” nie zmrużyłby oka, a w nadbrzeżnych fortach kanonierzy spaliby na stojąco, z zapalonymi lontami w rękach. Obrzydł mi ten ciamajda kapitan z jego dżentelmeństwem. Poślij mnie na wyspę, a zrobię tam porządek!

- No cóż, Giuseppe, jeśli tak się do tego palisz, to mogę ci tylko życzyć powodzenia! Obawiam się, że istotnie coś nie jest w porządku i że trzeba tam żelaznej ręki!

- Na czym mogę się dostać do tej piekielnej wyspy?

- Weź mój nowy jacht „Elly”. Poniesie cię jak wichur. Ręczę, że za sześć tygodni będziesz na miejscu! A gdy zobaczysz mogiłę w wąwozie... pokłoń się jej nisko.

- Tak, tam leżą prawdziwi ludzie! Stary to był diabeł, nie człowiek, ale niech mnie piekło pochłonie, jeśli nie miał racji wypędzając mnie z „Czarnej Strzały”!

- Nie lubię o nim wspominać, Giuseppe. Mam dość powodów, by unikać myśli o Jednookim... Ale jego zemsta też była szatańska i liczyć się będziemy już na tamtym świecie... A więc kiedy wrócisz z wyspy, „Skrzydlaty” będzie już po remoncie, a niedługo spuszczę na wodę nowy okręt. Będzie to kaper „Król Jerzy III”. Ponadto przygotowuję w prezencie dla króla dwie ciężkie fregaty „Windsor” i „Walię”. Te okręty sam poprowadzę na morze.

- Nareszcie! Bo ja już myślałem, że twój marynarski mundur to patriotyczna maskarada...

- Czy ty myślisz, że mnie też nie zbrzydło cackać się z nadętą babą i niańczyć dziewuchę... Ech, Giuseppe! Pamiętasz mojego chłopca?... Ta rana nigdy się nie zablizni...

- Tak, chłopiec był bardzo udany! Szkoda go... A co się dzieje z jego matką?

- Nie wiem, Giuseppe. Stara umarła na wiosnę w Sorrento, dowiedziałem się o tym niedawno od pewnego mnicha... A Dorotea i Antonio gdzieś przepadli, jak kamień w wodę.

- To była wspaniała kobieta, o gorącej krwi! Pamiętasz, radziłeś mi, abym się z nią ożenił, stary grzeszniku!

- Widzisz, Giuseppe, moje sumienie jest ślepe i głuche, ale kiedy myślę o tych ludziach, jakby szponami szarpało coś duszę. Przecież ta rodzina mnie uratowała, a ja... Nie mówmy więcej o nich ani o Charliem... Chłopiec miałby już dziewiąty rok... Na pewno lubiłby już straszne opowieści i strzelał z łuku... Nalej mi czystego rumu, Giuseppe!

- Uspokój się, stary! Musisz mieć zawsze jasny umysł. Jesteś dowódcą... I dom pełen gości! Grelli ponurym wzrokiem spojrzął na duży kubek z rumem i opróżnił go jednym haustem.

- Wiesz co, Giuseppe - podjął po chwili - zostań tu na dłużej. Bardzo mi brak swojego człowieka. Ci wszyscy goście są mi wstrętni...

- O, co to, to nie! Pałace i zamki to nie mój żywioł. Chyba, że trzeba by je... oczyścić! Rano pojedę, obejrzę twój jacht, a pojutrze odpłynę. Czy statek jest w porządku?

- To mój morski koń, zawsze osiodłany i w każdej chwili gotów do drogi.

- Przygotuj więc pismo Caraccioli. No, a do tego pijaczyny Burnsa trzeba będzie na razie posłać z odpowiedzią kogoś innego, równie obrotnego. Niech chłopaki Burnsa przygotowują teren dla Caraccioli, aby sprawa w Dolinie poszła szybko i gładko... Gdzie jest teraz Geoffrey

MacRail? Ten by wytłumaczył Burnsowi...

- Geoffrey jest w Archangielsku. Handluje z rosyjskimi brodacami. Bo ja teraz kupuję drzewo dla stoczni u Rosjan i moje dwa okręty, „Orion” i „Francis Riland”, kursują tam i z powrotem między Archangielskiem i Bultonem niby tkackie czółenka... Nie, Geoffrey jest zajęty.

- To bardzo... delikatne zadanie, Giacomo. W chwili przybycia Caraccioli wszystko powinno być tak przygotowane. Pisać o tym do Burnsa to rzecz ryzykowna.

Grelli ze złością odsunął pusty kubek i zapalił fajkę.

- Od dawna już myślę o tym, że przydałby mi się jakiś rozgarnięty i zaufany sekretarz. Morton, jedyny prawnik, któremu mogę ufać, ma roboty po uszy. Bardzo się zresztą postarzał, a po ucieczce córki całkiem się opuścił. Nie znalazłbyś jakiegoś odpowiedniego chłopaka wśród załogi, Giuseppe?

- Jest tam ten Collgrave, były grawer... Tylko, że on ma bardzo ponure usposobienie. Nie, na okręcie chyba nie znajdę nikogo. Ale wiesz co, Giacomo, widziałem dziś u Woodrowa jednego chłopaka, ma jakieś dziewiętnaście, dwadzieścia lat. Prostym marynarzem, który osiadł na mieliźnie. Jego okręt odpłynął bez niego. Chłopak jest tu całkiem obcy, nie ma żadnej rodziny, bo wszyscy umarli, i teraz kręci się u Woodrowa. Wymalował jego portret tak wiernie, że sam Van Dyck nie potrafiłby tego lepiej zrobić. Woodrow stoi za swoim szynkwasem jak żywy, a jego oczy patrzą na człowieka jak lufy pistoletów. Ten młody człowiek też ładnie pisze, Woodrow nie może się go nachwalić. Myślę, że ten Ned byłby odpowiedni. Chcesz, to ci go przyślę jutro do Chancefieldu? Sam zobaczysz.

- Przyślij. A jak on się nazywa?

- Zdaje się, Edward Moynes.

- Dobrze. Pojutrze będę w porcie, by się z tobą pożegnać, i przywiozę list do Caraccioli. Aha, weź jeszcze pod uwagę, co pisze Caracciola, że w Zatoce Gwinejskiej za moimi trzema szkunerami puściła się w pogoń jakaś stara francuska balia, przedpotopowa fregata o nazwie „Święty Antoni”. Co prawda było to w kwietniu, ale ten stary pirat od dawna widać tam grasuje. Uważaj, abyś przypadkiem nie dostał się w zasięg jego dział, Giuseppe.

- Te działa spoczywają już na dnie morza, Giacomo. Równo dziesięć dni temu „Skrzydlaty”, z wyrwą w rufie, bez jednego masztu i z wypalonym pokładem, posłał go na dno, rybom na pożarcie. Rzecz działa się nocą na otwartym morzu, na południowy zachód od Wysp Azorskich. Francuzi pierwsi otworzyli ogień. Blackwood odpowiedział im tak, że po dwudziestu minutach wylecieli w powietrze. Z całej załogi wyłowiliśmy tylko jednego, dymisjonowanego kapitana piechoty, niejakiego Leglois. Od niego dowiedzieliśmy się, że „Święty Antoni” pełnił służbę u wybrzeży Afryki Zachodniej, lecz właśnie otrzymał rozkaz odpłynięcia ku brzegom Ameryki, gdzie miał polować na nasze statki handlowe. Zdaje się, że temu Leglois nie bardzo się spieszy do ojczyzny. Jakiś śliski typ... On właśnie opowiedział mi o francuskiej ekspedycji, co zaginęła w dżunglach Kongo. Było to dziecinne przedsięwzięcie jakiegoś francuskiego markiza, któremu zachciało się handlować niewolnikami... Nie, mości wicehrabio, wody zachodnioafrykańskie są już wolne. Dobranoc, Giacomo!

### 3

Purpurowe słońce wytoczyło się z za horyzontu i zawisło w tumanach mgły. W stajniach siodłano konie, z psiarni dochodziło przygłuszone szczekanie i skomlenie psów. W mrocznych jeszcze alejach słychać było niecierpliwego tupot końskich kopyt, pobrząkiwanie wędzideł i rzenie koni.

Sir Frederick w czerwony myśliwskim fraku pierwszy wskoczył na siodło. Zatańczył pod nim ciemnogniady wierzchowiec z długim pyskiem, krótką grzywą i wysoko podciętym ogonem.



Psiarczycy nie spuszczaali z uwięzi wyrrywających się psów w obawie, by w tłoku nie wpadły pod końskie kopyta. Ktoś ze służby łowieckiej trzymał na smyczy charcicę Lady.

Henry Blandhill długo obmacywał popręgi, nim włożył nogę w strzemię, po czym z lekkością zadziwiająco u tak potężnego mężczyzny usadowił się w siodle. Jego kary Patrokles, który bez szczególnego wysiłku mógłby donieść zakutego w zbroję rycerza krzyżowego aż do Ziemi Świętej, wstrząsnął się, poderwał łeb i uronił płat piany na żwir alejki.

Groom podprowadził pod ganek siwka wicehrabiny. Lady Ellen, ubrana po męsku, w myśliwskim fraczku i szerokim czarnym kapeluszu, zbiegła ze schodów uderzając szpicrutą o cholewkę lakierowanego buta. Patterson przytrzymał jej strzemię. Siedząca w siodle milady przypominała pełnego wdzięku, swawolnego chłopca. Ujęła cugle lewą ręką w irchowej rękawicze i dla zabawy ściągnęła tak, że koń stanął dęba.

Z zarośli wynurzył się łowczy, o mało nie wpadłszy we mgłę na psy. Zameldował wicehrabiemu, że od nocy osaczone są w lesie trzy jelenie. Nagonka rozstawiła się już na granicy miotu i czeka na sygnał.

- Wygląda na to, że mgła zaczyna się przersedzać. Będzie ładny dzień - powiedział Blandhill pchnąwszy swego konia naprzód. - Sir Frederick, miły sąsiedzie, nie należę do cierpliwych! Jedziemy!

Cała kawalkada przeszła w kłus i wkrótce minęła długie, obskurne zabudowania i szopy nowej cegielni stojącej przy szosie. Z wysokich kominów buchał cuchnący dym. Milczący robotnicy o bladych, ziemistych twarzach dźwigali nosze ze świeżo wypaloną, jeszcze ciepłą cegłą. Długo jeszcze prześladował jeźdźców swąd węglowego dymu wsiąkającego w mgłę.

Trochę dalej kawalkada spłoszyła duże stado cienkorunnych owiec. Pilnujące stada dwa złe szkockie owczarki rzuciły się na myśliwskie psy. Wszczął się tumult, wrzask i dopiero psiarczycy szpicrutami odpędzili je od ujadających ogarów.

Tymczasem słońce weszło nad lasem i z purpurowego stawało się ognistożłote. Lekkie obłoczki mgły popłynęły w górę, ku szaremu niebu. Ciemne, pokryte kępkami brusznic łąki i pas zrudziałych zarośli podchodziły aż pod sam las. Myśliwi wstrzymali konie i poczęli dzielić się na grupy.

Łowczy przerzucił z pleców na pierś zakrzywiony myśliwski róg, nabrał pełne płuca powietrza i przytknął go do ust.

Przeciągły, srebrzysty dźwięk, żalorny i czysty, popłynął nad łąkami. Z samotnej sosny na szczycie pagórka kracząc zerwały się dwa kruki. Ogoniasta sroka, szybko machając krótkimi skrzydłami, przeleciała od lasu w stronę łąk. W głębi obudzonej gęstwiny leśnej potoczył się falami głuchy, narastający zgiełk. Łoskot drewnianych grzechotek, urywane głosy ludzkie, dudnienie bębnow, trzask gałęzi i przenikliwe dźwięki rogów zagłuszały szelest wiatru w koronach drzew.

Na skraju lasu, na wprost miejsca, gdzie ukryli się myśliwi z grupy sir Henry'ego Blandhilla, wybiegł kłusem młody jelen z dwoma wyrostkami na mocnych rogach. Dziedzic Wolveswoodu uniósł się w strzemionach i ścisnął łydkami boki konia. W tej samej chwili psiarczycy ukryci w zaroślach spuścili z uwięzi ogary. Zachłystując się gardłowym ujadaniem, sześć żywych strzał pomknęło za jeleniem... Jednym potężnym skokiem zwierzę wypadło na polanę i położywszy rogi na grzbiecie, w susach popędziło przed siebie. Ale już cała grupa sir Henry'ego przecinała mu drogę, psiarczycy zaś straszili je krzycząc i dmąc w rogi.

Jeleń sadył w kierunku lasu czerniejącego po drugiej stronie łąk. Nie zdążył jednak przebyć nawet połowy odległości, gdy dopadły go psy, okrążając w biegu. Jeden z ogarów wczepił się zębami w bok jelenia. Zapach krwi doprowadził psy do szału. Jeleń zwolnił bieg. A tymczasem jeźdźcy, przeskakując przez rowy, krzaki i kępy, już go doganiali. Zaszczute zwierzę uderzeniem rogów odrzuciło skaczącego mu do gardła psa, który wywinąwszy kozła w powietrzu ze skowytym potoczył się po ziemi. W tej chwili sir Henry Blandhill, zaszedłszy

jelenia z prawej strony, uniósł krótki karabinek i w biegu strzelił. Jeleń przysiadł na zadzie, otoczony przez myśliwych. Triumfalny głos rogu przeleciał nad łąkami.

Drugi jeleń pomknął w stronę zabudowań dworskich. Grupa myśliwych z lady Ellen na czele pogalopowała za nim. Uchodząc przed prześladowcami jeleń wpadł w sam środek owczego stada. Wystraszone owce prysnęły we wszystkie strony. Mały pastuszek rzucił się w pogoń za nimi, wpadając wprost pod kopyta pędzących koni. Siwek wicehrabiny zwałił chłopca z nóg, lecz amazonka pomknęła dalej, nie zwróciwszy nawet uwagi na tak nic nie znaczącą przeszkodę.

Gdy pozostały nieco w tyle Patterson dołączył do swej grupy, myśliwi zeskakiwali z koni. Patterson zauważył w ręce milady dymiący jeszcze pistolet. Na skrwawionej trawie, odrzuciwszy do tyłu małą główkę, leżał upolowany jeleń.

Tymczasem sir Frederick ścigał skrajem bagna trzeciego jelenia. Zwierzę zaszyło się w kępach na niebezpiecznym dla jeźdźców grzęzawisku, a obryzgane błotem psy straciły trop. Nagle spod kopyt końskich wyskoczył spłoszony lis i cała sfera rzuciła się za nim. Tylko charcica Lady wietrzyła dalej, szukając zagubionego jelenia. Wypłoszyła go wreszcie z przybrzeżnych zarośli nad błotnistym jeziorkiem. Wzbijając fontanny bryzgów ranny jeleń wypadł na porośły mchem przeciwległy brzeg jeziorka, ale tu Lady odcięła mu drogę ucieczki do lasu. Wicehrabia puścił konia galopem, dogonił jelenia do cna wyczerpanego przez zajadłą charcicę i zeskoczywszy z siodła wbił kordelas pod łopatkę rogacza.

Łowczy dał sygnał do odwrotu i ogólnej zbiórki. Naganiacze nieśli na drogach tusze upolowanych zwierząt ku drodze, gdzie wszystkie te trofea złożono na chłopskim wozie. Lady Ellen, spacerując po zagajniku, celnym strzałem z dubeltówki zabiła w locie bażanta, który niespodziewanie wzbił się w powietrze tuż spod jej stóp. Oddawszy strzelbę i zabitego ptaka jednemu ze służby, milady zerwała zieloną gałązkę, wetknęła ją do butonierki i dosiadłszy znów swego siwka, krótkim galopem pomknęła na spotkanie męża. Sir Henry Blandhill odprowadził ją pełnym zachwytem spojrzeniem.

Polowanie udało się nad podziw. Tylko jeden pies poturbowany przez jelenia mocno kulał, jakiś człowiek z nagonki wrócił z kulą w łydce i stratowany końskimi kopytami mały pastuszek zmarł około południa. Lecz te drobiazgi nie zdołały zmącić wesołego nastroju towarzystwa.

Po obiedzie, spożytym w cieniu starych lip, sznur karet i wierzchowców opuścił już o zmroku Chancefield. Wicehrabia osobiście dopilnował, aby cała broń, po wyczyszczeniu i naoliwieniu, została ułożona na swoim miejscu w jego myśliwskim pokoju. Gdy wszystko było już uprzątnięte i oszklone witryny przybrały swój zwykły wygląd, kamerdyner zameldował wicehrabiemu, że jakiś nieznany młodzieniec zapytuje o niego.

- Mówi, że nazywa się Edward Moynes, sir - dodał służący.

Po chwili przed panem Chancefieldu stanął młody człowiek lat około dziewiętnastu, o lekko piegowatej twarzy, spokojnym spojrzeniu szarych oczu i długich jasnych włosach, z przedziałkiem pośrodku głowy. Miał na sobie granatową marynarską kurtkę z błyszczącymi mosiężnymi guzikami. Mocno podniszczone buty były również starannie wyczyszczone. Duże, nieco zgrubiałe dłonie nosiły ślady pracy przy szorstkich linach okrętowych.

- Milordzie - zwrócił się przybyły do pana domu, bez jakiegokolwiek zmieszania patrząc mu w oczy - zostałem przysłany z Bultonu przez mister Lorna. Proszę wybaczyć moją śmiałość, sir, lecz kazano mi się zgłosić do pana osobiście.

- Nazywasz się Ned?

- Tak mnie zdrobniale nazywają, sir.

- Siadaj przy kominku, Ned. Przyszedłeś pieszo?

- Tak, sir.

- Wobec tego, nim zaczniemy mówić o sprawach, posilisz się zimną sarniną... Eryku, nakrycie i butelkę reńskiego.

Młody marynarz przyjął zaproszenie bez wymawiania się i zbędnych ceregieli. Dość zręcznie posługiwał się nożem i widelcem i wicehrabia uspokoił się co do jego manier.

- A teraz, Ned, opowiedz mi coś o sobie. Skąd pochodzisz?

- Z Clapham Green, na południowy zachód od Londynu. Ojciec mój, Arvid Moynes, początkowo miał tam nieduży sklepik, a potem zbankrutował i zaczął pracować jako doker. Przeprowadziliśmy się do East-End, bardziej odpowiadającego naszym skromnym środkom. Potem ojciec miał wypadek, spadł z trapu i zmarł w szpitalu Św. Bartłomieja. Matka też umarła. Miałem wtedy czternaście lat. Musiałem porzucić naukę i iść na morze.

- A skąd się wzięłeś w Bultonie?

- Płynąłem na okręcie z Kopenhagi. W drodze zachorowałem i przeleżałem tu dwa tygodnie u Św. Krzysztofa. Tymczasem mój okręt odpłynął, a ja zostałem w porcie. Z ostatniego okrętu mam bardzo dobre rekomendacje. Słyszałem, milordzie, że ma pan dużo dobrych okrętów, i pragnąłbym otrzymać pracę na którymś z nich.

- A co ty potrafisz robić, Ned?

- Prawdę mówiąc, nic specjalnego nie umiem, milordzie.

- Podobno ładnie piszesz?

- We wczesnej młodości uczyłem się rysować i pisać tuszem, ale dawno już tym się nie zajmowałem.

- Lorn mówił mi, że dobrze rysujesz.

- Może zechciałby pan sam to ocenić, sir?

- Mamy jeszcze na to czas. Posłuchaj, Ned. Potrzebny mi jest roztropny sekretarz i chciałbym tobie zaproponować to zajęcie.

- Ależ, sir, czyż ja potrafię podjąć tak odpowiedzialnej pracy?

- Nie święci garnki lepią, Ned. Mam nadzieję, że szybko oswoisz się z nowymi obowiązkami. Podoba ci się u mnie?

- Sir, nigdy w życiu nie byłem jeszcze w takim pokoju. Przypomina on salę w Muzeum Brytyjskim. Czy to możliwe, aby pan sam używał takiej masy broni? Mnie się wydaje, że starczyłoby tego dla całej armii brytyjskiej.

Wicehrabia roześmiał się.

- Ty też będziesz korzystał z tej broni. Chodź, wybierz sobie nóż i pistolet, jaki ci się podoba. Tylko zawsze używaj ich z głową. Bo widzisz, broń to taka rzecz, która czyni człowieka albo bardzo groźnym, albo bardzo śmiesznym. Toteż nigdy nie wymachuj nią bez potrzeby! No, dlaczego stoisz? Wybieraj, co chcesz.

- Jeśli pan nie żartuje, milordzie, wybrałbym ten pistolet i tamten sztylet.

- Hm, niezły wybór! To dobry hiszpański sztylet i służył kiedyś... Zresztą to nieważne. Bierz. Jesteś bardzo zmęczony?

- Nie, sir.

- A więc siadaj przy stole i pisz list, który ci podyktuję. Zobaczą, jakie masz pismo. Eryku, poproś do mnie Mortona.

Młody człowiek zaostrzył pióro i położył przed sobą kartkę czystego papieru. Wicehrabia założył ręce do tyłu i spacerując po pokoju zaczął dyktować list do Caraccioli.

List był krótki. Caracciola miał przy pomocy Josepha Lorna błyskawicznie przeprowadzić „operację na wyspie”, a potem, przekazawszy mu dowództwo ekspedycji, udać się do Błękitnej Doliny w dolnym dorzeczu Ohio, o sto mil powyżej osiedla Vincennes, po uprzednim otrzymaniu od Lorna pewnych uzupełniających wskazówek.

Młody człowiek szybko wodził piórem po papierze, zapełniając go idealnie równymi linijkami bardzo wyraźnego pisma.

- Chciałbym posiadać twoje umiejętności, Ned - powiedział wicehrabia, patrząc przez ramię młodzieńca na list. - Nigdy nie zdarzyło mi się widzieć u marynarza takiego charakteru pisma. Czy dawno przerwałeś naukę?

- Przeszło pięć lat temu, milordzie. Ale później pewien artysta uczył mnie rysunku i sztuki malarskiej, a szturman na statku powierzał mi prowadzenie dziennika i wielu innych zapisków. To był dobry człowiek! Chciał uczynić ze mnie swego pomocnika.

- Kiedyś i ja spotkałem takiego dobrego szturmana i dużo się od niego nauczyłem. Był to Norweg, pływaliśmy razem...

Do gabinetu wszedł Thomas Morton. Jego zmęczona, starczo obwisła twarz, kwaśna mina, zatłuszczony warkocz peruki i niechlujny kaftan z licznymi śladami pudru wymownie świadczyły o kawalerskim trybie życia attorney.

Morton przeczytał list napisany przez Edwarda Moynesa i kazał poprawić dwa błędy. Młodzieniec zaczerwienił się.

- Nie przejmuj się, mój chłopcze, ja zrobiłbym dwadzieścia! Niech pan zwróci uwagę na charakter pisma, Morton!

Wicehrabia podpisał list, włożył do koperty i zapieczętował! W pokoju zapachniało palonym lakiem. Sir Frederick wsunął gotowy list do kieszeni.

- Sam go wręczę jutro Lornowi. Zostaniesz tu, Ned, będziesz mieszkał w lewej narożnej baszcie. Mamy tu w zamku świetnego malarza, mister Augusta Jarnesa, będziesz mógł uczyć się u niego... A teraz możesz odejść. Morton, gdy odprowadzi pan Neda do baszty, proszę przyjść do mnie do górnego gabinetu.

Morton zastał wicehrabiego na tej samej kanapie, na której ubiegłej nocy spał Joseph Lorn.

- Niech pan nie prowadzi zbędnych rozmów z tym chłopcem i trzymaj go z dala od starych sług, dopóki mu się bliżej nie przyjrzę. Proszę też natychmiast napisać do Londynu, do naszego agenta Clancha w Tempie. Niech Clanch zasięgnie dokładnych informacji z East-End, w dokach i w szpitalu Św. Bartłomieja o Arvidzie Moynesie i jego synu Edwardzie. Odpowiedź musi przyjść niezwłocznie, odwrotną pocztą. Ogólnie biorąc chłopak mi się podoba. Wie pan, czyj sztylet mu się dostał? Ten szczeniak, niech go kule biją, wybrał toledański sztylet Bernardita... A teraz chciałbym się dowiedzieć, co nowego opowiedzieli panu dziennikarze. A propos, nie podobał mi się ostatni artykuł Campbella w „Monitorze”. Za bardzo nas wychwala, ten artykuł z daleka pachnie tanią reklamą. Niech mu pan zwróci uwagę, że to niedźwiedzia przysługa. Natomiast Ruby Rosinius w „Advertiserze” wymyśla nam tak sprytnie, że pozyskamy dzięki niemu setki nowych akcjonariuszy. Trzeba zwiększyć subsydlum dla „Advertisera”. Ten Ruby to wielki spryciarz... No, a cóż mówią ci panowie na temat wyborów do parlamentu? Którzy kandydaci mają największe szansę?

- Sir Henry Blandhill, który odziedziczy wkrótce tytuł markiza i stanie się panem ogromnych posiadłości, gdzie znajdzie tyle głosów, ile tylko mu będzie potrzeba. Nikt chyba nie zdoła go pokonać. Następnie wymienia się kandydaturę sir Harry Hartleya, hrabiego Elswicku, właściciela kopalni węgla. Uważany jest za rywala Blandhilla, jeśli idzie o ilość wyborców, ale chyba Blandhill ma jednak nad nim przewagę. Ostatnio zaczyna się wymieniać pańskie nazwisko...

- Trzeba, by właśnie ono wysunęło się na pierwsze miejsce! Nie możemy wprawdzie mierzyć się z Blandhillem czy Hartleyem, gdy idzie o sumy potrzebne na kupienie głosów czy ilość wyborców w naszych posiadłościach, spróbujemy jednak pokonać ich w inny sposób! Co pan dotąd uczynił, Morton, w tym kierunku?

- Wszystko, co pan polecił, sir... Zebrałem potrzebne informacje. Między Hartleyem i Blandhillem nie ma przyjaźni...

- To stara historia. Czego się pan jeszcze dowiedział?

- Harry Hartley, hrabia Elswicku, jest bardzo młody. Ma dopiero dwadzieścia dwa lata. Tytuł hrabiego Elswicku wraz z ogromną fortuną odziedziczył tej wiosny, po śmierci ojca... .

- Wszystko to wiem z gazet. Jak nazywa się jego posiadłość?

- Solaysholm. Leży o pięćdziesiąt mil na wschód od Donald-Court, majątku hrabiego Stanforda.

- Hrabiego Artura? Brata pierwszego męża Ellen?
  - Tak.
  - Mów pan dalej. Z kim on się przyjaźni?
  - Harry Hartley jest bardzo zaprzyjaźniony ze swym sąsiadem, hrabią Stanfordem.
  - Ach tak? To bardzo ciekawe. Bo przecież rywal Hartleya, nasz sąsiad Henry Blandhill, też bywa u Artura Stanforda?
  - Tak. Ale, jak już powiedziałem, Blandhill i Hartley nie lubią się nawzajem. Być może zresztą, że ich wspólny przyjaciel, hrabia Artur, z czasem nakłoni ich do zgody.
  - Co za dureń z pana, Morton! Właśnie temu trzeba przeszkodzić. Hartley i Blandhill muszą stać się wrogami na śmierć i życie! I niech się wzajemnie zagryzą!... Żaden z nich nie powinien zająć fotela w Izbie Gmin jako poseł naszego hrabstwa. Ten fotel czeka na mnie, rozumie pan, Morton? Chciałbym wiedzieć, czy między Blandhillem a Harry Hartleyem nie ma jakichś spornych spraw. Może, na przykład, ich posiadłości sąsiadują z sobą? Słowem, musi pan znaleźć, Morton, casus belli między nimi, a ozłocę pana... Co pan wie o nawykach, o charakterze Harry Hartleya?
  - Podobno ma ataki spleenu, jest kochliwy...
  - Kochliwy? To doskonale.
  - Bardzo lubi sport. Świetny szermierz. We wczesnej młodości uchodził nawet za zabijakę. Entuzjasta regat żeglarskich, posiada własny jacht... Teraz zresztą nie będzie miał głowy ani do sportu, ani do awantur!
  - Dziękuję. Może pan odejść, Morton.
- Wicehrabia udał się do sypialni żony. Milady była już w negliżu, rozpuszczone złociste włosy opadały jej na ramiona. Z rozkosznym uśmiechem podstawiła mu pachnący policzek do pocałunku.
- Jak się czuje Izabela? - spytał wicehrabia.
  - Już jej lepiej - padła zdecydowana odpowiedź. Co prawda milady nie zdążyła jeszcze po powrocie z polowania zajrzeć do dziecięcego pokoju, nie wątpiła jednak w nieomyślność swej odpowiedzi. - Masz jakieś nowiny, Freddie?
  - Nic specjalnego, Nel.
  - Kto nocował u ciebie wczoraj, darling?
  - Lorn, pierwszy oficer ze „Skrzydlatego”.
  - A więc okręt już wrócił?
  - Tak. Prawdopodobnie znajduje się już w doku. Lorna wysłałam do Afryki, do twego ulubieńca Caraccioli... Powiedz mi, Nel, jak wyglądają twoje sprawy z Blandhillem? Zadając to pytanie wicehrabia pochylił się nad świecą stojącą na stoliku i zapalił cygaro. Wicehrabina westchnęła.
  - Już dwa razy wyznał mi swą miłość. Wczoraj podczas tańca i dziś na polowaniu. Mój strzał do bażanta ugodził i w niego. Mąż uśmiechnął się kącikiem ust.
  - Dlaczego narzucasz mi towarzystwo tego niedźwiedzia, Freddie?
  - Wkrótce sama zrozumiesz, jak bardzo to jest potrzebne.
  - Tak, ale jesteś taki niedobry dla mnie, darling! Nie zasłużyłam chyba na to.
  - Nel, najdroższa, nie czas teraz na pieszczoty... Niedługo wybory. Blandhill stoi mi na drodze... Powiedz, jak dawno pisał do ciebie sir Artur?
  - Mój były szwagier? Nie znoszę go... Wczoraj właśnie otrzymałam list od niego. Zaprasza nas i Blandhillów do siebie, do Donald-Court.
  - Tak? To świetnie. Czy już mu odpisałaś?
  - No wiesz! Kiedyż miałam to zrobić?
  - Napisz do niego zaraz, że wyruszam na wojnę.
  - O, Freddie, tak się tego boję!

- Pan Bóg łaskaw i nie wybieram się jeszcze jutro. Ale Arturowi napisz, że przyjedziesz sama lub z córką, jak ci będzie wygodniej. Być może, sir Henry odprowadzi cię do Donald-Court. Zastanowimy się jeszcze nad tym. A gdy już tam będziesz, postaraj się... zbliżyć z młodym Hartleyem.

- Ach, z tym krezusem węglowym? Jego posiadłość leży nie opodal Donald-Court.

- Tak. I on przyjaźni się z Arturem. Czy widziałaś już kiedyś tego długonogiego dżentelmena z końskimi zębami?

- Widywałam go w Donald-Court, gdy był jeszcze zupełnie młodym chłopcem.

- A więc błagam cię, rozkochaj go w sobie tak jak Blandhilla, a jeśli potrafisz, to jeszcze bardziej.

- Zwariowałaś, Freddie? Przecież on jest o pięć lat młodszy ode mnie!

- Nie o pięć, lecz o dziesięć, najdroższa. Dlatego też nie oprze się mojej złotowłosej rusałce. Wybadaj, jakie ma gusta... Tylko, na miłość boską, musisz się z tej historii wywinąć jak piskorz. Najmniejsza nieostrożność, najmniejsza plamka na tobie - i wszystko stracone! Nel, powiem ci otwarcie: muszę na śmierć powaśnić Blandhilla z Hartleyem i usunąć ich obu z drogi... Inaczej nie dostanę się do parlamentu, a ty, moja mądra żoneczko, nigdy nie będziesz prawdziwą lady!

- O Boże, jakie to wszystko... skomplikowane, Freddie!

#### 4

Jasnoszary kolor smukłego kadłuba z wysokim dziobem i niską rufą oraz niebieskawy odcień ożaglowania czyniły jacht „Elly” mało widocznym na morzu, na tle chmurnego nieba. Bultońscy marynarze przyzwyczaili się już do nieoczekiwanego pojawiania się i równie nagłego znikania małego okręcika, który - ledwo podniósłszy żagle - już na redzie rozwijał pełne dwadzieścia węzłów i ginął w oddali jak morski ptak. Urządzenie wnętrza i całe wyposażenie jachtu radowały nawet najbardziej wybredne oko, a podróż na nim stanowiła prawdziwą rozkosz dla pasażerów. Dziewięciu marynarzy, steward, kapitan Robert Tressel i szturman Hugh Olbert mogliby opowiedzieć dużo ciekawych rzeczy o tajemniczych wyprawach „Elly”, lecz byli to, niestety, ludzie niezbyt rozmowni.

W południe jedenastego sierpnia właściciel jachtu zęgnął na pokładzie mister Josepha Lorna, któremu osobiście przyniósł list dla Caraccioli. Stali obaj na dziobie, przy małym działku pokładowym.

- Moim zdaniem, na tym morskim gigancie jest trochę za dużo aksamitu, a za mało broni... Ale, na wszystkie pomyślnie wiatry, ta łupina naprawdę ci się udała! Dużo dałby stary Bernardito, by mieć taką zabawkę, co, Giacomo?

- A ty wciąż tylko o nieboszczykach, Giuseppe. Do diabła z nimi! Mamy dość kłopotów z żywymi... Dziękuję ci za tego Neda! Zrobię z niego człowieka. A ciebie proszę - nie ugrzęźnij na wyspie. Gdyby trzeba było zrobić porządek z tą czarną hołotą, bij i nie oglądaj się na nic.

- Powiedz mi, wicehrabio, załoga jachtu to ludzie, na których można polegać?

- Tressel dowodził korwetą. Olbert służył u mnie na szkunerze „Fortuna”, pierwszorzędnym marynarz. Wszyscy byli w opalach, tonęli, wachali proch. Nie musisz przed nimi kryć się z towarem Caraccioli - wszyscy brali udział w wyprawie Goeffreya MacRaila do Afryki.

- A ty, stary, też powinienes się już trochę przewietrzyć. Chciałeś przecież walczyć z Amerykanami za dobrą, starą Anglię?

- Na razie mam zamiar walczyć o fotel w parlamencie z dwoma wysoko urodzonymi dżentelmenami... Do tego potrzeba mi wiele, a przede wszystkim muszę mieć sukcesy. Sukcesy bezwzględnie we wszystkim i wszędzie, aby dwór, król, parlament słyszeli nazwisko wicehrabiego Chancefieldu tylko w połączeniu ze słowem „zwycięstwo”. Jego królewska

mość przychylnie odniósł się do mojego pomysłu skolonizowania nowej wyspy. Toteż jak najszybciej trzeba tam zrobić porządek. Gdyby ministrowi marynarki strzeliło do głowy wysłać do mojego gubernatorstwa jakąś komisję, powinna tam zastać kwitnące plantacje, szczęśliwych kolonistów i żyjącą jak w raju ich czarną służbę. Proszę cię, Giuseppe, naucz tych nieokrzesanych Murzynów raz na zawsze rozumu i dobrych manier! Po takiej lekcji będą jak baranki. A potem wracaj tu czym prędzej. Caracciołę wypraw jak najszybciej do Błękitnej Doliny... Słuchaj no, Giuseppe, co to za okręt stoi tam na redzie?

- To wojenny transportowiec „Omega”. Wrócił w tych dniach z Nowego Świata i wkrótce znów tam powraca. Otacza go tak ścisła tajemnica wojskowa, że każde dziecko w porcie wie, dokąd się udaje. Port Yorktown.

- Kiedy odpływa?

- To też tajemnica wojskowa. Wszyscy mówią, że za tydzień.

- Spoglądasz już na zegarek, Giuseppe?

- Tak, odbijamy równo w południe... Bądź zdrów, Giacomo!

- Złam kark, stary.

W chwili gdy wicehrabia Chancefieldu dosiadał wierzchowca, dwa małe kabestany już podniosły obie kotwice, które zawisły nad dwiema miniaturowymi czerwonymi kluzami, przypominającymi nozdrza ognistego rumaka. Spokojna woda przystani zakotłowała się pod dziobnicą. Po kwadransie bandera z lwem, powiewająca nad niebieskimi żaglami, rozplynęła się w mglistej dali.

Z portu wicehrabia wraz z towarzyszącym mu kamerdynerem udał się do stoczni, gdzie stał zacumowany przy nabrzeżu „Skrzydlaty”, niby ranny żołnierz przed namiotem polowego lazaretu. Wicehrabia przywitał kapitana Blackwooda, przyrzekł wystarać mu się o nagrodę za bohaterską walkę z trzema amerykańskimi okrętami i przyjaźnie skinął głową francuskiemu jeńcowi, monsieur Charles'owi Leglois.

- Bootby - przywołał wicehrabia bosmana - przyprowadź no do mnie tego Francuza. Porozmawiam z nim w kajucie kapitana.

- Wasza miłość, według mnie to zwykły łobuz, ten Charles Leglois - konfidencjonalnym tonem rzekł bosman. - Potrafi tylko wymachiwać szpadą, ale o żeglarstwie nie ma pojęcia.

Rozmowa milorda z Leglois, ku zdziwieniu poczciwego bosmana, trwała co najmniej godzinę. Pożegnawszy francuskiego „łowcę naiwnych”, jak się sam jeńiec z gracją przedstawił, wicehrabia polecił Blackwoodowi, by pozostawił pełną swobodę panu Leglois.

Wskazówki na chronometrze wicehrabiego zbliżały się już do godziny siódmej, gdy opuścił on pokład swego rannego okrętu. Odprawiwszy do domu kamerdynera, sir Frederick udał się konno na Saint Jacob's Street.

Niewielki domek na Saint Jacob's Street, ukryty wśród krzewów w zapuszczonym ogrodzie, służył wicehrabiemu do nieoficjalnych spotkań w mieście.

Woodrow Crag rozmawiał z wicehrabią siedząc w skórzanym fotelu. Wicehrabia wielkimi krokami przemierzał pokój z jednego końca w drugi. Spacerując, ostro odwracał się na pięcie, jakby w kątach pokoju napotykał nagle na niewidoczne przeszkody.

- Znalazłeś już człowieka, którego można by wysłać do Burnsa?

Zniecierpliwiony ton pytania świadczył, że wicehrabia nie jest zadowolony, iż osobiście musi ingerować w takie drobiazgi.

- Mam jednego na uwadze - z niewzruszonym spokojem odparł Woodrow. - Był on świadkiem w sprawie Burnsa i dobrze zna kapitana.

- A, już wiem. Frank Kuna. To spryciarz, ale jednak w swoim czasie przegapił Maggersona. Jego masz na myśli, prawda?

- Tak, proponuję Franka Willersa.

- No cóż, może być on. Pamiętam jego historię: szuler karciany, potem półkaleka, cyrulik okrętowy i w końcu twój szpicel. Jak długo pracuje u ciebie?

- Od dawna, wiele lat. Jest obowiązkowy, dokładny i umie trzymać język za zębami. Jeden jedyny raz nie udało mu się właśnie z Maggersonem. Stracił go wtedy z oczu na ulicy.

- Dobrze, zgoda. Jak on się dostanie do Ameryki?

- Czy zauważyłeś w porcie transportowiec „Omega”? Okręt czeka na partię niemieckich ochotników z Hesji. Bosman transportowca trzyma dla mnie wolne miejsce cyrulika okrętowego. Frank Willers popłynie za ocean na tym okręcie, a tam już w jakiś sposób dostanie się za półtora, dwa miesiące do Błękitnej Doliny.

- Napiszę do Burnsa list na kawałku płótna i każę go wszyć pod podszewkę kurtki marynarskiej. Kurtkę tę przywiezie ci jutro Ned.

- Wspaniały chłopak, prawda?

- Tak, podoba mi się... List będzie zaszyty po lewej stronie, pod kieszenią. Wobec Franka nie wymieniam mego nazwiska. Burns zrozumie wszystko z listu, a Frank powinien znać tylko ciebie, Woodrow.

- To jasne! Czy masz jeszcze jakieś polecenia?

- Owszem, mam jeszcze jedno i to bardzo pilne. Gdy to załatwisz, odkupię od Hopkinsa „Białego Niedźwiedzia” i oddam go tobie wraz z całym inwentarzem. Ponadto otrzymasz pięćset gwinei.

- Co mam zrobić?

Wicehrabia zaklął gniewnie i dotknął odwróconego pierścienia na palcu.

- Trzeba, do krośset piorunów, usunąć z drogi tego gryziopórka Richarda Thompsona! Ale pamiętaj, Woodrow, sprawa musi być tak załatwiona, aby nie tylko nie padł na nas najmniejszy cień, lecz żeby ten Thompson na wieki został skompromitowany w oczach władz.

- To znaczy... po śmierci?

- No tak.

- Rozumiem. Ile czasu dajesz mi na to?

- Miesiąc... powiedzmy dwa miesiące, nie więcej. Należało to już dawno zrobić.

- Do tej roboty miałbym człowieka. W tej chwili jest w podróży, ale wróci za jakieś dwa miesiące. Mam na myśli Alexa Crampflowa.

- A, ten z wąsikami? No cóż, w swoim czasie świetnie mu się udał atak apopleksji u starego bankiera Landy!

- Masz świetną pamięć, panie wicehrabio.

- Powiedz mi, Woodrow, kto ze służby w domu Thompsona jest związany z tobą?

- Jak dawniej stangret Flatcher. A w kantorze - starszy klerk Jankins.

- Cóż, dodamy jeszcze Alexa i podcięte drzewo powinno runąć... Wiedz o tym, Woodrow, że nie zaznam spokoju, dopóki on będzie żył! Za dużo przewąchał ten kauzyperda!

- Bądź spokojny! Chodzi tylko o to, że z Alexem pracowali zawsze Grimles i Wansley. Obaj uciekli z katorżniczej kolonii w Nowej Kaledonii. Trzeba będzie dać ich do pomocy Alexowi.

- Dobrze. Potem można ich będzie odesłać do Burnsa. Tam potrzebni są tacy... Do licha, byłbym zapomniał! Jutro zgłosi się do ciebie pewien Francuz, monsieur Charles Leglois. Przyjdzie po dokumenty. Wezwij tego swojego Jankinsa i niech on jak najprędzej sfabrykuje takie rekomendacje dla Francuza, jakich też zażąda. Chciałbym, aby został nauczycielem szermierki w pewnym interesującym mnie domu... Bądź zdrow, Woodrow!

O świcie dwunastego sierpnia, gdy cały Chancefield pogrążony był jeszcze w spokojnym sielskim śnie, wicehrabia wstał z łóżka, otworzył szafę w swym pokoju i wyjął z niej marynarską kurtkę. Była to prosta sukienka kurtka, już nienowa, ale w porządnym stanie. Pod boczną kieszenią z lewej strony widoczny był kawałek szwa zaszyty na nowo dużymi



niezgrabnymi ściegami.

- Partacka robota! - wycedził wicehrabia. - I nici nowe, i ściegi większe od innych. Nie, w tych rzeczach Ellen bynajmniej nie jest mistrzynią. Kiepska byłaby z niej krawcowa!

Wicehrabia kazał wezwać do siebie Edwarda Moynesa.

- Zapakuj tę kurtkę, Ned - powiedział do niego. - Pojedziesz do mister Craga po swoje rzeczy, powiesz mu, że wstąpiłeś do mnie na służbę, i przy okazji oddaj mu tę kurtkę i podziękuj. Spytaj go też, czy transportowiec „Omega” jest już gotów do odplynięcia. Każ sobie osiodłać Deresza. To będzie teraz twój koń. I wracaj szybko, Ned!

...Traktem bultońskim cwałował w stronę miasta jeździec na dereszowatym koniu. Chłodny jesienny wiatr rozwiewał połę jego płaszcz. Jeździec pędził schylony w siodle, nacisnąwszy kapelusz głęboko na oczy. Gdy znalazł się na rybackim przedmieściu, zeskoczył z konia, uwiązał go na jakimś podwórku i przez ogrody przedostał się do domu stojącego na samym skraju osady. Pod skalistym urwiskiem huczało morze. Przed domkiem suszyła się rozwieszona sieć rybacka.

Młody człowiek zapukał w boczne okienko. Otworzyło się dopiero po dłuższej chwili i wyjrzał z niego stary irlandzki rybak.

- Chciałbym kupić makrele - szeptem powiedział młody człowiek.

- Dziś był marny połów - odburknął stary.

- Wezmę więc inną rybę.

Po tych słowach przybysza drzwi otworzyły się przed nim i młodzieniec wszedł do środka. Rudy olbrzym o ogromnych rękach i posępna starucha skłonili się w milczeniu. Stary wyjął dwie deski z wewnętrznej przegródki, odsłaniając za wielkim kuchennym piecem wejście do małej komórki.

- Proszę o dwie jasne świece, igłę i nożyce, mister O'Grady - rzucił przybyły. - Muszę dokładnie obejrzeć tę kurtkę. Nie bez kozery sam pan wicehrabia kazał ją oddać do rąk własnych Craga.

Otrzymawszy świece, młody człowiek uważnie obejrzał kurtkę i zaraz zobaczył grube ściegi na podszewce lewej połę, pod kieszenią. W ciągu paru sekund szew był ostrożnie rozpruty. Młodzieniec wyjął spod podszewki kawałek białego płótna, złożony we dwoje i zaszyty po bokach. Na wewnętrznej stronie płótna wypisane było trwałą farbą, przy pomocy cieniutkiego pędzelka:

### **„Kapitanie Burns!**

*Oddawcę niniejszego posyłam Panu do pomocy. Wszyscy wymienieni w Pańskim ostatnim liście powinni pójść do nieba. Przede wszystkim świeżo przybyły do Błękitnej Doliny wnuczek i oba stadła M. i W. Pozwól pan to zrobić Indianom. Proszę zawiadomić o wykonaniu”.*

Słowa „pójść do nieba” i „wnuczek” były w tej instrukcji dwukrotnie podkreślone.

- Szybko papier i pióro, O'Grady! - zażądał gość rybaka.

Młodzieniec odpisał dokładnie całą treść, po czym płócienny list wrócił na swoje miejsce i żona rybaka zaszyła rozpruty szew. Zrobiła to o wiele lepiej niż lady Ellen.

Teraz młody człowiek włożył kopię listu do koperty i napisał następujący meldunek:

*„Wstąpiłem do służby u wicehrabiego w charakterze sekretarza. Za parę dni odchodzi stąd do Yorktown transportowiec »Omega« z czterystu niemieckimi ochotnikami. Prawdopodobnie tym samym transportowcem odplynie tajny agent Woodrowa Craga z poleceniem wicehrabiego dla niejakiego kapitana Burnsa. Agent udaje się do Błękitnej Doliny, położonej o sto mil powyżej Vincennes, nad Srebrną Rzeką. Kopię polecenia załączam. Nazwiska agenta nie zdołałem ustalić. Takie samo polecenie wysłano do Kapsztadu, do kapitana »Fortuny«,*

*Giovanniego Caraccioli. Jakimś kolonistom w Błękitnej Dolinie grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Postanówcie, co robić, aby ich ratować.*

***George Bingle, syn wolności***".

- O'Grady - rzekł młody człowiek - noc będzie burzliwa, ale nie ma rady, musicie obaj natychmiast wyruszyć do Belfastu, do brata Maggersona. To bardzo ważna wiadomość. Musi ona dojść do niego, a potem do Ameryki wcześniej, nim przybędą tam agenci Craga. Ale i ja muszę się spieszyć, aby oddać tę kurtkę Cragowi i jak najszybciej wrócić do Chancefieldu.
- Patrick - zwrócił się stary do swego syna - przygotuj barkas. Za godzinę wypływamy na morze. A ty daj nam coś zjeść, stara! Niech mi pan jeszcze powie, mister Bingle...
- Mister Moynes - poprawił młodzieniec.
- Przepraszam, mister Moynes, czy nie ma pan jakich wiadomości o swym bracie Tomie? Ach, szkoda, szkoda, cóż to był za chłopiec!...

Wicehrabia wysłuchał krótkiej relacji swego młodego sekretarza.

- Szybko wróciłeś z Bultonu, Ned, jestem z ciebie zadowolony. A teraz idź i odpocznij, tylko na razie nie oddalaj się ani na krok ze swej baszty, mój drogi! Możesz malować z mister Jarnesem. Lubię mieć moich ludzi zawsze pod ręką.

W parę dni potem wicehrabia otrzymał krótkie zawiadomienie od Woodrowa Craga, że transportowiec „Omega” odpłynął do Ameryki. Wśród jego załogi znalazł się również cyrulik Frank Willers. A po upływie dalszego miesiąca nadszedł przywieziony przez umyślnego list z Londynu. Przeczytałszy go wicehrabia spochmurniał i wezwał Mortona.

- Czy pan wie, co pisze nasz londyński agent Clanch? - rzucił pan Chancefieldu w ogromnym zdumieniu. - Ani w dokach East-Endu, ani w szpitalu Św. Bartłomieja nigdy nie spotkano się z nazwiskiem Arvida Moynesa, byłego kupca i dokera. Nikt też nie słyszał o jego synu Edwardzie... Londyńskiej policji również takie osoby nie są znane. Coś tu jest nie w porządku, Morton! Musicie obaj z Cragiem rozgryźć tego ptaszka!

## **Droga wiodąca w górę**

### **1**

Edward Moynes stał przed sztalugą. Pracownia mister Augusta Jarnesa, malarza i rzeźbiarza, który już szósty rok pracował w Chancefieldzie, mieściła się na poddaszu bocznego skrzydła zamku. Była zavalona gipsowymi posągami, płótnami, blejtramami, puszkami z farbą. Prawy kąt pracowni, wolny od tych artystycznych rekwizytów, przybrany był draperią z aksamitu i jedwabiu, na którą padało rozproszone światło z dwu lekko przysłoniętych okien.

Już trzeci miesiąc lady Ellen Riland pozwała tu mister Jarnesowi do portretu. Podczas jednego z tych seansów nowy sekretarz wicehrabiego poprosił mistrza, jak również milady o pozwolenie, aby mógł ustawić drugą sztalugę i też malować. Mister August Jarnes niechętnie zgodził się na to. Na razie ograniczał zajęcia Neda ściśle do rysunku, udoskonalając i uzupełniając jego znajomość perspektywy i anatomii. Sam zaś malował bardzo dokładny w szczegółach, „paradny” portret w ciemnej tonacji. Obraz był przeładowany elementami dekoracji, stroju i wnętrza i stanowił sumienną, lecz nader banalną pracę akademicką. Ned Moynes natomiast przedstawił milady w zwykłej domowej sukni na jasnym tle, w którym patrzący na obraz raczej odgadywał pejzaż jesienny. Najistotniejsze w tym portrecie były oczy, usta i ręce wicehrabiny. Tak wyraźnie mówiły o żądzy władzy, przewrotności i okrucieństwie, że sir Frederick dobre pół godziny przesiedział w milczeniu przed sztalugą młodego malarza. Zobaczył na płótnie obnażoną duszę swej żony. Było to jak oskarżenie rzucone prosto w twarz.

Portretu tego Ned nie dokończył. W obawie, że przy wykończeniu może zniknąć uderzające podobieństwo z oryginałem, wicehrabia kazał pokryć płótno werniksem, oprawić w ramę i zawiesić w górnym gabinecie, tak by obraz był dobrze widoczny zza biurka.

Przy świecach portret jeszcze bardziej ożywał. Migotliwe płomyki zdawały się odbijać w głębi zimnych oczu milady. I jakkolwiek jej samej portret się nie podobał, wszyscy z uznaniem podkreślali niepospolity talent i mistrzostwo młodego artysty.

Na krótko przed udaniem się na pokład fregaty „Windsor” wicehrabia poprosił do swego gabinetu mister Jarnesa.

- Jak pan sądzi, u kogo uczył się nasz nowy malarz - spytał sir Frederick, skinieniem głowy wskazując portret milady. - I jak długo mogła trwać jego nauka?

- Mówił mi, że wszystkiego razem uczył się niespełna cztery lata. Maluje według manieri włoskiej, a swoje ujęcia przejął po prostu od jakiegoś dobrego portrecisty. Brak mu regularnych studiów akademickich, ale można z całą pewnością powiedzieć, że ma wielką przyszłość przed sobą. Może mi pan wierzyć!

- Mister Jarnes, z pewnych względów uważam za rzecz konieczną, aby w ciągu kilku miesięcy mojej nieobecności ten młodzieniec pozostawał pod pańską stałą obserwacją... Tylko... on nie powinien o tym wiedzieć. Nie chcę też, aby malował dla kogokolwiek obcego... Proszę z nim więcej pracować. Mam nadzieję, że jego nauka nie sprawia panu zbyt wiele kłopotu?

- Ale skądże! Ten chłopiec pracuje z takim zapałem!... Trudno go oderwać od sztalugi i szkicownika.

Pocziwy mistrz nie podejrzewał nawet, że nie będzie jedynym „patronem” Edwarda Moynesa. Dwaj osobnicy, którzy zjawili się tego samego dnia z karteczką od Woodrowa Craga i przedstawili się wicehrabiemu jako mister Jaws i mister Sleep, otrzymali - obok

funkcji stróżów przy bramie - pewne dodatkowe instrukcje od pana Chancefieldu.

...Ned stał w pracowni przed sztalugą. Szkicował węglem obnażony tors modela, człowieka o dość pospolitym wyglądzie, Bena Hawkersa, do którego obowiązków należało zaopatrywanie zamku w świeże mięso, mleko i drób. Obaj artyści dawno już prosili o to, by mogli sobie wybrać modela spośród służby, i teraz, po naradzie z mister Jawsem i mister Sleepem, wicehrabia sam oddał owego Hawkersa do ich dyspozycji.

Mister August Jarnes przyjrzał się rysunkowi na sztaludze.

- Dobrze uchwycił pan grę światła i z wyczuciem oddał prężność mięśni barkowych. Proszę jednak spojrzeć, Ned, te ramiona nie mają kości. Nie czuje się oparcia mięśni, a jednocześnie proszę porównać, jak wyraziście występują u modela jego mocne, typowo anglosaskie kości barkowe. Proszę zostawić rysunek, będziemy musieli powrócić do szkieletu. Oto atlas anatomiczny. Jest to jedyna, poza Biblią, księga, którą studiował Rembrandt. Niech pan weźmie węgiel, zaznaczy na skórze modela zarysy kości i przeniesie na papier jego szkielet w tej swobodnej siedzącej pozycji. A ten słoneczny refleks na ramieniu proszę usunąć i w czasie lekcji nie uciekać się nigdy do tanich efektów, które mogą imponować tylko laikom i dyletantom.

Ned zabrał się do zaznaczania węglem żeber i kości barkowych modela, z niepokojem przyglądającego się czarnym liniom na swych bokach i piersi, stary zaś mistrz, zsunawszy okulary na czoło, trzymał cały czas otwarty atlas anatomiczny przed oczami młodego artysty. Przy tym zajęciu zastali obu malarzy panowie Thompson junior i Patterson, którzy bez zaproszenia zjawili się w pracowni. Ujrzawszy modela, Patterson cofnął się z okrzykiem zdumienia. Ned zasłonił parawanem nagiego człowieka z wyrysowanymi węglem kośćmi szkieletu i pytająco spojrzął na swego mistrza. Ów poznał gości i wyraźnie niezadowolony spytał o cel wizyty.

- Mieliśmy z mister Thompsonem sprawy do wicehrabiego, lecz, jak się okazuje, udał się on już na pokład „Windsoru”. Zanim konie trochę odpoczną, pozwólcie, panowie, obejrzeć wasze ostatnie prace... Ma pan nowego pomocnika, mister Jarnes?

- Tak, panowie pozwolą: mister Edward Moynes, sekretarz wicehrabiego i mój młody uczeń.

- Bardzo mi miło. Jestem Patterson, dyrektor Bulton Bank... O, co za wspaniały rysunek! Ależ pan jest wielkim artystą, mister Moynes! A ten słoneczny refleks na ramieniu jest wręcz cudowny!

Mister Jarnes gniewnie spojrzął na Neda i ten nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

- Richard, rozgniewałem mister Jarnesa, a ten młody człowiek śmieje się z mego komplementu. Widocznie pomyliłem się w ocenie rysunku. No cóż, rzeczywiście nie jestem zbyt wielkim znawcą sztuki...

Podczas gdy Patterson przyglądał się rysunkowi na sztaludze, Richard Thompson nie spuszczał oczu z młodego artysty. Edward Moynes przypominał mu jakiegoś młodocianego klienta... Tamten też był takim niebieskookim chłopcem... Kto to mógł być, w jakim procesie?

- Mister Patterson - odezwał się w zamyśleniu - twarz mister Moynesa wydaje mi się jakby znajoma. Wie pan, on jest chyba podobny do tego chłopca, który pracował u pana jako kreślarz, a potem trafił do więzienia za współudział w podpaleniu stoczni. Bronilem go na rozprawie i biedny chłopak został uniewinniony... Jak on się nazywał?... Nie pamięta pan, mister Patterson?

- Nazywał się Bingle, niech go piorun trzaśnie, George Bingle... Tak, rzeczywiście jest pewne podobieństwo między mister Moynesem a tamtym huncwotem... Przepraszam, mister Moynes!

Ned Moynes skłonił się w milczeniu. Po czym, schyliwszy się nad sztalugą i nie patrząc na nikogo, spytał obojętnym tonem:

- I co się stało z tym chłopcem?

- Nie wiem, mister Moynes, ale bardzo interesował się tym ów staruszek, u którego chłopiec mieszkał i uczył się rysunku. Zapomniałem jego nazwiska - odpowiedział adwokat. Patterson głośno westchnął.

- To był mój stary kreślarz, William Barlet. Wspaniały staruszek! Świetnie zna się na budowie okrętów i dotąd pracuje w stoczni... Jakże on rozpacział po tym niegodziwym Bingle'u! Kochał go jak rodzzonego syna. Ale ja nie mogę nawet słuchać o tych wszystkich łajdakach, którzy zniszczyli moją stocznię! Przy pańskiej pomocy, mister Richard, George Bingle został potem zwolniony. Podobno zgłosił się po niego jakiś rybak i odtąd ślad po nim zaginął. A niech ich diabli! Smażyłbym ich wszystkich na wolnym ogniu, razem z tym przeklętym Fernando Diazem! Zepsuł mi pan humor, mister Thompson. Wracajmy do domu!

- Myślę, że nam też starczy na dziś, Ned. Możesz iść do domu, Ben - powiedział stary malarz do modela, który zdążył się już ubrać za zbawczym parawanem.

Model boczkciem wysunął się zza parawanu i zręcznie umknął z pokoju. Obaj dżentelmeni zaczęli się żegnać. Thompson raz jeszcze podszedł do sztalugi i półgłosem zwrócił się do młodego artysty:

- Mister Moynes, bardzo bym chciał zamówić u pana portret... pewnej uroczej młodej damy, najpiękniejszej w Bultonie. Czy zgodziłby się pan go namalować?

- Z największą przyjemnością, jeśli tylko mister Jarnes pozwoli.

- Niestety, mister Thompson, nie mogę na to pozwolić. Pan wicehrabia stanowczo zabronił, aby Ned przyjmował jakiegokolwiek zamówienia.

- No cóż, bardzo żałuję! Do widzenia, moi panowie.

Przez okno pracowni, zamglone od zimowego deszczu, Ned Moynes widział, jak Patterson i Thompson wsiadali do powozu. Nie widział natomiast, jak jeden z dwu nowych stróżów zamkowych, po krótkiej rozmowie z Benem Hawkersem, pobiegł za powozem i dogonił go w chwili, gdy wyjeżdżał na drogę. Przymilnym tonem, wykluczającym możliwość odmowy, człowiek ten poprosił, by podwieziono go do portu. Na ulicy Latarni Portowej, ku zadowoleniu stangreta, zeskoczył z kozła i szybkim krokiem podążył do tawerny „Brzuch Wieloryba”.

- To pan, Sleep? - przyjrzał mu się właściciel tawerny. - Jakież nowe wiadomości z Chancefieldu?

- Patterson i Thompson rozmawiali z Edwardem Moynesem. Był przy tym Ben Hawkers. Niegłupi chłop! Poczytał ważne spostrzeżenia. Adwokat Richard Thompson też dopatrywał się podobieństwa między Moynesem i dawnym kreślarzem ze stoczni, George'em Bingle'em. Podejrzenia zdają się potwierdzać. Hawkers zauważył, jak Moynes drgnął i odwrócił się. To znaczy, że stara Polly, sąsiadka nieboszczki matki Bingle'a, sama o tym nie wiedząc dała nam do rąk właściwą nić. Mistress Barlet, żona starego kreślarza, wygadała się przed nią...

- Wiem, Sleep, wiem! - przerwał mu Woodrow Crag. - To wszystko jest bardzo ciekawe.

Dwie ciężkie fregaty „Windsor” i „Walia” podniosły kotwice w porcie bultońskim, wyszły na Morze Irlandzkie i opłynawszy wybrzeże Kornwalii wzięły kurs na Portsmouth.

Dwupokładowy, uzbrojony w sto armat „Windsor” płynął pierwszy. Na jego kapitańskim mostku stał wicehrabia Chancefieldu w botfortach i mundurze oficera brytyjskiej floty królewskiej. „Walia” szła w niewielkiej odległości za „Windsorem”. Oba okręty, zbudowane i wyposażone przez wicehrabiego, stanowiły dar dla jego królewskiej mości od członków Kompanii Północnobrytyjskiej. Wicehrabia Chancefieldu wiódł teraz swe okręty, by je dołączyć do głównych sił floty królewskiej...

Starszy kreślarz mister William Barlet oglądał, pochylony nad stołem, duży rysunek

pięciomasztowego okrętu.

- „Król Jerzy III” - mrucał do siebie. - Podobny do „Skrzydlatego”, ale to już nie to... Nie to, co nasze stare okręty ze stoczni mister Pattersona! Nawet za dziesięć lat nie znajdzie się chyba na morzu okręt mogący dorównać „Skrzydlatemu”. Jeszcze dwa, trzy miesiące i będzie on z powrotem jak nowy. W dobrych rękach dokaże jeszcze cudów! A na razie - ponad dziesięć zatopionych okrętów i ani jednego naprawdę groźnego uszkodzenia. Piękne konto!

Do biura wszedł mister Harvey, były majster okrętowy, a obecnie zarządca stoczni.

- Staruszkę, mister Patterson prosi, by pan przyjechał zaraz do Chancefieldu. Jakaś pilna sprawa. Bryczka już czeka na pana. Niech pan odłoży te rysunki i ubierze się ciepło.

Przed bramą stał lekki dwukołowy wózek z jakimś mężczyzną na koźle. Mister Barlet zajął miejsce obok niego, tamten potrząsnął lejcami i wózek potoczył się szybko po oblodzonej jezdni. Na szosie sąsiad Barleta zwolnił bieg konia.

- Mister Barlet, pozwól pan, że się przedstawię: jestem Sleep, pomocnik szeryfa. Ulegając smutnej konieczności muszę panu powiedzieć, że jest pan aresztowany.

Na tak nieoczekiwane oświadczenie staruszek wytrzeszczył oczy i poczuł nieprzyjemny chłód przebiegający po grzbiecie... Zaledwie parę miesięcy temu pod jego dachem spędził dwa dni pewien miły młodzieniec, ongiś bardzo bliski jego staremu sercu... Młodzieniec uprzedził, że ukrywa przed policją swoje prawdziwe nazwisko... Czy aby chłopak nie wpadł?

Mimo to staruszek uznał za wskazane zmarszczyć brwi i zawołać oburzonym głosem:

- Dlaczego wprowadził mnie pan w błąd? Wydaje mi się, że można było powiedzieć mi to w biurze! Po raz pierwszy od sześćdziesięciu lat spotyka mnie coś podobnego!

- Jeśli już tak sądzono, kiedyś musi być ten pierwszy raz - uspokoił go mister Sleep.

Dalszą drogę przebyli w milczeniu. U bramy Chancefieldu oczekiwał ich już odźwierny i mister Jaws, nowy „stróż zamkowy”.

- Tędy, mister Barlet - rozkazującym tonem rzucił Sleep, wskazując kręte schody wiodące do lewej baszty zamku. - Czekaj panie miłe spotkanie ze starym znajomym.

Staruszkę wprowadzono do niedużej okrągłej salki o kopulastym sklepieniu. Cztery wąskie, strzeliste okna były szczelnie zasłonięte storami. Kilka rysunków zdobiło tynkowane ściany. Na stole leżał blok pełen ołówkowych szkiców.

- Niech pan poprosi tu z pracowni mister Moynesa - polecił Sleep swemu pomocnikowi Jawsowi.

Edward Moynes ujrzał wystraszoną twarz Barleta w chwili, gdy już przekroczył próg.

- Uściśnijcie sobie ręce; mister Barlet i mister Bingle - słodkim a zarazem złowieszczym głosem wycedził agent. - Starzy przyjaciele znów się spotykają, prawda, George Bingle? A teraz zechce nam pan wyjaśnić, w jakim celu wkradł się pan pod fałszywym nazwiskiem do domu milorda.

Młody człowiek rzucił szybkie spojrzenie na Barleta i nie okazując zmieszania, odparł ze swobodą:

- O moim podobieństwie z jakimś tam Bingle'em powiedział mi jeszcze tydzień temu mister Thompson. To podobieństwo wprowadziło w błąd również i was, panowie. Nie znam żadnego George'a Bingle'a i nigdy nie słyszałem tego nazwiska.

Jaws, młodszy rangą agent, zwrócił się do Barleta:

- Czy potwierdza pan, że stojący tu przed panem młody człowiek jest pańskim dawnym uczniem, osadzonym niegdyś w więzieniu za współudział w podpaleniu stoczni bultońskiej?

- Po pierwsze, mój uczeń nie miał nic wspólnego z podpaleniem i został wkrótce zwolniony. Po wtóre, widzę wprawdzie pewne podobieństwo między tym młodzieńcem a George'em Bingle'em, lecz sądzę, że jest ono czysto przypadkowe.

- Ach tak? A więc gdy pan przygarnął u siebie tego właśnie młodego człowieka, nie poznał w nim pan swego dawnego ucznia?

- N-nie, nie poznałem i powtarzam, jestem przekonany, że to tylko przypadkowe

podobieństwo.

- Niech pan powie, mister Barlet, czy poznałby pan matkę George'a i Thomasa Bingle'ów.

- Naturalnie, że poznałbym kobietę, która co tydzień przychodziła do mnie po syna. Ale chyba nie zamierzacie, panowie, wyciągnąć jej z grobu.

- Nie, nie ma potrzeby. Tylko może nam pan powie, kogo przedstawia ten rysunek?

Przy tych słowach mister Jaws otworzył blok Edwarda Moynesa. Twarz nieboszczki mrs Bingle jak żywa spojrziała z karty. Na widok tego rysunku Barlet zrozumiał, że dalszy opór jest bezcelowy. Również i Edward Moynes opuścił wzrok. Gra była przegrana...

- Widzi pan, mister Barlet, na próżno usiłował pan oszukać prawo. A więc potwierdza pan, że przygarnął George'a Bingle'a po opuszczeniu przez niego szpitala Św. Krzysztofa?

Staruszek pośepnie milczał.

- Niepotrzebnie zwiększa pan jeszcze swoją winę przez wypieranie się prawdy - pouczającym tonem wtrącił Sleep. - Pańska małżonka, mimo zakazu, opowiedziała niedawno byłej sąsiadce Bingle'ów, Polly, że w pańskim domu znów zjawił się George. A Polly podzieliła się nowiną... z żoną mister Jawsa.

- Zostawcie staruszka w spokoju! - ostro odezwał się młody człowiek.

- Chętnie bym zadośćuczynił pańskiemu życzeniu, bardzo chętnie, lecz mam pewne podstawy sądzić, że sędzia bultoński zechce się dowiedzieć, w jakim celu szanowny mister Barlet brał udział w oszukiwaniu milorda. Obu wam wypadnie zabawić w tym domu aż do powrotu wicehrabiego z wyprawy, nie chcemy bowiem rozpoczynać śledztwa bez jego wiedzy... George Bingle, w imieniu prawa aresztuję pana!

## 2

Było jeszcze prawie ciemno, gdy lord Artur Stanford obudził się. Odsunął kotarę przy łożu, spojrzął w zasłonięte storami okna, za którymi szarzał blady świt, i pomyślał z niechęcią, że czeka go dziś trudny dzień. Z Chancefieldu ma przyjechać kuzynka Ellen. To jej pierwsza wizyta w Donald-Court po powtórnyim zamążpójściu. O jej drugim mężu krążą różne słuchy, ale nawet osoby, znajdujące przyjemność w powtarzaniu plotek o wicehrabim, czynią to coraz bardziej ściszym głosem. Nie chcą popsuć sobie stosunków z panem Chancefieldu, co mogłoby być rzeczą wręcz niebezpieczną. Jego nazwisko stało się znane w najwyższych sferach. Zresztą kuzynka Ellen pisze, że przyjedzie bez męża, jako że sir Frederick w tych dniach wyruszył na morską wyprawę...

Cały kłopot polega na tym, że ofiarował się odprowadzić kuzynkę Ellen nie kto inny, jak właśnie sir Henry Blandhill i teraz nie da się uniknąć spotkania dwóch skłóconych z sobą dżentelmenów, albowiem już drugi tydzień bawi w Donald-Court sir Harry Hartley, młody hrabia Elswicku.

Sir Henry Blandhill to stary przyjaciel lorda Artura, druh z lat młodości, a dziś również sąsiad wicehrabiego Chancefieldu i podobno nader bliski przyjaciel jego żony. Harry Hartley jest o jakieś dwadzieścia lat młodszy od lorda Artura; w jego towarzystwie lord Artur też czuje się młodszy i bardziej beztroski. Zgodził się już prawie na propozycję swego młodego przyjaciela, by razem odbyli niewielką podróż jachtem do Norwegii, gdy nagle list kuzynki Ellen zburzył wszystkie plany. Wyjechać przed jej przybyciem to byłby straszny nietakt.

- Czy hrabia Harry już się obudził? - spytał lord Artur kamerdynera, który pomagał mu w ubieraniu się.

- Hrabia jest już w jadalni. Do śniadania pozostało już tylko sześć minut, milordzie.

W domu lorda Artura panował nieomal wojskowy rygor, jeśli idzie o porę posiłków rodzinnych, Żona lorda, lady Agnes, miła majestatyczna dama, przestrzegała go bardzo surowo. Cały dom żył według zegara i gongu. „Punktualność jest grzecznością królów” -

lubiła powtarzać lady Agnes. Wpiąwszy przed zwierciadłem złotą szpilkę do wspaniałego halsztuka lord Artur spojrzął na stojący w kącie zegar w wysokiej mahoniowej szafce i na pierwszy dźwięk gongu zeszedł do jadalni.

Piętnastoletni Robert, syn lorda Artura, z ożywieniem omawiał z hrabią Harrym najlepszy system obrony przeciwko nowemu hiszpańskiemu sposobowi ataku z fałszywym wypadem. Robert pobierał teraz lekcje fechtunku u dymisjonowanego francuskiego kapitana, który niedawno zaofiarował lordowi Arturowi swoje usługi w charakterze guwernera i mentora jego synów. Monsieur Charles Leglois przedstawił doskonale rekomendacje i pozostał w Donald-Court.

Po minie męża lady Agnes od razu domyśliła, że coś go gnębi. Gdy wstano od stołu i część towarzystwa przeszła do sali fechtunkowej, skąd po chwili dobiegł szcęk stalowych kling i podniecone okrzyki Roberta, lord Artur powiedział żonie o liście kuzynki Ellen, doręczonym mu wczoraj wieczór przez posłańca z Wolveswood.

- Nigdy nie lubiłam Ellen Graham - wyznała lady Agnes - jakkolwiek nic właściwie nie mogę jej zarzucić. Lecz twoje obawy wydają mi się całkowicie bezpodstawne. Cieszę się z przyjazdu Henry'ego i zapewniam cię, że w naszym domu dojdzie do pojednania z hrabią. Mam wrażenie, że Harry zaczyna się już nudzić w Donald-Court. Jestem nawet wdzięczna kuzynce, że swoim przyjazdem przeszkodziła wam w odbyciu tej bezsensownej podróży do Norwegii.

- A jednak bardzo cię proszę, Agnes, nie spuszczać Harry'ego z oka. Im niższe są pobudki wrogości, tym bardziej nieprzejednani bywają przeciwnicy. Ci dwaj rywalizują z sobą dosłownie na każdym kroku. Henry'emu wpadło niedawno do głowy, że ziemia nad Kelsexem nieprawnie należy do hrabiego Elswicka i że wszelkie prawa do niej przysługują jego ciotecnemu wujowi. A ponieważ on, Henry, jest jedynym spadkobiercą owego wuja, będzie się prawował o nią przy pomocy swego adwokata Mortona. Dowiedziawszy się o tych śmiesznych pretensjach Harry Elswick oświadczył, że poszczuje psami pierwszego szcúra sądowego, który ośmielił się postawić stopę na jego ziemi. Nie zapominaj, że rywalizują oni też z sobą na arenie politycznej: obaj są kandydatami na jedyne z naszego okręgu miejsce w parlamencie...

- Arturze - powiedziała lady Agnes - jestem gotowa spełnić twoje życzenie i jak Argus pilnować ich obu. Ale zobaczysz, że za parę dni wszyscy trzej będziecie się śmiać z twoich dzisiejszych obaw. Od dwóch tygodni widuję co dzień Harry'ego przy stole i dotychczas nie słyszałam od niego jednego poważnego słowa. Trudno sobie nawet wyobrazić, że Harry, ten dzieciak znajdujący upodobanie w towarzystwie naszego Roberta, szykuje się do działalności politycznej i to w bliskiej przyszłości.

- Henry Blandhill ma więcej kupionych głosów i znacznie więcej szans na zajęcie fotela w parlamencie. Posiada też bardziej dojrzały umysł. Skoro jednak w Harrym obudził się duch rywalizacji, postawi na kartę wszystko, nawet swoje kopalnie węgla, aby zwyciężyć przeciwnika. Niebezpieczeństwo kryje się właśnie w jego dziecinnej zapalczywości... Zresztą, Będę szczerze rad, jeśli się okaże, że ty masz rację, i jeśli w rezultacie nieoczekiwanego spotkania tych dwóch dżentelmenów wygaśnie ich niedorzeczna wrogość.

W otwartą bramę rezydencji hrabiów Stanfordów wpadł powóz w otoczeniu konnej eskorty. Na wygiętych w kształt wiolinowego klucza resorach kołysało się podłużne pudło karety. Turkot kół rozległ się głośnym echem na obszernym, kiepsko wymoszczonym dziedzińcu Donald-Court. Z ławeczki umieszczonej pomiędzy wysokimi tylnymi kołami karety zeskoczył lokaj i podbiegłszy do przodu pomógł stangretowi zatrzymać przed gankiem trzy pary siwych, niewiarygodnie jednakowych koni.

Na spotkanie gości natychmiast pospieszył ochmistrz dworu, lecz już jeden z jeźdźców, wysoki dżentelmen w płaszczu, zeskoczył z konia i otworzył wypukłe drzwiczki karety. Foryś zręcznie opuścił stopnie i lady Ellen, opierając się na ręce wysokiego dżentelmena, weszła na



ganek. Lokajom, którzy tymczasem nadbiegli, nie pozostało już nic innego, jak tylko wydobyć z wnętrza karety dwa kufry okazałych rozmiarów, trzy pudła różnej wielkości, skomlącego bulteriera, nie większego od pięści, kupę pledów i szali i wreszcie grubą pokojówkę Betsy.

W hallu wysoki dżentelmen pomógł milady zdjąć okrycie - wspaniałą, puszystą i leciutką jak piórko fantazję z rosyjskich soboli, puchu edredonowego i najdelikatniejszego atlasu. Etołę z tumaków, podbitą blad różowym jedwabiem, wicehrabina zrzuciła z ramion nie patrząc nawet, czyje usłużne ręce pochwyć ją w locie.

Towarzystwo zebrane w Donald-Court, wypiwszy przed chwilą tradycyjną herbatę o piątej, zabawiało się w salonie lekką rozmową, gdy ochmistrz oznajmił przybycie wicehrabiny Chancefieldu i markiza Henry'ego Blandhilla.

Harry Hartley, siedzący przy stoliku do kart naprzeciwko lady Agnes, zmarszczył brwi i nie ruszył się z fotela. Pan domu i monsieur Leglois wstali na powitanie gości. Ochmistrz otworzył szeroko drzwi. Sir Henry Blandhill przystanął w progu przepuszczając przed sobą milady. W obszytym futerkiem kostiumie podróżnym, w malutkiej czapeczce z gronostajów na złocistych włosach, zaróżowiona od mrozu i lekko podniecona czekającym ją spotkaniem wicehrabina była wręcz olśniewająca. Harry Elswick, nie odrywając od niej zdumionego wzroku, z wolna rozprostował długie nogi i podniósł się z fotela. Henry Blandhill z wojowniczą miną kroczył za damą. Monsieur Leglois, rozpromieniony, kłaniał się szarmancko. Lord Artur, pokrywając uśmiechem wewnętrzny niepokój, uściśnął dłoń sir Henry'ego, po czym przedstawił kuzynce Ellen swego przyjaciela hrabiego Elswicka. W końcu obaj rywale wymienili chłodne, krótkie ukłony.

- Przybywasz do nas, kuzynko, jak uosobienie archangielskiej zimy lub sama caryca Katarzyna - uśmiechnął się lord Artur. - W ile godzin przegalopowaliście te dziewięćdziesiąt mil?

- Moja najlepsza przyjaciółka, małżonka sir Henry'ego, długo powstrzymywała mnie od tej podróży. To ona nalegała, by sir Henry koniecznie towarzyszył mi w drodze do Donald-Court. Podobno teraz nie bardzo jest bezpiecznie podróżować.

- Niestety to prawda - potwierdził pan domu. - W ostatnich czasach chłopci-dzierżawcy stali się po prostu bandytami. Ziemia jest nam potrzebna na pastwiska dla owiec, ceny na wełnę poszły bardzo w górę, a te chamy wyobrażają sobie, że jesteśmy na wieki zobowiązani oddawać im w dzierżawę naszą ziemię. Nie możemy już rozporządzać się podług swojej woli w naszych własnych majątkach!...

- Bo tu potrzebna jest twarda ręka, kuzynie! Mój mążnek uzyskał, iż nasz sędzia pokoju kazał powiesić trzech kłusowników schwytanych w naszym lesie... Ale podróż była cudowna! - szczebiotała wicehrabina. - Mąż posłał ze mną dwóch strzelców konnych, a sir Henry wziął jeszcze grooma.

Lady Agnes zwróciła uwagę na futrzane botki wicehrabiny, zdobne oryginalnym haftem.

- Jakie śliczne jest to rosyjskie obuwie zimowe! - zawołała. - Bardzo chciałabym mieć takie botki. U nas w Donald-Court bywa zimą tak chłodno... To na pewno też z Archangielska?

- Naturalnie. Geoffrey MacRail, nasz agent, często przysyła nam rosyjskie futra. Mam z sobą cały kufer różnych drobiazgów z Rosji dla ciebie, Agnes, i kuzyna.

Towarzystwo rozeszło się, by wkrótce znów zebrać się w jadalni. Podczas gdy goście zajmowali miejsca przy stole, lady Agnes zdążyła szepnąć do męża:

- Kuzynka i wicehrabia obsypali nas nieomalże królewskimi prezentami. Te „drobiazgi” - wiesz, jestem wręcz oszołomiona! Nigdy, mój kochany, nie otrzymałam od ciebie tak przepięknych soboli. On się fantastycznie wzbogaca, ten nasz nowy krewniak! A kuzynka nigdy jeszcze nie była tak piękna... Widzisz jej brylanty? Nawet we śnie nie mogłaby o nich marzyć, gdyby do dziś była żoną naszego biednego George'a.

Mimo usiłowań gospodarzy, by wytworzyć swobodny nastrój przy stole, a może właśnie na

skutek tych usiłowań, obiad przeszedł w atmosferze sztywnej i wymuszonej. Monsieur Leglois bez powodzenia próbował ożywić rozmowę dowcipem, który lord Artur określał mianem „humoru koszarowego”. A gdy po wygłoszeniu aforyzmu, że warto żyć na świecie tylko dla pięknej kobiety, rasowego konia i porządnego pojedynku, monsieur Leglois pochwycił niezadowolone spojrzenie pani domu, spostrzegł się wreszcie i zamilkł. Przy kawie hrabia Harry Elswick przewrócił niechcący kieliszek greckiej małmazji. Lokaj natychmiast zmienił kieliszek i zręcznie przykrył serwetką szkarłatną plamę na obrusie, podobną do krwawej rany.

### 3

Ze stopnia dylizansu, który zatrzymał się przed gospodą „Biały Niedźwiedź”, zeskoczył smagły mężczyzna w czarnym płaszczu, potrząsając niewielkim sakwojazem. Obszedł katedrę bultońską i pogwizdując jakąś francuską piosenkę skierował się w stronę portu. Przy ulicy Latarni Portowej mężczyzna ów wbiegł po brudnych schodkach na piętro nieprzytulnego domu, zamieszkanego przez ludzi najróżniejszej maści. W mrocznym korytarzu wpadł na gospodynię, u której odnajmował dwa frontowe pokoje.

- A, mister Alex Crampflow, nareszcie powrócił pan do domu!

Z tonu gospodyni można było wnosić, iż żywi ona sympatię dla swego lokatora. Pocziwa kobiecina weszła za przybyłym do jego pokoi i natychmiast zabrała się do wycierania kurzu, który osiadł grubą warstwą na wszystkich przedmiotach podczas nieobecności pana Crampflowa.

- Bezwzględnie zabronię lokatorom z góry urządzania takich dzikich harców i tupania nogami. Widzi pan, pełno tynku na wszystkim, mister Crampflow... W ostatnich dwóch miesiącach prawie co dzień dopytywał się o pana niejaki mister Grimles.

- Tak, spóźniłem się nieco z powrotem. Człowiek żyje przecież tylko raz, maam, a ja byłem w Paryżu... Co porabiają pani lokatorzy? Co słyhać nowego?

- Wszystko po staremu, mister Crampflow. Tylko mister Frank Willers już dwa miesiące jak pojechał w daleką drogę. Dobry był lokator, taki jak pan. Mister Willers zaciągnął się na transportowiec „Omega” i popłynął wojować do Ameryki...

- Dobrze, dziękuję za nowiny, maam. Proszę mi tu przysłać chłopaka, niech rozpali ogień na kominku. Skocz no do tawerny „Brzuch Wieloryba” - zwrócił się lokator do młodego służącego gospodyni - i zamów u pana Craga rum i cynamon do grogu. Niech mi to wszystko przyśle przez swego posłańca.

Gdy zamówione rzeczy znalazły się na stole, mister Crampflow poprosił gospodynię o cukier i wrzątek i sam zajął się przygotowaniem napitku. Gdy gospodyni weszła z wrzątkiem do pokoju, niedbale zmiął w dłoni rachunek z tawerny i cisnął go w ogień na kominku. Gospodyni wyszła, by przynieść mi obiad.

- Woodrow rzadko wychodzi z za swego kontuaru - mruknął do siebie mister Crampflow. - Dziś o szóstej wyznacza mi spotkanie w wiadomym ustronnym domku. Wansley i Grimles też tam będą. No cóż, swoje chłopaki. Widać stary ma dla mnie jakąś prawdziwą robotę. Bez tego życie byłoby trochę nudne!

Pożegnawszy ostatniego klienta Richard Thompson przywołał swego starszego klerka Jankinsa i kazał mu zawiesić przed wejściem do kantoru białą tabliczkę z napisem „Zamknięte”. Był listopadowy sobotni wieczór i adwokat miał wszelkie szansę, by przyjemnie spędzić resztę wieczoru.

- Trzy - to moja szczęśliwa liczba - rzekł zwracając się do marmurowego posągu Merkurego

na brązowym postumencie. - Pozwól, że na pożegnanie sam otrę cię z kurzu, lotny gończe bogów i patronie handlu! Dziś, o boski, pragnąłbym posiadać tu twe uskrzydłone sandały! Serce mi mówi, że dzień dzisiejszy to największy dzień w moim życiu. Mój drogi nieboszczyk ojciec z całego serca pobłogosławiłby trzecią wybrankę swojego syna. A ona... W jej oczach tak wyraźnie czytam, że czeka tylko na moje słowo! I to słowo zostanie dziś wypowiedziane!

Tego wieczora w domu mister Thomasa Nattera, naczelnika bultońskiego urzędu celnego, również panowało niecierpliwe oczekiwanie. Spojrzenia wszystkich skierowane były na najstarszą córkę, miss Lucy, pannę w wieku lat dwudziestu czterech, amatorkę smutnych wierszy, rybołówstwa i ostrych, zaprawionych octem sosów. Niecierpliwość rodziny była usprawiedliwiona, jako że mister Thompson znacząco poprosił o pozwolenie złożenia wizyty w sobotę wieczorem celem odbycia poważnej rozmowy z Lucy i jej ojcem.

Nawet bez uskrzydłonych sandałów rzymskiego boga adwokat mknął do domu z wielką szybkością, częstując ponurego Flatchera żartobliwymi kuksańcami w plecy. Ten zaś, czując okazję dodatkowego napiwku, ze wszystkich sił poganiał gniadą klacz.

Ku swemu wielkiemu niezadowoleniu mister Thompson ujrzał w domu obcy czarny płaszcz na wieszaku. W saloniku siedział jakiś nieznajomy w modnym paryskim fraku, w peruce z króciutkim warkoczem i w czarnych pończochach. Bezcelna fizjonomia klienta od razu nie spodobała się Richardowi. Oświadczył stanowczym tonem, że przed poniedziałkiem nie może nikogo przyjąć, i przeszedł do gabinetu.

Stary Francis podreptał za nim.

- Sir, ten człowiek czeka już od godziny i powiada, że pan go na pewno przyjmie, gdy się dowie, jaką on ma do pana sprawę. Powiada, że jest z Edynburga.

Adwokat spojrział na zegarek. Zapowiedział wizytę na dziewiątą, w tej chwili było pół do ósmej. Strój odpowiedni na taką uroczystą okazję czekał już rozłożony przez Francisca na kanapie.

- Proś! - mruknął i gdy nieznajomy wszedł do gabinetu, spytał: - Z kim mam przyjemność?

- Nazywam się Filip. Jestem człowiekiem pana Nattera, właściciela posiadłości „Cicha Przystań” w Trenchbury. Proszę, oto list.

Pan Natter był to stary, bezdzietny wuj miss Lucy.

- A więc nie przybywacie z Edynburga?

- Skądże! Pochodzę wprawdzie z Edynburga, ale służę w Trenchbury. Liścik przysłała pewna osoba... - nieprzyjemnie uśmiechnął się lokaj.

Richard chwycił pachnącą różową kopertę zapieczetowaną naklejką w kształcie gołąbka w locie. Oderwał dziurkowany brzeg, starannie sklejoną z trzech stron, i przeczytał co następuje:

**„Drogi mister Richard.**

*List ten wręczy panu Filip, człowiek mojego wujaszka. Przyjechał po nas z Trenchbury, gdyż biedny wujaszek jest umierający. Ojciec, mama i ja musimy tam zaraz jechać.*

*Gdyby Pan, drogi Przyjacielu, zechciał nas pocieszyć w tym wielkim nieszczęściu i być obecnym przy otwarciu testamentu, proszę przyjechać do Trenchbury. Wyjeżdżamy najętą karetą o siódmej wieczorem. W lekkim ekwipażu mógłby nas Pan jeszcze dogonić w drodze. Jeśli zdecyduje się Pan pojechać (ojciec też byłby Panu bardzo zobowiązany za pomoc w rozpatrzeniu się w papierach), proszę wziąć z sobą Filipa.*

**Pańska Lucy”.**

Mister Thompson spojrział markotnie na przygotowany strój wizytowy. Wypadało raczej

pojechać w codziennym ubraniu... Odwróciwszy się, szybko ucałował podpis miss Lucy i schował list na piersi.

- Niech tu zaraz przyjdzie Flatcher - zawołał do służącego. - Czy mama jest u siebie?
- Mistress Thompson jest na posiedzeniu komitetu dobroczynnego. Kazała przysłać po siebie powóz o dziewiątej.
- Flatcher, zaprzęgnijcie do bryczki oba konie. Jedziemy do Trenchbury. Niech Doiły przywiezie mamę najętą kareta i powie jej, że musiałem wyjechać w pilnej sprawie. Myślę, że nie wrócę przed poniedziałkiem. A wy, Filip, jesteście bez koni?
- Przyjechałem tu pocztowym dyliżansem. Jeśli pan mecenas pozwoli, zabrałbym się z panem.
- Dobrze, możecie jechać ze mną. W jakim stanie zostawiliście chorego?
- Och, był już nieprzytomny. Cała lewa strona sparaliżowana. Na pewno już pożegnał się z tym światem, Panie, świeć nad jego duszą. Dobry był pan!
- Czy to prawda, że u was napadają na drogach?
- Święta prawda! Tyle się teraz namnożyło tych chłopskich bandytów, że niech ręka boska broni! Grabią, mordują panów! Podpalają folwarki!
- A wy umiecie obchodzić się z bronią, Filip?
- Dłaczego nie. Kiedyś strzelało się nawet z pistoletu...

Mister Thompson wydobył z zakurzonego pudła pod biurkiem dwa stare zardzewiałe pistolety, a zza oparcia kanapy szpadę z litą mosiężną rękojeścią. Jeszcze nieboszczyk mister William przypasywał ją do galowego munduru w dniach swej młodości. Ostrze było lekko pogięte i broń ta nie wzbudziłaby respektu bodajże nawet w ulicznym złodziejaszku. Włożywszy ciepłe buty łyżwiarskie na futrze, adwokat okutał się w zimowy płaszcz, naciągnął kaptur na głowę i kazał lokajowi z Trenchbury wsiąść do bryczki. Ten wychodząc z gabinetu wrzucił do kosza pod biurkiem adwokata parę zmiętych skrawków papieru. Stojąca na ganku kucharka patrzyła chwilę za oddalającym się pojazdem, po czym sprzątnęła ze stołu nie tknięte nakrycie.

Kontury drzew i krzaków rozplywały się w szaroniebieskiej mgle zimowego wieczora. Spadł pierwszy śnieg. Na trakcie koła pojazdów szybko zamieniły go w rzadkie błoto, lecz w rowach i pod krzakami bielił się tu i ówdzie na czarnej, ściętej przymrozkiem ziemi. Niebo było bez jednej chmurki. Nad lasem stał niebieski myśliwiec Orion z diamentowym mieczem u trójgwiazdowego pasa.

Zbliżała się północ, gdy przy brodzie na leśnym strumieniu zatrzymało się dwóch mężczyzn. Całą drogę od przedmieść Bultonu do tego brodu odbyli pieszo, nie wstępując do żadnej traktierni. Obaj nosili kurtki i czapki prostych chłopów, w rękach mieli ciężkie dębowe drągi, lecz rozmawiali z sobą miejskim językiem.

- To tutaj, Wansley - rzekł starszy z nich rozglądając się na wszystkie strony.
- Co najmniej na milę wokół gęsty las. Alex nie mógł wybrać lepszego miejsca.
- Czy daleko stąd płynie Kelsex? - spytał drugi. - Trochę za ciemno, by się zorientować w obcym lesie. Trzeba nam było przyjść tu za dnia.
- Alex dokładnie mi wszystko wytłumaczył. Strumień wpada do Kelsexu gdzieś tam, za tymi krzakami... Pójdę zobaczyć...

Starszy przeskoczył rów i znikł w zaroślach. Jego towarzysz przechadzał się z wolna po brzegu, oparłszy swój dróg o drzewo. Pośród nagich gałęzi czerniały gniazda wronie, tu i tam przeświecało blade światło północnych gwiazdozbiorów. Grimles długo nie wracał.

- Ależ ciemno, niech to diabli! - mruknął Wansley. - Nie rozróżni człowiek ani maści koni, ani koloru bryczki. Żeby się tylko nie pomylić...

Podniósł nauszники sukiennej czapki, opadające aż na ramiona, i nasłuchiwał. Gdzieś

niedaleko w krzakach chrupnęła raz i drugi gałązka pod nogami Grimlesa. Najmniejszy szmer rozlegał się wyraźnie w suchym, mroźnym powietrzu.

- Kasztanowa klacz i dereszowaty mierzyn, żółta bryczka z podniesioną budą. Stangret i dwóch pasażerów. Alex ma siedzieć z prawej strony. Kiedy wjadą do strumienia, zawoła: „Sir, konie boją się wody!...” Atakować, gdy tylko bryczka minie bród i zacznie wjeżdżać pod górę... Oho, słychać już tętent kopyt!

Wansley gwizdnął cicho, przywołując Grimlesa. Ten przeskoczył rów.

- Na środku rzeka nie jest zamrznięta. Prąd dość bystry. Lód przy brzegu tak cienki, że człowiek się na nim nie utrzyma... Po co gwizdałeś?

- Jada... słyszysz?

Wansley i Grimles skryli się za drzewami rosnącymi tuż nad brodem, trzymając drągi w pogotowiu. Pod kurtkami mieli ukryte noże.

Zza zakrętu drogi ukazała się bryczka. Wyteżając wzrok Grimles stwierdził, że lewy koń jest ciemniejszy od prawego. Przed zjazdem do brodu zaprzęg pędzący kłusem zwolnił nieco.

- Sir, konie boją się wody! - rozległ się głośny okrzyk pasażera siedzącego z prawej strony. Lecz stangret śmignął batem po końskich grzbietach, dogadując: „No, wio, wielbłądy!”

Plusnęła woda, zgrzytnęły żelazne obręcze po kamienistym dnie strumienia - spod końskich kopyt poleciały grudki zamrzniętej gliny. Bryczka wjeżdżała już pod górę. W tym momencie Grimles skoczył naprzód i zamierzył się drągiem na konie. Te szarpnęły się w prawo, bryczka stanęła pośród drogi, stangret spadł z kozła.

- Hej, przeklęty landlordzie, dawaj pieniądze! - wrzasnął Wansley wynurzając się zza drzew.

Wtedy siedzący z prawej strony pasażer skoczył na równe nogi, wyrwał z kieszeni żelazny łom, zamierzył się z całej siły i uderzył... swego sąsiada, który bez czucia zwałił się na stopnie bryczki. W tej chwili podbiegł Wansley i dzielił leżącego drągiem.

Grimles i Wansley odwlekli trupa w krzaki. Alex Crampflow chwycił stangreta za kołnierz i mocno nim potrząsnął. Potłuczony i wystraszony Flatcher leżał tuż przed przednim kołem. Zaplątane w uprzęży konie nagle znów się szarpnęły. Crampflow odskoczył w bok i klnąc szpetnie chwycił za lejce.

- Pomóżcie mi, do diabła! - ryknął na swych godnych kompanów. - Te bydłeta stratuja Flatchera. A ty, Flatcher, niech cię piorun trzaśnie, odsuń się chociaż od kół!

Stangret postępując zachołgał się do rowu. Twarz jego wykrzywił grymas strachu.

- Nie bądź tchórzem, Flatcher! Teraz przedostań się na czworakach do lasu, idź kawałek przez las, a potem znowu wyjdiesz na drogę i pójdiesz do Trenchbury. Tylko się za bardzo nie spiesz. I pamiętaj, co i jak masz powiedzieć zastępcy szeryfa.

- Mocno mnie poturbowaliście, chłopaki - stęknął Flatcher gramoląc się z rowu. - Kości nie czuję...

- Jazda, jazda, zmykaj stąd! Mamy tu jeszcze coś do roboty.

- A co będzie z końmi? - spytał nieśmiało Flatcher.

- Wyprzęgniemy je bez ciebie i wierzchem wrócimy do Bultonu. Nie trać czasu, Flatcher, a do końca życia będziesz miał swoją whisky rano, w południe i wieczorem!

## 4

Nazajutrz po przybyciu do Donald-Court lady Ellen wstała wcześnie rano i od razu zajęła się swą toaletą. Siedząc przed zwierciadłem uważnie wsłuchiwała się w poranne odgłosy budzącego się domu. Gdy tylko usłyszała dochodzący z sali fechtunkowej częsty i niegłośny szcęk stali, szeptem przywołała pokojówkę.

- Idź i dowiedz się, gdzie jest Blandhill - rozkazała swej wiernej zauszniczy. Betsy znikła i wróciwszy po chwili zapewniła, że sir Henry nie wychodził jeszcze ze swego pokoju.

Świeża jak wiosenny poranek, ubrana i uczesana z ujmującą a zarazem tak wyszukaną prostotą, jakby jej fryzura była dziełem samej natury, bez udziału ludzkich rąk - lady Ellen zeszła na dół. Pośrodku sali fechtunkowej walczyli na szpady hrabia Harry Elswick i monsieur Leglois. Robert Stanford liczył „trafne” ciosy. Twarze sportsmenów osłaniały siatki, ich ręce zaś chroniły przed zranieniem skórzane rękawice.

- Czy nie przeszkadzam panom? Jaka szkoda, że urodziłam się kobietą! Przepadam za sportem, polowaniem, regatami wioślarskimi - a to wszystko jest dla mnie na wpół zakazanym owocem! Proszę mi dać szpadę, monsieur Leglois, chcę spróbować, przez ile sekund potrafię stawić czoło najlepszej szpadzie Oxfordu. Hrabio, proszę się bronić!

Ku swemu zdumieniu hrabia Elswick stwierdził, że ma przed sobą wytrawną przeciwniczkę. Pierwsze ataki pięknej amazonki odparł z uśmiechem, lecz gdy koniuszek jej szpady trzykrotnie dotknął jego ramienia i piersi, zrzucił siatkę z głowy i począł się bronić na serio. Podniecony walką hrabia nie zauważył, że z jego szpady spadł ochraniacz.

- Milordzie - zażartował monsieur Leglois - jak widzę, ma pan do czynienia z poważnym przeciwnikiem. Niech pan spróbuje ciosu hiszpańskiego.

Nie zastanawiając się długo hrabia usłuchał rady mentora i zwiódłszy przeciwniczkę markowanym wypadem, błyskawicznie zadał jej krótki cios przy odwróconej dłoni. Lady wydała słaby okrzyk i upuściła szpadę. Nad jej lewą pierś ukazała się czerwona kropla krwi. Wicehrabina zbladła, przerażony Harry Elswick podtrzymał ją wpół.

- Jak się to stało? - zawołał Robert. - Boże, pańska szpada nie ma ochraniacza, Harry. Milady, jest pani ranna?

W tej chwili stanął w drzwiach sir Henry Blandhill.

- Och, drobiazg, lekkie zadraśnięcie - wyrzekła wicehrabina zbielełymi, drżącymi wargami. - Za to do końca życia zachowam ślad spotkania z najlepszą szpadą Oxfordu. Dziękuję panu, hrabio!

Opierając się na ramieniu przeciwnika i nie spojrzawszy nawet na sir Henry'ego, wicehrabina wyszła z sali. Sir Henry, piniąc się z wściekłości, pozostał na progu. Hrabia Elswick zaś odprowadził damę aż do jej pokoju. Tu, stojąc już w otwartych drzwiach, dama spojrzała mu głęboko w oczy i szepnęła:

- Proszę mi przyrzec, że zachowa się pan rozsądnie, gdyby temu szaleńcowi wpadło do głowy odgrywać rolę mego obrońcy. Ja sama jestem wszystkiemu winna i nikt prócz męża nie ma prawa...

W tym momencie wicehrabinie zrobiło się słabo, zachwiała się i na mgnienie oparła się o kawalera. W następnej sekundzie ranna amazonka znikła za drzwiami. Harry dojrzał na swym białym żabocie wilgotną szkarłatną plamkę...

Oszołomiony młodzieniec jak pijany szedł korytarzem, nie widząc nic przed sobą. U stóp schodów zetknął się twarzą w twarz z Henry Blandhille.

- Czy zechce pan wyznaczyć termin naszego spotkania? - wyniośle spytał sir Henry.

- W każdej chwili jestem do pańskiej dyspozycji - rzucił niedbale hrabia, całą swą postawą dając do poznania, że spotkany dżentelmen to dla niego drobna i nic nie znacząca przeszkoda na drodze.

- Żółtodziób! - syknął sir Henry i sapiąc z gniewu chwycił hrabiego za ramię, odwrócił twarzą do siebie i lekko trzepnął go po nosie rękawiczkami, które trzymał w ręce.

W pojęciu dżentelmenów było to równoznaczne z siarczystym policzkiem. Hrabia ryknął i jak ranny odnieniec rzucił się na zuchwalca. W tej chwili jak spod ziemi wyrósł obok nich monsieur Leglois i rozdzielił rozjuszonych przeciwników.

Już po godzinie sekundant hrabiego Elswicka, monsieur Charles Leglois, oraz sekundant markiza Blandhilla, Robert Stanford, zeszli się na neutralnym terenie biblioteki i w największej tajemnicy ustalili warunki pojedynku, jak również środki, jakie należało podjąć, aby nie ucierpiała reputacja domu, a imię szlachetnej damy pozostało w cieniu.

Jako miejsce spotkania obrano zagajnik w okolicy Shrewsbury. Na prośbę obu przeciwników ich sekundanci, młody Stanford i monsieur Leglois, przysięgli na honor szlachecki, że - niezależnie od wyniku pojedynku - imię lady Ellen nigdy i w żadnych okolicznościach nie zostanie wymienione.

Tymczasem lady Ellen z pewnym niepokojem przymierzała mocno dekolowaną toaletę. Z przykrością stwierdziła, że trójkątna ranka znalazła się powyżej wycięcia sukni. Fakt ten zupełnie zepsuł jej humor i wicehrabina przeklinała w duchu niezręcznego hrabiego. Wreszcie, na dźwięk gongu, zeszła na śniadanie, pozostawiając pokojówkę we łzach, z czerwoną, zbitą twarzą.

- Mizernie dziś wyglądasz, moja droga - ze współczuciem przywitała ją lady Agnes. Jak większość dam, które przekroczyły krytyczną granicę wieku, hrabina czerpała iście chrześcijańską pociechę z tego rodzaju stwierdzeń w odniesieniu do młodszych od siebie osób. - Czy dobrze spałaś po podróży?

- Dręczyły mnie koszmarnie sny. Śnili mi się okropni bandyci z dragami w rękach i przelana krew. To są skutki naszej wczorajszej rozmowy o zbuntowanych chłopach. A ja jestem tak wrażliwa!

Lord Artur rozłożył gazetę nadeszła ranną pocztą z Bultonu. Numer nosił datę ubiegłego poniedziałku.

- Boże wielki! - zawołał pan domu przeglądając nagłówki. - Co za nieszczęście! Pod Bultonem zginął z rąk tych bandytów... Kuzynko, to był proroczy sen! Nie, nie można już dłużej tego tolerować! Przerywam urlop, by jak najszybciej przeprowadzić w parlamencie uchwalenie billu w sprawie tych przeklętych chamów!

- Kto zginął, Arturze? - spytały jednocześnie obie damy.

- Richard Thompson, nasz dzielny młody adwokat...

Lady Ellen wzdrygnęła się... „O, Freddie, jesteś naprawdę strasznym przeciwnikiem... Padł jeszcze jeden twój wróg... A teraz, jeśli się uda skłócić tych dwóch...”

- Przeczytaj na głos, Arturze - poprosiła cicho. Albo nie, daj mi gazetę i... moi państwo, proszę mi wybaczyć... pójdę do siebie... to takie straszne...

Towarzystwo w milczeniu dokończyło śniadania. Wszyscy, wiedzieli, że lady była ongiś zaręczona z zamordowanym adwokatem, i chylili czoło przed bólem kobiecego serca.

Po śniadaniu lord Artur zabrał się w swym gabinecie do lektury londyńskich gazet. Pisano w nich o przybyciu z Bultonu do Portsmouth dwu nowych fregat - „Windsor” i „Walia”. Trafiły akurat na przegląd marynarki wojennej i zostały zaszczycone osobistą wizytą jego królewskiej mości. Król Jerzy III przyznał wysokie odznaczenia wicehrabiemu Chancefieldu oraz jednemu z uczestników świetnego zwycięstwa kapera „Skrzydlaty”, kapitanowi Blackwoodowi. Hrabia Chancefieldu miał zaszczyt towarzyszyć jego królewskiej mości w drodze powrotnej z Portsmouth do Londynu, wziął udział w posiedzeniu lordów admiralicji i został przyjęty na audiencji przez króla. Otrzymał rangę kontradmirała i wypłynął na morze z eskadrą złożoną z pięciu okrętów, podniósłszy swoją banderę na fregacie „Windsor”.

- Wicehrabia robi błyskawiczną karierę - mruknął lord Artur odkładając gazetę. - Gdyby jego dwaj kontrkandydaci nie mieli tak wielkiej przewagi nad nim, z czasem mógłby zająć miejsce obok mnie w parlamencie.

Wiadomość, jaką przyniosła gazeta, wywarła tak wielkie wrażenie na lady

Ellen, że wicehrabina od razu zapomniała o porannym incydencie, jak i o własnej ranie. Przywoławszy Betsy kazała jej otrzeć łzy, zamknąć drzwi i przeczytać na głos cały artykuł. Besty, która często usypiała swą panią czytaniem powieści, rozłożyła „Bulton Advertiser” i przeczytała:

BANDYCKI NAPAD NA KRÓLEWSKIEGO ADWOKATA.  
MISTER RICHARD THOMPSON PADŁ OFIARĄ ROZBÓJNIKÓW.

„Wczoraj, w niedzielę o świcie, kupiec z Trenchbury, jadący do Bultonu, napotkał na szosie edynburskiej połamaną bryczkę. Na pokrytej szronem trawie i spadłym w przeddzień śniegu zachowały się ślady dwóch ciał, wleczonych przez krzaki na urwisty brzeg Kelsexu. Podczas gdy kupiec oglądał miejsce nocnego wypadku, przybył z Trenchbury zastępca szeryfa z konstabłem. Rankiem zgłosił się bowiem do nich stangret adwokata Thompsona, Arnold Flatcher, i oświadczył, że tej nocy napadli na bryczkę adwokata jacyś nieznani chłopci-rozbójnicy i zamordowali pasażerów. Sam Flatcher, mocno pobity przez bandytów, cudem tylko uszedł z życiem i ledwo dowlókł się do Trenchbury.

Flatcher wyjaśnił dalej, że cel podróży mister Thompsona nie był mu znany. Poprzedniego wieczora zjawił się u adwokata pewien jego znajomy z Edynburga, nazwiskiem Filip Preise, i wręczył mu list, który niezwykle wzburzył mister Thompsona. Następnie wyruszyli do Edynburga, oświadczając jednakże w domu, że jadą do Trenchbury. Na oczach Flatchera obaj pasażerowie zostali zabici drągami, a ich ciała zrzucane do rzeki.

Wieczorem tegoż dnia, dzięki energicznym wysiłkom policji, odnaleziono jedno ciało, które uwięzło wśród korzeni pod lodem, tuż przy brzegu. Były to zwłoki pana Thompsona. Ciało jego towarzysza z Edynburga na razie nie odnaleziono, silny prąd zniósł je widocznie niżej, wyłowiono tylko czarny płaszcz ze śladami krwi oraz kapelusz z napisem »Filip Preise«. O pół mili od Bultonu znalazły się też zgonione i zmordowane konie, na których bandyci najwidoczniej dostali się do miasta. Zbrodni tej dokonało, wedle świadectwa Flatchera, pięciu do sześciu bandytów, co zresztą potwierdzają również dane policji.

W ostatniej chwili odkryto nowe fakty, ukazujące ten wypadek w jeszcze bardziej zagadkowym świetle. Stwierdzono, że mister Thompson miał zamiar opuścić Anglię. Nasza redakcja jest w posiadaniu dodatkowych, nader interesujących materiałów, które nie mogą jednakże być opublikowane przed ukończeniem śledztwa”.

Wychodzący we wtorek „Monitor” zamieścił jedynie krótką wzmiankę o pogrzebie adwokata. Rzuciła się w oczy nieobecność na tym pogrzebie mera miasta i sędziego, jak również innych urzędowych osób oraz najbardziej szacownych obywateli Bultonu. Ton notatki też był wyjątkowo oschły.

Wicehrabina odesłała Betsy i odrzuciła gazety. Dreszcz ją przeszedł na myśl o strasznej śmierci Richarda. „Noc w lesie... drągiem po głowie... Lodowata woda... Brrr!”

W tej chwili uchyliły się drzwi i w progu stanął Henry Blandhill. Lady z czułym uśmiechem wyciągnęła ku niemu rękę, podstawiając twarz do pocałunku jak mała dziewczynka. Markiz zamknął drzwi, oparł się o nie plecami i powiedział drewnianym głosem:

- Ellen, przychodzę się pożegnać. Tak się składa, że muszę wyjechać.

- Opuszczasz mnie, mój drogi? - I nagle wicehrabina zmieniła ton. - No cóż, sama wrócę do Chancefieldu. Mam nadzieję, że nawet ranna, z tchórzliwą służbą, będę miała więcej szczęścia w razie spotkania z rozbójnikami niż attorney Thompson. Żegnam, sir!

W dwie godziny później Henry Blandhill pożegnał się z gospodarzami domu. Rodzice Roberta pozwolili chłopcu odprowadzić markiza do Shrewsbury. Nazajutrz rankiem brama zamku Donald-Court zamknęła się również za hrabią Harry Elswickiem. Monsieur Leglois też prosił lorda Artura, aby mu pozwolił odprowadzić hrabiego do Shrewsbury, skąd miał powrócić razem z Robertem.



Bultoński przewodniczący sądu i burmistrz miasta mister Hugh Butler wysłuchał właśnie przed chwilą raportu agenta policji Sleepa. Siedział w swoim sędziowskim fotelu, odziany w czarny strój z galonami. Jego peruka spoczywała na drewnianej podstawie, toga zaś, zdjęta po rozprawie, wisiała na drzwiach szafy.

- Richard Thompson od dawna był nam podejrzany - mruknął gniewnie sędzia. - Od lat gromadziły się u nas dowody świadczące przeciwko niemu. Proszę mi pokazać ten list znaleziony w koszu pod jego biurkiem.

Sleep położył przed sędzią arkusz papieru z naklejonymi strzępami listu. Wprawne ręce urzędników policji rozprostowały i podkleiły podarty list. Teraz można było bez trudu odczytać, co następuje:

**„Mr. T.**

*Oddawca niniejszego, którego Pan zapewne pamięta jeszcze z siedemdziesiątego trzeciego roku, ustnie opowie Panu szczegóły naszej wsypy. George Bingle został rozpoznany w Chancefieldzie. Cała grupa edynburska zagrożona. Droga jest każda minuta. Niech się pan stara przyjechać natychmiast, ale wyjazd swój proszę zachować w tajemnicy. Jeśli nie może Pan przybyć osobiście, proszę przekazać instrukcje przez mr Filipa Preise. W razie niebezpieczeństwa niech Pan ucieka do Irlandii a stamtąd do Francji. Znajdzie Pan schronienie w Nantes.*

***Pańscy przyjaciele z Edynburga”.***

- Ten list bardzo wiele wyjaśnia - powiedział sędzia. - Świadczy o podejrzanych kontaktach ze szkockimi spiskowcami oraz ich irlandzkimi i francuskimi współnikami. Od napadu na MacRaila też wiodą nici do Thompsona. Rewizja w jego mieszkaniu ujawniła masę zakazanych, wywrotowych książek. Znalaziono listy z Ameryki od niejakiego Murraya. Są też listy od dezertera z marynarki Edwarda Wenta. Spiskowcy nasłali do domu wicehrabiego owego Bingle'a, który gdzieś się ukrywał do tej pory. W konsekwencji- i pożar stoczni, i bunt luddysów, i spiszek szkocki - to wszystko ogniwa jednego tajnego łańcucha. Wroga działalność spiskowców, z Thompsonem na czele, wymierzona była przeciwko całemu Hrabstwu Północnemu i jego najwybitniejszemu działaczowi - wicehrabiemu Chancefieldu.

- Ale zabójstwo Thompsona?...

- To kara boska! Jadąc w tajemnicy do Edynburga, by stamtąd, jak świadczy ten list, uciec za granicę, Thompson padł ofiarą zbuntowanych chłopów. Sprzymierzywszy się z niegodziwcami, sam padł z ręki złoczyńców. Nieraz tak bywa!... Sleep, proszę się dowiedzieć, co to za hałasy za ścianą.

Pomocnik szeryfa wyszedł i po chwili wpadł do gabinetu.

- Milordzie - wyjąkał z trudem. - To okropne! Z Shrewsbury nadeszła właśnie wiadomość...

- Zamilczcie, Sleep! - gniewnie przerwał mu sędzia. - Shrewsbury nie należy do naszego okręgu, a my w tej chwili mamy dość własnych okropnych wiadomości. Nie można się aż tak przejmować cudzymi kłopotami!... No, co się tam takiego stało?

Wysłuchawszy Sleepa sędzia też zmienił się na twarzy. Klnąc pod nosem szybko narzucił płaszcz i wybiegł z sądu.

Na niewielkiej polance o parę mil od Shrewsbury dobiegały końca ostatnie przygotowania do pojedynku. Warunki były bardzo ostre.

Uwiązane do drzew konie czterech dżentelmenów chciwie obgryzały nagie gałązki krzaków u stóp wzgórza, z którego roztaczał się piękny widok na okolicę. Ranek był chłodny; biały szron gęsto pokrywał zrudziałą trawę zdeptaną nogami przeciwników.

Sir Henry Blandhill włożył w swe pierwsze natarcie całą nagromadzoną w piersi nienawiść. Miał czterdzieści lat, dwakroć bił się na polu walki i już w młodości stawał oko w oko z lufą pistoletu słynnych zabijaków.

Jego szpada o ciężkiej rękojeści jak błyskawica przecinała powietrze i hrabia Elswick, prawie o połowę młodszy od swego przeciwnika, zaczął się cofać. Szpada markiza dosięgła już jego piersi i krew zabarwiła koronki koszuli.

Zasady pojedynku pozwalały walczącym rozejść się w tym momencie, lecz Harry Elswick z uporem potrząsał głową i parując ciosy, trafił przeciwnika w ramię. Wściekłość markiza jeszcze bardziej wzrosła, zaślepiając go do reszty.

- Hiszpański wypad! - usłyszał głos cudzego sekundanta i parując maskujący sztych, pośliznął się na mchu.

W tej chwili hrabia Elswick zakotłosał się na swych długich nogach, podał się całym ciałem naprzód i ostrze jego szpady przeszło gardło przeciwnika.

Ten straszny widok był ponad siły piętnastoletniego Roberta Stanforda. Nogi ugięły się pod nim i jak podcięte drzewko chłopiec padł zemdlony na ziemię.

Nieoczekiwanie dla hrabiego Elswicka, który nie zdążył jeszcze odetchnąć, zbliżył się do niego boczkim... jego własny sekundant! Harry Elswick cofnął się w zdumieniu ujrawszy w dłoni Francuza obnażoną szpadę.

- Proszę się bronić, hrabio - syknął monsieur Leglois. - Krew szlachcica Blandhilla musi być pomszczona!

- Pan oszalał, monsieur Leglois! Niech się pan zajmie swoim wychowankiem. Biedny chłopiec leży bez przytomności i trzeba go ocucić... Do diabła, co pan robi!... Ach, pan jednak ma zamiar się bić? Niech pan uważa, bo - widzi Bóg - nie pragnę pańskiej śmierci!

Pamiętając o pewnych instrukcjach Francuz uznał obecny moment za bardzo dogodny dla ich wypełnienia. Jedyne świadek leży zemdlony, Elswick zaś zbyt jest wyczerpany dopiero co stoczoną walką, by mógł stawić skuteczny opór!...

Znów, sypiąc iskry, zadzwoniła stal skrzyżowanych szpad, rozgorzała nowa walka. Francuz musiał jednakże przyznać w duchu, że nie docenił zmęczonego przeciwnika. Nie minęły dwie minuty, a już hrabia Elswick zranił swego byłego sekundanta.

Rana nie była śmiertelna, lecz obficie broczyła krwią. Nie domyślając się ukrytych zamiarów Francuza i tłumacząc sobie jego nieoczekiwane zachowanie popędliwością, hrabia Elswick ulitował się nad przeciwnikiem i opuścił dłoń. Na ten właśnie moment czekał monsieur Leglois... Jego szpada błysnęła w powietrzu i zdradziecko wbiła się w pierś Harry Elswicka. Hrabia padł martwy. Lecz Francuz też osłabł bardzo na skutek wpływu krwi; zrobił jeszcze parę kroków i runął na kędzierzawy mech.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy jakaś stara chłopka, zbierająca ukradkiem chrust w skarbowym lesie, usłyszała żalosne rżenie koni i zobaczyła cztery rasowe wierzchowce uwiązane u stóp wzgórza. Staruszka podeszła bliżej, spojrzała na polankę i zamarła z przerażenia. Na mchu leżały dwa trupy ze szpadami w skostniałych rękach; płatki śniegu wolno opadały na skrwawione koronki jedwabnych koszul. Kaftany i kapelusze, porzucone wśród krzaków, zdobiły galony i wspaniałe pióra.

Obok skrwawionych trupów leżał bez czucia piękny młodzieniec, a nie opodał, upadłszy twarzą na suchy mech, cicho jęczał jeden mężczyzna, ranny w prawy bok. Gdy staruszka nachyliła się nad nim, ranny oprzytomniał i rzekł słabym głosem:

- Biegnijcie, matko, po doktora i dajcie znać tutejszemu hrabiemu i biskupowi.

W godzinę później do zamku Shrewsbury przywieziono na wojskowym furgonie ciała dwóch szlachciców angielskich oraz rannego Francuza, monsieur Charles'a Leglois. Przyprawiono

tu też bladego młodzieńca, który był do głębi wstrząśnięty tym, co się stało, i ledwo trzymał się na nogach. Równocześnie wszystkimi trzema drogami wychodzącymi z Shrewsbury pomknęli galopem konni gońcy.

Wieźli oni smutną wiadomość do zamków Solaysholm, Donald-Court i Wolveswood!

Monsieur Leglois szybko powrócił do zdrowia. Dobroczynna medycyna przywróciła siły eks-kapitanowi po to, by go przeniesiono ze szpitalnego łóżka na ławę oskarżonych. Rozprawa odbyła się w Shrewsbury. Na sali sądowej obecnych było zaledwie kilku szlachciców z najbliższego okręgu, wśród nich również dziewięćdziesięcioletni markiz sir John Blandhill, oplakujący syna, którego doczesne szczątki zajęły w rodzinnym grobowcu miejsce przygotowane przez starca dla siebie. Zeznania na temat szczegółów fatalnego pojedynku składali - oskarżony, Francuz Leglois, i świadek, właściciel zajazdu w Shrewsbury,

Jak się okazało, tuż pod Shrewsbury koń Henry Blandhilla wywichnął nogę i ten nieprzewidziany wypadek zatrzymał markiza i Roberta w przydrożnym zajeździe. Następnego dnia z rana przybył tu hrabia Elswick z panem Leglois. To przypadkowe spotkanie dwóch od dawna nieprzyjaźnie dla siebie usposobionych dżentelmenów okazało się fatalne w skutkach. O ile będąc gośćmi w domu sir Artura Stanforda jeszcze panowali nad sobą, o tyle tu nic już nie mogło ich pohamować. Właściciel zajazdu słyszał, jak ci panowie kłócili się o prawa do jakiejś ziemi nad Kelsexem i jak hrabia Elswick ciężko obraził sir Blandhilla. Gdy Robert Stanford i monsieur Leglois weszli do jadalni, zastali już obu dżentelmenów bijących się z sobą. Rozdzielili przeciwników, przy czym Robert i monsieur Leglois usiłowali pogodzić wrogów, stanowczo odmówiwszy wzięcia na siebie roli sekundantów. Podejrzewając jednakże, iż kłótnia może skończyć się pojedynkiem i bez sekundantów, monsieur Leglois postanowił śledzić obu panów, którzy konno udali się w stronę zagajnika u stóp wzgórza. Osiodłał więc wierzchowca i przyjechał do lasku w momencie, gdy tamci stali już naprzeciw siebie z obnażonymi szpadami.

Monsieur Leglois próbował przywołać ich do rozsądku, lecz wtedy rozgniewany hrabia Elswick pchnął go szpadą. Biedny monsieur stracił przytomność i już nie widział, jak dżentelmeni zadali sobie nawzajem śmiertelne ciosy, od których obaj wyzionęli ducha. W ślad za panem Leglois wyruszył na poszukiwanie skłóconych dżentelmenów również i Robert Stanford. Widok krwawego pobojuwiska tak nim wstrząsnął, że młodzieniec zemdlął i leżał bez zmysłów aż do chwili, gdy został znaleziony i zabrany przez szeryfa.

Sąd nie przesłuchiwał nawet Roberta, uznając to za rzecz zbędną. Oczywiście, że stało się tak nie bez osobistych wpływów samego hrabiego Artura Stanforda.

Za zatajenie przed władzami przygotowań do pojedynku sąd skazał eks-kapitana na dwa miesiące więzienia oraz wygnanie z Anglii. Po ogłoszeniu wyroku monsieur Leglois skinął na pożegnanie ręką lordowi Arturowi, po czym został wyprowadzony z sali.

Niewielki orszak pańskich karet i rasowych wierzchowców opuścił Shrewsbury i rozproszył się po trzech drogach wychodzących z miasta.

## 6

Z łoskotem łańcuchów rzuciła kotwicę na redzie bultońskiej flagowa fregata „Windsor”, powracająca właśnie w glorii zwycięstwa z czteromiesięcznej wyprawy. W tej wyprawie flotylla kontradmirała Rilanda rozgromiła u wybrzeży Kanady dziewięć okrętów zbuntowanych kolonistów i ich francuskich sprzymierzeńców. Ta sama flotylla, złożona zaledwie z pięciu okrętów wojennych, zdobyła w drodze powrotnej dwa statki francuskie z ładunkiem przeznaczonym dla armii generała Washingtona. Kontradmiral Riland powrócił do Portsmouth bez strat, mając na swym koncie jedenaście zdobytych i zatopionych okrętów nieprzyjacielskich o łącznej wyporności trzydziestu tysięcy ton. On sam był ranny w lewą

nogę i na noszach udał się do Londynu, by złożyć raport królowi.

Jego królewska mość odznaczył bohatera orderem Łażni, podniósł go do rangi admirała floty i wyraził zadowolenie z wyniku wyborów w Północnym Hrabstwie. Wobec bezsensownej śmierci dwóch kandydatów fotel deputowanego z tego okręgu zajął w parlamencie najgodniejszy tego szlachcic - wicehrabia Chancefieldu. Król kazał nowemu dowódcy „Windsoru” płynąć do Bultonu, aby odstawić do domu rannego admirała i świeżo upieczonego posła.

O świcie trzydziestego marca mieszkańcy Bultonu, już wcześniej powiadomieni o powrocie znakomitego ziomka, usłyszeli salut „Windsoru” - sto jeden wystrzałów oddanych z dział fregaty. Na molo, przystrojonym flagami, ustawiła się na powitanie admirałkiej łodzi kompania honorowa. Olbrzymi tłum zapełnił nadbrzeże.

Admirał, wicehrabia Chancefieldu, lekko utykając wstąpił na molo i przeszedł przed frontem kompanii honorowej zmiierzając do okazałej karety z herbem przedstawiającym leżącego lwa i napisem: „Pax bellum finit”. Mer miasta, komendant garnizonu i pozostałe wysoko postawione osobistości z wielką rewerencją odprowadzili do karety sławnego bultończyka.

Małżonka wicehrabiego, przejęta i szczęśliwa, oczekiwała go w głębi karety. Gdy tylko zatrzasnęły się za nim drzwiczki, zarzuciła mu białe ramiona na szyję w haftowanym kołnierzu admirałskiego munduru.

Po pierwszych pocałunkach mąż i żona spojrzeli sobie w oczy.

- Wiesz, ja też byłam ranna w tej walce - z dumą szepnęła wicehrabina.

- Wierzyłem w ciebie, moja złotowłosa rusałko - odpowiedział jej małżonek.

Z okazji zwycięskiego powrotu pana cały Chancefield ucztował tego dnia. Wspaniała iluminacja przyćmiła blask księżyca i gwiazd. W komnatach zamkowych grała muzyka, powiewały pióra, szeleściły jedwabie, lśniły atłasy i aksamity usypane drogimi kamieniami. Na dolnych tarasach ucztowali nawet chłopci-dzierżawcy i dworska czeladź.

Późnym wieczorem, gdy w promieniu mili od Chancefieldu nie spotkałbyś człowieka trzymającego się pewnie na nogach, wicehrabia udał się na górę, do swego gabinetu. Czekający tu na niego od przeszło dwu godzin Woodrow Crag poderwał się na swych kikutach.

- Siedź, Woodrow, siedź i pij - rzekł admirał. - Przyprowadziłeś tych trzech?

- Są na dole, w pokoiku za kredensem. Lepiej, żeby się nie pokazywali wśród ludzi.

Wicehrabia przywołał kamerdynera i kazał przyprowadzić trzech mężczyzn z tajemnego pokoiku.

Grimles i Wansley weszli nieśmiało i zatrzymali się niepewnie u progu, przestępując z nogi na nogę. Alex Crampflow, cały w koronkach, szarfach i sprzączkach, wystąpił naprzód i uśmiechnął się konfidencjonalnie. Był wyraźnie podпиты.

- No, chłopaki - zaczął wicehrabia, udając, że nie widzi wyciągniętej na przywitanie ręki Crampflowa - jestem z was zadowolony. Jedna żmija zdechła już pod waszymi obcasami. Ma pan złote ręce, mister Crampflow (przy tych słowach posiadacz „złotych rąk” schował je za siebie). Zostanie pan współnikiem mister Craga. Będzie pan miał mieszkanie w „Białym Niedźwiedziu”, ekwipaż i reprezentacyjną małżonkę wedle własnego wyboru. Wy zaś, Grimles i Wansley, macie tu czekać i odpocznijcie sobie przez miesiąc. Potem wyślę was do Ameryki, do dyspozycji kapitana Burnsa. Jeśli Caracciola zdąży do tego czasu przybyć z Kapsztadu, Burns otrzyma niezłe wsparcie. Tam, w Błękitnej Dolinie, będziecie mieli dość roboty... w swoim fachu. March, proszę odprowadzić panów do bramy... A ty, stary - zwrócił się wicehrabia do właściciela „Brzucha Wieloryba” - otrzymasz swoje pięćset funtów i oberżę „Biały Niedźwiedź”. Jutro staniesz się jej pełnoprawnym gospodarzem. A teraz pozostaje nam jeszcze wyciągnąć tego zucha Leglois. Chcę go przenieść z Shrewsbury do Bultonu i umieścić w celi Bingle'a. Może w chwili szczerości Bingle się wygada. Nie wiadomo jeszcze, co w nim naprawdę siedzi. I ty, i Giuseppe daliście się potężnie nabrać!

- Tak, nie rozpoznaliśmy go. Jego młodszy brat pętał się z Fernandem. Czy przypadkiem nie ma on powiązań z Maggersonem?

- Słusznie postąpiłeś, Woodrow, mydląc oczy policji. Niech sobie ci panowie myślą, że Bingle to agent Thompsona i mitycznych spiskowców irlandzkich. W tych dniach sąd wyda wyrok skazujący Bingle'a na dziesięć lat więzienia. Tymczasem zdążymy wyciągnąć od niego, co wie od Fernanda, i postanowimy, co dalej robić. Nigdy nie będzie za późno z nim skończyć, a być może chłopak jeszcze się nam przyda. Zatrósz się, Woodrow, o Flatchera, niech się jak najszybciej zapije na śmierć. A ten klerk Jankins to bardzo pożyteczny człowiek - podrabia pismo wręcz po mistrzowsku...

W tej chwili przed bramą zamkową rozległ się władczy, niecierpliwy głos rogu. Wicehrabia przerwał rozmowę z Cragiem i kazał się dowiedzieć, kto przybywa.

- Królewski posłaniec z Londynu - zameldował z wielkim przejęciem kamerdyner.

Wicehrabia zeszedł na dół. Wieść o przybyciu królewskiego posłańca w jednej chwili obiegła cały dom. Muzyka na galerii umilkła, tańczące pary rozeszły się i zmieszały z grupami gości stojących pod ścianami.

Do sali balowej wszedł oficer gwardii królewskiej z dwoma gwardzistami. Obrzucił towarzystwo uważnym spojrzeniem i poznawszy pana zamku po admiralskim uniformie, skierował się ku niemu trzymając w ręce kopertę z pięcioma ogromnymi pieczęciami z niebieskiego laku. Wicehrabia przyjął kopertę i ucisnął dłoń oficera.

W sali zaległa cisza. Admirał udał się do gabinetu, by przeczytać królewski reskrypt. W parę minut potem wezwany do gabinetu majordomus wrócił na salę z rozpromienioną twarzą i szepnął parę słów kapelmistrzowi. Wśród gości zapanowało radosne podniecenie, wszyscy czekali na jakieś dobre wieści.

Majordomus wyszedł na środek sali, rzęsiście oświetlonej dwoma żyrandolami, stuknął swym herbem o posadzkę i oznajmił uroczystym głosem:

- Z woli jego królewskiej mości pan naszego zamku, członek brytyjskiego parlamentu, admirał floty sir Frederick Riland, wicehrabia Chancefieldu, otrzymał tytuł earla bultońskiego i godność para Anglii. Od dziś do rodowego herbu lorda Rilanda dodany zostanie herb miasta Bultonu. Jego królewska mość był łaskaw oznajmić tę radosną wieść w liście osobistym, ażeby lord mógł jeszcze wziąć udział w najbliższym posiedzeniu Izby Lordów!

W tej chwili otworzyły się drzwi i na salę, lekko utykając, wszedł lord Riland, nowy par Anglii i earl Bultonu. Przywitał go grzmiący tusz orkiestry, radosne okrzyki i huczne oklaski. W salonach Chancefieldu znów zawrzała wesoła zabawa.

Po północy, upojony winem, powodzeniem i wysokimi honorami, lord Riland udał się do swego gabinetu na górze. Oszklone drzwi prowadziły tu na mały, ukryty we wnęce balkon. W parku gaśły już światła iluminacji. Poprzez czarne gałęzie lip i sosen przeświecało granatowe marcowe niebo. Drzewa w dole bieliły się przyprószone lekko śniegiem.

Leopard Grelli rozpiął kołnierz munduru i chciwie wciągnął w pierś wilgotne powietrze. W wąskiej smudze światła padającego z pokoju wirowały ogromne, puszyste płatki śniegu. Za rzeką i dalekim lasem czerniał łańcuch wzgórz. Tam zaczynały się ziemie sąsiedniego majątku - Wolveswood.

A wysoko nad wzgórzami, na wprost Giacoma Grellego, jaśniała na niebie potężna postać niebieskiego Myśliwca - Oriona z diamentowym mieczem u trójgwieźnego pasa.

## **Lekcje pana O'Heary**

### **1**

Zasłoniwszy twarz kapturem płaszcza, Bernardito przedzierał się przez zarośla. Deszcz siekł po listowiu i wzbijał pianę na żółtej wodzie leśnych strumieni. Stary korsarz widział, jak grzbiet biegnącego przed nim psa szybko ciemniał od wody i z rudoszarego robił się prawie czarny.

Bernardito tak dobrze znał wszystkie ścieżki na wyspie, że nawet po najbardziej niebezpiecznych miejscach mógłby chodzić z zawiązanymi oczami. Jak młodzieniec lekko przeskakiwał strumyki i stapał po oślizłych kamieniach. Wygodne buty z surowej skóry, jakie szyją sobie górscy pasterze w Hiszpanii, chroniły jego nogi przed kolcami i cierniami.

Kręta górską ścieżką doprowadziła go w końcu nad zatokę otoczoną ze wszystkich stron lasem. Ukryty w krzakach Bernardito baczny spojrzeniem ogarnął zatokę; była zupełnie pusta, pokryta drobną, gniewną falą. W tej chwili znów zabrzmiał w powietrzu niski, przeciągły dźwięk okrętowego dzwonu. Gdzieś za skalnymi urwiskami, u wejścia do zatoki, był w niebezpieczeństwie jakiś nieznany okręt.

Bernardito pobiegł teraz wzdłuż lewego brzegu zatoki. Tymczasem rozwidniło się już zupełnie, lecz gęsta przesłona deszczu nie pozwalała nic dojrzeć w dali. Carnero pierwszy począł się wspinać na urwistą skałę. Myśliwy gwizdnął na psa i wziął go na smycz. Pies zjeżył się cały - wyczuł bliskość obcych ludzi.

Bernardito wspiął się na wierzchołek skały i wyjrzał zza głazów. Ukośne strugi ulewy przekreślały horyzont. Na morzu, pośród spienionych bałwanów, kołysały się maszty okrętowe. Wiatr targał liny na nagich rejach podobnych do czarnych krzyży... U wybrzeży bezludnej wyspy walczyły ze sztormem dwa okręty.

Opanowawszy zapierające dech w piersi wzruszenie stary kapitan Bernardito na oko ocenił, że oba szkunery zostały zbudowane stosunkowo niedawno, lecz mają już za sobą sporo tysięcy mil. Oba trzymały się wysoko na wodzie, na wpół zatarta czarna linia wodna raz po raz migiała nad falami. Znaczyło to, że ich ładownie są puste lub też zawierają jakiś lekki ładunek. Korsarz wyjął z kieszeni składaną lunetę i odczytał napis na dziobie bliższego okrętu: „Dorotea” „Port Bulton”.

Odległość dzieląca go od niego wynosiła nie więcej niż dwa kable. Drugi szkuner, o nieco większej wyporności, kołysał się na wodzie trochę dalej, bardziej na prawo, ledwo widoczny poprzez ulewę. Oba okręty wczepiły się kotwicami w morskie dno i porozumiewały się z sobą głosem dzwonów i trąbek sygnałowych. Na mostku i pokładzie bliższego szkunera kapitan wyraźnie widział ludzi w płaszczach i zydwestach, szerokich kapeluszach z oliwionego płótna.

- „Dorotea”, „Bulton” - mruknął Bernardito. - Wygląda, że to okręt Grellego. Bulton to jego rezydencja, a Dorotea - imię jego ukochanej... Nie warcz, Carnero, i nie szczerz kłów! Leoparda musi się atakować bezgłośnie, zniemacka, i wziąć go od razu śmiertelnym chwytem!... Widać jego kapitanowie znają wejście do zatoki. Ale nie znają chyba tutejszych wiatrów, inaczej trzymaliby się dalej od skał. Nie jestem Jednookim Bernardito, jeśli wytrzymają łańcuchy kotwiczne. Oho, Carnero, próbują spuścić łódź na wodę, żeby zbadać wejście do zatoki... Wątpię, czy im się to uda!

Spuszczona z przechylonych szlupbelek szalupa dziobowa weszła rufą do wody i momentalnie się wywróciła. Fala cisnęła nią o burtę i łódź poszła pod wodę.

Jesienny sztorm wciąż przybierał na sile. Łańcuchy kotwiczne ze zgrzytem tarły o kluzy. A gdy wysoka fala wyniosła okręt na swój grzbiet, pękł jeden z trzech łańcuchów i szkuner odwrócił się burtą do brzegu. Kapitan stojący na mostku gniewnie wygrażał komuś pięściami. Gromadka wachtowych pobiegła w stronę dziobowego kabestanu. Bernardito dojrzał wśród załogi z sześciu półnagich Murzynów i jakiegoś brodacza o obnażonym torsie nieomal czekoladowej barwy. Na rufie stała kobieta w białym burnusie przypominającym strój Arabki. Pod wzmagającym się naporem wiatru i fal okręt, który utrzymywały w miejscu dwie kotwice rufowe, wykonał niebezpieczny skręt. W momencie gdy marynarze mieli już rzucić kotwicę zapasową, jeden po drugim pękły dwa pozostałe łańcuchy. Następna fala podrzuciła szkuner w powietrze i poniosła go wprost na skały. Szturman wypuścił z rąk koło sterowe i okręt, pozbawiony steru, pędząc na oślep wpadł z impetem na najbardziej odległą od brzegu rafę, prawie zupełnie ukrytą pod wodą.

Oba maszty runęły do przodu, o mało nie miażdżąc załogi przy kabestanie. Czarnobrody marynarz przeskoczył burtę, a za nim rzucili się do wody Murzyni. Pod przybrzeżnymi urwiskami kotłowała się spieniona kipiela, wiatr przynosił mokre bryzgi aż na sam szczyt skały, na której stał Bernardito. Walcząc z falą, czarnobrody płynął na boku, roztropnie kierując się nie wprost do brzegu, lecz nieco na ukos, ku gardłu zatoki. Kobieta w bieli, stojąca na rufie, widocznie dojrzała wśród fal głowę pływaka, który pomachał do niej ręką...

Wszystko, co nastąpiło potem, stało się nieomal w jednej chwili. Kapitan - długonogi, chudy jak tyka - zbiegł z mostka i trzymając się poręczy fałszyburty wyrwał pistolet. Z lufy wyleciał dymek, wiatr zniósł odgłos wystrzału. Kapitan mierzył w czarnobrodego pływaka. Kobieta rzuciła się jak dzika kotka na strzelającego, uderzyła go po głowie kawałkiem deski leżącej na pokładzie i skoczyła w wodę. Jej burnus pozostał na poręczy burty; Bernardito dojrzał tylko krótką białą tunikę kobiety, która mignęła w powietrzu. Czarnobrody był już obok kobiety. Wiatr, pędzący fale w stronę zatoki, sprzyjał zbiegom.

Kapitan i pierwszy oficer otworzyli do nich ogień, lecz ogromna fala uniosła rozbity szkuner z rafy i wiatr pognał go wprost na przybrzeżne skały. Murzyni, którzy obrali inny kierunek ucieczki, płynęli wzdłuż brzegu oddalając się coraz bardziej i wreszcie znikli z pola widzenia Bernardita, zasłonięci kadłubem okrętu.

Teraz stary korsarz skupił całą uwagę na tonącym okręcie. Zadarty wysoko dziób szkunera uderzył o głazy u wejścia do zatoki. Następna potężna fala zupełnie zakryła okręt. Po chwili wynurzyły się z wody zwalone maszty zaplątane w linach. Nowe uderzenie fali z potworną siłą przerzuciło rozbity okręt przez rafę, cisnąwszy go na kamienisty brzeg. Szkuner zwałił się na burtę, ukazując dno. Z ciemnego kadłuba zwisały płaty piany, jak z boków zaszczutego jelenia. Nadbiegające fale dokończyły dzieła zniszczenia.

W oddali mignęły na moment głowy sześciu czarnych pływaków i znikły ostatecznie za wysuniętym cypłem wyspy. Dwoje białych zbiegów też stracił Bernardito z oczu - prawdopodobnie dotarli już do zatoki.

Spod zdruzgotanego pokładu szkunera ukazały się dziesiątki czarnych, kędzierzawych głów. Ludzie usiłowali wydostać się z ładowni zalewanych przez wodę. Kapitan bił kogoś po głowie ręką pistoletu. Rudobrody mężczyzna balansujący na szczątkach pokładu wymachiwał długim biczem. Ze trzydziestu białych marynarzy, otrząsnąwszy się ze śmiertelnego strachu, wypędzało czarnych na wąski pas przybrzeżnych głazów... Widocznie rozbity szkuner należał do handlarzy niewolników.

Trzymając psa na smyczy Bernardito pobiegł teraz co sił w nogach nad zatokę. Wyjrzał zza skał. Gniewne, grzywiaste fale wdzierały się do zatoki. Woda, przepełniająca ujście, podniosła się aż do połowy wysokości nadbrzeżnych skał i zalała wszystkie rozpadliny, pozostawiając na krzakach płaty piany. Dwoje płynących ludzi było już na środku zatoki. Prąd nie był tutaj tak rwący, fale też były mniejsze, lecz kobieta wyraźnie traciła siły. Czarnobrody mężczyzna podtrzymywał jej głowę nad wodą.

- Carnero, aport! - krzyknął Bernardito i puścił psa.

Pies skoczył do wody, a kapitan, złożywszy na kamieniu sztucer, płaszcz i kurtkę, wyszedł z za skały i zaczął dawać znaki czarnobrodemu, by płynął do najbliższego, dogodnego występu.

Kobieta uchwyciła się obroży psa i Carnero już płynął z powrotem, holując ją do brzegu. Mężczyzna pozostawał coraz bardziej w tyle za silnym zwierzęciem. Jego ręka ociekała krwią, dyszał ciężko i na długo znikał pod wodą. Bernardito wszedł po pas w wodę, wziął na ręce półprzytomną kobietę, wyniósł ją na brzeg i ułożył na swym płaszczu. Pies otrzepał się i skomlał, chcąc wrócić po pływającego mężczyznę, lecz jednocześnie wzdragał się przed wejściem do wody. Na prawo, od strony mielizny, ukazał się pośród drobnych fal podłużny łeb krokodyla. Drapieжник zbliżał się wolno, pewny, że zdobycz nie może mu umknąć.

Płynący znów zniknął pod wodą. Bernardito wziął w zęby nóż i dał nurka. Wtedy i Carnero rzucił się w fale za swoim panem. W zielonkawym podwodnym świetle Bernardito dojrzał niewyraźną brązowo-białą plamę. Uchwycił mężczyznę mocno za włosy i wypłynął wraz z nim na powierzchnię. Z pomocą psa przebył ostatnie dziesięć jardów do brzegu i wyniósł czarnobrodego na żwir pomiędzy skałami. Już z brzegu pogroził sztucerką gorzko zawiedzionemu krokodylowi.

Z ust uratowanego rozbitka wylało się trochę wody, zaczął dyszeć głęboko i nierówno. Uwieszony u ramienia korsarza, potykając się co chwila, zrobił parę kroków po wiodącej w górę ścieżce i już przytomnym wzrokiem spojrzął na swego wybawcę.

- Proszę odpocząć i ocucić kobietę - rzekł do niego Bernardito po angielsku. - Carnero, leżeć! Czekać tu na mnie i nie ruszajcie się z miejsca, jeśli nie chcecie, by was zobaczył wasz kapitan.

Pozostawiwszy psa przy uratowanych, Bernardito znów wspiął się na szczyt skały. Rozbity szkuner pozostawał w tym samym położeniu. Wszystkie przybrzeżne głazy były oblepione ludźmi. Marynarze wyladowywali z okrętu jakieś wory i skrzynie. Drugi okręt ledwo majaczył we mgle.

Widząc, że łańcuchy kotwiczne nie oprą się naporowi żywiołu, kapitan tego okrętu zdecydował się na śmiały manewr. Brudne płótno kliwra wzbilo się nad bukszprytem i załopotalo na wietrze. Drugi żagiel rozwinął się do połowy na rejach marsowych. Puszczono w ruch kabestan, kotwice dziobowe poszły w górę i okręt - wlokąc za sobą kotwice rufowe po kamienistym dnie - ruszył naprzód zmierzając ku zatoce. Był już nie dalej niż o półtora kabla od wejścia do niej, gdy pękły łańcuchy kotwiczne. Rozszalałe fale groziły okrętowi roztrzaskaniem o głazy.

Wtedy stojący na mostku tęgi mężczyzna w mundurze kapitana dał znak ręką. Zgromadzeni na dziobie marynarze wychlusnęli na obie strony kilka beczek roztopionego tłuszczu.

Oleista ciecz rozlała się po wzburzonej wodzie, fale wokół okrętu na moment przycichły i po paru sekundach przed szkunerem otwarło się wejście do zatoki o spokojniejszej, lekko sfalowanej powierzchni.

Szkwał wdzierał się do gardzieli zatoki niby w ciasny komin. Zerwał żagle i pognał okręt z szybkością strzały. Gdyby wejście było proste, okręt szczęśliwie wpałby do zacisznej zatoki, lecz wąski przesmyk skręcał w lewo i manewr zwrotu niezupełnie się udał.

Rozległ się trzask, rufa z białym napisem „Gloria” uderzyła o głazy, koło sterowe rozleciało się w drzazgi. Runął grotmaszt, nad linią wodną ukazała się wyrwa w poszyciu. Lecz prawem inercji „Gloria” odbiła się od głazów i przepłynąwszy tuż obok piaszczystej mielizny znalazła się w zatoce. Szkuner nie utracił zdolności pływania, jego dno ocalało. U burt rannego okrętu pluskały teraz drobne, jak na rzece, fale zatoki.

„Ta «Gloria» ma dobrego kapitana i niezłą załogę - pomyślał Bernardito. - «Port Bulton»! A więc oba okręty płyną razem... Stracili dwie kotwice, maszt, ster i mają wyrwę w rufie. Nawet nie tak strasznie! Rzucają kotwicę... No, czas się stąd ulotnić. Zaczną myszkować po wyspie i



znajdą chatę!”.

Bernardito nie zastał uratowanych przez siebie rozbitków na miejscu, gdzie ich pozostawił. Gdy „Gloria” ukazała się w gardzieli zatoki, czarnobrody mężczyzna przeniósł swą towarzyszkę dalej od brzegu i ukrył się za skałami. Pies czujnie śledził każdy ruch obcych ludzi i warczał groźnie.

- Czy będziecie mieli dość sił, by iść szybko za mną leśnymi ścieżkami? - spytał Bernardito.

Pierwsza podniosła się kobieta. Jej mokry ubiór był bardzo dziwny i w niczym nie przypominał europejskiego stroju. Wyglądała jednak na Francuzkę lub Włoszkę. Spojrzała uważnie na Bernardita i tak się zmieniła na twarzy, aż stary pirat poczuł się nieswojo. Sytuacja była jednak zbyt krytyczna, by można się było zatrzymać choćby na chwilę. Kobieta pomogła wstać swemu towarzyszowi, który miał już rękę obandażowaną kawałkiem materiału, oddartym z mokrej tuniki.

Teraz dopiero Bernardito zorientował się, że ma przed sobą zupełnie młodego, najwyżej dwudziestoletniego człowieka. Postarzała go czarna broda i zarost na dawno nie golonych policzkach. Nieznajoma kobieta mogła mieć około trzydziestu lat. W jej pięknej twarzy o subtelnych rysach łatwo można było wyczytać ślady ciężkich przeżyć.

Bernardito szybko poprowadził nieznajomych przez leśny gąszcz. Z trudem przedzierali się przez kolczaste zarośla. Drzewa gięły się na wietrze, strząsając na idących strugi zimnej wody. Bernardito oddał swój płaszcz kobiecie, jego kurtka po paru minutach była w strzępach. Najbardziej cierpiał na wpełń nagi nieznajomy; miał na sobie tylko czarne marynarskie spodnie i brudny czerwony pas. W końcu wyszli na ścieżkę. Bernardito zaprowadził tych dwoje nad leśne jezioro. Wokół rozciągały się nieprzejrzone bambusowe zarośla, pod nogami zachlupotało rzadkie błoto.

- Idźcie teraz przed siebie w kierunku tamtej skały. Będziecie musieli brnąć po pas w wodzie, ale pośrodku trzęsawiska, jeśli będziecie trzymać się ściśle kierunku, o którym mówiłem, natraficie na piaszczystą wysepkę. Ukryjcie się tam i czekajcie na mnie. Przyniosę wam coś do jedzenia, a potem zaprowadzę w bezpieczne miejsce w góry. Jeśli jesteście gotowi walczyć z waszymi wrogami, weźcie tę strzelbę i nóż.

Mężczyzna chwycił strzelbę.

- Będę walczył do ostatniego tchu - oświadczył stanowczo. - Poznajesz ten sztucer, Doroteo? Mister Fred zostawił go w chatce na wyspie, gdy przeniósł się na „Oriona”. Kiedyś należał on do Giacoma.

- Daj mi nóż, Antonio - głuchym głosem powiedziała kobieta. - Nie wezmą mnie żywcem!

W tej chwili Bernardita olśniła dziwna myśl. Czyżby miał przed sobą signorę Cenni? Ale przecież Antonio był prawą ręką i ulubieńcem Grellego, a jego siostra kochanką Leoparda? Z czyich więc rąk wyrwali się ci ludzie? Nie było jednak czasu, by się nad tym zastanawiać. Chłopiec został sam w pustej chacie, a nieznajomi przybysze z okrętów lada chwila mogli ją odkryć...

- Signor, kim pan jest? - zawołał młody człowiek za oddalającym się kapitanem.

- Dowiedcie się o tym, gdy już będziecie w bezpiecznym miejscu - odparł Bernardito i zarośla bambusowe zamknęły się za nim.

Pies skoczył za swym panem, lecz ten ostrym tonem kazał mu wracać, wskazując ręką na trzęsawisko.

Sześciu czarnych zbiegów z rozbitego okrętu szczęśliwie przepłynęło pas wody pod skałami i przedostało się na ląd. I oni też czym prędzej ukryli się w lesie. Czuli się tu już pewnie, jak u siebie w domu.

Wszyscy oni należeli do najlepszych myśliwych dużego plemienia znad rzeki Kongo. Zagłębiwszy się w gęstwinę zaopatrzyli się natychmiast w prymitywne środki obrony - kije,

drażni i kamienie o ostrych krawędziach. Parę godzin przesiedzieli na drzewach, wsłuchani w leśne odgłosy, a gdy słońce poczęło chylić się ku zachodowi, ruszyli w dalszą drogę.

Poruszali się w lesie jak bezgłośnie cienie, bez jednego zadrażnienia na smukłych, matowoczarnych ciałach. Im dalej, las stawał się coraz rzadszy, płaskowyż obniżał się. Wysokie drzewa ustępowały teraz miejsca niskim krzakom. Pod nogami ukazała się błotnista woda. A gdy na chwilę wychynęło zza chmur zachodzące już słońce, zbiegowie ujrzeni przed sobą zbitą ścianę bambusowych zarośli.

Wtem jeden z Murzynów ostrzegawczym gestem uniósł rękę. Odkrył na błocie ślady dwóch ludzi, którzy przeszli tędy nie później niż w południe. W tejże samej chwili z gąszczu wypadło ogromne szare zwierzę i wyszczerzywszy kły skoczyło ku Murzynom.

- Rzućcie broń! - rozległ się jakiś głos z krzaków.

Słowa te zostały wypowiedziane w ojczystym języku czarnych wojowników, kiszikongo. Z zarośli wyszedł czarnobrody Anthony.

- Odrzućcie, chłopcy, kije, inaczej ten diabelny pies przegryzie wam gardła. Do nogi, Carnero! Idźcie za mną...

Anthony poprowadził Murzynów na piaszczystą wysepkę pośród trzęsawiska. Carnero z objawami wielkiego zaniepokojenia szedł tuż za nimi, łypiąc poządlawie na migające przed jego nosem nagie łydki. Uspokoił się trochę i przestał warczeć dopiero wtedy, gdy Czarni zasiedli obok dwojga białych ludzi w bambusowym szałasie. Anthony i Dorotea zdążyli już nakryć swój lekki schron liśćmi ogromnych paproci. Lecz gdy tylko ktoś z siedzących próbował się poruszyć, czujny Carnero warczał groźnie. Chcąc nie chcąc musieli więc siedzieć grzecznie jak uczniacy pod okiem srogiej damy klasowej.

- Antonio - rzekła kobieta do swego towarzysza drżącym z przejęcia głosem - jestem pewna, że się nie mylę. To na pewno on. Na chwilę tylko wyjrzałam wtedy z kajuty, ale twarz jego będę pamiętała do końca życia. Mówię ci, Antonio, że ten człowiek to pirat Bernardito Luiz, który porwał mego syna.

- Doroteo, to niemożliwe. Sam widziałem szczątki ich ciał. Nie ludź się próżną nadzieją, moja biedna siostrze. Nie wiem, kim jest ten jednooki człowiek, ale wiem, że Bernardito zginął w pieczarze razem z dzieckiem. Chciał pomóc sir Fredowi, lecz nie przewidział, że akurat wtedy może się osunąć lawina i zawalić pieczarę.

- Jakimże więc sposobem strzelba Giacomina dostała się do rąk tego człowieka?

- Gdy „Orion” opuszczał wyspę, mister Fred zostawił w chatce broń i naboje z myślą, że może kiedyś los rzuci tu znowu jakiegoś samotnego żeglarza. Nawet zostawił na stole kartkę: „Niewiadomemu przyjacielowi od trzech pierwszych mieszkańców wyspy”.

- Ale dlaczego ten człowiek też ma opaskę na oku? Dlaczego ukrywa się przed kapitanami okrętów?

- Może sam nam o tym powie. Jedno wiem z całą pewnością: kapitan Bernardito już od sześciu lat spoczywa w grobie. A grób ten widziałem na własne oczy.

Nagle Carnero skoczył w zarośla. Z krzaków wynurzył się Bernardito obwieszony bronią. Murzyni, zawczasu uprzedzeni przez Antonia, wstali i skłonili się nisko przez nieznanym „władcą wyspy”.

- Rozmawiacie tak głośno, że sami możecie zdradzić swą kryjówkę. Mimo woli słyszałem, o czym mówiliście. Moi drodzy, każcie usiąść tym swoim czarnym przyjacielom. Takie niskie pokłony należą się tylko ich groźnym bogom, a nie zmartwychwstałemu piratowi. Są tacy nieboszczycy, signor Antonio, którzy potrafią zmartwychwstać nawet dwukrotnie... Signora Dorotea, nadzieje pani nie są płonne. Syn pani żyje, za godzinę będzie go pani mogła przycisnąć do serca... Antonio, niechże pan podtrzyma signorę! Biedaczka, już zemdłała. Proszę iść naprzód, musimy jak najprędzej dostać się w góry. Sam będę niósł pańską siostrę.

## 2

Mister Wilson, kapitan „Glorii”, ochryłym głosem rzucał rozkazy pracującym przy wyładunku ludziom. Szkuner stał w Zatoce Korsarza. Pomiędzy okrętem i brzegiem nieprzerwanie krążyły trzy łodzie. Zachodzące słońce rzucało złoty odbłask na wodę, wiatr ucichł i tylko martwa fala biła o kamienną pierś skalistych cypli. Zrobiło się gorąco. Roje moskitów obsiadały twarze i ręce ludzi.

Już wszyscy Murzyni z ładowni „Glorii” zostali wysadzeni na brzeg i ścinali teraz drzewa pod strażą dwudziestu marynarzy. Nie opodał pracowali ci, co ocalili z „Dorotei”. Między pracującymi kręcili się nadzorcy, sudańscy Arabowie i berberyjscy Tuaregowie, z bykowcami w rękach. W ogromnych czarnych kotłach, zawieszonych na drągach, gotowała się strawa.

Do burty „Glorii” przybiła łódź wioząca chudego kapitana Hatchinsona, rudego amerykańskiego Irlandczyka O'Heary i kilku jeszcze marynarzy z rozbitego okrętu. Wilson zaprosił ich do kajuty swego zastępcy, Duńczyka Oge Jensena.

- Czy „Dorotea” bardzo ucierpiała? - spytał kapitan Wilson swojego kolegę.

Hatchinson tylko westchnął.

- Czy duża jest dziura w stłuczonej butelce? - z irytacją mruknął O'Heary. - Diabli wzięli cały nasz zarobek! Że też pana podkusiło pchać się na skały, Hatchinson! Cała nadwyżka Murzynów, którą postanowiliśmy zataić przed Rilandem, poszła na dno... I na dobitkę ucieczka tej Francuzki... Za nią można było dostać ładne pieniądze...

- Nie ma się o co kłócić, panowie - wtrącił pojednawczo Wilson. - Francuzka, jeśli tylko nie utonęła, nigdzie nie ucieknie z tej wyspy. Czy policzył pan Czarnych na brzegu, mister O'Heary?

- Z obu okrętów wysadzono na brzeg stu dwudziestu mężczyzn, trzysta kobiet i około setki młodzieży. Ocalałego drobiazgu nie warto nawet liczyć, niewiele tego zostało. Hatchinson potopił dzieciarnię w ładowni jak szczenięta, a przy tej okazji - siedemdziesiąt matek i tyluż mężczyzn. Utonęło ze sto pięćdziesiąt sztuk, a może i uciekło... Niech to diabli!

- No, bracie, w naszym fachu - raz się zarobi, raz straci... Licho mnie tylko bierze, że potopiliśmy Murzynów Rilanda, tych, co mieli tu na wyspie zakładać plantacje, a naszych dwustu z nadwyżki pozostało w Kapsztadzie u Caraccioli... „Dorotea” stracona, a moją „Glorię” będziemy naprawiać co najmniej przez miesiąc. Żeby tylko Caracciola nie popłynął tymczasem z ładunkiem do Ameryki. Zobaczymy wtedy pieniądze za naszych Murzynów jak własne ucho! Co pan o tym sądzi, O'Heary?

- Bez nas Caracciola nigdzie się nie ruszy. Zakupiono zbyt wiele towarów dla plantacji na tej wyspie. Nie zostawi chyba tego wszystkiego w Kapsztadzie! Chcąc nie chcąc musi czekać na powrót naszych łajb z wyspy albo też płynąć tu za nami.

- Właściciele kopalni diamentów w Kapsztadzie dawali po trzydzieści funtów za sztukę! Trzeba było sprzedać całą nadwyżkę tam na miejscu i od razu podzielić się pieniędzmi. Nie warto było słuchać Caraccioli, że w Ameryce weźmiemy dwa razy więcej... A tak sprzedaliśmy... rybom! - mister Wilson ze złością wskazał na migotliwą wodę zatoki.

- Czy wysłał pan kogoś za zbiegami? - po chwili milczenia spytał O'Heary Hatchinsona.

- Tak. Jeszcze w południe wyruszyło w las sześciu ludzi z bosmanem Brownem. Do wieczora wszystkich wyłapią.

- Wątpię... - odparł O'Heary. - Nic nie zdoła ich wypłoszyć z tego gąszczu. Wyspa jest dostatecznie duża, by można się było ukryć i znaleźć sobie pożywienie. Sądzę, że jutro trzeba będzie urządzić obławę z udziałem całej załogi. Będziemy musieli przetrząsnąć całą wyspę. Trzeba też schwytać Francuzów. Wściekły jestem, że udało im się uciec. Widział ich pan, Wilson?

- Nie, dopiero tu się dowiedziałem, że mieliście na pokładzie dwoje białych ludzi z zaginionej ekspedycji. Dlaczego nie pokazał ich pan Caraccioli w Kapsztadzie, mister O'Heary?

- Wie pan, Wilson, ja sam odkryłem ich dopiero w drodze z Kapsztadu na wyspę. Pamięta pan, jak ładowaliśmy się na Zairze? Noc, piekielny zgiełk. „Dorotea” przyjęła dwustu mężczyzn i wszystkie baby z dziećmi. Przy załadunku tych dwoje wmieszało się po prostu w tłum Czarnych. W ładowni też kryli się przez cały czas w największej ciżbie. W Kapsztadzie staliśmy krótko, niecałą dobę, a gdy w drodze marynarze zaczęli się zabawiać z czarnymi pięknościami, przy okazji wywlekli również tę Francuzkę. Wtedy to i jej towarzysz się ujawnił. Do tej pory oboje owijali głowy szmatami. Jak się okazało, byli oni w niewoli u Murzynów i cztery lata spędzili wśród plemienia Kongo. Razem z Murzynami dostali się potem w nasze ręce. Ona twierdzi, że nazywa się Berta Sabeau, on zaś - François Pichet. Tego François Pichet i sześciu silnych Murzynów wziąłem do prac pokładowych. Mieliśmy zbyt mało ludzi. On jest dobrym żeglarzem, zna te wszystkie dzikie murzyńskie języki i nauczył Czarnych obchodzić się z żaglami. Kobiętę postanowiłem zatrzymać dla siebie. Była kiedyś siostrą miłosierdzia w szpitalnej kajucie na „Świętym Antonim”. Piękna osóbką, ale... z charakterem, diabolic! W każdej części świata znaleźliby się na nią kupcy. Liczyłem, że dostanę za nią ładny grosz. Tymczasem Hutchinson wszystko popsuł tym rozbiciem okrętu!

- A ci czarni marynarze... też pana opuścili, mister O'Heary?

- Niech ich wszyscy diabli! Uciekli jednocześnie z Francuzami. Hutchinson strzelał za nimi, ale chyba spudłował.

- Mam wrażenie, że błąd pana Hutchinsona trzeba będzie naprawić po ich ujęciu - w zamyśleniu rzekł Wilson swym chrapliwym głosem. - Mister Riland nie lubi zbędnych świadków.

- Jeśli oboje żyją, Francuz przyda się na plantacji jako tłumacz. Uciec stąd jest bardzo trudno. No, a gdyby się tu pojawił jakiś obcy okręt, wtedy monsieur François... otrzyma swoją porcję ołowiu. Ale by to zrobić, trzeba go w pierw odnaleźć.

Oge Jensen siedział zatopiony w myślach. Przypomniała mu się pewna, niezbyt odległa wiosna, podróż do Aten, zaciszna zatoka, szkuner Karidasa i łódź z małym synkiem człowieka, którego grób znajduje się na tej wyspie... I on, Oge Jensen, strzelał do tego dziecka, bo tak mu nakazał Caracciola... Ktoś krzyknął na łodzi... Potem zjawił się porucznik Went na barkasie... Nie udało się wtedy...

Do kajuty wszedł bosman z „Dorotei”.

- Schwytałeś zbiegów, Brown? - drwiąco spytał O'Heary.

- Na razie nie - pokornym basem odparł bosman. - Ale znalazłem w lesie chatę. Wszystko wskazuje, że jej mieszkańcy opuścili ją parę godzin temu. Gdyśmy oglądali chatę, wpadł na podwórze czarny pies z kawałkiem sznura na szyi. Schwytaliśmy go i przyprowadzili tu z sobą.

- A więc na wyspie są jacyś ludzie? - ze zdumieniem zawołał O'Heary. Jensen wyszedł na pokład. Wtem siedzący w kajucie usłyszeli radosne szczekanie psa i głos Jensena:

- Nero! Nero!

Czarny pies nieznanych wyspiarzy skomląc łasił się do Duńczyka.

- Przecież to nasz stary Nero, pies z „Oriona”! Zgubił się wtedy, kiedyśmy odkopywali pieczarę. Nero, psia twoja mać, stałeś się też wyspiarzem? I żaden dziki zwierz cię nie pożarł!

- Mister Hutchinson, mister O'Heary - rzekł Brown - myślę, że ta opuszczona chata nada się na mieszkanie dla panów. Na „Glorii” będzie trochę za ciasno dla wszystkich.

Pod niebem, usianym gwiazdami, w zupełnym milczeniu podążała w górę wąwozu nieduża grupka ludzi. Na przedzie biegł pies. Za nim szedł Antonio Cenni, wymacując drogę kosturem. Kapitan Bernardito niósł na rękach zemdloną kobietę. Pochód zamykało sześciu roślących, nagich Murzynów.

- Widzę, że pan dobrze pamięta drogę przez wąwóz - zauważył Bernardito.

- Naturalnie, senior, co dzień chodziliśmy z mister Fredem tą ścieżką odkopywać waszą pieczarę. Wydaje mi się, że to było tak niedawno, a przecież minęło już od tego czasu prawie sześć lat... Niech mi pan powie, senior, czy Charlie pamięta jeszcze swą matkę?

- Anthony! Dziecko wiele zapomniało. Ojca wcale nie pamięta. A mgliste wspomnienie matki wywołałem na nowo w jego dziecięcym umyśle. Utrwaliwszy w jego pamięci obraz „niani Dorothy”, nauczyłem małego wiązać go z pojęciem „mama”. Od dawna już o tym myślałem, by zwrócić dziecku matkę, jeśli tylko wyrwę się stąd żywy... Ale pod jednym warunkiem - Grelli nigdy się nie dowie, że jego syn ocalał. Samo niebo zesłało mi tego chłopca, abym mógł osiągnąć mój z dawna upragniony cel. Matka mi nie przeszkadza, jeśli tylko nie zdradzi się przed Leopardem.

Znów w milczeniu poczęli się wspinać kamienistą leśną ścieżką. Nisko, tuż nad wąwozem, wisiał sierp księżycy. Po chwili las się skończył. Na prawo czerniła się górską łąką porośnięta wysoką trawą. Daleko w dole, odbijając się w wodzie zatoki, migotały światła „Glorii”. Bernardito przysiadł na pniu zwalonego drzewa. Głowa kobiety spoczywała na jego ramieniu.

- Niech pan zaczerpnie wody ze źródła, trzeba ocucić pańską siostrę. Co za głębokie omdlenie!

Dorotea otwarła oczy. W mroku, na tle nieba usianego gwiazdami, ujrzała pochylone nad sobą głowy Antonia i Bernardita. Gdy wreszcie oprzytomniała, wczepiła się kurczowo w podtrzymujące ją ręce i poczęła wyrzucać z siebie głuche jak jęk, bezładne słowa:

- Gdzie jestem? Znów mnie oszukujecie. Jego nie ma! Powiedzcie mi prawdę - mój syn żyje? Gdzie jest Charlie?

Bernardito pomógł jej się podnieść. Drżała na całym ciele i wyrывała się z jego rąk.

- Proszę się uspokoić, seniora! - Wzburzenie kobiety poruszyło do głębi starego pirata. Nawet najbliżsi przyjaciele nie poznaliby w tej chwili głosu surowego kapitana. - Jeszcze parę minut i zobaczy pani swego synka. Jest zdrow i bardzo urósł. Przejdziemy jeszcze kawałek pod ziemią i będziemy w domu. Syn pani stał mi się bliski jak rodzone dziecko. Bo ja nigdy nie miałem własnych dzieci, signora!

Idący na przód Antonio gwałtownie przystanął.

- Stójcie! - zawołał. - Dorothy, senior kapitan nie wie, że ma syna!

Było to coś tak nieoczekiwanego, że Bernardito aż się potknął i o mało nie upuścił Dorotei.

- O czym mówi pani brat, seniora? Co znaczą pańskie słowa, Anthony?

- Kapitanie, może niepotrzebnie powiedziałem o tym w takiej chwili, ale wiem na pewno, że w Pireusie mieszka pańska matka, seniora Estrella Luiz, razem ze swym wnukiem Diego Luiz el Gorra. Chłopczyk ma już... zaraz... dziesięć lat. Urodził się w Pireusie jesienią siedemset sześćdziesiątego ósmego roku. Jego matka... niestety, pamięć mnie zawodzi... miała takie dźwięczne greckie imię...

- Zoe - odpowiedział Bernardito.

- Tak, tak, Zoe! Ona nie żyje, kapitanie... Spoczywa na greckim cmentarzu w Atenach. Zmarła przy porodzie pańskiego syna Diego, kiedy pan był już na tej wyspie. Donii Estrelli już dawno doniesiono o pańskiej śmierci, lecz ona w nią nie wierzy, czeka na pana i opowiada małemu Diego o dawnych pańskich sławnych czynach. O tym wszystkim dowiedziałem się w Livorno latem siedemdziesiątego czwartego roku. Pamiętam nawet adres donii Estrelli: Pireus, przedmieście, Droga Ateńska, dom kupca Karidasa.

- Karidasa? Georgi Karidasa? Mojego marsowego z „Perły”? Podarowałem mu ongiś stary szkuner „Jutrzenka”. Czy to ten Karidas?

- Kapitanie! Powtórzyłem panu to wszystko, co usłyszałem od jungi ze szkunera „Jutrzenka”, Thomasa Bingle'a. Ten chłopak to przyjaciel pańskiego syna. Donia Estrella często opowiada im obu o kapitanie Bernardito.

- Diego Luiz el Gorra! - wolno wymówił stary korsarz, wsłuchując się w dźwięk tych słów. - Syn mojej Zoe! Rozstaliśmy się w grudniu sześćdziesiątego siódmego roku... O Boże!

Niebiosa okazały się dla mnie łaskawsze, niż śmiałybym marzyć!... Nie ma takich skarbów na świecie, młodzieńcze, którymi mógłbym ci się odplacić za tę wiadomość... Niech się pani nie boi, seniora, to nie przepaść, to tylko wejście do podziemia. Proszę się uchwycić mojej szyi, pójdziemy teraz korytem podziemnego strumienia. Ciemno tu jak w grobie, ale tam dalej, za zakrętem, pali się pochodnia.

Głos Bernardita dudnił już pod sklepieniem tunelu. Murzyni jeden po drugim z lękiem wstępowali w czarną czeluść podziemia.

Światło okrętowej latarni rozjaśniło mrok pieczary. W podziemnych korytarzach i tunelu panowała głęboka cisza. Tylko strumyk cichutko szemrał na samym dnie. Wyłom w ścianie pieczary, wykuty ongiś przez kapitana Bernardito, zasłonięty był od środka wilczą skórą.

Chłopczyk wsłuchiwał się w głuchą ciszę podziemia. W pieczarze było jasno i ciepło. Bernardito dawno już przygotował tę kryjówkę na wypadek nieoczekiwanego przybycia wrogów na wyspę. Ściany i dno pieczary pokrywały skóry zwierzęce. W kącie leżało kilka koców. Na palenisku zbudowanym z kamieni żarzył się węgiel drzewny; ledwo uchwytny dym uchodził do tunelu i podziemnych chodników. W drugim kącie leżał zapas węgla i suchego jak pieprz chrustu. W zawieszonym nad ogniskiem kociołku gotował się napój z suszonych aromatycznych ziół, zastępujący mieszkańcom wyspy kawę i herbatę. Żywność złożona była w niszach wykutych w miękkich łupkowych ścianach. Tu też znajdowała się broń przeniesiona z chaty.

Dziś samotność szczególnie ciążyła chłopcu. Jakże tu leżeć spokojnie, gdy na wyspie dzieją się takie ciekawe rzeczy!... Chłopiec wstał ze swego posłania ze skór, podszedł do otworu w ścianie i odchylił brzeg zasłony. Blask latarni padł na przeciwległą ścianę i oświetlił dno tunelu. Ostatnie miesiące lata były bardzo upalne, deszcze padały rzadko i strumień w tunelu prawie wysechł. Droga do podziemnej kryjówki nie była teraz trudna.

Gdzieś z oddali dobiegły uszu chłopca jakieś szmery, a potem głosy ludzi zmienione przez echo. Na dnie tunelu mignął długi cień i po znajomym warczeniu chłopiec rozpoznał swego psa.

Zza zakrętu błysnęło czerwone światło, głosy zbliżały się coraz bardziej. Wreszcie w tunelu ukazali się ludzie. Było ich dużo. Na przedzie szedł jakiś czarnobrody, nagi do pasa mężczyzna, z pochodnią w ręce. Zasłaniał sobą wysoką postać wujka Toby, który niósł na rękach kogoś owiniętego w płaszcz. Za nim szło gęsiego kilku nagich, czarnych jak węgiel ludzi.

Chłopiec odrzucił wilczą skórę i szybko spuścił w dół lekką bambusową drabinę. Carnero w dwóch susach był już w pieczarze i skomlał obskakiwał chłopca, usiłując polizać go po twarzy. Ale Charlie nie miał teraz głowy do psa. Wujek Toby przed wyjściem z pieczary mówił dziwnym głosem takie dziwne rzeczy. Odsunął z jego czoła kosmyk włosów, spojrzał mu w oczy i spytał:

- Powiedz mi, synku, chciałbyś opuścić wyspę i zobaczyć wielkie miasta, dalekie kraje?
- Chciałbym zobaczyć, ale razem z tobą, wujku Toby. Nie oddasz mnie chyba tym obcym ludziom, którzy przybyli tu na okrętach?
- Nie pleć głupstw, mój seniorito. Wolałbym utracić moje jedyne oko niż ciebie. Ale powiedz mi, gdyby twoja matka przysłała po ciebie, cieszyłbyś się?
- Mama? A więc to ona przysłała te okręty? O, wujku Toby, chcę ją jak najprędzej zobaczyć! I już zawsze będę razem z mamą i z tobą! Prawda, wujku Toby? Bernardito mocno przycisnął go do piersi. - Bądź zdrow, mój seniorito, miej drabinę w pogotowiu i czekaj na mnie. Wrócę nie sam i przyniosę ci wielką radość!

Z tymi słowami wujek Toby wyszedł. A teraz Carnero przeszkadzał Charliemu przygotować się do tak ważnego spotkania. Nagle chłopiec drgnął. Do jego uszu doszło zaledwie parę słów

wypowiedzianych tam na dole, w tunelu, lecz jedno z nich poruszyło do samej głębi jego dziecięce serduszko. Wypowiedział je wujek Toby. Było to na wpół już zapomniane imię...

- Dorothy, my zaczekamy tutaj, a pani wejdzie na górę. On czeka!...

Chłopczyk stał pośrodku pieczary. Był w białej kurteczce z koziej skóry i krótkich spodenkach. Ciemne loki opadały na ramiona, opalone policzki zarumieniły się z przejęcia. Wtem ktoś gwałtownie odrzucił wilczą skórę u wejścia i kobieta o ogromnych, płonących oczach padła przed chłopcem na kolana. Poczul na twarzy jej ciepłe dłonie i dotknięcie gorących, mokrych od łez policzków. Chłopczyk uwolnił rękę, nieśmiało dotknął puszystych włosów kobiety, a potem odchylił lekko głowę od jej zalanej łzami twarzy, spojrzął w głąb bliskich, nieprzytomnie szczęśliwych oczu i pierwszy raz w życiu rwącym się szeptem powiedział:

- Mama!

### 3

Nazajutrz o świcie Bernardito, Anthony i najstarszy z murzyńskich zbiegów, czarny olbrzym Nguru, ostrożnie podkradli się na brzeg zatoki. Gęste listowie nieprzebytych zarośli stanowiło doskonałą osłonę.

Oczom zwiadowców ukazał się mało pociągający widok obozu niewolników. Wśród krzaków i rzadkiego lasu, na samym brzegu zatoki, była już oczyszczona dość duża przestrzeń. Teraz kobiety w liczbie może dwustu budowały ogrodzenie z żerdzi i pali o zaokrąglonych, opalonych w ogniu wierzchołkach. W dwu przeciwległych rogach polany wznosiły się pokraczne budowle na wysokich słupach. Były to wieże strażnicze - pierwsze wzory europejskiej architektury przeniesione przez kolonizatorów na nową ziemię. Strażnicy, po dwóch na każdej wieży, leżeli w cieniu daszków z liści palmowych, oparłszy długie lufy karabinów o plecione poręcze. Forpocztę cywilizacji dotarły już do Wyspy Rilanda!

Obok dwuskrzydłowych wrót stała budka z plecionych gałęzi, podobna do wysokiego kosza. Siedziało w niej również dwóch uzbrojonych marynarzy. Ogrodzenie wokół obozu nie było jeszcze gotowe, toteż plac obstawiony był przez jakichś dwudziestu marynarzy, aby któremuś z Murzynów nie strzeliło przypadkiem do głowy poszukać sobie innego schronienia na wyspie. Na ogrodzonej przestrzeni rosło w oczach pięć dużych chat. Nad płonącym ogniskiem wisiały na długim drągu czarne żelazne kotły. Krzątało się koło nich kilka czarnych kobiet pod dozorem okrętowego kucharza z „Dorotei”, wyraźnie niezadowolonego z tego rodzaju funkcji.

Nieco dalej, na lewym brzegu zatoki, co chwila migały wierzchołki ścinanych drzew. Tu też oczyszczano teren pod zabudowania i pola przyszłej plantacji.

Zwiadowcy przyczajeni na wysokim drzewie widzieli, jak mister Hutchinson poprowadził dużą grupę niewolników w stronę wraku swojego okrętu, aby ratować resztki ładunku. Inny oddział Murzynów pracował na skraju lasu, piłując ścięte drzewa. Słońce paliło niemiłosiernie lśniące od potu czarne grzbiety traczy. Jedni z nich stali na pomoście, drudzy na dole, na ziemi. Czarne ciała zginały się w miarowym rytmie. W górę - w dół, w górę - w dół sunęły długie piły, wgryzając się stalowymi zębami w grube pnie. Z obu stron pomostu leżały już dwie duże sterty świeżych desek. Pomiedzy nimi chodzili dwaj nadzorcy z długimi biczami w rękach.

W pewnej chwili jeden ze stojących na górze traczy, barczysty Murzyn, wyprostował się i zmęczonym ruchem otarł pot z czoła. Nadzorca Urikon, były kapłan, krzyknął coś do niego. Niewolnik, nie zwróciwszy na to uwagi, podszedł na sam skraj pomostu, zaczerpnął trochę wody z drewnianej baryłki i wypił parę łyków.

Urikon zdzielił go batem. Murzyn stracił równowagę i spadł z pomostu. Ogarnięty gniewem

zerwał się i cisnął glinianą skorupą w twarz nadzorcy. Na miejsce zajścia przybiegł biały marynarz. Murzyn przeskoczył górę trocin i pędem puścił się w stronę najbliższych zarośli. Huknął strzał, kula trafiła zbiega w nogę, lecz Murzyn utykając biegł dalej. Wtedy Urikon, z rozciętą brwią, kilkoma skokami dopadł uciekającego i świszczącym uderzeniem bata zwałił go z nóg. Marynarze powlekli nieszczęśnika do obozu. Nie upłynęło nawet pięć minut, gdy ciało tracza zawisło na gałęzi wysokiego drzewa. Pod nogami powieszonego buchnął płomieniem suchy chrust, opalając podkurczone nogi. Marynarze z obojętnymi twarzami powrócili na swoje miejsce. A piły dalej chodziły rytmicznie w górę - w dół, w górę - w dół, jakby nic nie zaszło. Siedzący na drzewie Anthony o mało nie zapłakał z nienawiści i wstrętu. Wieczorem wszystkich niewolników - tych, którzy przygotowywali teren pod przyszłą plantację, i tych, którzy pracowali przy wyładunku „Dorotei” - spędzono w jedną gromadę. Przy pomocy batów i kopniaków, przyzywając diabłów i wszystkich świętych, marynarze ustawili ich w kolumnę i ze trzy razy przeliczali te sześć czy siedem dziesiątków nagich ludzi. Widać nietęgo było u nich z matematyką!

Zapadał zmierzch. Na masztach „Glorii” zapalono światła topowe. Wśród świstu bieży zapędzono wreszcie niewolników za ogrodzenie. Zjadłszy trochę wstrętnej jęczmiennej mazi, bez łyżek i naczyń, głodni ludzie ułożyli się pokotem pod byle jak skleconymi daszkami. Powoli ucichł płacz dzieci i lament matek. Bernardito i obaj jego towarzysze zeszli z drzewa i ostrożnie ruszyli w powrotną drogę.

Wtem na leśnej ścieżce wiodącej do chaty wyspiarzy rozległy się jakieś głosy. Zwiadowcy bez ruchu zamarli w krzakach. Anthony rozpoznał O'Heary'ego, Jensena i Hatchinsona. Szli z kilkoma jeszcze marynarzami w stronę chaty, głośno rozmawiając.

- Gdzie się, u licha, podzieli mieszkańcy wyspy? - mówił O'Heary. - Już drugi dzień ukrywają się przed nami. Sądząc po ilości bydła i zagospodarowaniu chaty, musiało tu mieszkać kilku ludzi. Prawdopodobnie są to rozbitkowie z jakiegoś okrętu. Bardzo mi się nie podoba ich zachowanie.

- Co pan proponuje? - spytał Hatchinson.

- Wyślemy tej nocy dziesięć oddziałów, które przetrząsną każdy krzaczek na wyspie. Jensen, pan ze swoimi ludźmi przeszuka wąwóz. Pomoże w tym panu pies wyspiarzy.

Głosy handlarzy niewolników umilkły. Bernardito i jego towarzysze z największą ostrożnością skradali się jeszcze za nimi przez chwilę. Tamci doszli do chaty i z hałasem wwalili się do środka. Zwiadowcy zawrócili do lasu.

- Nasz Nero może nam dziś oddać złą przysługę - rzekł Bernardito.

- Głupie psisko uciekło wczoraj Charliemu i jak się okazuje, wpadło w łapy tego goryla Jensena. Niech mi pan powie, Anthony, kto to jest ten Duńczyk? Widziałem go już raz na łodzi z „Oriona”. Język ma niezbyt obrotny, ale pięści - jak dobre kule armatnie!

Dziesięciu marynarzy z Jensenem na czele posuwało się w górę wąwozu. Jensen trzymał na sznurku czarnego psa i przemawiał do niego półgłosem, jak do starego znajomego:

- Prowadź nas, Nero, prowadź!... Na „Orionie” byłeś niezłym złodziejaszkiem, podkradałeś ser marynarzom... O, poznają to miejsce. Tu gdzieś powinna być mogiła...

- Co pan tam mruczy, Jensen? - zniecierpliwił się jeden z marynarzy. - O jakiej mogile pan mówi?

- Mówię, że tu gdzieś niedaleko ma być mogiła jednookiego Bernardita...

- Co? Stać, chłopcy! Jeśli pan ma ochotę skrócić kark, mister Jensen, może sobie pan iść za tym przeklętym czarnym psem, ale ja jeszcze nie oszalałem, żeby pchać się nocą na grób Bernardita.

- Zmarli nie mogą się mścić - uspokajającym tonem rzekł Jensen.

- Duch Bernardita nie zniesie nocnych gości. Niech pan spojrzy, Jensen, pies szczerzy kły! On



się śmieje! Niech mnie piorun strzeli, jeśli on się nie śmieje! I niech mnie ziemia pochłonie, jeśli nie nastął go na nas sam nieboszczyk Bernardito! Widzicie, jaki on czarny? Klnę się na rogi Lucypera, że to wilkołak! Lepiej dać sobie spokój z tym psem, mister Jensen, niech stąd zmyka do diabła. A my zawracajmy, póki nie jest za późno! Bo się obawiam, aby nie trzeba było zbierać naszych kości na dnie tej przepaści.

Zza krawędzi wąwozu wyjrzał czerwonawy sierp księżyca. Umysł Jensena pracował z trudem. Jemu też nie bardzo podobała się droga, którą wiódł ich czarny pies. Bliskość grobu Bernardita również i jego przejmowała zabobonnym lękiem... Przecież nie dalej jak cztery lata temu on, Jensen, strzelał do dziecka w łodzi... A może by tak jednak wrócić na oświetloną „Glorię” i odegnąć strach szklaneczką rumu? Ale dokądże tak wrywa się Nero? Skomli i rwie się na górę, skąd cienkim strumyczkiem spływa po kamieniach woda na dno wąwozu. Warto by się orzeźwić łykiem zimnej wody... Ale gdzie jest ta przeklęta mogiła?... Nic nie widać w tych ciemnościach!

- Ciszej! - szepnął jeden z majtków. - Zdawało mi się, że słyszę warczenie psa. Jesteście tchórzliwe baby, a nie marynarze! Idę o zakład, że ten czarny pies nie bez kozery nas tutaj przyprowadził. Do diabła z waszymi strachami! Tu się ktoś ukrywa. Albo Murzyni, albo mieszkańcy wyspy.

Jensen wahał się. Chęć schwytania zbiegów walczyła w nim z nieczystym sumieniem. Wreszcie pokonał lęk.

- Zostańcie tu i miejcie broń w pogotowiu... Ty, Długi Andy, pójdziesz ze mną - zwrócił się do odważnego marynarza. - Zobaczymy, dokąd nas Nero zaprowadzi.

Pies, o mało nie wyrwawszy sznura z potężnej dłoni Jensena, pognał w górę. Jensen odwinął łańcuszek swego żelaznego ciężarka i przygotował pistolet.

Jakieś sto jardów przeszli korytem strumienia. Wreszcie ukazał się przed nimi skalny występ. W tym miejscu strumień spadał w dół. Oto i brzeg występu.

Pies szarpnął się jeszcze mocniej, usiłując wejść pod niski nawis skalny, spod którego wybiegał strumyk.

- Widocznie tu ukrywali się zbiegowie - szepnął Długi Andy.

Księżyc utracił tymczasem czerwonawy odcień; wszystko dokoła skąpane było teraz w białej, martwej poświacie. Jensen poznał fatalne miejsce. Tam, na lewo, wznosi się skała, na której wicehrabia kazał wykuć nagrobny napis. U podnóża tej skały wysoka mogiła...

- Andy, jesteśmy u grobu Bernardita!...

Odważny Andy przystanął w zamyśleniu. Czarny pies wciąż usiłował wleźć pod kamień.

- Czy nie ma tu jakiejś pieczary? Trzeba zawołać resztę, Oge.

W tej chwili coś ogromnego i szybkiego jak nocny ptak wyskoczyło spod nawisu. Jensen aż przysiadł i wypuścił z rąk sznurek. Nero dał susa i znikł pod głazem. Długi Andy stał na samym brzegu skalnego występu. Szary cień śmignął wprost ku niemu. Andy krzyknął i znikł z oczu Jensena. Oge w przerażeniu spojrzął w dół. Dochodziło stamtąd warczenie. Na głębokości dwóch, trzech jardów czerniało ciało marynarza. Pastwił się nad nim jakiś ogromny czarny zwierz.

Przekładając pistolet do prawej ręki Jensen obejrzał się na mogiłę... i struchlał. W blasku księżyca zobaczył białe widmo. Zbliżało się wolno, z wyciągniętą przed siebie ręką. Duńczyk cofnął się o krok, potknął się i tracąc równowagę runął z urwiska na gładkie otoczaki. Jeszcze żył, gdy kilka par rąk podniosło go z kamieni. Miał złamany kręgosłup i rozbitą głowę. Bernardito kazał zanieść go do tunelu. Gdy Duńczyk odzyskał przytomność, ujrzał nad sobą czarne sklepienie kamiennego grobowca, oświetlonego pogrzebową pochodnią. Na tle szarej ściany stała nieruchoma postać w bieli. Wprost w oczy Jensena patrzyło płonące gniewem jedyne oko kapitana Bernardito...

Oge jęknął i zrobił ruch, jakby chciał odegnąć od siebie widmo, ale w tej chwili zadudnił pod sklepieniem donośny, metaliczny głos:

- Dlaczego naruszyłeś mój spokój, Oge Jensen?  
 - Wszystkiemu winien Caracciola - spieczonymi wargami wyszeptał Jensen. - To on kazał mi strzelać do twego syna, Bernardito. Och, umieram! Nie zbliżaj się do mnie!  
 Widmo pod ścianą drgnęło, głos mu się załamał:  
 - Ty i Caracciola zabiliście mego syna?  
 - Nie, duchu, on chyba żyje. Ale ja umieram... Odejdź w pokoju, zniknij mi z oczu!  
 - Gdzie się to działo? Gdzie polowaliście na mego syna, przekłęci?  
 - W Pireusie, och, w małej zatoce... Mówię ci, że winien był Caracciola.  
 - Giń, dzieciobójco! - groźnie rzuciło widmo odrywając się od ściany.  
 Duńczyk wzdrygnął się i ucichł. Długo jeszcze potrząsał Bernardito bezwładnym ciałem, lecz nawet sam wielki inkwizytor Torquemada nic nie zdołałby już wydobyć z Jensena. Handlarz niewolników był martwy.  
 Tymczasem Nguru z czterema wojownikami i straszny jak zły demon Carnero cichutko zaszli od tyłu pozostałych oprawców, zaczajonych na dnie wąwozu. Atak był nagły i błyskawiczny. Noże czarnych mścicieli i kły Carnero załatwiły się z resztą oddziału nie mącąc nawet ciszy wąwozu. Bernardito, który zdjął już z ramion swój „śmiertelny całun”, zastał tu dziesięć martwych ciał. Kazał dołączyć do nich zwłoki Jensena i Długiego Andy i przenieść wszystkie trupy pod skałę z nagrobnym napisem. Tu, przy pomocy czarnego wojownika Nguru, Bernardito starannie usadowił jedenastu nieboszczyków wokół płyty na swoim własnym grobie...  
 Zlustrowawszy raz jeszcze baczny spojrzeniem mogiłę i malownicze pozy nieruchomych gości, kapitan w milczeniu powiódł swych czarnych przyjaciół do podziemnego schronu.

#### 4

Zbliżał się świt. Niewolnicy w obozie pogrążeni byli jeszcze w głębokim śnie, gdy dwa czarne cienie zsunęły się z drzewa na lewym brzegu zatoki. W tym miejscu wycięto sporą połać lasu. Wokół leżały zrąbane drzewa, wykarczowane już pnie i krzaki, stopy gałęzi i lian. Na łagodnym skalistym zboczu piętrzyły się zwały ziemi i kamieni. Wczoraj rozpoczęto tu prace nad wyrównaniem terenu pod główny budynek przyszłej plantacji. Jeden z czarnych cieni błyskawicznie dał nura pod kupę chrustu. Drugi obejrzał miejsce, gdzie ukrył się śmiełek, poprawił nad nim gałązki i szepnął w języku kishi-kongo:  
 - Bądź ostrożny, Toopi. Jeśli cię ktoś zauważy - wszystko przepadło.  
 - Idź już, massa Antu, będę siedział cicho jak ryba - wionął w odpowiedzi szept pod gałęzi.  
 Antonio Cenni oddalił się bezszelestnie i wspinał się na jedno z najbliższych drzew. Ukryty w gęstym listowiu zamarł bez ruchu w tej napowietrznej kryjówce, na wysokości jakichś dwunastu jardów.  
 Tymczasem w obozie rozpalono już ogień pod kotłami. Słysząc było świst batów. Dwie łodzie z „Glorii” przywiozły świeżą zmianę straży, jak również nadzorców robót dziennych. Po chwili otworzyła się dwuskrzydłowa brama i wszyscy mieszkańcy kraala wyszli za ogrodzenie. Na lewo brzoźny plac budowy przypędzono pod konwojem sześć do siedmiu dziesiątków posepnych niewolników.  
 Murzyni chwycili za oskardy, siekiery i łopaty - strażnicy uzbrojeni w karabiny i pistolety usiedli opodal na zwałonych pniach. Gorące promienie słońca, które podniosło się już na niebie, padały na nagie grzbiety niewolników i szerokie kapelusze panów.  
 ...Dwie młode smukłe kobiety zbierające chrust podeszły do wielkiej kupy gałęzi, gdzie ukrył się Toopi. Nie miały na sobie nic prócz przepaski na biodrach i paciorków na szyi. Na ich nagich ramionach widniały głębokie ślady od powroza, na którym dźwigały wiązki chrustu. Młodsza zmęczonym ruchem osunęła się na przyniesioną wiązkę.

- Ngawa, cicho, to ja, Toopi - dobiegł nagle jej uszu ściszony, dobrze jej znany głos. Dziewczyna nachyliła się i pod stertą gałęzi dojrzała twarz swego narzeczonego.

- Nie bój się, Ngawa, i przykryj mnie chrustem. Gdzie jest nadzorca?

Ngawa szybko rozwiązała swoją wiązkę i poczęła rzucać na stos nowe gałęzie, starając się nie zwrócić na siebie uwagi nadzorcy.

- Jesteś szalony, Toopi - szepnęła przerażona. - Po coś tu przyszedł? Urikon żywcem obedrze cię ze skóry!

- Gdzie jest Majni-Mfumum? Czy jest z wami syn wodza plemienia Bakongo?

- Tak, jest tutaj, Toopi. Jego też zapędzono do ścinania drzew.

- Ngawa, niech Majni-Mfumum przyjdzie tutaj. Tylko niech to zrobi ostrożnie. Tej nocy gotujemy się do napadu na obóz i okręt. Trzeba uprzedzić wszystkich naszych wojowników. Ty, Ngawa, powiesz o tym tylko pewnym kobietom. Uważaj, aby nadzorcy i ich donosiciele czegoś nie zwąchali. Strzeżcie się Urikona i jego podłych zauszników.

Obie kobiety oddaliły się szybko. Po godzinie do tej samej sterty podszedł z wiązką chrustu wysoki, muskularny Afrykańczyk. Zatrzymał się tu na chwilę, wyprostował i zmierzwiwszy przechodzącego nadzorcę baczny spojrzeniem znów udał się na skraj polany, gdzie z każdą godziną rzedły drzewa i krzaki.

Jakieś dwie godziny przed zachodem słońca ukazał się na brzegu zatoki oddział marynarzy wracających z poszukiwań w lesie. Na czele oddziału maszerował mister Erwin Cyrus O'Heary. Wielu Murzynów porzuciło pracę, patrząc z trwogą na zbliżających się białych ludzi. Natychmiast poszły w ruch bicz nadzorców, podniósł się tumult i krzyki.

- Uspokoić to czarne bydło! - wrzasnął O'Heary.

Podszedł do wielkiego dołu pod fundamenty, skąd Murzyni usuwali kamienie i ziemię. Robotą kierował tu starszy cieśla okrętowy z „Dorotei”, który lubił się chwalić swym doświadczeniem w „dyrygowaniu” niewolnikami na amerykańskich plantacjach.

- Dlaczego tak wolno posuwa się praca, Torley? - z niezadowoleniem spytał O'Heary.

- Pańscy Murzyni są głupi, leniwi i zniewieściali. Rozpuścił ich pan, mister O'Heary - usłyszał w odpowiedzi.

- To wy nie umiecie ich nauczyć! - ryknął O'Heary.

Wyrwał nadzorcy bicz i zeskoczył do dołu. Łopaty i oskardy jeszcze szybciej migały teraz w rękach niewolników.

- Który z nich dziś się lenił. Torley?

Wolno, ze złowrogą twarzą zbliżał się do szeregu pracujących ludzi.

- O ten - na chybił trafił wskazał Torley pierwszego z brzegu niewolnika.

Uważał, że nie warto zadawać sobie trudu rozpoznawania czarnoskórych, w jego oczach wszyscy oni byli jednakowi.

O'Heary dzielił Murzyna batem po grzbiecie. Znać było w tym dużą wprawę. Na czarnej skórze w jednej chwili wystąpiła purpurowa pręga. Niewolnik pochylił się jeszcze niżej, jeszcze zawzięciej począł wymachiwać oskardem. I to go uratowało. O'Heary, zmęczony wędrówką po lesie, odrzucił bicz, darując tym razem pokornemu niewolnikowi. Nie wiedział, że młody wódz Banako dał rozkaz mężczyznom swego plemienia, aby zachowali cierpliwość... do wieczora.

Poza tym mister O'Heary nie chciał psuć sobie dobrego humoru. Wprawdzie nie ujęto jeszcze zbiegów, lecz marynarze przetrząsnęli już połowę wyspy i odkryli wiele nowych śladów po jej mieszkańcach: na wpół rozwalony szałas o milę od jeziora, ścieżkę w bambusowych zaroślach, popiół ogniska nad strumieniem... Grupa Jensena jeszcze nie wróciła. Być może prowadzi już schwytanych uciekinierów i mieszkańców wyspy? Główną jednakże przyczyną jego dobrego humoru było coś zgoła innego... Rozgrzebując niedbale piasek nad strumieniem O'Heary ujrzał naraz na włosach ręki maleńką, lecz ciężką żółtą grudkę. Na wyspie znajdowało się złoto i na razie wiedział o tym tylko on jeden, mister Erwin Cyrus O'Heary!

Handlarz niewolników klasnął w dłonie. Urikon już biegł ku niemu, jak pies na zawołanie swego pana.

- Powiedz tym durniom, Urikon, że powinni się przykładać do pracy. Tu będzie plantacja, gdzie nauczą się pracować, uprawiać ziemię. Gdy pracują gorliwie, dam im jeść do syta. Powinni to cenić, że się z nimi dobrze obchodzę. Nigdy nie ukarałem nikogo bez powodu. Karzę tylko leniów i tych, co próbują uciekać. A dobrym Murzynom dam tytoniu do żucia. Kto chce?

O'Heary wyjął z kieszeni napoczętą paczkę czarnego, taniego tytoniu, jaki lubią żuć marynarze w czasie długich godzin nocnej wachty. Kilka czarnych rąk wyciągnęło się nieśmiało.

„Ufni jak małe dzieci” - z goryczą pomyślał Anthony obserwując ohydny scenę.

- E, tak nie dostaniecie. Patrzcie, kładę tytoń na ziemi, na samym środku pomiędzy dwiema grupami. A teraz do łopat. Kto z was pierwszy przekopie rów do tego miejsca i dotrze ręką paczki, ten ją będzie miał! Zrozumieliście, smoluchy?

Anthony z bólem w sercu patrzył, jak dorośli, silni mężczyźni rzucili się do kopania. Ani razu bicz nadzorcy nie świsnął w powietrzu, a jednak kamienisty stok topniał w oczach jak zaspasnieźna w promieniach wiosennego słońca. Słyszeć było tylko ciężki, chrapliwy oddech. Wreszcie jakaś czarna ręka pochwyciła upragnioną paczkę. Szczęśliwy zdobywca skarbu, zataczając się z wycieńczenia, wygramolił się z dołu i wsunął do ust czarną grudkę tytoniu. W tej chwili dwóch potężnych Tuaregów zasłoniło go przed wzrokiem O'Heary'ego i Torleya, trzeci zaś nadzorca kopniakiem obalił Murzyna na ziemię i dzielił go kijem. Paczka tytoniu wypadła z rąk niewolnika. Nadzorcy w jednej sekundzie rozdzielili ją między siebie i rozeszli się, energicznie poruszając mocnymi szczękami.

- Widzicie, Torley, jak należy postępować z tymi złymi robotnikami - chełpił się O'Heary stojąc w pustym dole. - Wy stracilibyście na to ze trzy dni i zatłukli na śmierć z pół tuzina czarnoskórych, a oni przecież kosztują pieniądze, mój drogi! Uczcie się ode mnie, Torley, a zawsze potrafiacie utrzymać ich w ryzach. Z każdym bydłem, które do nas należy, trzeba umieć się obchodzić. No, z tymi, co uciekli, inaczej pogadam, zobaczycie, gdy tylko grupa Jensena ich przyprowadzi. Ale wraca Hutchinson... No, jak tam, mister Hutchinson?

- Tyle dziś zrobiono? - zawołał Hutchinson podchodząc do gotowego wykopu. - Przez jeden dzień? To coś niebywałego, mister O'Heary! My, niestety, nie możemy się na razie pochwalić zbyt wielkim sukcesem. Przetrzęsaliśmy cały lewy brzeg strumienia. Są tam ślady, nie szkodziłoby nocą urządzić zasadzkę. A jak poszło Jensenowi?

- Myślę, że otoczył już zwierzynę w wąwozie. Mieli najdłuższą marszrutę i wątpię, czy zdążą dziś jeszcze wrócić.

- Niech pan posłucha, O'Heary, obiecał pan ludziom, że się będą mogli trochę rozerwać. Czas już, by się trochę odświeżyli, wypili sobie i pobaraszkowali z afrykańskimi panienkami...

- Dobrze, niech się dziś zabawią na „Glorii”. A my urządzimy sobie piknik w naszej chacie. Jest tam wśród tych Murzynek niejaka Ngawa... Jestem dziś w świetnym humorze, Hutchinson!

## 5

Na czarnej wodzie zatoki migotały odblaski światła padającego z iluminatorów „Glorii”. Pokład sprawiał wrażenie pustego, lecz przy wszystkich czterech działach siedzieli skuleni puszkarze, pykając w ciemności fajki. Dwaj wachtowi i kapitan Wilson chodzili po mostku. Bosman obszedł wszystkie posterunki na okręcie. Z kubryka dochodziły już krzyki i tupot marynarskich butów. Posterunkami na brzegu dowodził Brown, bosman z „Dorotei”. Czterech marynarzy strzegło wejścia do obozu. Na każdej wieży strażniczej stało po dwóch

strzelców, ponadto dwóch białych strażników znajdowało się wewnątrz kraala. Co pół godziny patrol złożony z trzech ludzi obchodził cały teren obozu, idąc przesieką biegnącą wzdłuż palisady. Druga zmiana straży spała w dużym szałasie. Przed wejściem do szałasów płonęło ognisko, przy którym zasiadał sam bosman Brown.

Nim ciemność zapadła, poruszyły się lekko przybrzeżne krzaki. Bernardito, Anthony i dwaj Murzyni ostrożnie wyjrżeli z zarośli.

- Anthony - ty, Ngano i Nori zaatakujcie szałas ze strażnikami. Carnero już was słucha, weźcie go z sobą. Nguru, Toopi i ich dwaj towarzysze muszą strzałami sprzątnąć obserwatorów z obu wież. Czy udało się Murzynom przemycić trochę broni do obozu?

- Tak, wśród zamieszania w wykopie dozorczy nie zauważyli, że część ludzi zabrała z sobą łopaty i oskardy. Inni mają przy sobie kamienie i gwoździe okrętowe. Ze czterdziestu ludzi uzbroiło się w ten sposób. Ponadto kobiety mają noże, którymi czyszczą ryby. Podrzucą je wojownikom.

Na ciemnym tle nieba światła na masztach „Glorii” sprawiały wrażenie ogromnych, nisko wiszących gwiazd. W obozie jasno płonęły ogniska. W nocnej ciszy słychać było potrzaskiwanie i syk mokrego drzewa. Z okrętu dochodziły pijackie krzyki i śpiewy.

W pewnej chwili od trapu odbiły dwie łodzie zmierzając w stronę brzegu,

- Jadą po niewolnice - szepnął Anthony. - Jest ich ze dwunastu na łodziach. Wszystko idzie tak, jak pan przewidział, kapitanie!

- Zaraz im urządzimy zabawę! - wycedził przez zęby stary korsarz. Zbliżali się do obozu od strony lasu. Do najbliższej wieży strażniczej pozostało pięćdziesiąt jardów. Nguru, Toopi i dwaj inni czarni wojownicy, z łukami gotowymi do strzału, przekradli się na wyznaczone stanowiska. Bernardito, Anthony i ich dwaj towarzysze obeszlili obóz od tyłu.

- Widzi pan, kapitanie, patrol wyruszył w obchód.

- Od nich właśnie zaczniemy - odparł Bernardito, ocierając połą klingę swej szpady. - Musimy to zrobić tak, by tamci z wody nic nie zauważyli. Gdy tylko skończymy z patrolem, uderzycie na szałas ze śpiącymi. Mają się obudzić dopiero w piekle!

Strażnik na wieży patrzył za oddalającym się patrolem. Trzech ludzi przeszło wzdłuż tylnej strony kraala i skręciło w przesiekę, wiodącą do zatoki... W tym momencie krzaki zakołysały się gwałtownie, widocznie któryś z patrolu potknął się w mroku...

- Maks - zwrócił się strażnik do swego towarzysza - popatrz, przyjechały chłopaki z „Glorii”. Plecione wrota kraala otworzyły się wpuszczając marynarzy z „Glorii”. Nagle ostry świst przeciął powietrze. Pierwszy strażnik osłupiał.

- Maks, co się z tobą dzieje? - zawołał. - O, do diabła...

W gardle Maksa tkwiła opierzona strzała. W następnej sekundzie i jego towarzysz, upuściwszy karabin, zawisł na poręczy pomostu. Celna strzała trafiła dokładnie między łopatki.

Skończywszy z obserwatorami na obu wieżach, czarni wojownicy Bernardita przeskoczyli palisadę. W blasku ognisk toczyła się zażarta walka przed wszystkimi pięcioma szałasami. Uprzedzeni zawczasu niewolnicy czekali w pogotowiu i gdy tylko sprzątnięto strażników na wieżach, kilkudziesięciu Czarnych zaatakowało marynarzy z „Glorii”. W walce brali udział nie tylko mężczyźni. Kobiety murzyńskie z furią rzuciły się na strażników i dozorców. Z ostatniej z brzegu chaty wybiegł nagi kapitan Hatchinson i od razu wpadł w ręce rozwścieczonych kobiet z plemienia Bakongo. Zawlokły go, półżywego, do kotłów i wrzuciły do wrzącej jęczmiennej kaszy...

Bosman Brown siedział przy ognisku, którego blask oświetlał wejście do szałasów ze śpiącą

zmianą, i wsłuchiwał się w hałasy dochodzące z głębi kraala. Wrota pozostały uchylone, straż zewnętrzna też weszła do obozu. Cóż oni tak długo marudzą z tymi babami?

Brown podniósł się i poszedł zobaczyć, co się tam dzieje. Nie zdążył jednak zrobić nawet dziesięciu kroków, gdy silne uderzenie drągiem powaliło go na ziemię. Tymczasem Anthony i dwóch czarnych wojowników, wyłamawszy tylną ściankę szałas, w którym spała straż, wdarli się do środka...

Po chwili rozległ się w ciszy gwizd. To Bernardito zwoływał swych towarzyszy. Zebrawszy całą broń zabitych, Anthony i obaj Murzyni przeskoczyli palisadę i znaleźli się w obozie.

Tu już wszystko ucichło. Nguru, Toopi i Majni-Mfumu starali się uspokoić wzburzone kobiety. Anthony natknął się na ciała Tuaregów-nadzorców i zobaczył nogi kapitana wystające z kotła.

Teraz Bernardito podzielił czarnych wojowników na trzy oddziały. Trzydziestu ludzi pod wodzą Nguru pospieszyło w kierunku chaty na wyspie, dwa pozostałe oddziały, prowadzone przez Anthony'ego i Majni-Mfumu, ruszyły w stronę zatoki. Część Murzynów z tych dwu oddziałów włożyła kapelusze i bluzy marynarskie. „Konwojowali” oni do łodzi swych uzbrojonych towarzyszy, którzy poprzykrywali głowy liśćmi palmowymi i kobiecymi szmatkami. Bernardito kazał im udawać pochód wystraszonych, milczących niewolnic.

Bernardito wyszedł ostatni i przymknął wrota. Uzbrojeni wojownicy w milczeniu zajęli miejsce w łodziach. Na jednej z nich był już Anthony, Bernardito wskoczył do drugiej. Wiosła z pluskiem pogrążyły się w wodę.

Z mostka „Glorii” powitał ich ochryply dyszkant:

- Gdzieście się podziewali tyle czasu, psia wasza mać? Czy w obozie wszystko w porządku?
- Wszystko w porządku, kapitanie - odpowiedział z ciemności spokojny głos Bernardita. - Wieziemy wesółych gości... Chłopaki będą zadowolone!
- Ty wy, Johnson? - zawołał Wilson przechyliwszy się przez poręcz.

W tym momencie gdzieś z daleka dobiegł przeciągły, złowieszczy krzyk sowy. Powtórzył się trzykrotnie. To Nguru sygnalizował, że jego wojownicy otoczyli już chatę O'Heary'ego.

- Tak, to ja, kapitanie - odparł Bernardito wstępując na trap dziobowy. - Zaraz wejść na górę, przynoszę doskonałą nowinę.

Równocześnie druga łódź przybiła do trapu rufowego. Zaciekawieni wachtowi skupili się przy burcie. Nagle z łodzi gruchnęła bezładna salwa karabinowa. Kapitan Wilson i drugi oficer wachtowy runęli na mostek. W tejże chwili jakiś szary cień przemknął po trapie i z głuchym pomrukiem rzucił się na marynarzy, siejąc spustoszenie jak wilk, co wdarł się do owczarni. A po obu trapach już gnały w górę czarne, gibkie postacie.

Zgasła rozbita kulą latarnia. W nieprzejrzanym ciemnościach toczyła się zażarta walka. Carnero migotał się jak piekielna furia.

- Anthony! - zagrział naraz głos Bernardita. - Do mnie!

Anthony wyrwał się z największego gąszczy bitwy i przeskakując przez leżące ciała podbiegł do ciemnej postaci u burty. Bernardito stał ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Był najzupełniej spokojny.

- To trzydziesty dziewiąty abordaż w moim życiu - powiedział do młodego człowieka - i jak się zdaje, wcale udany. W tej chwili walka doszła do tego punktu, kiedy nie można już i nie trzeba nią kierować. Niech się pan tam nie pcha, Murzyni sami sobie poradzą. Trzeba natomiast pilnować łodzi, by nikt z wrogów nie uszedł z życiem. Niech skaczą do wody. Tam już rekiny i krokodyle zatroszczą się o ich dalszy los.

Czarni wojownicy otwarli tymczasem luk kubryka. Rozkład pomieszczeń okrętowych był im doskonale znany. W kubryku jeszcze paliła się lampa; dwa stoły zastawione były butelkami i kubkami, pijani marynarze leżeli na kojach. Część z nich jednak zdążyła już otrzeźwieć i teraz miotła się szukając broni. Carnero wpadła do kubryka razem z rozjuszonymi wojownikami Majni-Mfumu i przeskakując stół wywrócił lampę. Rozlana oliwa buchnęła

plamieniem. Zapaliła się jakaś koja, ogień przerzucił się na ściany... Pochłonięci walką ludzie nie zwracali nawet na to uwagi. Dopiero gdy ostatni marynarz wyzionął ducha i płomień sięgał już pułapu, Majni-Mfumu kazał swym ludziom uciekać z płonącego kubryka. W końcu i Bernardito zobaczył iskry i płomień wydobywające się z luku.

- Stój! - krzyknął takim głosem, że cały okręt zadrżał. - Anthony, rzucić wszystko i gasić pożar! Musimy ratować okręt.

Ogień przerzucił się do salonu. Zaczęły się tlić deski pokładu. W blasku pożaru Bernardito zobaczył nagle w wodzie dokoła okrętu dziesiątki czarnych kędzierzawych głów. Po trapach, łańcuchach kotwicznych i linach wspinali się na pokład mężczyźni, kobiety, starsze dzieci. Ich liczba rosła z każdą chwilą. Anthony ze zdumieniem obserwował ten dziwny atak na okręt i wreszcie z lamentu kobiet domyślił się, o co chodzi.

- Kapitanie - zawołał - ktoś puścił pogłoskę, że okręt odpływa. Prawie cały obóz rzucił się do morza, bojąc się zostać na przeklętej wyspie!

- Dać im wiadra, niech podają wodę. Ustawić ludzi w szeregu!

Ogień ogarnął już mostek. Setki czarnych rąk szybko podawały wiadra z wodą. Poszły w ruch bosaki i siekiery. Na pokładzie pożar został wkrótce ugaszony, lecz płomień buszowały wokół otwartego luku wiodącego do kubryka. Nagle z dołu dobiegło ochryple, żalodne wycie. Bernardito zdarł z zabitego marynarza płaszcz z grubego płótna żaglowego, narzucił na głowę kapiszon, kazał oblać się kilkoma wiadrami wody i przez ziejącą ogniem gardziel luku zbiegł po trapie na dół.

W kubryku było ciemno od dymu. Bernardito potknął się o stół, butelki potoczyły się z brzękiem na ziemię. W tej chwili usłyszał skowyt pod nogami - nachylił się i w ciemności namacał twardą, ostrą sierść Carnero.

Jednym uderzeniem żelaznego łomu kapitan wybił okno. Podsycone dopływem świeżego powietrza płomień buchnęły z nową siłą. Runął drewniany trap prowadzący do luku. W kubryku było gorąco jak w rozpalonym piecu. Bernardito czuł, że maści mu się w głowie. Ale już Anthony opuścił sznurową drabinę i sam skoczył na pomoc kapitanowi. Razem dźwignęli potężne cielsko Carnero i owiązali giętką liną. Ludzie stojący u góry wyciągnęli rannego i poparzonego psa, a następnie i obaj mężczyźni wydostali się z luku. Po chwili ogień w kubryku również został ugaszony.

Odpocząwszy nieco Bernardito obszedł cały okręt. Pożar nie wyrządził aż takich szkód, których nie dałoby się naprawić, jednakże remont wymagał co najmniej dwóch, trzech miesięcy czasu. Nowy kapitan okrętu zwrócił się do murzyńskiego wodza Majni-Mfumu:

- Zbierz swoich ludzi na rufie, chcę im powiedzieć parę słów.

Gdy około stu Murzynów zebrało się na tylnym kasztelu, a ze dwudziestu wojowników usadowiło się na rejach bezanmasztu, kapitan wszedł na beczkę. Młody wódz plemienia, Majni-Mfumu, stanął obok niego. Anthony przyniósł latarnię i w jej świetle wszyscy ujrzeli siwego mężczyznę w spalonym płaszczu, z czarną opaską na twarzy. Zapadła cisza.

- Wojownicy sławnego plemienia Bakongo, synowie Basundi Majumbe, Batoka i innych plemion świętego Konga! - zaczął kapitan, Anthony zaś natychmiast tłumaczył jego słowa na język kishi-kongo. - Walczyliśmy i zwyciężyli, albowiem działaliśmy zgodnie i każdy robił to, co mu było nakazane. Ale to dopiero połowa. Teraz trzeba naprawić okręt i odpłynąć z wyspy. Odwiozę was do waszego kraju. Jeśli zostaniemy tutaj, przyjdą nowe okręty z armatami i biali żołnierze znów uczynią z was niewolników. Kto z was tego pragnie, wojownicy?

Odpowiedziały mu przeczące okrzyki. Bernardito poczekał, aż umilkną, i mówił dalej:

- Nauczę was, jak się naprawia okręt, ale będziecie musieli pracować szybciej, niż pracowaliście wczoraj przy kopaniu, oszukani przez handlarza niewolników O'Heary'ego. Tu już nie idzie o paczkę tytoniu, teraz wasza wolność zależy od pracy waszych rąk. Czy zrozumieliście mnie, moje dzieci?

Przez tłum czarnych przebiegł ożywiony gwar.

- Wiedźcie jednak, że jestem surowym i wymagającym ojcem. Mam sześciu wypróbowanych przyjaciół pochodzących z waszych plemion. To moi najstarsi synowie: Nguru, Toopi, Ngombu, Ngano, Timbu i Nori. Młody wódz Majni-Mfumu i oni będą wami kierować. Kto nie będzie słuchał ich rozkazów, ten nie wróci nad rzekę Kongo. Trzy razy odmieni się księżyc, nim okręt będzie mógł podnieść żagle. Spytaj swoich wojowników, Majni-Mfumu, czy wszyscy zrozumieli moje słowa.

- Mów dalej, ojcze - rzekł młody wódz. - Jesteś przyjacielem czarnych ludzi. Każda twoja rada będzie rozkazem dla Bakongo.

- Niech więc teraz ci wszyscy, co w nierozumnym popłochu przyплыnęli na okręt, wsiadają do łodzi i wracają na brzeg. Każ swoim wojownikom, aby zburzyli obóz i zbudowali sobie takie same chaty, jakie budujecie w swoim kraju. A jutro zabieramy się do naprawy okrętu, nie wolno odkładać tej roboty!

- Patrz, ojcze! - zawołał Majni-Mfumu wskazując w stronę wąwozu.

Daleko, nad lasem, rozpalala się na niebie czerwona luna. Jej odbłask zlewał się z pierwszym brzaskiem poranka. To płonęła chata na wyspie.

Na zboczu góry, wśród leśnych zarośli, ukazał się oddział wojowników schodzących ścieżką w dół. Na przedzie szedł Nguru z workiem na ramieniu. Kobiety na brzegu powitały wracających głośnym krzykiem radości.

Trzy ciężkie łodzie z „Glorii” przewiozły już na brzeg Murzynów z okrętu. W promieniach wschodzącego słońca czarni w uniesieniu burzyli wieże strażnicze, szałas, wyrwali z ziemi koły palisady, łamali wrota. Majni-Mfumu zameldował kapitanowi, że nocą ludzie, płynący do okrętu, napotkali w wodzie i utopili kilku marynarzy, którzy próbowali uciekać w pław. Ale i wśród Murzynów było sporo ofiar - kilkadziesiąt osób utonęło lub też została pożartych przez morskie drapieżniki.

Oddział Nguru zatrzymał się na brzegu zatoki. Czarny olbrzym wsiadł do łodzi i rzucił na dno swój ciężki worek. Nguru był lekko ranny - trafiła go kula z okna chaty. Bernardito czekał na niego przy trapie „Glorii”. Poklepał go po ramieniu i spojrzał pytająco na ciężki worek. Czarny wojownik z tryumfem wytrząsnął zawartość worka - na pokład wysypało się ze stukiem dziesięć ludzkich głów... Nowy kapitan „Glorii” odwrócił się i ku wielkiemu rozczarowaniu Nguru, który miał zamiar wystawić swe trofea na widok publiczny, kazał je wyrzucić za burtę.

Kiedy worek z zawartością pogrążył się w głębinie, Bernardito zamienił znaczące spojrzenie z Anthonym i westchnął:

- Ci źli Murzyni jednak nie potrafili ocenić dobrego serca pana O'Heary, jego wzniosłych nauk i paczki tytoniu!...

## 6

Dla Dorotei i Charlesa skończyły się dni przymusowego siedzenia w pieczarze. Ale były one tak niezwykle, owe trwożne dni spędzane w półmroku rozjaśnionym tylko czerwonym żarem tlejącego węgla!

Chłopczyk, wychowany przez swego opiekuna w surowej powściągliwości, nie wiedział, co znaczy wylewność uczuć. Z początku nieśmiało i jakby ze wstydem wypowiadał słowa „mama”. Musiał zwalczać w sobie jakiś ogromny wewnętrzny opór, doznawał uczucia skrępowania a nawet lęku. Potem mu to minęło, i to bardzo szybko. Zbyt wiele było w matce serdecznego ciepła i gorącej czułości. Upragnione słowo coraz częściej padało z ust chłopca.



Dorotea uważała, by nie dotknąć, nie urazić dziecięcej wstydlivosti syna, sama bowiem знаła dobrze to uczucie. Nie słowa, lecz oczy jej mówiły o bezbrzeżnej miłości. Nic też nie uszło jej czujnemu matczynemu oku. Od razu się zorientowała, że syn był w rękach troskliwego i mądrego opiekuna. Po pierwszym wybuchu macierzyńskiego uczucia znalazła w sobie dość siły, by oprzeć się zazdrości wobec wychowawcy swego dziecka, i prawie w niczym nie naruszała dotychczasowego trybu życia chłopczyka. Potrafiła zająć pomiędzy nimi dwoma jakieś swoje, własne miejsce, niczego nie żądając prócz prawa do nierozłączania się z dzieckiem. Gdy Bernardito, rzadko zresztą zjawiający się w pieczarze, wysłał chłopca z jakimś poleceniem, oczy kobiety przybierały wyraz oczu ptaka, który patrzy, jak myśliwy wybiera mu pisklęta z gniazda, i stary pirat starał się tylko w ostateczności korzystać z usług swego małego pomocnika.

Bernardito zauważył, że ani jedno naczynie, ani jeden przedmiot w pieczarze nie został przestawiony na inne miejsce. Wszystko natomiast było starannie wyczyszczone i nakryte. Cała odzież kapitana, rozwieszona na kołkach, była wyreperowana i wysuszona. Dla niego i brata Dorotea uszyła wygodne skórzane obuwie, podczas gdy Charlie nadal paradował w trochę niezgrabnych butach roboty kapitana. Nic nie uszło uwagi Bernardita. I owego dnia, gdy siedząc na drzewie w napięciu obserwowali obóz niewolników, nieoczekiwanie dla Anthony'ego kapitan mruknął do siebie:

- To nadzwyczajna kobieta ta Dorotea Cenni. A Giacomo jest po prostu skończonym osłem...

Anthony spojrział na niego ze zdumieniem, lecz Bernardito gryzł już jakieś suche źdźbło i z wielką uwagą oglądał kurek pistoletu.

Pozostając sama z Charliem Dorotea starała się zdławić w sobie niepokój o wynik walk na wyspie i o los brata. Czystym głosem nuciła cichutko dziecięce piosenki murzyńskie, szyła i naprawiała odzież, a chłopiec leżał obok na skórze, nie odrywając oczu od matki. W takich chwilach nachodziły go jakieś niejasne, odległe wspomnienia. Z pamięci wyłaniał się jakby jakiś sen o zielonej łączce przed dużym domem z dwiema basztami... Ale potem wszystko się zamazywało, przypominał sobie straszne bajki Bernardita i zaczynał opowiadać je matce. Opowiedział jej wszystko: o skarbach w pieczarze i nocnych bojach pirackich okrętów, o groźnym Jednookim Diablu i o zimnych północnych królestwach, o rycerzach i zbrodniarzach.

Okazało się, że matka zna wiele z tych bajek, nawet bajkę o podstępny Leopardzie, tylko że nie opowiada ich, a o Leopardzie nie chce nawet słuchać. Znała też inne bajki - o czarnych ludziach nad wielką rzeką, o ich groźnych bóstwach i mściwych kapłanach, o królach ze złotymi obręczami na czole i wspaniałych czarnych wojownikach na wąskich łodziach z wysokimi dziobami, mknących po wodzie szerokich rzek. Opowiadała o żyrafach, antylopach, hipopotamach, o lwach i ogromnych żółwiach, o przedziwnych ptakach i białym słoniem, do którego modlą się kapłani plemienia Bakongo... Szmer strumienia w tunelu mieszał się z głosem matki i chłopiec zasypiał położywszy głowę na jej kolanach. Ciepła dłoń ostrożnie głaskała jego twarz. I długo jeszcze dźwięczała murzyńska piosenka... Głos matki oddalał się, roztopiał w świetlistej niebieskości i wreszcie zupełnie się rozplywał w sennym niebycie... Jakże szczęśliwe były te długie godziny spędzane w półmroku pieczary!

Bernardito wiódł Doroteę i Charlesa w stronę zatoki. Nie trzeba się już było skradać, kryć i mówić szeptem. Dźwięczny głos dziecka rozlegał się po lesie. Chłopiec biegł na przedzie, Bernardito zaś pomagał Dorotei przechodzić przez zwalone pnie i kamienne osypiska. Dorotea miała na sobie jakąś przedziwną szatę. Bernardito przyniósł jej z kajuty kapitana „Glorii” kilka niebieskich jedwabnych kotar. Była to jedyna lekka tkanina, jaką mógł znaleźć na okręcie. Z tych kotar Dorotea uszyła sobie coś w rodzaju burnusa, jakie noszą kobiety niektórych afrykańskich plemion. Na nogi, jak starożytna Spartanka, włożyła sandały własnej

roboty. Włosy spięła grzebieniem z kości i otulona w swój burnus wyszła na świat boży razem z synem i wysokim marynarzem, który całymi latami chował swój trójganiasty kapelusz i stary marynarski kaftan na podobnie uroczystą okazję.

Po drodze do zatoki Dorotea opowiedziała kapitanowi, że mister Fred zrzekł się swej posiadłości rodowej i tytułu na rzecz Charlesa, a sam pod nazwiskiem Alfreda Murraya wyjechał do Ameryki. Dzięki tym okolicznościom Grelle został panem Chancefieldu.

- To znaczy, że przed nami biegnie w podskokach nie kto inny, tylko najprawdziwszy jaśnie oświecony wicehrabia Chancefieldu? - rzekł w zamyśleniu Bernardito. - Fred postąpił bardzo rozumnie. Wygrał na czasie, uratował kobietę i uszedł cało ze szponów Leoparda. Rzekoma śmierć dziecka rozwiązała wtedy ręce Grellemu.

- Nie chcę o nim mówić - rzekła cicho Dorotea.

Przed oczami idących ukazała się rozległa zatoka z wyrębami leśnymi na wybrzeżu. Wrzała tu praca. Budowano chaty, ojcowie rodzin zbierali swych domowników i sieroty pod dachem nowych siedzib. „Gloria” stała tuż przy brzegu. Okręt miał nader żalony wygląd. W błękitnej wodzie zatoki odbijał się szerniały kadłub, połamane maszty, zrujnowany mostek kapitański i splątane liny. Radosne okrzyki powitały kapitana i jego towarzyszkę. Anthony wymachiwał kapeluszem stojąc przy burcie okrętu. Wśród ogólnego entuzjazmu Bernardito, Dorotea i Charles weszli na pokład „Glorii”.

- Nasza chata na wyspie spłonęła - rzekł Bernardito. - Zanim okręt zostanie odremontowany, będzie się pani musiała zadowolić namiotem na brzegu, seniora.

- Kapitanie Bernardito - zaczął Anthony i urwał natychmiast, pochwyciwwszy ostrzegawcze spojrzenie korsarza. Kapitan prosił, by w obecności dziecka nie nazywać go prawdziwym imieniem.

Nagrobny napis na skale od dawna już porósł mchem i Charlie nie wiedział o jego istnieniu. Dopiero ostatnio kapitan począł się zwracać do chłopca po imieniu, nie obawiając się już, że słowo „Charles” obudzi w nim jakieś wspomnienia...

Anthony poczerwieniał napotkawszy pełen wyrzutu wzrok kapitana, ale było już za późno! Chłopiec odwrócił się gwałtownie i bacznie spojrzał na „wujka Tobby”.

- Charlie - niepewnym głosem rzekł stary żeglarz - pamiętasz, przyrzekłeś mi, że nie będziesz się bał, gdyby jednooki kapitan zjawił się na wyspie.

- Pamiętam - odparł chłopiec - i wcale się nie boję. Wiesz, wujku Tobby, ja już dawno się domyśliłem, że opowiadałeś mi o sobie, tylko nie chciałem ci tego mówić. Mamo, nasz wujek Tobby to właśnie Jednooki Diabeł! Rozumiesz, mamó?

- Tak, mój drogi seniorito, przejrzałeś moją tajemnicę. A czy ty wiesz, że stary Bernardito ma synka?

- Wiem! - radośnie zawołał chłopiec i rzucił się kapitanowi na szyję. - Czemu tak długo ukrywałeś to przede mną, ojczu?

Bernardito osłupiał. Nigdy by nie przypuszczał, że chłopiec tak opacznie zrozumie jego słowa. A Charles, tuląc się do jego piersi, mówił spieszonym, rwącym się głosem.

- Wszystko rozumiem, ojczu, dawno już wszystko zrozumiałem! Ludzie nienawidzili ciebie i uważali za złoczyńcę. Dlatego milczałeś i ukrywałeś przede mną prawdę.

Głos chłopca drżał, łzy toczyły się po jego policzkach spadając na kaftan Bernardita, Kapitan trzymał go w mocnym uścisku i nie miał odwagi się odezwać. Szukał wzrokiem Dorotei, a w jego jedynym oku malowała się męka. Anthony, nachylony ku siostrze, szeptał jej coś szybko do ucha. Kobieta ze zdecydowaniem spojrzała w twarz kapitanowi i dała mu znak oczami, by nie wyprowadzał małego z błędu...

...W godzinę potem, gdy Charles nabiegawszy się po okręcie zmieniał wraz z Anthonym opatrunek ciężko rannemu i poparzonemu Carnero, Bernardito wszedł do kajuty kapitańskiej, by się rozmówić z Doroteą. Stał przed nią z uroczystą miną, wyprostowany, zapięty na ostatni guzik.

- Seniora - zaczął po chwili milczenia - chłopiec jest nad wiek rozwinięty i bardzo mądry. Doskonale rozumie, że ojciec, matka i ich dziecko stanowią pewną wspólnotę, to znaczy rodzinę. Pani i jej brat uznaliście za wskazane utwierdzić go w tym błogim złudzeniu, dającym mu tyle szczęścia. Nakłada to jednak na panią pewien obowiązek. Będzie pani musiała grać nadal tę rolę... Trudno mi wypowiedzieć to właściwe słowo, zdaję sobie bowiem sprawę, że w moim wieku...

Dorotea podniosła na kapitana swe smutne oczy.

- Senior, jestem prostą, samotną kobietą. Zerwałam z człowiekiem, który naigrywając się z mej naiwności nazywał mnie swą żoną. A teraz mojej skromnej osobie miałaby przypaść rola żony tak sławnego człowieka jak pan? Wiem, że czekają pana jeszcze nowe wielkie czyny. Nawet pozorna rola pańskiej żony jest dla mnie zbyt odpowiedzialna, jakkolwiek pragnęłabym bardzo okazać się jej godna.

Bernardito przyklęknął i z czcią podniósł rękę kobiety do ust.

- Czy mogę mieć nadzieję, że z moim brzemieniem przeżyć zasłużę kiedyś na pani miłość, seniora?

- Moje serce należy do pana od chwili, w której ujrzałam mego syna takim, jakim go pan wychował, don Bernardito.

- Doroteo, gdzieś w świecie żyje jeszcze jeden chłopczyk bez matki. W jego żyłach płynie moja krew. Stałe grozi mu niebezpieczeństwo. Moi wrogowie nasylali morderców na sześciolatek dziecko. Jeśli Bóg ulituje się nad nim i pozwoli nam się spotkać, czy będzie pani mogła... bez uprzedzeń przygarnąć sierotę?

- Czy będę mogła? Mówię panu jak najszczerzej, senior, że byłabym dumna i szczęśliwa, gdybym zdołała pozyskać, miłość pańskiego syna. Przysięgam, że nie robiłabym nigdy różnicy pomiędzy Charliem i Diego.

- Niech będzie błogosławiona chwila, w której cię spotkałem, piękna senioro. Błogosławione niech będą morze i wiatr, które przywiodły wasz okręt do skalistych wybrzeży tej wyspy!... Masz słuszość, jestem jeszcze silny i potrafię walczyć. Nie sądzę, by mi było pisane żyć tak długo, aż się zestarzeję i zniedołężnieję. Lecz do ostatniego mego tchnienia będę cię niósł przez życie na rękach, Doroteo!

Wyszli na pokład. Wierzchołek Skalistego Szczytu niknął w niebie. W głębokich rozpadlinach skalnych leżały jeszcze resztki śniegu, lecz ciemne zbocza gór mieniły się w promieniach słońca wszystkimi barwami kamienia. Morze było roziskrzone, jakby ktoś rozsypał w wodzie tysiące kryształków.

Charlie, biegający po pokładzie, przypadł do matki, tuląc się do jej burnusa.

- Miałabym ochotę przejść się po wyspie - rzekła kobieta.

Wysiedli z łodzi i poszli w góry. Chłopczyk biegł naprzód po znajomych ścieżkach, to znów wracał do starszych. Bernardito opowiadał Dorotei o trudnych latach samotności, o surowych warunkach życia i wieloletniej, uporczywej walce z przyrodą. Dorotea podziwiała ogrom doświadczenia Bernardita.

Stanąwszy u stóp Skalistego Szczytu wszyscy troje patrzyli na zachód słońca. Żłocista kula na purpurowym tle nieba, przecięta w pół linią horyzontu, z wolna pogrążyła się w morzu. Woda i obłoki zlały się w jedno. Niebo zdawało się być ognistym morzem, morze - gorejącymi niebiosami. Bajecznie piękny zielony promień, ostatni promień zachodzącego słońca, olśniewający i niepowtarzalny, mignął i zgasł na ciemniejącym nieboskłonie.

## **Latający Holender**

### **1**

Upalne majowe południe zdawało się trwać bez końca. Miało się wrażenie, że bezlitosne słońce stało w miejscu i nie ma zamiaru przesunąć się na niebie. Pokłady paru okrętów stojących na zewnętrznej redzie portu kapsztadzkiego były zupełnie puste. Ich załogi przebywały bądź na brzegu, bądź też szukały schronienia przed skwarem w dolnych pomieszczeniach okrętowych.

Signor Giovanni Caracciola, przystojny mężczyzna w lekkiej, cieniutkiej koszuli i błękitnych pantalonach ściągniętych u kolan wstążkami, kołysał się w fotelu na biegunach. Tent z płótna żaglowego, rozpięty nad pokładem, chronił przed prostopadłymi promieniami słońca, stojący zaś za fotelem Murzyn chłodził swego pana ogromnym wachlarzem ze strusich piór. Odpoczywający signor drzemał zmorzony upałem i dwiema szklaneczkami wina. Niekiedy otwierał oczy i z lubością przyglądał się srebrnym sprzączkom na swych trzewikach. Fason tych prześlicznych sprzączek, roboty mistrza murzyńskiego, na pewno będą jeszcze naśladowali modnisie Bultonu!...

Słuch Caraccioli pieściły same łagodne dźwięki - brzęczenie owadów pod tentem, cichy plusk wody za burtą i prawie nieuchwytny szmer wachlarza. Myśli jego płynęły wolno i leniwie, jak przystoi myślom solidnego dżentelmena w porze poobiedniej sjesty. Signor Caracciola niedawno przekroczył trzydziestkę i od pewnego czasu - co mu się nigdy przedtem nie zdarzało - poczęły go nawiedzać myśli o zbliżającej się starości. Kiedy, na jakim rozstaju życiowych dróg podkradnie się ku niemu starcza niemoc? Co uzbiera do tego czasu i zachowa w skarbnicy pamięci? Wreszcie o ile zer trzeba powiększyć swoje konto bankowe, aby towarzysze starości z należnym szacunkiem spełniali każde jego życzenie? Te senne myśli zawiodły go tak daleko, że z nieprzyjemną wyrazistością ujrzał godzinę czekającego go spotkania z signorą kostuchą. Caracciola skrzywił, otworzył oczy i sięgnął po tabakierkę. Ze świstem wciągnął w nozdrza „dżentelmeński niuch”, kichnął ogłuszająco, otarł łzę i otrząsnął się z senności.

„Trzeba, póki czas, robić pieniądze!” To była ostateczna i jedyna konkluzja wszystkich tych rozmyślań Caraccioli, kapitana „Fortuny” i dowódcy wyprawy trzech okrętów Grellego do Konga.

Byłoby wielką niewdzięcznością ze strony kapitana, gdyby narzekał na los. Bóstwa niebiańskie obdarzyły go powierzchownością, której mógłby mu pozazdrościć każdy tenor operowy, ziemskie zaś bóstwa nie pozostawały wobec niej obojętne. Było na przykład rzeczą wielce wątpliwą, czy wicehrabia poruczyłyby mu tak wysoką funkcję, gdyby nie wstawiennictwo Ellen. Wicehrabia ulegał naleganiom małżonki i nie tylko wybaczył swemu agentowi niepowodzenie w Pireusie, lecz powierzył mu mostek kapitański najlepszego z trzech szkunerów wraz z dowództwem całej ekspedycji. Co prawda, sytuacja Caraccioli w tym rejsie nie była najprzyjemniejsza. Amerykański Irlandczyk O'Heary był nieporównanie bardziej doświadczony od dowódcy w kwestii polowania na Czarnych; kapitanowie Wilson i Hatchinson byli lepszymi żeglarzami; wreszcie opinia tajnego szpiega mister Rilanda i niestrudzonego donosiciela, która przylgnęła do młodego kapitana, jakkolwiek kazała go się bać, nie budziła bynajmniej sympatii do Włocha nawet wśród załóg niewolniczych statków... Mimo długich lat służby u wicehrabiego Giovanni Caracciola do tej pory nie mógł przekroczyć progu gabinetu myśliwskiego w Chancefield bez przykrego uczucia skrępowania

i niepewności. Sama zaś myśl o powrocie do owego gabinetu z raportem o jakimś niepowodzeniu przejmowała go chłodem. Byłoby to coś najokropniejszego, co mogłoby go spotkać!

Signor Caracciola był miły w obejściu i nie pozbawiony dowcipu. Jak przystało na zaufanego sir Fredericka, miał na tyle giętki język, by nie wypowiadać tego, co myśli. Ta umiejętność udawania i kłamania, w której młody Włoch celował, została należycie oceniona przez jego patrona od razu przy pierwszym spotkaniu. Miało ono miejsce w porcie bultońskim, gdzie dwudziestotrzyletni pomocnik szturmana Giovanni Caracciola był zmuszony opuścić swój okręt z powodu głupiej sakiewki; kapitan okrętu dopatrywał się niewątpliwego podobieństwa między sakiewką, jaka mu właśnie zginęła, a tą, którą Giovanni wyjął ze swej kieszeni. W rezultacie wynikłego stąd konfliktu okręt odpłynął bez pomocnika szturmana, pozostawiając go na bultońskiej mieliźnie. Widocznie jednak informacje, jakich zasięgał o nim mister Crag, były zadowalające, gdyż wkrótce przedstawił on Caracciolę wysokiemu protektorowi... Od tej pory niedoszły szturman nie miał więcej potrzeby okazywać roztargnienia, jeśli idzie o cudze sakiewki, kolekcjonować cudzych przyborów toaletowych lub rozstawać się przed kontuarem tawerny z szarfą i kamizelką, gdy zbyt mocno dokuczyło mu pragnienie.

W ciągu całego życia Caracciola nie przeczytał chyba nawet stu drukowanych stronic, chętnie natomiast wysłuchiwał budzących grozę opowieści marynarzy, w których czysta prawda mieszała się z barwną fantazją niby woda z wódką w szkockim toddy. Te właśnie bajdy kształtowały wyobraźnię Caraccioli i wzbogacały jego życiowe doświadczenie.

Signor Giovanni posiadał ponadto pewną cechę, dla niego samego niepojętą, która go przyprawiała o niemały, choć starannie ukrywany niepokój. Mianowicie od wczesnej młodości miewał napady dziwnych humorów pod wpływem księżyca. W ciche jasne noce, gdy świecił księżyc w pełni, a na wodzie migotała srebrna poświata, Giovanni wpadał w melancholię, z którą nie miał sił walczyć. Bał się wtedy samotności, nienawidził swych wspomnień i z absolutną obojętnością odnosił się do swych obowiązków, pieniędzy i ziemskich uciech.

...Jeszcze gorzało nad horyzontem pomarańczowe słońce, gdy na redzie ukazała się łódź zmierzająca w stronę „Fortuny”. Na rufie łodzi, pod kolorowym baldachimem, siedzieli dwaj dżentelmeni w słomkowych kapeluszach. Przy wiosłach widać było dwóch Murzynów, trzeci stał przy sterze.

Caracciola z daleka poznał gości. Byli to właściciele niedawno założonych kopalni diamentów - Anglik mister Ivens Brandon i jego wspólnik Holender mijnheer Julius van Ardenfreuden. Na znak kapitana bosman „Fortuny”, gruby Heamswell, z racji okrągłych oczu i szczeniastych wąsów przezywany Morsem, skinął na wiosłarzy, by płynęli ku rufie. Trap dziobowy? Zbyt wiele honoru!

Bosman powitał przybyłych u trapu rufowego i zaprowadził ich na pokład. Kapitan wstał z fotela, przybrał uprzejmą minę i kazał przynieść krzesła i lekki stolik. Brandon oparł nogi w białych pończochach na podnóżku stolika, mijnheer Julius van Ardenfreuden padł ledwo żywy na krzesło, podstawiając okrągłą czerwoną twarz pod wachlarz ze strusich piór.

- Co za piekielny upał! - jęknął. - Usmażę się dziś żywcem na tym „jesiennym” majowym słońcu! Niech diabli wezmą ten cały kontynent razem z Murzynami, moskitami i krokodylami! Pomyśleć tylko, że są szczęśliwcy, którzy spokojnie popijają sobie piwo w Zaandam i nie mają naszych trosk ani naszych...

- ...diamentów! - dokończył za niego Caracciola. - Gorąco panom współczuję, lecz gdybym ja miał się kiedyś zająć wydobywaniem drogich kamieni, wolałbym je wydobywać wprost z cudzych safesów.

Wszyscy się roześmieli.

- Aby się mogły tam znaleźć, trzeba nieszczęsnych męczenników, a ten los przypadł właśnie mnie i panu Brandonowi w udziale. Nam znów, z kolei, potrzebne są robocze ręce. Czy

zastanowił się pan nad naszą propozycją, mister Caracciola?

- Panowie - odparł Caracciola - nie mogę się rozporządzać ludźmi znajdującymi się na pokładzie „Fortuny”. Ci Murzyni są własnością Kompanii Północnobrytyjskiej i przeznaczeni są do pracy na nowych plantacjach firmy.

- Daję panu ostatecznie po trzydzieści pięć funtów za każdego Murzyna. Jak na tutejsze stosunki to bardzo przyzwoita cena. Pańscy Murzyni są tego warci, bo to silni ludzie, o wiele silniejsi od tutejszych Hotentotów. Niech nam pan odstąpi dwieście sztuk, a firmę pan zawiadomi, że wyzdychali od chorób. To przecież często się z nimi zdarza. Jakaś mała epidemia na okręcie... Tyfus albo cholera. Wiem przecież, że ma ich pan aż nadto dużo. Siedem tysięcy funtów nie chodzi piechotą! Nie rozumiem pańskiego wahania.

- Czy panowie zamierzacie płacić gotówką?

- Jak pan sobie życzy, mister Caracciola. Może pan otrzymać całą należność w złocie, w czekach na konto pańskiego bankiera w Kapsztadzie, w drogich kamieniach według dzisiejszego kursu, w banknotach każdej waluty lub wreszcie w papierach wartościowych.

- Jeśli do tych siedmiu tysięcy dołoży pan jeszcze jakiś kamyczek, zastanowię się może nad pańską propozycją. Pieniądze będę musiał podzielić pomiędzy cztery osoby... Kamień zaś chciałbym... zachować dla siebie.

- Ażeby dziś jeszcze dobić interesu, gotów jestem pójść na to - wtrącił Brandon.

- Dobrze - zgodził się Holender. - Sądzę, że wczorajszy osiemnastokaratowy diament zadowoli pana Caracciolę. A więc możemy uważać tę rzecz za załatwioną. Chciałbym już jutro przenieść Murzynów do baraków. Ale to dopiero jedna sprawa, tak pomyślnie doprowadzona do końca na naszym małym zebraniu pod tym zacisznym tentem... Niech mi pan powie, mister Caracciola, jak długo pański okręt pozostaje jeszcze w porcie?

- Szkuner jest już prawie gotów do dalszej żeglugi. Lada dzień powinny wrócić jeszcze dwa okręty naszej ekspedycji, które już są nieco spóźnione. Załadujemy zakupione przeze mnie towary leżące na brzegu i opuszczamy Kapsztad. Remont powinien być ostatecznie zakończony za jakieś trzy tygodnie, tak że wyruszymy z portu około piętnastego, dwudziestego czerwca.

- Mister Caracciola, ja i pan Brandon chcemy panu zaproponować pewien bardzo dla pana korzystny interes. Pozostanie to wyłącznie między nami i nie będzie pan musiał z nikim dzielić się zyskiem. Mianowicie, możemy zatrudnić wszystkich Murzynów w naszych kopalniach, jak długo okręt będzie stał w Kapsztadzie. Ludzie próżnują i darmo jedzą chleb. A my ich trochę rozruszamy, oczywiście za zapłatą. Nasze warunki - piętnaście szylingów za tydzień, co w ciągu miesiąca da trzy funty za pracę każdego Murzyna. Wyżywienie bierzemy na siebie. Po naszej dzisiejszej transakcji pozostaje panu, o ile nam wiadomo, jeszcze dwustu pięćdziesięciu czarnych. Po miesiącu pańskie konto może się powiększyć o siedemset pięćdziesiąt funtów i to bez najmniejszych kłopotów i wydatków. Jeszcze nieźle pan zaoszczędzi na wyżywieniu dwustu pięćdziesięciu próżniaków. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, kapitanie?

- Czy mogą mi panowie zagwarantować dobre warunki dla Murzynów? Bo jeśli zamiast zdrowego i silnego bydła roboczego zwrócicie mi wynędzniałe szkapy, firma poniesie stratę.

- U nas niewolnicy mają doskonałe warunki - dach nad głową, dobre żarcie i picie, słomę do spania. Nawet o ich dusze troszczą się dwaj wielebni misjonarze. A praca wyjdzie tylko na zdrowie tym czarnym wałkoniom... A zatem umawiamy się, mister Caracciola, że jutro dostarczy pan całą partię do naszego kantoru. Znajduje się on o jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt mil stąd, na brzegu małej, zacisznej zatoki. Liczymy, że jutro o ósmej rano zobaczymy pański szkuner w zatoce naprzeciwko kantoru. Tylko z rana my, tutejsi męczennicy, możemy jeszcze oddychać, myśleć i pokazywać się na dworze. A więc do jutra, mister Caracciola!

Ładunek szkunera „Fortuna” - czterystu mężczyzn i pięćdziesiąt kobiet, wybranych przez

Caracciolę na sprzedaż do Ameryki - to był sam kwiat plemienia Bakongo. Handlarze niewolników z firmy Rilanda wybrali najzdrowszych i najsilniejszych mężczyzn, najpiękniejsze kobiety, celem sprzedaży na amerykańskich rynkach niewolniczych. Podczas pospiesznego sortowania niewolników pośród nocy w Kapsztadzie odebrali dzieci młodym matkom przeznaczonym do Ameryki, i załadowali na „Doroteę”, gdzie znajdowały się przeważnie starsze kobiety, które miały być wysłane na plantację na wyspie. Na „Dorotei” podniósł się taki krzyk, wystraszone dzieci, wrzucone do ładowni z obcymi kobietami, tak przeraźliwie wrzeszczały, że kapitan Hatchinson kazał czym prędzej zamknąć luki ładowni, pozostawiając uspokojenie osieroconych dzieci czarnym kobietom... Już przeszło miesiąc upłynął od tego czasu, a wciąż jeszcze matkom, zamkniętym w oddzielnej ładowni na „Fortunie”, za każdym skrzypnięciem okrętu zdawało się, że słyszą płacz uprowadzonych dzieci.

Teraz, o świcie nowego upalnego dnia, stojąc na mostku kapitańskim Caracciola wprowadził okręt do niedużej zatoki, na której brzegu, ukryty wśród przybrzeżnej zieleni, znajdował się kantor kopalni diamentów. Nieco dalej, otoczone pięknym ogrodzeniem, wznosiły się domy Brandona, van Ardenfreudena i nadzorcy robót.

Łodzie odwozły niewolników na brzeg, gdzie już czekali na nich angielscy, portugalscy i holenderscy konwojenci uzbrojeni w karabiny, z kijami i biczami w rękach. Towarzyszyło im ponadto kilka psów.

Mister Brandon ukazał się na werandzie swego domu, a mijnheer van Ardenfreuden, lekceważąc wszelkie konwenanse, wyszedł naprzeciw przybyłym w samej nocnej koszuli, uzupełniwszy ten strój pejcem używanym do konnej jazdy.

- Jest pan niezwykle punktualny, mister Caracciola. To zaleta prawdziwego kupca - powiedział Holender, gdy kapitan zeszedł na brzeg z ostatnią grupą Murzynów. - Pozwoli pan, że wpierw odbierzemy te dwie setki, przechodzące na naszą własność.

Mijnheer van Ardenfreuden i nadzorca bezceremonialnie zaglądali Murzynom w usta, oglądali im zęby, obmacywali mięśnie brzucha, klepali po plecach.

Kobiety stały w osobnej grupie. Sprzedaży kobiet w ogóle nie było w planie, miały one tylko przez pewien czas pracować w kopalni. Ale jedna z nich, młodzianka, smukła dziewczyna, zwróciła na siebie uwagę pana van Ardenfreudena.

Holender podszedł do Caraccioli, zdjął z palca złoty pierścień z dużym jasnym rubinem i niespostrzeżenie wcisnął go w rękę Włocha.

- Potrzebna mi jest właśnie pokojówka w domu - szepnął konfidencjonalnie.

- Ta już jest sprzedana - zełgał Caracciola. - - Za niedotrzymanie umowy będę musiał zapłacić odszkodowanie. Sto funtów, mijnheer.

- Pięćdziesiąt - rzucił Holender.

- Tu nie targ, mister Ardenfreuden. Siedemdziesiąt pięć. To moje ostatnie słowo.

- Łącznie z pierścieniem - przymilnie zniżył głos tamten.

- Pierścień to cały mój zarobek. Siedemdziesiąt pięć, albo zabieram ją z powrotem na okręt.

- Wykorzystuje pan moją słabość - westchnął Holender. - Człowiek to grzeszna istota i pozostaje nią nawet na trzydziestym stopniu południowej szerokości geograficznej!

„A niech to diabli, można było wydębić setkę - z żalem pomyślał kapitan. - Pospieszyłem się jak głupi smarkacz! Ale teraz już rozumiem, skąd te grube książeczki czekowe i ciężkie szkatułki, które wożą ze sobą Wilson i Hatchinson, a przede wszystkim szanowny mister Erwin Cyrus O'Heary. To przecież bajecznie intratna rzecz, a tumanić królików murzyńskich - też nie taka sztuka! Dlatego to kompania Rilanda rośnie jak pieczarka na końskim nawozie!”

Tymczasem dwustu niewolników wybranych przez właścicieli kopalni spędzono na jedno miejsce. Natychmiast podeszli nadzorcy z nożycami i brzytwami i w najbardziej bezceremonialny sposób zabrali się do strzyżenia Murzynów do gołej skóry.

- Po co oni to robią? - zaciekał się Caracciola.

- Po pierwsze wszyscy Czarni to urodzeni złodzieje. Chowają kamienie w kudłach, a bywały nawet wypadki, że połykali diamenty, aby wynosić je w ten swoisty sposób, co potem ułatwiało im ucieczkę. Po wtóre takich ostrzyżonych Murzynów łatwiej jest schwycić, gdy próbują ukryć się wśród dzikich plemion Hotentotów, Buszmenów, Zulusów lub też uciec na przygodnych okrętach. Wprowadziliśmy więc obowiązkowe strzyżenie dla naszych robotników. Poza tym to bardzo zdrowo.

- Dobrze, ci są sprzedani i może pan z nimi zrobić, co się panu podoba. Ale muszę pana uprzedzić, mijnheer, że moich dwustu mężczyzn i pięćdziesiąt kobiet, których odstępuję panu na miesiąc, musi wrócić na pokład „Fortuny” w takim stanie, w jakim ich pan w tej chwili widzi.

- No, no, nasza miła poranna rozmowa zaczyna niepotrzebnie przybierać ostry ton. Skąd te obawy, mister Caracciola? Dostanie pan z powrotem swoich czarnuchów zdrowych i odpasionych... Chodźmy teraz, w domu mister Brandona czekają na nas ze śniadaniem.

- Chciałbym jednak obejrzeć kopalnię.

- Naturalnie, signor, naturalnie. Pojedziemy tam powozem po śniadaniu. To dobre dziesięć mil.

Murzyni odeszli pod silnym konwojem. Na brzegu pozostała tylko smukła dziewczyna. Ze smutkiem patrzyła na długi pochód oddalających się wśród kurzawy, w otoczeniu łuf karabinowych i psów. Holender pejczem wskazał dziewczynie swój dom. Zrozumiała, że sprzedano ją temu różowemu grubasowi w dziwnym odzieniu, i z ponuro opuszczoną głową weszła na dziedziniec.

- Hamilkar! - zawołał idący za dziewczyną jej nowy pan.

Na tylny ganek domu wybiegł stary Murzyn w europejskim ubraniu.

- Umieścisz nową służącą w byłym alkierzyku Luizy - powiedział Holender wskazując na dziewczynę. - Miej na nią oko, Hamilkar. I na miłość boską, czym prędzej ją przyodziej! To nieprzyzwoite!

Tego dnia Giovanni Caracciola nie widział kopalni. Nie wrócił też na szkuner pozostawiony pod opieką bosmana Heamswella. Śniadanie, które się rozpoczęło od xeresu, niepostrzeżenie przeciągnęło się do lunchu, lunch trwał do obiadu. A już po zmierzchu rum i likiery przerzuciły pomost do kolacji. Bez przerwy przygrywała niestrudzona orkiestra złożona z gitar, klarnetów, skrzypiec, murzyńskich marimbo i dźwięcznych tubylczych tamburinów. Caracciola, upojony i podniecony muzyką, wystukiwał takt obcasami i pogwizdywał. Przed jego oczami migwały sylwetki tancerzy na werandzie. Zauważył, że towarzysze biesiady zmieniają się, tylko okrągła twarz Holendra cały czas majaczyła obok niego. Gdzieś na samym dnie świadomości gasły ostatnie przebliski właściwej mu ostrożności, pozostało tylko nieprzyjemne uczucie staczania się w przepaść po śliskiej stromiźnie... A gdy Caracciola chwiejnym krokiem wyszedł na werandę, jego oczy poraziło białe, martwe światło. Okrągły, łysy księżyc był jedynym nieruchomym przedmiotem w polu widzenia kapitana; wszystko dookoła tańczyło, płynęło, dwoiło się, tylko księżyc stał nieruchomo na niebie, milczący i złowroźny...

Prawdę mówiąc Caracciola wyszedł na werandę za ładniutką złotowłosą miss... Pojawiła się na krótko w jadalni i znikła w drzwiach werandy. Zdaje się, że nazywa się miss Irena i jest córką właściciela kopalni, mister Brandona... W jadalni jeszcze się świeciło, w powietrzu snuły się obłoki tytoniowego dymu. Caracciola spojrzął na blade, martwe światło spływające z nieba i zataczając się wrócił do jadalni. Po drodze od drzwi do stołu zastawionego butelkami zdążył zapomnieć o miss Irenie. Różowy mijnheer van Ardenfreuden siedział jeszcze przy stole. Caracciola ujął go za ramiona, spojrzął mu w twarz pustymi źrenicami i powiedział bardzo wolno i wyraźnie:

- Po co ten księżyc? Pal diabli wszystko! Idioci! Osły!

Holender razem ze służącym ułożyli pijanego na kanapie w gabinecie. Caracciola długo nie



mógł się uspokoić. Wreszcie usnął, leżąc na wznak. To, co bredził przez sen, było straszne.

## 2

W ciągu następnych dwóch tygodni Caracciola wypił więcej niż przez całe dotychczasowe życie. Na okręcie zjawiał się dopiero rano, z bladą, obrzękłą twarzą. Ale w jego kieszeni spoczywały czeki bankowe, w szkatułce leżał pierścień z osiemnastokaratowym diamentem, na palcu zaś połyskiwał drugi, ozdobiony wcale okazałym rubinem.

Pewnego dnia Caracciola jednak postawił na swoim i odwiedził wreszcie kopalnię. Jak przez mgłę przypominał sobie potem wszystko, co widział; żółte skały i niebieskawy ogromny dół, do dwudziestu stóp głębokości, w którym roiło się od zupełnie nagich ludzi. Wielu niewolników pracowało z kajdankami na nogach, inni byli przykuci do tacek łańcuchami. Nie opodal stał barak, gdzie kruszono niebieskawe bryły zawierające diamenty. Dół i barak otoczone były rowem z wysokim nasypem, na szczycie nasypu wznosił się parkan z desek nabitych gwoździami. Wzdłuż parku chodzili wartownicy. Wieczorem ustawiały się przed bramą długie kolejki nagich Murzynów z ogolonymi głowami. Tu ich rewidowano; nadzorca wpychał każdemu paluch do ust, zaglądał do uszu i nosa, czy przypadkiem chytry niewolnik nie ukrył gdzieś drogiego kamyka. Bez przerwy świszczwały w powietrzu baty, niekiedy padał strzał z pistoletu lub karabinu. Plecy wielu Murzynów pokryte były ropiejącymi ranami...

Murzynom nie wolno było chodzić w pojedynkę. W szeregu pędzono ich pod konwojem do pracy i z powrotem do obozu. Pracowali od świtu do zachodu słońca, ale pożywienie - trochę rozgotowanego w wodzie jęczmienia lub kukurydzy - otrzymywali tylko w obozie, przed wyjściem do pracy i przed spaniem. W sztolniach stały wyłącznie beczki ze stęchlą ciepłą wodą.

To wszystko, z trudem zresztą, dochodziło do zamroczonej świadomości Caraccioli, a przymilne głosy obu właścicieli kopalni i dwóch misjonarzy, czuwających nad wychowaniem czarnych niewolników w duchu chrześcijańskim i głoszących im słowo boże, zagłuszały w jego uszach brzęk łańcuchów, zgrzyt łopat i bezustanny świst batów. Z wysłannikami Kościoła zawarł Caracciola bliższą znajomość przy stole w domu mister Brandona, gdzie razem zmagali się z „białymi myszkami”.

Po dwu tygodniach nieustannego odurzenia kapitan począł dostrzegać oznaki kompletnego upadku dyscypliny na „Fortunie”, stojącej znów na zewnętrznej redzie portu kapsztadzkiego. Brudny, zapuszczony okręt zamienił się w najpodlejszą spelunkę i melinę miejskich szumowin. Rzadko trafiał się dzień bez gorszących awantur. Wreszcie któregoś dnia na pokładzie „Fortuny” zjawiał się urzędnik portowy, oświadczając, że dwaj marynarze z tego okrętu zabili na brzegu Murzyna należącego do pewnego Holendra i przebywają u niego w areszcie.

Otrzeźwiło to trochę kapitana. Klnąc na czym świat stoi zapłacił Holendrowi za zabitego niewolnika, zbił do krwi obu majtków, zabronił całej załodze wychodzić na brzeg i kazał doprowadzić okręt do porządku. Uświadomił sobie również, że jest już druga połowa czerwca, a „Gloria” i „Dorothea” jeszcze nie wróciły do Kapsztadu. Zrozumiał, że musiało się z nimi stać jakieś nieszczęście, i przez odpływający właśnie do Anglii okręt wojenny wysłał pilny list do wicehrabiego Chancefieldu z prośbą o dalsze instrukcje.

Te wszystkie kłopoty zajęły Caraccioli jeszcze dwa tygodnie. Minał dokładnie miesiąc od dnia, w którym żywy ładunek „Fortuny” został „wypożyczony” właścicielom kopalni.

Signor Caracciola kazał odmalować łódź, ubrał się staranniej niż zwykle, zlustrował dokładnie swoich sześciu wioślarzy i udał się do zatoki, nad którą znajdował się kantor kopalni.

Z posepną twarzą wszedł tym razem do kantoru. Żartobliwy ton, jakim go powitali Brandon i Ardenfreuden, spotkał się z chłodną powściągliwością z jego strony. Kieliszki pozostały nie tknięte. Caracciola bał się w duchu o los swoich Murzynów i przybył z niezłomnym postanowieniem odebrania ich i odesłania na okręt.

Lecz mijnheer van Ardenfreuden był bardziej przebiegły niż przypuszczał Caracciola. Zamiast oczekiwanych wykrętów i zwlekania okazał jak najdalej idącą gotowość spełnienia jego życzeń.

- Sam się pan przekona, kapitanie, jak ten miesiąc ruchu na wolnym powietrzu wyszedł na zdrowie pańskim Murzynom. Zechce pan przyjąć czek na siedemset pięćdziesiąt funtów.

- Jedziemy do kopalni po ludzi - rzekł Caracciola.

- Powóz jest do pańskiej dyspozycji. Ale przecież tamte okręty jeszcze nie wróciły. A nam bardzo są potrzebne ręce do pracy. Gotowi jesteśmy podwoić zapłatę. Jeszcze dwa tygodnie i będzie pan miał w kieszeni czek na dokładnie taką samą sumę... Może łyk wytrawnego wina reńskiego, sir? To tak orzeźwia!

Usiedli przy stoliku. Tego dnia Caracciola nie pojechał po swoich ludzi. Nie pojechał też po upływie dalszych dwu tygodni. Przywróconą z takim trudem dyscyplinę wśród załogi „Fortuny” znów diabli wzięli.

Mijnheer van Ardenfreuden nie omieszkął wykorzystać tej okoliczności i nacisnął odpowiednie sprężyny. Wszelkie awantury, napady i rabunki w mieście poczęto przypisywać załodze „Fortuny”. I wreszcie pewnego pięknego lipcowego poranka zjawił się na pokładzie urzędnik policji przedstawiając Caraccioli nakaz aresztowania „za naruszenie porządku w porcie przez załogę okrętu, podpuszczaną do tego przez samego kapitana”.

Wszelkie protesty okazały się bezskuteczne. Propozycja „ugodowego” załatwienia sprawy nie wywarła jakoś najmniejszego wrażenia na dziwnie bezinteresownych władzach portowych. Caracciola po raz pierwszy w życiu zaznał gorzkiej doli więzienia. Na okręt też nałożono areszt. Śledztwo wlokło się bardzo wolno, zanosilo się na poważne przykrości. W ten sposób sprawa przeciągnęła się do września.

Caracciola zażądał widzenia z właścicielami kopalni. Wreszcie po wielokrotnych prośbach zgodzono się na to. Widzenie odbyło się bez świadków - nazwiska Brandona i van Ardenfreudena wyraźnie cieszyły się respektem u surowych władz. Mijnheer van Ardenfreuden z ubolewaniem zawiadomił Caracciolę, że wszyscy Murzyni przeniesieni czasowo z okrętu do kopalni wymarli na cholere, jak również o tym, że kapitan może być zwolniony jedynie za kaucją w wysokości tysiąca funtów, którą to sumą w obecnej trudnej chwili kompania niestety nie dysponuje. Poprzednia uległość Holendra znikła bez śladu, na jej miejsce pojawiła się lodowata nieustępliwość. W rezultacie jeden z czeków został wycofany, kapitan zaś zwolniony z więzienia pod warunkiem, że natychmiast zabierze na pokład swój ładunek ze składów portowych i niezwłocznie wyniesie się z redy.

Pod wieczór dwudziestego czwartego września, po ukończeniu przeładunku, Caracciola siedział w kajucie rozmyślając o tej niewesołej chwili, gdy będzie musiał stanąć przed obliczem prezesa Kompanii Północnobrytyjskiej, by złożyć mu sprawozdanie z ekspedycji. Rozpoczęta tak pomyślnym polowaniem na ludzi w Kongo, zakończyła się nader żałośnie zaginięciem dwóch szkunerów i utratą całego żywego ładunku „Fortuny”. Przy tym załoga okrętu była świadkiem jego transakcji, jakkolwiek nie znała szczegółów.

Samotnym rozmyślaniom Caraccioli towarzyszyły odgłosy bulgotania w kajucie i za oknem kajuty; przed nim stała na stole butelka, na redę zaś spadła wiosenna afrykańska ulewa. Poprzez gęstą przesłonę deszczu Caracciola widział zarysy skalistego wybrzeża, płaski szczyt Góry Stołowej i ciemną wodę oceanu. Chłodny wiatr z południa kołysał okrętem. Zbliżał się sztorm; ocean był równie posepny jak myśli Caraccioli.

Nagle na ciemnym tle wody zamigotało małe żółte światelko. Ukazywało się i znikowało nieco powyżej spiętrzonych fal i zdawało się zbliżać do portu.

„Światła topowe okrętu” - pomyślał Caracciola, włożył płaszcz i wyszedł na pokład. Zdziwiła go szybkość, z jaką mknął po falach nadpływający statek. Był to nieduży jacht o wytwornej linii kadłuba, z uniesionym dziobem i niską rufą, o pięknych żaglach i smukłych, podanych nieco do tyłu masztach...

- Madonna! Przecież to „Elly”, osobisty jacht wicehrabiego! O Boże miłosierny! - jęknął w przerażeniu Caracciola i popędził na mostek.

Wachtowy chrapał na ławce przed nieruchomym kołem sterowym. Naktuz nie był oświetlony. Caracciola kopniakiem zrzucił wachtowego z ławki.

- Zawołać bosmana! - ryknął groźnie.

Razem z Heamswellem obiegli pokład. W trzy minuty postawili na nogi całą załogę. Marynarze w pośpiechu ścierali z pokładu kałuże po deszczu, usuwali śmieci, butelki, szmaty, strzępy lin.

Spłoszone myśli, jedna trwoźniejsza od drugiej, przelatywały przez głowę Caraccioli.

„Czyżby sam wicehrabia? Matko Najświętsza, zlituj się nade mną! Wypada chyba strzelić sobie w łeb! A może przyznać się do wszystkiego? Nie, nic mnie nie uratuje, on nie zna litości. Tak czy owak jestem stracony. Cóż mi teraz po tych ocalałych czekach na osiem tysięcy funtów? Nawet te pieniądze nic mi nie pomogą. Pan wicehrabia ma długie ręce, wszędzie mnie dosięgnie!”

Jacht zatrzymał się przy redzie i zwrócony dziobem do wiatru rzucił kotwicę. Caracciola kazał usunąć załogę z pokładu. Pozostało tylko dwóch wachtowych przy trapach i nieruchomy jak posąg sternik na mostku.

Tymczasem łódź spuszczone z jachtu, nurzając się w falach, podpłynęła do „Fortuny” i sprawnie przybiła do burty.

- Hej tam, na „Fortunie”! - rozległ się głuchy bas, na którego dźwięk Caraccioli kamień spadł z serca. Spodziewał się usłyszeć o wiele straszniejszy dla niego głos.

- Tak jest! Witam, signor Lorn! Płyńcie do trapu dziobowego! Wszedłszy do kajuty kapitan Lorn ujrzał pod stołem baterię, której mógłby pozazdrościć trzypokładowy okręt bojowy. W butelkach pozostało jednak zaledwie po parę kropli na dnie. Lorn od razu zorientował się w sytuacji.

- Trochę już za długo stoi pan na kotwicy - rzucił mimochodem. - No, niech pan powie, jak wyglądają sprawy. Wicehrabia otrzymał pański list. Mam panu przekazać jego dyspozycje. Caracciola z trudem pohamował radosne westchnienie ulgi. A więc rozmowa z wicehrabią zostanie odłożona na później. Można jeszcze wygrać na czasie. Mając osiem tysięcy zdoła pokryć straty. Trzeba tylko uważać, by Lorn nic nie zwąchał.

- Właściwie sytuacja pozostaje bez zmian - odparł przechodząc z angielskiego na włoski. - Ani „Dorotea”, ani „Gloria” do tej pory nie wróciły z wyspy. Sześciuset pięćdziesięciu Murzynów wysłałem na wyspę. Tu mam ich jeszcze dwustu pięćdziesięciu i ładunek dla plantacji.

- Tylko dwustu pięćdziesięciu? Szkuner mógł łatwo zabrać pięciuset. Dlaczego wziął pan tak mało?

- Po uszkodzeniu dna na Zairze woda zalała jedną ładownię... W tej chwili okręt znów jest w porządku.

- Kiedy pan może podnieść kotwicę?

- Choćby za godzinę! Jakie są rozkazy wicehrabiego?

- Proszę, niech pan czyta.

Wicehrabia pisał, aby Caracciola płynął na wyspę i czym prędzej, przy pomocy załogi „Fortuny”, zaprowadził tam porządek. Następnie, pod komendą Lorna, „Fortuna” sama lub też z dwoma pozostałymi szkunerami ma wrócić do Bultonu. Po przeprowadzeniu akcji na wyspie Caracciola winien przekazać dowództwo wyprawy O'Heary'emu, sam zaś bezzwłocznie udać się na „Elly” do Ameryki, by w jak najkrótszym czasie znaleźć się w

Błękitnej Dolinie położonej w dolnym dorzeczu Ohio.

- Do tego mam jeszcze dodać coś niecoś ustnie - wtrącił Lorn. - Wicehrabia daje panu szansę wyrównania pewnego małego długu... Sfuszerował pan wtedy robotę w Pireusie... Czy słyszał pan o mieszkańcach Błękitnej Doliny?

- Nie, nie słyszałem.

- Uwili sobie w niej gniazdo wrogowie wicehrabiego. Ten i ów z naszych już tam jest. Burns dowodzi fortem, do pomocy posłano mu Franka Kunę. Shelton i Lins są tam już od dawna. Prawdopodobnie udali się tam również Grimles i Wansley... Przywdzieje pan mundur angielskiego porucznika i poprowadzi do Burnsa nieduży oddział wolontariuszy z Detroit dla wzmocnienia załogi fortów Błękitnej Doliny i Vincennes, co jest konieczne z uwagi na Indian. A po drodze wykona pan zadanie, o którym przed chwilą wspomniałem. Sądzę, że wszystko jest dla pana jasne.

- Niezupełnie. Kogo należy... usunąć?

- Pańskiej osobistej uwadze poleca się dwa małżeństwa, Murrayów i Wentów, a najważniejsze - obie osoby, które przeoczył pan w Pireusie.

- Syna i matkę Bernardita?

- Tak. Ale powinien pan pozostać w cieniu. Niech pan nie powtarza starych błędów. Nie należy bez koniecznej potrzeby plamić własnych rąk. Są tam przecież plemiona indiańskie. A koloniści są jeszcze słabi i nie ma ich wielu.

- Rozumiem. Najbliższym jednakże naszym zadaniem jest uporządkowanie spraw na wyspie. Dlatego trzeba wprawdzie udać się tam na rekonesans.

- Biorę to na siebie. O świcie podniosę kotwicę i odpłynę pierwszy, aby niepostrzeżenie podkraść się ku wyspie. Czy ma pan na pokładzie wszystkich dwustu pięćdziesięciu Murzynów?

- T...ta-ak!

- Wobec tego niech pan płynie za mną w odstępnie dwudziestu, trzydziestu mil. Proszę mi dać mapę, wyznaczę marszrutę. Gdzieś w pobliżu wyspy, powiedzmy o tu, w okolicy tych podwodnych raf, rzuci pan kotwicę i zaczeka na mój powrót z rekonesansu.

Było jeszcze ciemno, gdy podnieśli żagle. Nim słońce wzeszło, „Elly” miała już za sobą co najmniej czterdzieści mil. W odległości piętnastu mil za nią pruła fale „Fortuna”. Dystans dzielący oba okręty wciąż się zwiększał i wkrótce wierzchołki masztów pozostałego w tyle szkunera znikły z oczu mister Lorna.

Signor Caracciola przyglądał się linii marszruty nakreślonej na mapie czerwonym ołówkiem przez Lorna. Rify podwodne, na których o mały włos nie rozbił się „Orion”, ciągnęły się nieco dalej na wschód od kursu wyznaczonego przez Lorna.

„Rify dzieli od wyspy jakieś osiemdziesiąt mil. Teraz jest pora sztormów. Jeśli roztrzaskam „Fortunę” o podwodne skały, rozwiąże to całą sprawę. Na łodzi będę mógł dostać się na wyspę. Trzeba będzie wziąć z sobą bosmana Heamswella, sam nie dam rady z łodzią. I będę musiał podzielić się z nim pieniędzmi. Załogę spiję i zamknę w kubryku... A potem... jeśli dobrze się spiszę w Błękitnej Dolinie, wszystkie stare grzechy pójdą w zapomnienie. Jednak wyjście się znalazło!”

### 3

W pochmurne październikowe południe kapitan Bernardito stał na mostku okrętu, w którym nawet sam nieboszczyk Wilson nie zdołałby rozpoznać swojej „Glorii”.

Zamiast trzech masztów z ożaglowaniem gaflowym wznosiły się dwa, silniejsze, z

czworokątnymi żaglami na rejach. Ożaglowaniem i takielunkiem „Gloria” upodobniła się teraz całkiem do brygu. Nowe nadbudówki pokładowe i mostek w niczym nie przypominały starych. Stewa przednia, wzmocniona szczątkami „Dorotei”, mogła teraz służyć za taran w walce. Na potężnym dziobie widniał napis: „Afrykanka”.

Statek już od tygodnia odbywał niewielkie rejsy po wodach otaczających wyspę. Bernardito ćwiczył załogę złożoną z osiemdziesięciu wyborowych czarnych wojowników. Umieli się już obchodzić z bronią palną i obsługiwali żagle dostatecznie sprawnie, by okręt mógł wykonywać złożone manewry.

Bernardito od dawna już oczekiwał przybycia trzeciego szkunera ekspedycji. Na wierzchołku Skalistego Szczytu dniem i nocą dyżurowali obserwatorzy z lunetami, aby w porę zawiadomić o pojawieniu się masztów na horyzoncie. W ładowniach „Afrykanki” leżały już zapasy na daleki rejs; cała ludność wyspy pracowała teraz nad ich uzupełnieniem. Co dzień na pokład okrętu dostarczano nowe skrzynki z wędzoną rybą, solonym mięsem, owocami suszonymi na słońcu i innymi prowiantami. Rodzina kapitana Bernardita zamieszkała w kajucie kapitańskiej, cała zaś ludność wyspy w każdej chwili była gotowa do zbiórki.

Bernardito utrzymywał w pogotowiu jeszcze jeden oddział, złożony z trzydziestu ludzi. Na jego czele stał kapitan i czarownik plemienia Bakongo, stary Nganga, któremu Bernardito dokładnie wytłumaczył, na czym polegają obowiązki tego specjalnego oddziału... Po tych wyjaśnieniach czarownik Nganga aż się zatrzęsł od śmiechu i z wielką gorliwością zabrał się do roboty. Były to jakieś dziwne przygotowania, odbywające się koło grobu, do którego Murzyni wrzucali ciała zabitych handlarzy niewolników. Bernardito oddał do dyspozycji czarownika dwie beczki siarki i fosforu znalezione w ładowniach „Glorii”, kilka zwojów drutu i sporą ilość łachów z garderoby poprzednich załóg obu szkunerów. Przygotowania Ngangi sprawiały niemałą uciechę również pozostałym mieszkańcom osady.

Południowe słońce skryło się za chmurami, dał silny wiar. Bernardito dopiero co zwolnił z pokładu swoich marynarzy. Byli oni niesłychanie dumni ze swych nowych funkcji, jak również ze spodni, kapeluszy i kurtek marynarskich, stanowiących przedmiot zazdrości pozostałych mężczyzn i zachwyty czarnych dziewcząt. Naraz na południowym zboczu Skalistego Szczytu ukazała się cieniutka strużka dymu. Był to sygnał oznaczający, że na horyzoncie pojawił się jakiś okręt.

- Anthony, alarm! - krzyknął Bernardito.

Na brzegu wszczął się ruch. Anthony puścił się biegiem ku posterunkowi obserwacyjnemu. „Afrykanka” przyjęła na pokład ludność wyspy, dyżurna wachta szybko przygotowała okręt do odpłynięcia. Czarownik Nganga,

który pozostał na brzegu ze swymi trzydziestoma pomocnikami, wykonywał ostatnie polecenia Bernardita. Wódz Majni-Mfumu udał się z grupą wojowników na brzeg cieśniny, gdzie również były poczynione pewne przygotowania na przywitanie gości. Tymczasem Anthony wrócił z obserwatorami. Wprost na wyspę, od strony dalekiego pasma podwodnych raf, szedł jakiś nieduży okręt. Z tyłu za nim widać było jeszcze jeden żagiel. Oba okręty można było dojrzeć tylko przez silną lunetę kapitana Wilsona.

Wysłuchawszy tego meldunku Bernardito dał rozkaz do odpłynięcia. Na „Afrykance” rozległ się przeciągły głos bosmańskiego gwizdka. Nguru i Anthony - pomocnicy kapitana - stali na mostku. Gdy już wszyscy ludzie z wyspy zebrawali się na pokładzie, stary korsarz sam jeden po raz ostatni obszedł swoje włości. Na widok przygotowań dokonanych przez oddział czarownika Nganga Bernardito, nie bacząc na powagę chwili i grożące niebezpieczeństwo, pogłodził brodę i uśmiechnął się pod wąsem; był to chyba najbardziej szatański uśmiech jednookiego kapitana!...

...Z pokładu „Afrykanki” Bernardito rzucił pożegnalne spojrzenie na zatokę, puste teraz chatki murzyńskie i znajome stoki gór. Sam wyprowadził okręt z cieśniny. Następnie spuszczone łódź. Majni-Mfumu i jego grupa wojowników z zachowaniem dużej ostrożności

opuściła na dno cieśniny sieć rybacką, przymocowali ją do pływającej po wodzie belki i szybko wrócili na okręt. Na otwartym morzu dał silny, równy wiatr. Załopotaly żagle, pod dziobem zakotłowała się spieniona woda.

Nim zapadł zmierzch, okręt był już daleko od wyspy. Ciemny wierzchołek Skalistego Szczytu i stożkowata czapa wulkanu, z cieniutką strużką dymu, górowały nad lesistymi wzgórzami. Ostry szczyt, podobny do zwężającej się kolumny, wparł się w ciężką, brzemionną deszczem chmurę, jakby chciał ją podtrzymać, by nie spadła na kosmatą powierzchnię oceanu.

Teraz można już było z mostka „Afrykanki” dojrzeć przez lunetę żagle jednego ze zbliżających się okrętów. Bernardito rozkazał, aby wszyscy oprócz wachtowych opuścili pokład. Czarownik Nganga przyniósł długie płachty, którymi osłonięto dziób i rufę okrętu. „Afrykanka” znów uległa jakimś dziwnym przeobrażeniom, a na jej pokładzie działy się w ciemności zgoła niezwykle rzeczy.

W gęstniejącym zmroku, gdy na tle czarnych chmur zarysowała się już iglica Skalistego Szczytu, Joseph Lorn zauważył z mostka „Elly” jakąś świecąca plamę wśród fal. Ale ciemność zapadała tak szybko, że Lorn nie zobaczył przez lunetę nic więcej, prócz bladego, fosforyzującego światła nad morzem.

Tressel i Olbert, starzy, doświadczeni żeglarze, stali obok Lorna. Jacht płynął pod pełnymi żaglami przy niesprzyjającym wietrze na jednej czwartej szybkości. Wykonawszy kolejny hals jacht znalazł się na wprost świecącej plamy. Sternik wyrównał kurs i też wpatrzył się w ciemność.

Plama zbliżała się, przybierając zarysy okrętu. Wkrótce ukazały się żagle i czarne reje, wydzielające zielonkawe światło. Dziwne zielone światła migotały na topach masztów. Okręt płynął równo, lecz nie widać było na nim ludzi. Gdy szturman „Elly” przełożył ster nieco na lewo, kursy obu statków okazały się dokładnie równoległe. Wreszcie ich dzioby znalazły się na jednym trawersie.

Napotkany okręt dziwnie cicho przepłynął obok, na odległość strzału rewolwerowego. To, co Lorn i reszta marynarzy zdążyli zobaczyć na tajemniczym statku, było wręcz nie do wiary!...

Na dziobie świecił napis: „Latający Holender”. Sześć szkieletów w strzępach białych całunów, o nagich, świecących czaszkach manewrowało żaglami. Lorn wyraźnie widział ich gorejące oczy i wyszczerzone w uśmiechu zęby. Przy sterze również stało widmo w białym całunie, trzymając kościstą rękę na szprychach koła. Ale najstraszniejsza była nieruchoma postać kapitana na mostku. Był to wysoki, siwy człowiek w staroświeckim kaftanie i trójgraniastym kapeluszu, z długą szpadą u boku. Jego twarz przecinała na ukos opaska zakrywająca lewe oko. Patrzył przez lunetę wprost przed siebie, nie zwracając najmniejszej uwagi na spotkany jacht. A gdy okręt-widmo minął „Elly”, Lorn zobaczył na rufie napis: „Port Wieczność”. Jeden ze szkieletów pogroził z rufy kościstym palcem, a potem wskazał na niebo. Lorn, Tressel i Olbert zamarli w niemym przerażeniu. Sternik zawzięcie się zęgnął. Po paru minutach okręt-widmo znów był już tylko niewyraźną świecąca plamą, która wkrótce rozplynęła się w morskiej dali.

- „Latający Holender”! - mruknął Tressel. - Dużo o nim słyszałem od starych ludzi, ale po raz pierwszy zobaczyłem go na własne oczy.

- To wróży nieszczęście - ledwo dosłyszalnie powiedział Olbert.

- A kapitana poznaliście? - głos Lorna brzmiał tak ochryple, jakby kapitan wypił beczkę lodowatego piwa.

- Całkiem podobny do nieboszczyka Bernardita Luiza! - powiedział Olbert, starając się opanować wstrząsające nim dreszcze. - Widać piracki kapitan nie znalazł spokoju w grobie i teraz jego grzeszna dusza błąka się po tych wodach na „Latającym Holendrze”... Ojciec nasz, któryś jest w niebiesiech, zmiłuj się nad nami i odpuść nam nasze winy! Wiatr przybiera na sile. Będzie sztorm. O tam, nad samą wodą, latają dwa czarne albatrosy... Dałby Bóg, abyśmy szczęśliwie ukończyli ten rejs. Powinniśmy zawrócić, póki nie jest za późno, mister Lorn!

Na krótko przed świtem kapitan Bernardito kazał skrócić żagle. Wiatr wzmagął się, a pasma podwodnych raf były już niedaleko. Anthony stał na mostku obok kapitana.

- Ciekaw jestem, skąd się wziął ten jacht? - powiedział w zamyśleniu kapitan. - Czy nie zauważyłeś jego nazwy?

- Nie, przemknął zbyt szybko. Ale jego kurs wiedzie na wyspę. Być może Grelli posłał go, by się dowiedzieć o losie tamtych dwóch okrętów?

- Wygląda na to, że tak... Jesteś pewien, że widziałeś w dzień drugi żagiel?

- Trudno ręczyć, kapitanie. Widoczność była nieszczególna, ale biała plamka w lunecie wyglądała na żagiel.

- Może to szkuner „Fortuna” z resztą Murzynów płynie w ślad za tym jachtem? Zobacz no, Anthony, co tam się czerni z lewej burty? Czy to nie podwodna skała?

- Nie, to raczej okręt, kapitanie. Zaraz księżyc wyjrzy zza chmur, będzie widniej... Czy zna pan te rafy przed nami, senior?

- Czy ja je znam? Przetrasnąłem je jak własną kieszeń w poszukiwaniu ostatniego okrusku tytoniu.

- Przyplływał pan tu z wyspy? Na czym, kapitanie?

- Na starej łodzi. Gdy francuska korweta „Burgundia” rozgromiła moją załogę i odpłynęła, Pedro przeszukał wyspę i natknął się na szalasa z na wpół martwym mister Fredem. Wtedy przeniósł i mnie do tego szalasu. Nie zdążyliśmy się jeszcze wylizać z ran, a już zaczęliśmy urządzać sobie gospodarstwo. Grelli zostawił nam bardzo niewiele! Obejrząwszy nasze zapasy stwierdziliśmy, że nie przetrzymamy z tym nawet dwóch tygodni... Wówczas podnieśliśmy z dna morza przestreloną łódź, na której Pedro uratował mnie przed Francuzami, i popłynęliśmy tutaj, do tych raf. Sterczał tu jeszcze wrak „Czarnej Strzały”. Załadowaliśmy na łódź, co się tylko dało. Łódź ledwo się kupy trzymała, ale mimo to jeszcze dwa razy odbyliśmy na niej tę drogę. Przywiezione z „Czarnej Strzały” instrumenty i zapasy pomogły nam przetrwać kilka lat, aż do przybycia „Oriona”. Potem pierwsza burza rozniosła „Czarną Strzałę” w drzazgi, no i naszą wyłataną łódź też diabli wzięli... Nie przypominam sobie, aby tu były wysokie skały! Te wszystkie rafy ledwo są widoczne nad wodą w czasie odpływu. Prawdopodobnie mamy przed sobą rzeczywiście jeszcze jeden okręt... Teraz, przy księżycu, widzę go wyraźniej... To duży szkuner, Anthony! I niech mnie piorun strzeli, jeśli on nie osiadł na tych samych skałach, na których rozbiła się moja „Czarna Strzała”!

#### 4

„Fortuna”, osadzona przez Caracciolę na rafach, tonęła.

Caracciola wyjął ze szkatułki kosztowności i pieniądze, wziął nieduży zapas sucharów, butelkę wina i wszystko to włożył do mocnego płóciennego worka. Wsunął nóż za pas, naładował pistolet i posłał bosmana, by przygotował łódź.

Rozpaczliwe krzyki, głuchy łomot i hałas, dochodzące spod pokładu, gdy woda zalewała ładownię „Fortuny”, teraz już ucichły. Wszystkie luki, prowadzące na górę, były szczelnie zamknięte. Fale szybko dokończyły dzieła zniszczenia. Okręt osadzony na podwodnych skałach zanurzał się z każdą chwilą głębiej, połowa pokładu była już pod wodą. Fala za falą biła w ściankę mostku kapitańskiego.

Ukończywszy przygotowania Caracciola spojrział na horyzont.

- Nie ma już pewno ani jednego żywego szczura tam na dole... Trzeźwią się słoń wodą po moim poczęstunku, szubienicznicy! Cóż ten Heamswell tak guzdrze się z tą łodzią! Znowu ten przeklęty księżyc! Och, ty pucołowaty obwiesiu, myślisz, że ty też jesteś świadkiem? Akurat ktoś ci uwierzy, głupia mordo!... Ale co się tam świeci na falach? O, do diabła, widocznie wraca Lorn! No, mister Heamswell, wobec tego i pan nie jest mi więcej potrzebny.

- Kapitanie, niech pan pomoże spuścić łódź! - krzyknął bosman, grzebiąc się koło burty.

Caracciola przedostał się do bosmana. Fale były głucho o zmiądzoną burtę. We dwóch spuścili łódź. Heamswell, z trudem utrzymując ją przy wysoko zadartym trapie rufowym, wstawiał wiosła w dulki. Caracciola rzucił w dół swój worek, zbiegł po trapie i odepchnął się od burty. Heamswell siedział zgarbiony na ławeczce, plecami do dzioba, i już wiosłował, by jak najprędzej oddalić się od tonącego okrętu. Siedzący na dziobie łodzi Caracciola wyciągnął zza pasa pistolet i strzelił w tył głowy bosmanowi.

Wyrzuciwszy za burtę ciężkie ciało zabitego, kapitan „Fortuny” wyjął czystą chustkę do nosa, wytarł ręce i chwyciwszy za wiosła skierował tańczącą na falach łódź wprost ku świecącej plamie na horyzoncie.

Na północnym wschodzie niebo poczynało już szarzeć, lecz księżyc, który właśnie wchodził w trzecią kwadrę, stał wysoko, zalewając białym światłem żagle „Afrykanki” i widoczny w oddali okręt. Przechylone maszty świadczyły wyraźnie, że nieznany szkuner osiadł na rafie. W pewnej chwili Bernardito zauważył w odległości dwóch kabli przed „Afrykanką” migającą na falach łódź.

- Wszyscy na swoje miejsca! Aby nikogo nie było widać! - półgłosem rzucił rozkaz Bernardito.

Fosforyzujący okręt wolno posuwał się naprzód tylko pod kliwrem i fokiem. Łódź przybliżała się, widać już było człowieka siedzącego przy wiosłach. Co chwila oglądał się przez ramię na dziwny statek, na którym nie mógł dojrzeć ani wachtowych, ani oficerów na mostku.

Wreszcie łódź z głuchym stukiem uderzyła o burtę. Ktoś szybko opuścił trap i natychmiast skrył się w cieniu. Caracciola uwiązał łódź przy trapie, podniósł z dna swój worek i wszedł z nim na pokład. Zrozumiał już, że nieznany okręt nie ma nic wspólnego z jachtem Josepha Lorna.

- Co za cud, senior Bernardito! Raczył nas zaszczyścić sam Giovanni Caracciola - szepnęła Anthony.

Bernardito zgrzytnął zębami i aż zbladł z nienawiści. Przybyły położył swój worek na pokładzie i rozglądał się w największym zdumieniu.

- Hej, jest tu kto, odpowiadaj! - krzyknął głośno. - Wachtowy, co to za okręt? Do licha, gdzie się podział marynarz przy trapie?

Martwa cisza panowała na okręcie. Tylko woda szumiała pod dziobem. Księżyc świecił prosto w oczy. Wreszcie z mostka kapitańskiego bezgłośnie poczęła schodzić jakaś wysoka, biała postać o płonących oczach. Caraccioli zaparło dech. Wyrwał pistolet, lecz przypomniawszy sobie, że nie zdążył go ponownie nabić, rzucił nieprzydatną broń na pokład. Stuk pistoletu spadającego na deski był jedyną odpowiedzią na okrzyk kapitana „Fortuny”. Widmo w bieli szło przez pokład wyciągając przed siebie ręce, jakby chciało zamknąć Caracciolę w strasznych objęciach.

Ogarnięty niewymownym przerażeniem Włoch cofnął się i nagle poczuł, że z tyłu za nim też zjawily się jakieś cienie. Odwrócił głowę... Kilka szkieletów w białych całunach wytrzeszczyło na niego ogniste źrenice z głębi martwych oczodołów. A przed nim stało bez ruchu wysokie widmo marynarza w staroświeckim trójgraniastym kapeluszu, z opaską na oku i długą szpadą w ręce. Straszliwe widmo otwarło usta i Caracciola usłyszał głuchy głos, niby dźwięk pękniętego dzwonu cmentarnego:

- Witam na okręcie umarłych, Giovanni Caracciola! Od dawna szukam spotkania z tobą. Pamiętasz mają zatokę w Pireusie, dzieciobójco!

- Duch Bernardita! - wyjąkał Caracciola i bez zmysłów runął na pokład...

...Nie wiedział, kiedy go przeniesiono do karceru w ładowni. Okręt już lawirował między podwodnymi skałami; Bernardito sam go prowadził przez rafy. „Straszliwe widma” cicho i zręcznie wspinały się po rejach i „Afrykanka” ostrożnie zbliżała się do miejsca, gdzie jeszcze godzinę temu widać było rozbity szkuner. Teraz już tylko maszty i zadarta w górę rufa z



napisem „Fortuna” „Bulton” sterczały pośród spiczastych głazów, podobnych do połamanych zębów olbrzyma. Na rufie kołysała się na wpół zatopiona łódź.

- Senior, może tam są jeszcze żywi ludzie? - szepnął Anthony.

- Nie ma tam już nikogo żywego, Anthony, inaczej łódź nie pozostałaby na miejscu. Idź no zobacz, czy ten łotr już się ocknął.

Nagle z głębi ładowni okrętowej dobiegł przeraźliwy, histeryczny chichot, przypominający nocny krzyk hieny. Anthony wzdrygnął się. Bernardito dał mu znak oczami, aby zeszedł na dół. Sam nie mógł w tej chwili opuścić mostka. Słońce wschodziło we mgle, wiatr piętrzył fale i pędził je wprost na podwodne skały. Okręt płynął w najbardziej niebezpiecznym miejscu.

Minęło pół godziny, nim Anthony wrócił na mostek.

- Senior - powiedział cicho - Caracciola zwariował.

Chory bredził. Po gwałtownych atakach furii przychodziły długie okresy milczącego skupienia. Caracciola zamierał na klęczkach w kącie i trwał tak godzinami bez ruchu, w jakimś półsensnym odrętwieniu. Bernardito wydał rozkaz, aby nie wypuszczać go z karceru.

Okolo południa okręt minął niebezpieczne rafy i przy pomyślnym wietrze, pod wszystkimi żaglami, jak ptak pomknął na północny zachód. Anthony zmienił kapitana na mostku.

- Uprzątnijcie teraz ten cały diabelski kram, ale niech będzie stale w pogotowiu. Jeszcze nieraz się nam przyda - zarządził Bernardito. - A ja tymczasem zajmę się leczeniem chorego. Muszę wyjaśnić to i owo przy jego pomocy.

Murzyni zdjęli z rej szmaty nasycone świecąca mieszaną, złożyli do ładowni swoje białe całuny, puste tykwy z otworami na oczy, maski, kości i inne mrozące krew w żyłach akcesoria. Zdjęto również z dzioba i rufy płachty z upiorną nazwą okrętu i portu. Na gaflu zatrzepotała angielska bandera.

Caracciola szalał w ładowni. Bernardito z posępną twarzą wezwał czarownika Nganga i kazał przynieść do karceru lodu i wody. Nikt poza starym czarownikiem nie znał szczegółów ponurej sceny, jaka rozegrała się w okrętowej ładowni. Dopiero o zachodzie słońca kapitan Bernardito zjawił się na mostku.

Nabijając fajkę spojrzął z uśmiechem na swych pomocników, Nguru i Anthony'ego.

- Mam swoje sposoby - powiedział - aby nawet z wariatów wydobyć, co mi potrzeba. Ojciec Simon, stary pirat w sutannie, opowiadał mi ongiś o swoich braciach, sewilskich dominikanach... Dziś ta wiedza się przydała. Wiem teraz najważniejsze. Szkuner „Fortuna” był pusty, nie licząc załogi, którą Caracciola utopił, aby się pozbyć świadków pewnych swoich sprawek w Kapsztadzie. Murzynów sprzedał właścicielom kopalni diamentów. Pieniądze są tu, w tym worku. Podał też nazwisko właściciela kopalni. Jacht należy do Grellego. Giuseppe Lorano, czyli, jak on się teraz nazywa, Joseph Lorn, płynie na nim na naszą wyspę. Kapitan jachtu nazywa się Tressel. Już ja im, moi drodzy, nie zazdrozczę!... Mój syn i moja matka żyją. Osiedlili się razem z Murrayem i Wentem w Błękitnej Dolinie, w dolnym dorzeczu Ohio. Grelli polecił Caraccioli wymordować kolonistów w Dolinie, lecz wątpię, czy signor znajdzie odpowiednią sposobność po temu! Ale my musimy się pospieszyć, gdyż Grelli wysłał już do Doliny sześciu morderców, którzy czekają na swego herszta - Caracciolę. Mamy diabelnie mało czasu! Trzeba jeszcze po drodze złożyć wizytę afrykańskim królom diamentów i odstawić do domu naszych Murzynów. Klnę się na moją prababkę, że te czarne zuchy zasłużyły sobie na to! A potem popłyniemy do Ameryki... Nie martw się, mój przyjacielu Nguru, i nie zazdrość Toopiemu, że wiezie do domu swoją Ngawę. Może się nam uda uratować z kopalni i twoją czarnooką Laoni! A teraz, Anthony, zejdź na dół i otwórz karcer. Wypuść tego łotra na pokład. Może sam zaoszczędzi nam trudu powieszenia go na rei.

Nie minęło nawet pięć minut od powrotu Anthony'ego na mostek, gdy z dołu dobiegły jakieś dziwnego odgłosy. Na pokład wyskoczył Caracciola. Rozczochrany, w strzępach bielizny, wyglądał strasznie. Jego konwulsyjne, gwałtowne ruchy przypominały skoki wielkiej gołej małpy. Na widok marynarzy-Murzynów w nieprzytomnie płonących oczach Caraccioli pojawił się na moment jakby wyraz strachu. Stał chwilę, jakby się namyślając, po czym fiknął koziołka na pokładzie, zachichotał i podskoczywszy, z małpią zręcznością począł się wspinać na bezanmaszt. Jeden z marynarzy udał się za nim. Na wysokości trzydziestu stóp Caracciola stanął na brzegu rei, pogroził Murzynowi pięścią, ugiął nogi w kolanach i z krzykiem rzucił się w morze. Wysoki grzebień fali nakrył tonącego. Anthony chwycił za koło sterowe.

- Może byśmy go jednak poszukali? - rzekł nieśmiało.

Za rufą wolno przetaczały się wodne bałwany, czerwone w blasku zachodzącego słońca.

- Zaraz go znajdą - z zimną krwią odparł Bernardito.

Wyjął z ust fajkę i cybuchem wskazał na trójkątną płetwę rekina, która mignęła wśród spienionych fal.

W domu mister Brandona dobiegały końca ostatnie przygotowania do wielkiego przejścia z racji urodzin miss Ireny. Wszyscy pracownicy kantoru zebrali się u pryncypała. Mijnheer van Ardenfreuden przysłał tu do pomocy swoją nową pokojówkę, Murzynkę Laoni, i lokaja Hamilkara. Miss Irena uznała, że Laoni bardzo ładnie wygląda w europejskiej sukience. Podczas modlitwy, gdy nikt nie zwracał uwagi na Laoni, dziewczyna podeszła do stolika, chwyciła małego porcelanowego słonia i szybko wsunęła go sobie za kołnierzyk. Miss Irena jednak to zauważyła. Przywołała Hamilkara, gdyż tylko on jeden potrafił jako tako porozumieć się z Laoni, i z jego pomocą poddała złodziejkę surowemu śledztwu.

- Dlaczego wzięłaś tego słonia, Laoni?

Murzynka ze strachu przykucnęła na ziemi, przyciskając pod suknią swój skarb do piersi. Hamilkar wydobył z niej wreszcie odpowiedź.

- Ona mówi, że jej narzeczony Nguru jest wielkim myśliwym, polującym na słonie. Biały słoń przyniesie jej szczęście.

Miss Irena machnęła ręką i na razie zostawiła talizman wystraszonej Laoni.

Miss też otrzymała tego wieczoru w prezencie talizman, a szczęście, jakie miał jej przynieść, było dokładnie odmierzone w karatach.

Za odświętnie nakrytym stołem stał mijnheer van Ardenfreuden z kielichem wina w ręce. Przygotowana przez niego mowa okolicznościowa miała być wzorem wyszukanego dowcipu. W momencie gdy zaczął swą błyskotliwą orację, Hamilkar wpuścił do przedpokoju jakiegoś nowego gościa w płaszczu i marynarskim uniformie. Nie rozbierając się gość odsunął Murzyna i nacisnął klamkę drzwi wiodących do stołowego pokoju, skąd dochodził głos mówcy.

- Żyjemy, moi państwo - z subtelnym holenderskim humorem mówił mijnheer - w gorącym kraju, gdzie jest znacznie więcej krokodyli niż dżentelmenów.

- ...i gdzie krokodyle z powodzeniem uzupełniają brak dżentelmenów.

Drzwi otwały się szeroko. Stał w nich wysoki marynarz z obandażowaną twarzą. Za nim wszedł młody człowiek, również w uniformie.

- Z kim mam zaszczyt? - spytał mister Brandon, który od razu przeczuł, że święci się coś niedobrego.

- Przedstawiciel Kompanii Północnobrytyjskiej Joseph Lorn z rządowymi pełnomocnictwami z Londynu. Mister Brandon, mister van Ardenfreuden, proszę do gabinetu.

Wesoły nastrój prysł w jednej chwili. Goście siedzieli osowiali. W gabinecie marynarz wyjrzał przez okno i spuścił story. Dopiero po tych manipulacjach powiedział:

- Proszę natychmiast dostawić tutaj z kopalni czterystu pięćdziesięciu niewolników ze szkunera „Fortuna”, bezprawnie przez panów zatrzymanych. Ci ludzie jadą na plantację sir Fredericka Rilanda. Najdalej za trzy godziny powinni się załadować na okręt. Zechcą panowie wydać odpowiednie zarządzenie!

- Mister Lorn, proszę przedstawić swoje pełnomocnictwa.

- Proszę bardzo - odparł gość z całą gotowością i mister Brandon zobaczył tuż przed oczami lufę pistoletu. - Mister Tressel, proszę dać sygnał!

Młody towarzysz wysokiego marynarza uderzeniem buta wybił szybę i przeraźliwie gwizdnął. Z ciemnej głębi ogrodu odpowiedział taki sam gwizd i naraz we wszystkich oknach domu ukazały się lufy karabinów, pistoletów i angielskie czapki marynarskie. Ten sam metaliczny głos zagrział na cały dom:

- Kto się poruszy, niech wie, że będzie to jego ostatnia godzina. Panowie - zwrócił się marynarz do właścicieli kopalni - daję wam dwie minuty do namysłu. Jeśli moje żądanie nie zostanie spełnione, wydam rozkaz dwóm kompaniom morskiej piechoty, by zaatakowały kopalnię i przyprowadziły na brzeg wszystkich Czarnych z waszej kopalni.

- Ależ mister Lorn, dwustu ludzi kupiliśmy od przedstawiciela waszej kompanii!

- Swoje pieniądze możecie panowie otrzymać z powrotem... od kapitana Caraccioli. Nie mam nic przeciwko temu... Dwie minuty minęły. Mister Tressel, sygnał do ataku!

- Chwileczkę, mister Lorn! Pod presją brutalnej przemocy zmuszony jestem ustąpić. Ale większa część Murzynów wyginęła na skutek chorób. Żyjemy tu w bardzo... niezdrowym klimacie.

- Mój przedstawiciel zbada na miejscu prawdziwość pańskich twierdzeń. Za trzy godziny nasi Murzyni mają być na wybrzeżu. Mister Tressel, proszę udać się do kopalni wraz z ludźmi mister Brandona. Upoważniam pana do podjęcia w razie potrzeby jak najbardziej zdecydowanych kroków.

Po chwili rozległ się za oknem tętent końskich kopyt. A dokładnie po trzech godzinach, gdy uczestnicy przyjęcia, do ostateczności wyczerpani siedzeniem pod lufami, zdążyli po trzykroć przekląć w duchu niefortunną transakcję z kapitanem Caracciolą, z oddali dobiegł stłumiony gwar wielu głosów. Młody „mister Tressel” z ożywioną twarzą wszedł do pokoju.

- Przybyło trzystu ludzi, wszyscy co do jednego, którzy ocaleli z partii Caraccioli. Wolno przystąpić do załadunku, kapitanie?

- Czy nie ma wśród nich dziewczyny imieniem Laoni? - spytał starszy marynarz.

Nowa pokojówka pana van Ardenfreudena, która wcisnęła się w jakiś kącik, nic nie rozumiejąc z dziwnego zachowania białych ludzi, w tym momencie uczyniła tak gwałtowny ruch, by ukryć się za portierą, że wysoki marynarz ją zauważył.

- Niech tu przyjdzie Nguru - polecił.

Na dźwięk tego imienia dziewczyna stanęła jak wryta. A w następnej chwili ujrzała swego narzeczonego, uzbrojonego w długi pistolet. Laoni bynajmniej nie zemdląła na ten widok, oczy jej błysnęły.

- Wiedziałam, że biały słoń przyprowadzi cię do mnie! - zawołała radośnie.

Nguru chwycił ją na ręce i wybiegł z pokoju, nie spojrzawszy nawet na europejskie urządzenie domu.

- Uprzedzam panów - oświadczył wysoki marynarz na pożegnanie - że na jakąkolwiek próbę ścigania nas na morzu odpowiem, zgodnie z rozkazem ministra marynarki, armatami mojej fregaty.

Gdy w godzinę później wystraszeni pracownicy mister Brandona odważyli się wyjść na brzeg małej zatoki, w oddali widać było już tylko mgliste zarysy żagli. Zapewniali potem jednogłośnie, że nigdy nie widzieli na tych wodach tak groźnej brytyjskiej fregaty.

Marynarze zebrani na mostku „Elly” długo rozprawiali nad dziwnym i złowieszczym widmem, które znikło w północno-zachodniej stronie.

Sztorm ciskał lekkim statkiem jak łupiną w głębokie zapadliny między falami. W nocy okręt zbliżył się do wyspy, otoczonej ze wszystkich stron wysoką ścianą oceanicznego przyboju. Lorn, Tressel i Olbert wpatrywali się w mapę wyspy, sporządzoną ongiś przez Brantleya i Wenta. Już tylko mila dzieliła jacht od wejścia cieśniny.

- Jeśli Murzyni rzeczywiście się zbuntowali, mogą ostrzeliwać nas w cieśninie i odciąć nam wyjście z zatoki - powiedział Lorn.

- Tak, ale Zatoka Korsarza to jedyne miejsce nadające się na postój okrętu - zauważył Tressel.

- Nie sądzę, aby w zatoce groziło nam jakieś niebezpieczeństwo. Wyspa sprawia wrażenie zupełnie bezludnej. Nigdzie nie widać ani jednego światełka.

- Właśnie to mi się nie podoba. Wraz z załogami obu szkunerów powinno tu być siedmiuset ludzi. Poczekamy do świtu.

Szare kontury skalistych cypli stawały się coraz wyraźniejsze. Mrok nocy cofał się przed światłem dnia. Wreszcie zgasł księżyc na niebie, a poranny wiatr zmienił kierunek. Pędził teraz nad wyspą niskie czarne chmury. Na prawo od skalistego cypla, ze spiętrzonymi falami przyboju, ukazał się wrak rozbitego szkunera. Joseph Lorn poznał rufę „Dorotei”.

- Długo mógłby czekać Caracciola w Kapsztadzie na powrót okrętu! - zawołał Lorn. - Sprawa zaczyna się wyjaśniać. „Dorotea” uległa katastrofie. Wobec tego przypuszczenie, że Murzyni się zbuntowali, odpada. Kapitanie, proszę wprowadzić jacht do zatoki.

Posłuszny sterowi jacht wpłynął w gardziel cieśniny. Pomiędzy wysokimi brzegami panował jeszcze przedranny mrok. Jacht wolno sunął środkiem cieśniny i szczęśliwie dotarł do miejsca, w którym zaczynał się zakręt w lewo. Ale tu o mały włos nie wpadł na zagrządzającą drogę potężną belkę, pozostawiającą tylko wąskie przejście z prawej strony, pod samymi nadbrzeżnymi skałami. Statek ledwo zdążył w ostatniej chwili skrócić i jacht znalazł się nieomal przyciśnięty do brzegu pod potężnym nawisem skalnym, czerniejącym na wysokości jakichś trzydziestu stóp.

Odpychając się bosakami od skały marynarze ostrożnie przeprowadzili statek przez niedogodne miejsce. Jacht wychodził już z wąskiego przesmyku, gdy nagle stojący na mostku Lorn odczuł gwałtowny wstrząs. Kil jachtu zaczepił o sieć rybacką umocowaną do na wpół pogrążonej w wodzie belki. Lorn nie zdążył uprzedzić Tressela, gdy sieć naprężyła się i wolno odepchnęła belkę w bok. W tejże samej chwili w górze rozległ się głuchy huk detonacji, skałę przesłonił obłok gryzącego dymu i nawis skalny runął w dół. Statek wstrząsnął się od kilu po wierzchołki masztów, potężne głazy wraz z całą lawiną drobnych kamieni zwały się na rufę. Pokład został zdruzgotany z taką siłą, że ocalałe końce desek poleciały w górę razem z wyrwanymi gwoździami. Tylna część kadłuba trzasnęła jak skorupa orzecha zmiażdżona w kleszczach; woda wdarła się do komory rufowej, siejąc spustoszenie, i „Elly” aż po samo nadburcie pogrążyła się w wodzie. Pod straszliwym uderzeniem w rufę statek szarpnął się w przód i nim załoga zdążyła spuścić szalupę, jacht wolno osiadł na dnie. W tym miejscu nie było już głęboko, niemniej ludzie znaleźli się po pierś w wodzie. Szalupa ratunkowa, zawieszona na dźwigach i nakryta rezerwowym żaglem, zakołysała się na falach. Marynarze uwolnili ją z trudem i opuściwszy na szalupie jacht, popłynęli ku piaszczystej mierzei.

Ze sześć krokodyli wylegających się na piasku okazało duże zainteresowanie na widok łodzi w tak bezpośrednim sąsiedztwie. Aby dostać się na brzeg przez mierzeję, trzeba było przejść obok ich rozwartych paszcz. Toteż postanowiono przepłynąć zatokę na ukos i wylądować na przeciwległym brzegu. Pułapka w cieśninie świadczyła, że wyspa jest we władzy podstępnego i niebezpiecznego wroga.

Olbert, sternik „Elly”, skulony na rufie każdej chwili oczekiwał strzału w plecy lub pojawienia się łodzi z wrogami. Od dawna już dziwił się lekkomyślności, z jaką Lorn puścił się w ten rejs. Jacht wyszedł z Kapsztadu w poniedziałek. Załoga wraz z Lornem liczyła trzynastu ludzi. Jacht żeglował dalej, zgodnie z obranym kursem, mimo groźnej nocnej zjawy „Latającego Holendra” i mimo, że on, Olbert, radził zawrócić. Czegóż więc można było teraz oczekiwać po tak jawnym lekceważeniu niechybnie złowróbnych znaków?

Panująca wokół cisza działała przygnębiająco. Za każdym drzewem zdawali się ukrywać wrogowie. I chociaż wyspa sprawiała wrażenie wymarłej, było rzeczą zupełnie oczywistą, że wróg zaczął się tylko i czeka w pogotowiu.

Uzbroiwszy się w noże, marynarze przybili do brzegu. Joseph Lorn wyskoczył z łodzi. Przed nim rozciągał się nieprzebyty gąszcz leśny. Odwrócił się do marynarzy, rzucił rozkaz i pierwszy pobiegł w stronę zarośli, oczekując wystrzału. Załoga, przygięta do ziemi, pospieszyła za nim.

Ale ciszę lasu naruszały tylko głosy ptaków. W dali wyraźnie rysował się na tle nieba dymiący szczyt wulkanu. I to było chyba jedynie źródło dymu na całej wyspie.

Przedzierając się wzdłuż brzegu przez kolczaste zarośla, dotarli wreszcie do polany wśród lasu. Oczom rozbiteków ukazało się kilkadziesiąt skleconych z gałęzi chat i szałasów. Bardziej na lewo sterczały szkielety dwóch namiotów, a jeszcze dalej wznosiły się sęgi drzewa, resztki pomostów dla tarczy i ogromne stopy chrustu.

Tu nikt nie mieszka - cicho powiedział Lorn.

- Z czego pan to wnioskuje? - zainteresował się Tressel.

- Niech pan dobrze się przyjrzy, to sam pan zobaczy.

Dopiero teraz Tressel zauważył, że mnóstwo ptaków najspokojniej kręci się pomiędzy chatami i przelatuje z dachu na dach. Nikt ich nie płoszył w tym pustym osiedlu.

- Ma pan rację. Ale zaczyna padać deszcz. Może poszukamy jakiegoś schronienia? Tu też łatwiej będzie się bronić w razie nieoczekiwanej napaści.

Stojąca najbliżej brzegu i największa chata, wzniesiona na niewielkim pagórku, zdawała się być najodpowiedniejsza dla obrony. Gdy marynarze zbliżyli się do niej, stado dzikich gołębi z łopotem skrzydeł wzbilo się w górę tuż spod ich nóg. Lorn zajrzał do środka. Obszerna izba była pusta, przy palenisku z dawno ostygniętym popiołem leżało trochę drzewa. Marynarze rozniecili ogień. Po dachu bębnił już deszcz.

- Ale co się stało z „Glorią”? W zatoce jej nie ma. Może rozbiła się na rafach podwodnych? I gdzie się podziała załoga „Dorotei”? Czyżby wszyscy zginęli?

W końcu Lorn nie wytrzymał dławiącej ciszy.

- A-hoi! - zawołał przykładając dłonie do ust. - O'Heary! Hatchinson! Halo, Wilson! Gdzie jesteście? A-hoi!

Cała załoga „Elly” idąc za przykładem Lorna poczęła wołać „halo” i „ahoi” na różne głosy.

Szelest drzew i szum deszczu były jedyną odpowiedzią na ich wołania. - Niech piekło pochłonie tę wyspę! - ochryple mruknął Lorn.

Wyznaczył dwóch wartowników, kazał kucharzowi okrętowemu poszukać żywności w najbliższych chatach i razem z Tresselem i Olbertem poszedł obejrzeć osadę.

- Chaty są bez wątpienia murzyńskie - powiedział do swych towarzyszy. - Ale wybuch przy wejściu do zatoki - to pomysł Europejczyka. Prawdopodobnie ukrywają się tu również jacyś biali... Ach, ta diabelna cisza! To działa na nerwy, sacramento!

Chaty stały w odstępach dwudziestu do trzydziestu jardów. Zajrzeli do jednej, do drugiej... Wszystkie były puste.

Nagle Olbert chwycił Lorna za rękaw.

- Niech pan spojrzy, mister Lorn! W lesie widać jakby dym! I tam, nad tamtą chatą, też unosi się strużka dymu!

Szli ostrożnie przez pustą osadę. Za chwilę spotkają przynajmniej jakieś żywe stworzenia!

Lorn uniósł plecioną matę zasłaniającą wejście do niskiej chatki, nad którą zauważyli dym. W środku panował półmrok. W podnieceniu nikt nie zwrócił uwagi na dziwny, nieprzyjemny zapach. Tym bardziej nikt nie pomyślał o fosforze zapalającym się od wody. Kto by zresztą w takiej chwili pamiętał o chemii!...

Przez dziurawy dach kapwały krople deszczu, ale na palenisku tlił się niebieskawy płomyk. Siedziały przy nim... cztery kościotrupy i rozniecały ogień! Pochyliły nagie czaszki, jakby rozdmuchując płomień. Jeden z nich zamarł w nieruchomej pozie z wiązką chrustu w rękach, lecz... końce chrustu też się tliły niebieskawym płomieniem. Przy ognisku grzały się nieboszczyki!

Olbert wypadł z chaty i z przeraźliwym krzykiem rzucił się do ucieczki. Tressel, zwalczywszy strach, chwycił polano i cisnął nim w dziwną kompanię przy palenisku. Dwa szkielety rozsypały się z suchym grzechotem, trupia czaszka potoczyła się pod nogi Lorna. Kopnął ją z przekleństwem.

Nagle ogłuszający grzmot wstrząsnął całym wybrzeżem zatoki. Było to jak smagnięcie biczem po napiętych nerwach Lorna. Wybiegłszy na dwór ujrzał czarną fontannę ziemi, wytrysła w miejscu, gdzie stała chata, w której schroniła się reszta załogi. Poprzez kłęby dymu zdołał jeszcze zobaczyć, jak Olbert, nie dobiegłszy do chaty, upadł na wznak, podrzucony siłą wybuchu w powietrze.

Razem z Tresselem pobiegli na miejsce wybuchu. Ogłuszony Olbert już się podnosił, dzikim wzrokiem rozglądając się na wszystkie strony. Na miejscu chaty czerniał głęboki lej. Naokoło wały się szczątki chaty, wyrwane z ziemi kamienie i ciała dziewięciu marynarzy „Elly”. Tylko dzięki przypadkowi ocalał dziesiąty z nich, kucharz okrętowy, który tuż przed wybuchem wyszedł, aby poszukać w sąsiedztwie czegoś do jedzenia.

Czterech prawie bezbronnych, głodnych i przerażonych ludzi, którym ze wszystkich stron groziły tajemnicze niebezpieczeństwa, postanowiło opuścić niesamowitą osadę umarłych.

Ogień w lesie, już przedtem zauważony przez Olberta, płonął coraz jaśniej; nad lasem, niby jutrzienka, rozpalala się wolno czerwona łuna.

Kok i Olbert weszli na ścieżkę wijącą się wśród gęstych zarośli i prowadzącą w głąb lasu. Lorn i Tressel szli za nimi.

W pewnej chwili kok nastąpił na korzeń leżący w poprzek ścieżki. Nie zdążył jeszcze unieść drugiej nogi, gdy w powietrzu rozległ się ostry świst i marynarz runął na wznak, o mało nie zwaliwszy z nóg Olberta. W piersi martwego koka tkwiła długa strzała, która przeszła go na wylot. Lorn przyjrzał się korzeniowi i rozchylił krzaki: tuż przy ścieżce, umocowany pionowo, ukryty był w krzakach wysoki łuk ze spuszczoną cięciwą...

- Murzyńska sztuczka... - mruknął Olbert. - Słyszałem o takich pułapkach w afrykańskich dżunglach. Oby tylko Pan Bóg pomógł nam stąd się wydostać!... Niech pan patrzy, mister Lorn, jesteśmy ze wszystkich stron otoczeni leśnym pożarem! Podpalili las i chcą nas zamknąć w pierścieniu ognia.

Lorn rozejrzał się. Ptaki z trwoźnym krzykiem latały nad obłokami dymu. Z leśnego gąszczu raz po raz wybiegały dzikie kozy, szakale, małpy. Trzeba było szukać ratunku w górach, ale jak się do nich dostać, gdy nie można iść tymi przeklętymi ścieżkami!

Trzech ocalałych ludzi poczęło się przedzierać na przełaj za uciekającymi zwierzętami. Szli tak parę godzin przez las, aż w końcu dotarli do gór. Wąwóz o kamienistych zboczach, wznoszący się stopniowo, prowadził ku Skalistemu Szczytowi.

Zbliżał się wieczór, deszcz ustał. Podsycany silnym wiatrem pożar gwałtownie się rozszerzał. Trzej marynarze przeszli jeszcze milę w górę wąwozu. Teraz, na tle zachodzącego słońca i niskich chmur, widać było jak na dłoni las ogarnięty pożarem, a dalej, w zatoce, obok żółtej ławicy piasku - maszty zatopionej „Elly”.

- Musimy poszukać sobie jakiegoś schronienia na noc - rzekł Lorn. - Jeśli spróbują podkraść się do nas, będziemy walczyć. Jakkolwiek prócz tych przeklętych kościotrupów na całej

wyspie nie widać ani jednej ludzkiej istoty, przecież chyba nie umrzyki gospodarzą w osadzie, powodują wybuchy i palą lasy? To wszystko wygląda na jakąś diabelską sprawkę! Wspinali się teraz po stromym zboczu. Ostatnie promienie zachodzącego słońca padały na omszałą skałę, na której widać było jakieś znaki. Lorn z trudem odcyfrował długi nagrobny napis.

- Mogiła Bernardita!... - wyszeptał.

Wszyscy trzej, goniąc resztkami sił, pokonali ostatnią stromiznę i znaleźli się na dość rozległym występie skalnym. Niestety, okazał się już zajęty i to przez bardzo dziwnych gości. Pośrodku platformy, pod samym napisem, wznosił się kopiec mogiły z granitową płytą. Przy tej płycie odbywała się zaiste niezwykła uczta: jedenastu nieboszczyków rozsiadło się w najbardziej dziwacznych pozach na miejscu wiecznego spoczynku Bernardita Luiza. Nagie czaszki pochylały się ku sobie, jakby nieboszczycy nad czymś się naradzali. A na płycie nagrobnej stały butelki i cynowe kubki!

Olbertowi włosy podniosły się na głowie. Joseph Lorn cofnął się. Tressel czuł, że za chwilę oszaleje. Jak najspieszniej opuścili platformę z wesołymi nieboszczykami i wdrapali się na występ skalny, spod którego spadał w dół wodospad. Otoczyła ich gęsta mgła. Brzegi chmur świeciły krwawo-czerwonym odbłaskiem pożaru. A w dali, za obłokami dymu, czerniały cyple wybrzeża i fale oceanu z sykiem były o urwiste skały Wyspy Umarłych.

Rano mister Joseph Lorn, Hugh Olbert i Robert Tressel sami się dziwili, że jeszcze żyją i że straszna noc minęła szczęśliwie.

W świetle poranka ujrzeli na dnie wąwozu stado dzikich kóz, które uciekając ze zboczy gór przed pożarem, zbiły się teraz w gromadkę na brzegu strumienia.

Lorn podkradł się do nich z nożem i zabił ranne kozłatko. Rozpalili ognisko. Był to ich pierwszy posiłek od chwili katastrofy jachtu. Pokrzepiwszy się, ruszyli korytem strumienia w stronę zatoki i pod wieczór dotarli do swej szalupy. Łódź na ich szczęście ocalała. Długo ją oglądali, obawiając się jakiegoś nowego podstępu wrogów. W końcu wsiedli do łodzi i przepłynęli zatokę. Na piaszczystej mierzei nie było tym razem krokodyli, wypłoszył je stąd nisko ścielący się dym pożaru. W piasku rozbitkowie znaleźli mnóstwo żółwich jaj. Upiekli je i najedli się do syta.

Następnie, rozebrawszy się i nie wypuszczając z rąk noży, poczęli oglądać na wpół zatopioną „Elly”. Była pora odpływu. Z wody wystawała przykrywa zamkniętego luku. Wyłamali ją bosakiem i zeszli do ładowni, gdzie znaleźli zapasy żywności.

- Słuchaj, Joe, co sądzisz o tym całym diabelstwie? Może to sen, a może upiliśmy się rumem? Słowa Tressela głucho dudniły w ładowni. Lorn przeżegnał się.

- Chciałbym się już znaleźć o tysiąc mil stąd! Widać cała sfera diabłów wyrwała się z piekła na tę wyspę. Trzeba stąd jak najprędzej uciekać! Ja radzę, abyśmy na łodzi wypłynęli na morze. A gdy spotkamy szkuner Caraccioli, zawrócimy go o szesnaście rumbów. Niech się diabli zajmują plantacją na wyspie Rilanda. Nie jestem tu jego sługą! Dziesięć razy wolę utonąć, niż spędzić jeszcze jeden taki dzień!

Tressel i Olbert z radością przyjęli radę Lorna. Szkuner Caraccioli, jak sądzili, zatrzymał się nie opodal podwodnych raf, w odległości jakichś sześćdziesięciu do osiemdziesięciu mil od wyspy. Była więc szansa na ocalenie!

Wysłannicy wicehrabiego Chancefieldu, zaopatrzwszy szalupę w żagiel, zabrali zapas żywności i baryłkę słodkiej wody do picia, ustawili na rufie tent z żaglowego płótna i zajęli miejsca przy wiosłach. Lorn przyniósł z jachtu koło sterowe „Elly”, dziennik okrętowy i szkatułkę z pieniędzmi. Nadal jednak nie mieli bronii. Przeżegnawszy się, Lorn odepchnął łódź od piaszczystej mierzei. Szczęśliwie minęli cieśninę, postawili żagiel i walcząc z falami i prądem popłynęli przed siebie.

Malutka łupinka z trzema uciekinierami coraz bardziej oddalała się od spowitej dymem wyspy, zdana całkowicie na łaskę i niełaskę posepnego, pustynnego oceanu...

W drugim dniu żeglugi łódź zbliżyła się do podwodnych raf. i tu, ku swemu przerażeniu, trzech uciekinierzy natknęli się na szczątki rozbitej „Fortuny”. Obejrzeliby zatopiony szkuner, lecz nie znaleźli zbyt wiele dla uzupełnienia swych zapasów. Przenieśli się natomiast do innej szalupy, obszerniejszej i bardziej pewnie trzymającej się na wodzie. Dalsza żegluga na łodzi z „Fortuny” trwała blisko trzy tygodnie. Kończyły się już zapasy, a baryłka na wodę od trzech dni była pusta, gdy w odległości około dwustu mil od Przylądka Igielnego rozbitkowie zostali uratowani przez okręt płynący do Indii Zachodnich.

Pieniądże, jakie mieli, szybko się wyczerpały. Zmuszeni koniecznością zamustrowali się na statek kabotażowy Kompanii Zachodnioindyjskiej i pływali na nim przez dwa miesiące, zanim trafił się okręt brytyjski, który odstawił ich do Gibraltaru. Dopiero zimą 1779 roku wszyscy trzech wylądowali wreszcie na angielskiej ziemi, w Bristolu, i pocztowym dyliżansem przybyli do Bultonu. Wysiadłszy przed gospodą „Biały Niedźwiedź” Joseph Lorn ze zdumieniem poznał w osobie jej nowego właściciela mister Woodrowa Craga, który mocno przytył i stał się jeszcze bardziej majestatyczny i wyniosły.

Zanim Hugh Olbert i Robert Tressel zdążyli odkorkować pierwszą butelkę, mister Joseph Lorn, wysłuchawszy od Craga nowin, już siedział w dorożce i jechał do swego wysokiego patrona, sir Rilanda, hrabiego Chancefieldu, admirała floty królewskiej.

## 6

Na pokładzie „Afrykanki” panowała niewiarygodna ciasnota. Ponad siedmiuset ludzi ocalałych z niewoli wracało do Konga. Czarni marynarze kapitana Bernardita, manewrujący żaglami, musieli dosłownie przestępować przez ciała swych rodaków leżących pokotem na pokładzie. W czasie rejsu od Kapsztadu do ujścia Konga okręt tylko dwa razy przybijał do wybrzeży spotkanych po drodze wysp, by uzupełnić zapasy słodkiej wody. Z początkiem listopada 1778 roku „Afrykanka” przyjęła na pokład tubylczego locmana i omijając portugalskie faktorie w delcie Konga, zrobiła jeszcze sto mil w górę świętej rzeki. Okręt płynął w otoczeniu całej flotylli murzyńskich czółen i łodzi z dziwacznymi żaglami. Z obu stron rzeki rozpościerały się bagniste zarośla. Z mostka kapitańskiego otwierał się widok na jaskrawozielony, nieprzyjazny gąszcz tropikalnej dżungli, przepleciony pnączami lian.

Na powitanie okrętu przybył ze swej rezydencji sam Ngudi-Miange, władca krainy Bakongo, ojciec wodza wojowników Majni-Mfumu. Przy dźwięku trąb, trzciniowych fletów i strun marimbo, wśród łoskotu bębnow i ogłuszających powitalnych okrzyków, stary Ngudi-Miange, zanim objął swego syna, uściskał wysokiego kapitana w wytartym trójgraniastym kapeluszu. Bernardito, Anthony i Dorotea zeszli na brzeg i w otoczeniu setek ludzi odbyli na słoniach niedługą zresztą drogę do świętego jeziora nieopodal Mbanza-Kongo, nad którym wznosiła się świątynia poświęcona królowi bogów i przodkom narodu Bakonga.

Kapłani wprowadzili jednookiego kapitana do świątyni i uroczyście ogłosili go „Wielkim Czembu”, zesłanym przez bogów na ziemię, wszechwidzącym świątym okiem, niezwyciężonym oszczepem, błyskawicą boskiego gniewu, potężnym baobabem i palmą pustyni.

Znużony nazbyt długo trwającym oddawaniem mu honorów „Wielki Czembu” spoglądał na tłum czarnych ludzi swoim „wszechwidzącym okiem”. Pod koniec ceremonii wygłosił krótkie przemówienie, które Anthony przetłumaczył wojownikom i kobietom. Bernardito ofiarował w darze czarnemu plemieniu część zdobycznej broni i zapasów żywności, po czym zapytał, czy nowa załoga „Afrykanki” zgadza się odpłynąć z „Wielkim Czembu” i pozostać z nim do czasu, aż znajdzie sobie innych marynarzy. Anthony przetłumaczył kapitanowi, że kapłani zobowiązali załogę, by nie opuszczała okrętu.

W końcu nadszedł czas rozstania. Ku brzegom Konga wyruszyła długa procesja. W



ładowniach „Afrykanki” złożono kły słoniowe, drogocenny mahoń, heban i wiele wyrobów ze złota, srebra i kości słoniowej. Najbardziej jednak zdumiewający dar ofiarował „Wielkiemu Czembu” sam władca Ngudi-Miange. Na jego rozkaz najwięksi mistrzowie murzyńscy, którzy sporządzali ozdoby dla królewskiego pałacu i świątyni, wytoczyli z drogocennych minerałów sztuczne oko, będące dokładną kopią zdrowego oka Bernardita. Kapitan z podziwem oglądał prezent. Włożył sztuczne oko do oczodołu i z największym uznaniem dla sztuki murzyńskich mistrzów stwierdził, że sztuczne oko wygląda w twarzy zupełnie jak jego własne.

- Dobra robota - powiedział Bernardito i rozstał się ze swoją czarną opaską.

Gdy „Afrykanka”, podniósłszy część żagli, wolno ruszyła w powrotną drogę w dół rzeki, przed okrętem ukazała się łódź z sześcioma wiosłarzami. Bernardito kazał zatrzymać okręt. Łódź przybiła do trapu. Stojący na jej dziobie młody wódz Majni-Mfumu skłonił się przed kapitanem i powiedział:

- Starszyzna plemienia postanowiła, że pierwsi ludzie Bakonga, którzy ujrzeli na wyspie twoje wszechwidzące oko i zostali przez ciebie cudem ocaleni z niewoli, zawsze powinni tobie pomagać w twoich wielkich czynach. Naród Bakongo pragnie, aby ci odważni wojownicy nigdy nie rozstawali się z tobą, nie znali innych wodzów prócz ciebie, szli za tobą wszędzie i spełniali twoją wolę.

Nguru, Toopi, Mgambu, Ngano, Timbu i Nori - sześciu pierwszych zbiegów z „Dorotei” - weszli na pokład. Bernardito, który już przedtem się dziwił, że nie widział w czasie ceremonii pożegnalnej swoich przyjaciół, teraz ucieszył się z ich przybycia.

- Moi drodzy, opuściliście Ngawę i Laoni, aby mnie towarzyszyć? - spytał wzruszony.

Cień smutku mignął w oczach Nguru. Odpowiedział jednakże, iż wszyscy sześciu dumni są z zaszczytu, jaki przypadł im w udziale, a Laoni i Ngawa będą sobie musiały poszukać innych narzeczonych.

- Nie, przyjaciele - rzekł Bernardito. - Mogę zabrać z sobą tylko tych, których serca całkowicie należą do mnie. Niechaj Nguru i Toopi pozostaną wśród swego plemienia i nie zapominają, czego ich nauczyłem. Staną się kiedyś wielkimi wojownikami i wodzami. Laoni i Ngawa nie będą musiały szukać innych narzeczonych. Pozostałych czterech dzielnych synów plemienia z radością przyjmuję pod swoje żagle, albowiem ich serca są wolne.

Obaj młodzi wojownicy, zwolnieni przez „Wielkiego Czembu” od nałożonego na nich obowiązku, nader zadowoleni z jego mądrej decyzji pożegnali się z „Wszechwidzącym Okiem”, czterej zaś ich towarzysze, mający od dziś stanowić straż przyboczną „Wielkiego Czembu”, przyłączyli się do pozostałych osiemdziesięciu ludzi załogi. Z taką to załogą okręt opuścił słodkie wody Konga i wziął kurs na Nową Anglię.

W styczniu 1779 roku u wybrzeży Ameryki pojawił się okręt o nazwie „Afrykanka” i rzucił kotwicę w porcie filadelfijskim. Załoga tego okrętu składała się z Murzynów. Jego kapitan, mister Tobbias Chambay, wynajął w mieście małowicznie położony domek dla swej małżonki i synka Charlesa.

Mrs Dorotea Chambay, bardzo piękna Włoszka, zwróciła na siebie uwagę nawet surowych purytanów Nowej Anglii. Osobiście dopilnowała wyładunku i sama załatwiała wszelkie sprawy z kupcami, pragnącymi nabyć rzadkie towary kolonialne.

Kapitan Chambay zatrzymał się w Filadelfii zaledwie przez dwa dni. Zakupił ciepłą odzież i konie i nie pozwoliwszy sobie ani na dzień odpoczynku ruszył na zachód, podążając ku przełęczy wiodącej na drugą stronę Appalachów. Nawet wynajęci przez niego przewodnicy-Indianie dziwili się szybkości tego marszu; nigdy jeszcze nie spotkali tak wytrzymałego i niestrudzonego białego podróżnika. Oprócz indiańskich przewodników towarzyszyli kapitanowi czterej Murzyni o atletycznej budowie, młody Włoch signor Antonio, a także zły, szary owczarek, podobny do bardzo dużego wilka.

W połowie stycznia, przedzierając się przez kraj ogarnięty wojną, wyprawa mister Chambaya

miała już za sobą przeszło trzysta przebytych mil i dotarła do górnego dorzecza Ohio. Stąd droga jej prowadziła przez zaśnieżone leśne ostępy, wzdłuż brzegu zamrożonej rzeki, po śladach oddziału powstańców amerykańskich, który przeszedł tędy niedawno pod dowództwem podpułkownika George'a Rogera Clarka.

## **Wszzechwidzące oko**

### **1**

Nie ma człowieka, który zimą puszcza się w drogę przez lasy, nic bardziej przejmującego niż dalekie wycie wilków. Gdy zgasną ostatnie blaski zachodu i rozplyną się w mroku kontury pojedynczych drzew, tworząc jednolitą, zębatą ścianę, a nad drzemiącym lasem zabłyśnie srebrny sierp niewidocznej żniwiarki, wtedy z głuchych parowów i zarośli nad rzeką leci w zimowe niebo wysokie, ochryple, rozdzierająco żałosne zawodzenie. Zda się wtedy, że to sama leśna zima skarży się księżycowi na mróz, głód i samotność. Owo wilcze wycie - narastające do rozpaczliwego skowytu, to znów opadające do niskiego, groźnego pomruku - powtórzone przez leśne echo, zdolne jest przejąć najmężniejszego szarpiącą trzewia trwogą. I wtedy, chcąc nie chcąc, przywołuje człowiek na pomoc najstarsze ze swych bóstw opiekuńczych - ogień.

...Rączy Jeleń, młody Irokez ze szczepu Onondaga, poczuł zapach obcego ogniska wcześniej, nim zdołał dojrzeć jego blask. Wciągnął głęboko powietrze i zatrzymał w gąszczu leśnym swych towarzyszy, pokazując im gestem, że przed nimi nieznane niebezpieczeństwo. Współplemiennik Rączego Jelenia, Długa Ręka, wskazał podróżnym krzaki, w których winni się ukryć, i obaj indiańscy wojownicy ruszyli naprzód, na zwiady. Nawet śnieg nie zaskrzypiał pod ich stopami, nie chrupnęła ani jedna gałązka, nie słychać było nawet szelestu strąconego igliwia.

Już po chwili Indianie byli z powrotem.

- Dwaj Mohawkowie prowadzą z Daytonu sześciu białych cudzoziemców- Anglików. Jeden z nich jest stary. Są uzbrojeni. Ale to nie są żołnierze Wielkiego Ojca Anglików ani handlarze futer.

- Cóż więc postanowił mój brat Rączy Jeleń? Kim są ci ludzie i dokąd podążają? Czy spotkanie z nimi grozi niebezpieczeństwem? - spytał po angielsku starszy z podróżnych, człowiek w czapce ze skóry jeleniej, indiańskich mokasynach, ze sztucerem w rękach.

Wojownik odpowiedział w żargonie czynuk, będących mieszaniną słów angielskich, francuskich i indiańskich. Żargonem tym posługiwały się wszystkie indiańskie plemiona handlujące z Europejczykami w Krainie Wielkich Jezior i w dorzeczu rzeki Ohio.

- Mohawkowie to bracia plemienia Onondaga. Lecz od czasu gdy w Dolinie Onondaga zgasty ogniska Rady, zaczęła się niezgoda między braćmi. Dwaj Mohawkowie prowadzą tych obcych Anglików na zachód, w stronę Ojca Wód. Nasza droga też tam wiedzie. Niech Bystre Oko sam postanowi, czy ma wyjść do tych Anglików.

- Czy są w pobliżu jakieś indiańskie osiedla lub faktorie białych?

- W miejscu, gdzie Ohio robi zakręt, mieszkają biali. Jest tam futrzana faktoria. Stąd jeden dzień drogi. Do indiańskich wsi bardzo daleko. Tu naokoło - to myśliwskie tereny mojego narodu. Dayton, osada białych, leży na północ. Ci ludzie idą stamtąd... jakieś pięć dni.

- Anthony - odwrócił się człowiek ze sztucerem do młodego myśliwca, który trzymał na smyczy ogromnego siwego owczarka - jakie jest twoje zdanie?

- Proponuję, aby pan pozostał w ukryciu z Długą Ręką i czterema murzyńskimi wojownikami, senior Bernardito, a mnie i Rączemu Jeleniowi pozwolił podejść do ogniska i zobaczyć, co to za ludzie.

- Stajesz się prawdziwym wojownikiem, mój młody przyjacielu... Zgoda! Idźcie, a my tymczasem okrążymy tych ludzi. Sygnałem niebezpieczeństwa będzie wystrzał. Naprzód,

przyjaciele.

Manewr okrążenia obcego ogniska został wykonany szybko i bezgłośnie. Bernardito ułożył swój sztucer na gałęzi świerku i wpatrzył się w migocący płomień. Po chwili rozległ się głos Rączego Jelenia, który z daleka krzyknął coś do indiańskich wojowników i razem z Anthonym śmiało ruszył wprost ku ognisku. Zamigotały cienie, słychać było przygłuszone głosy. Wkrótce Anthony wrócił do pozostałych towarzyszy siedzących w zasadzce.

- Senior Bernardito - powiedział - ci obcy nie wyglądają na tutejszych kolonistów. Równocześnie jednak odniosłem wrażenie, że i oni mają zamiar trzymać się z daleka od fortów z wojskiem. Mnie się wydaje, że nie są to wrogowie. Ale podążają do Błękitnej Doliny, a przy tym spieszą się nie mniej od nas.

- Do Błękitnej Doliny? Cóż, postaramy się w drodze zorientować w ich zamierzeniach. Rzeczywiście wygląda na to, że to nie są wrogowie. Inaczej nie kryliby się przed angielskim wojskiem... Idziemy do nich, Anthony, ale miej oczy i uszy otwarte. Nie zapominaj o ewentualnych wysłannikach Giacoma Grellego.

Już kilka dni przedzierał się na zachód połączony oddziałek. Postoje skracano do ostatecznych granic, zatrzymywano się na nocleg, gdy gwiazdy zapalały się już na niebie, i jeszcze w ciemności zarzucano śniegiem ślady nocnych popasów. Setki mil leśnej głuszy pozostawały za nimi. Czterech indiańskich wojowników podziwiała tę szybkość marszu, niezwykle trudnego dla białych ludzi.

W miarę zbliżania się do celu wzrastała ostrożność przewodników. Oddział przedzierał się przez ziemie plemion Seneca i Kajuga, które posłały amerykańskim kolonistom tomahawk wojny. Razem z białymi żołnierzami angielskimi wojownicy szczepów Seneca, Kajuga, część Mohawków i algonkińskie plemię Shawnee wstąpiły „na ścieżkę wielkiej wojny”. W puszczy rozbrzmiewało echo wystrzałów; jedni czerwonoskórzy zabijali drugich czerwonoskórych, jedni drugim równali z ziemią osady, palili wsie, a to wszystko - w imię szczodrych obietnic króla angielskiego, który ogłosił Indian swoimi „dziećmi” i obiecał im przywrócić ziemie i wolne życie, gdy tylko skończy ze zbuntowanymi kolonistami...

W pierwszych dniach lutego 1779 roku oddział zbliżył się ku wodospadom w dolnym dorzeczu Ohio. Przewodnicy udali się na zwiady, Bernardito zaś z Anthonym i Murzynami szukowali na noc szałas i ognisko. Kolacja dawno już była gotowa, gdy wrócili przewodnicy, niosąc na rękach bezwładne ciało okryte płaszczem Rączego Jelenia. Anthony odsłonił twarz przyniesionego człowieka i zobaczył starego Indianina o jastrzębim nosie, głęboko wpadniętych oczach, z kilkoma orlimi piórami w kępcę włosów na czubku głowy. Indianin był ciężko ranny w nogę. Przewodnicy, którzy natknęli się na ślady krwi, idąc po nich znaleźli tego starego wojownika ukrytego w lesie i przynieśli go na miejsce nocnego biwaku.

Gdy ranny odzyskał przytomność, dano mu na pokrzepienie łyk rozcieńzonego spirytusu, nakarmiono i umieszczono przy ognisku z trzech grubych pni, ułożonych tak, by dawały równomierne ciepło wszystkim śpiącym w szałasie i nie zgasły do samego świtu.

Stary Indianin z całkowitą obojętnością patrzył na swych wybawców i z początku nie odpowiadał na pytania. Potem jednakże zdziwiła go widocznie a nawet wzruszyła troskliwość okazywana mu przez obcych podróżników, którzy nie pożałowali dla niego ani dobrego jadła, ani nawet „wody ognistej”. Gestem pokazał, że jest zadowolony i chciałby teraz usnąć, a gdy odpocznie, będzie mówić z Bystrym Okiem, w którym domyślił się wodza małej wyprawy. Bystre Oko usadowił się przy ognisku, nabił swą nieodłączną fajkę i spoglądając na twarz śpiącego Indianina, poprosił najstarszego spośród myśliwych z Daytonu, by usiadł bliżej niego.

- Nie pierwszą już noc spędzamy razem przy jednym ognisku - powiedział - i cel naszej wędrówki jest wspólny. Zza każdego krzaka grozi nam niebezpieczeństwo i być może

wypadnie nam również je dzielić. Lecz dotychczas nawzajem nic o sobie nie wiemy... Nazywam się Tobiasz Chambay.

Bernardito przyjaznym gestem podał staremu swój kapciuch z tytoniem. Ten stanowczo podziękował. Kapitan mówił dalej:

- Po pańskich rękach poznaję, że jest pan rzemieślnikiem, a pańscy towarzysze podróży to prawdopodobnie irlandzcy chłopci. Jest pan kwakrem?

- Nie, metodystą.

- Nie bardzo się wyznaję w tych religijnych subtelnosciach. Czy nie chciałby pan wymienić swego nazwiska?

- Nazywam się Eliot Maggerson. Jestem byłym rękodzielnikiem z Lancashire.

- Dawno opuścił pan Anglię?

- Cztery miesiące temu... Niech mi pan powie, mister Chambay, a ci pańscy czarni towarzysze... Ma pan pewno coś wspólnego z handlarzami niewolników?

Bernardito wybuchnął takim śmiechem, że płomień w ognisku zachybotał i śpiący Indianin poruszył się niespokojnie.

- O tak, mister Maggerson, z handlarzami niewolników istotnie miałem coś niecoś do czynienia... Tylko że moi czarni towarzysze nie mają o to do mnie żalu.

- Pana też niełatwo rozgryźć, mister Chambay. Przecież nie jest pan ani traperem, ani zwykłym myśliwym, ani handlarzem futer i skór... A może jest pan agentem werbunkowym albo duchem\*?

- Hm! Duchem, powiada pan, mister Maggerson? Dalibóg, trafił pan w samo sedno! Cha, cha, cha! Rzeczywiście - duch... Bez krwi i ciała, ale z mocnymi pięściami, caramba!

Maggerson z niedowierzaniem patrzył na dziwnego podróżnika. Jego prawe oko iskrzyło się wesołością, lewe zachowywało martwy spokój... W jakim celu ten człowiek podąża do Błękitnej Doliny? Skąd się tu wziął?...

- Na jakim okręcie przybył do Ameryki, mister Chambay? I w którym porcie zstąpił pan na amerykańską ziemię?

- W Filadelfii, a przyplłynąłem na brygu „Afrykanka”.

- Czy pański okręt nie przybył z Kapsztadu?

- Tak, rzeczywiście z Kapsztadu, z tym że wstąpiliśmy po drodze do Zatoki Gwinejskiej, w ujście Zairy.

- A ten młody Włoch nazywa się Caracciola, prawda? - patrząc prosto w oczy rozmówcy spytał Maggerson.

Bernardito chwycił starego za ramię.

- Słyszał pan o tym łotrze? Na Boga, zaklinam pana, proszę mi powiedzieć, co pana tak pędzi do Błękitnej Doliny?

- Obowiązek obrońców oszukanych... Jeśli ten młody człowiek nie jest Caracciolą z Kapsztadu, a pan nie przybył na transportowcu „Omega” przez Yorktown, nie będziemy chyba sobie nawzajem przeszkadzać w Błękitnej Dolinie!

- Mister Maggerson, Caracciola nie żyje! Zginął z naszych rąk... O transportowcu „Omega” nic mi nie wiadomo. Nie chcę wnikać w pańską tajemnicę, ale jedno niech pan wie: jeśli spieszy pan na pomoc ludziom w Błękitnej Dolinie, nie znajdzie pan wierniejszych sojuszników niż ja i signor Antonio!... Ale nasz chory się budzi...

Ranny Indianin uniósł się na łokciu i poprosił pić. Bernardito sam go napoił z kubka z brzozy kory. Stary indiański wojownik obejrzał swój opatrunek i zadowolony ze sztuki leczniczej Bernardita i Anthony'ego niespiesznie wyjął rzeźbioną fajkę, nabił ją tytoniem z

---

\* Duchami nazywano w Anglii XVIII w. ciemne typy trudniące się kradzieżą i kupowaniem dzieci, by je potem sprzedać w długoletnią niewolę plantatorom lub innym przedsiębiorcom w koloniach. Ten haniebny proceder, zakazany przez prawo, był po cichu tolerowany w niektórych hrabstwach (przyp. aut.).

kapciucha Bernardita i podał Bystremu Oku.

Kapitan pierwszy pociągnął z fajki i puścił dalej w krąg. Gdy obeszła wszystkich myśliwych i wróciła do właściciela, ten oparł się wygodniej plecami o stos świerkowych gałęzi i zaczął opowiadać o wydarzeniach w leśnej krainie...

- Słuchajcie mnie, obcy myśliwi, goście naszych lasów. Opowiem wam o sprawkach waszych braci, bladych twarzy, co mają dusze czarniejsze niż skóra waszych Murzynów, tych czarnych ludzi o czystych sercach! Usłyszycie prawdę, którą ja znam od mojej matki. Widzę, że wasze matki nauczyły was dobrych obyczajów, a wasi ojcowie uczynili z was prawdziwych mężów. To dobrze! Takich jak wy mało jest wśród białych. Oni są silni chytrą słabych i podstępnością tchórzów...

Nazywają mnie Lecący Kamień. Pochodzę z rodu Wilka, ze szczepu Seneca. Mój ojciec był sachemem plemienia. Moja matka, imieniem Długa Pamięć, przeżyła ponad sto zim i pamięta te czasy, kiedy w Dolinie Onondaga zasiadała przy ognisku Wielkiej Rady starszyzna pięciu plemion naszego narodu. Huroni, nasi wrogowie, których myśmy rozgromili, w swej bezsilnej nienawiści przewalili nasz naród Irokezami\* i blade twarze zaczęły nas też tak nazywać. Ale my sami nazywamy się narodem Długiego Domu, albowiem jeszcze moja matka w młodości mieszkała w takim długim domu, gdzie płonęło pięć ognisk i pod jednym dachem żyło w przyjaźni i zgodzie dziesięć rodzin naszego rodu. Moja matka została potem głową tego rodu. Ile razy w Dolinie Onondaga, odległej o setki mil, rozpalano ogniska Wielkiej Rady, matka moja wędrowała tam razem z innymi kobietami plemion Seneca, Onondaga, Kajuga, Oneida i Mohawków. Matka pamięta, jak na Radzie rozpalono jeszcze jedno ognisko i plemię Tuskarorów weszło jako szóste do związku. Nawet orzeł w podniebnym locie nie ogarnie okiem ziemi i terenów łowieckich naszych plemion. Od Ojca Wód Missisipi po szczyty Alleghanów, czyli Appalachów, i od skalistego wąwozu, gdzie huczą wściekłe wody Niagary, po czyste nurty rzeki Tennessee. Wszystkie obce plemiona, które musiały przechodzić przez nasze ziemie, płaciły naszemu narodowi daninę w futrach i wampumach. W naszych wsiach nigdy nie brakowało zimą zapasów żywności. Jesienią na naszych polach kukurydza była tak wysoka, że łatwiej było w niej zabłądzić niż w lesie. A odważnych wojowników i myśliwych sześciu plemion Długiego Domu nikt nie zdołałby policzyć!

Kiedy Francuzi i Anglicy rozpoczęli w Kanadzie wojnę między sobą, nasz naród uwierzył Anglikom, a Delawarowie i Huroni - Francuzom. My zwyciężyliśmy. Anglicy przepędzili Francuzów i zajęli ich twierdze w Krainie Wielkich Jezior. I wtedy to zza Alleghanów zaczęli ścigać w dolinę Ohio na indiańskie ziemie koloniści-squatterzy, chociaż ich Wielki Ojciec za oceanem zabronił im tego. Naród indiański zbuntował się. Zjednoczył swoje siły i wstąpił na ścieżkę wojenną. Poprowadził go mężny wódz Pontiac. Francuzi obiecali mu pomoc przeciwko Anglikom, ale potem oszukali Indian, plemiona przestały wojować i rozeszły się, a Pontiaka dosięgła ręka nikczemnego mordercy. Anglicy zapomnieli, że nasze plemiona pomogły im zwyciężyć Francuzów. Teraz koloniści łączą się w bandy, zdradziecko napadają na nasze wsie, depczą nasze pola, rąbią jabłonie, palą zapasy zboża i zabijają dzieci. Wyznaczyli nagrodę za skalp zdjęty z głowy czerwonoskórego wojownika, kobiety lub dziecka. Każdy, kto przynosi skalp Indianina, otrzymuje wiele pieniędzy i może sobie kupić dużo dobrych rzeczy - rumu, prochu, noży i strzelb... Biali mówią: „Dobry jest tylko martwy Indianin!”

Zeszłej zimy w Dolinie Onondaga po raz ostatni zebrała się Wielka Rada sześciu plemion. Angielski oficer mówił na Radzie językiem swego króla, Wielkiego Ojca Anglików, co żyje daleko za morzem, na wschodzie... Prosił nas o pomoc dla jego żołnierzy przeciwko angielskim kolonistom, a koloniści obiecali Radzie wielkie korzyści za pomoc przeciwko

---

\* Irokezi - w języku algonkińskim plemienia Huronów „irokezi” znaczy „istne zmije”.

żołnierzom ich Wielkiego Ojca. I zabrakło wtedy zgody pomiędzy wodzami plemion: plemiona Seneca i Kajuga weszły na ścieżkę wojenną przeciw kolonistom, Oneida i Tuskarorowie - przeciw żołnierzom króla, Mohawkowie i Onondaga podzielili się... W Dolinie Onondaga zgasły ogniska Wielkiej Rady, a wojownicy poróżnionych plemion, dzieci jednego narodu, zabijają teraz jedni drugich. Biada otumanionym! Tam gdzie blade twarze nie potrafiły złamać wiązek prętów, łatwo przełamają teraz każdy pręt z osobna. „Ta której ciało jest czarne”, zbiera teraz w lasach swoje żniwo wśród wojowników... Biada nam! Biada!

Cały oddział zebrał się przy ognisku w szałasie słuchając opowiadania starego Indianina. Wojownicy Onondaga i obaj Mohawkowie w niemym milczeniu wysłuchali tego, co mówił Lecący Kamień. Anthony tłumaczył sens opowiadania czarnym towarzyszom Bernardita, wojownikom afrykańskiego narodu Bakongo...

- Powiedz nam jeszcze, mądry bracie Lecący Kamieniu, co teraz się dzieje tu, nad Ohio. Mamy przyjaciół w Błękitnej Dolinie. Czy dawno przeszedł tędy oddział białych wojowników-kolonistów pod wodzą Clarka? - spytał starego Indianina Bernardito.

Z wyjaśnień Lecącego Kamienia kapitan zrozumiał, że przed blisko dwoma miesiącami przeszedł wśród walki dolinę Ohio oddział pospolitego ruszenia z Wirginii, wchodzący w skład armii generała Washingtona. Oddział ten, pod dowództwem podpułkownika George'a Rogera Clarka, zabija indiańskich wojowników i puszcza z dymem osiedla Indian. Jego przednie straże buszują teraz po lasach. Sam Lecący Kamień w ostatnich dniach został postrzelony z zasadzki właśnie przez żołnierzy Clarka. Doszedłszy do brzegów Ojca Wód Missisipi, oddział zdobył szturmem królewski fort Massec, niedaleko ujścia Ohio, i nagłym uderzeniem, sforsowawszy rzekę Wabash, opanował fort i osiedle Vincennes. Szpice oddziału dotarły do Błękitnej Doliny nad Srebrną Rzeką, lecz zostały odparte przez królewskich żołnierzy. W Vincennes, którego ludność składa się przeważnie z Francuzów, przyjęto Clarka dość przyjaźnie, a niektórzy mieszkańcy Błękitnej Doliny wręcz dali wsparcie jego zwiadowi. Toteż komendant fortu Błękitnej Doliny trzyma swój garnizon w gotowości bojowej i bardzo się obawia swych własnych kolonistów. Jeśli otrzyma posiłki, kolonistom grozi krwawa rzeź.

- Jak się nazywa ten komendant? - spytał Bernardito.

- Nazywają go kapitan Burns - odparł Lecący Kamień.

Bernardito i Maggerson wyszli z szałasu. Śnieg srebrzył się w świetle księżyca. Z doliny Ohio dochodził daleki szum wodospadu i od czasu do czasu odzywało się ponure wycie wilka. Jeden z Indian Onondaga stał na straży przed szałasem.

- Czy wszystko w porządku? - spytał go Bernardito.

- Nie, nie wszystko. Niedaleko stąd idą jacyś ludzie. Trzeba zgasić ognisko.

- Tak, ktoś spłoszył stado wron za tamtym wzgórzem. Masz słuszość, Rączy Jeleniu. Maggerson, trzeba się przygotować do spotkania.

Szybko zgaszono ogień. Uzbrojeni ludzie ukryli się w krzakach, w szałasie pozostał tylko ranny Indianin Seneca. W pełnej napięcia ciszy czujne ucho Rączego Jelenia pochwyciło jakiś szelest... Dwa cienie mignęły nad leśnym strumykiem i natychmiast znikły w gęstwinie.

- To Indianie - szepnął Rączy Jeleń.

Bernardito zajrzał do szałasu. Lecący Kamień też wsłuchiwał się w leśne odgłosy. Gdzieś niedaleko zacmokała wiewiórka. Ranny Indianin uniósł się, przyłożył dłonie do ust i odpowiedział takim samym sygnałem.

- To wojownicy Seneca. Może szukają mnie... Przywołam ich tutaj.

Na umówiony sygnał Lecącego Kamienia z krzaków wyszło dwóch indiańskich wojowników. Stary Indianin porozmawiał z nimi i wymienił Bystremu Oku ich imiona. Jak się okazało, Indianie ci byli z jego plemienia i rzeczywiście szukali w lesie swego rannego brata.

- Czy nie powiedzieli ci twoi przyjaciele, Lecący Kamieniu, co się teraz dzieje w Błękitnej Dolinie? - spytał Bernardito.

- Z Detroit idzie duży oddział żołnierzy króla angielskiego. Prowadzi ich sam gubernator. Oddział zatrzymał się na odpoczynek w forcie Miami, a teraz schodzi w dolinę Wabash, do Vincennes. Z gubernatorem idzie dwustu żołnierzy angielskich, a przed nimi i za nimi idą Indianie Shawnee. Jest ich nie mniej niż cztery, pięć setek. Oddział ten ma odbić fort Vincennes i wesprzeć angielskiego kapitana w Błękitnej Dolinie. I jeżeli ty, Bystre Oko, chcesz zastać przy życiu swoich przyjaciół w Błękitnej Dolinie, to spiesz się. Żołnierze są o trzy dni marszu od Vincennes, a wojownicy Shawnee może już podchodzą do Doliny!

- Anthony i mister Maggerson, nie wolno tracić ani chwili. I bez nas jest teraz komu zatroszczyć się o Lecącego Kamienia... Obaj wojownicy - Mohawkowie poprowadzą wprost do Błękitnej Doliny pana, mister Maggerson, i pańskich towarzyszy. Uprzedzi pan niezwłocznie kolonistów w Dolinie o gotującym się napadzie. Niech się uzbroją, porzucą swoje domy i wyjdą po kryjomu z Doliny, by się połączyć z oddziałem podpułkownika Clarka. Sami nie zdołają się obronić przed wojskiem gubernatora, Burnsem i Indianami... A ja przedostanę się z moimi ludźmi do fortu Massec i zaalarmuję oddział Clarka. Natychmiast ruszamy w drogę, przyjaciele! Księżyc i święty Krzysztof nam dopomogą!

Przy ognisku zatrzymali się jeszcze na krótko Indianie Seneca szykujący do drogi swego rannego współplemiennika. Oddział białych podzielił się na dwie grupy. Maggerson z Irlandczykami odeszli w stronę Błękitnej Doliny, Bernardito zaś ze swoimi towarzyszami, orientując się podług gwiazd, podążył w kierunku fortu Massec...

Opustoszało miejsce nocnego postoju; szczątki szałasów i zasypane śniegiem głównie ostrożnie obwąchiwał szary przywódca głodnego wilczego stada...

## 2

Komendant fortu Błękitnej Doliny kapitan Burns usiadł przy drewnianym stole w narożnej izbie strażnicy, zapalił dwie świece, przygotował pęk gęsich piór i rozłożył przed sobą papier. Adiutant komendanta, ryżowasy sierżant William Lins, w milczeniu obserwował te przygotowania do śledztwa. Za oknem strażnicy stał nieprzenikniony lutowy mrok. Wilgotny, już przedwiosenny wiatr z południa wróżył ocieplenie i śnieżne zamiecie.

- Wprowadzić zbiegów - rzucił Burns.

Dyżurny oficer porucznik Shelton i dwóch wartowników wprowadzili do izby trzech marnie odzianych mężczyzn. Jeden z nich był w znoszonej marynarskiej kurtce.

- Proszę wyjaśnić, co was skłoniło do dezercji z oddziału podpułkownika Clarka i poddania się moim żołnierzom. W jakim celu to uczyniliście? Czy macie jakieś papiery przy sobie?

Chudy, obrośnięty mężczyzna w marynarskiej kurtce podszedł do stołu.

- Proszę usunąć stąd niepotrzebnych świadków, kapitanie - szepnął do komendanta.

Burns ze zdziwieniem spojrział na jego obrośniętą twarz. Boże wielki, toż to przecież...

- Poruczniku Shelton, jest pan wolny. Obserwujcie dobrze osadę! Najmniejsze podejrzenie - od razu sygnał alarmu bojowego! Wzmocnić posterunki naokoło osady. Clark jest niedaleko!

Gdy porucznik wyszedł z żołnierzami, dezerterski rozpiął kurtkę. William Lins, adiutant Burnsa, podał mu nóż. Mężczyzna rozpruł szew pod lewą kieszenią... Wyjął kawałek białego płótna złożony wpół. Podał go Burnsowi.

- A niech cię diabli. Frank Kuna! Co za niespodzianka! Dawno z Chancefieldu? No, siadajcie chłopcy! Niech mnie kule biją, przybyliście w samą porę! Co to za chłopaki z tobą Frank?

- To Grimles i Wansley, kapitanie. Dogonili mnie już w New Yorku. Wkrótce powinien się tu zjawić jeszcze Caracciola. Woodrow kazał działać szybko, lecz ma to być... czysta robota.

- Jakże się wam udało wkroczyć do oddziału Clarka, u licha?

- To odważny wojak, ten podpułkownik Clark. No i jak wszyscy odważni ludzie - łatwowierny. Jego oddział to zbieranina, przyjęli nas bez najmniejszych trudności.



Wolontariusze, w dodatku z własną bronią!... Trzy nowiutkie fergusonowskie karabiny z wiadomego ci myśliwskiego gabinetu, mój przyjacielu!...

- No cóż, to świetnie, chłopcy! A teraz posłuchajcie, co ja wam powiem. Mam tu szczególnie na oku jednego farmera, byłego marynarza Dicka Millsa. Mój tajny agent wśród kolonistów, jakich mało, Enoch Legersen, doniósł, że Mills ukrywał u siebie zwiadowców Clarka i pomógł im się uratować przed pościgiem moich żołnierzy. Co prawda, naczelnik osady Alfred Murray ogłosił rzekomą neutralność Błękitnej Doliny, jednakże zachowanie Millsa rzuca cień również i na Murraya jako naczelnika. Ale on jest bardzo ostrożny ten Murray, niech go piekło pochłonie! Trzeba tu coś wymyślić, aby można było zgodnie z prawem rozstrzelać i jego, i wszystkich tych, których ma na myśli pryncypał.

- Woodrow uważa, że misję powinni wypełnić Indianie. Po co samemu brudzić ręce?

- Aha, chłopcy, najważniejsza wiadomość! Mister Hamilton, gubernator brytyjski, wyruszył z Detroit i idzie tu z wojskiem. W jego awangardzie i ariergardzie idą setki indiańskich diabłów Seneca i Shawnee.

- Słyszałem, że Murray żył dotąd z nimi w przyjaźni? Podobno nie oszukuje ich zbyt w handlu futrami?

- To prawda! Murray rzeczywiście umie się obchodzić z tymi czerwonoskórymi bestiami. Ale niech mnie piorun trzaśnie, jeśli z takimi chłopakami, jak wy trzej, z mister Linsem w dodatku, nie uda się nam zagrać na tej właśnie przyjaźni!

Na drewnianym moście nad Błękitnym Potokiem spotkało się dwóch jeźdźców. Kapitan dragonów Burns zsalutował szpadą naczelnikowi Błękitnej Doliny mister Alfredowi Murrayowi. Ten spojrział przez ramię na oficera, odkłonił mu się nader chłodno i puścił swego mustanga galopem.

- Hallo, mister Murray - krzyknął za nim dragon zdjawszy trójgraniasty kapelusz i wymachując nim w powietrzu. - Niech pan zatrzyma swego rumaka, mam dla pana nowinę... Murray osadził konia w miejscu.

- O co chodzi, panie kapitanie? Burns zbliżył się do niego.

- Widzi pan, zaprzyjaźniony z nami wódz plemienia Shawnee, Górski Orzeł, wiezie swych wojowników do Błękitnej Doliny. Jest to prawdopodobnie awangarda oddziału gubernatora z Detroit. Na pewno już pan o nim słyszał. Być może, że za parę godzin Górski Orzeł i jego syn, Szary Niedźwiedź, z dwiema setkami wojowników będą już tu. Czy pana nie trwoży ta wiadomość?

- Od dawna znam Górskiego Orła. Koloniści Doliny zawsze utrzymywali z nim dobre stosunki. Zarówno on, jak i jego syn, Szary Niedźwiedź, który zna język angielski, nieraz bywali u mnie w domu. I dziś jestem gotów okazać im gościnność. Nie widzę żadnych powodów do trwogi!

- Cóż, tym lepiej, mister Murray! Proszę jednak nie zapominać, że i ja muszę być obecny przy pańskiej rozmowie z Górskim Orłem. W tej chwili może on stać się poważnym sojusznikiem brytyjskiego gubernatora i życzyłbym sobie...

- Dobrze, zaproszę pana. Ale teraz czekają na mnie inne sprawy... Żegnam, panie kapitanie!...

- Poczekaj, ty pyszałkowaty Wirgińczyku, wkrótce będziesz inaczej śpiewał! - mruknął komendant i spał ostrogami swego konia.

Gdy kapitan Burns przygalopował do fortu, obserwator pokazał na rzekę. Po spadzistym brzegu „szykiem węża” schodził w Dolinę pieszy oddział indiański. Na przedzie jechał jeździec na gniadym koniu. Burns od razu poznał wierzchowca wodza plemienia Shawnee. Konia tego podarowali w zeszłym roku Górskiemu Orłowi osadnicy z Błękitnej Doliny.

Komendant fortu podziwiał z daleka wspaniałe orle pióra na głowie wodza. Zamszowa odzież jeźdźcy, lekka i ciepła, była ozdobiona igłami jeżozwierza, paciorkami i niezwykle

kunштownym czerwonym haftem. Na plecach Indianina połyskiwał karabin wojskowy, również podarowany niedawno Górskiemu Orłowi przez mister Murraya. Obok wodza jechał jego syn, Szary Niedźwiedź.

Burns obszedł swój fort i ze szczytu wzniesienia jeszcze raz spojrział na indiański odział. Na ich spotkanie cwałowali już mieszkańcy Doliny. Burns poznał Murraya, Wenta i Francuza Maurice'a Villiera. Kapitan uśmiechnął się, widząc, jak Górski Orzeł uściśnął wyciągniętą rękę Murraya.

- Witam w Błękitnej Dolinie mego brata, sławnego wodza Górskiego Orła i wojowników jego plemienia! - głośno wypowiedział Murray zdanie uprzednio przygotowane w języku plemienia Shawnee.

- Pozdrawiam mądrego ojca Błękitnej Doliny! - odparł stary wódz.

- Cieszę się również z przybycia twojego syna, wielkiego myśliwego Szarego Niedźwiedzia, o Górski Orle - mówił dalej Murray już po angielsku. - Moja pamięć zachowała jeszcze zbyt mało słów w waszym języku, Szary Niedźwiedziu. Ale ty rozumiesz mowę białych, więc proszę cię, abys mi pomógł w rozmowie z wojownikami twego plemienia. Mój dom jest otwarty dla wodza i jego towarzyszy. Powtórz to mojemu bratu, Górskiemu Orłowi, i spytaj go, dlaczego widzę na twarzy mego brata barwy wojny.

- Ognie wielkich bitew płoną w stronie Wielkich Jezior - przekazał Szary Niedźwiedź odpowiedź ojca. - Płomień wojny pożera lasy na podobieństwo letniego pożaru. Wojownicy Górskiego Orła nie zostaną zniechęceni pożarem jak bezrozumne dzieci w palącym się wigwamie.

- Jesteś mądry, o Górski Orle, ale niech będzie zachowany pokój w Błękitnej Dolinie i w wigwamach potężnego plemienia Shawnee... Domy naszych kolonistów są za ciasne dla tylu wojowników, toteż rozkaż im, o wodzu, aby rozbili sobie obóz tam, gdzie im się podoba. A ciebie i starszyznę proszę, byście zechcieli przybyć do mego domu i uważać go za swój, jak długo wasze plemię będzie gościć w Dolinie.

Na skraju osiedla stał nowiutki dom kryty tarcicą, z oknami wychodzącymi na Błękitny Potok, własnoręcznie zbudowany przez Dicka Millsa, byłego marsowego z „Oriona”.

Wczesnym rankiem Mills wziął parę koni ze stajni Murraya i udał się do lasu po drzewo. Wrócił dopiero o zachodzie słońca. Nikt nie witał młodego gospodarza, albowiem domek był pusty. Trzy czyściutkie pokoje i przytulna mansarda z balkonem przypominały wnętrze francuskiego chłopskiego domu w Ardennach. Narzeczona Dicka, Kamila Leblanc, pokojówka lady Emily, pochodziła ze środkowej Francji, i Dick pragnął, aby jego przyszła żona czuła się w swym domu jak w ojczyźnie. Do dnia ślubu pozostały jeszcze dwa tygodnie. Dick zrzucił ciężkie bierwiona przed swym domkiem, wyprzągł konie i odprowadził je do stajni na farmie mister Murraya.

Dom naczelnika osady rozbrzmiewał gwarem. Dick zajrzał przez szybę werandy i zobaczył niezwykle towarzystwo przy długim, odświętnie nakrytym stole.

Na honorowym miejscu, po prawej ręce Murraya, siedział stary Indianin w kompletnym stroju bojowym, majestatyczny jak posąg. Na jego skórzanej odzieży misternie przedstawione bitwy, w których zwyciężał wrogów. Obok Edwarda Wenta siedział młody wojownik, z rysów twarzy podobny do starego wodza. Dalej w długim rzędzie rozsiadło się statecznie dziesięciu starych Indian. Naprzeciwko, po drugiej stronie stołu, zajmowali miejsce najbardziej szanowni i najstarsi mieszkańcy Błękitnej Doliny - doktor Niels Wahlner, monsieur Villier i inni. Mistress Emily krzątała się przy wieczerzy, nie przysiadając się jednak do stołu. Mary Went, Kamila Leblanc i dwie Murzynki pomagały gospodyni.

Dick doczekał się wreszcie chwili, gdy Kamila wybiegła z kuchni. Zapukał do okna kuchennego. Kamila wyfrunęła na tylny ganek, spieszenie odwzajemniła pocałunek

narzeczono i zapowiedziała, że do północy nie będzie miała ani jednej wolnej minuty.

- Wobec tego przyjdę po północy - oświadczył zgodliwy Dick.

- Ach, dajże spokój, Dick! Jeśli nas ktoś zobaczy, Bóg wie co sobie pomyśli. Zresztą, gdybyś przyszedł do altany... wiesz, tej w najdalszym kącie sadu... Tylko tam bardzo zimno...

- Dobrze. A więc po północy w altanie. Przyjdę, Kamilo, i będę czekał choćby do świtu.

W bramie spotkał Dick angielskich oficerów w trójgraniastych kapeluszach i czerwonych mundurach, ze szpadami u boku. Chuderlawy porucznik Shelton i komendant fortu kapitan Burns ze swym adiutantem Williamem Linsem, dzwoniąc ostrogami, weszli na werandę. Oficerowie przepraszaali za spóźnienie, tłumacząc się niecierpiącymi zwłoki sprawami wojskowymi (przed chwilą właśnie kapitan zakończył bitwę w „oko” z własnym adiutantem). Murray usadowił Burnsa obok Górkiego Orła. Służba wniosła pieczoną sarninę z sosem, którego sekretu nie wydobyłby od mrs Emily najwytrawniejszy nawet detektyw. Dymiący sarni rostbef ustawiono na osobnym stoliku. Zgodnie z domową tradycją mister Murray, uzbrojony w długi nóż z czarną kościaną rękojeścią, sam przystąpił do odpowiedzialnej operacji.

W przerwie między daniami gospodarz poprosił Thomasa Bingle'a, aby pokazał gościom parę sztuczek swojej pupilki Mixy. Indianie z trudem powstrzymywali się od śmiechu na widok przezabawnych grymasów małpki. Wielu spośród czerwonoskórych gości po raz pierwszy widziało małpkę i uważało ją za jakiegoś cudaczego ludzkiego potworka. Toteż z pewną obawą spoglądali na zwierzątko umieszczone po przedstawieniu w klatce.

Po puddingu i bardzo mocnej kawie całe towarzystwo przeszło do salonu. Górski Orzeł zaciągnął się cygarem i z widoczną przyjemnością wychylił szklanekę domowego likieru. Jednakże ów trunek, dopełniwszy miary pochłoniętych przez wodza najróżniejszych win i wódek, fatalnie podziałał na siwego wojownika. Starego chwyciła męcząca czkawka. Widząc, jak rozgląda się bezradnie, Murray podtrzymał go pod rękę i wódz na chwiejnych nogach, lecz z zachowaniem godności i dostojeństwa przeszedł do niedużego pokoju obok, który już uprzednio przeznaczono dla niego. Z pomocą Murzyna Cherry gospodarz ułożył Górkiego Orła na kanapie i okrył go pledem.

Oficerowie i pozostali mieszkańcy osady pożegnali się z gospodarzami i wyszli. Na dużym dywanie zaścielającym podłogę w salonie chrapali w malowniczych pozach pijani indiańscy goście.

Kapitan Burns, sierżant Lins i porucznik Shelton po omacku szli w stronę fortu. Nagle z ciemności wynurzył się przed nimi jeździec.

- To ty, Frank? - półgłosem spytał Burns.

- Tak jest, kapitanie. Pilny list do ciebie.

Na tle nocnego nieba mgliście rysowało się wzgórze z fortem na szczycie. Przy moście nad zasypaną śniegiem fosą Burns szeptem podał hasło. Wartownik otworzył im wąską furtkę w warownej bramie. Minawszy baterię wszyscy czterej weszli na szczyt. Tu, w swojej narożnej izbie, oddzielonej od pozostałej części strażnicy ścianą z grubych bierwion, kapitan Burns otworzył kopertę. Było to pismo z fortu Vincennes. Otrzymane wiadomości ucieszyły kapitana. Oddział gubernatora Hamiltona forsownym marszem przebył ponad dwieście mil od Miami, idąc lesistą doliną rzeki Wabash, nagłym uderzeniem zaatakował fort Vincennes i wyparł z niego pozostawiony tam przez Clarka niewielki garnizon.

Kapitan Burns otrzymał rozkaz niezwłocznego zlikwidowania wszystkich buntowniczych i niepewnych elementów w Błękitnej Dolinie oraz przygotowania żołnierzy fortu do wspólnego natarcia przeciw oddziałowi Clarka, który umocnił się w forcie Massec. Oddział należało otoczyć i wybić do nogi.

Dwaj dragoni z Vincennes i przewodnik Indianin, którzy dostarczyli owo pismo do Błękitnej

Doliny, dodali jeszcze od siebie, że od strony wodospadów Ohio przedziera się lasami ku Błękitnej Dolinie grupa nieznanych myśliwych. Prowadzi ich dwóch Indian, Mohawków. Są już niedaleko.

- Bardzo ciekawe wiadomości - powiedział w zamyśleniu Lins. - To znaczy, że ten Enoch nie kłamał opowiadając o związku farmerów Murraya z powstańcami.

- Mówisz o Enochu Legersenie?

- Tak, kapitanie, o wielce pobożnym kwakrze, mennonicie czy metodyście - sam czort by się nie wyznał w tych ich sekretach! Ostrożnie wybadałem mieszkańców Doliny. Wszyscy oni jak jeden mąż stoją za Murrayem, oprócz Legersena. Enoch zalecał się do Francuzeczki, pokojówki w domu Murraya, a mister Murray przekonał ją, że powinna wybrać Dicka Millsa. Za to Enoch znienawidził Murraya i nie byłby od tego, aby usunąć Millsa z drogi. Dzisiaj znowu z nim rozmawiałem. Ten chłopak może się nam przydać.

- Gdzie on jest teraz?

- Będzie o północy nad rzeką, przy Diabelskim Kamieniu.

- Chcesz poruczyć jemu tę robotę?

- Widzisz, kapitanie, jeden z nas, myślę, że Frank, chcąc nie chcąc będzie musiał sam popracować, ale powinien mieć pomocnika spośród kolonistów. Aby było na kogo wszystko zwalić, gdyby... coś się wykryło przed czasem. Enoch to jedyny człowiek, na którym można polegać. Jeszcze w lecie doniósł nam o kontaktach Murraya z nieprzyjacielem. Parę dni temu odgrażał się, że zabije Dicka Millsa. A dziś wprost mi oświadczył, że gotów jest pójść na ryzyko, byle tylko ta Francuzka dostała się jemu.

- No cóż, wszystko świetnie się składa. Lins, czy zwróciłeś uwagę, w którym pokoju położono Górskiego Orła?

- Bez tego nie wyszedłbym z fermy Murraya. Pokój dogodny, taras pod oknami. Okna dwuskrzydłowe, nie zaklejone na zimę.

- A więc życzę powodzenia! Wykonanie poruczam tobie, Frank. Twoim pomocnikiem będzie Legersen, a pan, mister Shelton, niezwłocznie odkomenderuje jeden oddział celem ujęcia myśliwych, których prowadzą tu Mohawkowie. Gdy zostaną ujęci, niech pan będzie gotów do dalszych działań.

W sześciokątnej ogrodowej altance, zasypanej śniegiem, było ciemno. Przez zamrażnięte szyby padała na okrągły stół blada poświata księżycy. W kącie na półkolistej ławeczce siedział Dick ze swoją narzeczoną. Noc była wilgotna i wietrzna. Z zachodu nadciągały chmury, ich brzegi zahaczały już o srebrną tarczę księżycy.

Kamila przytuliła się do piersi narzeczonego. Jej policzki pachniały heliotropem, oddech leciutko zalatywał winem. Nagle w pobliskiej alejce skrzypnął śnieg i jakiś przytłumiony głos powiedział: „Już czas”. Dwie postaci przemknęły obok altanki i znikły w kierunku domu.

- Kto by to mógł być? - szepnął Dick. - Czy nie powinniśmy uprzedzić twoich państwa, Kamilo?

Dziewczyna, wyswobodzwszy się z mocnych objęć narzeczonego, zerwała się z miejsca, gotowa krzyczeć ze strachu. Zdała sobie jednak sprawę, że w ten sposób wszyscy dowiedzą się o jej nocnej schadzce, więc tylko przycisnęła dłonie do ust i drżąc przycupnęła przy drzwiach altanki, dając znaki Dickowi, by poszedł za jej przykładem.

Ale czasy były niespokojne, zachowanie się nieznajomych w ogrodzie wydawało się mocno podejrzane, toteż dzielny marynarz ruszył ku wyjściu.

- Zostań tu, Kamilo, a ja pójdę za nimi. Siedz tu cicho, wrócę, gdy tylko wypatrzę, co oni knują.

- Mam tu zostać sama? - przeraziła się Kamila. - Oszalałeś, Dick! Już lepiej chodźmy razem.

Ostrożnie wymknęli się z altanki. Czarne krzaki i zaspy śnieżne osłaniały skradającą się parę.

Ciemna sylweta domu była już o jakieś pięćdziesiąt kroków przed nimi. Wtem Dick zauważył, że w oknie narożnego pokoju, za tiulową firanką, mignęło światelko. Chybotliwy płomyk świecy oświetlił sufit i górną część ścian. Okno było rozwarne na oścież... Wszystkie inne okna domu były szczelnie zamknięte, zasłonięte firankami, a niektóre nawet zabezpieczone okiennicami. Po chwili światło zgasło, tiulowa firanka poruszyła się i jakaś ciemna postać niezgrabnie wygramoliła się z okna. Za nią druga...

Ten drugi starannie poprawił firankę i szczelnie przymknął okno. Obaj nocni przybysze skradając się przeszli przez taras aż do oblodzonej kamiennej rynny, zeskoczyli z tarasu w stronę alejki, gdzie wśród śnieżnych zasp przyczaili się Dick i Kamila. W tym momencie księżyc znów wyjrzał zza chmur i Dick poznał w jednym z nocnych gości Franka Willersa, dezertera z oddziału Clarka, który niedawno przeszedł do Burnsa.

W chwili gdy drugi mężczyzna zrównał się z zaspą, Kamila kurczowo uchwyciła się ręki narzeczonego; przed nią mignęła w alejce znajoma postać. Był to odpalony przez nią konkurent - Enoch Legersen, osobnik ponury, zły, a przy tym bardzo nabożny. Kamila bała się Enocha od pierwszej chwili znajomości i tylko z wrodzonej kokieterii nie odrzuciła od razu zalotów mister Legersena. Frank Willers i Enoch Legersen zniknęli w głębi ogrodu.

- Czy poznałaś tego drugiego? - szepnął Dick.

- Kochany, oni na pewno przyszli, aby mnie porwać. To był Enoch Legersen. Dick, strasznie się boję.

- Słuchaj, Kamilo. To jakaś niedobra sprawa. Może jest tak, jak mówisz, ale oni mogli też przyjść tu w innym celu. Enoch pochodzi z bogatej rodziny, więc chyba nie po to wlaźł razem z tym dezertorem do cudzego domu, aby coś ukraść! Idź, obudź panią i jak najprędzej jej wszystko opowiedz. A ja spróbuję wysledzić tamtych dwóch.

I chociaż Kamila była taka bojaźliwa, musiała się rozstać ze swoim obrońcą. Dick żałował, że nie ma przy sobie innej broni prócz marynarskiego noża za cholewą, lecz nie wolno było tracić czasu. Ruszył więc po śladach pozostawionych na śniegu przez nocnych gości, a Kamila, potykając się, pobrała w stronę tylnego ganku.

Śnieg na ganku skrzypnął pod futrzanymi botkami Kamili i nagle ktoś z hałasem podniósł się i ruszył jej naprzeciw. Kamila aż przysiadła ze strachu. Gdy w końcu odważyła się podnieść oczy, przeżegnała się z ulgą.

Przed nią stał Murzyn Samuel Hopkins. Przecierając jedną ręką zaspane oczy i trzymając w drugiej myśliwską strzelbę, chwiał się na nogach jak pijany, wyrwany nagle z samej głębi upojnych marzeń sennych.

- Wy tu sobie śpicie, Sam, i nie wiecie, co się w domu dzieje!... - rezolutnie zaatakowała go mademoiselle Leblanc, momentalnie przechodząc od obrony do natarcia. - Budzę was i budzę, a wy śpicie jak kamień! W domu byli złodzieje, rozumiecie zło-dzie-je, i ja wybiegłam zobaczyć, gdzie jesteście. Przed chwilą dwóch wyskoczyło z okna i uciekło do ogrodu, słyszycie? Też mi stróż! Przespał złodziei!

- Niech oślepnę, Kamilo, jeśli spałem! Nawet na moment się nie zdrzemnąłem, ani na jedną minutę. Śnieg zaproszył mi oko, dlatego je przecieram. Przez cały czas chodziłem po ganku i dopiero przed sekundą usiadłem. Żadnych złodziei tu nie było. Panienska żartuje sobie ze mnie starego! Proszę iść spać i nie bać się niczego, kiedy ochronę domu sprawuje Samuel. Nie w takich byłem opalach, gdy wiozłem dla państwa papiery od mister Thompsona z Anglii. I wie panienska, co mister Murray powiedział do mnie w Nowym Orleanie? „Sam, powiedział, zrobiłeś to lepiej, niż ja bym potrafił.” Niech skonam na tym miejscu, jeśli mister Murray tak nie powiedział! W domu zawsze spokojnie, kiedy Samuel Hopkins trzyma wartę na ganku!

Murzyn długo jeszcze przemawiał w tym duchu, zwracając się do pobliskiego drzewa, albowiem Kamila waliła już pięściami w drzwi. Ku jej zdumieniu okazało się, że drzwi nie są zamknięte. Dziewczyna wpadła do ciemnej sieni i pędem pobiegła na górę.

Była już druga godzina w nocy. W całym domu panowała głęboka cisza, tylko z gabinetu

Murraya dochodziły przytłumione głosy. Z bijącym sercem Kamila zapukała do drzwi. Tłumaczyć się teraz przy panu - to przecież straszne!

Murray podszedł do drzwi i wpuścił Kamilę. Jąkając się opowiedziała szczegółowo o nocnym zajściu, nie wspominając jednakże ani słowem o altanie. Pan domu zaniepokoił się.

- W którą stronę odeszli, Kamilo?... I czy jesteś pewna, że to był rzeczywiście Enoch Legersen i człowiek z fortu?

- Ależ tak, zresztą proszę zapytać Dicka... - Kamila poniewczasie ugryzła się w nieostrożny język.

- A więc i Dick był w ogrodzie! Gdzie on jest?

- Ach, monsieur Murray, proszę nie myśleć nic złego o Dicku!

- O tym nie ja powinienem myśleć, a ty Kamilo! No więc gdzie jest ten twój Dick?

- On poszedł po śladach złodziei, monsieur!

- Zdaje się, że nasz Sam tym razem kiepsko pilnował domu. Dziękuję, Kamilo! Proszę wezwać do mnie Thomasa Bingle'a. Emmy, mam niedobre przeczucie... Obudź seniorem Estrellę, ubierzcie dzieci i bądźcie przygotowane na wszelką ewentualność. Co tam jeszcze?

Do gabinetu wsunął się Murzynek Cherry. Jego twarz była szara ze strachu.

- Massa Alfred - wyjąkał - chodziłem zobaczyć, co robią Indianie, tak jak mi pan kazał. Jeden przed chwilą wyszedł do ogrodu, wszyscy inni są pijani i śpią. Ale spod drzwi małego pokoju cieknie do salonu o to!

Murzynek wyciągnął do Murraya rękę. Cała dłoń chłopca lepiała się od nie ostygłej jeszcze krwi... W tym momencie z głębi ośnieżonego sadu dobiegło ledwo dosłyszalne kłaśnięcie pojedynczego strzału z pistoletu.

Najmłodszy z indiańskich gości Murraya, Srebrny Lis, tajna straż przyboczna wodza plemienia w pochodach wojennych i na polowaniach, zachowywał przy stole większą wstrzeźliwość niż inni Indianie i wypił mniej mocnych trunków od swych towarzyszy. Gdy gospodarz domu wyprowadził Górskiego Orła, młody wojownik wstał od stołu i poszedł za wodzem do małego pokoju. Upewniwszy się, że dostać się tam można tylko przez salon, przechodząc obok pozostałych Indian, Srebrny Lis uspokoił się oddałby sprawiedliwość domowym nalewkom, gdyby... butelki i karafki nie były puste! Wkrótce goście się rozeszli, odsunięto stoliki i zasłano podłogę dywanami i skórami. Srebrny Lis usiadł przy dogasającym kominku. Lekkie odurzenie zmorzyło i jego, ale się nie położył. Siedział dalej przy kominku, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i nisko opuszczoną głową. Tak minęła północ. W domu było cicho i spokojnie. Srebrny Lis oparł się ramieniem o ścianę i w końcu przestał walczyć ze snem.

Nie mógłbym określić, jak długo spał, gdy do jego zamroczonej świadomości doszedł leciutki stuk ostrożnie zamykanego okna. Wojownik od razu otrząsnął z siebie senność. Podniósł się bezszelestnie i począł wpatrywać się w okna. Czy nie gotują blade twarze jakiejś pułapki na indiańskich gości? Nagle za najbliższym oknem mignęły dwa cienie na tarasie. Przy następnym oba na mgnienie się zatrzymały i Srebrny Lis dojrzał w świetle księżyca dwa nieznanne profile męskie... Wojownik wymknął się z salonu, minął ciemną sień z wiodącymi na górę schodami i odsunawszy rygiel wyjrzał zza drzwi.

Na dworze było mokro, wietrznie i ciepło, spomiędzy szybko pędzących obłoków przezierał księżyc. Indianin usłyszał ciche, oddalające się kroki; ktoś chyłkiem przedzierał się przez krzaki do ogrodu. Srebrny Lis przesłizgnął się obok śpiącego stróża, zeskoczył z ganku i obszedł taras. Świeży ślad dwóch ludzi w miękkim skózanym obuwiu... Od tarasu ślad prowadzi do ogrodu... Indianin skrył się za drzewem i przeczekał kilka sekund. Znów jego uszu dobiegł ledwo uchwytny, cichutki szept w krzakach... potem trwożne, jakoby kobiece westchnienie... W świetle księżyca ukazały się dwa cienie. Oto się rozchodzą... Kobieta

zmierza w stronę domu, a mężczyzna, skradając się, znika w krzakach..

Srebrny Lis widział, jak na ganku obudził się stróż, jak kobieta z ogrodu podeszła do Murzyna... Zrozumiał, że kobieta beszta stróża i mówi coś o złodziejach w domu... Srebrny Lis puścił się śladem skradającego się mężczyzny. Bez trudu stwierdził, że nieznajomy ma na nogach ciężkie buty i idzie po podwójnych świeżych śladach miękkiego futrzanego obuwia wiodących od tarasu... To znaczy, że nieznajomy też śledzi tamtych dwóch, co mignęli mu za oknem?

Oto już ogrodzenie sadu... Nagle do słuchu Indianina dobiegł krótki odgłos walki toczonej gdzieś obok... Wojownik uskoczył w stronę zasypanej śnieżną i w tymże momencie z za najbliższego krzaka z suchym trzaskiem padł strzał z pistoletu. Z przebitą piersią Srebrny Lis runął na śnieg.

Kapitan Burns zarządził cichy alarm dla całej załogi fortu. Dyżurni budzili żołnierzy. W ciemnościach słychać było ściszone przekleństwa, brzęk amunicji i podzwanianie bagnetów. Garnizon ustawił się w szyku na dziedzińcu. Burns podszedł do strzelnicy w palisadzie zbudowanej z okrągłaków i wyrztał na zewnątrz. Osada była pogrążona we mgle. W Dolinie, na skraju lasu, migotały ogniska indiańskiego obozu. Zimny deszcz wzmagął się coraz bardziej, drzewa kołysały się na wietrze, wokół panował spokój.

- Żołnierze mogą chyba wrócić do strażnicy, ale nie zdejmować ładownic! Broń trzymać w pogotowiu. Artylerzyści mają stać przy działach, wzmocnić posterunki obserwacyjne - zarządził Burns i odszedł do swojej narożnej izby.

Paliło się tu w piecu i Frank Kuna, który zdążył już przebrać się w nowiutki mundur, grzał przy ogniu czysto wymyte ręce. W kącie, oparłszy głowę na mocno zaciśniętych pięściach, siedział zwalsty Enoch Legersen, również w żołnierskim mundurze, mocno krępującym mu ruchy. Pod łóżkiem kapitana Burnsa wałała się zwinięta w kłębek mokra i obłożona męska odzież. Mankiet granatowej marynarskiej kurtki, znoszonej i spłowiałej, był pokryty burymi plamami. Czubkiem buta Burns wepchnął ten rękaw pod łóżko i opuścił niżej przykrywający je wełniany koc...

- Już przeszło godzina minęła od czasu, jak wróciliście... Na razie jest cicho. Czy aby robota została wykonana jak należy? - pytająco spojrział kapitan na Franka.

- Wszystko w największym porządku. Wczoraj, przed wyjściem z fermy, sierżant Lins ściągnął pewną rzecz, która w nocy oddała mi nieocenioną usługę. Od razu rzuci się w oczy Indianom... Bądź spokojny, kapitanie, ta cisza długo nie potrwa!...

Burns spojrział na zegarek. Zbliżał się już świt. Kapitan podszedł do Legersena i położył mu rękę na ramieniu:

- Enoch, musi pan już iść! Gdy się tylko zacznie, chwytaj pan tę osobę i nieś tu do nas, do fortu, bo nie ręczę za pańskie bezpieczeństwo w osadzie. Podejrzenia co do powiązań kolonistów z nieprzyjacielem potwierdzają się. Osada w Błękitnej Dolinie zostanie zrównana z ziemią. Tylko działaj pan śmiało! Życzę powodzenia!

Legersen zderzył się w drzwiach z rżym sierżantem.

- O co chodzi, Lins? - spytał wchodzącego komendant fortu.

- Melduję posłusznie, kapitanie, że nieznany oddział został okrążony w lesie. Dwaj Mohawkowie przyprowadzili do Doliny sześciu Anglików. Zajęli oni obronną pozycję i ostrzeliwują się.

- Frank, weź na wsparcie pluton dragonów, bierz żywcem tych nieznajomych i jak najszybciej dostaw ich do fortu... Sierżancie Lins, czy konny patrol jest na stanowisku?

- Patrol z porucznikiem Sheltonem stoi przy moście na potoku.

- Świetnie! Shelton otrzymał rozkaz, aby natychmiast postawił na nogi obóz indiański, gdy tylko zauważy ruch w domu Murraya. Pospieszcie się, panowie! Nim tam się zacznie,

żołnierze wszyscy do jednego mają być w forcie. Indianie sami sobie poradzą.

- Panie kapitanie, jest jeszcze jedna wiadomość. Nasz posterunek przy ogrodzeniu fermy Murraya schwytał podejrzanego osobnika i zastrzelił Indianina. Obaj skradali się za Frankiem Willersem i Legersenem, gdy ci wracali przez ogród po wykonaniu zadania.

Frank Kuna zatrzymał się w drzwiach...

- Skradali się za nami, Lins? To bardzo paskudna sprawa. Gdzie ich schwytano?

- Przy samym parkanie. Siedziały tam w ukryciu nasze chłopaki, Wansley, Grimles i jeszcze jeden z naszych żołnierzy. Położyli trupem Indianina, a białego capnęli, gdy obaj z Legersenem przeprawialiście się już przez potok.

- Czy ustalono, co to za ludzie?

- Oczywiście. Indianin - to jeden z gości Murraya. Ciało po prostu przysypano śniegiem. Gdy Indianie natkną się na niego, wszystko naokoło będzie już stało w płomieniach i jeszcze jeden trup Indianina doleje tylko oliwy do ognia...

- A ten drugi, którego schwytano? Pewno kolonista?

- Tak, to Dick Mills, były marynarz. Siedzi już u nas w kazamacie, kapitanie.

Młody Indianin-Mohawk pierwszy zauważył zbliżającą się grupę spieszonych dragonów. Maggerson osłonił ręką oczy przed blaskiem księżyca i wpatrywał się w mrok. Wzdłuż koryta zamrożonego strumienia ciągnęły się zarośla i wikliny i gęsty brzeźniak. Nagie gałęzie leciutko się poruszały i w świetle księżyca błysnęły bagnety na karabinach. W ciszy rozległ się nagle ochrypli głos:

- Hej, wychodzić na światło! Ręce do góry! Poddajcie się, jesteście okrażeni!

- To żołnierze - szepnął Maggerson do swych irlandzkich towarzyszy.

- Nie odpowiadać, przygotować się do walki!

- Wyłażcie z krzaków, bo będziemy strzelać! Plu-u-ton, go-o-tuj broń!

- Nie otwierać ognia! Cofamy się nad strumień. Ukryjemy się tam w pieczarze i będziemy się bronić. A wy, przyjaciele - odwrócił się Maggerson do Mohawków - postarajcie się wymknąć niepostrzeżenie i przedostać do osady Murraya. Powtórzcie mu słowa Chambaya... A teraz - skokami w te krzaki nad rzeką. Zatrzymamy żołnierzy i Indianie przedrą się do osiedla... Za mną!

...Do samego świtu toczyła się nierówna walka sześciu śmiałków z królewskimi dragonami. Ukryci w pieczarze nad strumieniem irlandzcy „synowie wolności” bronili się przed nacierającymi żołnierzami. Nad ranem Maggerson został ranny. Kończyła się amunicja... Niemalże trupów żołnierskich leżało już nad rzeką, ale wrogów wciąż przybywało! Z fortu nadciągnął nowy oddział. To Frank Willers, świeżo upieczony sierżant i zaufany kapitan Burnsa, przywiódł posiłki oblegającym.

- Kapitan kazał wziąć wszystkich żywcem - uprzedził swych żołnierzy. - Za ich schwytanie otrzymacie nagrodę.

- Bracia! - Maggerson otarł pot z czoła i odczołgał się w głąb pieczary. - Dłużej się nie utrzymamy. Pozostało nam tylko sześć naboń. Zmusimy wroga, aby krwią zapłacił za nasze życie. Niech żyje wolność! Naprzód!

Przywitał ich grad kul. Z karabinami gotowymi do szturmów sześciu ludzi biegło wprost na żołnierzy. Dragoni nie zdążyli ponownie nabić broni i na zamrożonym leśnym strumieniu zawrzała walka wręcz. Garstka irlandzkich chłopów zza morza, ramię w ramię z angielskim robotnikiem, walczyła tu, w tym głuchym zakątku, o wolność i niezależność amerykańskich kolonii. Czysty śnieg na lodzie zabarwił się krwią i szerniał od dymu... Ale zbyt nierówne były siły w tej walce. Trzech przybyszów bez życia leżało na śniegu. Pozostali charcząc wyrwali się z rąk żołnierzy, którzy już wiazali jeńców. Pół plutonu dragonów poległo na polu bitwy, ranni na przemian jęczeli i przeklinali. Drogo zapłacił kapitan Burns za ujęcie na



wpół żywego Maggersona i dwóch ocalałych „synów wolności”...

W drodze powrotnej do fortu Frank Willers gwizdnał nagle i zajrzawszy w twarz najstarszemu z jeńców, zawołał:

- A to ci dopiero spotkanie! Przecież to mister Archibald Staybold, „szkocki klerk” z Bultonu, alias Eliot Maggerson, przywódca bultońskich niszczycieli maszyn. Poznają pana! A jednak nie kto inny, tylko sam Frank Willers, który niegdyś przegapił pana na ulicy, dziś naprawił swoje zaniedbanie! I jutro właśnie on pomoże garnizonowemu katowi zaprowadzić pana na szubienicę.

### 3

Syn wodza plemienia Shawnee, Szary Niedźwiedź, obudził się nad ranem z silnym bólem głowy i nie od razu zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje. Na dywanie, rozestłanym pośrodku salonu, spali pokotem indiańscy wojownicy. W kominku dopalały się ostatnie główne. Szary Niedźwiedź wstał z głębokiego fotela i nabił tytoniem fajkę.

Po dziwnych szmerach i ściszonych krokach na schodach domyślił się, że gospodarze domu nie śpią. Schował fajkę do kieszeni i obudził drugiego wojownika - Wilka Wąwozu.

Szmary w domu wydały się Indianom podejrzone. Szary Niedźwiedź wyjął świecę ze ściennego świecznika, zapalił ją i podszedł do drzwi sąsiedniego pokoju. Nagle poczuł pod mokasynami coś lepkiego. Płomyk świecy odbił się w purpurowej kałuży. Z ostrzegawczym krzykiem Szary Niedźwiedź otworzył na oścież drzwi.

Na kanapie leżał martwy wódz plemienia Shawnee. W piersi Górskiego Orła tkwił wąski długi nóż z czarną kościaną rękojeścią. Wczoraj przy kolacji nóż ten miał w rękach gospodarz domu... W drzwiach już tłoczyli się wzburzeni indiańscy wojownicy.

Twarz osieroconego Szarego Niedźwiedzia skamieniała ze zgrozy i wielkiego gniewu. Ale nie czas teraz na to, by pogrążyć się w bólu. Ojciec i wódz zginął. Niebezpieczeństwo zawisło nad wszystkimi. Podstępna biała żmija zwabiła kwiat plemienia do swego gniazda... Trzeba się wyrwać z pułapki i zemścić się na mordercy.

Szary Niedźwiedź kazał wojownikom rozdzielić między siebie broń i podniósł ciało ojca ze skrwawionego łoża. Wilk Wąwozu wygrzebał cały żar z kominka; Indianie nasypali na podłogę trochę prochu, zerwali firanki, połamali kilka krzeseł i rozniecili ogień. W tej chwili na schodach rozległy się kroki i ktoś pchnął drzwi do salonu. Tomahawk Szarego Niedźwiedzia świsnął w powietrzu. Rozległ się krótki jęk za uchylonymi drzwiami i czyjeś ciało osunęło się na ziemię. Wilk Wąwozu przewrócił stół i zatarasował nim wyjście do sieni. Płomienie już buchnęły pod sufit.

Szary Niedźwiedź spodziewał się zasadzki w ogrodzie, pod oknami. Wyprowadził wojowników z salonu do jadalni i wyłaniał oszklone drzwi na taras. Rozsypawszy się wzdłuż balustrady, Indianie oddali salwę do najbliższych krzaków. Stróżujący w ogrodzie Samuel Hopkins zobaczył w oknach odblask pożaru i przestraszony pobiegł na odgłos salwy. Szary Niedźwiedź wziął go za atakującego wroga. Z nożem w sercu Murzyn zwałił się w śnieg koło tarasu. Wojownicy wynieśli ciało zabitego wodza, przebiegli z nim przez ganek i wdarli się do stajni. Dwóch Murzynów-koniuchów padło pod ciosami tomahawków. Szary Niedźwiedź przerzucił ciało Górskiego Orła przez grzbiet swego konia. Wilk Wąwozu i pozostali wojownicy wskoczyli na nie osiodłane konie i wściekłym galopem przemknęli przez most. Szary Niedźwiedź uważał, że udało mu się przechytryć białych morderców. Za mostem wstrzymali konie i zaczęli się naradzać, jak ominąć osadę, by nie dosięgły ich z okien kule białych twarzy, i jak najszybciej połączyć się z wojownikami w obozie.

Tymczasem na tylnym dziedzińcu fermi rozległ się pojedynczy wystrzał. Jakiś jeździec w mundurze dragona, trzymając przed sobą w siodle okutaną w płaszcz kobietę, przecwałował

od bramy fermy na brzeg potoku i znikł w kierunku fortu.

Okna osady rozblęskły czerwonym odbłaskiem. Nad dachem domu Murraya wzbily się w górę płomienie. Snopy iskier, trzeszcząc na wietrze, posypały się na ośnieżone korony drzew. Szary Niedźwiedź krzyknął i Indianie pomknęli w dół osady, do obozowiska na skraju lasu. Ale już po obu brzegach Błękitnego Potoku pędziła im naprzeciw lawina indiańskich wojowników, zawiadomionych przez porucznika Sheltona o krwawej zbrodni. W pierwszym brzasku dnia Indianie ujrzeli młodego wodza galopującego ku nim z ciałem Górskiego Orła. Nad zasypaną śniegiem Doliną rozbrzmiało przeraźliwe indiańskie zawołanie bojowe. Szary Niedźwiedź oddał ciało ojca dwom innym wojownikom, zdjął z ramienia ojcowski karabin i potrząsając nim w powietrzu rzucił setkę wojowników pod wodzą Wilka Wąwozu na osadę, a sam poprowadził pozostałych, by otoczyć dom mordercy. A wśród płonących zabudowań fermy Indianie znaleźli tylko trupa Murzyna pod tarasem i zabitych w stajni koniuchów. W głębi ogrodu natknęli się w śniegu na ciężko rannego kulą w pierś, na wpół zmarzniętego wojownika - Srebrnego Lisa. Szczęśliwie uszła im uwagi bryka w otoczeniu jeźdźców pędząca brzegiem Błękitnego Potoku w górę rzeki.

Wojownicy z furją rzucili się na opuszczoną fermę. Cały żywy i martwy dobytek białych złoczyńców stał się pastwą ich gniewu i płomieni.

W pół godziny później płonęła już cała osada. Tylko wzgórze z fortem na szczycie pozostawało nadal pogrążone w mroku i milczeniu.

Ujrzawszy krew na ręce chłopca Murray od razu się domyślił, że to któryś z Indian padł ofiarą tajemniczych nocnych gości, zauważonych przez Dicka. Kazał swym domownikom cichutko wyprowadzić dzieci z domu, zaprząć konie i jechać do siedziby Wenta, sam zaś postanowił poczekać na powrót Dicka, aby przy jego pomocy zdemaskować wobec Indian złoczyńców.

W pewnej chwili z salonu dobiegł go trzask łamanych mebli. Murray zeszedł ze schodów... Czyżby Indianie już coś odkryli? I kto padł ofiarą zbrodni? Jest ranny czy zabity? Może mimo wszystko nie zaślepi ich gniew i nie pozostaną głusi na głos rozsądku?

Pchnął drzwi do salonu. Blask ognia oślepił go na chwilę i w tymże samym momencie poczuł ostre uderzenie w głowę. Zachwiał się i trzymając się za skroń runął bez przytomności na ziemię. Murzynek Cherry wysunął głowę z górnego podestu i zobaczył leżącego pod drzwiami swego pana. Z salonu buchnęły kłęby dymu. Nagle rozległ się brzęk szkła i tupot. A gdy na tarasie gruchnęła salwa karabinowa, Cherry pędem zbiegł ze schodów i nachylił się nad Murrayem.

Mister Alfred poruszył się. Miał zdartą skórę na skroni, rozcięty policzek i ucho. Murzynek chwycił Murraya i zawłókł go do schodów. Na krzyk chłopca przybiegła Kamila.

Wtem rozwarły się z trzaskiem drzwi do sieni i w progu stanął człowiek w mundurze dragona. Kamila krzyknęła poznając Enocha Legersena i rzuciła się do ucieczki. Legersen jednym skokiem dopadł jej na schodach, chwycił na ręce i wyniósł na ganek. W krzakach czekał osiodłany koń. Z dziewczyną na rękach Enoch Legersen wskoczył na siodło i puścił konia galopem. Thomas Bingle, który usłysawszy hałas nadbiegł z dubeltówką, strzelił za nim.

Następnie przy pomocy Murzynów Tom usadowił w bryczce dzieci i kobiety, ułożył w niej nieprzytomnego Murraya i kazał jechać co koń wyskoczy do fermy Wenta. Dziesięciu Murzynów ze służby dosiadło koni i pocwałowało za bryczką...

...Siedziba Edwarda Wenta leżała w odległości dwu mil od osady, w górnym biegu Błękitnego Potoku, na samym skraju Doliny. Ze względów bezpieczeństwa Went zbudował w swej fermie stajnię na podobieństwo warownego blokhauzu. Ta stajnia-forteca, o ścianach z potężnych cedrowych i dębowych kłoców, otoczona palisadą z grubych pni, zapewniała dostateczną ochronę przed ogniem lekkiej broni palnej. Tu też ukryli się wszyscy inni

mieszkańcy Doliny, którzy ocalili po gwałtownym ataku Indian na osadę.

Już całą dobę siedzieli obleżeni w swym schronieniu i wytrzymali sześć ataków indiańskich wojowników. Przy strzelnicach zmieniali się najlepsi myśliwi osady. Pod ślepą ścianą schroniły się kobiety i dzieci obrońców blokhauzu. Mister Alfred Murray, z obandażowaną głową, opowiedział towarzyszom o nocnych wypadkach na jego fermie. Nikt z kolonistów nie miał wątpliwości, że ta podła prowokacja jest dziełem komendanta fortu. Chcąc zniszczyć mieszkańców osady za ich sympatie dla amerykańskiej rewolucji uknuł zabójstwo Górskiego Orła i poszczuł Indian na kolonistów.

Drugi dzień obleżenia zaczął się dla obrońców blokhauzu spokojnie. Nie dowierzając nagle zapadłej ciszy Went o wschodzie słońca podszedł do palisady i przez szczelinę wpatrzył się w okna swego domu, stojącego w odległości stu pięćdziesięciu jardów od blokhauzu. W pewnej chwili zobaczył, jak ktoś z siłą wybił od środka ramę okienną. W następnej wyleciało drugie okno.

- Nieprzyjaciel ulokował się w domu! - krzyknął Went do Murraya. - Niech pan patrzy, mister Alfred, w oknach pojawili się żołnierze i armaty. Co to znaczy?

- To znaczy - spokojnie odparł Murray - że Burns postanowił zrezygnować ze swej neutralności, widząc, że Indianie nie dali nam rady. Armaty mogą być tylko z fortu.

- Oni coś krzyczą do nas z okien. Niech pan posłucha, Fred... Murray i monsieur Villier wyjrzeni przez południową strzelnicę. Zza węgła domu Wenta wolno wysunęła się żerdź z białą flagą. Po tym symbolu pokoju ukazał się jeździec. Obleżeni poznali porucznika Sheltona.

- Zwracam się do obrońców blokhauzu w imieniu angielskiego dowództwa - zawołał. - Koloniści Błękitnej Doliny! W waszym blokhauzie ukryli się zdrajcy, którzy pozostają w kontakcie z armią nieprzyjacielską. Zdrajcy ci zabili wodza indiańskiego, by spowodować rozlew krwi. Ujęliśmy szpiega Murraya Dicka Millsa, który próbował przedostać się do oddziału Clarka, do fortu

Massec. Wzięliśmy do niewoli grupę zwiadowców Clarka. Ci buntownicy, nazywający siebie „synami wolności”, będą jeszcze dziś rozstrzelani. Ich indiańscy przewodnicy, posłani do zbrodniarza Murraya, zostali zabici w lasach przez naszych indiańskich sojuszników. Znikąd nie możecie oczekiwać pomocy! Apeluję do waszego zdrowego rozsądku i żądam wydania naszemu dowództwu winowajców rzezi w osadzie - Murraya i Wenta. Wszystkim pozostałym kolonistom, ukrywającym się w blokhauzie, gwarantuję bezpieczeństwo ze strony żołnierzy i Indian. Daję wam pół godziny czasu na zaareztowanie i wydanie obu przestępców.

- Edwardzie - powiedział Murray do przyjaciela - pod ogniem armat ta stajnia nie utrzyma się nawet przez godzinę. Musimy wyjść do nich, inaczej wystrzelają dzieci.

- Zgadzam się pójść, Fred - odparł Went - ale trzeba innych zapytać o zdanie.

- Przyjaciele - zwrócił się Murray do pozostałych obrońców - wszyscy słyszeliście słowa angielskiego oficera. Blokhauz nie wytrzyma ostrzału artyleryjskiego. Żadnych dowodów przeciwko mnie i Wentowi Anglicy nie mają. Nie mogą nas zabić bez legalnego sądu. Nie możemy oczekiwać szybkiej pomocy ze strony Clarka. Jego zwiadowcy są w niewoli u Burnsa. Moim zdaniem musimy grać na zwłokę i dlatego powinniśmy przyjąć ich żądanie. Co pan o tym sądzi, monsieur Villier?

- Całkowicie się zgadzam z monsieur Murrayem - odparł Francuz. - Najważniejsze - to wygrać na czasie. Odrzucenie żądań Anglików jest równoznaczne z natychmiastowym zniszczeniem blokhauzu.

- W takim razie, mister Fred, ja też idę z wami - rozległ się naraz dźwięczny dziecięcy głos. - Nie chcę ocalenia za cenę waszego życia.

Wszyscy odwrócili się w zdumieniu. Mały Diego Luiz, z kordzikiem u pasa, stał pośrodku blokhauzu z dumnie podniesioną głową.

- Albo będziemy walczyć, albo pójdę do Anglików razem z wami - powiedział do Murraya. -

I niech nikt się nie waży mnie powstrzymywać!

Chłopak powiódł rozplomienionym spojrzeniem dokoła. Stary doktor Niels Wahlner aż chrząknął z podziwu i poklepał małego Hiszpana po ramieniu.

Went stał na szeroko rozstawionych nogach patrząc w pułap. Taksował wzrokiem wytrzymałość ścian. Nie, nie wytrzymają długiego armatniego ognia! Lecz zapał, jaki ogarnął wszystkich obrońców blokhauzu po słowach chłopca, był tak wielki, że Edwardowi Wentowi nie starczyło zdrowego rozsądku, by stanowczo poprzeć Murraya. Wszyscy jak jeden mąż zaprotestowali przeciwko dobrowolnemu wydaniu swych przywódców.

Pół godziny minęło. Po stronie przeciwnika jeszcze przez parę minut trwała cisza. Potem obłężenie ujrzeli, jak od wschodniej strony, zza wzgórką w ogrodzie, wysuwa się trzecia armata. Huknął wystrzał z pistoletu dając sygnał artylerzystom. Z trzech luf armatnich wyleciały płomienie i pociski uderzyły w palisadę, pozostawiając w niej głębokie wyrwy. Do wnętrza blokhauzu, przebiwszy dach, spadła bomba z lanego żelaza i silny wybuch zwałił jeden z filarów. Edward Went upadł ranny odłamkiem.

Wybuch ogłuszył również Mary. Młoda kobieta rzuciła się na pomoc mężowi i sama upadła obok niego. Monsieur Villiera odrzuciło aż pod drzwi. Dach się już palił. Iskry sypały się na kobiety i dzieci pod wschodnią ścianą.

Murray kazał usunąć belki podpierające drzwi od środka.

- Za mną! - krzyknął i pierwszy skoczył w otwarte wyjście.

Tuż za nim, trzymając w ręce pistolet, wypadł młody Hiszpan. Kobiety, dźwigając dzieci, rannych i zabitych, uciekały bezładną gromadą z płonącego budynku.

Ze śpiewnym świstem przywitały uciekinierów strzały Indian. Pocisk armatni ugodził w tłum Murzynów. Kilku konnych dragonów wypadło z zagajnika. Murray przykleknął i złożył się z karabinu. Koń jeźdźca pędzącego na czele runął, ale już ze trzydziestu pieszych Indian wybiegło z domu Wenta. W ciągu paru minut walka była skończona. Indianie wiazali jeńców. Nie opodal porucznik Shelton naradzał się z Szarym Niedźwiedziem. Do zrujnowanego blokhauzu podjechał kapitan Burns. Na jego rozkaz Wilk Wąwozu popędził jeńców w stronę indiańskiego obozu. Burns odwrócił się, gdy przechodzili obok niego, pod eskortą Indian, Murrayowie i Wentowie. Diego Luiz, który miał związane łokcie, szedł z dumną, wyniosłą miną zwycięzcy. Indianie spoglądali na niego z podziwem.

- Co zamierzasz uczynić z tym małym? - spytał Burns Szarego Niedźwiedzia.

- Ten biały chłopiec to syn mężnego wodza. Będzie mu okazany wielki zaszczyt. Umrze śmiercią wojownika. Biali mężczyźni, którzy zdradziecko zwabili mego ojca w pułapkę, umrą w męczarniach. Kobiety tych zdrajców staną się żonami indiańskich wojowników. Tak postanowił Szary Niedźwiedź.

Burns skinął głową w pełni zadowolony.

Wieczorem trzynastego lutego 1779 roku kapitan Burns czynił przygotowania w forcie Błękitnej Doliny do sądu doraźnego nad czterema jeńcami - Eliotem Maggersonem, jego dwoma towarzyszami Irlandczykami oraz kolonistą Dickiem Millsem.

- I dowództwo, i mister Riland będą zadowoleni! - zatarł ręce, przebiegając oczami gotowy już wyrok. - Lins, gdzie jest ten Enoch Legersen?

- Już drugi dzień pije, a jego ślicznotka zamknięta w komórce intendenta.

- Niech sobie pije, byle tylko jutro rano mógł chociaż przez kwadrans utrzymać się na krześle. Chcę go włączyć w skład sądu jako przedstawiciela miejscowej ludności. Wyrok jest już wypisany według wszelkich kanonów prawa. Możecie go wszyć do tej teczki, Lins. Są w niej wszystkie materiały obciążające. Starczyłoby tego, aby razem z Maggersonem rozstrzelać całą ludność osiedla, ale Indianie już nas w tym wyręczą.

Następnego dnia rano oskarżeni spokojnie wysłuchali wyroku, odczytanego przez Burnsa na

zakończenie dziesięciminutowej „rozprawy sądowej”. Za stołem sędziowskim, obok Burnsa, Sheltona i Linsa, zajął również miejsce na wpół pijany Enoch Legersen. Podczas czytania wyroku spuścił czerwone, przepite oczy i więcej nie spojrzął na skazanych.

- Możecie wypowiedzieć wasze ostatnie życzenia - powiedział Burns.

- Moim jedynym życzeniem jest zamienić się z tobą miejscem, podły oprawco - odrzekł Maggerson.

Kapitanowi krew uderzyła do twarzy. Kazał odprowadzić jeńców z powrotem do kazamaty i zakuć ich w kajdany. W wilgotnym półmroku podziemia skazańcy mieli spędzić ostatnie dwadzieścia cztery godziny swego żywota.

W nocy, przewracając się na słońce. Maggerson namacał pod bokiem żelazne kółko wpuszczone w podłogę. Stary cichutko rozsunał słońce i odkrył klapę. Kazamata miała widocznie podziemne wyjście! Dokąd ono prowadzi? Ach, gdyby nie kajdany!

Maggerson podzielił się swym odkryciem z towarzyszami. Dick pociągnął za kółko i uniósł klapę. Z dołu wionęło stęchłym chłodem jak z grobowca. Kajdany Dicka głośno zadzwoniły, gdy spróbował opuścić nogi w czarny otwór. W tejże samej chwili zgrzytnął klucz w zamku u drzwi i jeńcy ledwo zdążyli opuścić klapę.

Lecz ich ostrożność była już zbyt duża. Weszło sześciu żołnierzy i stuknąwszy kolbami o podłogę stanęli w szeregu. Sierżant Lins pojedynczo wyprowadził jeńców na dziedziniec. Wschodziło słońce. Brama fortu była na oścież otwarta; za nią ustawiła się załoga, twarzą ku twierdzy.

Skazańców wyprowadzono za bramę. Pobrzękując kajdanami przeszli grzbietem wału przed milczącym frontem garnizonu, oddzieleni od niego fosą z zamarznąłą wodą. Z wysokości wału Maggerson patrzył na czerwone mundury, trójgraniaste kapelusze i harcapy żołnierzy. Było ich ze czterdziestu ludzi. Ustawili się w dwuszeregu, trzymając u nogi karabiny z długimi bagnietami. Przed frontem przeszli Burns, porucznik Shelton i kapelan. Porucznik wystąpił naprzód, z teczką w rękach. Wyteżając głos na wietrze, aby go słyszeli skazańcy i żołnierze, Shelton począł jeszcze raz odczytywać wyrok. Ponad głowami żołnierzy Maggerson widział pagórkowatą dal, wijącą się jasną wstęgą Srebrzystej Rzeki... Wtem na odległy skraju lasu pojawiły się ruchome czarne punkciki. Z każdą chwilą było ich więcej...

Głos Sheltona umilkł. Maggerson nie słyszał ani słowa z tego, co zostało odczytane. Kapitan Burns wyjął z kieszeni czerwonego munduru dużą białą chustę i wolno ją rozłożył. Kapelan uniósł krucyfiks. Maggerson patrzył na czarny krzyż drżący lekko w rękach pastora. Przesłaniał on Maggersonowi widok na Doline, lecz poza czarną poprzeczką krzyża, za rzeką, znowu mignęły ruchome punkciki... Nie, to już nie punkciki! To drobne figurki jeźdźców na koniach, pełnym galopem zbliżających się do fortu.

Teraz zobaczyli ich wszyscy skazańcy... Burns podniósł swą białą chustkę. Czterdzieści luf karabinowych uniosło się w dwóch nierównych rzędach. Jeźdźcy byli już na przeciwległym brzegu rzeki. Maggerson dojrzał lawety kilku armat. Zaprzężone w czwórki małych koników, wzbijających tumany kurzu, pędziły w ślad za jeźdźcami.

Na zapadłych policzkach Maggersona zapłonęły rumieńce. Ze straszliwym wysiłkiem uniósł ranną rękę.

- Idą mściciele! - krzyknął ochryplym głosem.

Któryś z żołnierzy mimo woli odwrócił się na gest skazańca. W tej chwili czwórki koni zaprzężone do armat już zrobiły zwrot. Od fortu dzieliło je mniej niż pół mili. Artylerzyści w biegu zeskakiwali z koni.

Trzymając chustkę w uniesionej ręce kapitan Burns też się odwrócił i spojrzął na rzekę.

„Co to? Czyżby oddział z Detroit? O, do licha, to mi wygląda na wojsko podpułkownika Clarka!”

- Kom-pa-nia pal! - ryknął nieswoim głosem.

Rozległa się rzadziutka salwa, jakby groch posypał się do blaszanki; nawet połowa żołnierzy

nie wypaliła ze swych karabinów. Potem huknęło jeszcze kilka pojedynczych strzałów. To Grimles, Wansley i Lins, wyrwawszy karabiny z rąk żołnierzy, strzelali z podrzutu. Jeden za drugim skazańcy padali w śnieg. Szyki dragonów pękły i zmieszały się. Burns, z szablą w ręce, pędził brzegiem fosy.

- Gar-ni-zon za mną! - krzyknął jak oszalały. - Alarm bojowy! Artylerzyści do armat!

Żołnierze tłocząc się runęli ku bramie, paru ludzi spadło do fosy grzęznąc w głębokim śniegu. Przy bramie już skrzypiały wrzeczadze zwodzonego mostu, ale mechanizm zaciął się. Porucznik Shelton wrzeszczał potrząsając pistoletem. Pierwsza bomba ze świstem przeleciała przez palisadę. Od strony Doliny dobiegło potężne „Hura!” Garnizon Burnsa nie zdążył skryć się w twierdzy, gdy wolontariusze podpułkownika Clarka zaatakowali ją równocześnie z czterech stron. Sforsowawszy rzekę po lodzie, na karkach cofającej się w popłochu załogi wdarli się do fortu. Żołnierze rzucali broń i poddawali się. W ciągu pięciu minut garnizon był rozbrojony, a fort znalazł się w rękach powstańców.

Kapitan Burns w milczeniu podał dowódcy oddziału swą szablę. Wysoki czarnooki podpułkownik Clark, w wytartym mundurze i starej peruce, z pogardą nastąpił na tę szablę butem. Pozostawiwszy swemu zastępcy wydanie odpowiednich dyspozycji, podpułkownik wyszedł za palisadę, gdzie twarzą do ziemi leżały zbroszone krwią ciała rozstrzelanych. Kilku powstańców zdejmowało z nich kajdany.

Dick Mills jeszcze oddychał. Krew płynęła z przestrzelonego ramienia, noga też była zraniona, ale serce jego biło. Wojskowy lekarz kazał natychmiast przenieść go do lazaretu. Pozostali wszyscy byli martwi. Podpułkownik obnażył głowę, postąpił chwilę i westchnąwszy poszedł obejrzeć twierdzę. W górnym blokhauzie siedzieli aresztowani dowódcy fortu. Gdy podpułkownik wszedł, pięciu ludzi zerwało się z miejsc. Kapitan Burns wymienił nazwiska: porucznik Shelton, sierżant Lins i Willers, kaprale Grimles i Wansley. Tylko jeden żołnierz, ocieężały, o tępej, obrzękłej twarzy, siedział nadal bez ruchu. Miał na sobie przyciasny mundur, pęknięty na plecach.

- A to kto? - spytał podpułkownik.

- Żołnierz Enoch Legersen, odbywający karę za pijaństwo - pospieszył z wyjaśnieniem Burns.

- Zamknąć ich wszystkich w kazamacie, gdzie więziono jeńców zamordowanych przez nich - wydał rozkaz podpułkownik i ruszył w dalszy obchód.

W tymże samym blokhauzie ze zdumieniem usłyszał kobiecy płacz za drzwiami magazynu intendentury.

- Czyżby w forcie były kobiety? - zainteresował się Clark. - Dlaczego tę osobę trzyma się w zamknięciu? Przeprowadzić ją tu!

Przed Clarkiem stanęła Kamila Leblanc. Zalewając się gorącymi łzami, chaotycznie i spiesznie opowiedziała mu zdarzenia ostatnich dni. Wiedziała już od sierżanta-intendenta o rozstrzelaniu skazańców i teraz wrywała się na dół, by spojrzeć na zwłoki swego narzeczonego. Podpułkownik serdecznym tonem uspokoił ją i kazał odprowadzić do lazaretu. Lekarz wojskowy wyjmował właśnie kulę z nogi Millsa.

- Będzie żył - powiedział do Kamili. - I jeszcze powojuje!

W dwie godziny po opanowaniu przez wolontariuszy armii Washingtona fortu w Błękitnej Dolinie do izby w blokhauzie, oddanej do dyspozycji Kamili Leblanc, wszedł schylając się w drzwiach wysoki nieznajomy mężczyzna. Jego ciemny staroświecki kaftan przepasywał bandolet szpady, na wysokich butach z wyłogami podzwaniały ostrogi. Beret z piórem zamiast peruki i kapelusza okrywał siwe włosy nieznajomego. Płaszcz, lekko odrzucony na plecy i obsypany śniegiem, szeleścił i rozwiewał się jak szeroka opończa góralska.

Pod uważnym, przenikliwym spojrzeniem siwego mężczyzny Kamila mimo woli podniosła głowę. Prawe oko nieznajomego błyszczało żywym młodzieńczym ogniem, podczas gdy lewe

oko było dziwnie nieruchome. Przybyły grzecznie uklonił się zmieszanej dziewczynie i gestem poprosił, aby zajęła z powrotem swe miejsce na drewnianej ławie.

- Podpułkownik Clark opowiedział mi przed chwilą historię pani, mademoiselle. - Nieznajomy mówił po francusku z akcentem hiszpańskim. - Jestem starym przyjacielem mister Murraya i chwała Bogu zdążyłem tu w rozstrzygającym momencie. Udało mi się przedostać do fortu Masec i połączyć z oddziałem Clarka. Wczoraj w nocy szturmem wzięliśmy fort Vincennes, wyparłszy z niego wojsko gubernatora Hamiltona. Wróg jest pobity na głowę i wycofał się do fortu Miami. Bezprzykładny był ten marsz Clarka i dzień upadku fortu Vincennes - czternastego lutego tysiąc siedemset siedemdziesiątego dziewiątego roku - wejdzie do historii wojny o niepodległość Stanów Amerykańskich. Podpułkownik musi niezwłocznie wracać do Vincennes. Ocalenie jeńców z Błękitnej Doliny z rąk oszukanych Indian porucił mnie. Proszę więc, mademoiselle, opowiedzieć mi szczegółowo o wszystkim, co zaszło w domu Murraya tej strasznej nocy.

Nieznajomy mówił spokojnie, władczym tonem. I Kamila, nic nie ukrywając, opowiedziała o fatalnym wieczorze na fermie Murraya i o wypadkach w ogrodzie po ucztach. Mężczyzna słuchał w milczeniu, kiwając zachęcająco głową i niekiedy zadawał pytania, bawiąc się rękojeścią szpady.

Wreszcie nieznajomy wstał, by się pożegnać, gdy w korytarzu rozległy się pospieszne kroki i jakiś młody wolontariusz gwałtownie otworzył drzwi.

- O, przepraszam! - Młody człowiek zmieszał się na widok kobiety w pokoju. - Muszę panu powiedzieć parę słów, mister Chambay.

Kamila wpatrzyła się w twarz przybyłego.

- O Boże - zawołała radośnie - czy to pan, monsieur Cenni! Anthony, kochany, drogi Anthony! A my wszyscy od dawna uważaliśmy pana za nieżyjącego!

Młody człowiek z błyskawiczną szybkością dwoma pocałunkami potwierdził tożsamość swojej osoby, po czym zwrócił się do siwego mężczyzny:

- Senior, komendant fortu i sześciu pozostałych więźniów uciekło z kazamaty twierdzy. Okazuje się, że tam pod kupą słomy było wyjście do tajemniczego podziemnego chodnika... Jego wylot znajduje się za fosą, dokładnie w tym miejscu, gdzie rano stały oddziały żołnierzy. Przy końcu tego chodnika są żelazne drzwi. Zastaliśmy je zamknięte. To znaczy, że aresztowani mieli klucze. Skorzystali z ogólnego zamieszania i zbiegli niepostrzeżenie. Carnero złapał już ich ślad na brzegu.

- Prawdopodobnie będą próbowali przedostać się do koczowiska Indian, swoich sojuszników. Musimy ich dogonić. Gdzie są moi przyjaciele Długa Ręka i Rączy Jeleń?

- Czekają na pańskie rozkazy, senior Chambay.

- Niech natychmiast wsiadają na koń i pędzą po śladach uciekinierów, pozostawiając nam znaki... A ty Anthony, przygotuj moją czwórkę Murzynów. Zabierzcie wszystko, o czym mówiłem, nie zapomnijcie też o tubie... Najdalej za pół godziny musimy opuścić Dolinę i dogonić naszych Indian. Pospiesz się, Anthony.

Gdy młody człowiek wybiegł, senior Chambay przytknął drzwi i zwrócił się do Kamili.

- Mademoiselle - powiedział z powagą - cieszę się, że spotkała pani przyjaciela, lecz z pewnych względów jego prawdziwe nazwisko musi być absolutnie zachowane w tajemnicy. Niech go pani nazywa signor Antonio Carillo. Proszę mi przyrzec Kamilo, że przed nikim się pani nie wygada. Mogłoby to pociągnąć za sobą nowe nieszczęścia.

- Przyrzekam - nieśmiało szepnęła dziewczyna.

#### 4

Nad wzgórzami i dolinami bezkresnych leśnych pustkowi snuły się poranne mgły. Ze

skalistych wierzchołków wzniesień wiatr lutowy zdmuchnął już śnieżne czapy. Szerniałe płaty śniegu pozostały jeszcze tylko w rozpadlinach. Za dnia spod śniegu ściekały strumyczki wody. W nocy znów ścinał je mróz i w pierwszych promieniach słońca połyskiwały w rozpadlinach niby łyzy zastygłe pośród zmarszczek na starczej twarzy.

Powykręcane pnie cedrów i sosen na skalnych występach mocowały się z zimnymi wiatrami. Ile siły witalnej było w tych drzewkach! W czasie wiosennych lawin i osypisk niejednokrotnie część rozdartego na pół pnia spadła wraz z kamieniami w dół, lecz pozostała część, wisząc nad urwiskiem, mocno trzymała się korzeniami gleby. Krzepkie były te drzewka, nieustępliwe, nierozzerwalnie związane z karmiącą je kamienistą ziemią.

Poniżej, ze zboczy wzgórz i kotlin, wybiegała na setki mil naprzód odwieczna puszcza. W miejscu, gdzie skaliste koryto strumienia rozszerzało się w głęboki parów otoczony świerkami, znajdowało się koczowisko plemienia Górskiego Orła.

Mało pozostało mężczyzn we wsi. Młodszy syn Górskiego Orła, Dziki Odyniec, z pięćdziesięciu wojownikami strzegł wigwamów, zapasów zboża i bydła przed leśnymi drapieżnikami i nieproszonymi gośćmi. Wszyscy inni mężowie plemienia wyruszyli z Górskim Orłem w dolinę Ohio.

- Biali są chytry i żrą się między sobą. Górski Orzeł jest mądry. Na pewno nie zechce przelewać krwi swych wojowników po to, aby pomóc jednym bladym twarzom zwyciężyć inne blade twarze. Niech się sami wyniszczą nawzajem ogniową śmiercią, a wtedy Indianie znów będą swobodnie polować w swoich lasach!

Tak powiedział na naradzie najstarszy plemienia Shawnee. Górski Orzeł uzbroił swoich wojowników i poprowadził ich do Błękitnej Doliny, ażeby podczas działań wojennych między żołnierzami i kolonistami Indianie nie zostali zaskoczeni zniemacka jakimś podłym podstępem bladych twarży, jak się to już nieraz zdarzało.

Mądrzy byli Górski Orzeł i stary sachem, ale nikczemność białych morderców okazała się głębsza od wody i czarniejsza od nory żmii! Po tygodniu przycwałowali konni gońcy przynosząc smutne wieści. Wojownicy wracają z wojennej ścieżki. Walka skończyła się zwycięstwem, ale Górski Orzeł i wielu synów plemienia powraca bez życia do osieroconych wigwamów. Wszyscy oni padli ofiarą zdrady bladych twarży. Co prawda, krew przelana przez morderców została pomszczona: osada w Błękitnej Dolinie jest zrównana z ziemią, a wojownicy pędzą przed wozami białych jeńców. Lecz plemię Shawnee nie pragnęło tej wojny i żadne łupy nie wynagrodzą utraty mądrego i sprawiedliwego Górskiego Orła.

Z głośnym płaczem wybiegały z wigwamów żony, matki i siostry zabitych, spiesząc naprzeciw długiemu taborowi. Na złocistym koniu, przywiązany rzemieniami do siodła, Górski Orzeł - niemy i nieruchomy - odbywał swą ostatnią drogę po leśnych ścieżkach. Za nim, z wysoko uniesioną głową przystrojoną w orle pióra, jechał Szary Niedźwiedź. A dalej, na długość setek końskich grzbietów, ciągnął się sznur jeńców, sanek i pieszych wojowników. Starszyzna zebrała całe plemię na rozległym kolistym placu między wigwamami. Pośrodku placu wznosił się stary ofiarny słupek „pana wojny”. Obok niego złożono ciała zabitych. Wdowy i matki podniosły lament. Nie opodal ofiarnego słupa szybko wyrosła góra bierwion, grubych konarów i chrustu. Ogromny stos miał zamienić w popiół doczesne szczątki Górskiego Orła i poległych wojowników, aby ich duch łatwo mógł wznieść się w nadziemskie obszary łowieckie. Tam, w przestworzach wieczności, nikt nie naruszy swobody polowania zmarłych Indian, albowiem w owych bezkresnych puszczech i preriach nie ma ani białych kolonistów, ani kapitanów angielskich, ani amerykańskich podpułkowników!...

W nocy do wigwamu Szarego Niedźwiedzia podszedł indiański chłopiec i stanął u wejścia, czekając, aż go zawołają.

- Czego chce ode mnie mój mały przyjaciel? - dobrotliwie spytał go Szary Niedźwiedź.

- Siedmiu białych mężów pragnie się z tobą zobaczyć, Szary Niedźwiedziu. Dopiero co tu przybyli i czekają w zaroślach. Ich kapitan prosi o spotkanie z tobą, o wodzu!



- Przyprowadź ich! - rozkazał Szary Niedźwiedź.

W pół godziny po rozmowie ze swoimi siedmioma nocnymi gośćmi wódz Shawnee posłał po Dzikiego Odyńca i trzech najlepszych tropicieli plemienia.

- Tych siedmiu białych ludzi - powiedział Szary Niedźwiedź do swego młodszego brata - trzeba przeprowadzić przez lasy do fortu Miami. Dajcie im świeże konie. Niech odpoczną w twoim wigwamie, Dziki Odyńcu, a jutro wyruszyście przed świtem. Wy czterej poprowadzicie ich do angielskiego fortu.

W ciepłej pieczarze, do której Indianie zapędzili jeńców, znaleźli się prawie wszyscy ocaleni mieszkańcy Błękitnej Doliny. Alfred Murray, ranny Edward Went i Maurice Villier cichutko rozmawiali ze starym doktorem Wahlnerem. Wszyscy oni z trwogą spoglądali na kamienne twarze indiańskich strażników.

Po północy zjawił się w pieczarze Wilk Wąwozu, przeliczył jeńców i z nieprzeniknioną twarzą stanął pośrodku pieczary, skrzyżowawszy ręce na piersiach. Maurice Villier szepnął do doktora Wahlnera:

- Widocznie nasz los został już przesądzony. Może uda się panu dowiedzieć od tego pięknego młodzieńca, co nas czeka? To mój sąsiad zza stołu na tej nieszczęsnej uczcie. Zdaje się, że nazywają go Wilk Wąwozu.

Niels Wahlner, znający trochę potocznych słów w języku Shawnee, podszedł do Wilka Wąwozu:

- Biali jeńcy czekają, co postanowią indiańscy wodzowie. Biali jeńcy to spokojni ludzie, oni nie są winni. To żołnierze oszukali Indian. Nikt nie chciał wojny.

Wilk Wąwozu ze zniecierpliwieniem przerwał doktorowi:

- Jesteś wielkim znachorem i kapłanem, ale mówisz teraz nie jak mąż, lecz jak kobieta. Tę bajeczkę dla dzieci śpiewała mi już po drodze biała squaw waszego najstarszego sachema Murraya. Ale ja jestem głuchy na to. Moje oczy widziały, że Górski Orzeł został zabity nożem obłudnego gospodarza, człowieka, co ma uśmiech na twarzy, a jad żmii w sercu. Nikt nie wchodził do domu oprócz sług mordercy. Nóż białego gospodarza pozostał w ranie. Od żądzy zemsty gotuje się krew we wszystkich wojownikach. Słuchaj, co postanowiła rada starszych. Jutro na oczach całego plemienia biali mężczyźni umrą przy ofiarnym słupie. Stanie się to przed spaleniem na stosie naszych wojowników, aby ich martwe oczy mogły się nacieszyć mękami zabójców. Białe i czarne squaw pójdą do wigwamów wojowników.

Jakkolwiek doktor Wahlner nie zrozumiał nawet połowy z tego, co powiedział Indianin, sens ostatnich zdań był dla niego dostatecznie jasny. Wilk Wąwozu obrzucił jeńców wzrokiem pełnym nienawiści i wyszedł z pieczary.

Emily Murray odezwała się głośno:

- Musimy znaleźć w sobie dość siły, by pozbawić życia nasze nieszczęsne dzieci i skończyć z sobą. Nie chcę doczekać jutrzejszego dnia z jego wszystkimi okropnościami. Bóg wybaczy nam ten grzech, albowiem nasze położenie jest bez wyjścia.

- Niech ci Bóg wybaczy twoje szalone słowa, moje biedne dziecko! - rozległ się w ciemności starczy głos. Seniora Estrella Luiz niby starożytna Sybilla uniosła rękę nad światłem kaganka.

- Czy widzicie ten płomyk? W słoneczny dzień nikt by go nie zauważył, lecz tu, w głębi pieczary, to nikłe światelko zwyciężyło ciemność. Nie gaście w duszy promyka nadziei, dopóki tli w was iskierka życia! Nigdy jeszcze nie zawiodło mnie przeczucie. I powiadam wam, jutrzejszy ranek wróci nam słońce!

Słowa staruszki słyszeli wszyscy. Indiańscy wojownicy z szacunkiem patrzyli na sędziwą prorokinię. Światło kaganka drżało na jej twarzy, a wysuwające się spod czarnej mantyli pasmo siwych włosów lśniło jak szczerze srebro.

Naraz, jakby rzeczywiście pod działaniem jakichś tajemnych czarów, chybotliwy płomyk kaganka zatrzeszczał, sypiąc iskierki, i zapłonął jaśniej.

Na mocno udeptany śnieg placu przed wigwamami wyległa cała ludność koczowiska. Obok starego słupa ofiarnego wyrosło przez noc pięć nowych słupów wkopanych w zmarznięty śnieg. Przed nimi leżały kupy drzewa i chrustu. Starszyzna i wodzowie zajęli poczesne miejsce pośrodku szerokiego koła widzów. Z tyłu, za wojownikami, ustawiły się kobiety.

- Przeprowadzić jeńców! - rozkazał Szary Niedźwiedź.

Słońce wschodziło nad lesistą kotliną, długie cienie drzew leżały na skrzącym się śniegu. Pieczara z jeńcami znajdowała się w odległości trzystu kroków od koczowiska, na stoku kotliny. Wojownicy pojedynczo wyprowadzali jeńców z czarnej gardzieli pieczary. Skazańcy znaleźli się w ciasnym pierścieniu bacznych, wrogich oczu. Wziętym do niewoli kobietom i dzieciom kazano usiąść nieco dalej, na zwałonym pniu.

Szary Niedźwiedź wskazał palcem Alfreda Murraya, Edwarda Wenta, właściciela małpki Thomasa Bingle'a - którego to młodzieńca Indianie uważali po trosze za czarodzieja - i starego Francuza monsieur Maurice Villiera. Emily i Mary Went rzuciły się ku skazańcom, lecz wojownicy przemocą zawrócili je na miejsce.

- Żegnaj, Emily! - krzyknął Alfred Murray ponad głowami konwojentów. Jeden z wojowników zamierzył się na niego, lecz drugi pochwycił w locie tomahawk. Edward Went skinął tylko ręką swojej Mary i utykając podszedł do słupa.

Szary Niedźwiedź wpatrywał się w gromadkę pozostałych jeńców, na każdym z nich zatrzymując przez chwilę uważne, taksujące spojrzenie. Wreszcie palec jego wskazał na Diego Luiza. Chłopiec stał wśród mężczyzn, ledwo sięgając im do podbródka. Z pogardą odtrącił rękę wojownika, który chciał go wziąć za chudziutkie ramię, i sam podszedł do pustego słupa. Przez tłum przebiegł szmer uznania. Stara Hiszpanka, nie podnosząc się z klęczek, uczyniła w powietrzu znak krzyża.

Wszystkich skazańców przywiązano do słupów. Z nogami opartymi na ułożonych pod słupami polanach wznosili się nad tłumem niby posągi na postumentach.

- Śmierć białym mordercom! - krzyknął tłum.

Na znak Szarego Niedźwiedzia dziesięciu wojowników z łukami wystąpiło naprzód. Od ofiar dzieliło ich dwadzieścia kroków. Wyjęli z kołczanów strzały i naciągnęli cięciwy. Białe kobiety zasłoniły rękami twarze.

Lecz w chwili gdy ostatni z brzegu wojownik, czterdziestoletni brat Górskiego Orła, wycelował w małego Hiszpana, przeraźliwy głos trąby rozległ się nad kotliną i głos o niesłychanej mocy, idący zdawało się z nieba, przemówił w języku Shawnee:

- Stójcie! wojownicy! Pan życia gniewa się na was! Powstrzymaj kaźń, o Szary Niedźwiedziu!

Wódz, który już uniósł rękę, by dać ostatni znak mający przerwać życie pięciu ludzi, zamarł w niemym zdumieniu.

Ze zbocza kotliny schodził w dół przedziwny orszak. Wśród nagich krzaków migwały długie białe szaty. Na czele kroczyło dwóch heroldów-Indian z długą czarną tubą. Obok nich szedł wysoki młodzieniec. Prowadził na smyczy ogromnego szarego wilka, jakiego nikt nie spotkał ani w lasach, ani w preriach. Za nimi widać było czterech czarnoskórych olbrzymów. Ich twarze, czarne jak skrzydło kruka, zdobiły nacięcia biegnące od nosa do uszu. Nieśli oni na ramionach lektykę. Dwaj pierwsi mieli zawieszoną na szyjach bębny. Nikt z dziwnych przybyszów nie miał broni.

Czterej czarni olbrzymi postawili na ziemi lektykę. Wszedł z niej wysoki mąż w białym turbanie na siwych włosach. Jeden z heroldów zadał w trąbę, a dwóch pierwszych Murzynów wykrzykując coś uderzyło w bębny. Młodzieniec z wilkiem władczy gestem rozsunął krąg widzów. Dwaj pozostali Murzyni skłonili się nisko, ze czcią ujęli skraj szaty siwego męża i wśród ogłuszających dźwięków trąby i bębnow orszak wkroczył w środek koła.

Wódz przybyszów przemówił po angielsku:

- Wojownicy szlachetnego plemienia Górskiego Orła i ty, waleczny i sprawiedliwy Szary

Niedźwiedziu, posłuchajcie, jaką ważną wieść wam przynoszę! Zaślepieni gniewem skazaliście na okrutną śmierć niewinnych ludzi. Wiedz, Szary Niedźwiedziu, że krew twojego ojca przelali nie oni, lecz chytry Anglicy z fortu.

Indianin Onondaga tłumaczył jego słowa na język Shawnee. Szary Niedźwiedź niecierpliwie przerwał tłumaczowi:

- Kim jesteś, dziwna blada twarzy, i skąd możesz wiedzieć, z czyjej ręki padł Górski Orzeł? Nie było ciebie w Błękitnej Dolinie, kiedy nóż białego człowieka przebił pierś naszego ojca. Jak mnie przekonasz, że to, co mówią twoje usta, nie jest kłamstwem?

- O człowieku małej wiary! Przekonam zaraz nie tylko ciebie, ale cały twój naród!

I zwracając się do ciała Górskiego Orła, leżącego na wysokim stosie pogrzebowym, przybysz powiedział:

- O mądry wodzu, którego duch swobodnie unosi się teraz ku wieczystym łowieckim przestworom! Twoja krew woła o pomstę. Pomóż więc swoim osieroconym dzieciom ukarać prawdziwych zabójców. Odwiążcie jeńców, wojownicy, a ja stanę przy waszym ognisku. Podejdźcie bliżej, aby wszyscy mogli zobaczyć to, co ja zobaczę.

Ulegając hipnotycznej sile idącej od tego czarodzieja, odwiązano jeńców od słupów. Lecz zamiast zbliżyć się ku niemu, widzowie pierwszego rzędu, napierając na tylnych, zaczęli się cofać. Czarodziej poczekał, aż odejdzie od słupa mały Hiszpan. Pośrodku koła utworzyła się już szeroka, pusta przestrzeń. Chłopiec, rozcierając zdrętwiałe od sznurów ręce, przeszedł po tej pustej przestrzeni tuż obok czarodzieja.

Kłęcząc wciąż na śniegu stara Hiszpanka wyprostowała się i w porywie radości wyciągnęła ręce do chłopczyka. Obie jej młode towarzyszki w bezgranicznym zdumieniu przeniosły wzrok z czarodzieja na młodego człowieka z psem. Nie wierzył swoim oczom również Alfred Murray. Ale jakże nie poznać tego głosu, który przez tyle lat rozbrzmiewał po wszystkich zakątkach pustynnej wyspy...

Biały czarodziej wszedł na stos, z którego dopiero co zszedł mały Hiszpan. Chłopiec był już w objęciach babki i nie odrywał oczu od nieznanego. Podobieństwo między przybyszem, stojącym teraz przy słupie, i szczupłą twarzą Diega było wręcz uderzające! Jednakże przybysz starał się nie patrzeć w stronę chłopca i nie widzieć jego uporczywego, zdumionego wzroku.

Czarodziej skinął na swych towarzyszy. Znowu zabrzmiały przeraźliwe głosy trąby i bębnow, lecz teraz do tej muzyki dołączył się jeszcze radosny krzyk murzyńskich jeńców. Wśród tego piekielnego hałasu i krzyków czarodziej dotknął ręką swego lewego oka, lekko nacisnął powiekę i ku przerażeniu czerwonych i czarnych widzów... wyjął własne oko! Trzymając oko na dłoni, wolno podniósł je nad zmartwiałym tłumem.

W otaczającym go kręgu ludzi, który jeszcze bardziej się poszerzył, momentalnie zapadła cisza. Słysząc tylko metaliczny głos czarodzieja wolno rzucającego słowa w tę martwą ciszę.

Tłumacz Onondaga powtarzał za nieznanym:

- O Wszechwidzące Oko, które nigdy nie gaśniesz, ty patrzysz już w przeszłość. Nie ma dla ciebie rzeczy ukrytych. I ty nam obwieścisz prawdę moimi ustami. Słuchajcie! Wszechwidzące Oko pokazuje mi ucztę w domu białego ojca Błękitnej Doliny. Oto widzę Górskiego Orła. Siedzi po prawej ręce gospodarza domu. W rękach gospodarza widzę długi nóż. Kraje nim jelenie mięso. Oto waleczny Wilk Wąwozu ucztuje razem z francuskim kolonistą. Do domu weszli podstępni Anglicy z fortu. Na ustach mają uśmiech, lecz w ich sercach kłębią się zmije. Widzę, jak ryżowasy człowiek, którego zowią sierżant Lins, ukradkiem zbliża się do małego stolika w kącie. Pamiętasz, Szary Niedźwiedziu, co leżało na tym stoliku? Przypomnij sobie, o wodzu, i odpowiedz mi!

- Służba stawiała tam półmiski i zbędne naczynia.

- Przypomnij sobie lepiej, o wodzu!

- Poczekaj! Leżał tam czarny nóż gospodarza!

- To prawda, wodzu! Wszechwidzące Oko, prowadź mnie dalej przez mroki minionych dni! Widzę, jak Anglicy wychodzą, a sierżant Lins chowa pod połą czarny nóż gospodarza. Oto już posnęli indiańscy goście. Dwa cienie skradają się z fortu do sadu Murraya. To zdrajca i dezertier sierżant Frank Willers i jego pomocnik, sprzedawczyk Enoch Legersen. O, widzę, po co skradają się oni nocą do cudzego domu: Anglicy chcą, aby wielka nienawiść oślepiła Indian. Dwaj złoczyńcy są już w ogrodzie, już wchodzi na ganek. Na straży domu stoi czarny człowiek, ale wypił on dużo wina i głowa zwisa mu na pierś. Usnął, a dwaj złoczyńcy otwierają okno. Oto weszli do narożnego pokoju, zapalili świecę. O, jakie to straszne! Frank wyciąga czarny nóż Murraya i wbija go w pierś Górskiego Orła. Biada, biada, płynie krew zabitego! Mordercy zgasili świecę. Oto wylazł z okna Enoch, a za nim Frank Willers. Zamknęli szczelnie okno. Czarny wartownik śpi dalej, a mordercy już znikli. Dokąd poszli? Poszli do białego kapitana Burnsa i otrzymują od niego nagrodę za podłe morderstwo. Oto kto kierował ręką morderców! Ale król bogów nie ścierpi zła! Posyła on do Błękitnej Doliny dwustu odważnych wojowników, aby ukarać Burnsa, a mnie każe spieszyć do wigwamów Indian, aby nie dopuścić do śmierci niewinnych ludzi.

Kapitan Burns już nie dowodzi fortem. Oto siedzi zamknięty w twierdzy razem ze swoimi współnikami... Ale nie, siedmiu łotrów ucieka z fortu, aby w głębi puszczy ukryć się przed zemstą. Czyżby mordercy znaleźli schronienie w twoim wigwamie, Szary Niedźwiedziu? O, oszukany synu Górskiego Orła! To ty dałeś im świeże konie, ty użyczyłeś miejsca przy swoim ognisku tym, co obmyli swe brudne ręce w krwi twojego ojca. W tej chwili przedzierają się oni do angielskiego fortu. Wyślij za nimi pogoń, a schwytasz morderców!

Oko czarodzieja wróciło na swoje miejsce. W koczowisku podniósł się nieopisany tumult. Ze dwudziestu wojowników już prowadziło konie. W parę sekund później znikli w obłokach śnieżnej kurzawy, co wzbiła się nad leśną ścieżką wiodącą w górę kotliny.

Wojownicy indiańscy odprowadzili byłych jeńców prawie do samej Doliny. Wszechwidzące Oko patrzył, jak ocaleni przez niego wyruszają w powrotną drogę. Na lekkich indiańskich sankach wojownicy z szacunkiem usadowili starą kobietę w czarnej mantyli... O, jakże rwało się serce nieznanego czarodzieja do tych sanek! Ale wrogowie jeszcze nie byli ujęci... I Wszechwidzące Oko pozostał ze swoją świtą, by czekać na powrót Indian, którzy puścili się w pogoń za uciekinierami z fortu...

Wypadło im czekać do wieczora. Już o zmierzchu wojownicy przywieśli do koczowiska sześciu nowych jeńców, z chmurnym i zatrwożonym Burnsem na czele. Burns czuł, że nie bez powodu wysłano za nimi pogoń! Wśród nowych jeńców brakowało tylko sierżanta Linsa; ranny w potyczce stoczył się z wysokiego urwiska w śnieg.

Szary Niedźwiedź jeszcze wcześniej kazał przenieść do swego wigwamu ciężko rannego wojownika - Srebrnego Lisa, którego znaleziono prawie bez życia tej nieszczęsnej nocy w ogrodzie Murraya. Przywieziono go wtedy na sankach do koczowiska i tu dopiero odzyskał przytomność.

- Powiedz mi, mój bracie - rzekł teraz Szary Niedźwiedź - jak to się stało, że sam jeden znalazłeś się ranny w ogrodzie białego sachema?

Srebrny Lis słabym głosem opowiedział, czego był świadkiem w noc zabójstwa Górskiego Orła.

- Pozwól, że zapytam twego mądrego brata, o Szary Niedźwiedziu - poprosił Bernardito - czy mógłby on poznać tych dwóch, co wyleźli z pokoju Górskiego Orła?

- Akurat wtedy świecił księżyc - odparł Srebrny Lis - i widziałem z boku tych ludzi. Może

bym ich poznał.

Niebawem przed wigwam przyprawiono sześciu jeńców. Na znak wodza ustawiono ich u wejścia, naprzeciw łoża Srebrnego Lisa.

- Odwróćcie się bokiem i przejdźcie naokoło wigwamu - rozkazał wódz. Srebrny Lis bacznie wpatrywał się w przesuwające się przed nim twarze jeńców... Nagle jego palec, jeszcze drżący ze słabości, wskazał na Franka Willersa...

- Ten! - ze wzburzeniem krzyknął ranny Indianin. - I... ten! - pokazał na Enocha Legersena.

Bernardito z tryumfem spojrział na Szarego Niedźwiedzia. Wódz podniósł się ze stosu skór i podszedł do białego „czarodzieja”.

- Wszystko, co mówiłeś, jest prawdą, Wszechwidzące Oko - powiedział. - Teraz rozwiąły się ostatnie moje wątpliwości. Nie oszukałeś Indian, jesteś prawdziwym czarodziejem. Przez to, że dopomogłeś nam zwolnić niewinnych i schwytać prawdziwych morderców, stałeś się dla mnie bratem i od dziś wejdiesz do mojego rodu. Dzieci mojego rodu usynowiają ciebie, Wszechwidzące Oko, w potężnym plemienu Shawnee!...

...Gdy „czarodziej” kazał wreszcie swym towarzyszom gotować się do drogi, była już noc. Wysoko nad wierzchołkami drzew gasły w mroźnym powietrzu ostatnie iskry pogrzebowych stosów. A przy zwęglonych słupach czerniały trupy Burnsa, Enocha Legersena, Sheltona, Franka Willersa, Grimlesa i Wansleya.

## 5

W polowym lazarecie, gdzie leżał ranny Dick Mills, zebrali się nazajutrz z rana koloniści Doliny, którzy mieli szczęście powrócić cało i zdrowo z indiańskiej niewoli. Wszyscy oni oczekiwali teraz przybycia z koczowiska swego tajemniczego wybawcy.

Alfred Murray gubił się w domysłach. Czyż nie odkopywał sam pieczary, w której lawina zasypała obu wyspiarzy i Charlesa? Czyż nie widział na własne oczy szczątków ludzkich ciał, strzępów skrwawionej odzieży? A żywy Anthony Cenni, który z nieba chyba spadł w Błękitną Dolinę?

Diego Luiz przycichł i w niczym nie przypominał teraz owego małego bohatera, jakim się okazał w godzinie najtrudniejszych doświadczeń. W tej chwili był znów po prostu dzieckiem, trochę onieśmielonym i bardzo przejętym.

Na zwodzonym moście zagrzmiały końskie kopyta. Głosy przybyłych słyhać coraz bliżej... I ten jeden głos, władczy i donośny... Głos zmartwychwstałego! Seniora Estrella upuściła chusteczkę... Przesuwają się paciorki różańca na przegubie, a drżące starcze wargi cicho szepcą: „Miserere”.

Doktor Wahlner wyczytał z oczu Emily, że jakaś dawna i mocna więź łączy rodzinę Murraya, starą Hiszpankę i jej wnuka z tajemniczym przybyszem. Zrozumiał, że obecność obcych jest w tej chwili niepożądana. Stary lekarz przezwyciężył dręczącą go ciekawość i wyprowadził pozostałych kolonistów z pokoju. Mignął przed nimi jakby wykuty z kamienia profil... Nieznajomy był w staroświeckim marynarskim kaftanie, z długą szpadą u boku. Pochyliwszy głowę przystanął na moment u progu. Jego towarzysz, młody Włoch, otworzył przed nim drzwi i cichutko zamknawszy je za nieznajomym stanął u wejścia, jakby na straży. Gdyby doktor posiadał zdolność widzenia przez ścianę, na całe życie zapamiętałby te pierwsze chwile spotkania...

...Człowiek, którego imię najodważniejsi wypowiadali z drżeniem, okrutny morski tygrys, który przez pięćdziesiąt lat nie uronił ani jednej łzy, płakał u kolan zgarbionej staruszki. Łzy - skąpe, bezcenne łzy surowego wojownika - lśniły w głębokich bruzdach na jego twarzy jak rosa na starym kamieniu.

- Matko!

Ten szept kazał zapomnieć wszystkim o własnych smutkach i troskach. Oczy obecnych w przycichłej szpitalnej sali też zaszyły łzami...

- Czyż ja, stary, śmiałem o tym marzyć! Matko, podprowadź do mnie syna!

Czoło dziecka, tak samo wysokie jak u Bernardita, było wilgotne. Chłopcu drgała brew i od tego drgania poruszał się pieprzyk w kąciку prawej powieki - malutki, czarny, ojcowski pieprzyk!

- Synku mój, uściskaj swego ojca! - Mężczyzna niecierpliwie otarł łzy i uśmiechnął się do syna. Był to szeroki, pełen szczęścia uśmiech, pierwszy taki uśmiech w jego długim, gorzkim życiu.

- Syn! Diego Luiz el Gorra! O śmierci, jakże bezsilne jest twoje żądło!

## 6

Ciężka była droga oberwanego włóczęgi przedzierającego się lasami do angielskiego fortu Miami... Indianin Kajuga znalazł go w śniegu pod urwiskiem nad rzeką. Z pomocą Indianina człowiek ów przedostał się do fortu. W ciągu paru tygodni wyleczył się z ran i po dalszym miesiącu z grupą żołnierzy przybył do Detroit. W pół roku potem ujrzał w New Yorku sine fale Atlantyku. Późną zaś jesienią 1779 roku podróżny pożegnał się z kapitanem angielskiego brygu, którzy rzucił kotwice w Bultonie...

W zimny jesienny wieczór do zamku w Chancefieldzie przybył pieszo jakiś człowiek o spalonej wiatrem twarzy. Zażądał, by go dopuszczono do samego lorda admirała.

- Proszę powiedzieć milordowi - rzekł do kamerdynera - że jestem posłany przez kapitana Burnsa, niech mu ziemia lekką będzie. Przywożę ważne wiadomości z Ameryki. Ja sam cudem tylko uszedłem cało z rąk Indian. Nazywam się William Lins. Byłem sierżantem w garnizonie Błękitnej Doliny.

Kamerdyner z powątpiewaniem popatrzył na byłego sierżanta.

- Nie sądzę, aby milord dziś pana przyjął, mister Lins. Siedzi już u niego jeden gość, też z daleka. Przyjechał pocztowym dylizansem. Spróbuję pana zameldować, ale nie ręczę, mister Lins, nie ręczę.

Po paru minutach poproszono Linsa do pokoju myśliwskiego. Lord admirał, hrabia Chancefieldu, żegnał się właśnie z wysokim marynarzem. Gestem wskazał Linsowi miejsce przy kominku, a sam zrobił jeszcze parę kroków w stronę drzwi, odprowadzając gościa.

- Mister Lorn, widzę, że jest pan bardzo zmęczony. Porozmawiamy jeszcze, gdy odpocznie pan po podróży, i mam nadzieję, że usłyszę wtedy coś poważniejszego niż te bajeczki dla dzieci. Dalibóg, ubawił mnie pan! „Wyspa Umarłych”, „Latający Holender”! W naszym trzeźwym wieku takie rzeczy nie są straszne nawet dla dziecka. Niech się pan prześpi, a rano pomówimy poważnie.

Gość milorda odwrócił się nachmurzony. Biała blizna na jego czole zsiniała. W milczeniu ujął klamkę drzwi.

- Niechże się pan nie gniewa, mister Lorn! Naprawdę mi przykro, ale z nerwami u pana nie w porządku. Pierwszy raz widzę pana w takim stanie. Jutro razem będziemy się śmieli z tych sennych przywidzeń...

- Wątpię, czy i jutro uda się panu mnie rozweselić, milordzie! - z wściekłością odparł Joseph Lorn. - Chciałbym widzieć, jak by się pan śmiał, gdy po falach przemknął ten przeklęty widmowy okręt... Pragnąłem oszczędzić pańskie uczucia, lecz te kpiny wyprowadzają mnie z równowagi. Czy wie pan, kto jest kapitanem „Latającego Holendra”?... To przywidzenie było straszniejsze od śmierci! Może się pan śmiać, ale Tressel i Olbert tak samo wyraźnie jak i ja widzieli na mostku kapitańskim widmo Bernardita.

Ręka milorda lekko drgnęła, lecz zmusił się do uśmiechu.

- Proszę iść do mego górnego gabinetu i poczekać tam na mnie. Muszę porozmawiać z człowiekiem z Błękitnej Doliny.

Joseph Lorn nie zdążył ponownie wyciągnąć ręki do drzwi, gdy te otworzyły się szeroko. Do środka wpadł kamerdyner przynaglony przez kogoś energicznym kopniakiem, a za nim, bez zaproszenia, wszedł do gabinetu pułkownik Barthold, komendant bultońskiego garnizonu.

- Proszę wybaczyć, milordzie, że wtargnąłem tu przemocą, a nawet musiałem poczęstować kopniakiem pańskiego nierozgarniętego kamerdynera, lecz przybywam z pilną wiadomością. Sir, otrzymałem bardzo niedobre wieści. Pański okręt bojowy „Skrzydlaty”, chluba i ozdoba floty brytyjskiej, półtora miesiąca temu został zdobyty czy też zatopiony przed nieznanym okrętem. Obawiam się sir, że będzie mnie pan uważał za człowieka zabobonnego lub zgoła żartownisia, lecz w otrzymanym doniesieniu jest mowa o tym, jakoby sam „Latający Holender” zetknął się ze „Skrzydlatym” na wodach afrykańskich.

- Czy znane są szczegóły katastrofy? - ochryplym głosem spytał milord pocierając spoczone czoło.

- Trudno mi je nawet powtórzyć, gdyż zdaję sobie sprawę, że musi pan to przyjąć z największym niedowierzaniem. Zawiadomienie nadeszło od komendanta fortu kapsztadzkiego. Świadcami katastrofy, byli marynarze pewnej holenderskiej brygantyny pod nazwą „Den Haag”. Brygantyna ta płynęła ze Wschodnich Indii z ładunkiem do Nowej Anglii. Kaper „Skrzydlaty” wysledził ją, wziął na cel i przesygnalizował rozkaz zatrzymania się. Działo się to w odległości około dwustu mil na zachód od Przylądka Dobrej Nadziei, w ciemną, bezksiężycową noc. Kapitan brygantyny już się gotował do odparcia abordażu, gdy nagle z mroku nocy wynurzył się promieniujący światłem okręt-widmo. Jego bukszpryt wbił się między omasztowanie „Skrzydlatego”. Niezliczone mnóstwo upiornych widm bezgłośnie przeleciało na pokład kaperka. Załogę ogarnęła szalona panika, marynarze rzucali się w wodę. A na pokładzie miotał się jakiś potwór przypominający olbrzymiego wilka. Potem okręt-widmo jakoby znikł w otchłani wodnej, a „Skrzydlaty” rozwiął się bez śladu we mgle. Po godzinie kapitan brygantyny odważył się zbadać miejsce katastrofy i wyłowił z wody trzech ludzi. Dwaj z nich, przez kilka dni będący między życiem i śmiercią, przyszli do siebie. Okazali się marynarzami ze „Skrzydlatego” i potwierdzili to samo, co widziała załoga brygantyny z daleka. Trzeci ocalony wciąż jeszcze leży w gorączce. Marynarze poznali w nim swego kapitana Blackwooda. Kapitan holenderskiej brygantyny przyprowadził swój okręt do Kapsztadu. Żeglarz sam był zaskoczony swym cudownym ocaleniem dzięki pojawieniu się widma - rodaka, lecz nie zaryzykował odmówienia za niego dziękczynnej modlitwy, nie wiedząc, czy będzie ona miła Bogu... W Kapsztadzie komendant fortu zażądał od kapitana brygantyny i obu marynarzy ze „Skrzydlatego”, aby pod przysięgą potwierdzili to wszystko, co widzieli. Pozwoli pan, sir, że odczytam jego raport. Przyszedł on do Bultonu zaledwie przed dwiema godzinami i uważałem za swój obowiązek...

- Dziękuję panu - rzekł sucho hrabia i pospieszył wyprowadzić swych gości, oprócz Lorna.

Gdy został sam na sam z marynarzem, położył mu rękę na ramieniu i począł mu szeptać do ucha:

- Słuchaj, Giuseppe! Jedź czym prędzej do Bultonu. W porcie od nie dawna jest nieduża katolicka kaplica. Znajdziesz w niej księdza, starego mnicha, ojca Benedykta. To staruszek z kaplicy w Sorrento, pamiętasz go? Kiedyś ci opowiem, jak ten ojciec Benedykt Morsini trafił aż tutaj. Na pewno jest tajnym wysłannikiem zakonu. Widać w Italii już palił się grunt pod nogami jezuitów. Przeniósł się więc do Anglii, a ja mu urządziłem kaplicę. Palicho protestantyzm z jego pastorami! Jedź i zamów u staruszka nocną mszę. Wysłuchamy jej obaj w kaplicy i pomodlimy się do Boga, by miał w swej pieczy nasze grzeszne dusze... Pospiesz się, Giuseppe!

Wokół skalistej wyspy huczały oceaniczne wiatry. Nad górami sunęły ciężkie chmury. Lecz wyspa nie była już pustynna i bezludna. W miejscu, gdzie góry się rozstępowały i potok rozwidłał się w kilka odnóg, powstała osada. Nosiła ona nazwę „Bueno Rio” i składała się z trzydziestu domów.

Część obecnych mieszkańców wyspy stanowili marynarze z kapera „Skrzydłatego”, którzy w liczbie czterdziestu ludzi, wraz z bosmanem Johnem Bootby, ocalili po fatalnym zderzeniu kapera z „Latającym Holendrem”. W wodzie zatoki odbijały się teraz wysokie maszty i smukły kadłub „Skrzydłatego”. Na brzegu wyrósł murzyński kraal, zamieszkały przez załogę „Afrykanki”, która zatonała podczas nocnego abordażu.

Na miejscu dawnej chatki wypiarzy wznosił się teraz duży dom z kamienia, umocnionego roztopionym ołowiem, przypominający budowle średniowiecznej Hiszpanii. Wieczorami w ogrodzie otaczającym ten dom bawiło się trzech chłopców, zawsze ubranych jednakowo, przy jak najbardziej czynnym udziale ogromnego psa i malutkiej małpki. Chłopcy bawili się w Indian, piratów lub myśliwych polujących na leopardy i wycinali w pień niezliczone ilości żołnierzy kapitana Burnsa w postaci wysokich pokrzyw rosnących pod płotem.

Kapitan Bernardito doprowadził do porządku podniesiony z dna jacht „Elly”. Na statku tym, już wyremontowanym i odmalowanym, odbywano teraz wesołe wycieczki.

Stara nazwa jachtu była dokładnie zamazana, a nowej jeszcze nie wymyślono.

Pewnego wieczora, już o zmroku, Bernardito zauważył jakiś dziwny ruch na pokładzie jachtu. Szedł właśnie brzegiem razem z Doroteą. Łódź ze „Skrzydłatego” była przycumowana przy brzegu. Kapitan usadowił w niej Doroteę i cicho popłynął w stronę jachtu. Na dziobie spostrzegł światło latarni. Bernardito przybił do rufy i wszedł na pokład. Domyślał się już, kto gospodarzy na okręcie, zdziwił się jednakże, zastawszy swych wychowanków przy zgoła niezwykłym zajęciu. Latarnia oświetlała wiaderko z farbą, a trzech chłopców nawijało szmatę na malarski pędzel.

Bernardito stanął w cieniu i słuchał. Chłopcy odłożyli pędzel. Ich twarze były umazane farbą, oczy płonęły podnieceniem. Zanosilo się na to, że w słownym sporze, jaki toczył się między nimi, lada chwila sięgną po inne argumenty. Ale wtedy najstarszy z chłopców, mister Thomas Bingle, wystąpił z propozycją, aby rozstrzygnąć sporną kwestię w drodze losowania.

Chłopcu temu kapitan Bernardito zawdzięczał ocalenie w Pireusie swojego syna. Toteż na prośbę kapitana mister Murray pozwolił Thomasowi wyjechać z Błękitnej Doliny na Wyspę Charlesa. Kapitan zobowiązał Murraya słowem honoru, że nikt się nie dowie o „zmarłychwstaniu” starego korsarza, i wtajemniczył go w swoje dalsze plany... W osobie Thomasa Bingle'a zyskał Bernardito trzeciego syna.

...Teraz, na oczach kapitana obserwującego z ukrycia chłopców, Thomas Bingle z przejęciem pisał coś na trzech kawałkach papieru. Następnie kartki zostały zwinięte w ciasne ruloniki, jak najskrupulatniej sprawdzone i wrzucone do beretu. Trzy ręce jednocześnie chwyciły po „losie”...

Pierwszy odcyfrował własne pismo autor karteczek.

- Ja będę Mateo Velmontez! - ogłosił z tryumfem i powagą.

Czarne oczy Charlesa błysnęły radośnie. Począł skakać i tańczyć po pokładzie.

- Tak właśnie chciałem, tak chciałem! Ja będę Alonso de Las Pados! Tylko teraz wara, nie wolno już nic zmieniać. Diego, to znaczy, że ty będziesz Jednookim Diabłem!

- No cóż - westchnął Tom, sam jawnie pretendujący do tej roli. - Dobrze! A więc przyjmij od nas przypieczętowaną krwią przysięgę, Jednooki Diable Bernardito!

...Za życia „zdegradowany” kapitan cichutko wrócił na rufę. W domu czekali z żoną jeszcze dobre dwie godziny na powrót „Braci Mścicieli” z tajemniczej wyprawy. Tego wieczora chłopcy nic nie powiedzieli kapitanowi, ale skoro świt zerwali Bernardita ze snu i zaprowadzili na brzeg. Nad dziobem jachtu, wymalowany przez niezbyt wprawnych mistrzów pędzla, widniał napis: „Tuluza”.



Kapitan potarosił nocnych malarzy za zwichrzone czupryny i podniósł wszystkich trzech w górę. Stare bractwo kapitana Bernardita odradzało się w nowym składzie!

## *Rozdział dziewiętnasty*

### **Trzej Hidalgo**

#### **1**

Po więziennej celi tam i z powrotem chodził samotny człowiek.

Cztery kroki wzdłuż, trzy kroki wszerz. Okno w łukowatej frontowej ścianie było umieszczone tak wysoko, że nawet stanąwszy na palcach nie można było dosięgnąć parapetu. Ale po południu promienie słońca przenikały przez kraty, oświetlając kamienne płyty posadzki. Im bardziej słońce się zniżało, tym wyżej przesuwała się po ścianie wąska złota smuga. Pod wieczór stawała się purpurowa i gasła na łuku sklepienia, tuż nad drzwiami. Drzwi były żelazne, z małym okienkiem i okrągłym judaszem zasłoniętym od zewnątrz mosiężnym krążkiem. Cella nr 14 znajdowała się w południowo-zachodniej baszcie bultońskiej twierdzy. Stara twierdza wznosiła się na szczycie stromego wzgórza na północnych krańcach miasta, pośród szarych jak mury więzienia przybrzeżnych skał nad Kelsexem.

Noce wypełniał szum rzeki. Spienione fale zdawały się kotłować u samego podnóża baszty, słychać było zgrzyt głazów na dnie, co od wieków staczały się tu ze skalnych przybrzeżnych urwisk.

Od iluż to już lat więźniowie rozbijają te głazy! Pchają pod górę po wąskich kładkach taczki pełne żwiru i drobno tłuczonego kamienia, zsypują na stosy, a rosnącym przedmieściom Bultonu przybywają wciąż nowe brukowane ulice.

Lecz więzień czternastej celi nie brał udziału w tych pracach. Już dziesiąty rok nie opuszczał tych murów. Dwa razy w tygodniu wyprowadzano go tylko na więzienny dziedziniec. Dwa razy w tygodniu widział nad głową niebo i słyszał daleki łoskot oceanicznego przyboju. Spacer trwał pół godziny, po czym więzień znów rozpoczynał swą wędrówkę po celi.

W młodości widział kiedyś wiewiórkę w dużej klatce. Z napuszoną kitką, zaczepiając nią o żelazne pręty, od rana do wieczora miotła się w kółko jak nakręcony mechanizm: z dołu na niższy drążek, potem na górny pod samym daszkiem i znów skok w dół - i znów na dolny drążek. Przez całe dziesięć lat miał w pamięci obraz tego zwierzątka. Sam robił cztery kroki przed siebie, od drzwi do okna, potem dwa kroki w bok, pięć kroków do kąta, znów dwa kroki ku drzwiom i cykl zaczynał się od nowa. Trzydzieści kroków, trzydzieści ruchów, a wszystko razem trwało siedem sekund.

Te sekundy, powtórzone setki razy, układały się w godziny, nie kończące się, leniwe strumyki martwych więziennych godzin tworzyły monotonne potoki dni, a miesiące były niby jeziora stojącej wody. Więzień stawał się coraz starszy, zmieniał się; upływający czas stepił jego uczucia, podobnie jak nurty Kelsexu stepiały ostrość kamieni. Płynął rok za rokiem, a przed nim wciąż jeszcze rozciągał się bezbrzeżny ocean więziennych lat. I wydawało się rzeczą zupełnie niemożliwą, aby go można było przepłynąć...

Już dawno przestały go nawiedzać sny o wolności. W pierwszych latach sama myśl o niej doprowadzała go do szaleństwa. Każdej nocy dokonywał we śnie śmiałych ucieczek, powracał do swoich, wymykał się pogoni. Budził się cały mokry od potu. Potem coraz częściej i częściej poczęły odzywać w pamięci obrazy dzieciństwa, a niedawna przeszłość odsuwała się, zasnuwała mgłą, stając się czymś nierealnym i obcym jak przeczytana, nieciekawa książka.

Pierwsze miesiące w więzieniu były najtrudniejsze. W tym właśnie trudnym okresie los zesłał mu towarzysza. Z lochów zamku Shrewsbury przeniesiono do twierdzy w Bultonie

dymisjonowanego francuskiego kapitana. Wobec przepelnienia panującego w więzieniu - jak wyjaśnił dozorca Hearlems - umieszczono go w jednej celi z młodym więźniem. Poznawszy się bliżej chwilowi współmieszkańcy godzinami rozmawiali, opowiadając sobie nawzajem o swojej przeszłości.

Nowy więzień był dwakroć starszy od swego towarzysza. Miał on spędzić w więzieniu wszystkiego dwa miesiące, po czym w ciągu jednego dnia miał opuścić Anglię. Francuza bardzo zainteresował pobyt młodzieńca w domu pewnego znamienitego lorda, lecz młody człowiek stawał się niemy i głuchy na wszelkie pytania, dopóki jego rozmówca nie przeszedł na inny temat. Nieufność młodzieńca rosła, aż w końcu przerodziła się w skrytą, dobrze maskowaną wrogość do współwięźnia, gdy ten pewnego razu wygadał się przez sen, iż jego pobyt w celi nr 14 nie jest bynajmniej przypadkowy. Młody więzień dawno już zdążył poznać przewrotne metody władz więziennych. Wiedział, że na pewnych więźniów nasyla się szpicłów, i teraz był pewien, że jego Francuz jest tego rodzaju ptaszkiem. Bez trudu też domyślił się, na czyj rozkaz uwił on sobie gniazdko właśnie w tej celi.

Ostrożność młodego człowieka oraz kilka zmyślonych historyjek, jakie - niby to w przyływie szczerości - opowiedział Francuzowi, widocznie uspokoiły pewną znakomitą osobę, albowiem po zniknięciu dymisjonowanego kapitana więzień nie oglądał już w swej celi innych twarzy oprócz twarzy dozorców więziennych.

Czasem otrzymywał od nich kawałek papieru, ołówek i wodne farby. Siadał wówczas przy żelaznym podnoszonym stoliku i malował kwiaty, zwierzęta, krajobrazy, niekiedy portrety swoich strażników. Nadzorca natychmiast odbierał obrazek i dawał go swej córce; niejednym też raz wymieniał go na tytoń lub szklankę brandy. Za te obrazki przynoszono więźniowi w tajemnicy książki. „Utopię” Tomasa Morusa i „Miasto Słońca” Tomasa Campanelli znał prawie w całości na pamięć.

Dziś więzień ze szczególną niecierpliwością krążył po celi, z trudem hamując wzruszenie. W ciemnych szybach okna odbijało się światło lampki palącej się w celi, ale już za godzinę zaróżowi się letnie niebo na dalekim horyzoncie. Zbliżał się ranek 14 lipca 1789 roku, a wraz z nim koniec jego pobytu w więzieniu. Równo dziesięć lat temu, po półrocznym śledztwie, zapadł skazujący wyrok sądu. I równo dziesięć lat bez czterech godzin więzień przesiedział, przespacerował i przespał w celi numer czternaście.

Wypuszczą czy nie wypuszczą? Chodząc przymykał oczy, robił krok i patrzył pod nogi: jeśli stopa przykryje plamkę na podłodze, to znaczy, że go wypuszczą, jeśli nie... Lecz okazywało się, że podeszwa tylko w połowie przykrywała plamkę... Wtedy odwracał się do okna i szukał na niebie znajomej gwiazdy: jeśli gwiazda świeci - wypuszczą go, jeśli przesłania ją chmura - znów popłyną więzienne dni... Gdy na kracie siadał wróbelek, więzień zamierał: czy ptaszek odwróci się doń dziobem czy ogonkiem? Tak mijały godziny...

To znowu nie kończące się kolumny cyfr rozsadały mózg więźnia. Obliczał, ile dziesiątek i setek tysięcy mil przebył chodząc po swej celi; ile mógł być zarobić, pracując przez ten czas; w chwilę potem przeliczał na godziny i minuty długie lata swego pobytu w więzieniu.

Wreszcie światło lampki zbladło, niepotrzebne już w niebieskim brzasku rodzącego się dnia. Odcięty od świata zewnętrznego, więzień nie podejrzewał, że nadchodzący poranek okaże się ostatnim w historii o wiele groźniejszej twierdzy. Tego dnia ponura paryska Bastylia podzieliła los londyńskich więzień Fleet i Newgate, które zmiotł gniew ludu przed dziesięciu laty. Lecz więzień bultońskiej twierdzy nic o tym nie wiedział. Nie podejrzewał, że wielki naród po drugiej stronie kanału La Manche już rozprostował grzbiet, że zaczęła się tam rewolucja, a tron królewski z każdym dniem chwieje się coraz bardziej.

Przebywał w zamkniętym świecie i tylko w marzeniach w Mieście Słońca, cudownym mieście, gdzie nie ma więzień i ludzkiej krzywdy, co noc rozstępowały się przed nim grube na trzy stopy kamienne mury...

Po barwie nieba więzień domyślił się, że słońce weszło już nad Bultonem. Więzienie budziło

się. O, jak dobrze znał te wszystkie odgłosy - poranne, wieczorne, nocne... W tej chwili na końcu korytarza rozległy się kroki dozorczy... Zgrzytnął klucz w zamku celi...

Przed majorem Drawersem, naczelnikiem bultońskiego więzienia, stał ze zwieszoną głową niemłody już, porządnie, aczkolwiek trochę staromodnie ubrany mężczyzna o wymizerowanej twarzy.

- George Bingle alias Edward Moynes, wasza wielmożność - zameldował naczelnikowi więzienny pisarz.

- A-a-a, były czternasty numer! Witam, mister Bingle. Winszuję -jest pan wolny. Mam nadzieję, że ta surowa lekcja wyjdzie panu na dobre. Pańskie zachowanie było, rzecz można, przykładowe, toteż wierzę w pańską skruchę i poprawę. Pewna wysoko postawiona osobistość w naszym mieście przez te wszystkie lata wykazywała dużo troski o pana. Ta sama osoba wyraziła życzenie, by administracja więzienia znalazła odpowiednie zajęcie dla pana po zwolnieniu. Złożona przez pana prośba o pozwolenie na wyjazd za granicę została na razie odrzucona, mister Bingle. Nie powinno to pana martwić, gdyż za granicą jest teraz dość niespokojnie, a u nas otrzyma pan dobrą pracę. Zatrzymujemy pana na razie przy więzieniu w charakterze pisarza i portrecisty. Pańskim głównym obowiązkiem będzie wykonywanie portretów nowo przybyłych więźniów. Będzie pan otrzymywał sto trzydzieści funtów rocznie. Praca ta nie jest zbyt uciążliwa i pozwoli panu na dodatkowe zajęcie. Mieszkanie dostanie pan tutaj, w budynku, gdzie mieszkają dozorczy. Co prawda i ten budynek znajduje się w obrębie murów, lecz przypuszczam, że dla pana jest to rzecz równie zwyczajna, jak i dla nas, nieprawdaż?

Były więzień z czternastej celi nie odezwał się ani słowem. Major Drawers przyjrzał mu się uważnie. Stał przed nim zgarbiony, przedwcześnie postarzały człowiek o rzadkich, mocno przyprószonej siwizną włosach, z wyłysiałym czołem i ziemistą cerą, przypominającą korę anemicznych brzoźek rosnących na błotnistym gruncie. Trudno było na oko określić jego wiek. Przygaste oczy, podkrążone sinymi cieniami, zapadnięte policzki, kanciasty, źle wygolony podbródek z siwizną w rudawym zaroście, kościste palce z reumatycznymi guzami w stawach... Wyglądał na jakieś czterdzieści siedem do pięćdziesięciu lat. Lecz major nie musiał zgadywać; akta George'a Bingle'a leżały na stole. Człowiek ten urodził się w listopadzie 1758 r., nie ukończył więc jeszcze trzydziestu jeden lat!

- Dziękuję, panie majorze! - Ten głos zabrzmiał głucho, jakby wychodził spod ziemi. - Jak widzę, moja zgoda nie jest potrzebna? Czy wolno mi będzie wychodzić poza obręb twierdzy?

- Postąpi pan rozsądnie, wstrzymując się od zbędnych znajomości i zbyt odległych spacerów. Charakter pańskich przyszłych obowiązków nakłada na pana pewne... hm... ograniczenia.

- Nie mam ani krewnych, ani przyjaciół, będę więc mógł bez większego trudu spełnić pańskie życzenie...

George Bingle oddał uścisk dłoni przysłuszanemu przełożonemu i udał się za strażnikiem do swego nowego mieszkania. Stojący przy bramie halabardzista oraz dwóch wartowników odprowadzali go zaciekawionym wzrokiem.

Minąwszy więzienną bramę, Bingle szedł dalej za strażnikiem wzdłuż muru okalającego budynek, w którym mieściły się biura i mieszkania dozorców. Przy żelaznej furtce strażnik zatrzymał się. Furtka skrzypnęła, lecz już nie tak przeraźliwie jak więzienna brama...

Wewnątrz ogrodzenia znajdowało się ponure podwórko, gdzie rosło kilka cherlawych topoli, przypominających więźniów wypuszczonych na spacer z mrocznych czeluści twierdzy. W domku otoczonym tymi właśnie drzewkami mieszkał naczelnik więzienia. W przeciwległym kącie podwórka wznosił się, przytykając do wysokiego więziennego muru, dwupiętrowy budynek z czerwonej cegły, w którym znajdował pomieszczenie cały personel twierdzy.

Nowego pracownika bultońskiej twierdzy umieszczono na pierwszym piętrze tego domu;

przydzielono mu dwa pokoje i małą kuchenkę. Było tu chłodno mimo upalnego lipcowego południa. Urządzeniem nowe mieszkanie niewiele różniło się od celi nr 14. Strażnik złożył rzeczy George'a na środku „salonu” i poinformował go, że piętro wyżej mieszka samotny klerk, którego służąca za umiarkowaną zapłatą chętnie zaopiekuje się również gospodarstwem mister Bingle'a.

George Bingle słuchał z roztargnieniem. Podziękował strażnikowi i zamknął za nim drzwi. I jakkolwiek brudne ściany i okna prezentowały się bardzo nędznie, był jednak u siebie w domu! Mógł tutaj sam otwierać i zamykać drzwi. Mógł zatrzymać przed swoim progiem cały zewnętrzny świat i powiedzieć mu władczym głosem: „Stój! Tu rządzą tylko ja!” A gdy zechce, będzie mógł przekroczyć próg i powiedzieć światu: „Oto jestem!”

George Bingle nie omieszkiał skorzystać z tych bezcennych praw obywatelskich Brytyjczyka. Przekroczył próg i zamykał na klucz drzwi swego mieszkania. Niepewnym krokiem zeszedł na dół, przeciął na ukos podwórko przypominające klasztorny dziedziniec i minawszy wartownika wyszedł za bramę. U jego stóp wiła się droga wśród skalnych osypisk. Niebo wydało mu się olśniewająco jasne, jak niebo nad Miastem Słońca, a swobodny wietrzyk igrający z jego włosami wzruszył go do łez. Gdy zeszedł ze wzgórza, piargi ustąpiły miejsca ziemi porosłej trawą. Za zakrętem drogi błysnęła rzeka. Pośród przybrzeżnych skał ukazała się jego oczom niewielka zielona łączka, której środkiem przepływał potok wpadający do Kelsexu.

George Bingle na uginających się ze zmęczenia nogach dobiegł do łączki, ukląkł na trawie i ucałował pierwszy napotkany dmuchawiec.

## 2

Oberża „Biały Niedźwiedź” słynęła jako najlepsza w całej Północnej Anglii. Tu zatrzymywały się, przyjmowały pasażerów i przekazywały pocztę dyliżansów i karety podążające tak zwanym królewskim traktem do Londynu. Kilka miejscowych dyliżansów również nie mogło narzekać na brak pasażerów z Chancefieldu, Trenchbury i innych miejscowości w okolicy Bultonu. Właściciel oberży mister Woodrow Crag musiał w końcu zakupić sąsiedni budynek na pomieszczenie dla pojazdów, woźniców i pocztylionów oraz dobudować drugie piętro nad oberżą na pokoje dla gości.

Ale prawdziwym sercem tej wzorowej gospody był ustronny piętrowy domek w głębi ogrodu. Ogrodzenie cienistego bocznego podwórca skrywało pojazdy gości tego domku przed oczyma ciekawych z ulicy. Korzystali oni z osobnego wejścia, od strony cichego zaułka Olderman Cross.

Piętro zajmował sam właściciel, mister Woodrow Crag. Goście znajdowali pomieszczenie w urządzonych bez smaku pokojach parteru. Przewidujący architekt tak przemyślnie rozplanował wszystkie wejścia i wyjścia, że możliwość przypadkowego zetknięcia się dwojga gości była wykluczona. Pokoje na parterze nigdy nie były puste. Przewijały się tu różne typy. Niektórzy wchodzili przez dyskretnie ukryte drzwi od strony zaułka i zajmowali tylne pokoje, gdzie zachowywali się wcale swobodnie; witając się mocno klepali się wzajem po ramieniu i nigdy bez zaproszenia nie pchali się do frontowej części domku, czekając, aż gospodarz sam ich wezwie, by zlecić jakieś delikatne zadanie.

Całkiem innego rodzaju goście, oglądając się wokoło, podchodzili do frontowych drzwi; nieśmiało pociągali za sznurek dzwonka, czekali w halsu przestępując z nogi na nogę, a gdy zapraszano ich do pokoju przyjęć, równie nieśmiało przedstawiali pryncypałowi lub jego zastępcy swoją sprawę. Byli to klienci „biura porad prawnych” mister Craga. Z jego usług korzystały osoby prywatne, przedsiębiorcy, kupcy, jak również funkcjonariusze sądu i policji bultońskiej, która udzielała tej półoficjalnej instytucji prawniczej nieoficjalnego poparcia.

Pracownicy biura cieszyli się w środowisku ludzi interesu opinią doskonałych detektywów. Ta ich dobra sława sięgała daleko poza granice Bultonu, przekraczając nawet kanał La Manche. Toteż goście mister Craga nierzadko nosili ubiory nie spotykane w północnej Anglii i przybywali nieraz wprost z pokładu okrętu, który dopiero co zawinął do Bultonu. Do takich właśnie interesantów można było zaliczyć jegomościa w długiej szacie, przypominającej księżą sutannę, i w czarnym okrągłym kapeluszu. Wysiadł on z wynajętego powozu przed frontowym wejściem domku przy Olderman Cross i nałożywszy na nos okulary odczytał napis na lśniącej tabliczce:

*W. Crag Esq. i mr. A. Crampflow*

W. Craga Esq. przybyły niestety nie zastał. Dżentelmen ów kurował się właśnie u wód słynnego uzdrowiska Bath, w hrabstwie Somerset. Poproszono więc gościa do dość pretensjonalnie urządzonego gabinetu mister A. Crampflowa. Tu ujrzał on swój bilet wizytowy w rękach starszego, fircykowatego mężczyzny rozpartego w masywnym fotelu. Wysoki tytuł naukowy figurujący na bilecie nie wywarł, jak widać, na panu Crampflow szczególnego wrażenia.

- Panie - przemówił gość - statek „San Marco”, płynący z Hamburga do Wenecji, stoi drugi i niestety ostatni dzień w Bultonie. Dopiero dziś dowiedziałem się od naszego kapitana o istnieniu biura mister Craga. Za radą kapitana udałem się do portowej tawerny „Brzuch Wieloryba”, lecz jej obecny właściciel, mister William Lins, skierował mnie tutaj. Niestety, mister Crag, jak słyszałem, jest nieobecny?

- Jestem jego najbliższym współpracownikiem. Może mi pan przedstawić swoją sprawę. Sądzę, że załatwimy ją szybko ku pełnemu pańskiemu zadowoleniu, doktorze Tommaso Buotti.

Lekko ochryply głos mister Crampflowa nie miał zbyt przyjemnego brzmienia.

- W ciągu ostatnich lat objechałem wiele krajów Europy - wyjaśnił gość. - Teraz wracam z Niemiec. Celem moich podróży jest odszukanie pewnej osoby... Proszę mi powiedzieć, czy pańskie biuro przyjmuje tego rodzaju sprawy?

- Nasze biuro przyjmuje każde zlecenie, jeśli tylko klient pokrywa szybko wydatki.

- O kosztach wolałbym pomówić pod koniec naszej rozmowy... Czy nie zdarzyło się kiedyś panu, mister Crampflow, słyszeć nazwiska Giacomo Molla?

- Stykam się z takim mnóstwem nazwisk, że łeb by mi pękł, gdybym chciał je wszystkie spamiętać - wytwornie odparł wspólnik mister Craga. - Któż to jest ten Molla i z jakiego powodu pan go ściga?

- Źle mnie pan zrozumiał. Poszukuję tego człowieka nie po to, by mu zaszkodzić, lecz przeciwnie, by uczynić go spadkobiercą ogromnego majątku. Wystarczy, gdy powiem, mister Crampflow, że za samo wskazanie miejsca pobytu Giacoma Molli lub jego dziedzica w prostej linii, osoba, która upoważniła mnie do tych poszukiwań, ofiarowuje dziesięć tysięcy włoskich skudów...

Twarz mister Crampflowa przybrała bardziej uprzejmy wyraz.

- Mogę dać głowę, że ten Giacomo Molla, gdziekolwiek by się znajdował, żywy czy umarły, będzie panu dostarczony, jeśli nasza firma podejmie się poszukiwań. Czy wolno wiedzieć, doktorze, komu tak zależy na jego odnalezieniu?

- Pan wybacz, lecz nie mam prawa tego wyjawić, w przeciwnym razie od dawna umieścilibyśmy anonse w prasie. Mój szanowny mocodawca pragnie...

- No dobra, dobra - niecierpliwie przerwał doktorowi Crampflow. Wzmianka o dziesięciu tysiącach skudów, jakkolwiek go podnieciła, bynajmniej nie uczyniła go bardzo taktownym. - Nasze biuro przyjmuje pańskie zlecenie. Zajmę się tym osobiście. Jakie dane o tym Giacomo Molli może mi pan podać? Ma pan może jego podobiznę?

Doktor Tommaso Buotti wyjął z portfela i podał mu miniaturowy owalny portrecik, wykonany w emalii. Miniatura przedstawiała piękną kobietę tulącą policzek do twarzyczki może pięcioletniego chłopczyka. Chłopczyk miał zacięte usta i ciemne oczy. Obszuty koronką kołnierz koszulki odślaniał szyję i nad lewym obojczykiem widoczne było ciemne duże znamię.

- To signor Giacomo z matką, signorą Franceską Molla, niegdyś sławną śpiewaczką tokańską. Niestety, nie zachował się ani jeden z późniejszych jego wizerunków.

- Hej, Sleep! - zawołał Crampflow otworzywszy drzwi do sąsiedniego pokoju.

- Jestem, sir!

Na progu stanął mister Sleep, otyły mężczyzna o szurzych oczkach.

- Sleep, weźmie pan moją bryczkę i w pół godziny sprowadzi mi tu tego... mister Bingle'a, wie pan, z... szarego domu. Niech zabierze z sobą farby i pędzle.

Sleep ze zrozumieniem kiwnął głową i żwawym truchcikiem wyszedł z gabinetu.

- A teraz, doktorze, proszę powiedzieć, co jeszcze panu wiadomo o Giacomo Molli.

- Do piątego roku życia przebywał wraz z matką w Wenecji, w pałacu hrabiego Paolo d'Ellano. W siedemset czterdziestym trzecim roku signorą Franceską Molla opuściła pałac. Dalszych informacji mogę panu udzielić jedynie pod warunkiem zachowania ich w najściślejszej tajemnicy. Prawdopodobnie Giacomo Molla czuje się okrutnie skrzywdzony i być może świadomie ukrywa się przed osobą tak bardzo zainteresowaną w jego odnalezieniu. Najmniejsza nieostrożność może zniweczyć rezultaty całej mojej żmudnej dotychczasowej pracy...

...Doktor Buotti opowiedział panu Crampflow wszystko, czego w ciągu wielu lat zdążył się dowiedzieć o dalszych losach Giacomina, jego matki i ojczyma. Jednakże nazwiska osoby zainteresowanej w poszukiwaniach na razie nie wymienił. Opowiadał natomiast o swej znajomości z przybraną matką Giacomina - Angeliką Cenni. Przyjaciel mister Craiga wysłuchał doktora z protekcyjną, znudzoną miną, z jaką spotkać się można u modnych lekarzy, zmuszonych do wysłuchiwania krewnych swego pacjenta.

- Przepraszam, a czy odszukał pan w Bultonie swego starego znajomego, doktora Gracewella?

- Sierpień w mieście nie jest odpowiednim okresem do składania wizyt. Randolph Gracewell wyjechał niestety na wypoczynek do Normandii. Zostawiłem mu tylko krótki list i mój bilet wizytowy.

W tej chwili mister Sleep wprowadził do gabinetu nową osobę. Był to niemłody już mężczyzna o chorobliwym wyglądem. Mister Crampflow nie prosząc, by usiadł, wręczył nowemu gościowi miniaturę i polecił na miejscu sporządzić z niej kopię akwarelową, a z tej - kopię olejną.

- Boże, przecież to zajmie mnóstwo czasu! - zawołał signor Buotti. - Za trzy godziny muszę być na okręcie. „San Marco” wieczorem podnosi kotwicę.

- Może pan być spokojny, akwarela będzie gotowa za jakąś godzinę, a kopię olejną zrobi się potem z akwareli. Bingle, bierz się pan do roboty.

- Co za cudowna emalia! - szepnął malarz. - Styl Vincenzo Cardosa.

- Miło mi poznać znawcę! Pan się nie myli. Jest to istotnie robota wspomnianego przez pana mediolańskiego mistrza. W sztuce emalii i kamei nikt nie może się z nim równać.

Alex Crampflow, zajęty rozmową ze swym włoskim klientem, nie zauważył, z jakim wzruszeniem malarz wpatruje się w miniaturę. Wprawne oko artysty od razu odkryło znajome cechy. W pracowni swego włoskiego mistrza, Albertina Vitelli, młody George Bingle widział mnóstwo rysunków przedstawiających ową damę, z profilu i w trzech czwartych, na tle różnych ogrodów Rawenny, w rzymskim stroju karnawałowym, w rolach operowych i w stroju domowym... George pamiętał również twarzyczkę tego dziecka. Ona także powtarzała się wielokrotnie w szkicach i studiach Albertina... Mistrz powiedział mu kiedyś, że Giacomo

jest nieślubnym synem hrabiego Paolo d'Ellano.

Subtelne rysy dziecka z miniatury zdradzały już charakter. Im dłużej George wpatrywał się w tę twarz, tym wyraźniej dostrzegał w niej rysy innej znajomej twarzy - rysy hrabiego Chancefieldu... Nieprawdopodobne, ale... z miniatury spoglądała na niego dziecięca twarz sir Fredericka Rilanda! Oto i znamię nad obojczykiem... U milorda jest ono brązowe, tuż przy szyi. Oto zarysowujący się już garbek na nosie. Nawet oczy dziecka mają ten sam czujny, nieufny i zawzięty wyraz. Czyżby kapryśny los nieoczekiwanie odsłonił przed nim jeszcze jedną tajemnicę?

George pracował jak w transie. Lecz ów stan podniecenia nie przeszkadzał artyście, wręcz przeciwnie - okazał się pomocny w wykonaniu zadania. Po upływie półtorej godziny pierwsza kopia była gotowa. Signor Buotti patrzył na nią w zdumieniu. Była nad podziw dokładna, tylko twarz chłopca na kopii wydawała się nieco starsza. Mister Crampflow odniósł nawet wrażenie, jakby mu była skądś znajoma...

- Z pana także mistrz nie lada, mister Bingle! - powiedział doktor Buotti z przekonaniem.

Uściskawszy zimną dłoń malarza, owinął cenną emalię, schował ją do portfela i zegnając się w progu z panem Crampflow rzekł półgłosem:

- Wiadomości o przebiegu poszukiwań proszę mi posyłać na adres: Wenecja, pałac hrabiego d'Ellano, biblioteka. W ostateczności może je pan również przesłać wielebnemu ojcu Fulvio di Gracciolani na ten sam adres. Jest to spowiednik hrabiego i podobnie jak i ja dokłada wszelkich starań, by odnaleźć wiadomą osobę. Żegnam panowie!

Przypadkowo zasłyszany adres głęboko wrył się w pamięć George'a Bingle'a.

### 3

Jeszcze żagle „San Marco” nie zdążyły zniknąć za występem mola, gdy z przystani bultońskiej stoczni wyszła na redę i wzięła kurs na południe eskadra złożona z trzech bojowych okrętów. Dowodził nią kapitan marynarki wojennej mister Donald Blackwood, płynący na ciężkiej fregacie flagowej „Król Jerzy III”. W kilwaterze okrętu flagowego szła lekka fregata „Admirał Chancefield”, a w odległości pół mili za nią pruła fale zwrotna i szybka, dobrze uzbrojona karawela „Pocziwy Bulton”.

Wyjście eskadry na morze nie zostało uczczone ani salwą armatnią, ani uroczystym pożegnaniem. Okręty w pośpiechu wyszły z portu czwartego sierpnia, zaopatrzone w duże zapasy żywności i amunicji. Nocą eskadra wyprzedziła „San Marco”, a w trzy dni później rzuciła kotwicę w Portsmouth. Dowódca eskadry Donald Blackwood, kapitan karaweli Robert Tressel i dowódca „Admirała” Joseph Lorn zajęli miejsca w podróźnej karecie i udali się do Londynu. Lokaj w liberii szeroko otworzył przed nimi drzwi piętrowego pałacyku przy Tewistock Square, gdzie lord i lady Chancefield spędzali większość zimowych sezonów.

Po kolacji trzech bultońscy marynarze przeszli do gabinetu hrabiego. Kamerdyner zapuścił story i przymknął drzwi. Lord Chancefield rozłożył na stole morską mapę strategiczną.

- Wasza wyprawa, panowie, musi ostatecznie rozstrzygnąć walkę z naszym nieuchwytnym wrogiem. Od czasu gdy na morzach pojawił się tajemniczy kaper, rzadko który rejs okrętów naszej kompanii kończy się szczęśliwie. Zwróćcie uwagę, panowie, gdzie dochodzi zawsze do spotkania z tym przeciwnikiem...

Przy tych słowach ręka hrabiego z błyszczącymi galonami na mankiecie admirałskiego munduru przykryła niebieską przestrzeń poniżej południowej Afryki.

- A więc tu, u wybrzeży Wyspy Charlesa, w nieznanych okolicznościach zaginęły wiosną siedemdziesiątego ósmego roku dwa nasze szkunery „Gloria” i „Dorotea”, pierwsze okręty Kompanii Północnobrytyjskiej. W sześć miesięcy później ten sam los spotkał jacht „Elly”, a następnie, o tu, trochę bardziej na północ od wyspy, tonie „Fortuna”... Według waszych



własnych obserwacji, panowie, wszystkie te katastrofy mają związek z pojawieniem się na tych wodach okrętu-widma, nieprawdaż, mister Tressel? Dalej. W rok później, tu, na zachód od Przylądka Dobrej Nadziei, znów tajemniczy okręt atakuje naszą ciężką fregatę „Skrzydlaty”, która od tej chwili powiększa rejestr zatopionych okrętów. Z całej załogi przypadkowo uratowano dwóch marynarzy i kapitana Donalda Blackwooda, od których dowiedzieliśmy się szczegółów katastrofy. Są one równie niepojęte jak i... pańskie wrażenia z Wyspy Charlesa, mister Lorn. Wieści o okręcie-widmie po katastrofie „Skrzydlatego” urwały się, ale... W dwa lata później z pochylni naszej stoczni spuszczone na wodę dwa pierwszorzędne szkunery - „Perseusza” i „Fort of Reading”. Pierwszy z nich, pod dowództwem MacRaila, popłynął na afrykańskie wody. W delcie rzeki Kongo MacRail - w trakcie zakupu niewolników dla kolonii - został zaatakowany przez plemiona kongijskie. Czarni posiadali lekką broń palną, a nawet dwie armaty. Z wielkim trudem i z poważnymi stratami w ludziach udało się szkunerowi wycofać z Konga. Nie mogłem pozwolić, by ta niesłychana zbrodnia czarnych barbarzyńców, która wywołała oburzenie w całym cywilizowanym świecie, uszła im bezkarnie. Następną naszą ekspedycja, w składzie czterech okrętów, zrównała z ziemią na dużej przestrzeni wszystkie wsie murzyńskie w basenie Konga, spaliła stolicę miejscowego kacyka Ngudi-Miange i wywiozła do Ameryki ponad dwa tysiące tubylców należących do plemion Bakongo, Basundi, Majumbe i paru innych. Operacja ta, przeprowadzona w roku osiemdziesiątym pod dowództwem mister Josepha Lorna, pokryła częściowo nasze poprzednie straty i ocaliła honor naszej bandery.

Niestety była to ostatnia udana wyprawa morska, gdyż na oceanach znów pojawiło się „widmo” zatopionego okrętu. Spotkania z „Latającym Holendrem” kosztowały nas pięć statków, lecz nowy kaper zadał nam jeszcze cięższe straty.

Każdy z was, panowie, zetknął się z tym piratem. Dlatego też wam postanowiłem powierzyć odpowiedzialne zadania zniszczenia wroga. Okręt ten pływa pod banderą z trzema skrzyżowanymi mieczami i nosi nazwę „Trzej Hidalgowie”, lecz nie ulega już wątpliwości, że jest to nasz dawny kaper „Skrzydlaty”.

W osiemdziesiątym pierwszym roku tenże pirat zaatakował zniemacka, w odległości około stu mil na północny zachód od Azorów, cztery okręty wspomnianej przeze mnie ekspedycji karnej, gdy już wracały z Ameryki. Mister Lorn dowodził podówczas karawelą „Pocziwy Bulton”. Jego statek został poważnie uszkodzony w tym starciu, ale jakoś udało mu się wyjść z opresji. Pozostałe trzy okręty poszły na dno. Następnego roku zatonał u wybrzeży Ameryki Północnej mój najlepszy bryg „Francis Riland”, podpalony przez tę samą fregatę o nazwie „Trzej Hidalgowie”, występującą wówczas pod banderą amerykańskiej floty powstańczej. Po upływie dalszego roku zniszczony został na Atlantyku szkuner „Perseusz”. Wiosną ubiegłego roku nasz bryg „Orion” spotkał się niedaleko Cypru z „Trzema Hidalgami”, lecz zdążył skryć się we mgle. Kapitan Guy Brantley po raz pierwszy powziął podejrzenie, iż ciężka fregata „Trzej Hidalgowie” to odbudowany „Skrzydlaty”. Cztery miesiące później szkuner „Fort of Reading”, wiozący drzewo z Archangielska, został zatopiony na północnych wodach. Szkuner płynął w kilwaterze „Oriona”, który znów szczęśliwie ocalał.

I w końcu ów niesłychanie zuchwały napad, zaledwie sprzed miesiąca, dokonany niemalże na redzie bultońskiego portu! Nasza brygantyna „Ofelia”, podążająca z ładunkiem do New Yorku, została podpalona na Morzu Irlandzkim, o trzydzieści mil od brzegu! Ładunek zatonał, a rozbitą brygantynę morze wyrzuciło na przybrzeżne skały. Bitwę tę miał możliwość obserwować mister Donald Blackwood. Potwierdził on przypuszczenie Brantleya, że „Trzej Hidalgowie” to nasz dawny „Skrzydlaty”, którym kapitan Blackwood dowodził przez kilka lat.

Czas skończyć z tym bezczelnym piratem! Prawie cała flota handlowa Kompanii Północnobrytyjskiej została zniszczona. Marynarze nie chcą pływać na naszych okrętach. Straty sięgają już setek tysięcy funtów. Towarzystwo ubezpieczeniowe „Latarnia Morska”

odmówiło wypłacenia odszkodowania za „Ofelię”.

Admiralicja zajęta jest w tej chwili innymi, pilniejszymi sprawami. Rewolucja we Francji - ci przekłeci jakobini! - zaczyna zagrażać bezpieczeństwu Europy. Toteż nie możemy liczyć na pomoc floty królewskiej. Admiralicja pomogła nam jednak, podając pewne informacje o „Trzech Hidalgach”. Muszę wam powiedzieć, panowie, że według tych informacji piratami dowodzi syn nieżyjącego korsarza Bernardita, młody Diego Luiz el Gorra. Po niedawnym napadzie na Morzu Irlandzkim fregata „Trzej Hidalgowie” wzięła kurs na południe. Widziano ją już poniżej Zielonego Przylądka. Ma ona przypuszczalnie swą bazę gdzieś na południowoafrykańskich wodach Oceanu Indyjskiego. Pomocnikami dowódcy są dwaj całkiem młodzi ludzie.

Hańba! Trzech młokosów zmusza do ucieczki świetnie uzbrojone okręty i zatapia statki brytyjskiej kompanii. Nazwiska tych zuchwalców: Diego Luiz, Mateo Velmontez i Alonso de Las Pados. Przypominam sobie, że w młodości słyszałem te nazwiska w legendach o piracie Bernardito. Jak widać syn postanowił wskrzesić niektóre tradycje swego ojca.

Oto kim jest przeciwnik, z którym macie panowie skrzyżować szpady. Proponuję następujący plan operacji.

Nasz uzbrojony bryg „Orion” płynie w tej chwili wraz z konwojem statków handlowych do Kapsztadu. Pozostawi tam konwój i uda się na Ocean Indyjski, biorąc kurs na wyspę Mauritius. „Orion” posłuży za przynętę. Zadaniem waszej eskadry jest ukryć się na wodach Madagaskaru i bacznie śledzić „Oriona”. Z chwilą pojawienia się fregaty „Trzej Hidalgowie”, która niewątpliwie puści się w pogoń za samotnym okrętem naszej kompanii, dokonacie panowie manewru okrążającego i zniszczycie piracki okręt. Admiralicja wyznaczyła wysokie nagrody za głowy trzech młodych piratów. Ja dołożę od siebie po tysiąc funtów za każdego, a za ujęcie ich żywcem płacę podwójnie.

Łączność między naszymi czterema okrętami będzie utrzymywał jacht „Krzyż Południa”, kopia zatopionej „Elly”. Dowodzi nim mister Hugh Olbert. Ogólne dowództwo eskadry powierzam panu, mister Blackwood, wraz z mostkiem kapitańskim nowej, najlepszej fregaty, „Króla Jerzego”.

Radzę też nie zapominać, panowie, że stary Bernardito był mistrzem w urządzaniu diabelnie sprytnych i okrutnych kawałów. Jego syn widocznie przejął coś niecoś z doświadczenia ojca. Wasze „duchy” na wyspie to coś w stylu Bernardita. Nieprzypadkowo kapitanowi „Latającego Holendra” nadano wygląd nieżyjącego korsarza. Od przeszło dziesięciu lat nie wznawialiśmy prób skolonizowania wyspy, by nie narazić się na ponowne spotkanie z ciemnymi, niepojętymi siłami. Lecz teraz rozwiązanie tych wszystkich zagadek przeszłości nasuwa się samo przez się: wszystkie te „upióry”, panowie, to nic innego jak kawały zręcznych mistyfikatorów. Po likwidacji piratów podejmiemy z czasem nową ekspedycję na wyspę... Liczę, moi panowie, że pojutrze, to jest dwunastego sierpnia, wasza eskadra opuści Portsmouth.

Oficerowie wstali. W niebieskawym mroku wykwinnych pokoi marynarze długo jeszcze rozmyślali o czekającej ich bitwie gryząc munsztuki wysłużonych fajek.

Joseph Lorn obudził się o pierwszym brzasku dnia. Poczul na czole dotknięcie kościstych, pachnących perfumami palców i gwałtownie się odwrócił. Zły i nachmurzony patrzył pytająco na tak wczesnego gościa.

- Cicho, Giuseppe!

Człowiek, który tak bezceremonialnie zakłócił spoczynek mister Lorna, odsunął kotarę przy łóżu. Był to lord admirał.

- Już dawno nie mieliśmy okazji porozmawiać od serca, Giuseppe. Jakie wieści przywiozłeś z Bultonu od Woodrowa?

Joseph Lorn ziewnął i począł się ubierać.

- Woodrow leczy reumatyzm u wód Somerset i widać nic nie wie o kłopotach waszej lordowskiej mości. Natomiast ten tłusty indor Crampflow odpłynął z Bultonu na moim „Admirale”. Wczoraj wysadziłem go w Portsmouth, gdzie przeniósł się na włoski okręt płynący do Neapolu. Podobno ma jakieś bardzo korzystne prywatne zlecenie.

- Inaczej by sam nie wyjeżdżał... Z tego wynika, że wszystkie sprawy w Bultonie przejął Lins.

- Tak. I wydaje mi się, że to wcale niegłupi facet. Pracuje znacznie lepiej niż ten Crampflow.

- Z całą pewnością. To nie był przypadek, że on jeden potrafił ująć cało z Błękitnej Doliny. A ten niedołęga Burns zginął, Panie, przyjmij go do królestwa niebieskiego.

- Niedołęgi przeważnie trafiają do królestwa niebieskiego. Spryciarze wolą ziemskie. Czy masz tam teraz kogoś w tej Dolinie?

- Od czasu, gdy Diego Luiz znikł stamtąd, to gniazdo os przestało mnie interesować. A pracować już tam się nie da. Wolne państwo, z przeproszeniem, Stany Zjednoczone! Murray bardzo się spodobał temu szermierzowi wolności Jeffersonowi. Został kongresmanem i senatorem, jak też najwyższym sędzią i burmistrzem założonego przez siebie miasta w Błękitnej Dolinie... Jakies sześć lat temu posłałem tam Charles'a Leglois. Dotarł zaledwie do Vincennes, gdzie od razu wpadł przy próbach zasięgnięcia języka, przesiedział ze dwa miesiące w więzieniu i został wydalony. Jednakże coś niecoś zdążył się dowiedzieć. Matka i syn Bernardita wyjechali jeszcze w siedemdziesiątym dziewiątym roku na wybrzeże. Ten mały Bingle i nasz były marynarz Dick Mills wyjechali razem z nimi. Zabrał ich z Doliny niejaki mister Chambay. Zainteresowałem się osobą Chambaya i jego dziwną swiłą. Są to na pewno ludzie z dawnego otoczenia Bernardita. Dowiedziałem się jednak bardzo niewiele. Chambay wraz ze swymi towarzyszami brał udział w zdobyciu fortów Vincennes i Błękitnej Doliny u boku powstańców amerykańskich. Spędził dwa miesiące w Błękitnej Dolinie i wiosną siedemdziesiątego dziewiątego roku odpłynął na barkasie z rodziną Bernardita i całą swoją czarną swiłą w górę rzeki Ohio. Odtąd wszelki ślad po nim zaginął.

Informacja admiralicji, że fregata „Trzej Hoidalgowie” znajduje się w rękach Diego Luiza, jest pierwszą od owej pory wiadomością o tym obrosłym już w piórka pisklęciu. Krótko mówiąc, niespodziewane dla nas samych pozbycie się byłego herszta bultońskich luddystów Eliota Maggersona to jedyny efekt naszych wysiłków i ofiar w Błękitnej Dolinie. Co się zaś tyczy samego Murraya, był on - jak twierdził Leglois - całkowicie pochłonięty swoją Błękitną Doliną i sprawami politycznymi i jak gdyby w ogóle zapomniał o Chancefieldzie... A teraz opowiadaj, Giuseppe, co jeszcze nowego słychać na Północy?

- Nic szczególnego. Ojciec Benedykt Morsini potrafił sobie zjednać sympatię ludności, a jego stosunki z protestanckim duchowieństwem układają się jak najlepiej. Zachowuje się jak prawdziwy święty. Przed odjazdem zostawiłem mu pięćset funtów i wysłuchałem mszy.

- To świetnie, Giuseppe. Prawdziwy Kościół trzeba w tajemnicy popierać... Widziałeś moją córkę?

- Tak, spotkałem ją z guwernantką w kaplicy ojca Benedykta. Muszę ci powiedzieć, że z twojej Izabeli wyrośnie skończona piękność. Wspaniała dziewczyna! I na pewno najposażniejsza panna na całej Północy.

- Jeszcze rok na pensji - i będzie miała siedemnaście lat. Rzeczywiście już panna. Ale co za pociecha z dziewczyny! Nie mam dziedzica! Wszystko pójdzie w obce ręce. A może by usynowić jakiegoś młodzieńca?

- Zamiast skazywać Edwarda Moynesa na gnicie w więzieniu, właśnie jego bym na twoim miejscu usynowił. Przecież w gruncie rzeczy policja nie ustaliła nic szczególnego.

- Policja? Ona w ogóle nic nie wie. Moynesa rozgryzł Woodrow. Sędzia wlepił Moynesowi dziesięć lat więzienia jako agentowi mitycznych szkockich spiskowców i Thompsona, ale prawdziwej roli Bingle'a nie wyjaśniła ani policja, ani te sądowe szczury. To sprawa bardziej skomplikowana, niż ci się wydaje. Siedział już za kratkami, gdy jesienią siedemdziesiątego

dziewiątego roku chłopcy Woodrowa złapali na morzu dwóch irlandzkich rybaków. Nazywali się O'Grady, ojciec i syn. Oba zastrzelono. Przy starym O'Gradyem znaleziono list Maggersona do Bingle'a, w którym poleca mu się „zbieranie dalszych informacji o hrabim Ch.”, rozumiesz? Postanowiłem trzymać Bingle'a w charakterze przynęty. Jest pod stałym nadzorem, ale to sprytna sztuka! Leglois nie udało się nic z niego wyciągnąć, gdy razem z nim siedział w celi. Obecna praca w gruncie rzeczy zatrzymuje Bingle'a w więzieniu. Nie ma prawa się wydalać, a urlopu nie otrzyma do końca życia. By nie mógł uciec, wszystkie jego dokumenty są u naczelnika więzienia majora Drawersa, a człowiek Linsa chodzi za nim krok w krok. W porcie uprzedzono wszystkie szczury... Nie, Giuseppe, nieszczęśliwego kandydata wybrałeś mi na syna. Tylko pewne wyjątkowe względy powstrzymują mnie, by nie udusić tego... artysty.

Lorn pokręcił głową, wyjął fajkę i wytrząsnął popiół na parkiet. Milord skrzywił się z niesmakiem.

- Jak się miewa stary Morton?

- Staruszek całkiem już zniedołężniał, ledwo się trzyma. Jankins kazał ci się nisko kłaniać. Robi dla Leglois francuskie banknoty i to nie gorzej niż skarb francuski... Wysłano mu je do Paryża... Geoffrey MacRail wciąż ma zamiar się ożenić, ale na razie nie narzeka na nudy i w „Brzuchu Wieloryba”. Krótko mówiąc, bracie, w naszym pocziwym Bultonie wszystko po staremu.

#### 4

Ocean Indyjski wolno toczył swe długie spienione fale. Październikowy zmierzch szybko zgęstniał w nieprzejrany mrok nocy. Stary bosman Olsen polecił majtkowi zawiesić latarnie po obydwu stronach kapitańskiego mostka „Oriona”.

- Znowu jesteśmy na tych przeklętych afrykańskich wodach! - burczał Olsen stojąc na mostku obok Brantleya. Z pokładu widać było tylko dwa czerwone punkciki żarzących się fajek. - Już osiem razy przekraczałem z panem równik, mister Brantley, a w żaden sposób nie mogę się oswoić z tym klimatem. To ciemno, to upał, to znów leje bez końca. Albo sztorm, albo cisza, że choć sam, człowieku, dmuchaj w żagle. Słońce świeci z północy, z południa wieje chłodem. Nord-ost ciepłutki jak grzane mleko, sud-west jak lód. Wiosna w październiku, jesień - w maju. A te burze! Te huragany! Fale wysokie na piętnaście jardów! No, a już te wieczory! Tylko słońce zajdzie, już czarna noc, jak smoła wylana z piekła.

- Czy działa są gotowe do boju, Olsen?

- Od dwu tygodni, kapitanie. Marsowi już oczy wypatrzyli. Kanonierzy śpią przy lawetach. Cała załoga biega do nich po ogień do fajki, lonty palą się dzień i noc. Tylko ludzie gadają, że to wszystko na próżno. „Latającego Holendra” nie ima się ani ogień, ani kula.

- Co? - Kapitan Brantley nadał swemu głosowi surowe brzmienie. - Nasłuchaliście się bajek? Powieszę każdego, kto choć słówkiem bąknie o kawałach tego przeklętego pirata! Wstydzilibyście się, Olsen, powtarzać takie brednie. Idźcie na dół, dodajcie załodze ducha. Szturman, jaki kurs?

- Nord-ost-ost.

Kapitan spojrział na mapę Oceanu Indyjskiego.

- Dwa rumby w lewo!

Okręt znajdował się na wysokości południowo-wschodniego cypla Madagaskaru, około siedemdziesiąt mil od brzegu. Niebo na wschodzie przybrało barwę czerwonawą, a brzegi chmur wiszących nisko nad horyzontem pojaśniały.

- Zaraz wjejdzie księżyc. Wiatr się zmienił i przybiera na sile. Zluzować żagle.

Pierwszy oficer „Oriona” wyszedł na mostek. Była taka cisza, że cała załoga usłyszała

nieoczekiwany okrzyk wachtowego z bocianiego gniazda: - Z prawej burty okręt bez świateł!  
- Może to nasza eskadra? - spytał pierwszy oficer Brantleya.

- Nie, okręt zbliża się od południa. Cała załoga na górę!

Szesnaście ciężkich karonad „Oriona” oraz dwanaście lekkich dział ustawionych dodatkowo na pokładzie od dawna były gotowe do walki. Gwizdek bosmański ogłosił alarm bojowy. Stu dwudziestu czterech marynarzy zajęło stanowiska na pokładzie artyleryjskim.

Nagle z prawej strony, w odległości czterech, pięciu kabli, w gęstym mroku wytrysnął snop pięknych kolorowych świateł. Były to ognie bengalskie, używane przez okręty jako nocne sygnały. Potem na niewidocznych w ciemności masztach obcego okrętu ukazały się latarnie sygnałowe. Kapitan Brantley odczytał bez pomocy sygnalisty:

„Dowódca okrętu »Trzej Hidalgowie« pozdrawia uczciwego żeglarza Brantleya”.

- Co u licha! Dziw nad dziwy! Za cóż to spotyka mnie taki zaszczyt ze strony pirackiego herszta? Ano, Olsen, dajcie im odpowiedź! Pokażcie im, że obejdziemy się bez pozdrowień rozbójnika!

Nie zdążył skończyć, gdy z pokładu przeciwnika huknął pojedynczy wystrzał armatni. Nie był on jednak skierowany w „Oriona”. Błysk ognia wskazywał, że strzelano w kierunku wiatru. Brantley dobrze rozumiał ten znak: zgodnie z dawnym morskim obyczajem wystrzał „z wiatrem” oznaczał przyjazne zamiary, podczas gdy wystrzał „pod wiatr” był równoznaczny z rozkazem zatrzymania się i ostrzegął: „Użyję siły!”

Brantley wybrał ten właśnie „nieprzyjazny” sygnał. Na jego znak jedno z dział na rufie bluznęło ślepym pociskiem. Długa purpurowa smuga ognia i biały obłok dymu przecięły mgłę - pod wiatr. Oznaczało to: „Atakujcie i brońcie się, wasze pozdrowienie zostało odrzucone!”

Taki sam sygnał powtórzono za pomocą kolorowych świateł latarni.

Tymczasem zza chmur wypłynęła na niebo ogromna tarcza księżyca. O jakieś pół mili na prawo widać było teraz czarną sylwetkę nieprzyjacielskiego okrętu. Dystans dzielący oba okręty powoli się zmniejszał. Pozycja „Trzech Hidalgów” była niekorzystna. Maszty kapera rysowały się wyraźnie na tle oświetlonych księżycem chmur, wiatr również był dla niego nie sprzyjający. Okręt Brantleya natomiast pozostawał w cieniu i był prawie niewidoczny.

Na pokładzie nieprzyjacielskim nie zgasły jeszcze ostatnie błyski ognia bengalskich, a wiatr unosił jeszcze nad wodą kolorowe iskry, gdy bryg odwrócił się prawą burtą do przeciwnika i Brantley rzucił komendę:

- Bateria, ognia!

Działa „Oriona” wypaliły prawie jednocześnie. Pociski ze świstem pruły powietrze, chmura dymu spowiła mostek kapitański i żagle.

Nieprzyjacielski okręt nie odpowiedział ogniem armat. Wciąż nadawał pokojowe sygnały: „Nie otworzę ognia. Spuszczam łódź. Przyjmijcie parlamentariuszy”.

Kapitan Brantley z najwyższym zdumieniem zwrócił się do Olsena:

- Bosmanie, nie bardzo nam wypada wchodzić w pertraktacje z tymi rozbójnikami, ale niech mnie kule biją, jeśli te młodziki nie postępują jak prawdziwi dżentelmeni. Chciałbym wiedzieć, czemu mam przypisać ten honor! Posłuchajcie, Olsen! Naszej eskadry na razie nie widać. Będziemy musieli przyjąć ich poselstwo, aby wygrać na czasie. Jeśli sami wdamy się w walkę, zostaniemy rozgromieni, nim zdążą nasze okręty z zasadzki. Spuścili już łódź na wodę... Widzicie latarnię, na dziobie? Na łodzi też zapalili pochodnię, abyśmy nie podejrzewali podstępów... Oho, łódź się zbliża. Powiedzcie im, Olsen, przez tubę: „Przyjmę parlamentariuszy, aby omówić sprawę poddania się okrętu i załogi. W razie pojawienia się nie oświetlonych łodzi - otworzę ogień bez uprzedzenia!”

Grzmiący bas Norwega powtórzył przez mosiężną tubę słowa Brantleya. Jednakże, mimo wyzywającego tonu dowódcy „Oriona”, kapitan pirackiego okrętu wykazał rzadko spotykaną cierpliwość. Po jakimś kwadransie łódź przybiła do trapu „Oriona”. Czterej wiosłarze-Murzyni zostali w łodzi. Dwaj młodzi mężczyźni w hiszpańskich beretach i aksamitnych

kaftanach odpowiedzieli na pozdrowienie wachtowego i weszli na pokład.

- Obserwujcie dobrze przeciwnika - szepnął Brantley do Olsena i swego zastępcy. - Wciągnijcie na maszt sygnał, że na naszym pokładzie znajdują się parlamentariusze. Baczcie, czy przeciwnik nie zamierza nas zaatakować przez desant na łodziach. Przy najmniejszym podejrzeniu - otworzyć ogień!

Co powiedziawszy, Brantley ruszył na spotkanie przybyłych. Chłodno oddał honor i zaprosił ich do kajuty. Obaj wysłannicy, ze szpadami u boku, lecz bez broni palnej, przekroczyli próg. Okna, zasłonięte storami, nie przepuszczały na pokład światła z kajuty. W ściennych świecznikach płonęło kilka świec.

Przed kapitanem „Oriona” stało dwóch młodzieńców o śmiałych, otwartych twarzach. Jeden z nich nie miał chyba więcej niż dwadzieścia lat, drugi był może o jakieś sześć lat starszy. Zaczął mówić młodszy. Miękkie włosy opadały mu na ramiona. Miał duże, błyszczące czarne oczy i dziewczęco delikatne rumieńce, lecz u młodzieńczych warg rysowały się już bruzdy znamionujące silną wolę. Każdy jego ruch zdradzał charakter zapalczywy i stanowczy.

- Widzi pan przed sobą tylko dwóch hidalgów, najbliższych przyjaciół i towarzyszy broni trzeciego, to jest kapitana Diego Luiza, który pozostał na okręcie. Jesteśmy upoważnieni do prowadzenia pertraktacji w imieniu wszystkich. Nazywam się Alonso de Las Pados.

- Mateo Velmontez - skłonił się jego towarzysz o bystrych, wesołych oczach i piegowatym nosie.

- Kapitanie Brantley! - mówił dalej senior Alonso. - Stoją przed panem synowie Bernardita Luiza. Jestem bratem don Diega... Przez pamięć na poważne usługi, jakie oddał pan niegdyś naszemu ojcu i jego przyjacielowi, znanemu panu pod nazwiskiem mister Murraya, broń synów Bernardita nigdy nie podniesie się przeciwko panu ani przeciwko okrętowi, który przyniósł ratunek wyspiarzom. Pozwoli pan tylko, że zapytamy: dokąd okręt podąży i jaki jest cel tego rejsu?

- Darujcie, panowie, ale nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

- Czy mamy przez to rozumieć, że płynie pan z żywym towarem, podobnie jak inne okręty pańskiego chlebobawcy? Jak nam wiadomo, spośród wszystkich okrętów Kompanii Północnobrytyjskiej tylko bryg Brantleya dotąd nie splamił się handlem niewolnikami. Widocznie jednak tym razem i pan, kapitanie...

Na czole Brantleya nabrzmiały żyły.

- Ja sam dopiero niedawno dowiedziałem się o tym, że okręty naszej firmy dostarczały niewolników na plantacje. Załoga brygu „Orion” nigdy nie brała i nie weźmie udziału w tego rodzaju operacjach, dopóki ja stoję na kapitańskim mostku... Zresztą, nie widzę powodu, by mówić o tych sprawach z wami, panowie. Przyjąłem panów, by usłyszeć, na jakich warunkach zgadzacie się zwrócić „Skrzydlatemu” jego prawowitemu właścicielowi, lordowi admirałowi Chancefieldowi. Ja ze swej strony gotów jestem wstawić się za panami u admirała, by nie ukarano was zbyt surowo.

Dość niegrzeczny śmiech parlamentariuszy wydał się kapitanowi jeszcze bardziej nie na miejscu niż cała poprzednia rozmowa. Zmarszczył więc groźnie brwi i położył dłoń na rękojeści szpady. Twarz don Alonsa, przeciwnie, rozjaśniła się w szczerym uśmiechu.

- Pan sam wie, kapitanie, że walka między „Trzema Hoidalgami” a „Orionem” skończyłaby się bardzo szybko. Sto naszych karonad nawet z dużej odległości w ciągu dziesięciu minut zamieniłoby pański bryg w dziurawe sito... Ale nasza wizyta ma inny cel. Pan jest człowiekiem honoru, mister Brantley, toteż postanowiliśmy odsłonić przed panem tajemnicę, która skłoniła nas do wydania bezwzględnej walki tak zwanemu lordowi admirałowi Chancefieldowi...

- Wobec tego na próżno się panowie trudzicie - uciął Brantley. - Nie obchodzą mnie cudze tajemnice. Pochlebiam mi zaufanie panów, lecz proszę sobie darować te... enuncjacje. Mój zwierzchnik, lord admirał Chancefield...

- Kapitanie Brantley, apeluję do pańskiego honoru, honoru brytyjskiego marynarza! Niech się pan dowie, że wspomniany przez pana osobnik to podły samozwaniec, skrytobójca, rabuś i złoczyńca. Jego prawdziwe nazwisko brzmi Giacomo Grelli, jego rzemiosłem jest rozbój, a jedyne należne mu według prawa miejsce - to szubienica.

- Milczeć! - Brantleyowi krew uderzyła do twarzy. - Jak pan śmie... u mnie na pokładzie...

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi kajuty.

- Podli oszczercy! - W kajucie nikt nie zwrócił uwagi na pukanie.

- Tylko zasada nietykalności parlamentariuszy nie pozwala mi powiesić was obu na rejach mego okrętu i w ten sposób dostarczyć do najbliższego angielskiego portu. Ani słowa więcej! Odpowiem ogniem armatnim za zniesławienie jednego z najpierwszych nazwisk hrabstwa, gdy tylko opuście pokład okrętu.

- Kapitanie, czy przypomina pan sobie imię Emily Gardy? - Młody parlamentariusz z największym wysiłkiem panował nad sobą. - Czy pamięta pan kotwicę brygantyny „Ophir”, znaną przez pana Wenta na wyspie? Niech więc pan wie, że rozbitek uratowany przez przybycie „Oriona” na wyspę był właśnie prawdziwym wicehrabią Chancefieldu, którego majątek i tytuł rodowy zagrał pirat Grelli...

Nagłące pukanie do drzwi znów się powtórzyło. Olsen wsunął głowę do kajuty i wywołał Brantleya na korytarz.

Gdy kapitan wrócił do kajuty, twarz jego wyrażała uczucie przykrości i jakby gniewnego żalu. Spojrzał chmurnie na obu młodych ludzi i powiedział zdławionym głosem:

- Oddajcie wasze szpady, panowie! Wasz okręt jest otoczony przez jednostki bojowe eskadry brytyjskiej. Wszelki odwrót został wam odcięty.

Don Alonso dobył szpady.

- Zdrada!

Mateo Velmontez skoczył ku oknu. W tej chwili okno wyleciało z trzaskie i ukazały się w nim lufy pistoletów.

Drzwi kajuty gwałtownie się otwały. W korytarzu tłoczyło się z dziesięciu marynarzy z bronią gotową do strzału. Na wstążkach marynarskich czapek połyskiwał złoty napis: „Krzyż Południa”. Dwaj marynarze stojący w progu wymierzili do parlamentariuszy. Don Alonso przełamał szpadę na kolanie i z pogardą cisnął ją pod nogi Brantleyowi. Mateo rzucił swoją na ziemię.

Przepychając się przez zbity tłum marynarzy do kajuty weszło dwóch oficerów: Donald Blackwood, dowódca eskadry, i Joseph Lorn.

- Kapitanie Brantley, proszę wyjść na mostek - powiedział Blackwood.

- Bryg wchodzi do akcji. Pańskie baterie pierwsze otworzą ogień. - Po czym zwrócił się do marynarzy: - Związać tych piratów!

W korytarzu brzęknęły przygotowane już zawczasu łańcuchy i kajdany.

- Stać! - grzmiącym głosem powstrzymał marynarzy Brantley. - To są parlamentariusze, mister Blackwood. Bryg nie podejmie walki, dopóki parlamentariusze nie będą mieli zapewnionego powrotu na swój okręt.

- Zwariował stary - mruknął Lorn i ostrym tonem zwrócił się do kapitana: - Mister Brantley, nikt pana nie upoważniał do pertraktacji z rozbójnikami. Czy zechce pan wykonać rozkaz?

- A, to ty, Giuseppe Lorano, piracie z Kainowym piętnem na czole od noża Fernanda Diaza! - rzucił Alonso de Las Pados z namiętą nienawiścią.

Lorn z obnażoną szpadą rzucił się na bezbronno. Brantley jednym uderzeniem wytrącił mu szpadę z ręki. Stojący najbliżej marynarz pchnął don Alonsa w plecy kolbą karabinu. W chwilę potem obaj parlamentariusze leżeli już na ziemi ze skrępowanymi rękami i nogami.

- Do karceru z nimi! - Kapitan Blackwood był jeszcze blebszy niż gospodarz kajuty. - Kapitanie Brantley, aresztuję pana za odmowę wypełnienia żołnierskiego obowiązku! Mister Lorn, proszę odebrać zdrajcy szpadę.

W tej chwili za oknem błysnął purpurowy płomień. Cały okręt wzдрыgnął się od salwy armatniej. Zastępca Brantleya dowodził już bateriami „Oriona”. Kapitan Blackwood wyszedł na mostek brygu. Salwy dudniły nad morzem niby miarowe walenie gigantycznych młotów. Czerwone błyskawice raz po raz rozdzierały ciemności. Eskadra złożona z pięciu okrętów skupiła cały swój ogień na kadłubie i urządzeniach pokładowych „Trzech Hidalgów”.

Na okręcie korsarzy zauważono zbliżającą się eskadrę dopiero wówczas, gdy tuż u burty „Oriona” wyrosły nagle maszty jakiegoś szybkobieżnego jachtu. Jednocześnie z północy, z południa i wschodu pojawiły się czarne sylwety bojowych okrętów. Światła sygnałowe na masztach „Trzech Hidalgów”, zapalone dla orientacji łodzi parlamentariuszy, okazały się świetnym celem dla podkradających się napastników.

Kiedy z „Oriona” gruchnęła salwa, a jednocześnie bluznęło ogniem sto dwadzieścia innych luf armatnich - połowa artylerii całej eskadry - na kaperze od razu wybuchły dwa pożary. Wróg ze wszystkich stron atakował ranny okręt. Diego Luiz zrozumiał, że parlamentariusze wpadli w potrzask. Postanowił więc przerwać pierścień okrażenia i wycofać się z walki, by ratować okręt i załogę.

Kaper odwrócił się burtą do najsłabszego przeciwnika. Była to karawela „Pocziwy Bulton” z najmniejszą ilością armat na pokładzie.

Wiatr sprzyjał temu manewrowi. Pod nieustającym ogniem przeciwnika postawiono wszystkie żagle. Z odległości około trzech kabli kaper oddał pierwszą salwę z czterdziestu pięciu karonad lewej burty. Załoga zdążyła tymczasem ugasić pożar na środku pokładu i tylko ogień na rufie nadal podświetlał od dołu potężną piramidę żagli. Lecz i ten pożar powoli przygasał, a poszycie burt z amerykańskiego dębu nie przepuszczało wody. Ani jedna też armata nie doznała szwanku.

Oficerem dowodzącym artylerią okrętową był nie kto inny, jak sam signor Antonio Cenni, mający za sobą wieloletnią praktykę bojową u kapitana Bernardita. Od jego zimnej krwi i dokładności zależał teraz los całej załogi, i Antonio Cenni, dowódca artylerii „Trzech Hidalgów”, dobrze to rozumiał.

Teraz z odległości pół kabla Antonio smagnał karawelę kartaczami. Skutki tej salwy były wręcz imponujące. Baterie karaweli zachłyśnęły się. Zerwane płótna żagli zostały zmiecione za burtę wraz ze szczątkami nadbudówek pokładowych.

Okręt korsarski, wciąż pod gradem gorącego żelaza, zbliżył się nieomal burta w burtę do „Pocziwego Bultonu” i czterdzieści pięć ciężkich pocisków przedziurawiło kadłub nieprzyjacielskiego okrętu na wysokości linii wodnej. Kaper ledwo zdążył rozminąć się ze swą ofiarą, gdy oba ocalałe dotychczas maszty „Bultonu” przechyliły się, a resztki jego potężnych żagli plasnęły o powierzchnię morza. Woda z rykiem wdzierła się przez wyrwy do ładowni i okręt Tressela począł pogrążyć się w odmęt.

Tymczasem „Admirał Chancefield” i „Orion”, zgodnie z planem kapitana Blackwooda, zaczęły spychać „Trzech Hidalgów” pod ziejące ogniem lufy armatnie „Króla Jerzego”. Młodemu kapitanowi kapera Diego Luizowi pozostawało teraz tylko jedno wyjście: przedrzeć się pomiędzy dwoma nieprzyjacielskimi okrętami. Kapitan Blackwood był przekonany, że piraci nie odważą się na tak śmiertelne ryzyko. Lecz kaper nieoczekiwanie dla atakujących zrobił zwrot w lewo, w stronę „Oriona”, oderwał się od nacierającego „Admirała” i pomknął wprost na ogień armat.

Smukły kadłub „Trzech Hidalgów” wzдрыgał się jako ciało żołnierza pędzonego przez bezlitosny szpaler kijów. Pociski darły żagle, zrywały liny, kaleczyły pokład. Kaper jednak odgryzał się celnymi salwami kartaczy, zmiatając z pokładów „Króla Jerzego” i „Oriona” obsługę dział i załogę.

Kapitan Blackwood stał na rufie „Oriona”, gdy przedni maszt „Trzech Hidalgów” wyrósł o ćwierć kabla od prawej burty brygu. W tej chwili odłamek rozpalonego żelaza uderzył w pierś dowódcy eskadry. Jeszcze rufa korsarskiego okrętu nie minęła „Oriona”, gdy kapitan



Blackwood wydał ostatnie tchnienie.

Tymczasem pierwszy oficer na „Królu Jerzym”, dowodzący tym okrętem w zastępstwie Blackwooda, popełnił kardynalny błąd: zamiast rzucić się od razu w pościg za kaperem, z którym był na równoległym kursie i ostrzelać go z odległości pół kabla, począł zachodzić „Trzech Hidalgów” od rufy, by skierować na przeciwnika całą siłę ognia swych baterii nie biorących dotąd udziału w bitwie. Dokonując tego manewru „Król Jerzy” osłonił własnym kadłubem nieprzyjacielski okręt przed ogniem dział „Admirała Chancefielda”. Niefortunny taktyk na kilka drogocennych minut wyłączył z bitwy dwa najsilniejsze okręty eskadry: „Admirał Chancefield” prawie nie doznał uszkodzeń, „Król Jerzy” zaś, aczkolwiek poniósł znaczne straty, przedstawiał wciąż jeszcze potężną siłę.

Podczas gdy mocno poturbowany „Król Jerzy” niezgrabnie zataczał półkole, korsarski kaper wiódł zażarty pojedynek z samym tylko „Orionem”. Kapitan Joseph Lorn, dowódca „Admirała”, przeklinał niebo, wodę, wszystkich świętych, krew swoich przodków, własne ręce, nogi i brodę. Dopiero pod koniec bitwy zdołał powrócić z „Oriona” na swój okręt i teraz, przełożywszy ster na prawą burtę, próbował znowu wziąć „Trzech Hidalgów” na cel... Niestety, tylko potężna, lecz już spóźniona salwa „Króla Jerzego” zagrzmiała w ślad za zbiegiem znikającym w nieprzejrzanym mroku.

Joseph Lorn objął teraz dowództwo eskadry. Wysłał w pościg za korsarzami jacht „Krzyż Południa”. Trzy pozostałe okręty eskadry otrzymały rozkaz zmiany szyku bojowego na marszowy i też popłynęły za jachtem. Jednakże ani „Król Jerzy”, ani „Orion” nie nadawały się już do pościgu. „Król Jerzy” miał wyrwę w części dziobowej, naprędce zatkaną plastrem z płótna żaglowego, a kadłub „Oriona” dawał takie przecieki, że pompy nie nadążały z usuwaniem wody. Takielunek obu okrętów był pozrywany i splątany. „Orion” stracił połowę, a „Król Jerzy” jedną trzecią załogi pokładowej... Wobec tego i „Admirał” musiał zmniejszyć szybkość.

Pochmurny ranek zastał szeroko rozciągniętą eskadrę w odległości zaledwie dwudziestu mil od miejsca bitwy. Nisko wiszące chmury i mgła nie pozwalały dojrzeć nie tylko okrętu korsarskiego, lecz również jachtu „Krzyż Południa”. Lorn gryzł wargi ze złości. Pod wieczór ukazał się „Krzyż Południa”, który zrezygnował z bezpłodnych poszukiwań. Eskadra zaniechała więc dalszego pościgu i wzięła kurs na Kapsztad.

Ciało kapitana Blackwooda opuszczono z morskimi honorami w głębinę. Zakutych w kajdany jeńców przeprowadzono z „Oriona” na „Admirała” i tu wtrącono ich na samo dno okrętu, do celi okutej od zewnątrz grubą żelazną blachą. Aresztowany przez Lorna kapitan Brantley, bez szpady i epoletów, siedział pod strażą w jednej z oficerskich kajut „Admirała”. „Król Jerzy” i „Orion” z trudem dotarły do Kapsztadu, gdzie zatrzymały się dla przeprowadzenia remontu. Natomiast „Admirał Chancefield” oraz jacht „Krzyż Południa” odplynęły do Anglii.

## 5

Pewnej grudniowej nocy tysiąc siedemset osiemdziesiątego dziewiątego roku komendant twierdzy bultońskiej, major Drawers, kazał strażnikowi sprowadzić więziennego malarza.

- Mister Bingle, musi pan dziś wykonać portrety dwóch poważnych przestępców politycznych. Portrety te są potrzebne do ustalenia prawdziwych nazwisk tych ludzi. Uprzedzam, że najmniejsza próba nawiązania rozmowy z przestępcami pociągnęłaby za sobą bardzo przykre dla pana następstwa. Będzie pan musiał popracować przy świecach. To jest sprawa nie cierpiąca zwłoki.

- Czy chodzi o więźniów przywiezionych wieczorem z fregaty „Admirał Chancefield”?

- Zbyteczna ciekawość, Bingle. Dla pana ci dwaj osobnicy to po prostu tajni więźniowie polityczni. Radzę też, by się pan pospieszył z pracą, a potem jak najszybciej zapomniał o tym

spotkaniu.

Bingle zeszedł po dwóch kondygnacjach schodów do mrocznych podziemi, wykutych w skale nie z myślą o wiecznym spoczynku dla umarłych, lecz o wiecznej niedoli dla żywych. Przed nim szedł dozorca Jobb, najbardziej antypatyczny typ spośród więziennych służalców, okutany po same brwi w ciepły kozuch. W miękkim wojskowym obuwii stąpał bezgłośnie po kamiennych płytach korytarza.

Nowo przybyli więźniowie znajdowali się w narożnej celi, opatrzonej w ciężkie żelazne drzwi.

- Diabelnie tu zimno, Jobb! - powiedział malarz.

- To prawda, mister Bingle - przytaknął dozorca.

George wrócił do kancelarii naczelnika więzienia.

- Sir, nie sposób pracować tam na dole. Proszę wybaczyć, lecz ręce mi zupełnie skostniały.

- Dobrze, będzie pan pracował w celi śledczej. Zaraz przyprawdzą tam więźniów.

Cela śledcza przylegała do kancelarii i gabinetu majora Drawersa. Bingle dobrze znał tę pustą izbę z kratami w oknach. Dziesięć lat temu przez sześć miesięcy wysłuchiwał tu co noc nie kończących się pytań, grózb i łagodnych perswazji.

Konwojenci wprowadzili dwóch więźniów zakutych w kajdany. Ich odzież, niegdyś strojna i bogata, zamieniła się w pstre łachmany. Obrosnięte twarze były sine z zimna, zmierzwiłone włosy spadały im na oczy.

- Alonso de Las Pados i Mateo Velmontez? - upewnił się major, który sam nie widział jeszcze nowych więźniów lorda admirała. - Będziecie pozować naszemu malarzowi. On pięknie maluje portrety uroczych dam i sądzę, że równie dobrze potrafi sportretować rozbójników i piratów. Proszę się przygotować, jaśnie panowie...

Młodszy z więźniów, Alonso de Las Pados, usiadł przed sztalugami, zrzucił z ramion obszarpany płaszcz i przeciągnął się, rozkoszując się ciepłem i blaskiem świec.

- Sir! - Malarz podszedł do majora. - Muszę panu coś powiedzieć.

- Szybciej, Bingle! - Major odprowadził malarza w głąb celi.

Mateo Velmontez uniósł w zdumieniu brwi i uczynił mimowolny gest w stronę malarza. Na szczęście nikt tego nie zauważył.

- Pan jest dziś wyjątkowo powolny, Bingle! - wyraził swe niezadowolenie major Drawers. - Kończ pan prędzej przygotowania.

- Ależ, sir, wygląd tych ludzi jest taki, że portretowanie ich wydaje mi się bezcelowe. Tu potrzebny jest cyrulik.

- Czemu pan o tym wcześniej nie pomyślał, Bingle? Jobb, przyprowadźcie naszego cyrulika, a po drodze przynieście mi z domu szklankę ciepłego xeresu z cukrem.

Dopiero gdy kunszt cyrulika przywrócił więźniom ich młodość a don Alonsowi ponadto jego urodę, George Bingle wziął się do pracy. Gdy tylko wykonał portret don Alonsa, dwaj strażnicy natychmiast wyprowadzili więźnia.

Teraz pozował senior Mateo Velmontez. Kreśląc ołówkiem jego rysy George stwierdził, że w twarzy drugiego modela o rudawej czuprynie, w liniach jego czaszki, nosa, oczodołów nie było nic, co by wskazywało na hiszpańskie pochodzenie. Przed sztalugą siedział typowy Anglosas i to pochodzący z Północy...

Seans przeciągał się i obecnych ogarnęła senność. Od trzaskającego w kominku ognia rozchodziło się przyjemne ciepło. Pod ścianą drzemali czterej strażnicy, a naczelnik więzienia, rozmarzony ciepłem i xerese, usnął przy swoim stole. Dozorca Jobb, przywykły do nocnego czuwania, przechadzał się po celi. Dla porządku od czasu do czasu wyrwał z drzemki czterech strażników. Drugi dozorca, Hearlems, początkowo ze skupioną miną obserwował pracę malarza. Przysunawszy swoje krzesło do sztalugi siadł na nim okrakiem, z brodą na oparciu. W tej też pozycji wkrótce usnął, zwiesiwszy głowę na chudej, długiej szyi, jak zdechła żyrafa.

Przechadzając się po celi mister Jobb zauważył muchę, która ożyła w ciepłe. Mucha czyściła sobie skrzydełka, robiła toaletę i ocierała łapki o głowę. Te czynności owada wydały się mister Jobbowi wielce gorszące, jako że odbywały się na nosie jego królewskiej mości Jerzego Trzeciego. Portret króla był jedyną ozdobą więziennej celi. Mister Jobb podniósł z podłogi słomkę i z namaszczeniem usunął muchę z nosa najjaśniejszego pana. Dokonując tego wiernopoddańczego aktu mister Jobb stracił z pola widzenia sztalugę, pirata i malarza.

Ołówek George'a uwieczniał właśnie na papierze mały dołeczek w brodzie don Mateo Velmonteza, zwróconego profilem do artysty. W momencie gdy portrecista znów przeniósł wzrok z papieru na modela, posiadacz dołeczka w brodzie zerknął w stronę Hearlemsa i z niewypowiedzianą pogardą szepnął ledwo dosłyszalnie:

- Ech, George, ty więzienny szurze!

Bingle'owi zadrżały ręce. Boże, jakże mógł od razu nie poznać tej piegowatej fizjonomii!... Dzieciństwo... Młodszy brat!... O wielkie nieba!

Ze sztalugi zwisał kawałek papieru zatknięty za portret, służący malarzowi do zaostrzania ołówków. Malarz uniósł brzeg świstka i udając, że poprawia grafit, napisał:

„Tommy?”

Pochwyciwszy potwierdzający ruch powiek modela, George kilkoma kreskami narysował głowę człowieka za kratą więzienną i napisał z boku:

„Ja - 10 lat”.

Brat ze zrozumieniem kiwnął głową. Tymczasem dozorca Jobb już zbliżał się do sztalugi. George zdążył zamazać tę parę lakonicznych słów i kończył rysunek. Portret nie należał do najlepszych dzieł mistrza, podobieństwo było dość odległe. Major Drawers kazał Bingle'owi sporządzić kopie portretów i odszedł do swego gabinetu...

Otrzymawszy poranną pocztę major otworzył pakiet przywieziony przez umyślnego z Londynu, uważnie przeczytał pismo, przypasał szpadę do boku i udał się do Chancefieldu.

Rodzina lorda Chancefielda jak zwykle spędzała okres Bożego Narodzenia w swoim majątku. W oczekiwaniu na powrót fregaty „Admirał” sir Frederick Riland oddawał się w wolnych chwilach sielskim przyjemnościom. Polował, jeździł konno, a nawet raczył prowadzić długie rozmowy ze swoją córką. Na chłód okazywany jej przez matkę Izabela reagowała również chłodem, lecz z czasem pokochała swego surowego ojca i lubiła spędzać w jego towarzystwie zimowe wieczory, owiane poezją wiatru zawodzącego w kominie.

Guwernantką Izabeli była czterdziestopięcioletnia miss Trenborn, afektowana dama „z dobrej rodziny”. W przeciwieństwie do wyrozumiałej niani Helgi Lund, miss Trenborn nieustannie zadrezczała swą wychowanek wszelkiego rodzaju budującymi kazaniami i dydaktycznymi pouczeniami. Na życzenie ojca Izabeli stary katolicki mnich, ojciec Benedykt Morsini, udzielał jej nauki religii. Dziewczyna była bardzo przywiązana do swego siwego nauczyciela. Dzięki staraniom miss Trenborn i starego jezuity dziedziczka lorda Chancefielda w wieku siedemnastu lat była wzorem świetnie wychowanej panienci z dobrego domu.

Na parę dni przed Wigilią Izabela wracała właśnie z ojcem z konnej przejażdżki, gdy przez otwartą bramę zobaczyła stojący na dziedzińcu zamkowym cab.

- Papo, ktoś do nas przyjechał - zwróciła się do ojca.

- Sądząc po eleganckim powozie, przypuszczalnie któryś z twoich adoratorów, Bello - żartobliwie westchnął milord. - Niedługo całkiem pozbawią mnie córki.

Najbogatsza panna w północnej Anglii istotnie nie mogła narzekać na brak skrytych i jawnych wielbicieli, danserów na balach, konkurentów i kandydatów na konkurentów. Poczta dostarczała do Chancefieldu całe pliki pachnących kolorowych listów, zapieczętowanych symbolicznymi naklejkami. Izabela również nie uniknęła strzały Amora. Najpierw zawładnął jej wyobraźnię pocztylion z błyszczącą mosiężną trąbką i niebieskim workiem na ramieniu.

Trwało to kilka lat, aż do dnia, gdy pewnego razu miss Trenborn zabrała piętnastoletnią panienkę w podróż dylizanssem, na którego koźle zasiadł obiekt jej tajemnych westchnień. W podróży Izabela ze zgrozą obserwowała, jak dziarski pocztylion chwacko opróżniał nos przy pomocy wskazującego i wielkiego palca, przy czym ze zdumiewającą celnością trafiał z wysokości koźła w przechodniów, którym rzadko udawało się uchylić przed pociskami tej pozornie niewinnej dubeltówki. Po każdym celnym trafieniu pocztylion i woźnica zanosili się od śmiechu.

W rezultacie tego wstrząsającego przeżycia serce Izabeli znów było wolne. Do czasu, póki sir William Blandhill, młody dziedzic sąsiedniego majątku Wolves-wood, nie zaczął podejrzanie często bywać w Chancefieldzie. Jego matka już w skrytości ducha zastanawiała się, który z dwóch zamków - Wolveswood czy Chancefield - należałoby przeznaczyć na rezydencję młodej pary...

Kamerdyner March oczekiwał sir Fredericka i miss Riland na progu hallu. Zameldował, że już od godziny czeka na hrabiego major Drawers, naczelnik bultońskiego więzienia. Córka zauważyła, jak ojciec zasepił się. Przebrawszy się w swoim pokoju poczekała, aż gość wyjdzie, i wesoła jak ptaszek wfrunęła do gabinetu ojca, pragnąc rozproszyć jego ponure myśli. Hrabia z chmurną twarzą siedział przy biurku, trzymając w rękach jakieś portrety naszkicowane ołówkiem.

- Papo, mogę wejść? - spytała Izabela stojąc już na środku gabinetu. - Pokaż i mnie te rysunki. Kto to jest? Dlaczego obaj mają takie smutne miny?

Zaskoczony zniemacka lord admirał nie zdążył schować rysunków i z udaną obojętnością rzucił teraz portrety na stół, zdając sobie sprawę, że przy najmniejszej próbie ukrycia rysunków córka dopiero zasypie go pytaniami. Jego rozumowanie okazało się słuszne. Miss Izabela, obejrawszy dokładnie rysunki, odłożyła je na bok, gdyby... gdyby mister Bingle nie oddał tak wiernie powierzchowności don Alonsa de Las Pados. Izabela wpatrzyła się w twarz młodego człowieka na portrecie i westchnęła ze smutkiem:

- Niestety, takich wielbicieli nigdy nie miałam, papo! To na pewno jakiś młody Włoch? Kim jest ten młodzieniec? Co za piękna twarz! I portret zupełnie nowy. Powiedz, papo, czy ten młody człowiek jest teraz w Bultonie?

- Nie, Bello, to po prostu kopia pewnego starego portretu. Był już tak zniszczony, że kazałem zrobić nową kopię. Ten człowiek - to towarzysz mojej młodości. Ma teraz chyba około sześćdziesięciu lat, o ile jeszcze żyje.

Izabela wydeła wargi i odłożyła rysunek. Milord schował portrety do szuflady.

- Papo, a ten gruby major, co był tu przed chwilą, to zdaje się naczelnik tutejszego więzienia? Lord admirał począł już tracić cierpliwość:

- Tak, Bello, major Drawers istotnie zajmuje to stanowisko. Ale teraz jestem bardzo zajęty, córeczko, muszę załatwić pilne sprawy. Wieczorem będę znów całkowicie do twojej dyspozycji. A propos, dziś odbędzie się wielkie przedstawienie w bultońskim teatrze. Jeśli chcesz, zamówię lożę.

- Nie mam ochoty iść do teatru, papo. Myślałam o czymś całkiem innym. Już za kilka dni Wigilia. Wszyscy przygotowują się do świąt, a tam, w tym strasznym więzieniu, męczą się ludzie... Czy mogłabym odwiedzić tych nieszczęsnych razem z ojcem Benedyktem?

- Skąd u ciebie te myśli, Bello? W więzieniach siedzą nie jakieś niewinne baranki, lecz buntownicy, złodzieje i... mordercy. Pełno tam zbuntowanych chłopów, kłusowników, luddystów...

- Ależ oni też są ludźmi i okrutnie cierpią. Pozwól mi, papo...

- Pod żadnym warunkiem, Bello! Nie wolno pobłażać przestępcom... wybaczyć, ale na mnie już czas.

Wskakując na siodło pan Chancefieldu ze zdumieniem wzruszył ramionami.

„Skąd się to u niej wzięło? Zresztą nie warto sobie teraz tym zaprzętać głowy! Mam gorsze kłopoty... Diabło paskudnie wygląda ta cała historia...”

Nagie drzewa chancefieldzkiego lasu kołysały się na wietrze. Hrabia i jego służący spieszyli do Bultonu. Sir Frederick miał poważne powody, aby marszczyć wysokie czoło, szukając gwałtownie wyjścia z bardzo kłopotliwej sytuacji.

## 6

O zmierzchu Woodrow Crag zobaczył przed oknami swego domku jeźdźca na spienionym koniu. Widocznie bardzo mu się spieszyło, gdyż dzwonek przy drzwiach rozbrzmiewał dwakroć głośniej niż zwykle przy odwiedzinach gości. Mister Crag poznał kamerdynera lorda admirała.

- Czy się coś stało, March?

- Nie wiem, sir. Jego lordowska mość znajduje się w tej chwili w twierdzy u majora Drawersa. Kapitan Lorn przed chwilą rozmawiał z jego lordowską mością i kazał mi natychmiast jechać po pana, sir.

Było już całkiem ciemno, kiedy Woodrow Crag cicho wszedł do ponurej celi przesłuchań, z portretem króla Jerzego III na ścianie. Kraty w oknach, zimna kamienna posadzka, skąpe oświetlenie i wilgotne, stęchłe powietrze tego rodzaju pomieszczeń wywierają przygnębiające wrażenie na każdym, a szczególnie muszą budzić nieprzyjemne uczucia w ludziach, którym podobne warunki łatwo mogły przypaść w udziale i to do końca życia.

- Siadaj, Woodrow! - Na twarzy mister Rilanda malowała się złość i niepokój.

Lorn ssał fajkę, obserwując wróble skaczące po kracie za szybą.

- Diabelnie przykra historia, Woodrow! Major Drawers otrzymał z Londynu zawiadomienie, że do Bultonu wyjeżdża tajna komisja, posłana przez króla. Przypuszczalnie są już w drodze. W skład komisji wchodzi: prokurator, oficer do specjalnych poruczeń i przedstawiciel admiralicji. No i oczywiście cała świta - młodszy oficerowie, sekretarze, pisarze... Rozumiesz?

- N-n-nie, wasza lordowska mości, na razie nie bardzo rozumiem. Co ma do roboty w Bultonie ta szacowna komisja? Czyżby aż tyle hałasu o dwóch uwięzionych piratów?

Jego lordowska mość pokrótce przedstawił sytuację, tak jak ona wyglądała w świetle pism otrzymanych przez komendanta garnizonu i naczelnika więzienia.

Wysłanie do Bultonu londyńskiej komisji było nowym dowodem łaski królewskiej wobec lorda Chancefielda. Otrzymałszy raport ministra marynarki o bitwie, jaką stoczyła eskadra sir Fredericka z okrętem piratów, król głęboko się zasmucił śmiercią kapitana Blackwooda i stratami poniesionymi przez eskadrę. Raport ministra został opracowany na podstawie relacji samego lorda Chancefielda, który w jaskrawych barwach odmalował bohaterstwo Blackwooda, Lorna i Tressela, jak również haniebne zachowanie się zdrajcy Guy Brantleya. Jego królewska mość osobiście zatwierdził rozkaz aresztowania Brantleya wydany przez Lorna. Poleciał uwięzić zdrajcę w kazamatach twierdzy i wysłać do Bultonu komisję śledczą, aby dochodzenia w sprawie zbrodniczych piratów mogły być przeprowadzone z należytą surowością. Los tych zbrodniarzy miał być przestrogą dla wszystkich pirackich okrętów, toteż jego królewska mość wyraził życzenie, aby po zakończeniu śledztwa przestępców przewieziono do Londynu, gdzie zostaną postawieni przed sądem wojennym i publicznie straceni.

Woodrow Crag momentalnie zrozumiał całą kłopotliwość sytuacji.

- Jak zachowywali się jeńcy w drodze? - zwrócił się do Lorna,

Ten zbył pytanie ponurym milczeniem. Sir Frederick Riland sam poinformował Craga, że podczas wstępnych dochodzeń, jakie mister Lorn próbował przeprowadzić na pokładzie

„Admirała”, usłyszał on od pirackich hersztów jedynie mocne i zgoła niedwuznaczne epitety pod adresem lorda admirała. Brantley zaś kategorycznie zaprzeczył, jakoby między nim a piratami istniała jakaś wcześniejsza zмова.

Słuchając hrabiego mister Crag kiwał tylko głową. Miał już na języku pytanie, lecz uprzedził go Lorn:

- Ci dwaj wiedzą o nas wszystko, rozumiesz? - W głosie jego była nie ukrywana wściekłość. - Nie trzeba się było spieszyć z zawiadomianiem admiralicji o jeńcach. Twój pośpiech, Giacomo, może nas wszystkich bardzo drogo kosztować!

- Byłem pewny, że król po prostu każe mi ich powiesić, z Brantleyem włącznie, na okrętowych rejach. Przeliczyłem się. Ale teraz nie czas na roztrząsania, co było i co mogłoby być. Trzeba patrzeć przed siebie i nie opuszczać rąk. Bywało już gorzej, a jakoś zawsze wykaraskaliśmy się. Jak myślisz, Giuseppe, kim oni są naprawdę, ci zuchwalcy?

Lorn splunął ze złością.

- Spróbuj się od nich czegoś dowiedzieć! Twierdzą, że ich nazwiska są najbardziej prawdziwe.

- Skąd oni mogą tyle o nas wiedzieć? Diego Luiz nigdy nie widział swego ojca i nikt z jego otoczenia nie mógł znać... naszej historii. - Woodrow Crag w zdziwieniu rozłożył ręce.

- Nie potrafisz już ruszyć głową, Woodrow! A Murray? A Emily Gardy? Że też nie wytepełiliśmy do szczeru tych żmij w Błękitnej Dolinie! Stamtąd wieje wiatr. Ten don Alonso oświadczył Brantleyowi, że jest młodszym synem Bernardita. Wygląda na jakieś dwadzieścia lat, nie więcej. Nie słyszałem, aby Bernardito związał się kiedyś z jakąś inną kobietą prócz Zoe. Mam wrażenie, że Alonso po prostu wymyślił sobie to pokrewieństwo, zresztą z twarzy też w niczym nie przypomina Bernardita. Przed chwilą widziałem go przez „judasza”. Piękny chłopak, niech go diabli!

Mister Riland położył przed Cragiem portrety Alonsa de Las Pados i jego towarzysza. Woodrow wsunął je do przepaścistej kieszeni.

- Spróbuję pokazać moim chłopakom. W tych twarzach jest coś jakby znajomego. Zwłaszcza ten Mateo... Niech zdechną, jeśli to jest Hiszpan.

- My tu bawimy się w zgadywanki, a tymczasem londyńska komisja zwali się nam na głowę i dopiero się zacznie! - gniewnie przemówił mister Riland. - Mamy do dyspozycji dni, a może tylko godziny. Trzeba działać już jutro! Dzisiejsza noc jest stracona, niestety.

- Uduśić ich i sprawa załatwiona - zaproponował Lorn.

- A Brantley? - Crag pokręcił głową. - Ten jest w sąsiedniej celi. Poza tym wątpię, czy Hearlems sam poradzi sobie z trzema, a innych zaufanych ludzi w więzieniu nie mam.

- To można ich otruć... Poczęstować winem, czy tam jak...

- Nie ukryje się śladów. Odpada.

- No to niech wasza lordowska mość sam coś wymyśli!

- Do diabła z lordowska mością! Woda wdziera się do ładowni, caramba, a pompy nie działają! Myślcie, stare wilki, myślcie szybciej! To robota dla ciebie, Woodrow.

- Poczekaj! W której celi oni siedzą?

- Dolna narożna kazamata.

- Świetnie! Okna wychodzą na tylny mur?

- No i co...

- Na murze - dwóch wartowników. A dalej - szczerze pole.

- Hm! Niezła myśl! Zastrzeleni podczas próby ucieczki, tak?

- Właśnie. Tylko potrzebni są pewni ludzie. Pułkownik Haverstone nie jest głupi! Znam dobrze tego miłego dżentelmena...

- Mówisz, że potrzebni są pewni ludzie? Będziemy musieli przypomnieć sobie stare dzieje. Powtarzam: woda podchodzi do gardła. Woodrow, odzyskaj MacRaila. Włóczy się pewno gdzieś po mieście, jak zawsze pijany. Niech natychmiast wraca do domu, będę u niego o

północy. Jutro o piątej po południu zbieramy się wszyscy w moim domu przy Saint Jacob's Street. Znajdzie się tam wszystko, co tylko może nam być potrzebne i to w dostatecznej ilości. Giuseppe, obejrzyj dobrze tylko mur twierdzy. Pojadę teraz do ojca Benedykta. Zobaczymy, o ile można na niego liczyć w krytycznej chwili... A ty, Woodrow, musisz zrobić wszystko, aby MacRail wytrzeźwiał do północy. Każdy środek jest dobry! Trzeba też będzie ostrożnie wciągnąć w tę sprawę George'a Bingle'a. Potem sprzątnie się go razem z tamtymi dwoma...

- A co z Brantleyem?

- Hm! Spróbuję pogadać z Drawerssem, żeby przeniósł Brantleya do tamtych dwóch w narożnej kazamacie. No, moi drodzy, spieszcie się, czas ucieka.

Strażnik więzienny trzymał za uzdę wierzchowca lorda Chancefielda. Znakomity gość żegnał się z naczelnikiem więzienia. Na jego porozumiewawcze mrugnięcie major odprawił strażnika i sam wziął konia za uzdę.

- Niech pan posłucha, majorze!

Drawersa zdziwił ton milorda - znużony, ciepły, serdeczny.

- Mamy dziś dwudziestego pierwszego grudnia, majorze. Zbliża się Wigilia.

- Tak, to najpiękniejszy dzień w roku, milordzie.

- Wie pan co, majorze, tych dwóch tam, na dole... Ostatecznie wyrządzili krzywdę głównie mnie... Niewiele życia im pozostało... przecież ta londyńska komisja, powołana w moim interesie przez jego królewską mość, powiesi ich obu, co, majorze?

- Jest to tak pewne, jak to, że ja nazywam się Drawers, a pan sir Frederick Riland, milordzie.

- Tak, Drawers, ale przecież Pan Bóg stworzył nas chrześcijanami. Wprawdzie to są przestępcy, piraci, złoczyńcy, lecz niech i ich zbłąkane dusze pocieszą się świętem. Moja córka ma do pana prośbę. Chciałaby odwiedzić więzienie, aby w jakiś sposób osłodzić los tych nieszczęsnych. Otóż, gdy przyjedzie do pana... Rozumie pan? Naturalnie nie należy pozwalać na nic szczególnego... Ale jakaś mała ulga z okazji zbliżających się świąt... Na przykład, kajdany, czyż one są naprawdę konieczne w takich murach? To po prostu zbędne okrucieństwo... Zdaje się, że oni są katolikami, ci młodzi piraci?

- Zagorzali papiści, milordzie!

- No cóż, i zagorzałym papistom należy się duchowa pociecha. Moja córka przybędzie tu z ojcem Benedyktem, wie pan, z tym poczciwym mnichem z portowej kaplicy. Przecież to będzie ich ostatnia Wigilia!

- To jest tak pewne, milordzie, jak...

- ...to, że ja nazywam się Riland. Wiem, co chciał pan powiedzieć. Tylko niech ta niewinna zmowa pozostanie wyłącznie między nami, Drawers, by nie dać nikomu pretekstu do plotek o przesadnej pobłażliwości wobec tak zatwardziałych złoczyńców. Niech pan ich zostawi w tej samej kazamacie, ale trzeba tam napalić w piecu i zdjąć im kajdany... I wie pan co? Ten stary lis Brantley siedzi sam jeden... Niech go pan przeniesie do nich! W trójkę nie będzie im tak smutno... Tylko ani słowa nikomu, Drawers!

- Będę milczał jak grób, jeśli takie jest życzenie waszej lordowskiej mości!

Hrabia poklepał majora po ramieniu.

- Hearlems może przymknąć oko, gdyby ojciec Benedykt zechciał coś podać tym zbłąkanym owieczkom... W ogóle, gdyby zauważył u nich na przykład szklaneczkę czegoś orzeźwiającego czy kawałek ciasta. A tego Bingle'a, malarza, niech pan poprosi, by wykonał szkic dla mojej córki... Rozumie pan, ona pośród więźniów, w więziennej kazamacie... Będzie miała pamiątkę na całe życie, prawda?

Major o mało się nie zachłysnął z zachwyty.

- Rozumiem, milordzie, rozumiem! Powiedzmy, taki obraz... promień słoneczny w mrocznym przybytku cierpienia... lub nawet... jakby to powiedzieć... zstąpienie dziewicy do piekieł... Proszę na mnie polegać, milordzie, inaczej niech nie nazywam się Drawers!

## *Rozdział dwudziesty*

# **Terpin-Bridge**

### **1**

Dyliżans kursujący na królewskim trakcie Londyn-Bulton przybył do Bultonu dwudziestego drugiego grudnia rano znacznie wcześniej, niż przewidywał rozkład jazdy. Wszystkie miejsca wewnątrz dyliżansu zajmowały rządowe osobistości londyńskie. Tylko zewnętrzne, górne siedzenia pozostawały do dyspozycji zwykłych pasażerów. Skracając postoje i zmieniając konie w zajazdach poza kolejnością, woźnica zaoszczędził w drodze dobre parę godzin.

Na dziedzińcu oberży „Biały Niedźwiedź” z dyliżansu wyszli dwaj dżentelmeni w ogromnych perukach i mundurach. Dżentelmenom towarzyszyło trzech oficerów marynarki różnych stopni, sekretarz i dwóch służących. Przybyli weszli do ogólnej sali, z godnością skinęli głowami obecnym, wyczekującym tu godzinami na dyliżanse, i kazali wezwać właściciela oberży.

Przed gośćmi stanął ryżowasy mężczyzna o żołnierskich ruchach.

- Mister Crag, niestety, jest w tej chwili nieobecny. Jego główny wspólnik, mister Crampflow, też znajduje się w podróży. Przyjmowanie gości i troska o ich wygody należą do mnie. Ja też mam skromny udział w tym przedsięwzięciu, sir.

- Pańskie nazwisko, przyjacielu? - spytał jeden z dżentelmenów.

- Lins, William Lins, do usług wielmożnych panów. Panowie pewno życzą sobie otrzymać pokoje?

- Tak, Lins, na razie potrzebne są nam trzy duże spokojne pokoje. Jutrzejszym dyliżansem powinien przyjechać generał i jeszcze kilku dygnitarzy.

- Pozwoli pan, sir, że wpiszę nazwiska panów do księgi?

Dostojny gość podał Linsowi swoje dokumenty. Lins skłonił się z jeszcze większym szacunkiem i jeszcze niżej, o ile to w ogóle było możliwe.

- Kogo każą panowie zawiadomić o swym przybyciu, sir?

- Burmistrza miasta i sędziego, komendanta garnizonu, naczelnika więzienia majora Drawersa i lorda admirała sir Fredericka Rilanda, hrabiego Chancefieldu. Do majora Drawersa proszę natychmiast pchnąć gońca, niech poprosi majora, by przybył tutaj.

Goście otrzymali trzy najlepsze, sąsiadujące ze sobą pokoje na pierwszym piętrze. Służba z ciekawością obserwowała, jak w korytarzu, u wejścia do tych pokoi, zajął posterunek jeden ze służących przybyłych dżentelmenów. Usiadł przy drzwiach jak cerber, rozłożył przed sobą gruby kratkowany kajet, kilka piór i podróżny kałamarz i upewniwszy się, że kancelaria gotowa jest na przyjęcie interesantów, wsparł łokcie na stoliku i pogrążył się w drzemkę.

W niespełną godzinę później cały Bulton wiedział już o przybyciu do miasta londyńskiego prokuratora sir Holenstadta, przedstawiciela admiralicji mister Blannarda, oficera do specjalnych poruczeń i innych członków londyńskiej komisji. Nikt jednak nie znał celu przyjazdu owych gości. Po całym mieście lotem błyskawicy rozeszły się najbardziej fantastyczne pogłoski. W niektórych biurach i domach prywatnych zapłonęły całe stosy papierów, błyskały płomyki świec w mrocznych piwnicach i niemała ilość dźwięcznych złotych krążków spoczęła w ziemi, pod korzeniami ogrodowych drzew. Współwłaściciel kantoru „Morton i Jankins”, były pisarz Thompsona chudy mister Jankins, z przyspieszonym biciem serca przyglądał się badawczym wzrokiem niepozornej szopie stojącej w podwórzu jego domostwa. Znajdowała się w niej, obok kilku płyt litograficznych i przeróżnych buteleczek, nieduża miedziana prasa... Mister Jankins spóźnił się w tym dniu do kantoru,



długo bowiem pracował w pocie czoła na podwórzu; zawalił szopę drzewem i różnymi rupieciami, a na koniec zabił drzwi starymi deskami.

W dwie godziny po przyjeździe komisji gruby major Drawers, podobny do poduszki w poprzek i na krzyż ściągniętej pasami, wszedł do oberży „Biały Niedźwiedź”. Londyński prokurator wręczył mu rozkaz z własnoręcznym podpisem lorda kanclerza, zalecający szczególną surowość w stosunku do dwóch więźniów z pirackiego okrętu i ich zbrodniczego współnika kapitana Guy Brantleya. Równocześnie londyński prokurator oświadczył, iż jest upoważniony do przeprowadzenia inspekcji w bultońskim więzieniu.

Gdy major popędził z powrotem, by wykonać rozkaz, członkowie komisji kazali zaprząć karete. Mieszkańcy miasta schylali przed nią głowy niżej niż przed ołtarzem w katedrze. Kareta w asyście jeszcze jednego powozu podążała w stronę północnych krańców miasta, gdzie na szczycie skalistego wzgórza od wieków górowały nad miastem zębate mury bultońskiej twierdzy.

## 2

Przed zamkniętą na dziesięć spustów bramą więzienną tłoczył się posępny tłum ubogo odzianych kobiet, dzieci i starców z węzłkami w rękach. Byli to krewni więźniów, którzy przyszedli tu w nadziei uzyskania widzenia z aresztantami lub choćby zezwolenia na podanie im paczek na święta. Jednakże straż, uprzedzona przez majora Drawersa, nie wpuszczała dziś nikogo w obręb murów twierdzy. Nie opodał bramy były kopytami o ziemię siwe konie eleganckiego, lakierowanego powozu. Strażnicy odpychali ponury tłum od krat, głusi na prośby i błagania. Stangret powozu zawrócił konie; widocznie pasażerowie stracili już nadzieję zwrócenia na siebie uwagi surowej straży.

Na poduszkach powozu siedziała wysoka starsza dama. Trzymała się tak prosto, jakby połknęła kij. Obok niej zajmowała miejsce osoba duchowna - stary mnich w czarnej sutannie i okrągłym kapeluszu. I wreszcie naprzeciwko nich, plecami do kozła, siedziała młodziutka piękna panna w lekkim futerku, kryjąc się przed spojrzzeniami ciekawych za wysoką lakierowaną ścianką i oszkloną latarnią powozu.

Przed bramą więzienną zajechały dwa ekwipaże z członkami londyńskiej komisji i przedstawicielami miejscowych władz. Burmistrz miasta mister Hugh Butler przyjrzał się pasażerom powozu i ku swemu niemałemu zdziwieniu poznał miss Izabelę Riland. Lecz w tym właśnie momencie otwarła się brama i sześciu żołnierzy z halabardami ustawiło się w dwuszeregu pod masywnym łukiem, usuwając z drogi ubogich petentów. Na spotkanie ekwipaży komisji szedł już, przytrzymując szpadę, sam major Drawers.

- Co to za ludzie przy bramie? - spytał londyński prokurator.

- Krewni więźniów, milordzie! - Mówiąc to major ciskał dokoła groźne spojrzenia.

- A te damy i osoba duchowna w powozie?

Major Drawers dopiero teraz zobaczył obie damy i ojca Benedykta. Stangret powozu poprawił uprząż i wdrapywał się na kozioł. Major zmieszał się.

- Przepraszam, milordzie, nie wiedziałem, że ladies już przyjechały. To, za pozwoleniem, miss Izabela Riland, córka jego lordowskiej mości hrabiego Chancefieldu... Powodowana uczuciem miłosierdzia pragnęła... że tak powiem... spełnić dobry uczynek wobec niektórych lojalnych więźniów.

- Dlaczegoż więc te damy odjeżdżają? Na pewno pańska straż, majorze, nie dopuściła, aby mogły urzeczywistnić swój zamiar. I dlaczego rozchodzą się pozostali ludzie, ci krewni?

- Sir, sądziłem, że wasza lordowska mość nie będzie sobie życzyła, jak by to powiedzieć, obecności postronnych osób w czasie pańskiej, że tak powiem, bytności tutaj! - Major jękał się i aż poczerwieniał ze służbistej gorliwości.

- Uważa pan, majorze, że królewskiemu prokuratorowi obca jest rozumna filantropia i uczucie chrześcijańskiego miłosierdzia? To bardzo mylne wyobrażenie, mister Drawers. Niech pan rozkaże wpuścić tu natychmiast tych wszystkich ludzi. Proszę też przedstawić mnie i mister Blannarda tym damom.

Major rzucił wściekle spojrzenie na strażników. Na jego znak stangret powozu znów zawrócił konie w stronę bramy. Po chwili miss Izabela zeszła ze stopni powozu na kamienne płyty więziennego dziedzińca. Dość chłodno skinęła głową majorowi Drawersowi i z ujmującym wdziękiem dygnęła przed członkami królewskiej komisji.

W kancelarii więziennej prokurator wypytywał uprzejmie młodą pannę o zdrowie lorda admirała i wyraził aprobatę dla chrześcijańskich zamiarów jego córki. Izabela odpowiadała, rumieniła się i uśmiechała według wszelkich prawideł bon tonu. Miss Trenborn była zadowolona, ojciec Benedykt wzdychał z rozczuleniem. Wysoki, przystojny oficer, któremu podlegali inni wojskowi, i pisarz nie odrywali oczu od miłej panienki. Nawet ponury mister Blannard spoglądał na nią życzliwym okiem. Miss Izabela wyraźnie zawojowała groźnych kapłanów Temidy!

Prokurator przywołał do siebie wysokiego oficera.

- Pozwoli pani, miss Riland, że jej przedstawię kawalera de Cresy, mego najbliższego współpracownika. Jeśli zechce pani obejrzeć więzienie w naszym towarzystwie, może on służyć pani za przewodnika.

Twarz Izabeli jeszcze bardziej się zapłonila. Kawaler de Cresy dwornie skłonił się przed panną.

- A teraz, kawalerze de Cresy, przystępujemy do sprawy - zarządził prokurator. - Miss Riland, będzie pani musiała ponudzić się z pół godzinki w towarzystwie starszych dżentelmenów. Proszę usiąść o tu, w tym kąciку, tu nieco cieplej. Mister Drawers, niech pan pokaże portrety tych piratów.

- Ależ, sir, to są tajni więźniowie! W obecności, jak by to powiedzieć, osób postronnych...

- Nie rozumiem, dlaczego otacza się taką tajemnicą zwykłych morskich rozbójników. Co za tajni więźniowie? Już wkrótce cały Londyn zobaczy ich na szubienicy. Pańskim jedynym zadaniem, mister Drawers, jest nie dopuścić do jakiegokolwiek próby ucieczki tych niebezpiecznych bandytów. Proszę mi dać ich portrety.

Cała świta lorda prokuratora nie bez ciekawości przyglądała się kawałkom białego kartonu. Widać było, że te rysunki zostały wykonane od ręki, nieomal kilkoma pociągnięciami ołówka. Major wyjaśnił, iż są to w pośpiechu zrobione kopie z bardziej dokładnych, oryginalnych portretów, oddanych do dyspozycji lorda admirała i policji.

W tej chwili miss Izabela rzuciła okiem na rysunek w rękach prokuratora. O Boże, przecież wczoraj widziała w gabinecie ojca portrety tych samych osób!... A więc ojciec nie mówił prawdy? To dziwne. Wczoraj zabronił jej jechać do więzienia, a dziś sam ją przynaglał i był taki dobry, łagodny... I okazało się, że ojciec Benedykt już czekał na nią w kaplicy z paczką dla biednych więźniów. Jak trudno ich zrozumieć, tych dorosłych!... Prokurator ze zdziwieniem przyglądał się skąpom liniom szkiców.

- Poznać rękę prawdziwego mistrza. Kto wykonał te portrety, majorze?

- Nasz więzienny portrecista, mister Bingle.

- Więzienny portrecista? -jeszcze bardziej zdziwił się prokurator. - Interesująca innowacja... Od dawna on u was pracuje, ten Bingle?

- Od czasu, jak został zwolniony z więzienia. Mniej więcej od pół roku, milordzie.

- Przez kogo skazany?

- Przez sąd bultoński, milordzie. Odsiedział dziesięć lat.

- Ach tak? Czy zwracał się z apelacją do nas, do sądu kanclerskiego?

- Prawdę mówiąc, nie przypominam sobie, milordzie. Ale on miał przestępcze zamiary wobec ustroju państwowego i nie mógł oczekiwać pobłażliwości ze strony sądu kanclerskiego.

- Proszę go tu sprowadzić... Mister Blannard, chciałbym tymczasem porozmawiać z piratem Alonso. a także z kapitanem Brantleyem.

Czekając, aż przyprowadzą więźniów, prokurator jeszcze raz uważnie przyjrzał się portretom. Wreszcie rozległ się za drzwiami brzęk kajdanów i metaliczny stuk o posadzkę dwóch karabinów. Drzwi się otwarły i konwojenci wprowadzili don Alonsa.

Więzień podtrzymał lewą ręką łańcuch kajdanów, prawą uczynił gest przywitania. Stał przed sir Holenstadtem w niedbale swobodnej postawie, na ile mu pozwalały skute ręce i nogi, i patrzył na niego jakby naiwnie zdziwiony wyniosłą, surową miną i ubiorem tego dżentelmena.

- Stoicie przed naczelnym prokuratorem sądu kanclerskiego, Alonso de Las Pados - powiedział major Drawers.

- Widzę - lakonicznie odparł więzień.

- Stańcie, jak należy!

Don Alonso nie zwrócił jednak uwagi na okrzyk naczelnika więzienia, albowiem w tej właśnie chwili dojrzał w kącie dwoje dużych, bardzo pięknych i pełnych współczucia szarych oczu. Jeszcze raz złożył ukłon prokuratorowi i znacznie głębszy - nieznajomej o szarych oczach. Bez trudu zauważył przy tym, że te oczy poczęły się szybko zasnuwać czymś przezroczystym i lśniącym jak rosa na płatkach kwiatu.

- Alonso de Las Pados, czy przedstawiono wam i waszemu współwinowajcy zarzuty oskarżenia? - spytał prokurator.

- Nie, nie przedstawiono...

- ...Sir! - podpowiedział z oburzeniem major Drawers. - Zapominacie się, Alonso de Las Pados!

Młodzieniec nie zaszczycił naczelnika więzienia nawet spojrzeniem.

- Czy obstajecie przy tym, że wasze nazwisko, jak również nazwisko waszego współnika jest prawdziwe? - pytał dalej prokurator.

- Nasze nazwiska są tak samo prawdziwe, jak nazwisko naszego przeciwnika, w którego mocy znaleźliśmy się dzięki nikczemnej zdradzie.

- Nie rozumiem... Macie na myśli lorda admirała Chancefieldu?

- Tak, mam na myśli osobę, która od wielu lat nazywa siebie tym imieniem.

- Czy przyznajecie się, że jesteście jednym z hersztów pirackiej załogi okrętu „Trzej Hidalgowie” i zostaliście ujęci podczas próby ograbienia statku „Orion” należącego do Kompanii Północnobrytyjskiej?

- Nie tylko się nie przyznaję, lecz już najkategoryczniej temu zaprzeczam, panie prokuratorze! Nasz wolny okręt, pod dowództwem don Diego Luiz el Gorra, którego pierwszym oficerem jestem ja, nigdy nie był statkiem pirackim. Służył on sprawie amerykańskiej rewolucji, zwalczał haniebnny handel niewolnikami, walczył przeciwko deptaniu praw człowieka... Tylko nasze uwięzienie przeszkodziło nam oddać nasz okręt pod sztandar francuskich bojowników o wolność, walczących z tyranią.

W tym momencie do pokoju wprowadzono kapitana Brantleya. Kapitan poznał Izabelę, siedzącą cichutko w kącie, i ukłonił się jej.

- Pańskie imię i nazwisko? - spytał Blannard.

- Guy Randolph Brantley, kapitan marynarki, sir.

- Co pana skłoniło, Brantley, do złamania przysięgi i sprzeniewierzenia się obowiązkowi żołnierza?

Wychudła twarz starego żeglarza poczerwieniała z oburzenia.

- Nigdy mi nawet przez myśl nie przeszło, że mógłbym zdradzić ojczyznę! Uważałem tylko, iż należy przestrzegać międzynarodowych obyczajów, i nie chciałem plamić swej bandery zabójstwem bezbronnym parlamentariuszy.

- Czy potwierdza pan, że piracki okręt „Trzej Hidalgowie” pierwszy napadł na wasz statek

celem ograbienia go?

- Wręcz przeciwnie, sir. Kapitan okrętu „Trzej Hidalgowie” nie odpowiedział na moją salwę armatnią i zapewnił, że możemy bezpiecznie płynąć dalej, zgodnie ze swym kursem.

- Czy przyznaje się pan, że był pan w zdradzieckiej zмовie z piratami przeciwko lordowi Chancefieldowi?

- Nie, sir. Gdy ten młody pirat, Alonso de Las Pados, znieważył honor lorda Chancefielda, oświadczyłem mu, aby opuścił pokład mego okrętu i przygotował się do śmiertelnego boju.

- Dobrze, my to wszystko sprawdzimy. Panowie, sądzę, że to, co usłyszeliśmy, na razie wystarczy. Majorze Drawers, niech pan każe wyprowadzić więźniów.

W drzwiach wychodzący zderzyli się ze zdyszonym George'em Bingle'em. George przystanął niepewnie pośrodku pokoju i zobaczył swoje rysunki w rękach wysokiego dostojnika we wspaniałej ufryzowanej peruce.

- Mister George Bingle, malarz? - Ton dżentelmena był życzliwy.

- Tak, sir.

Dostojnik uważnie wpatrywał się w niego spoza stołu. Pod tym spojrzeniem George jeszcze bardziej się zmieszał. Oczy dżentelmena z każdą chwilą przybierały surowszy wyraz.

- Niech mi pan powie, Bingle... - w głosie prokuratora pojawiły się złowieszcze nutki - niech pan powie, czy pracując nad portretem tego oto człowieka... dopatrył się pan w jego twarzy znajomych rysów?

Prokurator pokazał George'owi portret don Matea.

Artysta zbladł tak, że przypominał woskową figurę z panopticum.

- Nie, nie dopatryłem się, sir - odpowiedział z ogromnym wysiłkiem.

- George Bingle, w imieniu prawa aresztuję pana. Majorze, proszę wziąć tego człowieka pod straż i umieścić go w celi piratów. Proszę też przeprowadzić tam Brantleya. Z pewnych względów uważam, iż należy ich jak najszybciej przewieźć do londyńskiego Newgate. Niech na jutro wieczór będzie gotowa więzienna karetka i pewny konwój. Mister Blannard, my jednocześnie odjedziemy londyńskim dyliżansem.

Gdy zupełnie zdruzgotany George Bingle został wyprowadzony pod strażą z kancelarii, prokurator zwrócił się do Izabeli:

- Miss Riland, proszę wybaczyć, że sprawy służbowe zatrzymały nas i nie pozwoliły pani od razu wypełnić chrześcijańskiego obowiązku wobec bliźnich. Teraz idziemy na inspekcję więzienia i jeśli pani sobie życzy, prosimy panią i jej towarzystwo z nami.

Oczy Izabeli były suche, na jej poblądłej twarzy malowała się gniewna duma i ból.

- Bardzo jestem panu zobowiązana, milordzie, że mogłam być świadkiem pańskiej rozmowy z tymi ludźmi. Słyszałam aluzje godzące w honor mego ojca i nie mogę pozostać wobec nich obojętna. Proszę mi wybaczyć, ale jestem w tej chwili zbyt wzburzona, abym mogła przystąpić do spełnienia chrześcijańskiego obowiązku. Będę musiała to odłożyć na inny dzień.

- Jak pani sobie życzy - sucho odparł prokurator i dał znak swojej świcie, by szła za nim.

W opustoszałej kancelarii pozostały tylko obie damy, ojciec Benedykt i pisarz za stołem, składający papiery do wielkiej torby. Izabela spojrzała przez kraty w oknie, szukając oczami powozu na dziedzińcu.

- Jedziemy do domu, miss Trenborn. Wielebny ojciec, proszę mi wybaczyć, ale nie czuję się na siłach, aby dłużej pozostać w tych murach.

- Ani słowa więcej, moja córko, ani słowa! Rozumiem panią. Ale szlachetny ojciec pani, Izabelo, prosił mnie, bym przygotował cośkolwiek dla tych zaślepionych grzeszników męczących się w więzieniu... Tam, pod siedzeniem w powozie, mam...

- Dobrze, wielebny ojciec, proszę zrobić, o co papa prosił, ale nie chcę mówić więcej o tych ludziach.

Obie damy i mnich wyszli z kancelarii i wsiedli do powozu. Ojciec Benedykt przywołał

stojącego na dziedzińcu więziennym Hearlemsa, wyjął spod siedzenia niedużą paczuszkę i wręczył ją dozorczy. Ten schował zawiniątko pod płaszcz i pospieszył do drzwi prowadzących do podziemi głównego budynku.

Powóz dojechał tylko do bramy twierdzy. Wszelkie perswazje, aby otwarto bramę i wypuszczono powóz z twierdzy, okazały się bezskuteczne. Straż żądała przepustki lub też osobistego polecenia majora Drawersa.

Rozgniewana miss Riland wyskoczyła z powozu. Wiedziała, że major oprowadza komisję po więzieniu, i zastanawiała się, jak by go odnaleźć. Błądzić samej po mrocznych dziedzińcach i wypytywać straż jakoś nie bardzo wypadalo. Posłać kogoś po majora?

Izabela weszła do kancelarii. Pisarz grzebał się jeszcze w papierach, obok niego stał kawaler de Cresy. Zdziwił się ujrawszy Izabelę samą, w dodatku z wyraźnie zagniewaną twarzą. Bardzo uprzejmie spytał miss Riland, dlaczego wróciła, i sam podjął się niezwłocznie usunąć wszelkie trudności.

Wyszli razem. W świetle słonecznym Izabela mogła się dobrze przyjrzeć towarzyszącemu jej oficerowi. Był to wysoki, barczysty i bardzo jeszcze młody człowiek o zgrabnej, smukłej postaci. Jego rumiana twarz kwitła zdrowiem, ciemnoniebieskie oczy patrzyły beztrósko i wesoło. Silna ręka niedbale dotykała gardy szpady, druga delikatnie podtrzymywała łokieć miss Izabeli. Powierzchność kawalera de Cresy była tak ujmująca, że Izabela nie mogła nie uśmiechnąć się do młodego mężczyzny. Ten mocniej uściśnął jej łokieć i zatrzymał się pod łukowatym sklepieniem przejścia łączącego dwa wewnętrzne dziedzińce więzienne.

- Bardzo się cieszę, miss Riland, że dzięki służbistości straży dana mi jest możliwość powiedzenia pani paru słów na osobności. Proszę mi wierzyć, że honor wicehrabiego... przepraszam, hrabiego Chancefieldu jest mi równie drogi jak i... każdemu pani rodakowi. I pragnę z całego serca zapewnić panią, iż w obronie honoru nazwiska rodowego Riland gotów jestem poświęcić życie...

Izabela podniosła na niego oczy z wyrazem nie ukrywanego zdumienia. Młody człowiek z każdą chwilą bardziej się jej podobał; nie spieszyła się z wyswobodzeniem ręki z jego uścisku, lecz równocześnie narastało w niej uczucie bezwiednej trwogi.

- Nie powie mi pan chyba, sir, że obelżywe aluzje tego zarozumiałego pirata mają jakiegokolwiek podstawy?

- A czy nie wydaje się pani, miss Riland, że don Alonso też jest człowiekiem honoru?

- Nie mogę mu odmówić dużego poczucia godności własnej. To Hiszpan! Ale jego pewność siebie graniczy z bezczelnością. Z początku wzbudził we mnie pewne współczucie, ale jego dalsze słowa... O, gdybym była mężczyzną i usłyszała te obelgi don Alonsa w innych warunkach... wiedziałabym, jak postąpić!

- Miss Riland, proszę pozwolić, abym ja uczynił to, co pani uważa za swój obowiązek! Nie mówię o zemście nad bezbronnyim więźniem, którego i tak spotka okrutny los... Ale ja dużo wiem... Czeka panią w przyszłości wiele gorzkich doświadczeń... W obronie honoru i dobrego imienia Rilandów poleje się jeszcze, być może, krew. I gdy wybije ta godzina, chciałbym, aby mi było wolno wypisać na tarczy imię pani i walczyć z jej obrazem w sercu!

- Obawiam się, sir, że dał się pan ponieść własnemu krasomówstwu. Z jakiego tytułu zwraca się pan do mnie z tak dziwnymi słowami i co one mają znaczyć?

- Przepraszam, miss Riland! Rzeczywiście popełniłem błąd ulegając mimowolnemu porywowi... Teraz żegnam i błagam panią o zachowanie naszej rozmowy w tajemnicy.

Zupełnie zbита z tropu i do głębi poruszona, Izabela zajęła swoje miejsce w powozie naprzeciwko miss Trenborn. Jak przez sen usłyszała władczy głos kawalera wydającego rozkaz straży. Brama się otworzyła, powóz przejechał przez długi, łukowato sklepiony tunel bramy i pomknął wzdłuż murów twierdzy.

Izabela podstawiała twarz pod powiew chłodnego wiatru znad rzeki. Nie mogła się rozeznąć w chaosie nieoczekiwanych, sprzecznych wrażeń. Gwałtowna zmienność w nastrojach ojca... Po

raz pierwszy zauważone jego kłamstwo... Obelżywy ton don Alonsa... Dziwne słowa kawalera de Cresy... Od tego wszystkiego po prostu mąciło się jej w głowie!

Z jednego tylko, jedyne go uczucia miss Izabela nieomylnie zdawała sobie sprawę. Było to nie wiadomo dlaczego ogarniające ją uczucie absolutnej obojętności wobec obrazu mister Williama Blandhilla!

...Na pocztowym trakcie Izabela już z daleka dojrzała jadącą z przeciwnej strony karetę. Na jej drzwiczkach widniał ten sam herb rodowy, ku chwale którego pragnął walczyć kawaler de Cresy. Mijając już powóz kareta zatrzymała się.

Z opuszczonego prawego okienka wyjrzał lord admirał i gestem przywołał córkę.

W zdenerwowaniu, nieomal z płaczem, Izabela opowiedziała ojcu o wszystkim, nie wspominając tylko o ostatniej rozmowie. Milord słuchał uważnie.

- Za co jednak prokurator kazał aresztować Bingle'a?

- Nic z tego nie zrozumiałam, papo. To się stało tak nieoczekiwanie!

- To dziwne... A gdzie jest ojciec Benedykt?

- Odwieźliśmy go do samego portu.

- Czy przekazał więźniom paczkę?

- Tak, oddał ją więziennemu dozorczy... Ale powiedz, papo, jak śmiał ten Alonso...

Milord roześmiał się nie dając córce dokończyć, poklepał ją po zarumienionym policzku. Okienko karety podniosło się i konie ruszyły.

Gdy powóz znikł za zakrętem, hrabia znów opuścił okno i przywołał kamerdynera Marcha, konno towarzyszącego karecie.

- Odwieziesz ten list do „Białego Niedźwiedzia”, wręczysz go sir Hostenstadtowi lub mister Blannardowi i zaczekasz na odpowiedź. Potem jedź do portu i pomów z ojcem Benedyktem, ma ci dać list do mnie. Odpowiedź sir Hostenstadta i list księdza przywieziesz mi na Saint Jacob's Street. Po drodze wstąp do „Brzucha Wieloryba” i powiedz Linsowi, aby był w twierdzy i zobaczył się z Hearlemsem. Około piątej, szóstej niech Lins też przyjdzie na Saint Jacob's Street. Jadę tam teraz i pozostaję do wieczora!

### 3

Najpierw dozorca Jobb wpełznął przez wąskie drzwi podziemnej celi okazałych rozmiarów worek, a następnie ukazał się w drzwiach materac z końskiego włosia i kołdra. Podczas gdy dozorczy siłą wtlaczali te rzeczy w wąski otwór wejścia, więźniom w kazamacie mogło się zdawać, iż martwe przedmioty same przychodzą do nich w gości. Wreszcie zwalono je w samym kącie, po czym w kazamacie został umieszczony również właściciel tych manatków, kapitan Guy Randolph Brantley. Siwy marynarz skinał głową dwom starszym lokatorom celi. Z wysokości sześciu stóp swego wzrostu spojrzął na rzeczy w kącie, ze złością usiadł na nędznym posłaniu i odwróciwszy się do ściany zapalił fajkę, nie zdradzając najmniejszej ochoty do wdawania się w rozmowę z sąsiadami.

Dwaj „starsi lokatorzy” zajmowali przeciwległy kąt. Poszeptawszy między sobą postanowili dać spokój kapitanowi i o nic go nie pytać.

Więzienni dozorczy zmieniali się w południe. Tym razem mister Hearlems wszedł do kazamaty nie sam. Kapitan Brantley nie odwrócił nawet głowy, ale dwaj byli parlamentariusze ujrzeli wchodzącego z nim więziennego portrecistę. Ze zdziwieniem patrzyli na malarza, starając się ukryć niepokój.

W przeciwieństwie do kapitana Brantleya mister George Bingle nie miał z sobą nawet najskromniejszego węzełka. Wyglądał na bardzo przybitego tym, co go spotkało. Stał pod drzwiami, poczekał, aż ucichnie zgrzyt zasuwanych rygli, a potem - widocznie starym więziennym zwyczajem - usiadł wprost na podłodze, jako że mebli w kazamacie nie było.

Objąwszy głowę rękami zamarł w pozie człowieka zdruzgotanego nieoczekiwanym ciosem. Gdy już ucichły w korytarzu kroki Hearlemsa, Alonso dał tajemny znak oczami swemu towarzyszowi. Don Mateo jednakże przecząco pokręcił głową i powiedział szeptem:

- Mogą nas obserwować. Nie wolno mi do niego podejść. Pomów ty z nim, Charlie.

Don Alonso, odzywający się również na bardziej pospolite imię Charlie, położył dłoń na ramieniu siedzącego.

- Widzę, że i dla pana los okazał się niełaskawy, mistrzu? - powiedział głośno. - Niech się pan przenieś do naszego kąta, znajdzie się i dla pana miejsce na sienniku. To nasz „latający dywan”... Tu ciągnie od drzwi! - dodał znacząco.

Ponury jak noc mister Bingle przeszedł do kąta i usiadł na „latającym dywanie”. Don Mateo, z trudem maskując targające nim uczucia, śledził każdy jego ruch wzrokiem pełnym bezbrzeżnej litości. Don Alonso szeptem zaczął rozmawiać z malarzem.

- Co się stało? Za co pana tu wtrącono? Dlaczego bez rzeczy? Może się pan nie obawiać, nikt nie usłyszy naszego szeptu, jeśli nawet podsłuchują...

- Wezwał mnie nagle prokurator sądu kanclerskiego.

- A więc aresztował pana prokurator? - zdziwił się don Alonso.

- Tak, zrobił to osobiście mister Hostenstadt. Najpierw pokazał mi portret brata, spytał, czy znam tego człowieka, a potem kazał mnie aresztować. Wszystkich nas przewiozą do Londynu. Prokurator kazał przygotować więzienną karetkę na jutro wieczór.

Don Alonso zamienił znaczące spojrzenie z don Mateo, po czym wstał, zasłaniając plecami okienko w drzwiach. Pod osłoną tej tarczy, kryjącej ich przed okiem wrogów, obaj bracia, Tom i George, tak nieoczekiwanie rzućni przez kapryśny los do jednej kazamaty, pospiesznie się ucałowali po szesnastoletniej rozłące. Ale nie było im dane zamienić choćby paru krótkich, bezładnych słów przywitania. Zgrzytnął klucz w zamku i obaj momentalnie odwrócili się od siebie... Do celi wszedł Hearlems. Jego pijacka gęba była jakby trochę mniej ponura niż zwykle. Pod płaszczem ukrywał jakąś paczkę. Dozorca przywołał don Alonsa, przyłożył palec do ust i obejrzał się lękliwie na judasza w drzwiach:

- Mnich z katolickiej kapliczki przesyła wam, panowie, swoje duszpasterskie błogosławieństwo. Chociaż to papista jak i wy, ale dobry człowiek. Jak on mnie prosił!...

Dozorca podał młodemu człowiekowi węzełek. Wewnątrz coś zabulgotało. Hearlems wykrzywił ponurą gębę, co miało oznaczać u niego uśmiech.

- Tylko nie wsypcie mnie, panowie. Gdyby komisja coś przewąchała... Niech Bóg uchwala! No, ale ja mam zaufanie do moich aresztantów, Wiedźcie i wy, że jest Boże Narodzenie, kiedy się już znalazł dobry człowiek... Szubienica - szubienicą, a święta - świętami.

Życzliwy ton Hearlemsa, do jakiego więźniowie nie byli przyzwyczajeni, bardzo ich zdziwił. Don Alonso namacał w paczce butelkę, uchwycił szyjkę i wyciągnął na zewnątrz.

- Ja nic nie widzę, panowie, nic nie widziałem - zatrzepotał rękami dozorca. - Tylko pamiętajcie, żadnych hałasów ani śpiewów... Hm! Co by tam mogło być w tej butelce?

- Nie miałyby pan ochoty, mister Hearlems, spróbować, jaki ma smak duszpasterskie błogosławieństwo?

Hearlems tylko chrząknął. Trudno było po kolorze domyślić się rodzaju trunku i twarz dozorca przybrała wyraz męczennika nauki, gotowego z całym poświęceniem przeprowadzić na własnej skórze ryzykowny eksperyment. Alonso wyciągnął korek. Hearlems podstawił kubek pod dość gęstą strugę i przystąpił do degustacji.

- Chyba rum z ginem - powiedział w zamyśleniu i aby ostatecznie rozwiać wątpliwości wychylił kubek do dna. - Rzecz jak najsurowiej zabroniona w więzieniu, panowie.

- Proszę uważać to za lekki porter, Hearlems, i wypić jeszcze jeden łyk. Mister Hearlems powtórzył próbę w podwójnej dozie i otarł usta rękawem.

- Tylko w „Brzuchu Wieloryba” można się napić dobrego rumu - oświadczył z przekonaniem.

- Ten rum jest dobry, to znaczy, że kupiono go u mister Linsa.

Wykazawszy tym sylogizmem zdolność głębokiego, filozoficznego rozumowania, Hearlems zawrócił do drzwi i wyszedł z kazamaty. Jeszcze nie umilkły jego kroki w końcu podziemnego korytarza, gdy don Alonso zabrał się do rozpakowywania paczki. Na pierwszą ucztę więźniowie wybrali płaski chlebek, parę jabłek i resztę trunku. „Latający dywan” zamienił się w „stoliku, nakryj się”. Alonso przełamał chlebek i... wyjął z niego dwie małe piłki, buteleczkę oliwy i złożoną we czworo karteczkę, na której drukowanymi literami było napisane, co następuje:

*„Dziś przed północą przepilujcie kraty. Po północnej zmianie warty uciekajcie z kazamaty. Sprzątniemy straż z muru i rzucimy wam sznurową drabinkę. Konie będą czekały za fosą.*

### **Przyjaciele”**

Karteczka szybko obeszła wszystkich trzech więźniów i została zniszczona. Tylko Brantley nie wiedział nic o odważnym planie tajemniczych przyjaciół. Twarze jeńców z okretu jaśniały radosną nadzieją. George Bingle, przeciwnie, sposepniał i wbił oczy w ziemię. Dał znak bratu i don Alonsowi. A gdy położyli się na sienniku obok niego, naciągnawszy koc na głowę, George podzielił się z nimi swoimi obawami.

Młodzi ludzie dowiedzieli się, że mnich, który im przysłał „duszpasterskie błogosławieństwo”, utrzymuje dość bliskie stosunki z właścicielem majątku Chancefield... Okazało się także, że dziwnym trafem nie kto inny, lecz właśnie dozorca Hearlems przyprowadził ongiś Charles'a Leglois do celi numer czternaście... A chleb, w którym była ukryta karteczka „przyjaciół”, nie został ani nadkrojony, ani przekłuty dla kontroli...

...Była piąta po południu, gdy członkowie londyńskiej komisji, już pod koniec inspekcji, doszli do narożnej kazamaty.

W mrocznym podziemiu zamigotały płomyki świec. Kazamata zapełniła się panami w wytwornych okryciach, perukach, mundurach i szarfach. Za wspaniałą świtą stanął skromnie dozorca Hearlems. Wyciągnął szyję zza pióropuszy i epoletów, by nie uronić ani jednego słowa prokuratora, lecz przy tym starannie zakrywał ręką usta i wstrzymywał oddech tchnący podejrzanym zapachem.

Prokurator w milczeniu rozejrzał się po kazamacie i już zabierając się do wyjścia zadał znudzonym tonem stereotypowe pytanie: - Czy są jakieś zażalenia na administrację więzienną?

- Sir, trzyma się nas tu w okropnych warunkach. Pozwoli pan, że złożę na pańskie ręce pisemne zażalenie.

Prokurator w zdziwieniu uniósł wysoko brwi, po czym zmarszczył je z niezadowoleniem. Majorowi Drawersowi począł drgać policzek. Z rozkoszą udusiłby własnymi rękami więźniów z narożnej kazamaty. Żalić się? No, poczekajcie, już ja wam pokażę!

- Panie de Cresy - kwaśnym tonem wycedził prokurator - proszę przyjąć od więźnia jego zażalenie. My wracamy do kancelarii.

Kawaler de Cresy został w kazamacie. Kazał Hearlemsowi przynieść przybory do pisania. Dwóch żołnierzy stało za drzwiami... Po chwili zasapany Hearlems podał oficerowi papier, pióro i atrament. Dozorca dyszał ciężko i oficer poczuł idący od niego odór wódki.

- Ależ wy jesteście pijani, kochaneczku!

Hearlems tak się zatoczył, że oficer musiał go złapać za kołnierz i mocno nim potrząsnąć. Na domiar złego więźniowie z kazamaty zachowali się beczelnie, wysuwając w swym zażaleniu



bezprawne i wygórowane pretensje.

Po kwadransie w twierdzy rozpetęła się burza. W narożnej kazamacie, jak również w pustym mieszkaniu George'a Bingle'a została przeprowadzona jak najdokładniejsza rewizja. U więźniów znaleziono butelkę ze świeżymi śladami mocnego trunku oraz dwie piłki, co wyraźnie świadczyło o próbie ucieczki. Dozorca Hearlems dostał dwadzieścia dni paki. Sir Hohenstadt nałożył karę na majora Drawersa.

- Pan rozpuścił aresztantów, pan ich oduczyl respektu dla władzy, Drawers! - gniewnie krzyknął milord prokurator. - Oni chcieli uciec, a na wolności mają współników! Rozkazuję panu natychmiast wsadzić tych łotrów do karceru, przykuć do ścian i nie spuszczać z nich oka. Za najmniejsze osłabienie więziennego rygoru zostanie pan osobiście pociągnięty do odpowiedzialności!

W salonie na Saint Jacob's Street czekali już na lorda admirała. Woodrow Crag poprawiał ogień na kominku, Geoffrey MacRail polerował paznokcie irchową poduszeczką, Joseph Lorn spacerował po pokoju. Nakryty stolik przed kominkiem przypominał baterię artyleryjską grubego kalibru. Asortyment odznaczał się prostotą i był obliczony na marynarski gust. Kryterium doboru stanowiła zasadniczo moc trunków.

Hrabia Chancefieldu, earl Bultonu, gwałtownie otworzył drzwi. Nie witając się z nikim skierował kroki w stronę stolika i wściekłym wzrokiem spojrzął po obecnych.

- Ani kropli, dopóki nie usłyszę mądrego słowa! Przyjmijcie do wiadomości, że prokurator kazał aresztować Bingle'a.

- A to ci dopiero! Za co?

- Na razie nie wiadomo. Spróbujemy się dowiedzieć przez Hearlemsa.

Woodrow Crag niespokojnie pokręcił się na krześle.

- Nie, Giacomo, przyczyna aresztowania i bez Hearlemsa jest chyba zrozumiała. Ten prokurator nie w ciemną bity! Nie darmo na widok podobizny tego Mateo Velmonteza od razu coś mnie tknęło... Wiesz, co to za jeden, ten Mateo?

- Nie baw się teraz w zagadki. Więc kto to jest? Anglik? Amerykanin?

- Czcigodny obywatel miasta Bultonu, rodem z poddaszy Charge Street. To mister Thomas Bingle, rodzony brat malarza George'a. Czy pamiętasz opowiadanie o chłopcu z małpką?

- Santa Madonna! Kto go rozpoznał?

- William Lins. Tylko spojrzął na portret, z miejsca poznał chłopczyka z Błękitnej Doliny.

- To znaczy, że i prokurator o tym wie. Sprawa się komplikuje. Komisja musiała niejedno wywąchać... Lorn, rozmawiałeś z nimi?

- Jeszcze nie. Ale radzę ci, Giacomo, przenieś całe złoto na pokład mojego „Admirała” i miej łódź w pogotowiu!

- Nie zwieszajcie nosów, bracia! Za wcześnie na to, by tracić nadzieję. Alonso jeszcze nie rozpoznany?

- Nie. Przypuszczalnie jest naprawdę Hiszpanem.

- Posłuchajcie, czy nie ma w nim jakiegoś podobieństwa do Bernardita? Może to Diego Luiz?

- Nonsens, Giacomo. Nie ma krzty podobieństwa między nim i Bernarditem. Już raczej powiedziałbym, że jest podobny do ciebie.

- Do mnie? Ach, Giuseppe, po śmierci Charliego nie ma na całym świecie nikogo, kto mógłby być podobny do mnie...

Lord admirał podszedł do stolika, zmieszał w szklance kilka trunków i wychylił jednym haustem.

- Dzisiaj czeka nas robota. Posłałem członkom komisji zaproszenie do Chancefieldu. Zatrzymam ich tam do rana, Giuseppe, ty będziesz musiał zorganizować ucieczkę jeńców.

- A wasza lordowska mość będzie w tym czasie raczyć się z gośćmi szampanem i ostrygami?

To przyjemniejsze niż wspinać się po murach twierdzy i rżnąć wartowników...

Hrabia Chancefieldu grzotnął pięścią w stół, aż jedna butelka się wywróciła, a kieliszki zadzwoniły żałośnie.

Lorn wciągnął głowę w ramiona, wolno podszedł do stolika, oparł się o blat obiema rękami i patrząc prosto w złe oczy lorda admirała, zaczął mówić cichym, lecz dobitnym głosem:

- Nie wygłupiaj się! Po twojej przeklętej wysepce niełatwo mnie nastraszyć! Nie masz co zgrywać milorda przed nami. Możesz wymachiwać pięściami przed nosem prokuratorowi Hostenstadtowi! Możesz go chwycić za guzik, a nawet za gardło i wytrząsnąć z niego nędzną prawniczą duszę. Ale starych przyjaciół szanuj, Giacomo! Wysoko zaszedłeś, lecz bez nas zginiesz z kretelem, mój drogi! My dużo nie stracimy, gdy trzeba się będzie przenieść na nową „Czarną Strzałę”, ale ty, Giacomo... Masz znacznie więcej do stracenia...

- Daj już spokój, Giuseppe! Przejdźmy do rzeczy.

Lord admirał zmienił ton, lecz w głębi jego rozszerzonych źrenic tliła się źle ukrywana złość. Woodrow i Geoffrey MacRail przycichli.

Czterech bultońskich dżentelmenów usiadło przy stoliku. Trunków szybko ubywało. Na dziedzińcu zadzwoniły podkowy i do salonu wszedł kamerdyner March, w butach i płaszczu, a za nim William Lins, właściciel tawerny „Brzuch Wieloryba”. Kamerdyner wręczył lordowi admirałowi list od ojca Benedykta. Hrabia przeczytał go i cisnął w ogień na kominku.

- March, widziałeś milorda Hostenstadta? Jaka odpowiedź?

- Kazano mi powtórzyć waszej miłości, że dżentelmeni nie skorzystają z uprzejmego zaproszenia do Chancefieldu. Natomiast milord prokurator prosi waszą miłość, aby dziś osobiście zechciał go odwiedzić w hotelu około dziewiątej wieczorem. A na godzinę wcześniej, na ósmą, milord prokurator prosi do siebie mister Woodrowa Craga.

- Dobrze, możesz odejść, March.

Hrabia Chancefieldu przeczekał, aż drzwi zamkną się za kamerdynerem.

- No, Lins, co nowego?

- Kiepsko stoją sprawy, milordzie. W twierdzy cała awantura. Znaleźli piłki. Hearlems wzięty pod straż. Jeńców przeniesiono do najściślejszego karceru. Jutro powiozą wszystkich do londyńskiego Newgate. Bultoński konwój ma odprowadzić karete do Shrewsbury. Dalej pojedą pod konwojem tamtejszych żołnierzy, Te informacje otrzymałem dopiero co od Drawersa. Londyńscy dżentelmeni wyjeżdżają jutrzejszym dylizanssem... Życzyli sobie widzieć pana i mister Craga.

- Wiem. Dziękuję panu. Może pan wrócić do siebie.

William Lins złożył wojskowy ukłon i wyszedł. Hrabia Chancefieldu odstawił szklanke.

- Tak, plan z ucieczką wziął w łeb! Caramba! Ale jeszcze weźmiemy się za bary! Diabli wiedzą, co ta komisja wywahała, a czego jeszcze nie zdążyła odkryć. A więc, Woodrow, ty pierwszy jedź do nich. A ty, Giuseppe, bądź w pogotowiu! O dziewiątej pojedę ja. Jeśli to jest pułapka, aby mnie capnąć, postawcie na nogi całą załogę „Admirała”. Nie żałujcie chłopakom wódki i szturmem bierzcie więzienie. Kiedy mnie uwolnicie, zabijemy tych czterech - Brantleya, obu Bingle'ów i Alonsa - a potem wszyscy jak najszybciej na okręt! I wtedy biada ci, poczciwy, stary Bultonie, biada wam, kupieckie statki naszego miłościwego króla!

- Jak to się rozwijał, bohater! - mruknął Lorn. - A może nie ma po co jechać do oberży? Wprost na pokład „Admirała” i fiu-u-ut!

- Nie, będziemy się trzymać do ostatka. Już pół do ósmej... Woodrow, czas na ciebie, londyńscy dżentelmeni czekają... Słuchaj, Giuseppe, czy twój okręt w porządku?

- W najlepszym porządku, zapasów też starczy.

- To dobrze! No, trzymajcie się, starzy przyjaciele! Nasza gwiazda jeszcze nie zaszła! Powodzenia, Woodrow!

W dużej sali „Białego Niedźwiedzia” panowało dziś większe ożywienie niż zwykle w przedświąteczne dni. Tego wieczora zjawilo się tu wielu szacownych obywateli Bultonu, aby

zobaczyć królewskich dygnitarzy z londyńskiej komisji. W ciągu dnia komisja zdążyła bardzo wiele zdziałać. Inspekcja więzienia została upamiętniona takimi wydarzeniami, jak na przykład rozkaz zwolnienia wszystkich chłopów-klusowników, dwóch starych babek, bez zezwolenia handlujących pieczonymi ziemniakami, wielu włóczęgów i nieletnich chłopców, skazanych za żebractwo. Tylko wobec hersztów pirackich londyńscy dżentelmeni kazali zastosować szczególnie surowy rygor.

Jednakże, ku rozczarowaniu ciekawskich, nie dane im było zobaczyć na własne oczy londyńskich kapłanów Temidy. W pewnej chwili ujrzeni w westybulu tylko skromną, dobrze wszystkim znaną postać mister Woodrowa Craga, samego właściciela oberży, który ukłoniwszy się gościom pokuśtykał na piętro.

Mister Crag zapukał do drzwi i otrzymawszy pozwolenie wejścia stanął przed królewskim prokuratorem. Milord dał mu napatrzeć się do syta na pukle swojej wspaniałej peruki, albowiem jeszcze przez dobre dziesięć minut pisał coś na papierze, nie zwracając uwagi na mister Craga, który co chwila cichutko odchrząkiwał, skrzypiał kulami i pocierał czoło.

Wreszcie mister Holenstadt podniósł głowę i przeszył mister Craga wzrokiem ostrym jak sztylet. Gdy jednak, wpatrzywszy się lepiej w onieśmiałego właściciela „Białego Niedźwiedzia”, milord poznał go, twarz jego przybrała bardziej uprzejmy wyraz.

- Mister Woodrow Crag, prawda?

- Tak, sir! Wasza lordowska mość raczył mnie wezwać?

- To doprawdy drobiazg, mister Crag, nic ważnego, ale chciałbym wiedzieć... Widzi pan tę oto olejną kopię z jakiejś miniatury... Znalaziono ją podczas rewizji w mieszkaniu Bingle'a. Czy znane jest panu pochodzenie tej kopii lub oryginału?

- Pierwszy raz w życiu widzę ten obrazek, wasza miłość.

- To znaczy, że mister Crampflow, pański wspólnik, zamówił ją u Bingle'a bez pańskiej wiedzy? Bo według twierdzeń Bingle'a wykonał on tę kopię na zamówienie pańskiego biura, mister Crag.

- Nic mi o tym zamówieniu nie wiadomo, milordzie.

- Cóż, z tego wynika, że i pan nie potrafi mi pomóc w ustaleniu tożsamości osoby przedstawionej na tym obrazku... Bardzo żałuję! Nie będę pana dłużej zatrzymywał, Crag! Jest pan wolny.

Woodrow wyszedł z pokoju lekko się zataczając. Z olejnej kopii, mistrzowsko wykonanej przez Bingle'a, dopiero co spoglądała na niego... signora Molla, matka Giacomina Grellego...

...W pół godziny później mister Lorn był już na pokładzie fregaty „Admirał”. Sam właściciel tego okrętu spalił pewne papiery przechowywane na Saint Jacob's Street i przejrzał dokładnie zawartość swego portfela. Dopiero po tych przygotowaniach wsiadł do karety i kazał się zawieźć do „Białego Niedźwiedzia”.

Hrabia Chancefieldu od razu został zaproszony do osobistego apartamentu milorda prokuratora. Obaj londyńscy dżentelmeni - mister Holenstadt i mister Blannard - wyrazili głębokie ubolewanie, iż muszą niepokoić tak znakomitą osobistość i to w okresie świątecznym.

Następnie mister Holenstadt otworzył dużą teczkę, wyjął z niej plik papierów i poprosił sir Fredericka Rilanda, by wyteżył nieco pamięć.

- Bardzo bym prosił - z uprzejmym uśmiechem powiedział prokurator - by zechciał pan sobie przypomnieć, czy nie zdarzyło się panu kiedyś słyszeć takich nazwisk, jak: Leopard Grelli, Giuseppe Lorano, Czarny Woodrow, Mac Lis?

Earl Bultonu nigdy nie słyszał żadnego z tych dziwnych nazwisk.

Dygnitarz z admiralicji też zajrzał do swych papierów i bardzo grzecznym tonem spytał, czy hrabia nie przypomina sobie niejakiego kapitana Burnsa, eks-kapitana Charles'a Leglois i Włocha Giovanniego Caraccioli.

Mister Riland istotnie przypominał sobie skądś te nazwiska, co wyraźnie ukontentowało obu

dżentelmenów. Raz jeszcze wyrazili żal, iż sprawy służbowe nie pozwoliły im na odwiedzenie Chancefieldu, i życzyli jego właścicielowi przyjemnego spędzenia świąt.

Ostatnią osobą, która odwiedziła kancelarię prokuratorską, był redaktor i wydawca opozycyjnego „Bulton Advertiser”, mister Rubby Rosinius. Pismo to z roku na rok zwiększało swój nakład, stając się poważnym organem prasowym.

- Mam do pana bynajmniej nie urzędową prośbę - zwrócił się do redaktora mister Hohenstadt. Srogą twarz prokuratora rozjaśnił miły uśmiech. - Nawet w Londynie znajduję czas, by przeczytać pańskie pismo, i uważam, że wasz niedzielny dodatek dla dzieci jest naprawdę uroczy.

- Ogromnie mi to pochlebia, sir - wybąkał redaktor.

- Widzi pan, ja sam też w wolnych chwilach pisuję bajki dla dzieci i opowiadam je moim własnym malcom. Mister Sheridan, który łączy w sobie rozum polityka z talentem dramaturga, niejednokrotnie radził mi, abym je oddał do druku. Chciałbym je zobaczyć w pańskim niedzielnym dodatku.

- Byłby to dla mnie wielki zaszczyt, milordzie.

- Wobec tego, czy nie zechciałby pan przeczytać tej oto bajeczki? Redaktor przeczytał krótką bajkę, uznał ją za utwór o wysokiej wartości artystycznej, niezwykle ciekawy, wielce pouczający i głęboko umoralniający. Przyrzekł ją wydrukować w świątecznym dodatku dla dzieci i wyszedł, bardzo z siebie dumny i całkowicie uspokojony. Po rozmowie z redaktorem londyński dżentelmen polecił zakończyć przyjmowanie stron.

#### 4

Głęboką nocą z dwudziestego drugiego na dwudziestego trzeciego grudnia drogą wiodącą do Bultonu maszerowało dwóch młodych wieśniaków. Znoszone buty, opróżnione do połowy worki na plecach świadczyły, że wędrują oni z daleka. Ledwo-ledwo zaczynało się rozwidniać, gdy wędrowcy doszli do głuchego boru należącego do majątku Wolveswood. Tu droga zbiegała w dół i ginęła w głębokim parowie. Wstęga królewskiego traktu biegła przez las, obramiona z obu stron jakby zębatego fortecznego murem. Na dnie parowu płynęła płytka rzeczułka, przez którą był przerzucony łukowaty kamienny mostek. Według legendy miało tu miejsce w dawnych czasach zabójstwo przewrotnego biskupa z Coventry. Na tym właśnie moście słynny rozbójnik Dick Terpin urządził zasadzkę na biskupa i od tej pory nie tylko sam most, lecz również cały ten odcinek drogi i przyległe do parowu lasy nosiły nazwę „Terpin-Bridge”.

Przechodząc przez most, na którym z trudem tylko mogły się minąć dwie pocztowe karety, nasi wędrowcy zauważyli człowieka przyczajonego pod mostem. Nie opodal drogi wałały się oskardy i łopaty. W krzakach na dnie parowu, trochę dalej od mostu, stał wóz naładowany niedużymi beczkami.

Podróźni przeszli przez cały parów i zatrzymali się w oberży „Wesoły Buldog”, na małej pocztowej stacyjce przy drodze do Chancefieldu. Zamówili sobie po kuflu piwa i po porcji pieczonej baraniny z cebulą, po śniadaniu zakurzyli fajki i przesiadzieli tak przy stole ponad dwie godziny, póki nie zjawił się trzeci towarzysz, który pozostał widocznie gdzieś w tyle. Był to bardzo ubogo odziany staruszek z siwymi wąsami i zmierzwioną brodą. Podpierał się grubą czarną laską i ciężko dyszał. Popędzany przez niecierpliwych młodych towarzyszy staruszek naprędce coś przekąsił, złożył oberżyście życzenia wesołych świąt i zmęczony poczłapał dalej za swoimi gburowatymi towarzyszami.

Trzej wędrowcy dotarli wkrótce do przybrzeżnych skał otaczających zatokę. Stromą, kretą ścieżką zeszli w dół. Stała tu budka kąpielowa. Pod jej osłoną czekała w pogotowiu łódź, w głębi zaś, pomiędzy dwiema skałami, widniały maszty niedużego okrętu ze spuszczo-

żaglami. Z wąziutkiego komina nad kambuzem unosiła się strużka dymu, kok okrętowy gotował obiad dla załogi.

Jakkolwiek nasi trzej wędrowcy nie mieli w sobie absolutnie nic z rybaków czy marynarzy, bardzo pewnie zbiegli na oblodzone deski przystani, wskoczyli do łodzi i nalegli na wiosła z taką wprawą, jakiej się nie spotyka u angielskich pasterzy czy świniopasów.

Łódź przybiła do małego trapu dziobowego zwisającego na żelaznych łańcuchach. W zachowaniu obu młodych wieśniaków nie było już śladu dawnej gburowatej niecierpliwości wobec starszego towarzysza. Przytrzymali łódź przy trapie, podczas gdy stary wspinał się na pokład. Ogromny Murzyn już spieszył mu naprzeciw; otworzył przed starym drzwi kajuty kapitańskiej i począł zdejmować z przybyłego wierzchnią odzież. W kubryku przebierali się również dwaj młodzi wieśniacy. Zrzucili z siebie czapki, kurtki, buty i od razu odzyskali wygląd wilków morskich.

W pół godziny później łódź znowu popłynęła w stronę budki kąpielowej; tym razem z okrętu udawał się na brzeg młody urzędnik, ubrany dość modnie, z pretensjami do elegancji. Ukrył on wiosła w budce i nieomal biegiem puścił się drogą do Bultonu. Napotkany ekwipaż podwiózł go do rybackiego przedmieścia. Tu urzędnik wziął cab i postukując zmarzniętymi nogami o drewnianą ściankę dorożki, kazał się wieźć do „Białego Niedźwiedzia”. Gdy prokuratorowi zameldowano o przybyciu gościa, kazał natychmiast wprowadzić go do swego pokoju.

Więźniowie narożnej kazamaty spędzili bardzo nieprzyjemną dobę. Bezlitosny prokurator kazał ich trzymać w karczerze, postawić przy nich straż i przykuć łańcuchami do żelaznych kółek w ścianie. Następnego dnia pod wieczór otworzyły się żelazne drzwi i do lochu weszło sześciu żołnierzy, więzienny kowal oraz sam major Drawers. Naczelnik więzienia był w ciepłym podróżnym płaszczu narzuconym na mundur... W końcu przed więźniami stanął kawaler de Cresy i oświadczył surowym, dobitnym tonem:

- Przygotujcie się do drogi, przewiezie się was do innego więzienia. Uprzedzam, że przy najmniejszej próbie ucieczki zostaniecie na miejscu zastrzeleni.

W godzinę później czterech więźniów, z trudem przestawiających skute nogi, wyprowadzono na dziedziniec. Podstawiono im żelazny podnózek i żołnierze po kolei pomogli każdemu z nich wejść do okutej żelazem więziennej karety, zaprzężonej w cztery silne belgijskie konie. Karecie towarzyszyło sześciu konnych konwojentów z garnizonu twierdzy.

Kawaler de Cresy sam sprawdził, czy drzwi karety są dobrze zaryglowane, i dał znak do odjazdu. Otworzyła się brama. Major Drawers jechał na czele, de Cresy w ariergardzie kawalkady.

Na zamiejskim trakcie czekali na nich w dyliżansie wszyscy członkowie królewskiej komisji, powracający do Londynu, jak również bultoński burmistrz Hugh Butler i komendant garnizonu pułkownik Barthold. Milord prokurator, widząc zbliżający się oddział, wychylił głowę z okna karety, aby się osobiście przekonać, czy wszystko jest w porządku, po czym znów opadł na poduszki siedzenia. Dyliżans ruszył. Przy akompaniamencie monotonnego turkotu kół i stuku kopyt wolno przesuwały się za oknami dyliżansu ośnieżone zagrody podmiejskich ferm.

Jako że nie ma na świecie nic nudniejszego nad długą przymusową jazdę zimą, a przy tym w porze nocnej i przed samą Wigilią, głowa mister Hostenstadta poczęła się chylić do przodu. Mister Hugh Butler uznał za wskazane wyrwać czcigodnego kolegę ze stanu drzemki i otworzyć podróżny kuferek. W rękach dżentelmenów pojawiły się kubki z wygrawerowanymi wieżami katedry bultońskiej. Mimo kołysania się karety kubki zostały pomyślnie napełnione. Trunek okazał się grogiem, który nie zdążył jeszcze ostygnąć. Milord Hostenstadt wznosił toast za Bultoński gościnność. Tak więc podróż zapowiadała się wcale przyjemnie.

Po szóstym toaście królewski prokurator opuścił okienko i przywołał kawalera de Cresy.

- Niech pan nie zapomni mi powiedzieć, gdy się zbliżymy do lasu chancefieldzkiego. Moi drodzy - zwrócił się prokurator do sędziwego woźnicy dylżansu - tam na zakręcie szosy, pod lasem, zatrzymajcie się na chwilę.

Księżyc już wzeszedł, gdy z leśnej gęstwiny koło Terpin-Bridge wyszło na szosę czterech mężczyzn. Trzej z nich bez trudu przeskoczyli przydrożny rów, czwarty ugrzązł w śniegu i wygramolił się z rowu ostatni, klnąc i stękając. W rękach wszystkich czterech połyskiwała broń, twarze mieli zamaskowane. Futrzane płaszcze nocnych dżentelmenów, niskie kapelusze i buty z dużymi wyłogami wywierały wcale solidne wrażenie. Cztery wierzchowce pozostały uwiązane w lesie.

Najwyższy z dżentelmenów rozejrzał się dokoła.

- Nie stójcie na drodze, przyjaciele. Czas już zająć stanowiska. Jeśli karetka zatrzymała się pod „Wesołym Buldogiem”, będziemy musieli pomarznąć jeszcze z godzinkę. Ale jeśli jadą bez zatrzymywania się, wkrótce ich tu zobaczymy. Właż za swój krzak, Woodrow. Ostrożnie z drutem do miny, stary czorcie!... Najważniejsze, aby wyleciały w powietrze obie karety jednocześnie... Pół tony najlepszego prochu artyleryjskiego - to powinno dać dobrego prztyczka panom jurystom. Giuseppe, ty zajmij swoje miejsce na szosie za mostem na wypadek, gdyby jedna z karek przejechała przez most. Rzucaj bombę wprost do środka karety lub pod przednie koła. My z Makiem Lisem odetniemy drogę odwrotu, gdyby drugiej karety lub konwoju nie udało się wysadzić razem z mostem. Ty rzucisz wtedy bombę, Mac, a ja wystrzelam ocalałych.

- Istny Guy Fox! - mruknął Joseph Lorn. - Obawiam się, że bultończycy gotowi jeszcze obnosić nasze kukły po mieście... Szkoda, Giacomo, że nie przeprowadziłeś „Admirała” do Zatoki Starego Króla.

- Aby każdy osioł mógł się domyślać, czyja to była robota na Terpin-Bridge? Nie ma co się spieszyć z ucieczką. Okręt stoi w pogotowiu, nigdy nie będzie za późno odbić od brzegu, a dzisiejszym uderzeniem możemy jeszcze dużo uratować. Ja wierzę w moją gwiazdę! O tam, nad lasem, stoi mój Orion... No, minęła północ, zaraz się zacznie zabawa!

- Nie jestem od tego, aby podrzucić trochę w powietrze tych panów razem z ich perukami, ale mnie się zdaje, że tym razem przegraliśmy - rzekł głośno Woodrow, grzebiąc się pod mostem.

- Te szczury sądowe wywąchały wszystko, rozumiecie, wszystko! Podczas wczorajszego przesłuchania dusza mogła człowiekowi uciec w pięty, gdyby nie były drewniane... Chciałbym wiedzieć, skąd się u nich wzięła podobizna signory Franceski!

- Miniaturę, z której zrobiono kopię, pamiętam z dzieciństwa. Ale tej emalii nie było wśród rzeczy mojej matki. Widocznie została skradziona albo też matka zostawiła ją w domu hrabiego Paolo d'Ellano. Jak się okazuje, Alex Crampflow zamówił u Bingle'a kopię z tej emalii. A więc miniatura była u Alexa? A może to zdrajca ten twój Alex Crampflow? Co, Woodrow?

- Co to, to nie! Ręczę za niego głową. Nie może nas zdradzić, jest za bardzo z nami związany. Jeśli miniatura była nawet u niego, po prostu nie wiedział, kogo przedstawia... Tylko to dziwne, że on wyjechał akurat do Włoch.

- Crampflow to głupiec - wtrącił Lorn - ale wobec nas jest uczciwy. Mówił mi, że jedzie do Włoch na poszukiwanie syna jakiejś signory... Czy przypadkiem nie szuka on tam ciebie, Giacomo?... Zresztą, nie ma co się teraz nad tym zastanawiać! Jedno jest pewne - kopia miniatury wpadła już w ręce prokuratora, który prawdopodobnie wie równie dobrze jak my, kogo ona przedstawia. Woodrow ma rację: przegraliśmy. Wczoraj był szach, jutro będzie mat!

- Nie kracz, nie kracz! Jeszcze za wcześnie, by się poddawać - powiedział lord admirał

zgrzytnąwszy zębami. - Wszystko, co prokurator wie, może wiedzieć tylko od jeńców. Jeśli my za jednym zamachem unieszkodlimy i komisję, i więźniów, wszelkie ślady znów zostaną zatarte. Oby tylko ktoś z komisji nie ugrzązał w Bultonie! Wtedy rzeczywiście pozostałby nam tylko... „Admirał”. Za ten zamach posłano by na szubienicę samego księcia Walii.

- Ciszej - syknął Lorn - jadą...

W cichym, lekko mroźnym powietrzu słychać było wyraźnie turkot żelaznych obręczy po kamieniach, chociaż ekwipaże znajdowały się jeszcze w odległości całej mili od Terpin-Bridge... Czterej nocni dżentelmeni znikli, jakby ich zdmuchnął wiatr. Przyczaili się na swoich stanowiskach i leśny zakątek Terpin-Bridge, z łukowatym kamiennym mostem w parowie, znów przyjął wygląd bezludnego pustkowia.

Oto na drodze ukazali się jeźdźcy i karety... Woźnice obu zaprzęgów ściągnęli lejce i karety wolno poczęły zjeżdżać na mostek. Zjazd był łagodny i niespecjalnie śliski.

- Milord Hostenstadt ostrzegał przed tym miejscem - powiedział pierwszy jeździec do swego sąsiada.

Był to głos naczelnika bultońskiego więzienia, majora Drawersa.

Zaturkotały koła na moście. Woźnica cmoknął i potrząsnął lejcami. Z łoskotem końskich kopyt pierwsza kareta przetoczyła się przez łuk mostu. Druga wjeżdżała na most...

Nagle mostek, las, ziemię dokoła, a nawet roziskrzone gwiazdami niebo rozdarło ogłuszające uderzenie piorunu. W promieniu pół mili wokoło zajaśniały wierzchołki drzew z gniazdami kawek i śnieżnym puchem na gałęziach. Z dna parowu wzbijała się ponad drzewa wspaniała ognista róża, jakby wyrzucona przez krater wulkanu. Czarnoszary kłębiący się obłok gryzącego dymu wypełnił cały parów. Kłaczkowate strzępy obłoku przesłoniły blade zimowe niebo, zasnuły drzewa, gwiazdy, drogę...

Gdy światło księżyca i gwiazd przebiło się przez tę dymiącą zasłonę, na drodze pojawiły się trzy skradające się z różnych stron postaci i ostrożnie zbliżyły się do miejsca katastrofy. Tam gdzie pięć minut temu stał most, przez który przejeżdżali jeźdźcy i karety, teraz piętrzyły się kupy kamieni i żwiru. Śnieg dokoła był czarny od sadzy. Na drodze bił kopytami w przedśmiertnych drgawkach ranny koń. W przydrożnym rowie leżał twarzą do ziemi człowiek bez kapelusza. Lord Chancefield - Leopard Grelli - chwycił za włosy i odwrócił głowę zabitego. Poznał majora Drawersa.

- Wszyscy jesteście cali, stare wilki? - Głos Grellego brzmiał ochryple. - Gdzie jest Woodrow? Świetnie wykonał swoją robotę. Hej, Czarny!

Lecz Czarny Woodrow, bosman piracki, nie odezwał się. Drut od miny okazał się za krótki; odłamek głazu zmiażdżył czaszkę właścicielowi „Białego Niedźwiedzia”. Trzej przyjaciele wynieśli jego ciało na drogę. Grelli westchnął:

- Miał stary diabelnego pecha! Skróciło go o głowę!

Po tym krótkim epitafium pozostawiono Woodrowa Craga na śniegu. Trzej bandyci podeszli do rumowiska, oświetlonego odblaskiem niedużego ognia. To paliły się szczątki dyliżansu. Ciała woźnicy i konduktora wały się przed martwymi końmi. Obok leżał do połowy przysypany żwirem dowódca konwoju. Dwa poszarpane ciała były wgniecione między pocięte żelazne ramy nadwozia dyliżansu. Grelli przyjrzał się im i nie bez trudu poznał po mundurze komendanta garnizonu pułkownika Bartholda, a po znajomym futrze - burmistrza miasta. Innych ciał pośród szczątków dyliżansu nie było.

Utykając Grelli zeszedł na samo dno parowu, gdzie leżała przewrócona na bok kareta więzienna. Konie zaprzęgu zostały rozerwane w kawałki, lecz samo pudło karety, okute żelazem, ocalało; leżało na boku, bez resorów i kół. Przygniótlszy dwóch żołnierzy z konwoju. Wyleciały tylko tylne drzwi. W ciasnej przegrodce leżały jedno na drugim ciała dwóch strażników. Geoffrey MacRail łomem otworzył drugie, wewnętrzne drzwi i płonąca głównią oświetlił przegrodę dla więźniów. Była... zupełnie pusta!

- Co u licha? - usłyszał Grelli. - Gdzie są więźniowie?

Joseph Lorn, stojący obok, zerwał z twarzy maskę i zaśmiał się drwiąco.

- No, Leopardzie, zdaje się, że nas porządnie wykołowali na zakończenie! Winszuję waszej lordowskiej mości! Pański Orion diabelnie nam pomaga!

Grelli jeszcze trzymał w rękach nabite pistolety. W przystępie ślepej wściekłości podniósł rękę i nie celując strzelił Lornowi w twarz. Giuseppe Lorano bez jęku runął pod nogi Leoparda Grellego.

Mac Lis rzucił głównię i chwycił za pistolet. Lecz rachunek Grellego był błyskawiczny: skoro już zginęło dwóch współników, nie warto zostawiać trzeciego!... Geoffrey nie zdążył wyrwać broni, Grelli wystrzelił wcześniej...

Wysapawszy się Grelli postać chwilę na drodze. Nasłuchiwał. Wokół panowała cisza, tylko ogień potrzaskiwał na rumowisku. Cały parów był teraz zalany zielonkawym światłem księżyca. Nagle coś czarnego bezszelestnie przemknęło po śniegu... Morderca wzдрыgnął się i zaklął. Przestraszył się... własnego cienia!

- Wilki! - mruzczał, pochylając się nad ciałami Lorna i Maka. - Ech, wilki! Leopardowi za ciasno się zrobiło na jednej ścieżce z wami. Ale wy możecie mi jeszcze i po śmierci oddać przysługę! Niech wasz zgon ostatecznie zagmatwa wszelkie ślady. Jeśli w zamachu zginęli najbliżsi przyjaciele milorda Chancefielda, to znaczy, że on sam jest w tej sprawie niewinny jak baranek! Teraz trzeba raczej poczekać z ucieczką na „Admirale”. Załoga fregaty jest duża i niezbyt pewna. Wątpię, czy uda mi się samemu, bez Giuseppe i Woodrowa, wziąć ją za mordę! W ostateczności pozostają mi... chancefieldzkie podziemia! Dwieście beczek wyborowego prochu... Gdy już przyjdzie na mnie kolej, aby wypaść z gry, odejdę trzasnąwszy głośno drzwiami, caramba!

Rozmawiając tak półgłosem sam z sobą, Leopard Grelli wy dostał się z parowu i odszukał w zaroślach swego wierzchowca. Nabiał na nowo oba pistolety, podciągnął popręgi na koniu, wyprowadził go na trakt i nie obejrzawszy się za siebie galopem pomknął w stronę Chancefieldu. Pędził, jakby goniły go furie, i dopiero gdy znalazł się w granicach własnej posiadłości, przeszedł w kłus.

Minąwszy fermę jednego z dzierżawców Grelli podjechał do bocznej furtki siedziby Mortona. Z największą ostrożnością zaprowadził konia do stajni; cicho otworzył drzwi i umieścił go w pustej przegrodzie. Po chwili pukał już cichutko do okna starego Thomasa Mortona.

Stary wyrżał przez okno i zobaczył w świetle zachodzącego księżyca ciemną postać sir Fredericka w płaszczu i kapeluszu. Mister Morton włożył pantofle i szlafrok i ze świecą w ręce wyszedł na spotkanie gościa. Po schodach tylnego ganku wchodził utykając pan Chancefieldu. Wyglądał tak strasznie, że stary w przerażeniu wypuścił z ręki klamkę i cofnął się gwałtownie.

- Morton - usłyszał ochryply głos - niech mi pan pomoże się rozebrać. I da mi coś domowego do przebrania. Proszę też przygotować wodę, muszę się umyć. Jestem u pana od wczorajszego wieczora, rozumie pan, Morton? Ani pan, ani ja od wieczora nie opuściliśmy pańskiego pokoju. Niech pan znajdzie jakiegoś roztopnego służącego, który przez cały czas widział nas razem tu, w tym właśnie gabinecie!... Niech się pan pośpieszy, trzeba rozniecić ogień na kominku, aby spalić całą moją odzież.

## 5

Północny wiatr wydymał żagle niewielkiego statku. Smuga piany ciągnęła się za rufą od Zatoki Starego Króla. Z tyłu za statkiem piętrzyły się nadbrzeżne skały z plamami śniegu w żlebach, skąpane w zielonkawej poświacie. W oddali, na wyspach Morza Irlandzkiego, mrugały światła morskich latarni. Statek szedł z szybkością osiemnastu węzłów na południe,



w stronę otwartego oceanu. Na mostku obok kapitana, objawszy się, stało trzech młodych ludzi. Przy kole sterowym stał czwarty, przystojny Włoch o czarnych oczach. Wszyscy ci mężczyźni co chwila oglądali się za siebie, na bezludny, skalisty brzeg.

Niedługo po północy niebo nad wybrzeżem przeszła daleka błyskawica. W głębi wzgórz i lasów, ze dwadzieścia mil od okrętu, rozkwitła i natychmiast zgasła ognista róża. Kapitan przeżegnał się, mruknął coś w rodzaju: „Sąd boży!”, i kazał postawić wszystkie pozostałe żagle. Pomyślny wiatr przybierał na sile i statek „Tuluza” osiągnął nad ranem swą najwyższą szybkość - dwadzieścia węzłów. O świcie minął Dublin, a o zmroku opuścił wody Zjednoczonego Królestwa.

Kapitan, który prawie bez zmiany odbył trzy wachty pod rząd, rozejrzał się po horyzoncie, gdzie nie widać już było ani jednej wysepki, ani jednego żagla, i przekazał mostek jednemu z trzech młodych pomocników. Był to śniady, smukły młodzieniec. Wiatr igrał z niesfornym kosmykiem włosów, co wysunął się spod beretu i teraz jak czarna wstążka trzepotał nad skronią. Z twarzy i postawy młody człowiek bardzo był podobny do kapitana. Stary powiedział do niego parę słów po hiszpańsku i zeszedł z mostka.

Gdy kapitan, schylając się w drzwiach, wszedł do ciasnej, nabitej ludźmi kajuty ogólnej, przywitały go entuzjastyczne okrzyki, ogłuszające „hura” i przeraźliwe gwizdy zachwyty.

- No, dosyć, dosyć! - prosił kapitan, lecz minęła dłuższa chwila, nim brać się uspokoiła. - A teraz proszę dżentelmenów z „londyńskiej komisji” i więźniów bultońskich do mojej kajuty. Wszyscy inni, którzy są wolni od wachty, niech idą spać!

W niedużej kapitańskiej kajucie zebrało się tyle gości, że trzeba było siadać nie tylko na stole, ale nawet pod nim. Tam właśnie usadowił się piegowaty „don Mateo Velmontez” - - Thomas Bingle. Kapitan jedną ręką objął uszczęśliwionego Charlesa - „don Alonsa”, a drugą przyciągnął do siebie Antonia Cenni, którego dopiero co zmienił przy sterze Dick Mills. Tylko Diego Luiza nie było w kajucie - jemu został teraz powierzony mostek kapitański „Tuluzy”. W ciągu ostatnich trwożnych tygodni Diego i Antonio spędzili niejedną bezseną noc na tym mostku!

- Kapitanie Brantley - zwrócił się stary marynarz do swego kolegi i rówieśnika - czy poznaje mnie pan? Nie domyślił się pan jeszcze, kto odegrał tę małą komedię z pańskim byłym patronem Giacomo Grellim?

Guy Brantley był wstrząśnięty.

- Sir - odparł - dotąd jeszcze nie mogę się opamiętać. Wszystko wydaje mi się snem. I nie próbuję nawet snuć domysłów, kim pan może być. Zgodzi się pan ze mną, senior, że nieczęsto się zdarza rozmawiać z człowiekiem, którego grób zasypywało się własnymi rękami. A poza tym znakiem szczególnym korsarza Bernardita Luiza był brak jednego oka.

- Proszę wybaczyć, senior Brantley, niezbyt delikatny sposób, jaki obraliśmy dla pańskiego ocalenia. Co się tyczy drugiego oka, to dzieło sztuki murzyńskiej służy mi już trzynaście lat... A więc istotnie widzi pan przed sobą Bernardita Luiza, który nie tylko nie myślał kłaść się do grobu osiemnaście lat temu, ale bardzo by sobie życzył uniknąć tego jeszcze przez następne osiemnaście lat.

Stary kapitan zwrócił się do drugiego ocalonego:

- A pan, mister George Bingle, czy nie gniewa się pan za tę noc w karczerze i podróż w kajdanach?

- Kapitanie, dziwnym zbiegiem okoliczności imię pana było wyryte na sztylcie podarowanym mi przez Leoparda Grellego. Dużo słyszałem o panu od oberżysty Woodrowa Craga i marynarzy z jego tawerny. W więzieniu nieraz wspominałem ten sztylet z pańskim imieniem, chciałbym bowiem posiadać pańską nieugiętą siłę. Tylko... że nasze cele są różne, senior Bernardito.

- Pozwoli pan, że zapytam, mister Bingle, cóż więc jest celem pańskiego życia? Na czym polega różnica, o której pan mówi?

- Senior, całą niepospolitą siłę swego charakteru skupił pan wyłącznie na myśli o odwecie na licznych wrogach... Odplącał pan złem za zło, wyrządzone panu, lecz w ten sposób mnożył pan tylko nieszczęścia w naszym niesprawiedliwie urządzonym świecie.

- A czy pan, mister Bingle, wymyślił jakiś inny sposób na usunięcie niesprawiedliwości? A może pan sądzi, że zło, nasyciwszy się swymi ofiarami, zwinie się w kłębek jak boa dusiciel i usnie? Czyż lew, który zabija leoparda, nie czyni dobrze również dla królików?

- Cóż za różnica dla królików? Pójdą na pożarcie nie leopardowi, lecz lwu.

- W jakież więc sposób chce pan pomóc królikom? Czyżby pan wierzył, że można zmienić krwiożerczą naturę leoparda za pomocą kazań?

- Nie, senior, wiem, że jedyną skuteczną bronią przeciwko leopardowi jest dobra kula. Lecz ludzie powinni być ludźmi, nie leopardami i królikami. W więzieniu latami czytałem dzieła filozofów. Uczą oni ludzi współzycia. Wskazują drogę ku Słońcu cierpiącym i nieszczęśliwym. I tą właśnie drogą ja pragnę kroczyć. O to gotów jestem walczyć z leopardami i dlatego chciałbym posiadać siłę pańskiego charakteru, kapitanie Bernardito.

- Dziękuję, mister Bingle. Widzę po oczach Charlesa, naszego „don Alonsa”, że pańskie idee zdążyły już wywrzeć wpływ i na niego... No, mój chłopcze, drogo mógł kosztować ten wasz samodzielny rejs na „Trzech Hoidalgach”! Grelli złapał was jak piskorze na zwykłą muchę! Myślałem, że po mojej szkole okażecie się bardziej przezorni. Nie domyślić się tak oczywistej pułapki!... A teraz powiedz mi, mój mały Lie, jakie wrażenia wyniosłeś ze starego pocziwego Bultonu?

- Ojczy, najsilniejsze z moich tamtejszych wrażeń - to seniorita Izabela Riland!

Kapitan Bernardito spuścił oczy i zmarszczył brwi. Thomas Bingle - „senior Mateo Velmontez” - odwrócił się zmieszany. Anthony Cenni patrzył na Charlesa z trwogą i współczuciem w oczach... W kajucie zapadła cisza.

- Charles - odezwał się wreszcie Bernardito - przyszedł czas, aby odsłonić przed tobą ważną tajemnicę. Kiedy wyprawiałem was, trzech moich ukochanych synów, Diego, Toma i ciebie, na morze, byście polowali na okręty Giacomo Grellego, zajmujące się handlem niewolnikami, ani ja, ani Anthony, którego posłałem z wami jako bardziej dojrzałego towarzysza, nie mogliśmy przewidzieć, że los zetknie cię twarzą w twarz z samym właścicielem tych okrętów... Powiedz mi, chłopcze, czy widziałeś Giacomo Grellego lub mówiłeś z nim?

- Widziałem go przelotnie przed drzwiami naszej kazamaty. Najpierw ja spojrzałem przez judasza na Grellego, a potem Grelli przez tego samego judasza oglądał nas.

- I obaj, patrząc na siebie, nie wiedzieliście, nie podejrzewaliście nawet, że w waszych żyłach płynie ta sama krew. Twoja matka i ja długo ukrywaliśmy tę prawdę, lecz przyszedł czas, by ci ją powiedzieć, gdyż z każdym dniem zbliża się chwila ostatecznego rozrachunku z Leopardem. Wiedz, że nie jestem twoim ojcem. To Giacomo Grelli, nienasycony krwiopijca i handlarz niewolnikami - jest twoim rodzonym ojcem.

Na bladej twarzy Charlesa odmalowała się taka męka, a głowa jego tak nisko się pochyliła, że stary kapitan z ojcowską miłością przyciągnął go do siebie; gładził jego opuszczone ramiona i długie jedwabne loki, usiłując zajrzeć w oczy swemu wychowankowi.

- Wolałbym umrzeć nie wiedząc nic o tym - z wysiłkiem powiedział młodzieniec. - To gorsze niż być sierotą... Nie chcę nawet w myślach nazywać Leoparda słowem o j c i e c...

Bernardito ucałował go w czoło. Charles przycisnął do serca rękę starego kapitana.

- Przez całe życie nazywałeś mnie synem i istotnie byłeś dla mnie ojcem. Powiedz, czy pozwolisz, abym cię nadal nazywał tym imieniem?

- Chłopcze, oświadczam ci wobec Boga, że nie ma w moim sercu różnicy między tobą i Diego! Twoja matka została moją żoną. Ty jesteś ze mną od trzeciego roku życia, opromieniłeś moją starość i nie rozstawałeś się ze mną na dłużej niż na kilka tygodni. Czyż mogę nie widzieć w tobie własnego syna?

Kapitan puścił Charlesa i wyciągnął rękę do Thomasa Bingle'a.

- Nie chmurz się i ty, mój zazdrosny hidalgo Mateo Velmontez! Chodź, Tommy, niech cię uściskam! Czy mógłbym kiedykolwiek zapomnieć, co zawdzięcza tobie Diego, mój rodzony syn? Gdy był mały, ty uchroniłeś go przed śmiercią z rąk złoczyńców. A teraz przyszła kolej na nas spieszyć z pomocą don Mateo Velmontezowi!... Przyjaciele, los okazał się dla mnie łaskawszy i na stare lata zesłał mi nie jednego, a trzech synów - Diego, Charlesa i Thomasa, moich szlachetnych trzech hidalgów!

- Bracia! - zawołał Tom. - Precz ze smutkiem! Znowu jesteśmy razem, znowu na wolności. Chciałbym zobaczyć teraz minę Leoparda Grellego...

Tom nagle urwał i w zmieszaniu spojrzął na Charlesa Rilanda. Ten pochwycił jego wzrok, wyprostował się i potrząsnąwszy głową powiedział zdecydowanym, twardym głosem:

- Mój ojciec jest tu, ze mną. Leopard, który zhańbił moją matkę, pozostaje dla mnie takim samym zniechęconym wrogiem, jak dla każdego uczciwego człowieka. Nie mam wcale zamiaru składać broni, przyjaciele!

- Dobrze powiedziałeś, synu! Głos honoru powinien być silniejszy od głosu krwi. Ale nie zapomnij o tym drugim głosie w odniesieniu do twojej siostry Izabeli. Tę dumną, piękną senioritę czekają jeszcze ciężkie przeżycia. Lecz tracąc ojca powinna zyskać kochającego, czulego brata. A... czulego rycerza zdaje się już zyskała? Nasz kawaler de Cresy jakoś zbyt często ogląda się na angielski brzeg!

Młody kawaler zmieszał się i zarumienił. Charles objął go serdecznie, a kapitan Brantley patrząc na „wyższego oficera” komisji usiłował sobie uświadomić, kogo mu przypomina ta młoda, ujmująca twarz... Kawaler de Cresy był jakby podobny do... Murraya z wyspy! Tylko że ta twarz jest jeszcze młodzieńczo delikatna, twarz człowieka nie zahartowanego w twardej życiowej walce...

Rozmyślenia Brantleya przerwał Bernardito Luiz:

- A teraz panowie Brantley i George Bingle pozwolą, że ich bliżej zapoznam z dwoma dostojnymi dżentelmenami - milordem królewskim prokuratorem i urzędnikiem kancelarii pierwszego lorda admiralicji... Z tą chwilą obaj „dygnitarze” składają swoje rządowe pełnomocnictwa, lecz nawet sam Giacomo Grelli chyba nie zaprzeczy, że moi uczniowie odegrali swoje role nie gorzej, niżby to uczynili aktorzy teatru Drury-Lane! Czy zechciałby pan, mister Brantley, przyjrzeć się uważniej królewskiemu prokuratorowi, w którym nawet pan nie rozpoznał swego starego znajomego...

W głębi mrocznej kajuty podniósł się z krzesła poważny dżentelmen w imponującej peruce z ogromnymi puklami. Szczeciniaste bokobrody i siwe brwi nadawały surowy wyraz jego twarzy, prawie nieruchomej pod grubą warstwą pudru i różu. Na nosie dżentelmena połyskiwały złote binokle, a na guziku kamizelki wisiało jeszcze oprawne w złoto lorgnon... Brantley dobrze zapamiętał spojrzenie prokuratora w celi śledczej przez to właśnie lorgnon... Lecz w tej chwili dostojny dygnitarz złożył kapitanowi Brantleyowi ceremonialny ukłon i począł ścierać z twarzy puder i róż, których zwykle używali pretensjonalni starsi panowie. Z wolna spod pudru i różu wyłaniała się ogorzała skóra bynajmniej nie starczych policzków. Oto znikły z twarzy binokle, bokobrody, siwe brwi... Błysnął znajomy uśmiech... Poleciała w kął wspaniała peruka...

- Matko Najświętsza, przecież to... mister Edward Went! Eddie, mój zastępca z „Oriona”! Zaczynał u mnie jako miczman... Co za spotkanie!...

Oszołomiony Brantley jeszcze nie zdążył się oswobodzić z przyjacielskiego uścisku swego byłego pomocnika, gdy Bernardito Luiz podprowadził do nich „wyższego urzędnika admiralicji”.

- Oto, kapitanie Brantley, drugi członek naszej „komisji”, którego pan nie zna. To James Collgrave. W tym całym przedsięwzięciu oddał nam nieocenione usługi jako pierwszorzędnny grawer i kaligraf, a następnie wcale nieźle dał sobie radę z rolą mister Blannarda. Szesnaście lat temu Collgrave zamustrował się jako marynarz na kaper „Skrzydlatego”. Przy zdobyciu

przeze mnie tego okrętu, jesienią siedemset siedemdziesiątego dziewiątego roku, biedny chłopak przeżył silny wstrząs i jak pan widzi, całkiem osiwiiał. Jego wygląd zewnętrzny tak bardzo się zmienił, że nawet Woodrow Crag i Joseph Lorn, dobrze znający przedtem Jamesa Collgrave'a z twarzy, nie powzięli najmniejszego podejrzenia.

- Ale niech mi pan powie, senior Bernardito, jakim cudem zdążyliście nam na ratunek?

- Ten cud - to jacht „Tuluza”. Kapitanie Brantley, czy poznał pan nasz okręt?

- Przypomina zatopiony jacht „Elly”, ale jest jakby cięższy i ma bardziej wysoką rufę.

- Bo też to jest jacht „Elly”, podniesiony z podwodnej mielizny i na nowo przebudowany przez marynarzy ze „Skrzydłatego”. Moi chłopcy nadali mu nazwę „Tuluza” - tak się nazywał mój pierwszy mały stateczek. Załoga jachtu składa się z ocalałych marynarzy poprzedniej załogi „Skrzydłatego”, wziętych przez nas do niewoli w siedemdziesiątym dziewiątym roku. Sami wyrazili chęć pozostania na wyspie w naszej malutkiej wolnej kolonii Bueno-Rio. Jak panu wiadomo, kapitanie Brantley, w ciągu ostatnich lat nasz krążownik, przerobiony ze „Skrzydłatego”, od czasu do czasu zakłócał spokojny sen milorda admirała, przy czym ja sam dowodziłem bitwami, zawsze pozostając w cieniu.

Gdy moi chłopcy obrośli w pióra i zżyli się z morzem, puściłem ich w samodzielny rejs. Ze wszystkich okrętów Grellego mieli oszczędzać, jak zawsze, jedynie pański bryg „Orion”. Anthony Cenni popłynął w ten rejs jako dowódca artylerii. Dick Mills zaś jako szturman. Czym się ta wyprawa skończyła, sam pan najlepiej wie.

Tymczasem ja również wyruszyłem w drogę. Z ładunkiem złota, wydobytego na wyspie, popłynąłem na jachcie „Tuluza” do Ameryki z zamiarem odwiedzenia w Filadelfii mego starego przyjaciela Alfreda Murraya. Murray opuścił Błękitną Dolinę, gorzko rozczarowany do rzekomo pokojowego nastawienia i humanizmu amerykańskich kolonistów.

W tymże samym siedemdziesiątym dziewiątym roku, kiedy to oszukani Indianie napadli na osadę w Błękitnej Dolinie, a następnie opuścili wolno swych jeńców, przekonawszy się z moją pomocą o ich niewinności, na ziemi indiańskiej został wysłany z Pensylwanii korpus ekspedycji karnej generała Sullivana. Na ogromnej przestrzeni puszczone z dymem wszystkie wsie indiańskie. Zasiwy kukurydzy zostały stratowane, jabłonie wycięte, bydło wybite... Zginęły wtedy tysiące Indian. Można powiedzieć, że uległ zagładzie cały naród Irokezów. To wszystko było tak nieludzkie, że wstrząśnięty do głębi Murray nie chciał dłużej pozostać w założonej ongiś przez siebie osadzie i przeniósł się z rodziną do Filadelfii. Tu pozyskał nowych przyjaciół - mister Jeffersona i mister Franklina, znakomitego uczonego. Razem z nimi wznowił pewne badania naukowe, które zaczął jeszcze w młodości, gdy mieszkał w Indiach. Mister Murray został członkiem Kongresu, gorącym abolicjonistą. Mógłby jeszcze wiele zdziałać, lecz nie starczyło mu sił - zmarł na miesiąc przed moim przyjazdem. Ogromne tłumy ludzi idące za jego trumną były naocznym dowodem, jak wielką miłością cieszył się u prostych ludzi. Sam prezydent Stanów Zjednoczonych, George Washington, wyraził żal z powodu śmierci tak wybitnego działacza społecznego.

Tak się więc złożyło, że w Filadelfii zastałem tylko mistress Emily i jej dzieci, a także rodzinę Wentów, która też opuściła Błękitną Dolinę. Po śmierci Murraya mister Went zateśknił za morzem i mistress Mary Went czeka teraz na jego powrót z żeglugi. Poza tym mister Went miał zamiar spróbować szczęścia jako poszukiwacz złota na naszej wyspie.

Wyjechałem z Filadelfii w towarzystwie nie tylko mister Wenta. Wdowa po Alfredzie Murrayu, lady Emily, puściła ze mną swego syna Reginalda. Pozwoli pan, że mu przedstawię mego adiutanta, „kawalera de Cresy”, pod jego prawdziwym nazwiskiem. Mister Brantley, stoi przed panem Reginald Murray, syn Alfreda Murraya. Niech pan spojrzy na tego kawalera, kapitanie, a uwierzy mi pan, że biedna mistress Emily niezbyt chętnie rozstawiała się z Reggie, oddając go pod opiekę starego włóczęgi Bernardita. Ale Reginald sam nalegał o to. Zna on historię swego ojca i pali się do walki z Leopardem, pragnąc zmyć hańbę z poprzedniego ojcowskiego nazwiska, splamionego przez bezczelnego samozwańca.

Gdy razem z Wentem i Reginaldem przybyliśmy na wyspę, okazało się, że moi trzej hidalgowie nie wrócili ze swej wyprawy, i to mnie zaniepokoiło. Spodziewałem się powrotu kapera z początkiem października. Przeczekawszy jeszcze tydzień, już bardzo niespokojny, wraz z Wentem i Reginaldem wyruszyłem na morze na poszukiwania. Jakież trzysta mil od wyspy spotkaliśmy uszkodzony kaper i dowiedzieliśmy się od Diego i Anthony'ego o losie łatwowiernych parlamentariuszy.

Wtedy to poleciłem Johnowi Bootby, byłemu bosmanowi ze „Skrzydłatego”, doprowadzić „Trzech Hidalgów” do zatoki na naszej wyspie i przygotować osadę do obrony na wypadek przybycia wrogów. Diega, Anthony'ego, Dicka Millsa, Wenta i Collgrave'a zabrałem na pokład „Tuluzy” i puściłem się w pogoń za eskadrą Grellego. W Kapsztadzie zastaliśmy dwa uszkodzone okręty tej eskadry - bryg „Orion” i fregatę „Król Jerzy Trzeci”. Dowiedzieliśmy się, że nasi łatwowierni parlamentariusze zostali wysłani do Anglii na fregacie „Admirał Chancefield”. W Plymouth, dokąd przybyliśmy za fregatą, udało nam się ustalić, że „Admirał” odpłynął do Bultonu. Gazety opisywały szczegółowo bitwę eskadry z „pirackim krążownikiem” i donosiły, że król kazał utworzyć do pomocy lordowi Chancefieldowi - specjalną komisję, celem przyspieszenia śledztwa w sprawie zdrajcy Brantleya i zbrodniczych piratów. Według doniesień prasy na czele komisji stanął nowy prokurator sądu kanclerskiego sir Holenstadt, dopiero niedawno przybyły do Londynu po dwudziestoletniej służbie w Indiach. Znaczyło to, że nikt w Bultonie, a więc i pseudohrabia Chancefieldu, nie znał tego dżentelmena z twarzy...

Sądzę, że reszty już pan sam się domyślił. Krótko mówiąc, postanowiłem, że moja „komisja” przybędzie do Bultonu przed królewską. Poszliśmy na ogromne ryzyko, tym bardziej że sami też nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, jak wygląda prokurator Holenstadt.

Wprowadziłem swoją „Tuluzę” do ustronnej Zatoki Starego Króla w pobliżu Chancefieldu. A moja „komisja” wysłała „z Londynu” pisma do naczelnika bultońskiego więzienia i komendanta garnizonu i nazajutrz przybyła do Bultonu. Collgrave sporządził takie dokumenty, że sam patrząc na nie nabierał, respektu. Jeśli zaś idzie o bultończyków, z przyjazdem „komisji” na wszystkich padł błąd strach, albowiem mało kto w mieście miał czyste sumienie.

Brantley nie ukrywał zdumienia.

- Przepraszam, ale niech mi pan powie, w jaki sposób udało się wam przetransportować nas na „Tuluzę” nie wzbudzając podejrzeń więziennego konwoju?

- O, to już była prosta sprawa, gdy cały Bulton drżał przez „kapłanami Temidy”. Nikomu nie przyszło do głowy nawet najmniejsze podejrzenie... Major Drawers i „sir Holenstadt” otrzymali „z Londynu” dodatkowe tajne pismo, w którym zawiadamiano komisję, że współnicy piratów mają zamiar napaść po drodze na konwój i odbić więźniów. Toteż ze względów konspiracyjnych „zalecało się” wysłać do Shrewsbury pustą więzienną karetkę pod silnym konwojem, a więźniów przewieźć w tajemnicy na pokład specjalnego „statku policyjnego”. Dzięki George'owi Bingle'owi dowiedzieliśmy się w porę o usiłowaniach Grellego, aby skłonić jeńców do ucieczki. Było dla nas rzeczą jasną, że Grelle pod tym pretekstem knuje zabójstwo więźniów. Dlatego wzięliśmy pod obserwację drogę, a w twierdzy zabezpieczyliśmy więźniów wtrącając ich do karceru.

W drodze do Shrewsbury „komisja” skrupulatnie wypełniła „tajne” polecenia. Karety zatrzymały się pod chancefieldzkim lasem, zawróciły ku zatoce i odstawiły jeńców oraz „dygnitarzy” na sam pokład „statku policyjnego”. Gdyby konwój zdradził się z najmniejszym podejrzeniem, zostałyby w oka mgnieniu zlikwidowane na pustynnym brzegu. Ale wszystko poszło jak po maśle. Gdy więźniowie byli już na pokładzie, „sir Holenstadt” uprzedził Drawersa, Bartholda i burmistrza, aby zachowali ostrożność przy podjeździe do Terpin-Bridge, jako że obserwując trakt bultoński w przebraniu wieśniaków odkryliśmy przygotowania do zamachu. Czy usłuchano naszej rady, nie wiemy. Po błysku nad lasem

można sądzić, że wybuch nastąpił, ale kto padł ofiarą Grellego, o tym dowiemy się później...

- A dokąd teraz płyniemy, senior Bernardito?

- Gdy już będziemy na hiszpańskich wodach, jacht zawinie do Kadyksu i wysadzi tam mały desant. Dick Mills, bracia Bingle i Anthony Cenni udadzą się w podróż do Włoch. Dowiedzieliśmy się od George'a zdumiewających rzeczy na temat poczynañ niejakiego Crampflowa.

- Alex Crampflow? Współwłaściciel „Białego Niedźwiedzia”? Zausznik pseudomilorda?

- Być może, senior Brantley, że to sługa dwóch panów, jak się mówi w pewnej dobrej starej komedii... We Włoszech moi chłopcy nie spuszcza z niego oka... A „Tuluza” weźmie kurs na wiadomą panu wyspę. Tam, w moim domu, seniora Dorotea z radością okaże panu gościnność, kapitanie! Mnie, Charlesa i Reginalda czeka potem daleka droga. Mister Went, który machnął ręką na poszukiwanie złota, zamierza ją odbyć razem z nami. Wyciśniemy z „Tuluzy” jej wszystkie dwadzieścia węzłów, aby być w Kalkucie i latem wrócić do Bultonu.

- A... pański syn, don Diego?...

- Diego wróci na mostek kapitański „Trzech Hidalgów”. Okręt ten znajdzie najlepsze zastosowanie we Francji, gdzie naród powstał przeciwko tyranii. Na banderze swego okrętu chłopiec wypisze dewizę powstałego ludu: „Wolność! Równość! Braterstwo!”

## 6

Nocna katastrofa na Terpin-Bridge wywołała panikę w Bultonie. W mieście mówiono o pojawieniu się nowego Guya Foxa. Niektórzy kaznodzieje upatrywali w tym wydarzeniu nowy podstęp Belzebuba, pod którego czarnym znakiem upływał schyłek tego buntowniczego, Bogu niemiłego stulecia. Byli jednak i tacy, którzy miast oskarżać szatana z jego przestarzałym arsenałem intryg, całkiem inaczej tłumaczyli sobie te wszystkie wydarzenia. Odzywały się głosy, że ktoś musiał potrząsnąć dobrze wyładowaną kiesą, aby wysłać do nieba londyńskich inspektorów...

W ciągu dwóch tygodni, jakie minęły od dnia katastrofy, hrabia Chancefieldu jeden jedyny raz opuścił swoją posiadłość, aby osobiście wziąć udział w pogrzebie ofiar. Bultończyków uderzyła straszna zmiana w jego wyglądzie. Utykając szedł pieszo za trumnami od katedry do cmentarza. Załoga „Admirała” pożegnała swego kapitana salwą armatnią. Salwa huknęła z fregaty w tej bolesnej chwili, gdy hrabia Chancefieldu rzucił pierwszą garść piasku w otwarty grób Josepha Lorna. Przy jej odgłosie lord admirał wzdygnął się...

Po powrocie z pogrzebu popłynęły dni pustelniczej samotności. Niekiedy milord wychodził do parku. Nikt wtedy nie śmiał się do niego zbliżyć. Twarz hrabiego była bladożółta, spojrzenie gorejące i złe. Począł też mocno się garbić, a idąc patrzył nie przed siebie, lecz w ziemię...

Pod koniec drugiego tygodnia po świętach, tuż przed Trzema Królami, po mieście rozeszły się słuchy o przybyciu z Londynu pułkownika Hawerstone'a, szefa tajnej kancelarii przy ministrze wojny.

...Hrabia Chancefieldu siedział zgarbiony przy kominku, wsłuchany w wycie wiatru. Stos nie czytanych gazet piętrzył się na biurku, pokrytym kurzem i popiołem z fajki. Milord pędził z gabinetu służbę, unikał rozmów z córką. Kamerdyner przynosił mu tu posiłki i zabierał je z powrotem prawie nie tknięte.

Na stoliku koło kominka leżała długa gliniana fajka. Hrabia wyciągnął po nią rękę i przy tym niechcący potrącił srebrny puchar z winem. Czerwony odbłask ognia padł na rozlany płyn... Źrenice lorda Chancefielda rozszerzyły się. Dobrą chwilę patrzył tępym wzrokiem na płame; rosła mu w oczach, a jej tłem był już nie biały obrus, lecz szerniały od sadzy śnieg...

- Pułkownik Emery Hawerstone, sir - wyrwał go z odrętwienia głos kamerdynera.

- Co takiego?

- Czy wasza miłość zechce przyjąć pułkownika Hawerstone'a?

- Dobrze, prosz. Poczekaj! Zabierz ten przeklęty obrus...

Lord admirał podszedł do biurka i otworzył szufladę; leżący tam maleńki pistolet błyskawicznie znalazł się w kieszeni jego surduta...

Wchodzący pułkownik zasalutował po wojskowemu, po czym serdecznym, przyjacielskim gestem wyciągnął obie ręce do gospodarza.

- Hrabio, pozwoli pan, że mu wyrażę moje najgłębsze współczucie. Ileż bolesnych strat! Jego królewska mość boleje wraz z panem, milordzie. I wreszcie ta niesłychana w swym zuchwalstwie historia z londyńską komisją...

- Poskarżę się królowi na działalność tej komisji i poproszę o wzięcie mnie w obronę przed podłymi i oburzającymi oszczerstwami, których zbieraniem zajmowała się ta wasza komisja w Bultonie!

- Ależ, na miłość boską, milordzie, ani jeden członek naszej komisji nie opuszczał Londynu! Cała historia z komisją - to najczystsza mistyfikacja! Tajemniczy zbrodniarze, oczywiście współnicy aresztowanych piratów, oszukali całe miasto i uwolnili jeńców.

Hrabia Chancefieldu słuchał w oszołomieniu. Nogi ugięły się pod nim i prawie upadł na fotel. Nie mógł jeszcze myślą ogarnąć wszystkiego. On, lord admirał Chancefieldu, wystrychnięty na dudka!... Na próżno zginęli najbliżsi przyjaciele. Ktoś sobie z niego zakpił. Ale kto, kto?!... Twarz pułkownika rozplywała się przed oczami Grellego, który panował nad sobą dosłownie ostatkiem sił. Pułkownik wzruszył ramionami:

- Ani jeden okręt tego wieczora nie opuszczał bultońskiego portu. Konwój wyjechał z miasta i został wysadzony w powietrze na Terpin-Bridge. Ale gdzie są więźniowie i ich współnicy z rzekomej komisji lub przynajmniej ich trupy? Do nieba się wzniesli czy jak?

Pan Chancefieldu nic więcej nie słyszał. Brakło mu tchu. Gotów był rwać na sobie odzież. Fajka, potrącona łokciem, spadła i rozbiła się.

- Proszę mi wierzyć, milordzie, że wielkie jest ogólne współczucie dla pana... - ciągnął dalej pułkownik. - W obliczu rewolucyjnych wstrząsów we Francji... Miłościwa przychylność dla pana jego królewskiej mości i sir Pitta... Boże mój, sir, co się z panem dzieje? Hej, jest tam kto? Służba! Szybko tu!

Do gabinetu wpadł kamerdyner.

- Po doktora, prędzej! Zdaje się, że to atak apopleksji!

Izabela siedziała przy łożu chorego. Jej ojciec powracał do zdrowia, jednakże lewa strona twarzy i lewa ręka pozostały sparaliżowane. Konsylium lekarzy z Holandii i Anglii zaleciło choremu absolutny spokój, uspokajające czytanie na głos, a potem dłuższą kurację u wód. Izabela wzięła na siebie rolę lektorki i wszystkie wieczory poświęcała choremu.

- Papo, chcesz, to ci przeczytam bardzo ładną bajeczkę o zwierzętach? Wydrukował ją „Bulton Advertiser” w swym świątecznym dodatku. To bardzo śmieszna, trochę straszna i wcale niedługa bajka.

- Czytaj, córeczko - pokornie zgodził się chory.

Izabela otworzyła kolorowy dodatek świąteczny i przeczytała tytuł: „Bajka o wielorybie, który niegdyś był leopardem, a potem stał się hieną”... Papo, co ci jest?

Izabela upuściła gazetę i co tchu pobiegła po lady Riland.

- Znów mu jest gorzej! - krzyknęła przestraszona. - Znowu wykrzywiła mu się twarz!...

## **Pasterz i owieczka**

### **1**

Na ławce pod pomnikiem księcia Fernando Medici w Livorno, niedaleko portu, rozsiadł się w niedbałej pozie niemłody już cudzoziemiec w brązowym płaszczu. Na jego lekko obrzękłej twarzy malowała się nuda i niezadowolenie. Rudy kapelusz z szerokim rondem i piórem wsadził na własne kolano i wystawił łysiejące czoło na lutowe słońce. Obok stała oparta o ławkę dość masywna laska z rączką w kształcie psiej głowy.

Za każdym razem, gdy do ławki zbliżał się sprzedawca owoców czy po prostu któryś z ulicznych obiboków, cudzoziemiec z tak gniewną miną chwycił za laskę, że tamten czym prędzej przyspieszał kroku i dopiero z daleka oglądał się lękliwie na groźnego jegomościa. Natomiast na widok każdej damy, przechodzącej choćby w najdalszej odległości, cudzoziemiec na ławce przybierał pełną godności pozę i z triumfującą miną podkreślał wąsy, już i bez tego przypominające kształtem wenecką gondolę z wysoko zadartym dziobem i rufą. Nienaturalnej czerni tych wąsów mógł mu pozazdrościć każdy z czterech brązowych Maurów zdobiących pomnik.

Zegar na wieży wybił drugą, kładąc kres długotrwałemu odpoczynkowi wąsatego cudzoziemca. Jegomość włożył kapelusz, wziął laskę pod pachę i skierował się do hotelu „Livorno”.

Zza pomnika wyjrzał stary żebrak w obszernym płaszczu, proszący o jałmużnę jedynie milczącymi pokłonami. Patrzył za oddalającym się, a gdy ten przeciął placyk, stary zarzucił na ramię sakwę żebracza i opuścił swoje miejsce za pomnikiem z czterema Maurami.

Z tyłu za wąsatym jegomościem podążała w tym samym kierunku gromadka francuskich marynarzy. Szli niespiesznym krokiem od strony nabrzeża, rozglądając się, gdzie by mogli spędzić czas do wieczora. Stary żebrak dogonił marynarzy i poczłapał za nimi, spoglądając spoza ich ramion na rudy kapelusz cudzoziemca.

Po chwili kapelusz znikł w sieni hotelu. Marynarze poszli dalej, żebrak zaś wszedł na podwórze jakiegoś domu handlowego. Znalazłszy tu ustronny kącik między skrzyniami i jukami, zdjął z ramion sakwę, wyjął z niej rzeczy i odwrócił ją na lewą stronę. Żebracza sakwa od razu zamieniła się w nader przyzwoity sakwojaż, do którego stary schował swoje łachmany i nędzny kapelusz. Wśród wyjętych rzeczy znajdował się lekki granatowy płaszcz, beret, koronkowy żabot i lusterko. W ciągu paru minut żebrak przeobraził się w typowego starego artystę malarza. Uczesał się, zdjął brodę i dokładnie obejrzał przed lustrem swoje baczki, czy są dobrze przyklejone. W końcu ujął skórzaną rączkę sakwojażu i żwawym krokiem ruszył w stronę hotelu „Livorno”.

Podszedłszy do właściciela siedzącego za kontuarkiem człowiek ów zamówił sobie pokój na dobę i wpisał do księgi przyjezdnych swe nazwisko: „Carlo Morelli, artysta malarz, Werona”. Pisząc to przebiegł oczami całą stronicę z nazwiskami gości przybyłych w ostatnich dniach. U samej góry znalazł zapis: „Tommaso Buotti, doktor teologii, Wenecja”. Przy tym nazwisku stała cyfra „12”.

Werończyk z ujmującą grzecnością zwrócił się do hotelarza:

- W zeszłym roku mieszkalem tu w pokoju numer dwanaście. Byłem zachwycony widokiem z okna i pragnąlbym zająć znów ten pokój.

- Ogromnie mi przykro, signore, lecz ten numer zwalnia się dopiero jutro. Ale dokładnie taki sam widok może pan mieć z sąsiedniego, dziesiątego numeru.



- Czy będę tam miał spokój? Bardzo nie chciałbym się dostać w sąsiedztwo dam z dziećmi.  
- W takim razie, signore, tym bardziej go polecam! Numer dwunasty, przylegający do dziesiątego, zajmuje poważny, samotny uczoney. W tej chwili znajduje się u niego pierwszy gość od paru dni. Lepszego sąsiada nie można sobie życzyć. Zwykle wynajmujemy te dwa numery razem. Łączą się one ze sobą drzwiami, ale ręczę panu, że to w niczym nie naruszy pańskiego spokoju, signore.

- Świetnie! Czy mogę już zająć ten pokój?

- Oczywiście!

Pozostawiwszy w dłoni hotelarza srebrnego skuda i pozyskawszy sobie tym tytuł „ekscelencji”, artysta z Werony wszedł na piętro. W półmroku korytarza z największą ostrożnością wsunął klucz w otwór zamka swego pokoju, starając się nie spowodować najmniejszego hałasu. Otworzył drzwi, z taką samą ostrożnością zamknął je od środka i rozejrzał się po pokoju. Po lewej stronie widać było drzwi, na wpół zasłonięte portierą. Malarz na palcach przeszedł przez pokój, odchylił portierę i przyłożył ucho do dziurki od klucza.

W numerze sąsiada-uczonego toczyła się niegłośna rozmowa. Przyczajony za portierą werończyk słyszał wyraźnie każde słowo.

- Mister Crampflow - mówił ktoś po francusku bardzo miłym głosem - część zadania niewątpliwie pan wykonał. Gotów jestem prosić mojego mocodawcę o wypłacenie panu jednej czwartej wyznaczonej nagrody. Jednakże najważniejsze jest jeszcze przed nami. Po pierwsze, musimy mieć niezbite dowody śmierci Giacoma Molli, czy jak go pan nazywa - Giacoma Grellego. Po wtóre, nie mamy jeszcze żadnych pewnych wiadomości co do potomków tej osoby.

- Wszystko wskazuje na to, że Grelle nie miał dzieci i że on sam zginął - odparł ochryply głos z wyraźnym angielskim akcentem. - Straciłem pół roku na podróże w pańskiej sprawie i porządnie się wykosztowałem, doktorze!

- Signore Crampflow, powtarzam, że po złożeniu sprawozdania memu mocodawcy prawdopodobnie będę mógł wręczyć panu czek na dwa i pół tysiąca.

- Niech pan posłucha, doktorze, zostawmy te niedomówienia! „Mój mocodawca”... Przecież od dawna już wiem, kto to jest. To sam hrabia d'Ellano! A Giacomo - to jego nieślubny syn. No, co pan na to? Można wodzić za nos Alexa Crampflowa, co? Powiem panu, doktorze, że dosyć trudno wywieść mnie w pole.

- Bardzo pana proszę, aby nadal zachował pan w tajemnicy cel poszukiwań... A najważniejsze - aby znalazł pan potomków Grellego lub też bezsporne dowody jego bezdzietności. Czego się pan dowiedział w tym zakresie, signor Crampflow?

- Pirat mógł mieć miłosne przygody we wszystkich stronach świata, ale za jego narzeczoną uchodziła Dorotea Cenni, ta piękna rybaczką, którą pan znał jako dziewczynkę, doktorze. Pod Sorrento, w wiosce, gdzie umarła jej matka, Angelica, słyszałem, jakoby Dorotea za granicą powiła syna i jakoby to dziecko zginęło. Ale diabli ją wiedzą, czyj to był bachor...

- Mister Crampflow, prosiłbym, aby... nie nadużywał pan tego rodzaju... wyrażen w odniesieniu do osób bliskich signorowi Giacomo... Owszem, jest rzeczą bardzo ważną ustalenie miejsca pobytu Dorotei Cenni w latach siedemset sześćdziesiąt dziewięć - siedemdziesiąt trzy. Może ojcem jej dziecka rzeczywiście był signor Molla.

Głosy za ścianą umilkły. Potem znów odezwał się pierwszy z nich.

- Czy wiadome są jakieś bliższe szczegóły zatonięcia szkunera „Czarna Strzała”? Czy można uważać za rzecz pewną, że Giacomo Grelle zginął?

- Hm!... Wiadomo, że francuska korweta zatopiła szkuner z tą całą bandą na Oceanie Indyjskim. Stało się to w kwietniu siedemset sześćdziesiątego ósmego roku... Mój współnik, mister Crag, to wielki znawca morza. Pływał kiedyś jako bosman i może widział „Czarną Strzałę”, a nawet zna szczegóły zatonięcia tego pirackiego szkunera... Będę musiał pojechać

do Anglii, aby wyjaśnić to i owo, a potem wezmę się do poszukiwań spadkobierców hrabiego Paolo... Obiecane przez pana honorarium chciałbym zabrać ze sobą.

- Dobrze, ale musi pan poczekać, aż wrócę z czekiem z Wenecji. Albo prześlę pieniądze wprost do Bultonu?

- Pokorne dzięki! Żeby każde dziecko w Bultonie wiedziało, skąd i jakie sumy otrzymuję. Ile czasu zajmie panu podróż do Wenecji?

- Obawiam się, że co najmniej miesiąc... Mam wiele innych, bardzo pilnych spraw do załatwienia.

- Miesiąc? - zamyślił się mister Crampflow. - No, na miesiąc odpoczynku mogę sobie jeszcze pozwolić. Pojadę jeszcze raz do Sorrento i na Capri. Tu w Livorno trzeba się będzie pogrzebać w policyjnych aktach pana Moletti. Tylko... czy hrabia d'Ellano zgodzi się zapłacić za wiadomość, że jego synek stał się piratem?

- Pan znów się zapomina, signore! Niech mi pan lepiej powie, w jaki sposób udało się panu wpaść na ślad Giacoma Molli?

- E, doktorze, chciałby pan wyciągnąć ode mnie tajemnicę zawodową! Ale niech tam, powiem panu. Nazwisko Bartholomea Grelleya czy Grellego, który został ojczymem Giacoma Molli, przypomniało mi, że we Włoszech był pirat o takim samym nazwisku. Okazało się, że ten rozbójnik miał na imię Giacomo... Uchwyciłem się tej nici i w starych aktach policyjnych znalazłem rysopis pirata Grellego. Pokrywał się on z tym, czego się dowiedziałem o powierzchowności Giacoma Molli, wychowanka rybaka Rodolfa Cenniego...

- Proszę dołożyć wszelkich starań, aby wykryć i inne powiązania Giacoma Grellego. Może oprócz rodziny Cennich, to jest Angeliki, Dorotei i Antonia...

Doktor Tommaso Buotti nie dokończył zdania. Werończyk usłyszał za portierą hałas odsuwanego krzesła i kroki w pokoju. Mężczyzna w ciężkich butach podszedł do samych drzwi i werończyk zdążył pochwycić parę słów wypowiedzianych przez Anglika do siebie, jakby w głębokim zamyśleniu:

- Angelica! Dorotea, Antonio... Co za zdumiewająca zbieżność imion, do licha! Przecież w Chancefieldzie też była jakaś Dorotea i Anthony... Opuścili Chancefield w siedemdziesiątym trzecim, po drugim ożenku wicehrabiego! Mówiono, że pojechali do Włoch... do Angeliki Cenni... Hm! Rysopis Giacoma Grellego... wysoki... z orlim nosem... Chłopczyk z medalionu... O, do diabła!

Anglik za drzwiami raptownie się odwrócił. W jego wulgarnym głosie brzmiał triumf:

- Niech pan posłucha, doktorze! Przywiezie mi pan czek na czwartą część honorarium i ja natychmiast odpływam. Po drodze wstąpię do Marsylii, aby jeszcze sprawdzić to i owo. A za pół roku niech pan przygotuje całą resztę w czystym złocie... Wrócę z takimi wiadomościami, że pan zdębieje!

...Malarz z Werony, który słyszał całą tę rozmowę, stał za portierą, dopóki mister Crampflow nie wyszedł z pokoju doktora. Dopiero gdy jego kroki umilkły na schodach, artysta podszedł do stołu, wyjął przybory do pisania i napisał list. Następnie zalakował kopertę i bardzo starannie zapieczętował swym pierścieniem. Na laku pozostało malutkie odbicie wizerunku salamandry.

Schowawszy list werończyk włożył swój granatowy płaszcz, zarzucił jedną połę na ramię i wyszedł z hotelu. Długo szedł ulicami, aż znalazł się na skraju miasta. Słońce już zachodziło i niebo gorzało czerwienią. Kręte uliczki pięły się tu po zboczu wzgórza i schodziły się na małym placu z kamienną studnią. Gałęzie drzew w ogródkach przed domami zwisały nisko nad szczerbatymi płytami chodnika dla pieszych. W jednym rogu placu stał ubogi kościółek z szarozielonego kamienia. Malarz wszedł do ciemnego wnętrza kościółka. Panował tu półmrok, kolorowy od blasku zachodzącego słońca, przesączonego przez czerwone i niebieskie szkła witraży.

W kościółku było pusto. Tylko z zakrystii dochodziły przyciszone głosy. Wyjrzał stamtąd

gruby, niemłody ksiądz i na widok przybysza powiedział z niezadowoleniem:

- Za wcześnie pan przyszedł. Msza zacznie się dopiero za godzinę.

Przybyły niecierpliwie podniósł rękę. Ksiądz zmienił się na twarzy; ucałował wyciągniętą rękę i zamarł w niskim pokłonie:

- Proszę wybaczyć, przewielebny ojcze, ale nie poznałem jego wielebności w tej... postaci!

- Bracie Nicolo, gdzie jest Luigi Grinelli?

- Właśnie pomaga mi w zakrystii...

Idąc za księdzem przybyły wszedł do zakrystii. Stał tu młody mnich przy odwróconym do ściany obrazie „Madonny Płaczącej” i naprawiał zanieczyszczony mechanizm „łzawienia”. Naprawa dobiegła końca - ciemnooka madonna odzyskała zdolność stałego wylewania oliwnych łez nad stuleciem rewolucji, bezbożnictwa i herezji. Przyjście wielebnego gościa oderwało też brata Nicolo od równie bogobojnego zajęcia, jakim było przetrząsanie siana w drewnianym żłobku. Zastąpił on zakurzone, zjedzone przez myszy źdźbła świeżymi, po czym „prawdziwy żłobek Jezusowy” znów przyjął swój wzruszający wygląd, zdolny poruszyć najbardziej zakamieniałe serca.

Luigi Grinelli, zakrystian z domowej kaplicy hrabiego d'Ellano, też podszedł po błogosławieństwo.

- Bracie Luigi - rzekł człowiek w płaszczu - weź ten list. Pojedziesz z nim do Anglii nie tracąc ani godziny. W nocy odpływa statek do Tulonu. Powinieneś zdążyć.

- Jestem gotów do odjazdu, wielebny ojcze.

- Z Tulonu konno dostaniesz się do Marsylii i weźmiesz naszego stałego przewodnika Jacques'a Perchais, który cię przeprowadzi do Calais. Przeprawiwszy się przez La Manche pojedziesz do Bultonu. Wręczysz ten list ojcu Benedyktowi i przywieziesz mi jego odpowiedź. W drodze zapomnij o zmęczeniu i odpoczynku. Masz tylko miesiąc czasu! Dziś jest czwarty luty, za miesiąc musisz przywieźć tu, do Livorno, odpowiedź ojca Morsiniego.

- Tak, monsignore, ale we Francji rewolucja, czasy niespokojne... Może się coś zdarzyć, jakieś opóźnienie... To bardzo daleka droga. Obawiam się, że to niemożliwe, aby zdążył tam i z powrotem w ciągu miesiąca.

Czoło jezuita Fulvia di Gracciolani zachmurzyło się.

- Bracie Luigi, dla żołnierza zakonu nie ma rzeczy niemożliwych!

## 2

Piętrowy pałacyk przy Oldport Square, otoczony rozległym parkiem z wiekowymi lipami, został zbudowany przez parafian bultońskiej katedry dla swego duchownego zwierzchnika.

...Pewnego pochmurnego wieczora z końcem lutego biskup Redling odpoczywał w swym gabinecie po męczącym kazaniu w katedrze. Biskup poruszył do głębi serca swych owieczek wnikliwą analizą przyczyn zgubnych rozruchów we Francji, gdzie bezbożny naród porwał się na władzę królewską daną mu od Boga. W swym kazaniu biskup dopatrywał się źródła owych wydarzeń w tym, że szatanowi, który jest największym wrogiem człowieka, udało się zasiać w grzesznych duszach ziarno bezbożnictwa, z którego wyrósł zatruty plon francuskiego buntu rewolucyjnego...

Kilka latarni bardzo skąpo oświetlało pusty Oldport Square z jego nagimi kasztanami, na dworze był lekki przymrozek, w powietrzu wirowały suche płatki śniegu.

Spojrząwszy w okno biskup zobaczył lektykę, którą niosło dwóch tragarzy w sukiennych czapkach i wytartych bawełnianych kurtkach. Tym starodawnym środkiem lokomocji posługiwały się zwykle w Bultonie sędziwe damy, śmieszni starsi eleganci, osoby duchowne i podagryczni dżentelmeni. Lektyka zatrzymała się przed gankiem pałacyku. Po chwili sekretarz biskupa wsunął do gabinetu swą lisią mordkę:

- Czy ekscelencja zechce przyjąć ojca Benedykta Morsiniego?

To pytanie mogło wprawić w osłupienie każdego parafianina bultońskiej katedry. Od dziecka uczono ich przecież widzieć w „przeklętych papistach” swych religijnych wrogów, a szczególnie nienawidzić katolickich mnichów.

Na progu gabinetu zjawiała się niewysoka, przygarbiona postać ojca Benedykta. W odróżnieniu od kwitnącego zdrowiem biskupa, katolicki mnich był chuderlawy, bardzo blady i tak niepozorny, że się go prawie nie zauważało. W jego czarnych oczach zapalały się niespokojne błyski. Ale głos, nad podziw miękki i niski, pieścił słuch i przywracał spokój duszy. W półmroku konfesjonału ten głos wywierał urzekające wrażenie na skruszonych grzesznikach.

Właściciel aksamitnych strun głosowych usiadł w fotelu. Biskup patrzył na niego wyczekująco, z ukrytym uczuciem niepokoju.

- Ekscelencjo, przybywam w sprawie nie cierpiącej zwłoki, która w jednakowej mierze dotyczy naszych interesów. Pozwolę sobie zapytać, czy ekscelencja zna niejakiego mister Alexa Crampflowa?

- Współwłaściciela bultońskiej oberży „Biały Niedźwiedź”? To jeden z parafian naszej katedry. I jakkolwiek trudno byłoby nazwać tego męża świętym nie grzesząc przeciwko prawdzie, jego usługi są bardzo cenne dla spokoju wszystkich dobrych obywateli.

- Proszę wybaczyć, czy nie wiadomo ekscelencji, jak wyglądają stosunki między tym panem a..., interesującą nas osobą?

Biskup uznał za właściwe dać odpowiedź ostrożną.

- O ile mi wiadomo, hrabia Chancefieldu bardzo protegował świętej pamięci mister Craga... Jest rzeczą zrozumiałą, że ta protekcja rozciąga się i na jego współnika.

- A tymczasem ja otrzymuję list od wielebnego ojca Fulvia di Gracciolani z zawiadomieniem, że ten Crampflow, przebywający teraz we Włoszech, już od pół roku usilnie zajmuje się poszukiwaniem śladów pana Giacoma Molli.

Na twarzy biskupa odmalowało się zdumienie.

- To bardzo dziwne! Któż mu poruczył te poszukiwania?

- Niejaki doktor Tommaso Buotti, kustosz zbiorów bibliotecznych i artystycznych w pałacu hrabiego Paolo d'Ellano. Nie ulega wątpliwości, że uczynił to z upoważnienia samego hrabiego Paolo.

- Jaki jest cel tych poszukiwań?

- To powinno być całkiem jasne dla ekscelencji. Chodzi przecież o ogromny spadek.

Sir Thomas Redling poruszył się niespokojnie w fotelu. Mnich spoglądał na niego złym wzrokiem.

- Jeśli łańcuch śladów urwie się na śmierci pirata Grellego w odmętach Oceanu Indyjskiego, wówczas wysiłki doktora Buotti i Alexa Crampflowa mogą wyjść nam tylko na korzyść. Hrabia d'Ellano usunie klauzulę z testamentu i święty Kościół Rzymski otrzyma pięć do sześciu milionów. W tym wypadku nasza dawna umowa z ekscelencją utrzymuje swą moc - pół miliona skudów do dyspozycji jego ekscelencji. Gdyby jednak mister Crampflow dotarł do prawdy, wtedy... brytyjski hrabia Chancefieldu może stanąć wobec swoistego dylematu!... Albo zachować swoje obecne incognito, albo też odkryć karty za cenę pięciu czy sześciu milionów i włoskiego tytułu hrabiowskiego na dodatek. W tym ostatnim wypadku wszystkie nasze starania i nadzieje, praca wielu lat, okażą się daremne.

- Niech Bóg broni, ojcze Benedyckie! Do tego nie wolno dopuścić! Czy ojciec może sobie wyobrazić rozmiary tej burzy, jaka by się rozpełtała w Północnym Hrabstwie...

- To prawda, ekscelencjo, lecz przyznam się, że mnie osobiście bardziej niepokoją rozmiary strat grożących świętemu Kościołowi. Dlatego pozwolę sobie zapytać wprost: czy możemy, jak dotychczas, liczyć na pomoc ekscelencji?

- Gotów jestem uczynić wszystko, co w mojej mocy, dla... dobra Kościoła Chrystusowego,

nie bacząc na nasze... hm... różnice poglądów na prawdziwość wiary...

- Amen! - z ulgą odetchnął mnich. - Będę szczęśliwy mogąc przekazać tę dobrą wiadomość wielbnemu ojcu Fulvio. Ów święty mąż nie rozstaje się z kijem wędrowca, a nieustanna myśl o tym zbożnym dziele spędza mu sen z powiek. W jego imieniu proszę, aby ekscelencja zechciał wypowiedzieć swoje zdanie na temat grożącego niebezpieczeństwa.

- Doprawdy trudno mi cokolwiek radzić. Ale wydaje mi się, że mister Crampflew prędzej czy później dojdzie do prawdy, skoro już jest na właściwym tropie.

- W zupełności podzielamy przewidywania ekscelencji. Dlatego też ojciec Fulvio nie uważa za rzecz szczególnie pożądaną, aby mister Crampflew powrócił do Anglii.

- Obawiam się, że taka strata... byłaby nowym ciosem dla milorda, ojciec Benedykcie... Ale z drugiej strony rzeczywiście... hm...

- Czy mam to rozumieć, że w zasadzie ekscelencja nie ma zastrzeżeń przeciwko... podjęciu przez nas takich kroków, jakie uznamy za konieczne?

Biskup w milczeniu skinął głową.

- I wreszcie ojciec Fulvio di Gracciolani głęboko ubolewa nad ciężkimi przejściami, jakie przypadły w udziale milordowi, w którego osobie Kościół Chrystusowy zawsze miał potężną ostoję. Ten cedr Libanu podcięła niestety choroba i ciężkie przeżycia. Towarzystwo ekscelencji będzie kojącym balsamem dla udręczonej duszy milorda. Trzeba go chronić od niepożądanych spotkań, od... plotek, mogących sprawić mu ból... Myślę, że opieka duszpasterska, tak zbawienna dla cierpiącej duszy, jednocześnie może zapobiec grożącemu niebezpieczeństwu... Nie śmiem dłużej zabierać cennego czasu ekscelencji!...

Pułkownik Emery Hawerstone i dwóch oficerów sztabowych dopiero w styczniu zakończyli śledztwo w sprawie katastrofy na Terpin-Bridge. Podczas gdy gazety i mówcy w parlamencie domagali się nowych ograniczeń przy wydawaniu zezwoleń na wjazd do kraju cudzoziemcom i niedwuznacznie radzili szukać winnych zbrodni po drugiej stronie kanału La Manche, oficerowie przesłuchali bardzo wielu mieszkańców Bultonu i przeprowadzili wizję lokalną na miejscu wypadku. Przy udziale bultońskich władz policyjnych londyńscy oficerowie ustalili, że na Terpin-Bridge został użyty najsilniejszy rodzaj prochu artyleryjskiego. Do podpalenia miny posłużyło kilka pistoletów połączonych z nią drutem. Nie udało się jednak ustalić, skąd pochodził proch. Ani jeden skład w Bultonie, ani jedna prochownia okrętowa, ani jeden oddział saperów nie wydawał w ciągu ostatnich tygodni takiej ilości materiału wybuchowego. Oficerowie i policja doszli do wniosku, że zamachu dokonali ci sami nieznanymi osobnicy, którzy tak zręcznie odegrali rolę członków rzekomej komisji z Londynu. Ale w jaki sposób przy wybuchu zapobiegli śmierci swych towarzyszy i gdzie się skryli ocaleni jeńcy i ich wybawiciele - to pozostało nadal zagadką.

Dopiero w połowie lutego, w jakieś dwa tygodnie po wyjeździe oficerów do Londynu, doktor Gracewell pozwolił choremu hrabiemu Chancefieldu po raz pierwszy przejść się po pokojach zamku. A po dalszych trzech dniach, w towarzystwie samego biskupa Redlinga, rekonwalescent odbył pierwszą przejażdżkę powozem. W tym samym dniu przybył do Chancefieldu wieczornym dyliżansem kurier z listem od ministra marynarki. Minister spieszył zawiadomić lorda admirała, że jego królewska mość kazał podwyższyć nagrodę za głowę każdego z hersztów pirackich na „Trzech Hidalgach” do trzech tysięcy funtów. Flota brytyjska otrzymała rozkaz zniszczenia niebezpiecznego kapera. Jednocześnie król w swej łaskawości życzył szybkiego powrotu do zdrowia sir Fredrickowi.

Earl Bultonu ze swym nowym krzywym uśmiechem paralytyka odłożył list i wyjął z biurka mapę Morza Śródziemnego. Doktor zalecił choremu podróż morską i milord zamyślił się nad wyborem marszruty. Jego kolorowy ołówek, utkwiony w błękitny przestwór Adriatyku, począł się wolno posuwać wzdłuż załomów wybrzeży Italii.

...W tym samym czasie miss Izabela Riland również czytała list, a łzy oburzenia drżały na jej rzęsach. List nie miał adresu zwrotnego i przyszedł z zagranicy przez Londyn tym samym dyliżansem, którym przybył kurier od ministra marynarki.

W niedużej eleganckiej kopercie znajdowała się pachnąca kartka z następującymi słowami:

*„Piękna Seniorita, bliski jest dzień, gdy będzie Pani potrzebowała pomocy ze strony oddanych przyjaciół.*

*Pozwalamy sobie przestrzec Panią przed obłudnym jezuitą Benedyktem Morsinim. Niech Pani spróbuje właściwie zrozumieć sens bajki wydrukowanej w świątecznym dodatku »Advertisera«. Otaczają Panią niebezpieczeństwa i czekają gorzkie chwile. Błagamy o zachowanie w tajemnicy tego listu, wysłanego w celu zapewnienia Pani o braterskim przywiązaniu i serdecznych uczuciach oddanych Pani wiernych przyjaciół*

*Alonsa de Las Pados i Teodora de Cresy”.*

Izabela nikomu nie pokazała tego listu. W przyływie gniewu podarła go w strzępy i wrzuciła do kosza na śmieci. Ale już po chwili zapragnęła znowu spojrzeć na wyraźne pismo i energiczne podpisy obu korespondentów. Miss Izabela okropnie się rozgniewała sama na siebie, zwalczyła grzeszne pragnienie i oparłszy na rękach kędzierzawą głowę przeplakała noc nieomal do samego świtu.

### 3

Cudzoziemiec z podobnymi do gondoli wężami wziął w Livorno kajutę do Liverpoolu na okręcie „Elmiona”. Po drodze „Elmiona” miała się zatrzymać przez tydzień w Marsylii...

Włoskie miasto portowe tonęło w kwieciu pomarańczy i granatu, wiosenne powietrze przesycone było zapachem laurów, oliwek i rozmarynu. Łagodny marcowy wietrzyk od morza porывał w ogrodach płatki róż i zasypywał nimi ulice. Ale szczodrość włoskiej wiosny była niczym w porównaniu ze szczodrością wężatego cudzoziemca w portowej tawernie. Pokazał on na pożegnanie „tym makaroniarzom”, na co stać dżentelmena, który chce godnie zakończyć swój urlop!

Mister Crampflow nastroszył triumfalnie wspaniałą ozdobę swej górnej wargi. Był z siebie w pełni zadowolony. Minęło trzydzieści dwa dni od jego rozmowy z doktorem Buotti w pokoju hotelowym i teraz mister A. Crampflow miał przy sobie okazały worek grubych banknotów włoskich, otrzymanych na czek w „Banco di Livorno”. Bagaż dżentelmena znajdował się już na pokładzie. W tej chwili mister Crampflow skupiał na sobie uwagę całej tawerny. Twarz miał coraz bardziej czerwoną i płacąc rzucał monety na marmurowy stół z siłą, od której srebrne skudy mogły się rozpląszczyć. Swą szczodrość posunął signor tak daleko, że postawił wino nawet kilku portowym łazikom, hałasującym przy sąsiednich stolikach, a w ich liczbie również głodnemu, lecz niezwykle wesołemu buhajowi o sprytniej, piegowatej fizjonomii.

Ten bywał marynarz - który odbił się od swego okrętu i przepił w tawernie ostatni grosz - ofiarował się, że odprowadzi brytyjskiego dobroczyńcę do samej redy. Wsiadł do łodzi i marynarz odstawił mister Crampflowa aż do burty „Elmiony”, bawiąc go po drodze śmiesznymi historyjkami o swych życiowych niepowodzeniach w Livorno.

Gdy ostatnia łódź przybiła do trupu „Elmiony”, okazało się, że jeden z marynarzy górnej załogi nie wrócił na pokład okrętu, zakończywszy widocznie swój żywot w jakiejś portowej bójce.

Ani kapitan, ani bosman nie mogli przecież wiedzieć, że marynarz ten spotkał na brzegu dwóch wcale poważnych dżentelmenów, mówiących bardzo błędnie po włosku, którzy długo namawiali go, by nie wracał na okręt i w końcu poparli swe namowy dość ciężkim i brzęczącym argumentem. Marynarz wziął pieniądze, wsunął ręce do kieszeni i zapomniał o „Elmionie”. Piegowaty zaś towarzysz mister Crampflowa przed samym odejściem okrętu zwrócił się z ukłonem do bosmana i zaofiarował mu swoje usługi w charakterze marynarza górnej załogi.

- A papiery masz w porządku? - spytał podejrzliwie bosman.

- W jak najlepszym porządku, maat, dobre hamburskie papiery. Potwierdzają moją nienaganną służbę na okręcie „Altona”.

- Nazwisko?

- Taumel, Hans Willy Taumel, maat.

- Niemiec?

- Hamburczyk, maat.

- Pokaż papiery.

Marynarz wyjął z zanadru papiery i bosman przeczytawszy je udał się do kapitana.

Gdy Crampflow wyszedł ze swej kajuty, aby rzucić jeszcze pożegnalne spojrzenie na Livorno, z wysokości dolnej reji fokmasztu mrugnął do niego nowy członek załogi Hans Willy Taumel. Mister Crampflow, który już zdążył wytrzeźwieć na wietrze i nie mógł odżalować skudów straconych w porywie niepotrzebnej szczodrości, ze złością odwrócił się od wesołego Niemca.

W pewnej chwili podszedł do nowego marynarza dziobaty, przygarbiony kok, jak się okazało jego rodak. Zwrócił się do Hansa w języku Schillera i Goethego, a ten cwaniak klepnął koka po plecach, wyszczerzył białe zęby i wesoło oświadczył, iż powziął niezłomne postanowienie, że na wodach włoskich będzie rozmawiał tylko w języku pięknych portowych madonn tego kraju.

- Zdążymy nagadać się po niemiecku w Altonie, przyjacielu! - zakończył swoją tyradę. - „Ach, Hamburg - Altona, ostatnia korona...” - zaśpiewał dźwięcznym głosem oddalając się od ziomka na drugi koniec pokładu.

Po odbyciu swej wachty Hans podszedł do stewarda i spytał, czy nie można by przepłukać gardła małym łykiem czegoś pokrzepiającego. Steward spojrział na Taumela surowym wzrokiem i odparł, że należało „skończyć z tym jeszcze na lądzie”.

- Zresztą pasażer z czarnej kajuty zamówił sobie butelkę wina. Zanieś, może ci się poszczęści - dodał już łagodniej.

Uradowany marynarz chwycił tacę z butelką i kieliszkami i zręcznie balansując po gładkich deskach korytarza, zapukał do drzwi kajuty, w której siedział ponury pasażer i jego dwóch służących.

Jeden ze służących otworzył drzwi. Na widok wchodzącego Hansa pasażer ożywił się, jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Marynarz ucałował go i serdecznie uściskał dłonie obu „służącym”.

- Nie wolno mi się u was zatrzymywać. Wszystko idzie dobrze, George. Ale musisz koniecznie zmienić twarz. Crampflow może cię poznać. Dicka, chwała Bogu, nie zna.

- Ani ja, ani Anthony nie mamy zamiaru opuszczać kajuty. Nasza robota zacznie się w Marsylii, gdy Crampflow zejdzie na ląd.

- Czy udało ci się, George, porozmawiać z doktorem Buotti?

- Tak, byłem z Anthonym u niego w hotelu. Jest bardzo strapiony, boi się, że Crampflow wodzi go za nos.

- A czy śledzi Crampflowa ktoś z ludzi doktora Buotti?

- Wyobraź sobie, Tommy, że nie. Bardzo się zdziwił, gdy mu powiedziałem, że Crampflow jest w tajemnicy śledzony. Ale służący doktora, Giovanni, dał nam nic. Staruszek jest

przekonany, że duchowny hrabiego, ojciec Fulvio di Gracciolani, mieszka tu szyki. Ojciec Fulvio ma do usług młodego mnicha. Nazywa się Luigi Grinelli. Jest to szczupły mężczyzna z wystającym podbródkiem i haczykowatym nosem. Nad lewą brwią ma znak po starej oparzelinie. Krótko mówiąc zauważony przez nas człowiek z haczykowatym nosem, który śledzi teraz Crampflowa - to właśnie Grinelli. Tu na okręcie ma oddzielną kajutę. Po prostu sam pcha się nam w ręce.

- A ten żebrak spod „Czterech Maurów”, co chodził za Crampflowem, też jest na okręcie?

- Nie, nie widziałem go wśród pasażerów.

- Czy podałeś wasze nazwiska doktorowi Buotti, George?

- Mnie on sam od razu poznał. Nie można powiedzieć, by się do nas odniósł ze zbyt wielkim zaufaniem. Prosiłem, by nikomu nie mówił o naszym spotkaniu, rzekomo z uwagi na moją ucieczkę z Anglii. Przyniósł nam to, podziękował za ostrzeżenie przed Crampflowem, ale trzymał się sztywno.

- Czy mu ofiarowałeś naszą pomoc w poszukiwaniach?

- Byłaby to wielka nieostrożność. Buotti jest w tej chwili zbity z tropu i skłonny do podejrzeń. Gdybym wystąpił z taką propozycją, mógłby nas wziąć za bandę oszustów.

- Muszę już iść... Powiedzcie mi jeszcze, którą kajutę zajmuje Luigi Grinelli?

- Drugie drzwi na prawo od kajuty ogólnej. Kajuta Crampflowa - prawie dokładnie naprzeciwko. No, a teraz zmykaj stąd, Hans Willy Taumel!

Gdy piegowaty marynarz przyniósł na tacy srebrną monetę, bufetowy z uznaniem popatrzył na Hansa i spytał, czy jemu też się coś dostało.

- Nie będę ukrywał prawdy, signore - odparł Hans skromnie spuszczać oczy - łyknąłem sobie.

- Z ciebie jednak sprytny chłopak - rzekł bufetowy chowając monetę. - Wpadnij do mnie w porze wolnej od wachty i jeśli pomożesz mi utrzymać w czystości naczynia, nie pożałujesz tego!

- O, signore, jest pan szlachetnym człowiekiem! Poznałem to od razu po pańskiej twarzy. Jestem wzruszony, albowiem widzę, że pan wynagradza cnotę, gdy tylko się z nią spotka. Proszę mną rozporządzać, a będzie pan zadowolony, jakem Hans Willy Taumel!

- Pierwszy raz widzę tak rozgarniętego Niemca! - mruknął Włoch patrząc za oddalającym się marynarzem.

Przez następne dni powolnej żeglugi i skomplikowanych manewrów „Elmiony” mister Crampflow rzadko pokazywał się na pokładzie. Męczyła go morska choroba, którą usiłował leczyć koniakiem i sokiem cytrynowym.

Czwartego dnia żeglugi o zachodzie słońca „Elmiona” opuszczała redę Tulonu. Do Marsylii pozostało już niecałe czterdzieści mil. W szybko gęstniejącym zmroku migotała za rufą tulońska latarnia morska. Szczyt Mont Farau stapał się już z niebem. Morze było spokojne, „Elmiona” lekko kołysała się na fali. Na masztach paliły się światła sygnałowe.

Późnym wieczorem marynarz Hans Taumel, po ukończeniu wachty, siedział w bufecie stewarda. Gospodarz drzemał. Wsłuchując się w odgłosy na korytarzu, aby nie przegapić wezwania do którejś z kajut, w pewnej chwili Hans usłyszał skrzypnięcie otwieranych drzwi. Pasażer z kajuty drugiej od salonu wyszedł na ciasny korytarz. Paliły się tam dwie świece. Długi cień mężczyzny padł na deski. Hans ostrożnie wychylił się ku okienku do wydawania naczyń i kątem oka dojrzał charakterystyczny profil Luigi Grinellego. Pasażer ten na palcach podszedł do kajuty sąsiadującej z salonem, zajmowanej przez mister Crampflowa, pochylił się do dziurki od klucza i cichutko zapukał. Drzwi otworzyły się i Luigi wszedł do środka. Klucz w zamku zgrzytnął za nim dwukrotnie.

Marynarz Hans Willy Taumel podkradł się pod drzwi. Przez dziurkę od klucza zobaczył płomyk świecy palącej się na stole. Luigi stał pośrodku kajuty. Crampflow słuchał go spoczywając w pozycji półleżącej na koi.



Rwącym się ze zdenerwowania głosem przybysz mówił okropną angielszczyzną, zastępując nie znane mu wyrażenia słowami francuskimi lub włoskimi:

- Panie, jestem zwykłym florenckim kupcem. Nazywam się Michele Albanti. Pierwszy raz wybrałem się w taką daleką podróż. Pan Bóg był łaskaw i pozwolił mi zauważyć, że nam obu, mnie i wam, panie, grozi straszne niebezpieczeństwo. Ten przeklęty Szwab, któregoście, panie, przyprowadzili na statek, zmówił się ze stewardem, aby zabić nas obu.

Hans nie dosłyszał pytania mister Crampflowa, na które „florentyńczyk” odpowiedział:

- Przysięgam, signore, że nie są to urojone strachy. Ten marynarz i steward dawno nas śledzą. Dowiedzieli się, że mamy ze sobą pieniądze. Dziś w nocy przed przybyciem do Marsylii chcą nas ograbić.

- To już bezczelność! - mruknął do siebie „przeklęty Szwab”.

Ledwo zdążył wśliznąć się do bufetu stewarda, gdy w drzwiach kajuty znów zgrzytnął klucz i signor Grinelli, który dopiero co przedstawił się jako kupiec Michele Albanti, wrócił do siebie. W pięć minut potem przeniósł swój niewielki bagaż do kajuty mister Crampflowa i obaj dżentelmeni przygotowali się do wspólnej obrony przed napadem.

Hans Willy Taumel poczekał, aż w korytarzu wszystko ucichnie, i umówionym pukaniem wywołał na pokład Dicka Millsa. Daleko na horyzoncie widać już było odbłask światła marsylskiego portu. Pokład był pusty.

- Szykuje się coś niedobrego, Dick. Wygląda na to, że jezuita nabrał jakichś podejrzeń i chce się mnie pozbyć. Sądzi, że steward okrętowy - to mój wspólnik.

- Tom, w Marsylii musisz od razu zniknąć z okrętu, aby ci tu nie wykopali grobu. Z fałszywymi papierami grozi ci niebezpieczeństwo. Postaraj się wymknąć pierwszą łodzią. Ja będę śledził Crampflowa, Anthony i George nie spuszczą z oka jezuitę.

- Wy też bądźcie ostrożni, aby ten Luigi czegoś się nie domyślił przed czasem. Ukryję się na brzegu w domku rybaka Aleksandra Karidasa, marsylskiego krewniaka starego Georgi. Będę tam czekał na wiadomość od was.

Trzeba było wracać na swą koję w kubryku. Bosman odnosił się nieprzychylnie do przyjaźni „Niemca” ze stewardem. Hans obudził z drzemki bufetowego, zeszedł do kubryka i wsunął się pod koc.

Wkrótce poczęło świtać i w dali ukazały się wzgórza otaczające półkolem Marsylię.

George Bingle, Anthony Cenni i Dick Mills przysłuchiwali się ze swej kajuty odgłosom dochodzącym z korytarza. Słyszeli, jak Luigi Grinelli cicho wymknął się z kajuty mister Crampflowa i ociężałym krokiem wyszedł na pokład. Miał przy sobie sakwojaż.

Kapitan kazał już postawić na nogi całą załogę. Okręt czekały skomplikowane manewry przy nie sprzyjającym wietrze.

Marynarz Hans Taumel podszedł do bosmana:

- Maat, pozwól mi pojechać na brzeg. Chcę się dowiedzieć, czy nie ma tu jeszcze mojej „Altony”.

- Wal! Ale twoje dokumenty pozostaną na okręcie - odparł bosman.

Do „Elmiony” przybił kuter portowy. Urzędnicy celni skontrolowali ładunek i przejrzeni spis pasażerów. Po skończonych formalnościach kuter odpłynął, zabierając na brzeg również marynarza Hansa Taumela. Bosman znacząco pogroził wesołemu marynarzowi kawałkiem liny i zawołał za nim:

- Abyś mi za trzy godziny był z powrotem na pokładzie, bo jak nie, to będziesz ryczał „mein Gott”, że w Niemczech usłyszają!

Wkrótce od burty „Elmiony” odbiła również łódź z pasażerami. Znajdowało się w niej kilku pątników, dwóch czy trzech francuskich kupców, ponury jegomość z Livorno i jeden z jego służących oraz „florencki kupiec Michele Albanti”. Kontrola celna przeszła pomyślnie. Gdy opuścili nabrzeże, „ponury pan” szepnął do swojego sługi:

- Senior Cenni, pan lepiej ode mnie zna język włoski. Niech więc pan bierze jezuitę pod

obserwację. Ja zaczekał tu na wiadomości od Dicka. Trzeba go koniecznie zawiadomić, dokąd udaje się z Marsylii jezuicka żmija, ten „floreński kupiec Albanti”.

Tymczasem „kupiec” przywołał tragarza z osiołkiem. Głośno podał mu adres hotelu i ruszył za kłapouchem, nie spuszczać oka z ciężkiego sakwojażu załadowanego na grzbiet zwierzęcia.

- No, teraz przynajmniej wiem, gdzie należy cię szukać! - mruknął Anthony. - Chłopcze - zawołał na czarnookiego, ruchliwego jak żywe srebro wyrostka, sprzedającego kasztany - kupię cały twój towar i dodam ci jeszcze parę franków, jeśli mi szybko dostarczysz adres tego kupca, co idzie tam, za osiołkiem. Znajdziesz mnie w domku Aleksandra Karidasa, na rybackim przedmieściu.

Anthony dał pieniądze chłopcu zabierając od niego całą skrzynkę zleżałych kasztanów, po czym bez wielkiego pośpiechu udał się do małego domku na przedmieściu, gdzie spotkał się z serdecznym przyjęciem. Zastał tu już Toma Bingle'a, który zasiadał, jako ważny gość, na najbardziej poczesnym miejscu. W domu tym doskonale pamiętano „chłopca z małpką” z Pireusu...

Po obiedzie zaturkotały w ulicze koła dorożki. Na podwórko Aleksandra Karidasa weszli George Bingle i Dick Mills. Obaj byli bardzo zafrasowani i strwożeni.

- Tommy - rzekł Bingle starszy - cała marsylska policja ciebie szuka. Znalezione Alexa Crampflowa z poderżniętym gardłem w jego kajucie, a na rękojęści noża są wycięte inicjały „H. W. T.” - Hans Willy Taumel.

- Mogą szukać, ile się im podoba - z zimną krwią oparł Tom. - Zamiast tego interesującego Niemca mogą znaleźć najwyżej don Mateo Velmonteza, ale i ten hiszpański senior będzie się raczej wystrzegał niepotrzebnego spotkania z policją. A więc ojcowie jezuici skończyli z Alexem Crampflowem? Widocznie bardzo im na tym zależy, aby nie odnaleziono spadkobierców hrabiego d'Ellano. Ten ojciec Fulvio ma dobrych pomocników! A poczciwy doktor Buotti, nie wiedząc o tym, chodzi po bardzo cieniutkiej desce nad przepaścią.

- Trzeba śledzić mordercę - powiedział Dick. - Prawdopodobnie Luigi Grinelli pojedzie z Marsylii z powrotem do Wenecji. Wykonał swoje zadanie i zatarł wszelkie ślady. Czysta robota!

W tej chwili na podwórko zajął smagły, bystrooki chłopak. Podszedł do okna... i zobaczył na gwoździu marynarską czapkę Thomasa z napisem „Elmiona”. Anthony Cenni nachylił się do swego „posłańca” i ten spiesznie począł szeptać:

- Wujku, adres tego kupca - hotel „Błękitny Rodan”. Tylko on już najął konie i przewodnika na północ. Proszę mi dać moje franki, a wy, wy... - tu chłopak zniżył jeszcze bardziej głos, przyciągnął głowę Anthony'ego do siebie i spoglądając spod oka na marynarską czapkę, szepnął do ucha swemu klientowi: - A wy bierzcie nogi za pas! Policja portowa szukała w tawernie „Trzej Apasze” marynarza z „Elmiony”, który w nocy zarznął bogatego Anglika...

Thomas Bingle podszedł do okna i usłyszał słowa chłopca. Dobrodusznie pociągnął go za ucho:

- Twoja matka ma diablo sprytnego syna! I jeśli on powie nam jeszcze, gdzie można jak najszybciej dostać cztery dobre wierzchowce...

- Koźmi handluje stary ojciec Rideau. Trzecia ulica stąd... Słuchaj, wujku, a ten florencki kupiec pojedzie pewno traktem awiniońskim..

Thomas Bingle z uznaniem klepnął małego po karku i nagrodziwszy go dodatkową monetą, zwrócił się do George'a, Dicka i Anthony'ego, i zaproponował, aby nie tracąc ani chwili udać się po konie...

...Czterej mężczyźni w na wpół wojskowych ubiorach, trójgraniastych kapeluszach i ze szpadami u boku, stojący pod drewnianym krzyżem przy drodze pomiędzy Marsylią i Awinionem, z niecierpliwością oczekiwali wschodu księżyca. Lecz chmury przestłoniły niebo, była ciemna choć oko wykol. Czarna droga zdawała się uchodzić pod ziemię. Nie trzeba było

nawet chować się w krzaki, aby pozostać nie zauważonym z drogi.

- Wypadnie chyba zatrzymywać wszystkich przejeżdżających - powiedział cicho Thomas Bingle. - Dobrze, że dostaliście latarnię z osłoną. Ktoś jedzie, chłopcy!

Do przydrożnego krzyża zbliżał się powóz. Wśród jadących w nim osób znajdował się pewien urzędnik, który dość podejrzliwie odniósł się do „kontroli dokumentów”. Francuszczyzna Antonia Cenni, a tym bardziej obu braci Bingle'ów była daleka od doskonałości. Jeden tylko Dick, zawdzięczający swą wymowę mistress Kamili Mills, z domu Leblanc, mógł od biedy uchodzić za Francuza.

Następni podróżni jechali konno. Było ich dwóch. Po przejrzaniu papierów okazało się, że jeden z nich jest Włochem marsylskim, nazwiskiem Jacques Perchais, drugi - kupcem z Florencji i nazywa się Michele Albanti.

„Oficer” w trójgraniastym kapeluszu, Antonio Cenni, chwycił za lejce konia, na którym siedział kupiec.

- W imieniu prawa aresztuję pana, jako podejrzanego o morderstwo! - Kupcowi Michele'owi Albanti nie pozostało nic innego jak tylko posłusznie zejść z konia. Przy tym jednakże dość głośno dawał wyraz swemu oburzeniu z powodu samowoli miejscowych władz.

„Policjanci” związali kupcowi ręce i pozwolili mu znów wsiąść na konia. „Patrol” wraz z zatrzymanym kupcem i jego przewodnikiem ruszył w stronę Marsylii. Jeden z „patrolu” prowadził za lejce cztery wierzchowce. Głos tego „policjanta” wydał się kupcowi podejrzenie znajomy.

W oddali, w odległości może pół lieu, zamigotało już światło przydrożnej oberży, gdy nagle księżyc wyjrzał zza chmur i aresztowany kupiec wyraźnie rozpoznał w owym „policjancie” marynarza Hansa Willy Taumela.

Nie wiadomo, czy poznał on również pozostałych sąsiadów z „Elmiony”, czy też widok samego Hansa tak na niego podziałał, dość że „kupca” ogarnął nagły przyptyk energii. Wszystko, co nastąpiło potem, stało się nieomal w mgnieniu oka.

„Florencki kupiec” zdołał oswobodzić związane ręce i wyciągnąć z juku zapasowy pistolet. Wyprostował się w siodle, spiął konia ostrogami i szarpnął go w bok. Koń stanął dęba, wyrwał uzdę z rąk Antonia Cenni, przesadził przydrożny rów i zwaliwszy płot wpadł do jakiejś winnicy. Huknął stamtąd strzał z pistoletu i Antonio Cenni z jękiem osunął się na ziemię. Dick Mills, trzymający w pogotowiu gwintówkę, na oślep strzelił w krzaki i usłyszał odgłos ciała spadającego z konia.

Tymczasem George Bingle ściągnął na ziemię drugiego jeźdźca, Jacques'a Perchais. Ten nie czynił żadnych widocznych prób ucieczki i był bardzo wystraszony. Antonio Cenni, ranny w nogę, leżał w poprzek drogi. Dick Mills wybiegł z winnicy.

- Kto z was jest ranny? - spytał, ale sam już poznał leżącego Antonia. - Trzeba szybko stąd zniknąć.

Przyjaciele przenieśli Antonia w krzaki, pomogli jeńcowi, który miał związane ręce, przejść przez rów i ukryli konie o kilka kroków od drogi.

- Co z tamtym? - spytał Tom.

- Zabity - odparł Dick.

Tom i Dick oświetlili latarnią ciało Luigi Grinellego. W zanadrzu znaleźli ukryty woreczek, a w nim zapieczętowaną kopertę owiniętą w chustkę.

Uważając, by nie naruszyć pieczęci, przyjaciele schowali list, po czym usadowili w siodle rannego Antonia i prowadząc jeńca ze sobą, zboczyli z drogi, aż doszli do opuszczonego kamieniołomu. Teraz przyszedł czas zdecydować o losie drugiego jeńca, który całkiem upadł na duchu i tylko głośno wzdychał i sapał, czując, że odpowiada za nie swoje winy.

- Jak się nazywasz naprawdę? - ostro spytał George Bingle.

- Panie, postanowiono mi dać imię Jacques, jeszcze gdy byłem w łonie matki, a nazwisko moje i moich ojców od niepamiętnych wieków brzmi Perchais.

- Kim jesteś?
  - Chłopem spod Marsylii, wasza miłość. Zlitujcie się nade mną, panowie! Mam rodzinę i jestem człowiek niebogaty...
  - Od dawna znasz Luigi Grinellego?
  - Pierwszy raz słyszę to nazwisko, panie.
  - Nie kręć w obliczu śmierci, Jacques Perchais! Za najmniejsze kłamstwo zabiję ciebie! - groźnie wtrącił Thomas Bingle.
  - Niech mnie piorun strzeli, panie, jeśli choć raz słyszałem to nazwisko!
  - Jak długo znasz florenckiego kupca Michele'a Albanti?
  - Chyba ze sześć lat, panowie, a może i więcej.
  - Często odbywał z nim takie nocne wycieczki?
  - Prowadziłem go trzeci raz.
  - I za każdym razem drogą na Lyon?
  - Tak, wasza miłość. Obydwa razy przeprowadzałem monsieur Albanti do portu Calais.
  - Kiedy ostatni raz odbyliście taką wyprawę?
  - Mniej więcej miesiąc temu, messieurs.
  - Miesiąc? To niemożliwe! Kłamiesz, Jacques!
  - Niech się z tego miejsca nie ruszę, jeśli kłamię! Miesiąc temu dotarliśmy do Calais; on wsiadł na okręt, a ja zostałem, aby na niego poczekać. Po dziesięciu dniach wrócił z Anglii i pojechaliśmy z powrotem do Marsylii. Jeszcze w życiu nie zdarzyło mi się tak spieszyć. Zagnaliśmy na śmierć cztery konie, ale dobrze mi zapłacił.
  - A co ci tym razem obiecał?
  - Teraz znowu umówił się ze mną do Calais i obiecał, że jeszcze lepiej zapłaci. Przez cały rok nie zbiorę tyle ze swego gospodarstwa, ile mi płacił signor Michele Albanti za taką jedną wyprawę.
- George Bingle zamyślił się. Chwilę wszyscy milczeli. George położył rękę na ramieniu chłopca:
- Posłuchaj, Jacques Perchais! Nie jesteśmy mordercami i zabiliśmy nie uczciwego florenckiego kupca, lecz podstępna jezuitką zmię, przebranego mnicha, sługusa arystokratów... Unieszkodliwiliśmy pająka, ale trzeba jeszcze rozerwać pajęczynę. Jeśli nam pomożesz, zrobisz dobry uczynek dla porządnych ludzi i otrzymasz jeszcze więcej, niż płacił ci jezuita... Zgadzasz się, Jacques?
- Chłop przestępował z nogi na nogę, obracał w rękach sukienką czapkę i milczał z niedowierzaniem. Jeszcze nie wyzbył się strachu i teraz obawiał się, aby nie wpaść „z deszczu pod rynnę”.
- Nie bój się, Jacques! Dostaniesz wszystkie nasze konie i jeszcze sto franków w złocie - przekonywał go George.
  - A co miałbym za to zrobić, panowie?
  - Nie jesteśmy panami, ale takimi samymi ludźmi pracy jak i ty... A może ty sam jesteś ukrytym jezuitą, Jacques?
- Mimo iż ton pytania był żartobliwy, Jacques strącił z ramienia rękę George'a:
- Jezuitą? Wszyscy, ile nas jest we wsi, topiliśmy ich, przeklętych, w klasztornym stawie... Gdybym był wiedział, że ten Michele Albanti to przebrany klecha, zepchnąłbym go po drodze do Rodanu!... Czegóż więc żądacie ode mnie, obywatele?
  - Jacques, odprowadzisz do portu Calais... Michele'a Albanti i jego służącego.
  - Nic z tego nie rozumiem, moi panowie... Przecież on nie żyje.
  - Żyje, jest zdrow i stoi przed tobą. Albanti to ja. A ten oto człowiek - to mój sługa. Czy zrozumiałeś mnie, Jacques?
  - Zrozumiałem, panie. Jesteście signor Michele Albanti, panie, i nikt was dziś nie zabił. A ten oto signor Dick - to wasz sługa, panie.

- Widzę, że niegłupi z ciebie chłop, Jacques. Pisz teraz list do swojej żony. Napiszesz jej, aby przyjechała pod swój dach dwóch ludzi, Toma i Antonia. Zostaną tam, dopóki starszy z nich nie powróci do zdrowia. Gdyby im się cokolwiek stało w twoim domu, czeka cię kula, Jacques, a z twego gospodarstwa pozostanie tylko garść popiołu.

Marsylczyk okazał się wcale rozgarniętym człowiekiem. Dano mu pióro, atrament i papier. I podczas gdy Jacques, marszcząc czoło i pochrząkując, trudził się nad dwoma wierszami listu do swojej córki Madeleine Perchais, George Bingle oglądał list znaleziony przy zabitym.

- Spróbuję go otworzyć, przyjaciele. Tylko trzeba to zrobić tak, aby nie zostawić śladu... Rozpalcie ogień i zagrzejcie wody, a ja tymczasem wydostanę z worka moją szpachelkę.

W pół godziny później chude, sękaty palce George'a Bingle'a wyjęły z otwartej koperty zapisaną kartkę. List ojca Fulvio di Gracciolani został szybko skopiowany, po czym George przywrócił kopercie poprzedni wygląd. Zrobił to tak po mistrzowsku, że Dick i Thomas nie posiadali się z zachwyty.

- To rozumiem zřęczność! - z podziwem zawołał Dick Mills. - Ale posłuchaj, Anthony, co pisze świątobliwy ojciec, wenecki jezuita Fulvio di Gracciolani, do ojca Benedykta Morsiniego w Bultonie.

*„Jeśli bratu Luigi nie uda się usunąć w drodze agenta naszych wrogów, Anglika Crampflowa, należy uczynić wszystko, by nie dopuścić do jego spotkania z Giacomo. Niebezpieczeństwo wzrasta. Buotti, z pomocą Crampflowa, jest już bliski odkrycia tajemnicy Giacoma. Ostrożność wymaga, ażeby córka Giacoma znikła bez śladu z ojcowskiego domu. Musi mieć Ojciec stale oczy i uszy otwarte i strzec tajemnicy Giacoma. Bez wahania i nie przebierając w środkach należy dławić w zarodku każdą próbę wrogów dotarcia do niej. W razie powodzenia swego planu odnośnie Crampflowa brat Luigi przywiezie Ojcu wszystkie pieniądze, jakie znajdzie przy Angliku. Powinna to być równowartość dwu i pół tysiąca skudów. Odpowiedź proszę bezzwłocznie wręczyć bratu Luigi.*

*Przesyłam Ojcu moje błogosławieństwo i życzę powodzenia w imię wspólnej sprawy.*

**F. d. G.”**

Thomas Bingle spojrział pytająco na brata:

- W jakim celu wybierasz się do Calais, George?... Chyba nie masz zamiaru przeprowić się do Anglii i zjawić z tym listem u ojca Benedykta zamiast Luigi Grinellego?

- Właśnie to zamierzam uczynić, przyjaciele! Wzrost i kolor włosów mam mniej więcej ten sam, co Luigi, a co do reszty trzeba się zdać na los szczęścia! Naturalnie, że w Bultonie będę musiał być bardzo ostrożny. Przy dziennym świetle Morsini od razu by odkrył oszustwo. W dzień nie wolno mi się więc pokazywać na oczy ani jemu, ani bultońskim strażnikom więziennym... Spróbuję działać nocą. Jeśli uda się poznać plany Morsiniego, wszystkie karty ojców jezuitów będą nam ostatecznie znane.

Thomas Bingle z powątpiewaniem pokręcił głową. Ranny w nogę Anthony, krzywiąc się z bólu, przerzucał dokumenty zabitego. Między innymi był tu notes z zapiskami. George uważnie wpatrzył się w charakterystyczne litery obcego pisma.

- Poczekaj! Patrzcie, to pismo Grinellego. Ojciec Morsini na pewno je zna! ...W dwa dni potem George Bingle i Dick Mills przybyli konno do Lyonu.

Lecz tu spotkała ich przykrość - przypadkowo poznał ich na ulicy ten sam urzędnik, którego rzekomy „patrol” zatrzymał na lyońskim trakcie w pobliżu Marsylii. Przyjaciele z trudem tylko uniknęli aresztowania. Poczciwy Jacques Perchais pomógł im uciec z Francji do Sabaudii, skąd długą, okrężną drogą dopiero w półtora miesiąca później dostali się do

Dunkierki. Przeprawiwszy się do Dovru „kupiec Michele Albanti” i jego „sługa” przybyli w końcu londyńskim dyliżansem do Bultonu.

#### 4

Helga Lund, dawna mamka i niania Izabeli, sprzątała pokój swojej panienki. Miss Izabela wybrała się na konną przejażdżkę.

Helga wyciągnęła spod biureczka dziedziczki Chancefieldu pleciony kosz na śmieci, do połowy wypełniony strzępami papieru, kawałkami jedwabnych wstążek, połamanymi guzikami, szpilkami i innymi niewinnymi rupieciami.

Helga z wyrzutem pokręciła głową, wysypała zawartość kosza wprost na podłogę i poszła na dół, by przynieść szufelkę i wiaderko.

Tę właśnie chwilę wykorzystał ojciec duchowny i nauczyciel Izabeli. Ojciec Benedykt Morsini nigdy nie pomijał okazji, by „przypadkiem” zajrzeć do panińskiego pokoiku Izabeli w czasie nieobecności gospodyni.

Wszedłszy do pustego pokoju mnich skwapliwie pochylił się nad kupką śmieci na podłodze i obejrzał dwie czy trzy zmięte koperty. Rozprostował jedną z nich, widząc nie znane sobie pismo nadawcy, i to według wszelkiego prawdopodobieństwa mężczyzny. Zainteresowało to ojca, znał bowiem doskonale charakter pisma wszystkich korespondentów Izabeli. Tu też, wśród śmieci, dojrzał kawałki papieru zapisane tym samym pismem. Ojciec Morsini wybrał je szybko ze śmieci, co nie było trudne, jako że ręka, która nerwowo podarła list, równie nerwowo zmieła jego strzępy i wrzuciła do kosza.

Gdy Helga Lund wróciła do pokoju, ojciec Benedykt, którego Szwedka, nawiasem mówiąc, nie darzyła zbyt dużą sympatią, stał już przy szerokim parapecie okiennym i w zamyśleniu patrzył na nagie gałęzie topoli w parku...

Wieczorem, wróciwszy do domu, rozprostował i ułożył strzępy podartego listu i - zmarszczywszy brwi na widok dwóch podpisów - zaczął je naklejać na arkusz papieru.

W Wielkim Tygodniu lord Chancefield czuł się już na tyle dobrze, iż był obecny z żoną i córką na uroczystym nabożeństwie w bultońskiej katedrze. W drugi dzień świąt odbyło się w Chancefieldzie wielkie przyjęcie, a z końcem tygodnia hrabia pierwszy raz po chorobie wsiadł na konia i odbył niedługą przejażdżkę po swoich włościach.

Córka milorda, która też dopiero co wróciła ze spaceru, weszła do gabinetu, różowa i świeża.

- Posiedź trochę z chorym ojcem, Bello - powiedział hrabia, pogładziwszy loki dziewczyny. - I pomóż mi przejrzeć te nudne papierzyska.

Milord odchylił się na oparcie fotela i przymknął oczy. Sprawiał wrażenie pogrążonego w drzemce. Izabela otwierała jedną kopertę po drugiej i odczytywała nazwiska nadawców lub nazwę firmy. W większości wypadków ojciec nie otwierając oczu od razu machał ręką i list nie czytany leciał do pękatej teczki z papierami.

W pewnej chwili Izabela wzięła do rąk dużą szarą kopertę z trzema pieczęciami i stemplem „Kalkuta”. Adres nadawcy brzmiał: „Indie Wschodnie, Bengal, Port Kalkuta, Biuro Porad Prawnych Noël-Abrahams i Mohandas Madżarami”.

Senność hrabiego momentalnie pierzchła. Jego przymknięte oczy rozwarły się nie bez zdumienia.

- Stara firma! - mruknął. - Ciekaw jestem, czego oni chcą. Przeczytaj mi ten list, Bello.

Na solidnym papierze z wymyślną złotą obwódką ręką kaligrafa wypisany był tuszem następujący tekst:

**„Do Jaśnie Wielmożnego Lorda Admirala, hrabiego Chancefieldu, earla Bultonu, sir Fredericka Rilanda!**

*W nadziei, że nazwa naszego skromnego indyjskiego kantoru, do którego klientów mieliśmy ongiś zaszczyt zaliczać również Waszą Wielmożność, nie zatarła się jeszcze całkiem w pamięci Waszej Wielmożności, pozwalamy sobie prosić o przyjęcie wyrazów najgłębszego szacunku...”*

- Opuść to gładzenie, Bello, i zobacz na końcu, o co im chodzi.

Izabela odwróciła list i u dołu drugiej strony przeczytała:

*„...nie odmówi swego łaskawego poparcia instytucji, która niegdyś miała zaszczyt wprowadzić Waszą Wielmożność w prawa dziedzica. Pozwalamy sobie też wyrazić nadzieję, że Wasza Wielmożność zechce łaskawie przejąć w Bultonie, gdzie otwieramy filię naszego kantoru, naszych wnuków, którzy będą sobie poczytywać za wielki honor i przyjemność możliwość osobistego złożenia Waszej Wielmożności wyrazów swego szacunku i oddania.*

*Zawsze gotowi do usług Waszej Wielmożności*

***Salomon Noël-Abrahams i Mohandas Samuel Madżarami”***.

- A więc wnuki tych indyjskich kramarzy mają przyjechać do nas do Bultonu i otworzyć tu filię kantoru? Chyba nie wyobrażają sobie, że będę dla nich łowił naiwnych!

- Nie unos się, papo! Na miłość boską, dlaczego się unosisz? Ten cały list jest taki zabawny, grzeczny i pełen szacunku! Gdy ci indyjscy wnukowie się zjawią, ją ich przyjmę i odeślę do Mortona.

- Dobrze, Bello! Zanies ten list staremu i poproś, by napisał odpowiedź. Jak oni się nazywają? Izabela zajrzała do listu.

- Leo Noël-Abrahams i Nal Rangor Madżarami. Widocznie są już w Londynie i wkrótce powinni być tutaj. Nal Rangor Madżarami - to brzmi trochę tajemniczo. Pewno prawdziwy Hinduś? Koniecznie muszę go zobaczyć!

- Bello, jeśli ci te papiery jeszcze nie obrzydły, zobacz, czy nie ma czegoś ciekawego w gazetach - poprosił ojciec.

Londyński „Observer” donosił krótko, że senior Diego Luiz el Gorra, kapitan prywatnego wolnego okrętu „Trzej Hidalgowie”, mającego swą bazę gdzieś na afrykańskich wodach, zwrócił się z pismem do Zgromadzenia Narodowego we Francji, w którym to piśmie oddaje swój okręt do jego rozporządzenia. Według relacji gazety markiz Lafayette, uczestnik wojny o niezawisłość Stanów Zjednoczonych, przypomniał sobie i wysoko ocenił zasługi tego okrętu w walkach Przeciwno wrogom amerykańskiej rewolucji, i radził Zgromadzeniu przyjąć propozycję młodego dowódcy. W najbliższym czasie wolny okręt miał wejść w skład floty wojennej Francji rewolucyjnej.

Hrabia kazał sobie dwukrotnie przeczytać tę krótką notatkę. Nie uszło jego uwagi, że Izabela przy czytaniu czerwieniła się i bladła na przemian. W notatce nie wspomniano o pozostałych oficerach tego okrętu, lecz zarówno ojciec jak i córka aż nadto dobrze wyobrażali sobie osoby na mostku kapitańskim „Trzech Hidalgów”. Izabela, obawiając się nowego ataku choroby i ojca, spieszenie odłożyła „Observer” i wzięła londyńską „Gazetę”.

Kamerdyner zameldował przybycie Williama Linsa.

- Zostaw nas samych, Bello... - powiedział lord admirał. - Jakie nowiny przywozi pan, Lins?

- Milordzie, nadal nas prześladowają nieszczęścia... Nadeszła właśnie wiadomość z Marsylii... Mister Alex Crampflow... Boję się, sir, że ta nowa wiadomość może znów pogorszyć stan pańskiego zdrowia...

- Do diabła ze zdrowiem, Lins! Co nowego mi pan powie o tym Alexie? On mi się nie podoba, do licha!

- Teraz to już nie ma znaczenia, sir. Alex Crampflow został ograbiony i zamordowany na okręcie „Elmiona”. O zabójstwo podejrzany jest marynarz - Niemiec Taumel. Mister Crampflowa pochowano na marsylskim cmentarzu. To diabelnie duża strata, sir!

- Nie, Lins, wcale nie taka duża. Czy udało się panu coś dowiedzieć o celu jego podróży do Włoch?

- Sądzę, że tak, sir. Pojechał tam w ważnej prywatnej sprawie. Została mu ona poruczona przez signora Tommasa Buotti, kustosa prywatnego muzeum weneckiego magnata hrabiego Paolo d'Ellano.

Sir Frederick Riland podskoczył w fotelu.

- Hrabia Paolo d'Ellano, mówi pan? Na czym polegało zlecenie tego Tommasa Buotti?

- Udało mi się dojść do tego zupełnie przypadkowo. Pewnego dnia siedziałem przy kuflu piwa ze starym Sleepem. On pracował szesnaście lat dla nieboszczyka Woodrowa...

- Daruj pan sobie szczegóły, znam przecież ludzi Woodrowa.

- Otóż Tommaso Buotti zjawił się u Crampflowa w ubiegłym roku. Crampflow natychmiast posłał Sleepa po malarza Bingle'a i ten skopiował z włoskiej emalii portret jakiejś kobiety z dzieckiem...

- Więc stąd ta kopia u' Bingle'a! Mów pan dalej, Lins! Dalibóg, pan ma głowę na karku.

Mile połączony sierżant podkręcił ryże wąsy i dumnie wypiął pierś.

- Zaraz po rozmowie z Buottim Alex Crampflow wybrał się w drogę. W dwa tygodnie po jego wyjeździe Sleep wysłał kopię na adres: „Livorno” Poste-Restante, Esq. Crampflow”. To wszystko opowiedział mi Sleep przy kuflu w ostatnich dniach...

- Ale jak się pan dowiedział, że ten Buotti służy u hrabiego d'Ellano?

- Doktor Buotti najpierw zgłosił się do mnie i podał mi swe imię, nazwisko i stanowisko. To ja posłałem go na Olderman Cross.

- I wie pan w końcu, co to było za zlecenie?

- Wiąże się ono wyraźnie z poszukiwaniami osób przedstawionych na miniaturze.

- I pan sądzi, że polecenie poszukiwania tych osób pochodzi od samego hrabiego d'Ellano?

- Czy można mieć co do tego jakiegokolwiek wątpliwości, sir?

- Pan naprawdę ma głowę nie od parady, Lins! Zrobię z pana następcę Craga! A teraz posłuchaj pan, Lins! Niech pan zostawi Sleepa w „Brzuchu Wieloryba”, Jawsa - w „Białym Niedźwiedziu”, a sam pójdzie do portu i powie kapitanowi Olbertowi, aby przygotował „Krzyż Południa” do odpłynięcia. Pojedziemy razem do Włoch. Tak mi, do licha, radzą lekarze, rozumie pan, Lins! Za tydzień podniesiemy żagle!

W najbardziej zapuszczonym zakątku Chancefieldu stał domek sędziwego administratora majątku, mister Thomasa Mortona. Formalnie staruszek pozostawał nadal na tym stanowisku, lecz nikt już nie zwracał się do niego o dyspozycje w sprawach gospodarstwa. Stary Morton dożywał swych lat. Połowa domku, gdzie niegdyś uwili swoje pierwsze gniazdko Edward i Mary Went, była teraz zabita deskami.

W pewien majowy wieczór pan Chancefieldu zaszczyił Mortona późną wizytą. Mister Morton siedział przy zasłoniętym oknie wychodzącym na ogród. W pokoju pachniało wystygłym popiołem i pleśnią. Hrabia starł firanką kurz z parapetu, przez co firanka bynajmniej nie zmieniła koloru. Z okna widać było sadzawkę. Jej czarna powierzchnia zdążyła się już pokryć jaskrawozielonymi plamami rżęsy. Nad sadzawką i zarośniętymi trawą alejkami latało mnóstwo nietoperzy.

Hrabia usiadł na parapecie okna. Niczyja obecność nie wskrzeszała w jego pamięci obrazów przeszłości z taką siłą jak obecność Mortona. Przy nim lord admirał stawał się sobą - piratem



Giacomo Grellim, bezlitosną maszyną do gromadzenia złota. Nonszalancka poza na parapecie okiennym całkowicie odpowiadała jego stanowi ducha. Zebrało mu się dziś na męską szczerłość. Powodem tego były otrzymane wiadomości. Grelli uważał, że przed „starym próchnem”, jak nazywał Mortona, można się nie krępować w pozach ani w wyrażeniach. Niemniej przed każdym poważniejszym przedsięwzięciem lord admirał radził się starego i był z nim zupełnie szczerzy, uważając, że jego mózg potrafi jeszcze „wykrzesać iskrę myśli”.

- Posłuchaj pan, Morton, zawsze był pan dobrym i przykładowym ojcem. Ale niech mi pan powie, gdyby się pan dowiedział o istnieniu nieślubnego syna, dziecka uwiedzionej przez pana kobiety, jak by się pan do niego odniósł?

- Prawdę mówiąc, nie wiem, milordzie. Nie miałem... takich kobiet.

- Ale gdyby się pan dowiedział...

- Niech pan nie będzie taki okrutny, sir. Pan Bóg mnie i bez tego ciężko skarał. Moja córka mnie opuściła... i widzi Bóg, że winne temu - moje spotkanie z panem!

- Spotkał nas obu taki sam los, staruszkule!... Nie zapomniał pan chyba Charlesa? Niech pan posłucha, mój ojciec mnie poszukuje.

- Pański ojciec? Chwileczkę... Ach, ten wenecki patrycjusz? On jeszcze... nie opuścił ziemskiego padołu? Jak to on się nazywa...

- Hrabia Paolo Vittorio Alberto Georgio d'Ellano.

- Ileż lat ma jaśnie hrabia?

- Jest o jakieś pięć lat starszy od pana. Trochę za późno przypomniał sobie o małym Giacomo, synu uwiedzionej przez niego śpiewaczki, co, Morton?

- Kto panu o tym powiedział, że hrabia pana poszukuje? Czy nie ojciec Benedykt?

- Ojciec Benedykt? Hm! Ojciec Benedykt?... Nie, nie on. Dowiedziałem się o tym od Linsa. Do Anglii przyjechał człowiek hrabiego, niejaki doktor Buotti, który po całej Europie szuka Giacoma Molli. I wyobraź pan sobie, Morton, że ten Buotti zaangażował do poszukiwań Giacoma naszego Alexa Crampflowa? Zabawne, co?

- To znaczy, że mister Crampflow w tym właśnie celu wyjechał do Włoch?

- Oczywiście! Tylko że tam... nieszczęśliwie mu się powiodło. Zarżnięto go podczas tych poszukiwań.

Po tych dwudziestu przeszło latach, jakie przeżył Morton u boku Grellego, spokojny solicitor przestał się już wzdragać przy słowach „zarżnąć”, „zastrzelić”. Wiadomość o śmierci Crampflowa przyjął stary obojętnie.

- Co pan sądzi o tym zabójstwie, Morton?

- Milordzie, każdy prawnik, nawet taki skromny jak ja, da panu jedną odpowiedź: niech pan szuka tego, kto może mieć z tego jakąś korzyść. Prawdopodobnie hrabia d'Ellano ma spadkobierców?

- Nie, nie posiada on potomstwa. Ojciec Benedykt mówił mi kiedyś, że hrabia zapisał w testamencie swój majątek czy to rodzinnemu miastu, czy to jakiemuś klasztorowi, czy kościołowi...

- A propos, milordzie, o ile sobie przypominam z pana opowiadań o Włoszech, ojciec Benedykt należał przedtem do zakonu jezuitów?

- Tak, należał i przypuszczam, że nadal należy. Co pan chce przez to powiedzieć, Morton?

- Absolutnie nic, milordzie. O ojcach jezuitach woli się nie mówić.

Giacomo Grelli pogąrzył się w zamyśleniu. Majowy zmierzch wolno gęstniał w ogrodzie. Strzępy mgły nieruchomo zawisły nad wodą. Prawie pod samym oknem znajdował się trawnik. Na jego skraju czerniał wśród młodych dębczaków kikut starego wyschniętego dębu, w który niedawno uderzył piorun.

- Postanowiłem pojechać do Włoch, Morton.

- W jakim celu, milordzie?

- Chcę zobaczyć swego ojca.

- Przedtem nigdy pan... o nim nie wspominał.
  - Tak, dopóki nie dowiedziałem się, że on pamięta o mnie.
  - Czy duży jest jego majątek, milordzie?
  - Jego majątek? Pięć, sześć milionów. To nie okupi sierocych lat Giacoma Molli.
  - Nie bardzo pana rozumiem, signor.
  - Niech pan spróbuje postawić się w mojej sytuacji, Morton! Któż skazał własne dziecko na los sieroty? Hrabia Paolo d'Ellano! Z czyjej łaski Giacomo zdychałby teraz w nędzy, gdyby sam nie wydostał się z niej i idąc własną drogą nie nauczył się robić pieniędzy? Gwiżdżę teraz na niego! Cisnę mu w twarz tę ofiarę, za którą on chciałby teraz kupić sobie spokój sumienia.
- Stary Morton spojrział w twarz Grellemu i ciężko westchnął.
- Bóg z wami oboma, milordzie! - powiedział z wyrzutem. - Nie do mnie należy osąd, czy miły będzie Bogu taki postępek. Ale... uspokoiłby on ojców jezuitów!
- Grelli spod oka spojrział na starego i roześmiał się:
- Pan mógłby zostać mężem stanu, Morton, gdyby pańska sowa mądrość nie szła w parze z zajęczą duszą... Aha, o mało nie zapomniałem. Gdy zjawią się tu z wizytą ci dwaj nowi prawnicy z Kalkuty, którzy otwierają kantor w Bultonie, żona ich przyjmie. Niech pan też będzie dla nich bardzo grzeczny. Mówmy, co chcemy, ale tej firmie zawdzięczam Chancefield.
  - Czy to jednak nie jest trochę niebezpieczne, sir?...
  - Niebezpieczne? Od dnia zatonięcia „Ophiru” minęły dwadzieścia dwa lata, a Alfred Murray nie żyje. Przeszłość umarła, staruszkule?

## 5

Marynarz, dźwigający od mola bagaż dwóch pasażerów z Kalkuty, padał już ze zmęczenia, gdy ich służący podjechał do przystani i pomógł mu załadować ciężkie kufrы do dorożki.

- Panowie zatrzymają się pewno w „Białym Niedźwiedziu”? - spytał marynarz chowając do kieszeni zarobione pół korony.

- Nie, znaleźliśmy sobie już prywatne mieszkanie. Stangret, Garden Road, dom pani Taube... Kartka o możliwości wynajęcia przytulnego mieszkania, zajmowanego niegdyś przez mister Geoffrey MacRaila, pojawiła się w oknie domku dopiero niedawno, w pół roku po śmierci starego lokatora. Zwróciła ona uwagę dwóch młodych cudzoziemców odbywających pierwszy spacer po mieście. Grzecznie spytali gospodynię o warunki i przypadli starej Niemce do serca. Od tego majowego poranka przyjezdni prawnicy Leo Noël-Abrahams i Nal Rangor Madżarami wraz ze swym starym służącym zostali lokatorami frau Taube.

Młodzi prawnicy bardzo szybko nadali domkowi charakter typowego biura. Frau Taube patrzyła na to z niezadowoleniem, lecz młodzi ludzie udobruchali staruszkę obietnicą niedużego dodatku do umówionego czynszu. Poza tym frau Taube przekonała się, że strumień klientów, którego tak się obawiała, nie był znowu aż tak burzliwy. W pierwszym tygodniu istnienia młodej instytucji, zarejestrowanej już w magistracie pod nazwą „Biuro Porad Prawnych Abrahams i Madżarami w Kalkucie, oddział w Bultonie”, panowie Leo i Rangor przyjęli zaledwie jednego klienta, który okazał się królewskim poborcą podatkowym i zjawił się celem określenia przyszłych świadczeń na rzecz skarbu państwa ze strony nowego biura. Drugi tydzień dał niektórym bultończykom podstawy ku temu, by z pewnym uznaniem spoglądać na emaliowaną tabliczkę, zdobiącą od niedawna zieloną bramę domku przy Garden Road.

Mister Leo, występując przed specjalnym trybunałem przysięgłych w sprawie starosty kooperatywy budowlanej, oskarżonego o roztrwonienie powierzonych mu pieniędzy,

zabłysnął takim kunsztem oratorskim i wykazał tyle umiejętności w posługiwaniu się wszelkiego rodzaju kruczkami prawnymi, że zapadł wyrok korzystny dla pozwanego. Jako adwokat powoda wystąpił sam Thomas Morton, zakasowany całkowicie przez nowicjusza z Kalkuty. W rezultacie tego pierwszego sukcesu w nowej kancelarii już pod koniec drugiego tygodnia zaczęli się pojawiać klienci. Dopiero wtedy obaj dżentelmeni posłali swoje bilety wizytowe do Chancefieldu.

W odpowiedzi otrzymali bardzo uprzejme zaproszenie od swego kolegi i niedawnego przeciwnika w sądzie mister Thomasa Mortona. Jak się okazało, sam właściciel majątku tydzień temu odpłynął do Włoch dla podreperowania zdrowia, lecz prosił mister Mortona, jak również swą córkę miss Izabelę, by zapewnili obu młodych prawników o jego wielkiej życzliwości dla nich.

Po przybyciu do Chancefieldu obaj dżentelmeni zostali przedstawieni lady Riland. Hrabina zaszczyliła ich półgodzinną rozmową, okazując duże zainteresowanie w kwestii ubioru indyjskich kobiet. Mister Rangor bardzo interesująco opowiadał o niektórych zwyczajach swego ojczystego kraju. Lady była wstrząśnięta, słysząc, że święte krowy bez przeszkód spacerują po kalkuckich trotuarach, a już zupełnie czymś niewiarygodnym wydało się jej, że mityczne gryfy, jakie w jej wyobrażeniu były wyłącznie heraldycznymi stworzeniami, w Kalkucie spełniają rolę zmiataaczy ulic, sprawnie oczyszczając miasto z wszelkiego rodzaju śmieci i odpadków.

Podczas gdy Nal Rangor Madżarami zabawiał milady rozmową na tematy etnograficzne, miss Izabela pokazywała drugiemu gościowi, Leonowi Noël-Abrahamsowi, myśliwski gabinet sir Fredericka. W przeciwieństwie do lady Riland, która wyniosła bardzo przyjemne wrażenie z rozmowy z wykształconym hinduskim gościem, miss Izabela po tej wizycie dżentelmenów była dziwnie smutna i przygnębiona.

## 6

Ojciec Benedykt Morsini mieszkał w tym samym domku na terenie portu, w którym ongiś stary Andrew Lawson wynajmował pokoje „statecznym przyjezdnym”. Frontowa część domu została przerobiona na katolicką kaplicę. Wąziutkie drzwi łączyły kaplicę z mieszkalnymi pokojami mnicha. Ojciec Benedykt zatrzymał dawnego służącego Lawsona, Gregory Websta, i dzięki spostrzegawczości i gadatliwości starego ciekawy mnich był doskonale zorientowany we wszelkich sprawach interesujących go osób.

Po przebudowie na kaplicę domek Lawsona zmienił się nie do poznania. Na pierwszy rzut oka mogło się zdawać, iż ten szary budynek z kolorowymi szybami w wąskich okienkach nigdy nie miał innego przeznaczenia. Pośród ponurych i nieprzytulnych portowych zabudowań kaplica ojca Benedykta była wzruszającym zjawiskiem, subtelnym i czystym.

W pewien sobotni majowy wieczór zapukała do kaplicy ojca Benedykta miss Izabela Riland.

- Przyjechałam się pożegnać, proszę ojca - powiedziała dziedziczka Chancefieldu. - Wyjeżdżamy jutro z mamą do Londynu. Teraz nie zobaczymy się już aż do ukończenia przeze mnie pensji. Chciałabym się też pożegnać z naszą kaplicą.

W kaplicy panował półmrok. Tylko płomyki dwóch lampek oliwnych migotały przed obrazami świętych. Ojciec Benedykt zapalił świecę przed dużą czarną Ewangelią na ołtarzu i spojrzał na Izabelę z głębokim smutkiem w oczach.

- Czy nie przeszkodziłam ojcu w pobożnych rozmyślaniach? Mam wrażenie, że ojciec jest czymś zasmucony.

- Czekałem na ciebie, moja córko - odparł mnich. - Ale masz słuszość, Izabelo, dusza moja głęboko boleje nad bezcenną utratą - dodał głosem, w którym drgał żal.

- Czy nie mogłabym w jakiś sposób ulżyć cierpieniu ojca?

Ojciec Benedykt położył dłoń na złotych lokach dziewczyny, ucałował jej czyste, wysokie czoło i westchnął z jeszcze większym smutkiem.

- Leży to całkowicie w twojej mocy, Izabelo, albowiem utrata, jaką oplakuję - to zaufanie mej córki w Chrystusie. Bardzo mnie to boli, moje dziecko, że straciłem twoje zaufanie.

- Ależ ojcze, czymże zawiniłam wobec ojca?

- Oko duszpasterza widzi lepiej niż oko człowieka świeckiego, choćby nim był nawet rodzony ojciec. Od pewnego czasu wyczuwam, Izabelo, że kryjesz w swym sercu jakieś tajemnice, których dawniej nigdy przede mną nie miałaś. Nie wiem, jakie są tego przyczyny, lecz zbyt dobrze cię znam, moje dziecko, abym nie widział, jak bardzo daleka jesteś od szczerości ze mną.

Ogromne zmieszanie dziewczyny, jej milczenie i spuszczone oczy wyraźniej niż jawne wyznanie potwierdziły przypuszczenia duszpasterza, że dręczy ją jakaś nie wypowiedziana tajemnica.

Głęboki aksamitny głos, łagodny i jakby odrobinę złowieszczy, stał się jeszcze bardziej miękki i smutny. Odblask świec i lampek padał na czarną księgę, biało-złoty krucyfiks i brązową brodę świętego Franciszka.

Oczy Izabeli napełniły się łzami - tak dobrze tu było w tym miłym jej sercu przybytku, miejscu ucieczki od wszelkich spraw tego świata.

- Ojcze duchowny, rzeczywiście chowam w mym sercu wielką tajemnicę... I już dawno przysłałbym do ojca z prośbą o radę, o rozstrzygnięcie dręczących mnie wątpliwości, gdyby... Gdyby właśnie to nie zostało mi wręcz zabronione.

- To, na co Bóg pozwala, nie może być zabronione przez ludzi. Tylko grzech przeciwko Duchowi Świętemu nie będzie odpuszczony nawet w niebiesiech.

A nieszczerłość wobec Boga lub sługi bożego jest właśnie grzechem przeciwko Duchowi Świętemu, moje dziecko.

- Ojcze duchowny, proszę mnie zrozumieć, to nie jest tylko moja tajemnica. To tajemnica kilku osób. Nie zobowiązywałam się wobec nich do milczenia, ale czuję, że ci dziwni ludzie nie życzą mi źle...

- Bello, niekiedy nawet zatwardziały złoczyńca, zbrodniarz skradający się z nożem w ręce ku śpiącej ofierze, obchodzi napotkany kwiatek, by go nie stratać, jeśli jest piękny i świeży... I abyś nigdy nie myślała, że zwierając jakąś tajemnicę słudze bożemu zdradasz ją, albowiem nie ma dla osoby duchownej grzechu cięższego nad naruszenie tajemnicy spowiedzi. Nie wyobrażasz sobie nawet, moja córko, ile ludzkich tajemnic spoczywa na dnie mej pamięci. Nikt, oprócz Boga, nigdy nie dowie się o nich... I ty, moje dziecko, otwórz swe serce przed Wszechmogącym, a przyniesie ci to dużą ulgę!

W modlitewnej ekstazie dziewczyna padła na kolana. Ojciec Benedykt podniósł ją, usadowił na ławce i jeszcze raz ucałował w czoło. Przy ruchach jego rąk w szerokich czarnych rękawach zakołysały się płomyki świec i w grze cieni jakby ożył nagle posąg Najświętszej Pani. Przez ułamek sekundy Izabeli zdawało się, że Niepokalana poruszyła ręką i położyła palec na ustach. Izabela podniosła na nią zapłakane oczy lecz wąska, rzeźbiona w kości twarz o nieruchomych źrenicach znów była obojętna, martwa i obca...

W zapadłej ciszy Izabela usłyszała, jak kropla wosku spadła na kamienną płytę posadzki. Dziewczyna westchnęła głęboko i uchwyciwszy obiema rękami szczupłą dłoń mnicha, poczęła szeptać:

- Czy pamięta ojciec naszą bytność w więzieniu? Pamięta ojciec tego więźnia - Hiszpana, don Alonsa de Las Pados?

- Tak, pamiętam tego człowieka. Mów, droga córko - usłyszała łagodny głos mnicha.

- Otóż on... nie zginął podczas wybuchu i ukrył się.

- Wiem o tym, moje dziecko.

- Najpierw otrzymałem od niego list, pełen szacunku i delikatności.

- W którym prosił, abyś zachowała ten fakt w tajemnicy, prawda? Radził ci nawet, abyś się nie zdradziła z tym przede mną, ostrzegając cię przed własnym duszpasterzem!

- To prawda. I ja do tej pory milczałam. Ale skąd ojciec o tym wie?

- Oczy osób duchownych widzą więcej niż zwyczajne ludzkie oczy. Słucham cię, moje dziecko, mów dalej!

- Przedwczoraj złożyli w Chancefieldzie wizytę dwaj młodzi prawnicy z Kalkuty. Papa prosił mnie przed wyjazdem, abym ich serdecznie przywitała w jego imieniu, i obiecał swe poparcie.

- Pomaganie bliźnim - to najbardziej chrześcijańska cnota milorda, Bello.

- Ale ten mister Leo Noël-Abrahams...

- ...wychrzczony Żyd, o ile mi wiadomo?

- Ojciec, on się tylko podaje za wychrzczonego Żyda z Kalkuty. W rzeczywistości ten człowiek to - Alonso de Las Pados.

Izabela czuła, jak drgnęła ręka jej spowiednika, lecz jego głos był spokojny i równy jak zawsze, gdy powiedział:

- Domyślałem się tego, moje dziecko.

- Boże mój! I ojciec też... trzyma to w tajemnicy przed wszystkimi? Jakże się myli ten nieszczęsny! Jest przekonany, że w tej nowej postaci nikt go nie poznał.

- Czy on rozmawiał z tobą na osobności, Izabelo?

- Tak, ojciec, i powiedział mi coś, w co do tej pory nie mogę uwierzyć. Powiedział mi, że jego prawdziwe imię...

- Mów, mów, moje dziecko, o tym też wiem...

- Powiedział mi - czy mogę w to uwierzyć - że nazywa się Charles i jest moim rodzonym bratem po ojcu, tym chłopczykiem, którego wszyscy uważają za zmarłego w trzecim roku życia...

Cieniutka świeca woskowa zatrzeszczała nagle i pochyliła się, gotowa już, już upaść. W chłodnej, wilgotnej kaplicy zrobiło się jeszcze ciemniej. Ojciec Benedykt wyprostował świecę, oczyścił knot i płomyk znów zamigotał równym światłem. Mnich objął dziewczynę w pól i wyprowadzając ją z kaplicy powiedział łagodnym, przekonującym tonem nauczyciela:

- Widzisz, moje dziecko, ani ja, ani ty nie wiemy, w jakim celu ten młody człowiek, narażając się na rozpoznanie i śmierć, zjawił się w Bultonie. Nie wiemy też, czy jego usta mówią prawdę, czy może jest to po prostu jakiś chytry samozwaniec, który ma zamiar oszukać twego ojca...

- Ależ on nienawidzi mojego... to znaczy, według jego słów, naszego ojca! Nie chce przed nim zdradzić swego imienia! Bogactwo i sława ojca są mu wrogi i nienawistne!

- Nie osądzajmy go, Bello, nie mamy do tego prawa. Spełniłaś swój obowiązek wobec Boga i On cię oświeci wskazując właściwą drogę. Ale musisz oszczędzać siły ojca nadwątlone chorobą i niech cię Bóg broni, abyś słowem wspomniała mu o tych odkryciach. Żeby ci też nie wpadło do głowy napisać mu o tym do Włoch! Powiedz, czy nikt więcej nie domyśla się tych tajemnic? I jeszcze jedno, kim jest jego towarzysz, ten Hindus Nal Rangor Madżarami?

Izabela przystanąła w progu kaplicy. Mnich zauważył rumieniec oblewający jej twarz.

- Ten człowiek też brał udział w owej dziwnej grze, tym... oszustwie władz miejskich... Podawał się za oficera wojsk królewskich, kawalera de Cresy. Pamięta go ojciec?

- Niech cię Bóg wynagrodzi za twoją wiarę i zaufanie do jego niegodnego sługi! Strzeż się tych ludzi, moje dziecko, nie znamy bowiem ich zamiarów. Unikaj ich. I pisz do mnie do Londynu o wszystkim, co mogłoby zamącić spokój twej czystej duszy.

Nakreśliwszy w powietrzu znak krzyża nad pochyloną głową dziewczyny, ojciec Benedykt otworzył drzwi do swojej poczekalni, gdzie guwernantka Izabeli, miss Trenborn, poczyniała już zdradzać oznaki zniecierpliwienia.

Jednakże stara lady zawstydziała się swych uczuć spojrzawszy w twarz Izabeli prześwieconą

jakimś wewnętrznym blaskiem. Sama łaska boża spłynęła, zda się, niewidzialnie na tę dziecięco-niewinną twarz o dużych prawdomównych oczach.

## **Stary Rojalista**

### **1**

Przed podjazdem „Białego Niedźwiedzia” wysiadł z dyliżansu pasażer w wytartym płaszczu podróżnym i jego służący. Przyjezdny wynajął pokój w oberży i od razu począł szczegółowo wypytywać lokaja o bultońskie tawerny, restauracje i inne przedsiębiorstwa trudniące się handlem win. W księdze przyjezdnych gość ten wpisał się następująco: Michele Albanti, kupiec z Florencji, ze służącym; własny handel win, firma istniejąca od roku 1677.

Kupiec otworzył w pokoju butelkę porto. Nie miała ona żadnej etykiety, rozchodzący się z niej zapach zdolny był w parę minut pozbawić trzeźwości każde towarzystwo. Gość poczęstował kieliszkiem tego wina lokaja, który poczuł na podniebieniu jakby wiew ożywionego wietrzyka z różanego ogrodu.

Według słów kupca posiadał on zapas tego wina w ilości sześciuset galonów i właśnie ten fakt skłonił go do wybrania się w podróż do Anglii, by sprawić przyjemność amatorom dobrego włoskiego wina w dalekim północnym mieście. Pomówili jeszcze o cenach, o ewentualnej konkurencji handlowej i pod sam koniec rozmowy kupiec spytał, czy mieszkają w Bultonie jacyś Włosi, Francuzi lub Hiszpanie. Lokaj odpowiedział twierdząco, wymieniając tenora operowego, dwóch przedstawicieli kompanii okrętowych, księdza z katolickiej kaplicy, dwie czy trzy rodziny francuskich emigrantów-rojalistów i pewnego jubilera. Następnie tonem najwyższego lekceważenia dodał:

- Jest jeszcze w porcie trochę włoskiej hołoty - tragarze, dokerzy, ale ci wolą upijać się ginem.  
- Zamówiłem obiad do pokoju, więc proszę mi przynieść przy okazji adresy wymienionych osób, naturalnie oprócz tych tam dokerów - poprosił cudzoziemiec.

Otrzymawszy owe adresy kupiec włożył do żółtej skórzanej torby pokaźną paczkę włoskich banknotów i pod wieczór wybrał się do portu. W głębi, za nabrzeżem, gdzie wyładowywano z przycumowanych okrętów towary kolonialne, widać było na bliższej redzie statki gotowe już do odpłynięcia. Kupiec zasięgnął informacji co do rejsów i dowiedział się, że duński bryg „Król Olaf po północy podnosi kotwicę i że najbliższy port, do jakiego zawija, to Calais.

Kapitan „Króla Olafa” był akurat na brzegu. Dymiąc fajką prosto w nos rozmówcy, wysłuchał bardzo uprzejmej prośby signora Albantiego i ofiarował mu miejsce na pokładzie. Przyszły pasażer „Króla Olafa” wyraził swą zgodę, z góry zapłacił kapitanowi i ruszył dalej wzdłuż nabrzeża, wypatrując katolickiej kaplicy, którą opisał mu dokładnie służący w oberży.

Na zachodzie zbierały się ciemne deszczowe chmury. W szarej mgle zamigotały żółte plamy światła portowych latarni.

W tylnych okienkach za kaplicą, ledwo widocznych spoza przesłony mgły i ciemnozielonych gęstych krzaków ogródka, też ukazało się ciepłe złote światło. Był to odbłask świec w pokojach mieszkalnych kapelana. Okna samej kaplicy były ciemne. Signor Albanti rozejrzał się - wokół nie było żywego ducha. Obszedł kaplicę i nabrawszy garść żwiru cisnął nim leciutko w oświetlone okna, po czym otulił się szczelniej płaszczem, naciągnął kaptur na głowę i postął jeszcze chwilę pod oknem obserwując je spod oka. Gdy zauważył, że firanka w oknie drgnęła, odwrócił się i wolno poszedł w stronę bramy wyjściowej z portu.

W ciszy wieczora signor Albanti usłyszał za sobą skrzypnięcie otwieranej furtki. Jakaś ledwo widoczna we mgle postać w szerokim kapeluszu i czarnych szalach zatrzasnęła za sobą furtkę i spiesznym krokiem ruszyła w kierunku odległej bramy portowej, śladem człowieka w kapturze...

Kupiec zwolnił kroku. Gdy mijają latarnię, znaczącym gestem wyjął spod płaszcza żółtą, płaską torbę. Mnich przeszedł obok niego... Poznał żółtą torbę i znajomy płaszcz z kapturem. Ojciec Benedykt wiedział już, że to Luigi Grinelli, tajny wysłannik ojca Fulvia z Wenecji.

Teraz mnich szedł wolno, nie spiesząc się z przejściem tego ostatniego, nie oświetlonego odcinka pomiędzy latarnią i bramą w portowym ogrodzeniu, wiodącą na ulicę. Usłyszał za sobą lekkie, szybkie kroki i jego ręka poczuła przelotne dotknięcie chłodnych palców trzymających skórzaną rączkę torby. Torba ta momentalnie i niepostrzeżenie znikła pod habitem mnicha. Człowiek w płaszczu szybko, nie oglądając się, poszedł naprzód, minął halabardnika przy bramie portowej i zniknął we mgle.

Mnich nie zmienił obranego kierunku i długo jeszcze szedł ciemną, bezludną Charge Street, ściskając pod habitem skórzaną torbę. Doszedł wreszcie do ponurego budynku, gdzie mieścił się przytułek, i zapukał do drzwi bocznej oficyny. Odźwierny otworzył drzwi i burknął gniewnie: „Czego?”, ale gdy poznał gościa, powiedział grzecznie:

- A, to ksiądz dobrodziej. Sieroty nie mogą się już księdza doczekać. Proszę bardzo.

Dobry pasterz obszedł wszystkie sypialnie przytułku, porozmawiał z tym i owym ze starszych wychowanków, pobawił się z młodszymi, rozdał całą torebkę słodczy...

Szeroko po całym Bultonie rozchodziła się fama o miłosiernym sercu tego kapłana. Zarząd przytułku chętnie podtrzymywał legendę o „naszym świętym”, podnosiła bowiem reputację sierocińca, którego wychowankowie byli mizerniejsi i bledsi od kościanych figur w katolickiej kaplicy.

Spełniwszy swój chrześcijański obowiązek ojciec Benedykt zapragnął chwilę odpocząć. Jedną z dam-patronek sierocińca, małżonką bultońskiego pedagoga, mrs Chiswick, poprosiła ojca na górę, gdzie usiadł sobie cichutko w przytulnym saloniku. Gdy został sam, wyjął z zanadru żółtą skórzaną torbę, znalazł wsuniętą tam w pośpiechu kartkę papieru i przeczytał parę wierszy nakreślonych wprawna ręką po włosku:

*„Jestem śledzony. Poprzedni sposób doręczania nie jest bezpieczny. Proszę być z odpowiedzialnością dziś o dziesiątej wieczór na drugiej ławce po prawej stronie od wejścia na Oldport Square. Proszę potwierdzić odbiór dwu i pół tysiąca skudów. Nie zdążyłem ich wymienić na banknoty angielskie. Opuszczam Bulton bezzwłocznie.*

**Brat L. G.”**

Otworzył torbę mnich namacał grubą paczkę banknotów i białą kopertę z trzema pieczęciami, na których widniało odbicie miniaturowego wizerunku salamandry. Dokładnie taki sam symbol zdobił kamień jego pierścienia.

Zegar ścienny wskazywał dwadzieścia minut po ósmej. Gdy mrs Chiswick znów się zjawiała z filiżanką wonnej herbaty, ojciec Benedykt wyjął z kieszeni nieduży zwitek, skromnie przewiązany szpagatem.

- Czcigodna lady - rzekł swym głębokim, piersiowym głosem - moi parafianie znów okazali, w miarę swych możliwości, miłą Bogu hojność. Smutna dola tych maleństw bólem przejmuję moje serce, toteż bardzo proszę, by zechciała pani przyjąć, czcigodna lady, ten datek moich dobrych parafian na potrzeby przytułku. Jest tu szesnaście funtów, dziewięć szylingów i jedenaście pensów - wszystko, co zebrało się w puszcze w ciągu ostatniego tygodnia. A teraz, łaskawa pani, proszę na chwilę zostawić mnie samego, abym mógł pomodlić się do Boga o zesłanie łaski temu domowi...

Mrs Chiswick uroniła dwie łzy rozczulenia, które stoczywszy się z jej ostrego nosa zrosiły dar świątobliwego kapłana.



Gdy głęboko wzruszona dama opuściła pokój, ojciec Benedykt rozciął kopertę wążutkim sztyletem i przeczytał list Fulvia di Gracciolani.

Marszcząc i pocierając czoło patrzył potem, jak list i koperta z pieczęciami dopalają się w ogniu kominka. Następnie usiadł przy stole, obciął nożyczkami końce dwóch gęsich piór, przysunął sobie lak, piaskownicę, kałamarz, i napisał list. Roztopił lak nad świecą, zapieczętował list pierścieniem z agatową pieczętką, włożył list do żółtej torby, wyjął z niej paczkę banknotów i schował osobno pieniądze, a osobno torbę z listem w swych przepaścistych kieszeniach.

W stronę Oldport Square, rozciągającego się za ciemną fasadą katedry bultońskiej z jej dwiema spiczastymi wieżami, wlokła się jakaś staruszka w czarnej chuście i długiej salopie. Pusty o tej porze skwer oświetlały latarnie umieszczone w jego czterech rogach. Policjant wolno przechadzający się po placu podejrzliwie spoglądał na późnych przechodniów. Biedna staruszka musiała przejść pieszo kawał drogi, gdyż ciężko opadła na ławkę, drugą na prawo od wejścia, i żałośnie westchnęła.

Z wysokiej wieży katedralnej rozległo się dziesięć uderzeń zegara. W alejce ukazała się postać mnicha katolickiego w czarnym habicie. Policjant widział, jak mnich przechodząc obok ławki, na której siedziała staruszka zgięta pod brzemieniem lat i nieszczęść, ze współczuciem pokiwał głową. Widocznie nie potrafił przejść obojętnie obok ludzkiego cierpienia.

Przecinając plac policjant oddalił się i do uszu jego nie dotarł już prawie bezdźwięczny szmer słów wypowiedzianych przez mnicha:

- In nomine Jesu!

- Amen! - wionęło w odpowiedzi.

Staruszka jeszcze niżej pochyliła głowę i przyłożyła chustkę do oczu. Mnich zobaczył kosmyk siwych włosów wysuwający się spod czarnego szala i sinawy znak nad lewą brwią - ślad dawnej oparzeliny.

- Córkmo moja - powiedział głośno, a w jego niskim, melodyjnym głosie brzmiała nuta chrześcijańskiego miłosierdzia - weź tę sakiewkę. Nie znajdziesz w niej wiele, ale może i tych parę groszy przyda ci się w twojej gorzkiej niedoli. Zawsze zwracaj się do Boga w chwilach bólu i rozpaczy.

Staruszka osunęła się na kolana i ucałowała dłoń mnicha. Ten wręczył jej żółtą torbę, ze współczuciem pogładził po ramieniu, pomógł jej usiąść z powrotem na ławce i westchnąwszy poszedł dalej swoją drogą, pozostawiając kobietę na skwerze. Gdy ojciec Benedykt miał policjanta, który z daleka obserwował tę scenę, i spojrzał mu w twarz swymi dobrymi oczami, policjant skłonił się i bąknął wzruszony:

- Sir, chociaż jest pan - przepraszam za słowo - papistą, spełnił pan dobry uczynek. Patrząc na to miałem łzy w oczach.

Obejrzawszy się na staruszkę policjant bardzo się zdziwił chyżości, z jaką uradowana kobieta, przyciskając do piersi nieoczekiwany dar, zerwała się z ławki, przecięła plac i znikła za węglem katedry.

## 2

Po dziesiątej wieczór, gdy biuro porad prawnych na Garden Road odgrodziło się już od świata zewnętrznego zasuwami, okiennicami i nieprzeniknionym mrokiem, w pokoiku od tyłu siedzieli przy szachach Rangor Madżarami i jego starszy służący. W momencie gdy młody prawnik powiedział: szach, ktoś zapukał do zamkniętej okiennicy. Służący narzucił kaftan

obszuty skórzanymi wałeczkami zamiast galonów i podszedł do drzwi wiodących na tylny ganek.

- Kto tam? - spytał.

- Czeladnik majstra Maysona - odpowiedział mu rozdrażniony głos.

- Majster prosi, aby mu oddać jeszcze dziś jego należność, bo jutro rano musi zapłacić podatki.

- Kapitanie - szepnął mister Madżarami do ucha swemu służącemu - zdaje się, że to głos George'a Bingle'a.

Drzwi otworzyły się i jakaś ciemna postać, sapiąc i kaszląc, weszła po schodkach na ganek.

- Jak można niepokoić ludzi o tak późnej porze - głośno rzucił w ciemność służący. - Młodzi panowie już śpią. Mayson mógłby być trochę grzeczniejszy.

Gdy drzwi do tylnego ganku znów zostały zamknięte na wszystkie zamki i zasuwę, będące przedmiotem dumy frau Taube, przybyły szeptem spytał służącego:

- Nie ma u pana obcych na pokładzie, kapitanie?

Służący podniósł świecę ku twarzy gościa, po czym mocno potrząsnął jego ręką.

- W domu jest tylko Reginald. Skąd się tu wzięłeś, George? Co nowego przywozisz z Italii?

- Ważne nowiny, kapitanie Bernardito. Ale mam tylko półtorej godziny czasu. O północy muszę być na pokładzie „Króla Olafa”.

W kwadrans potem Bernardito Luiz i Reginald Murray wiedzieli o wszystkim, co działo się w ostatnich tygodniach w Livorno, Marsylii i Bultonie, a także zapoznali się z kopią przysłanej z Wenecji ojcu Benedyktowi. Następnie George wyjął z żółtej torby kopertę zapieczętowaną pierścieniem jezuitę.

- Niech mnie kule biją, jeśli moi uczniowie nie prześcignęli mistrza! Dokonałeś dziś niewiarygodnej rzeczy, drogi George! Wyprowadzić w pole ojców jezuitów. Nawet mnie to się jeszcze nigdy nie zdarzyło... A teraz zobaczymy, co pisze ojciec Benedykt do swego zwierzchnika, jego wielbności Fulvio di Gracciolani! Dawaj ten list! Nie ma już potrzeby z nim się cackać.

Bernardito sztyletem rozciął kopertę i począł czytać na głos włoski tekst:

*- „Przewielebny Ojcze! Otrzymałem wskazówki. Moja córka w Chrystusie znajduje się obecnie na pensji w Londynie. Jej ostatnia spowiedź wzbogaciła nas o bardzo ważne szczegóły. Otwarte niedawno w Bultonie biuro porad prawnych „Abrahams i Madżarami” to mistyfikacja. W rzeczywistości jest to gniazdo przeciwników Giacoma, tych samych, którzy wysadzili w powietrze Terpin-Bridge. Rzekomy Leo Noël-Abrahams przyznał się mej córce w Chrystusie, że jest synem Giacoma, Charlesem, który uratował się z bezludnej wyspy. Podczas niedawnych wypadków nazywał się on Alonso de Las Pados. Osobnik podający się za jego współnika to również członek sławetnej „komisji londyńskiej”, występujący wówczas pod imieniem Teodora de Cresy. Kim jest naprawdę, nie udało mi się jeszcze ustalić...”*

Twarz Bernardita zrobiła się straszna. Papier o mało nie wypadł mu z rąk, najwymyślniejsze przekleństwa posypały się jak śrut z rozdartego worka. Słuchającym go zdawało się, że sufit czernieje w oczach, a ściany runą lada chwila. Wreszcie, wyliczywszy wszystkich mieszkańców niebios, świętych i błogosławionych, wszystko, co żyje na lądzie, w powietrzu i wodzie, wszystkie najpotworniejsze monstra ze świata zwierząt, ryb i płazów, kapitan umilkł na chwilę, aby zaczerpnąć tchu, a potem z tym większą furią nanizać całą piękniejszą połowę rodzaju ludzkiego na ostrze ziemskiej osi i cisnąć ten gigantyczny rożen w ocean gorącej smoły. Reginald Murray skorzystał skwapliwie z tej króciutkiej przerwy.

- Niech pan już czyta to do końca, kapitanie! - powiedział bardzo miękko i poczerwieniał przy

tym aż po korzonki włosów.

- To nie przerywajcie, szczeniaki! - z wściekłością ryknął Bernardito, jakkolwiek w zapadłej ciszy nikt więcej nie odezwał się ani słowem. - Nie dam teraz złamanego szeląga, że się stąd wydostaniemy! Niech będą przeklęte babskie języki! Ja bym jej zaszył usta, tej smarkuli! Przecież ona nas pogrzebała z kretesem, caramba! - Kapitan odetchnął głęboko i znów podniósł papier do jedyne go oka:

- „...nie udało mi się jeszcze ustalić. Giacomo - w drodze do Italii. Na razie szczegóły te nie są mu znane. Ma on zamiar po powrocie do Italii udać się na bezludną wyspę. W wyprawie weźmie udział pięć, sześć okrętów.

Co do zleconego mi usunięcia spadkobierczyni uważam, iż bezwzględnie należy usunąć jednocześnie obu kalkuckich prawników. Nie potrafię oczywiście własnymi siłami wykonać tak poważnego zadania, toteż ustaliłem następujący plan działania: pomogę w ucieczce spadkobierczyni z obu młodymi dżentelmenami i rozpaliwszy gniew Giacoma, naprowadzę go na ich ślad. Wtedy on sam za jednym zamachem skończy z nimi. W razie potrzeby nietrudno już będzie wtedy zastosować dodatkowe środki.

*Pobłogosław, Przewielebny Ojczy, na to zbożne dzieło swego pokornego brata i niegodnego sługę bożego*

**B. M.”**

Tymczasem minęła już jedenasta. Każda minuta była droga. Ale kapitan nabił fajkę, rozpalił ją i skrył się w obłokach jak wierzchołek góry.

- Gdzie jest Charles? - szeptem spytał George Bingle Reginalda.

- U Mortona. Robi kopię jego dziennika.

Bernardito spiorunował ich wzrokiem, więc obaj spuścili oczy i zamilkli. Minęło chyba z pięć minut w absolutnej ciszy. Bernardito machnął fajką.

- Już wiem! - powiedział. - Pójdziemy znów na ogromne ryzyko, ale zrobimy ze wszystkim porządek. George, będziesz musiał odesłać do Marsylii swego „służącego” - Dicka Millsa. Niech razem z Anthonym i Tomem jadą do Wenecji, spotkają się w tajemnicy z doktorem Buotti i niech mu odkryją wszystko do końca. Poleć im w moim imieniu, aby czuwali nad bezpieczeństwem starego hrabiego Paolo.

- A jakie polecenie ma pan dla mnie, kapitanie?

- Ciebie, George, czeka podróż do Ameryki. Znajdziesz odpowiedni okręt w Calais, przeprawisz się przez Atlantyk i odszukasz w Filadelfii wdowę po Murrayu, mistress Emily. Powinna wrócić z tobą do Europy, posłużysz jej za opiekuna w podróży. I niech przyjeżdża z córką. Poślę jej jeszcze osobno list stąd. A teraz do widzenia, George. Pozdrów Dicka! Obaj powinniście jak najprędzej opuścić angielską ziemię.

Po północy bryg „Król Olaf podniósł żagle. Dziesięć minut przed odpłynięciem przyjął na swój pokład kupca florenckiego nazwiskiem Michele Albanti oraz jego służącego.

W oberży „Biały Niedźwiedź” służący znalazł na stole zapłatę za pokój, pod stołem zaś kilka drobiazgów podróżnych zostawionych przez gości. Jakież było jego zdziwienie, gdy wśród pozostawionych rzeczy znalazł kobiecą suknię, czarny szal i staromodną salopę, jakie zwykle noszą osoby, które przestały się interesować strojami i modą co najmniej ćwierć wieku temu...

### 3

W ostatnich dniach lipca 1790 roku wypłynął z Filadelfii amerykański czteromasztowy okręt handlowy „Karolina”. Wziął on kurs na wschód, podążając ku Wielkiej Brytanii.

Dwie kajuty w rufowej części „Karoliny” były zajęte przez angielskiego dżentelmena w średnim wieku, który odbywał podróż z czarującą młodą damą, widocznie w charakterze jej opiekuna. Młoda osóbką wyróżniała się wśród innych pasażerów lekkością i gracją ruchów, lecz widać było, że nie jest jeszcze całkiem oswojona z modnymi toaletami, koronkami i falbankami. Nad uroczą panienką czuwała nieustannie stara Murzynka Polly, ruchliwa, dobroduszna i bardzo gadatliwa osoba, które niezmiennie wpadała w przerażenie przy każdym plusku za burtą czy drganiu okrętu.

Fale oceanu - długie, z szerokimi bruzdami niby górskie przełęcz - toczyły się za okrętem jakby usiłując go dopędzić. Znikły już stada białych mew odprowadzających „Karolinę”... A nad starymi portami Europy, po drugiej stronie Atlantyku, krążyły inne stada mew w oczekiwaniu okrętu przybywającego z daleka...

Co dzień słońce wychodziło zza horyzontu naprzeciw okrętowi. Zapalały się i gasły gwiazdy nad potężnymi płótnami żagli, wolno, niby w zadumie płynęły obłoki. Wiatry ustępowały miejsca morskiej ciszy, chmury i mgły - przejrzystej niebieskości.

Niekiedy na skraju tej nieruchomej, a wiecznie zmiennej pustyni wyrastała sylwetka okrętu, przykuwając do siebie oczy. Długo odprowadzało się ją wzrokiem, aż wreszcie żagle napotkanego okrętu zniknęły i znów dokoła widać było tylko zamaszyste grzywy fal.

Jennie Murray pozowała w drodze George'owi do portretu. Malował ją w lekkiej sukni, na tle żagli i porannego morskiego pejzażu. Portret był już prawie gotów. Artysta wyniósł sztalugę na pokład i ustawił pod oknami swej kajuty, aby popracować nad tłem.

- O, George, pan przeniósł mnie w jakąś baśniową krainę!

Z przejrzystej złotawej mgielki tła wyłaniały się wieże i pałace zaiste baśniowego miasta. Prześwietlone słońcem fantastyczne korony drzew, błękitne zatoki z plamkami żagli i krążącymi nad wodą stadami białych ptaków, kwitnące łąki na zboczach gór. Na tym złotobłękitnym tle delikatnie rysowała się postać młodej dziewczyny, żywa, a zarazem głęboko symboliczna. Patrząc na obraz wyczuwało się kołysanie okrętu, który niósł ją ku wybrzeżom baśniowej krainy. Suknia dziewczyny trzepotała na wietrze, jej spojrzenie wybiegało naprzód, ku zbliżającemu się jasnemu brzegowi.

- Niech mi pan powie, George, czy jest gdzieś w świecie taki szczęśliwy kraj?

- To Miasto Słońca - poważnie odparł George - i jeśli go jeszcze nie ma, trzeba pomóc ludziom, aby je stworzyli. Starożytni Grecy zbudowali przecież swój Akropol na nagiej, bezwodnej i jałowej skale. I zrobili to rękami niewolników, pracujących pod knutem, nieszczęsnych niewolników z okowami na nogach. A Miasto Słońca będzie założone i zbudowane przez ludzi wolnych, którzy z własnej chęci zjednoczą się w bratnią społeczność.

- I wierzy pan, że to jest możliwe, George.

- Uczyniłem z tego cel mego życia.

- George, mój drogi, pragnąłby pan widzieć ludzi szczęśliwymi, lecz obawiam się, że to marzenie z góry skazane jest na to, by na zawsze pozostało marzeniem. Mój ojciec też marzył o takim mieście w Błękitnej Dolinie. Włożył w nie całą ambicję, oddał mu wszystkie swe siły, lecz... tak rzadko miewał chwile radości. Po koniec, opuściliśmy nawet stworzone przez niego miasto. Stało się bowiem takim samym przybytkiem niesprawiedliwości i okrucieństwa jak każde inne młode miasto w Ameryce. Gdzie, w której części świata, w którym kraju ma pan nadzieję zrealizować swoje marzenie?

- Miss Jennie, nie wiem, czy będę miał szczęście w pełni wcielić je w życie. Nie wiem, czy ujrzę Miasto Słońca ostatecznie zbudowane, ale zostanie ono założone! Upłynie być może dużo czasu, ale ten gród sprawiedliwości i swobody powstanie! I to nie w legendarnej Utopii, nie w krainie marzeń...

- Więc gdzie, George?

- Na dalekim Oceanie Indyjskim, na Wyspie Słonecznej.

Dziesięć obszernych dolnych sal Pałacu Marmurowego, w których ongiś odbywały się wielkie przyjęcia i bale, zamieniło się, dzięki doktorowi Buotti, w pałacowe muzeum. Obrazy, posągi, grawiury, drogocenne wyroby średniowiecznych rusznikarzy, dywany, porcelana, kolekcje kamei i emalii - wszystkie te skarby, wyciągnięte z piwnic i zakamarków pałacu, zostały udostępnione znawcom i miłośnikom sztuki. Rzadko który z podróżników wyjeżdżał z Wenecji nie obejrząwszy amfilady dolnych sal Marmurowego Pałacu. Zwiedzających, znawców sztuki, przyjmował sam kustosz zbiorów doktor Buotti, studentów zaś, ciekawych turystów czy wreszcie rodaków oprowadzał po dziesięciu salach pałacu stary Giovanni Polesta.

...Dwaj panowie o angielskich nazwiskach wydali się Giovanniemu godni szczególnych względów. Stary żałował, że signor Buotti wyszedł wczoraj wieczór z pałacu, zobowiązując służącego i pomocnika, aby nikomu nie mówił o jego nieobecności. Giovanni zaczął już wygłaszać przed dostojnymi gośćmi swój zwykły wstęp, że pałac właściwie jest prywatnym domem mieszkalnym, gdy naraz zaszło coś nieprzewidzianego: po stopniach frontowych schodów zbiegł służący w aksamitnym kubraku, szybko powiedział coś w przejściu do Giovanniego, po czym u góry schodów ukazał się wysoki, siwowłosy starzec. Polesta rzucił ostrzegawcze spojrzenie na gości i z okrzykiem „eccellenze” skoczył, by poprawić zagięty róg dywanu leżącego u stóp schodów. Za starcem szedł wysoki duchowny w czarnej jedwabnej szacie.

Majestatyczny starzec spojrzał na dwóch turystów stojących przed zamkniętymi drzwiami sali, odpowiedział na milczący ukłon gości i rzekł uprzejmie po francusku:

- Widzę, że panowie nie są tutejsi i pragną obejrzeć mój dom. Jeśli interesuje panów malarstwo, to wśród wszelkiego rodzaju bohomasów znajdziecie tu, panowie, dwa, trzy możliwe obrazy.

Tymczasem służący w aksamitnym kubraku wyszedł przed dom i zawołał do gondoliera, który drzemał na dziobie dużej czarnej gondoli, utrzymując ją przy brzegu bosakiem zaczepionym o miedziane brązowe kółko tkwiące w granitowej ścianie kanału. Gondolier przeskoczył na rufę i chwycił za wiosła. Służący rozpiął baldachim nad gondolą.

Starszy z gości, którzy tak nieoczekiwanie spotkali w westybulu samego pana domu, skłonił się dwornie i z lekka grasejując powiedział najczystszą włoszczyzną:

- Jeszcze w Anglii słyszałem o wspaniałych zbiorach dzieł sztuki w Marmurowym Pałacu hrabiów d'Ellano i jestem szczęśliwy mogąc osobiście poznać ekscelencję. Wasza miłość pozwoli, że się przedstawię: brytyjski żeglarz Frederick Riland.

- Sir Frederick Riland? Lord Chancefield? Admirał floty? - zdumiał się starzec. - Milordzie, pańska cudowna znajomość mego ojczystego języka czyni rozmowę z panem jeszcze bardziej przyjemną. Absolutnie zrezygnowałbym w tej chwili z wyjścia z domu, gdyby nie pilne wezwanie doży. Błagam, aby zechciał pan zaszczyścić mój dom powtórna wizytą. Przepraszam, że zapytam wprost: gdzie pan zatrzymał się w naszym mieście, lordzie Chancefield?

- Na weneckiej lagunie, hrabio.

- Przybył pan na okręcie? Czy długo pozostaje on na naszych wodach?

- To moja własna skromna łupinka, hrabio.

- Czy to przypadkiem nie brytyjski jacht „Krzyż Południa”, który wprawił w zachwyt wszystkich naszych znawców żeglarstwa?

- Tak, signore, tak się nazywa mój statek.

- Wielki Boże! Muszę się rumienić za to przyjęcie w westybulu, przed zamkniętymi drzwiami! Błagam pana, drogi lordzie, niech się pan rozporządza w tym domu jak w swoim własnym. Ojcie Fulvio, proszę zostać z milordem i zatrzymać miłego gościa choćby do

mojego powrotu. Niestety, ja już ryzykuję spóźnienie!

Z tymi słowami stary magnat serdecznie uściśnął kościste palce lorda-admirała i w towarzystwie wiernego sługi zajął miejsce w gondoli.

- Jak długo żyję, nie widziałem tak uprzejmego dżentelmena! - mruknął ryżowasy towarzysz lorda-admirała.

Wielebny ojciec Fulvio di Gracciolani, miękko ująwszy gościa pod rękę, powiodł go przez amfiladę frontowych sal. Obejrzawszy wszystko, na samym końcu milord zatrzymała się przed portretem nieżyjącej hrabiny Beatrycze. Brytyjski gość patrzył chwilę na jej olśniewające ramiona, na czarne, pełne życia, mądre oczy, po czym odwrócił się i z obojętną twarzą ruszył za mnichem ku wyjściu. Ojciec Fulvio poprosił milorda do jednego z pokoi na piętrze. Przy nakrytym stole krzątał się już młody, zręczny służący. Usadowiwszy gościa przy stole jezuita niepostrzeżenie zdjął z wskazującego palca pierścień z agatową pieczętką. Pewnym ruchem długich białych palców odchylił kamień i wyczuł pod nim miniaturową skrytkę...

Sługa podał wino i kielichy. Dwa jednakowe puchary, każdy wyrźnięty z jednej bryły górskiego kryształu, wzbudziły zachwyt gościa. Hrabia Chancefieldu wziął do ręki jeden z nich i przyjrzał mu się pod światło. Kunsztowny wzór musiał kosztować weneckiego szlifiera wiele żmudnej pracy! Tymczasem ojciec Fulvio, nie spuszczać wzroku z twarzy gościa, błyskawicznym ruchem nachylił pierścień nad drugim pucharem. Z pierścienia wypadło maleńkie przezroczyste ziarenko.

Gęsta i wonna struga stuletniego wina napełniła po brzegi oba puchary.

- Lafcadio - rzekł mnich do służącego - odsuń tę tacę. Niech wino troszkę się ustoi. Nie było nas jeszcze na świecie, milordzie - dodał marząco - gdy pracowity winiarz zebrał ten aromatyczny sok i ukrył beczkę w głębokiej piwnicy... Rocznik tysiąc sześćset dziewięćdziesiąty dziewiąty! Gdy opróżni pan ten puchar, signore, proszę go przyjąć na pamiątkę odwiedzin naszego domu.

Gość skłonił się.

- Mocno żałuję, wielebny ojcze, że obowiązki wzywają mnie już z powrotem... Bardzo chętnie spędziłbym jeszcze miesiąc nad Morzem Śródziemnym. Niestety, we Francji jakobini zagrażają znów tronowi, Flandria ogarnięta jest buntem i nad moją ojczyznę zbierają się chmury. Obowiązkiem brytyjskiego wojownika jest być w pogotowiu razem ze swym bojowym rumakiem! Dziś opuszczam Wenecję.

- A prośba hrabiego, milordzie? On mi nigdy nie wybaczy tak nagłego wyjazdu waszej lordowskiej mości! Jestem pewny, że zechce sam pokazać panu swój dom i zbiory.

- Nie jestem wielkim znawcą sztuki. Z całej galerii obrazów utkwiał mi w pamięci jedynie portret hrabiny d'Ellano.

- Pan zna jej historię? - skwapliwie spytał jezuita.

- Słyszałem coś o tym. Została zabita przez śpiewaczkę Franceskę Molla. Ale hrabina nie była jedyną ofiarą...

- Kogo ma pan jeszcze na myśli, milordzie?

- Syna śpiewaczki, Giacomą Mollę, obmierźłego pirata, który zginął niesławną śmiercią w bitwie morskiej, rzecz można, na moich oczach. Znam też jego historię... Hrabia d'Ellano na pewno nigdy nie wspomina o tej nieszczęśliwej latorośli?

- Przeciwnie, hrabia długo poszukiwał Giacomą Mollę.

- Ach tak? A czy znany mu jest pożałowania godny los jego syna?

- My... ukrywamy przed nim prawdę o Giacomo Molli. Jego serce mogłoby nie wytrzymać tak wielkiego wstrząsu.

Mnich wziął z tacy swój puchar, drugi podsunął gościowi i patrząc mu wprost w oczy, powiedział równym, choć pełnym smutku głosem:

- Ale hrabia Paolo jeszcze nie stracił nadziei na odszukanie potomków nieżyjącego syna.

Czeka ich ogromne dziedzictwo.

W oczach lorda Chancefielda zapaliły się szatańskie zielone ogniki:

- Ręczę, wielebny ojcze, że nigdzie na świecie nie znajdzie nikt tych potomków! Giacomo Molla zabrał ze sobą do grobu pamięć o sierocińcu, gdzie hrabia bez wahania pozwolił umieścić własne dziecko. Dalsze życie Giacoma Molli, po tych trzech fatalnych latach, było burzliwe, lecz budował je sam, bez ojcowskiej pomocy. Złoto, maszyny, niewolnicy - oto jego wiara, miłość i pocieszenie. Hrabiego d'Ellano spotkała kara - umrze on bezpotomnie. Rozumiem dobrze jego ból - sam bowiem straciłem jedynego syna, Charlesa Rilanda... To podobieństwo naszych losów, mojego i hrabiego d'Ellano, od dawna zajmowało moją myśl i rad jestem, że spotkałem się twarzą w twarz z takim samym nieszczęśliwym, samotnym człowiekiem jak ja...

- Nie sądzicie, abyście nie byli sądzeni! - uroczyście i z powagą rzekł spowiednik hrabiego i znów odstawił puchar na tacę.

Zielone ogniki w oczach milorda przypominały teraz migotanie źrenic rannego leoparda. Wolno, patrząc wprost w oczy jezuicie, powiedział akcentując każde słowo:

- Hrabia d'Ellano na zawsze stracił prawo nazywania Giacoma swoim synem. Signor Paolo odejdzie z tego świata bezpotomnie. Taki jest wyrok mściwego losu! Amen!... Ale, ale, wielebny ojcze, już od dłuższego czasu kusi mnie to cudowne wino! Już chyba się ustało. Za zdrowie ojca i długie życie naszego czarującego gospodarza!

Hrabia Chancefieldu wyciągnął rękę po puchar i już przytknął go do warg, gdy nagle twarz ojca Fulvio di Gracciolani przybrała wyraz zakłopotania.

- Drogi gościu, podczas gdy rozmawialiśmy, coś wpadło do pańskiego wina... Lafcadio, napełnij dla milorda inny kielich, a ten spłucz dobrze. Milord zrobił nam ten zaszczyt i przyjmie go na pamiątkę dzisiejszego spotkania.

Doktor Tommaso Buotti, do głębi wstrząśnięty tym, co usłyszał, i jeszcze niezdolny ogarnąć myślą wszystkiego, bezradnie przeniósł wzrok z jednego rozmówcy na drugiego. Spędził on tę noc bezsennie na rozmowie z trzema młodymi ludźmi. Spotkanie odbyło się w prywatnym weneckim domu, który ci młodzi ludzie obrali na swą kwatery główną.

Antonio Cenni otworzył na oścież okno. Strugi tytoniowego dymu popłynęły z pokoju w niebieskość lipcowego poranka.

- Teraz wie pan już wszystko, signor Buotti. Nie mogliśmy wcześniej wtajemniczyć pana w te szczegóły, gdyż do tej pory nie mieliśmy dostatecznych dowodów. Teraz ma pan przed sobą dokumenty: oto list Fernanda Diaza do lady Riland, oto kopia listu ojca Fulvia do jego bultońskiego agenta, ojca Benedykta Morsiniego, i w końcu oryginalna odpowiedź ojca Benedykta na pismo swego przełożonego... Okręt Grellego znajduje się w tej chwili, jak panu wiadomo, w weneckiej lagunie i zbrodniarz prawdopodobnie zechce odwiedzić dom swego ojca. Na razie nie wiemy dokładnie, jakie są jego zamiary wobec starego hrabiego, ale to się wkrótce wyjaśni. Rodzony syn Grellego, Charles Riland, przebywa obecnie w Bultonie, gotując się do ostatecznego starcia z chancefieldzkim potworem i tamtejszym pajakiem krzyżakiem w habicie. Ręka zemsty dosięgła jezuitę Luigi Grinellego pod Marsylią. Zabił on w kajucie na „Elmionie” zaangażowanego przez pana detektywa Crampflowa. Pieniądze, które mu pan wręczył, dostały się tej żmii ojcu Benedyktowi. To on bez wątpienia otrul moją nieszczęsną matkę Angelikę Cenni i teraz ma zamiar Izabelę Riland. Czekamy na pańską decyzję, signor Buotti! Thomas Bingle spojrzal na zegar.

- Przyjaciele, jest już dziewiąta! Jacht Grellego od trzech dni stoi w lagunie. Jego wizyta w Wenecji nie może być przypadkowa. Jeden z nas powinien wziąć okręt pod obserwację, a potem pędzić do Anglii, do starego, aby go zawiadomić o tym, co się tu dzieje. A więc, doktorze, czy udało się nam przekonać pana? Czy zechce pan działać zgodnie z naszym

planem?

- Panowie, wszystkie moje siły są do waszej dyspozycji!

- Wobec tego, signor Tommaso, trzeba pozostawić Antonia Cenni w Marmurowym Pałacu jako nowego pracownika muzeum, celem obserwacji jezuitów, a pan musi bezzwłocznie pojechać do Londynu. Generał Haverstone powinien odnieść się do pana z pełnym zaufaniem.

- Gotów jestem do wyjazdu choćby dziś, moi drodzy!

## 5

Generał Haverstone, szef tajnej kancelarii w ministerstwie wojny, przyjął w swym gabinecie londyńskim gościa z Italii. Rozmowa dobiegała już końca. Generał siedział z nieprzeniknioną twarzą i od czasu do czasu podnosił cygaro do ust, pilnie uważając, by nie spadł popiół z koniuszka długiej hawany. Doktor Tommaso Buotti nie mógł wyczytać z twarzy Anglika, czy traktuje on poważnie to, co usłyszał. Wreszcie popiół z cygara pacnął o papiery rozłożone przed generałem.

- Dziękuję za tak niezwykle informacje, doktorze, jednakże sam pan przyzna, że zarówno przedstawione przez pana dokumenty, jak i fakty wymagają dokładnego sprawdzenia.

- Ależ tym odważnym ludziom, którzy postanowili zdemaskować złoczyńcę, potrzebne jest pańskie poparcie, generale. Narażają się na śmiertelne niebezpieczeństwo w obronie swych słusznych praw. Cały łańcuch tajemnych zbrodni wiąże się z mrocznym zamkiem tego Cezarego Borgii naszych czasów: bankier Samuel Landy, adwokat Richard Thompson, sir Henry Blandhill, hrabia Elswick, nie mówiąc już o krwawej tragedii w Błękitnej Dolinie i ofiarach zamachu na Terpin-Brigde. Moi przyjaciele ułożyli śmiały plan zdemaskowania zbrodniczego samozwańca, lecz bez poparcia władz, chociażby nieoficjalnego, nie zdołają sami zadośćuczynić zdeptanej sprawiedliwości. W tym właśnie celu dostarczyłem panu wszystkie potrzebne dowody w postaci dokumentów.

Generał strzepnął popiół z papierów i znów je przerzucił jeden po drugim.

- Zobaczmy, co my tu mamy... List, który pisał pirat Fernando Diaz vel Rogers, vel Hanslow, vel Potter - do lady Rilanda. To oryginał... Kopia listu Mary Went do ojca... Kopia listu Fulvia di Gracciolani do ojca Benedykta... Kartka z podpisem „Ch” skopiowana przez Bingle'a, adresowana do kapitana Burnsa. Dwie kopie portretów w miniaturze: Giacomo Molla z matką z roku siedemset czterdziestego trzeciego i wicehrabia Chancefieldu z synem Charlesem z roku siedemset siedemdziesiątego drugiego. Portret sir Fredericka Jonathana Rilanda, wykonany w Kalkucie w siedemset sześćdziesiątym siódmym... Portret amerykańskiego senatora mister Alfreda Murraya wykonany w Filadelfii w osiemdziesiątym siódmym roku, na dwa lata przed jego śmiercią... Portret Thomasa Mortona... Portret Emily Gardy... Hm! Signor Buotti, powiem panu otwarcie: to wszystko jest... dość zagadkowe, ale nie są to jeszcze wystarczające dowody, że pirat Grelli przywłaszczył sobie tytuł i majątek sir Rilanda!

- Ależ, panie generale! - zawołał doktor Buotti. - Moi przyjaciele zadali sobie niemało trudu, by udowodnić niezbitą swoją słuszność. Wszystko jest ułożone w ten sposób, aby pan mógł schwytać mordercę i jego współników za rękę bezpośrednio na miejscu nowej zbrodni. Ażeby przekonać pana, generale, i pozyskać pańskie poparcie dla śmiałego planu kapitana Luiza, nie ograniczyliśmy się do wymienionych przed chwilą, leżących tu przed panem dokumentów. Mamy jeszcze jeden ważki argument. Na naszą prośbę przyjechał z Kalkuty sędziwy hinduski prawnik Mohandas Madżarami. Pozwolę sobie zwrócić uwagę, że człowiek ten nigdy nie widział obu portretów sir Rilanda leżących przed panem. Mister Madżarami czeka w hotelu na wezwanie. Czy zechce pan posłać po niego, panie generale?



Generał poprosił swego adiutanta, majora Bredda, i przedstawił mu włoskiego teologa.

- Panie majorze, proszę posłać mój powóz po pana Madżarami, adres - Tempie, hotel „Złoty Sokół”.

Czekając na świadka generał uważnie przeczytał wszystkie przedstawione dokumenty, marszcząc przy tym czoło i w głębokim zamyśleniu gryząc wygasłe cygaro. Doktor Buotti spędził dość męczącą godzinę na oglądaniu ścian i sufitu generalskiego gabinetu. Wreszcie major Bredd zameldował, że mister Madżarami jest w poczekalni.

- Prosić! - rzucił Haverstone.

Do gabinetu wszedł wysoki, chudy starzec w turbanie na głowie i długiej szacie przypominającej strój kapłana. Hindus skrzyżował ręce na piersi i skłonił się nisko przed brytyjskim oficerem. Generał wymienił swoje nazwisko i rangę.

- Przepraszam, że pozwoliłem sobie trudzić pana o tak późnej porze, mister Madżarami. Chciałbym zadać panu kilka rzeczowych pytań. Pan jest właścicielem biura porad prawnych w Kalkucie i nazywa się pan Mohandas Samuel Madżarami?

- Tak, sahib! - stary skłonił się jeszcze niżej.

- Od którego roku istnieje pańskie biuro w Kalkucie?

- Od tysiąc siedemset trzydziestego szóstego, sahib.

- Czy pan był jego założycielem?

- Tak, sahib. Ja i Salomon Noël-Abrahams wspólnie daliśmy początek istniejącej do dziś firmie.

- Jaką rolę odgrywał w niej mister Morton?

- Sahib, Pan Bóg nie obdarzył go zbyt wielkimi zdolnościami i mister Morton do końca swej pracy u nas był zwykłym solcitorem.

- Czy bultońska filia firmy - to rzeczywiście pańska filia?

- Sahib, przekonano nas, byśmy okazali pomoc w słusznej sprawie, nie wtajemniczając nas w szczegóły.

- Dziękuję panu. Czy znał pan osobiście sir Rilanda?

- Bardzo dobrze, sahib! I jak mi się wydaje, mam prawo twierdzić, że sir Frederick Riland żywił dla mnie ongiś sympatię. Znałem go niemal od dnia urodzenia.

- Mister Madżarami, jako osoba z racji swego urzędu stojąca na straży praworządności, proszę pana w imieniu prawa, aby dawał pan odpowiedzi zgodne z prawdą, niezależnie od pańskich osobistych poglądów i interesów.

Hinduski gość wyraził zgodę i został zaprzysiężony. Generał pytał dalej:

- Proszę mi powiedzieć, czy po objęciu dziedzictwa Rilandów przez sir Fredericka nie spotykał się pan z nim więcej?

- Nie. Tak się złożyło, że do czasu obecnej podróży do Europy nie opuszczałem Indii, a milord nigdy już nie wrócił pod rodzinne niebo.

- Zechce pan spojrzeć na ten portret. Poznaje pan, kogo on przedstawia?

- To mister Morton, sahib.

- A to?

Generał wziął ze stołu portret mężczyzny o orlim nosie, z krótkimi baczkami.

- Sahib, miałem już zaszczyt zapewnić pana, iż bardzo dobrze znałem sir Fredericka Jonathana Rilanda w czasach jego młodości. To jest jego wizerunek.

Generał odchrząknął i poprosił starca, by popatrzył na portret wicehrabiego Chancefieldu, wykonany w 1772 roku.

- A czy nie wie pan, kto to jest?

Stary Hindus długo i uważnie wpatrywał się w portret i w końcu pokręcił głową:

- Nie mam zaszczytu znać tej osoby, sahib!

Doktor Buotti spojrział spod oka na generała, z trudem ukrywając swój triumf. Późną nocą w hotelu „Złoty Sokół” zjawiał się jakiś oficer, który zapytał o włoskiego doktora teologii Tommaso Buottiego i poprosił, by go zaprowadzono do jego pokoju.

Służący poszedł z gościem na górę i wskazał mu drzwi numeru zajmowanego przez Włocha. Doktor Buotti pracował jeszcze przy biurku.

- Pan major Bredd? Od generała? Tak późno?

- Signor Buotti - rzekł nocny gość zamykając za sobą drzwi - generał postanowił okazać pomoc pańskim przyjaciółom. Sprawę chancefieldzką zlecono mnie i porucznikowi Brooksonowi. Ale, że widziano nas obu zimą w Chancefieldzie, teraz my, dwaj oficerowie tajnej kancelarii, będziemy zmuszeni działać pod postacią prostych służących. Mamy się trzymać ryzykownego planu zaproponowanego przez pańskich przyjaciół, aby schwytać Grellego i zbrodniczego jezuitę na gorącym uczynku... Czy rzeczywiście pan uważa, że córce i synowi Grellego grozi realne niebezpieczeństwo?

- Mister Bredd, ja osobiście widzę w tych młodych ludziach nie dzieci Grellego, lecz wnuki mojego patrona, hrabiego d'Ellano. Obojgu im grozi niechybnie ogromne niebezpieczeństwo, gdyż są oni jedynymi prawowitymi dziedzicami weneckiej fortuny, której - z obawy przed zakonem - wyrzekł się sam Grelle. Jezuita nie cofną się przed niczym, by usunąć oboje młodych ludzi - ową realną, żywą „groźbę” dla wymarzonych od dawna planów zakonu.

- No cóż, signor Buotti, to wszystko trzeba będzie sprawdzić. Jeśli pańskie przypuszczenia istotnie są słuszne, nie wolno dłużej zwlekać. Jadę do Chancefieldu, Brookson, mój pomocnik, przyjedzie później jako londyński „goniec od agenta”... Panu też radziłbym jak najprędzej zjawić się na polu walki, skoro tak bardzo wziął pan sobie do serca los dzieci pseudohrabiego. A więc do szybkiego zobaczenia w Chancefieldzie, doktorze.

## 6

Z końcem lata, gdy jabłka w angielskich sadach zarumieniły się i dojrzały, jacht „Krzyż Południa” powrócił do Londynu. W sierpniu okręt rzucił kotwicę u ujścia Tamizy. Lord Chancefield zastał żonę i córkę w trakcie przygotowań do wyjazdu - milady zapragnęła spędzić koniec sierpnia i wrzesień na łonie chancefieldzkiej przyrody. A że pilne sprawy zatrzymywały jeszcze małżonka na jakiś czas w stolicy, lady Ellen wyjechała do Chancefieldu w towarzystwie córki i kilkorga służby.

W Shrewsbury karety lady Riland i jej służby zatrzymały się na dziedzińcu oberży „Renifer”, aby po raz ostatni zmienić konie.

Lady Ellen, miss Trenborn i Izabela weszły do oberży. Ranek był chłodny, krople deszczu zacinały z ukosa w szyby i rozbijały się w drobny pył. W dużej sali płonął ogień na kominku. Siedział przy nim jakiś starszy pan o bardzo nobliwej powierzchowności, wyglądający na cudzoziemca, i własnoręcznie poprawiał ogień. Na widok trzech dam cudzoziemiec wstał, złożył ceremonialny ukłon i poprosił milady, by zajęła miejsce przy kominku. Jak się okazało, stary pan był francuskim rojalistą, normandzkim baronem, nazwiskiem Bernard de Bregny. Zmuszony był opuścić własny kraj, gdzie „zbuntowały się te kanalie”, jak się wyraził baron pod adresem francuskich chłopów. Stary baron jechał do Bultonu, by się tam spotkać z pewnymi emigrantami-rojalistami, którzy znaleźli schronienie w północnej Anglii. Baron władał dość dobrze angielskim. Lady Chancefield wymieniła swoje nazwisko, lecz gość najwidoczniej słabo się orientował w genealogii arystokratycznych rodów imperium wyspiarskiego, gdyż szlachtetne nazwisko milady nic mu nie powiedziało.

W toku dalszej rozmowy baron napomknął, że w jego misji jest zainteresowany dwór francuski, a nawet sama królowa Maria Antonina i jej najjaśniejszy brat, cesarz austriacki Leopold II...

- Ale i wam nie wolno pozostawać obojętnymi wobec naszych cierpień - z przejęciem mówił stary francuski arystokrata - albowiem i w waszym kraju zaczyna się rozprzestrzeniać niebezpieczny ruch, mający na celu zniesienie odwiecznych przywilejów wyższych warstw i wprowadzenie na ich miejsce teorii praw człowieka. Wasz rząd, prawo własności, religia i wszystkie inne formy tak drogie Brytyjczykom znajdują się w niebezpieczeństwie i mogą zostać zmiecione z powierzchni ziemi, jak się to stało w mojej ojczyźnie... Duch jakobinizmu przenika i do was...

Baron zauważył jednak, że rozmowa o polityce napawa lękiem i denerwuje hrabinę, więc czym prędzej zmienił temat i począł pytać o osobliwości Bultonu.

- Przepraszam, panie baronie, ale gdzie pan ma zamiar się zatrzymać? - spytała milady.

- Gdzie się da - odparł wesoło stary Francuz. - Myślę, że w tym starym mieście nie brak hoteli.

Obserwując barona z boku Izabela zauważała, że jego lewe oko jest dziwnie martwe i nieruchome, w przeciwieństwie do prawego, połyskującego żywym blaskiem.

- Czy nie zechciałby pan zatrzymać się w naszym domu? - zaproponowała hrabina. - Co prawda mieszkamy o dwanaście mil od Bultonu, lecz u nas miałyby pan większe wygody niż w hotelu. Za kilka dni powinien też wrócić do Chancefieldu mój mąż, by przygotować swe okręty do nowej wyprawy wojennej na Ocean Indyjski.

Gościnność milady wyraźnie uradowała i wzruszyła francuskiego arystokratę, który nie miał dość słów na wyrażenie swej wdzięczności.

Dla służącego barona, niemłodego, wysokiego człowieka imieniem François Boucher, znalazł się zapasowy wierzchowiec, a cały bagaż zmieścił się na tylnym stopniu drugiego ekwipażu. Sam baron zajął w karecie milady miejsce pokojówki, której hrabina kazała przenieść się również do tamtego pojazdu.

Dzięki ożywionej i interesującej rozmowie z gościem pozostała część podróży przeszła niepostrzeżenie. W Chancefieldzie emisariusz Marii Antoniny otrzymał dwa wygodne pokoje na piętrze. W pierwszym z nich, niewielkim saloniku, ulokował się służący François.

Przy kolacji pan baron de Bregny był nieco mniej ożywiony, skarżył się na ból głowy i pokaszliwał. Swego służącego wysłał do portu, by dowiedział się o przybyłe okręty. Służący wrócił z wiadomością, że do Bultonu zbliża się amerykański okręt „Karolina” z Filadelfii. Wkrótce po kolacji cały zamek chancefieldzki pogrążył się w ciszy, śnie i ciemności.

Rano, gdy lady Ellen zeszła na śniadanie, podszedł do niej służący starego Francuza i ze zmartwioną miną spytał, czy jest w Chancefieldzie lekarz. Jak się okazało, pan baron przeziębził się w drodze i musi pozostać w łóżku. Hrabina zaniepokoiła się, kazała zaraz zaprząć konie i posłała karetkę do Bultonu, po doktora Randolpha Gracewella.

Po południu chory poczuł się gorzej. Służący barona zawiadomił panią domu, że stan chorego budzi poważne obawy. Wysoka gorączka i inne objawy wskazują na zapalenie płuc. Monsieur de Bregny widocznie sam zdawał sobie sprawę ze swego stanu, gdyż za pośrednictwem François zwrócił się do hrabiny z pokorną prośbą o powiadomienie o jego chorobie miejscowego księdza katolickiego. Wkrótce potem lekki powozik przywiózł do Chancefieldu księdza z portowej kaplicy, ojca Benedykta Morsiniego. Służący barona przyprowadził mnicha do łóżka chorego. Stary rojalista leżał z na wpół przymkniętymi oczami.

Jego oddech był ciężki i przerywany. Ujrzawszy nieznanego mnicha dał służącemu znak oczami, by wyszedł.

- Proszę nachylić się ku mnie, wielbny ojciec - szepnął ledwo dostłyszalnie. Mnich pytającym wzrokiem patrzył na chorego. Ten wysunął rękę spod kołdry i ojciec Benedykt zobaczył na wskazującym palcu chorego pierścień z pieczętką, zupełnie podobny do pierścienia z salamandrą będącego w jego posiadaniu. Czyżby nowy wysłannik ojca Fulvia di Gracciolani?

- Ad majorem dei gloriam! - znacząco szepnął chory.

- Amen! - odparł mnich, nachylając się jeszcze niżej nad wezłowiem łóżka...

- Byłem niedawno w Wenecji i rozmawiałem z ojcem Fulvio. - Chory mówił z wielkim wysiłkiem. Głos miał bardzo słaby i ciężko dyszał, lecz starał się mówić wyraźnie. - Lord Chancefield odwiedził Marmurowy Pałac i był przyjęty przez hrabiego Paolo d'Ellano. Doktor Buotti wybiera się tutaj. Przybyłem wcześniej, by ojca uprzedzić. Ojciec Fulvio błogosławi twoje poczynania, wielcebnym ojciec, i prosi, by nie zwlekać z działaniem ani godziny...

- Przepraszam, panie baronie, czy ojciec Fulvio nie przekazał listu dla mnie?

- Okoliczności naszego spotkania wykluczały taką możliwość. Zamiast listu i hasła wręczył mi ten oto pierścień... Dalsza zwłoka grozi katastrofą naszej świętej sprawie... Ojciec Fulvio prosił, by ojciec nie tylko zatroszczył się o los swej córki duchowej, lecz również by nie zapominał o... kantorze prawniczym Noël-Abrahams i Madżarami. O ile zrozumiałem, uważa on, iż Leo Noël-Abrahams winien podzielić los spadkobierczyni...

- Panie baronie, czy nie męczy pana zbyt długo rozmowa?

- Ojciec Benedykcie, stoję na progu... I bardzo ojca proszę o powtórzenie ojcu Fulvio, że Bernard de Bregny spełnił przed śmiercią swój obowiązek...

Późnym wieczorem przybył do Chancefieldu doktor Randolph Gracewell. Był bardzo zmęczony i bynajmniej nie uśmiechała mu się perspektywa spędzenia bezsennej nocy u wezłowania umierającego cudzoziemca. Służący barona wprowadził doktora do pokoju. Światło kaganek padało na kotarę zasłaniającą łóżko chorego.

- Proszę zapalić więcej świec - rzucił doktor i podszedłszy do łóżka odsunął kotarę.

Ku jego niemałemu zdumieniu łóżko było puste. W tejże chwili doktor poczuł na ramieniu czyjąś ciężką dłoń.

Mrużąc krótkowzroczne oczy wpatrywał się w twarz wysokiego siwego mężczyzny, który stał w niewielkiej niszy ściennej za kotarą, obok łóżka. Był on w nocnej bieliźnie i szlafroku.

- Doktorze Gracewell - powiedział dziwny chory - wezwałem tu pana pod pretekstem choroby i tysiącrotnie proszę o przebaczenie, że pana niepokoiłem, lecz sprawa nie cierpi zwłoki. Chodzi o bardzo ważną tajemnicę.

- Kim pan jest? - Doktor doznawał uczucia bardzo zbliżonego do strachu. Tamten podniósł kaganek do twarzy.

- Doktorze! Stoi pan przed panem kapitanem Bernardito Luiz de Gorra!

Doktor Gracewell o mało nie usiadł na ziemi z wrażenia.

- Senior Gracewell - mówił dalej Bernardito - powinien pan zrozumieć, że nie zdradziłbym prawdziwego nazwiska, gdybym miał zamiar wyrządzić krzywdę prawnym gospodarzom tego domu. Niech pan siada o tu, w fotelu, zapali cygaro i wysłucha, co przywiodło mnie tutaj pod imieniem francuskiego rojalisty... A pan, majorze Bredd - zwrócił się „baron” do swego rzekomego służącego - niech pozostanie u drzwi i pilnuje, by komuś nie przyszło do głowy nas podsłuchiwać...

W trzy godziny potem doktor Gracewell wszedł do buduaru pani domu.

- Lady Riland - powiedział beznamytnym głosem lekarz - pani gość, baron de Bregny, ma ostre zapalenie płuc. Tak się składa, że niestety nie mogą pozostać w Chancefieldzie, a stan chorego wymaga nieustannej troskliwej opieki. Przyślę z Bultonu pielęgniarkę, lecz nie zdąży ona przyjechać wcześniej niż rano. Czy nie mogłaby miss Izabela posiedzieć trochę przy chorym? To znakomity arystokrata, a córka pani umie chodzić koło chorych.

Lady Ellen posłała po córkę i doktor powtórzył jej swą prośbę. Miss Izabela posłusznie udała się do pokoju chorego Francuza. Miss Trenborn przyrzekła, że zmieni wychowanicę po dwóch godzinach.

Ojciec Benedykt Morsini miał w zamku chancefieldzkim jakby własną rezydencję, którą już tradycyjnie zajmował od czasu, gdy jeszcze dawał lekcje łaciny małej spadkobierczyni Chancefieldu. Kiedyś w tej komnacie o lukrowanych oknach, na samej górze lewej zamkowej baszty, mieszkał i trudził się nad swymi rysunkami młody malarz Edward Moynes... Bywając

w Chancefieldzie ojciec Benedykt zatrzymywał się w tym odosobnionym pokoju, do którego prowadziły kręte żelazne schody. Służba zamkowa nazywała nawet ten pokój „celą” i rzadko kiedy ktoś tam zaglądał.

Tu, w swej „celi”, ojciec Benedykt czekał teraz na odjazd doktora Gracewella, by razem z nim zabrać się do Bultonu. Bardzo też chciał usłyszeć zdanie lekarza co do stanu swego znakomitego francuskiego współwyznawcy. Zeszedłszy na dół do jadalni dowiedział się od milady, że stan chorego jest groźny i że tymczasem rolę pielęgniarki wzięła na siebie miss Izabela. Ojciec Benedykt odszukał w hallu doktora czekającego na karetę.

- Szanowny mister Gracewell - zwrócił się do niego jezuita głosem, który zabrzmiał, jakby przesączył się przez szparę zamkniętych drzwi - czy pozwoli pan, że zabiorę się razem z panem do Bultonu?

- Proszę bardzo - obojętnym tonem odparł doktor. - Mam nadzieję, że nie będzie się ojciec zbyt długo zbierał do wyjazdu. Karetą wkrótce zajędzie.

Mnich spiesznie wszedł na górę. Nie poszedł jednak do swej „celi”, lecz do pokoju chorego Francuza. Przemknawszy się przez pierwszy pokój, gdzie drzemał François Boucher, ojciec Benedykt otworzył drzwi do sypialni barona. Na stoliku łóżka paliła się lampa. Jej światło padało na twarz dobrowolnej pielęgniarki miss Izabeli Riland.

Ojciec Benedykt nigdy jeszcze nie widział Izabeli w stanie tak głębokiego przygnębienia. Na pobladłym, mizernym obliczu dziewczynki Chancefieldu pojawił się nowy wyraz goryczy, trwogi i gniewu. Jej powieki były zaczerwienione i spuchnięte, oczy utraciły blask. Nawet wargi, jeszcze tak niedawno dziecięco pulchne, jak u wesołych aniołków z płócien włoskich mistrzów, stały się jakby węższe. Te zaciśnięte usta czyniły twarz Izabeli bardziej dorosłą, dojrzałą. Nie pozostało w niej nic z dziecięcej, beztroskiej niefrasobliwości.

Benedykt Morsini od razu się domyślił, że zmiana ta nie ma najmniejszego związku z bliską śmiercią starego Francuza. Izabela lekko spojrzała na chorego i gestem poprosiła mnicha, by odszedł jak najdalej od łóżka.

Mnich pokręcił głową. Uważał, że nie musi wystrzegać się uszu barona de Bregny.

- Możesz mówić spokojnie, moje dziecko. Dusza tego człowieka puka już do bram niebieskich i to, co ziemskie, jest już jej obce.

- Ojcze, jestem w strasznej rozterce. Przedstawiono mi nieodparte dowody, że człowiek, który występował pod nazwiskiem Alonso de Las Pados, a dziś nazywa się Leo Noël-Abrahams, istotnie jest moim rodzonym bratem Charlesem Rilandem.

- Bello, domyślałam się, że byłaś u nich, w tym... rzekomym biurze?

- Tak, ojcze, wczoraj widziałam się z bratem... Boże, już mi życie niemiłe! Z dnia na dzień to wszystko staje się straszniejsze i bardziej niepojęte... Wczoraj Charles pokazał mi swój medalion. Nie ma wątpliwości, że ten człowiek to mój brat. Podeszliśmy oboje do zwierciadła... Boże! On jest o wiele ładniejszy ode mnie, ale mamy oboje te same rysy!... Chciałabym uciec od ludzi... Nie mogę już dłużej!

Izabela odwróciła głowę i wybuchnęła łkaniem. Chory poruszył się w łóżu i głęboko, ciężko westchnął. Słowa dziewczyny były chaotyczne, lecz ojciec Benedykt uchwycił ich sens. Delikatnie dotknął jej ramienia i miss Izabela odwróciła ku niemu udręczoną twarz,

- Powiedz mi, moja umiłowana córko w Chrystusie, czy twój brat wie, że... nic nie zataiłaś na spowiedzi przed swym ojcem duchownym?

- Tak, ojcze. Charles o tym wie i bardzo się wstydzi swej poprzedniej nieufności. Zrozumiał, jak głęboko się mylił, inaczej przecież już dawno byłby schwytyany... A jego zamiary... Boże mój, nie mogę nawet powtórzyć tych strasznych słów...

- Co ci powiedział twój brat?

- Charles błaga mnie, abym opuściła ten dom. Jeśli mam wierzyć bratu, nasz ojciec to straszny zbrodniarz, morderca, złodziej, który ukradł cudze nazwisko. Charles chce zdemaskować jego wieloletnie oszustwo. Wysłał już pismo do Londynu.

- Pismo do Londynu? I podał w nim swe prawdziwe nazwisko? Do kogo wysłał to pismo?

- Do generała Hawerstone'a. Ale napisał do niego jako prawnik Leo Noël-Abrahams i zapowiedział generałowi ważne odkrycia, których jednak nie mógł przedstawić pisemnie. Hawerstone prawdopodobnie przyjedzie do Chancefieldu. Charles jest przeświadczony, że nasz ojciec nie cofnie się przed niczym, gdy wybiję godzina obrachunku.

- Izabelo, jeśli istotnie w Chancefieldzie mają się rozegrać tak groźne wypadki, jestem skłonny zgodzić się z twoim bratem, że powinnaś opuścić ten dom. Lecz w jaki sposób Charles ma zamiar zorganizować twój wyjazd?

- Towarzyszyć mi będzie Nal Rangor Madżarami, to znaczy kawaler de Cresy, jak się nazywał, gdy był pierwszy raz w Bultonie.

- Powiedz mi, Bello, czy twój brat powiedział ci, jakie jest prawdziwe nazwisko tego kawalera?

- On się nazywa... Reginald Murray. To syn mister Alfreda Murraya, człowieka, którego mój ojciec pozbawił nazwiska, majątku, narzeczonej i porzucił umierającego na bezludnej wyspie. Charles ma zamiar przywrócić Reginaldowi prawo do wszystkiego, co utracił jego ojciec.

- Moje dziecko, ale jakie są dalsze plany twego brata? Czyżby miał zamiar zrzec się swojej części Chancefieldu? A może on liczy na... jakiś inny majątek?

- Nie, ojczu, Charles przysiągł sobie, że restytuuje prawa Reginalda do tytułu i majątku jedynie w imię sprawiedliwości. A sam pragnie wrócić na daleką wyspę na Oceanie Indyjskim. On ma bardzo mądrego, czytanego przyjaciela. Nazywa się George. Razem postanowili założyć jakieś Miasto Słońca dla nieszczęśliwych ludzi... To miasto ma się stać królestwem światła, sprawiedliwości i braterstwa. Wszystkie bogactwa mają tam być rozdzielone równo między wszystkich ludzi.

- To bardzo niebezpieczne pomysły, moje dziecko. Pan Bóg nie stworzył swych dzieci równymi i uświęcił podział ludzi na biednych i bogatych.

- Obawiam się, że Charles nie bardzo jest mocny w wierze... Ale, ojczu, chory dyszy coraz ciężiej.

- Widocznie jego koniec się zbliża... Bello, popieram twój zamiar opuszczenia Chancefieldu. Na pewno Reginald Murray chce uciec z tobą na jakimś okręcie?

- Wielebny ojczu, proszę nie wymieniać tego nazwiska... Niech nawet ściany słyszą tylko imiona: Leo Noël-Abrahams i Nal Rangor Madżarami... Tak, ojciec jak zawsze słusznie przewidział. Brat i jego przyjaciel proponują mi ucieczkę na portugalskim okręcie „Santa Rosa”. Odpływa on z Bultonu w niedzielę.

- W niedzielę? To znaczy za dwa dni? Kiedyż więc opuszczasz ojcowski dom i gdzie masz zamiar czekać na odpłynięcie okrętu?

- Gdziekolwiek w porcie. Mam się przebrać w męski strój i jutro w sobotę, spotkać się z Reginaldem.

- Bello, pomogę ci! Plan twego brata jest naiwny. On nie wie, że w porcie aż się roi od szpiclów. Natychmiast was schwytają i gniew twego ojca zwróci się przeciwko obu młodym ludziom, którzy - jak mi się wydaje - stali się bliscy twemu sercu. Do czasu odpłynięcia okrętu ukryję was w mojej kaplicy. Nikt was tam nie będzie szukał. Mój służący Gregory zostanie o wszystkim uprzedzony. W nocy z soboty na niedzielę niepostrzeżenie odstawi was na pokład portugalskiego okrętu... Ale słyszę, karetę już zajechała. Doktor Gracewell obiecał, że mnie odwiezie do miasta... Izabelo, niech cię Bóg błogosławi za chrześcijańską pomoc choremu... Jutro rano tu będę...

Gdy ojciec Benedykt zeszedł na dziedziniec, doktor Gracewell już wsiadał do karety. Nim jednak ruszyli z miejsca, w otwartą bramę wjechała wolno zakurzona dorożka. Oba ekipaże rozminęły się w alei. Doktor Gracewell i ojciec Benedykt dojrzeli jeszcze przez okno karety nieznanego gościa, który zeszedł ze stopnia powozu na kamienne schody podjazdu. W świetle dwu latarni zawieszonych nad gankiem odjeżdżający zobaczyli niewysokiego,

corpulentnego mężczyznę w zwykłym stroju uczonych włoskich teologów.

Ojciec Benedykt domyślił się, że do Chancefieldu przybył doktor Tommaso Buotti. Nie wolno dłużej zwlekać! Los dziedziczki Chancefieldu i jej brata został bezapelacyjnie przesądzony: oboje muszą natychmiast... zniknąć!

W sobotę wieczór mister Gregory Webst, zakrystian portowej kaplicy katolickiej, przechadzał się pod drzwiami owej malutkiej świątyni. Kaplica była otwarta, lecz tym razem wierni musieli zadowolić się modlitwą przed statuą Matki Boskiej, gdyż - jak tłumaczył Gregory - choroba nie pozwoliła ojcu Benedyktowi na odprawienie wieczornego nabożeństwa.

Wreszcie Gregory zabrał się do zamykania i gaszenia świec. Przymknął jedno skrzydło drzwi, gdy do kaplicy nieśmiało zajrzeli dwaj młodzi Włosi. Pierwszy z nich był wysoki, silnie zbudowany i patrzył na świat boży wielkimi oczami rzadko spotykanej fiołkowej barwy, barwy porannej morskiej dali. Drugi młodzieniec odznaczał się wdziękiem, smukłą sylwetką i niezwykle subtelnymi rysami twarzy. Był ubrany w aksamitną bluzę, jakie często noszą artyści-malarze, kędzierzawe zaś włosy miał ściągnięte czerwoną chustką.

Mister Gregory czekał widocznie na przyjęcie tych młodych ludzi, szybko bowiem zamknął od środka drzwi na zasuwę i zakrztałnął się przy żelaznej płycie tworzącej jakoby szeroki stopień u progu. W metalowe kółko na płycie włożył nieduży żelazny łom i z wielkim trudem ruszył płytę z miejsca. Widząc jego wysiłki rosły młodzieniec wziął od niego łom, nacisnął kolanem i żelazna płyta odsunęła się do połowy odsłaniając czarną czeluść podziemia. W świetle świec ukazał się górny stopień żelaznych schodków wiodących w dół.

- Wszystkie wasze rzeczy są już tam - szepnął Riland. - Biercie świece i zejście na dół. Zimno tam i wilgotno, otulcie się dobrze płaszczami. Na samym dole znajdziecie drzwi.

Nie namyślając się długo młodzi ludzie zeszli po schodkach, oświetlając sobie drogę świecami. Schodki kończyły się przed ciężkimi żelaznymi drzwiami z zasuwą. Rosły signor, który szedł pierwszy, odsunął ją i wprowadził swego młodziutkiego towarzysza do podziemnej kryjówki pod kaplicą.

Stojąca pod ścianą szeroka ława przykryta była wełnianym pledem, a pod ławą, na kamiennej posadzce, leżały dwa nieduże, starannie przewiązane pasami podróżne worki.

Wysoki młodzieniec rozpakował jeden z nich, troskliwie usadowił swego towarzysza na ławie, od stóp do głów otulił go płaszczem, przysunął do ławy niewielki stolik i ująwszy w swe dłonie obie jego ręce, z zapalem począł je rozcierać i gładzić.

- Jutro odstawię was na okręt „Santa Rosa” łodzią ojca Benedykta - powiedział zza drzwi Webst zasuważąc rygiel.

- Gregory! - zawołał towarzysz Izabeli. - Dlaczego zamykacie drzwi?

- Tak mi nakazał ojciec Benedykt. Gdyby policji wpadło do głowy zajrzeć tutaj, znajdzie je zamknięte, a ja już potrafię ich przekonać, że tych drzwi nie otwierano od wielu, wielu lat.

## **Polowanie na leoparda**

### **1**

Kareta z lwem na giętych drzwiczkach minęła już most na Chansy i zbliżała się do „Wesołego Buldoga”. Konie szły kłusem, żelazne obręcze kół monotonnie i nieznośnie turkotały po bitym trakcie.

- Zjedź na polną drogę, już mam dość tego trzęsienia od samego Londynu - powiedział do stangreta pan Chancefieldu.

Lewe okno karety było opuszczone. Hrabia Chancefieldu widział sylwetki obu baszt swego domu rysujące się w dali, na tle wieczornego nieba.

W tej chwili jakiś jeździec dopędził karete, która już zjechała z traktu i toczyła się teraz po ledwo widocznych koleinach polnej drożki, służącej do zwózki siana z łąk. Zrównawszy się z kareta jeździec ów wstrzymał spienionego wierzchowca i nachylił się do otwartego okienka. Lord-admirał nie znał tego człowieka. Jeździec przedstawił się jako służący mister Clancha, londyńskiego agenta jego lordowskiej mości.

- Pilna wiadomość od mister Clancha, wasza miłość. Mister Clanch nakazał mi, abym bezwzględnie dogonił waszą miłość jeszcze w drodze!

- Jedźcie naprzód, uprzedźcie o moim powrocie - powiedział hrabia, odchylając się na oparcie siedzenia.

W karecie było ciemno, nie mógł więc od razu przeczytać listu. Jak każdy inny śmiertelnik lord-admirał poczuł nieprzyjemny chłód trwogi. List zawiera widocznie bardzo ważne wiadomości, skoro londyński agent uważał za konieczne wysłać w ślad za kareta specjalnego gońca...

Tymczasem dom i park w dali stały się zupełnie czarne, zlewając się w jedno. Nad wieżyczkami obu baszt zamigotały gwiazdy na granatowym niebie. Tu i ówdzie w oknach górnego piętra błyskało światło. Parter nie był oświetlony albo też okiennice nie przepuszczały światła na zewnątrz.

Przy głównej bramie, rozwartej na oścież, stał siwy odźwierny. Staruszek uklonił się nisko swemu panu. Czwórka koni wpadła w bramę i pomknęła łukowatą aleją. Hrabia Chancefieldu wyjrzał przez okno karety, lecz nie zobaczył nikogo na stopniach frontowego podjazdu.

W mrocznym hallu kopcił nad wieszakiem jakiś nędzny ogarek; stary majordomus ledwo zdążył zapalić dwie świece w kinkietach i odebrał od swego pana płaszcz i kapelusz.

Zdziwiony i zirytowany tym przyjęciem lord Chancefield spytał krótko, czy milady jest zdrowa. W tej chwili hrabina ukazała się w progu. Małżonek od razu zauważył, że jest czymś rozgniewana i zmartwiona.

- Niezbyt uroczyste przyjęcie zgotowałaś mężowi, Nel! - powiedział głośno. - Do diabła, nie poznaję...

- Ciszej, na miłość boską, ciszej, Freddie! - przerwała mu lady Ellen. - W domu pełno obcych ludzi... Mamy gości...

- Co za goście, u licha?

- Freddie, zatrzymał się u nas pewien francuski baron... Niestety chciało, że ciężko się rozchorował i zdaje się umiera... A wczoraj wieczorem, wprost z Italii, przybył uczony teolog włoski, doktor Tommaso Buotti. Mówił, że przysłał go do ciebie hrabia Paolo d'Ellano, patrycjusz wenecki, którego odwiedziłeś będąc we Włoszech.. Zresztą to wszystko nieważne. Mamy większe zmartwienie...



Milady pociągnęła męża do jego pokoju myśliwskiego, gdzie kamerdyner zapalił już świece w kandelabrach. Hrabia ze zmarszczonymi brwiami patrzył w oczy żony. Lady Ellen poczęła mówić spiesznym szeptem:

- Freddie, Izabela nie wróciła dziś z przejażdżki konnej. Miss Trenborn już od paru dni zauważyła, że Bella jest dziwnie przygnębiona, a przed dzisiejszą przejażdżką była podobno zaalterowana i blada. Pojechała jak zawsze z groomem. W lesie chancefieldzkim spotkała się z jakimś jeźdźcem, który najwidoczniej tam na nią czekał. Groom nigdy przedtem go nie widział. Izabela odesłała grooma do domu i nie wróciła do zamku.

- To trzeba, do diabła, przetrząsnąć całą okolicę! Może się z dziewczyną coś stało? Dlaczego ten bałwan groom...

- Ciszej, Freddie, w domu są obcy. Od razu posłałam go z powrotem do lasu, lecz nie zastał tam już ani Izabeli, ani jej kawalera. Siady wskazywały, że wyjechali na szosę i skierowali się w stronę miasta.

- Ładna historia! Tak jej pilnuje ta stara idiotka Trenborn, żeby ją wszyscy diabli! Posłałaś do Bultonu?

- Ty sam pozwoliłeś córce na te zwariowane konne przejażdżki... Nie posłałam nikogo do Bultonu.

- Dlaczego?

- Odradził mi to stanowczo ojciec Benedykt.

- Ach tak! Gdzie on jest?

- Na górze, u chorego barona.

- Po diabła ci ten baron? Skąd on się wziął w naszym domu?

- To dworzanin francuskiej królowej, Freddie, bardzo ważna figura. Zawarliśmy znajomość w podróży i nie mogłam nie ofiarować mu gościny. Zachorował najzupełniej niespodzianie. Ale posłuchaj, Izabela zostawiła w swoim pokoju list do ciebie. Masz, zobacz, co pisze twoja córka.

Lord-admirał chwycił list, otwarty już przez żonę.

### **„Drogi ojcze!**

*Spędziłam parę dni w bardzo bolesnej rozterce i postanowiłam opuścić twój dom, dopóki nie udowodnisz, że masz prawo do tej majątności i że nazwisko, które nosisz, jest twoim prawdziwym nazwiskiem.*

*Przedstawiono mi dowody twoich ciemnych i strasznych postępów wobec prawowitych dziedziców. Musisz wykazać bezpodstawność tych ciężkich zarzutów, inaczej na zawsze utracisz szacunek swej nieszczęsnej córki.*

**Izabela”**

Pan Chancefieldu zmełł w ustach przekleństwo i zgniółszy papier cisnął go w zimny kominek.

- Gdzie jest ta jezuicka żmija? - wysyczał. Sam w tej chwili przypominał boa dusiciela gotowego połknąć tuzin królików. - Albo nie, pokaż mi wpierw tego Francuza, tego „umierającego” Francuza, niech go piorun strzeli! Czyś ty przypadkiem nie wprowadziła mi do domu trojańskiego konia?

Mocno utykając milord pędem pobiegł na górę. Milady Ellen szeleszcząc suknią pospieszyła za nim. W dolnej jadalni zegar wydzwonił jedenastą. Hrabia rzucił niecierpliwie, zduszonym głosem:

- Idź do jadalni, Nel, proś Buottiego na kolację i nie spuszczaaj z niego oka. To

prawdopodobnie też nieprzypadkowy gość!

Bez pukania pchnął drzwi do pierwszego z pokoi zajmowanych przez barona. Służący barona, François Boucher, chlapał trzymając przy oczach dużą fularową chustkę. Na widok milorda zerwał się zmieszany. Pan domu obrzucił go ponurym spojrzeniem i skierował się wprost ku drzwiom wiodącym do drugiego pokoju. François uczynił ruch, by go powstrzymać przed nieostrożnym wtargnięciem do chorego, lecz hrabia już otworzył drzwi.

Od progu uderzył go w nozdrza ciężki zapach kamfory, mięty i spirytusu. Młodziutka pielęgniarka wzdrygnęła się ujrawszy nagle przed sobą złą, drgającą nerwowo twarz przybyłego. Z jej kolan stoczył się na ziemię kłębek białej wełny, robótka wypadła z rąk. Na nocnym stoliku przy łóżku, pośród butelek i słoików, paliła się świeca. W głębi pokoju oderwała się od ściany niewysoka czarna postać. To ojciec Benedykt uczynił krok w stronę hrabiego, lecz dojrawszy wyraz jego twarzy, zamarł w miejscu.

Hrabia chwycił lichtarz i gwałtownie szarpnął kotarę u łoża. Zobaczył nieruchomą twarz starego człowieka ze szklistym okiem. Czoło i drugie oko zakrywał pęczek z lodem. Z na wpół otwartych ust wyrwał się nierówny, chrapliwy oddech. Człowiek ten najwyraźniej umierał. Mnich podszedł do łóżka, nakreślił w powietrzu znak krzyża i ostrożnie poprawił kotarę osłaniając twarz chorego przed światłem.

- Ojczy Benedykcie, proszę zejść ze mną na dół - odezwał się milord, z trudem ścisząc głos. Tym samym szybkim krokiem przemierzył pokój i nie oglądając się ruszył korytarzem. Za nim spieszył pokornie mnich z szeroko rozwianymi rękawami habitu.

W dolnych pokojach, w okolicy kredensu, nawinął się hrabiemu na oczy posłaniec od londyńskiego agenta Clancha. Dopiero widok tego człowieka w zakurzonej kaftanie podróżnym przypomniał hrabiemu o liście pozostawionym w kieszeni płaszcza. Wepchnąwszy nieomal jezuitę do pokoju myśliwskiego hrabia posłał kamerdynera po ten list i groźnie spojrzął na mnicha. Na twarzy ojca Benedykta malował się smutek i pokora. Hrabia gotów był chwycić go za gardło.

- Dlaczego ojciec przeszkodził żonie w poszukiwaniach Izabeli? - spytał z wściekłością. Brev mu drgała, miał wykrzywione usta i straszne oczy. - A może to ksiądz sam jej poradził by potajemnie uciekła z domu?

- Poparłem ten zamiar, mój synu.

Hrabia uchwycił mnicha za ramię z taką siłą, że przygiął go ku ziemi.

- Ojczy! Bóg świadkiem, że sam gotujesz sobie marny los!

- Służę Bogu i życie moje jest w jego rękach, podobnie jak życie pańskiej córki. Mnie grzesznemu udało się zapobiec próbie Izabeli skończenia z sobą i uznałem za wskazane użyć jej chwilowego schronienia. Tam jej dusza odnajdzie spokój pod moim okiem i córka wróci do pana, milordzie, gdy się pan rozprawi ze swoimi wrogami.

Słowa mnicha brzmiały tak szczerze, że hrabia puścił jego ramię.

- Z wrogami? Z jakimi wrogami?

- Synu mój, otacza pana cała sieć intryg. Wrogowie skradają się pod osłoną nocy, lecz przysięgam na świętego Ignacego, że nie znajdzie pan w tej chwili wierniejszego sojusznika i przyjaciela niż ja, pokorny sługa boży. Tak mi nakazuje nie tylko obowiązek chrześcijański, ale i mój wysoki duchowny zwierzchnik.

- Proszę mi powiedzieć, kim jest ten umierający Francuz?

- Milordzie, panu jednemu mogę zdradzić tę ogromną tajemnicę. Bernard de Bregny to syn tajnego zakonu, taki sam jak i ja, tylko o wiele bardziej potężny i wybitny. To wysłannik przewielebnego ojca Fulvia di Gracciolani. Nawet zbliżająca się śmierć nie przeszkodziła temu żołnierzowi Chrystusa w wypełnieniu bardzo ważnej misji. Jego chwile są już policzone, tylko dusza męcząco długo rozstaje się z ciałem.

- Przepraszam za moje zachowanie, ojczy Benedykcie. Nigdy dotychczas nie miałem powodu żałować okazanego ojcu poparcia. Zaraz ojca wysłucham, tylko przeczytam pewien pilny list.

Rozerwawszy zmiętą kopertę, przyniesioną do gabinetu przez kamerdynera, milord przeczytał:

**„Drogi sir!**

*Posyłam do pana swego służącego, aby jak najszybciej pana zawiadomić, że generał Hawerstone wyjechał dyliżansem do Bultonu. Towarzyszą mu dwaj oficerowie. Wyjechali w wielkim pośpiechu i jeśli nie dogonią pana w drodze, przybędą na miejsce najdalej w parę godzin po panu.*

*Generał Hawerstone przyjął w tych dniach tajnego posłańca z Chancefieldu.*

### ***Clanch, londyński agent Kompanii Północnobrytyjskiej***

- A niech to wszyscy diabli! - zirytował się hrabia. - Wygląda na to, że ojciec ma słuszość. Moi wrogowie nie śpią. Ucieczka Izabeli, przyjazd Buottiego, wyjazd do Bultonu oficerów tajnej kancelarii...

- Zapomniał pan jeszcze o... otwarciu w Bultonie podejrzanego biura i przyjeździe prawników z Kalkuty, mój synu!

- Tak, cały spisek... Nie darmo ci prawnicy od razu wydali się niebezpieczni staremu Mortonowi... Podeszli nas! Ale my jesteśmy od nich silniejsi, do diaska! I jeśli znów za jednym zamachem da się skończyć z tym całym kłębowskiem...

- Jestem szczęśliwy, milordzie - służalczym i lęklwym tonem wtrącił ojciec Benedykt - że się pan otrząsnął z przykrych uczuć i odzyskał swą zwykłą energię i zdecydowanie wojownika...

- Zaraz, ale nie bardzo jest dla mnie jasny ich plan... Czy ojciec wie coś więcej?

- Wiem wszystko, mój synu, absolutnie wszystko! Szczerość miss Izabeli pomogła mi przejrzeć całą grę pańskich przewrotnych wrogów, milordzie. Proszę zobaczyć ten list...

Ojciec Benedykt wyjął z kieszeni papier z naklejonymi strzępami listu dwóch kawalerów, adresowanego do dziedziczki Chancefieldu. Hrabia przeczytał list i znów poczęła mu drgać brew.

- Na litość boską, niech pan zachowa spokój, milordzie! - błagalnym tonem szepnął jezuita. - Zetrze wrogów w pył pańska potężna prawica, jeśli tylko nie da się pan ponieść uczuciu sprawiedliwego gniewu... Ten list był pierwszym ogniwnem spisku. Ostatnie ogniwo pomogła mi odkryć znów ta sama szczerość pańskiej córki wobec pokornego sługi bożego. Ci młodzi ludzie, Alonso de Las Pados i Teodor de Cresy, przyjęli następnie postać prawników z Kalkuty, Leona Noël-Abrahamsa i Nala Rangora Madżarami.

- A kim oni są w rzeczywistości?

Odpowiedź jezuita była dobrze przemyślana. Gniew rozwścieczonego milorda należało zwrócić przeciwko... jego własnemu synowi. W tym celu trzeba było chytrze wprowadzić ojca w błąd, przedstawiając Charlesa jako inną osobę, nienawistną dla pseudohrabiego.

- W rzeczywistości... to pańscy najzacieklejsi wrogowie, milordzie! To oni wezwali do Chancefieldu generała Hawerstone'a. Leo Noël-Abrahams - to Diego Luiz, syn pirata Bernardita Luiza, pańskiego starego wroga. A jego współnik, podający się za Hindusa i noszący nazwisko Nal Rangor Madżarami - to latorośl drugiego pańskiego wroga, Alfreda Murraya.

- Ach tak! A więc nieboszczycy Bernardito i Murray wydali mi wojnę... No, w samą porę otworzył mi ojciec oczy. Gdy się z nimi rozprawimy, ozłocę ojca, uczynię z ojca mego drugiego Woodrowa... Cóż oni mogą przedstawić Hawerstone'owi?

- W ich rękach znajdują się pewne dokumenty, stare portrety, list Fernanda Diaza... Ale wróg

zdaje sobie sprawę, że te wszystkie dokumenty nie ostoją się wobec pańskiej obrony. Dlatego weszli w znowę z tym weneckim doktorem Buotti i uknuli nieprawdopodobny podstęp: doktor Buotti ma nakłonić pana, milordzie, do przyjęcia dziedzictwa hrabiego d'Ellano, aby nie musiał pan żałować utraty praw brytyjskiego lorda.

Lord Chancefield zmrużył oczy i przez chwilę zbierał myśli. Jego twarz stawała się coraz bardziej asymetryczna i nagle zatrzęsł się cały w paroksyzmie szalonego śmiechu:

- Cha - cha - cha! To mi się podoba! Teraz rozumiem twoje starania, mój czarny przyjacielu. Cha-cha-cha! Tak, padre Morsini, w osobie ojca mam istotnie najlepszego sojusznika, gdyż ojciec najbardziej ze wszystkiego obawia się, aby fortuna hrabiego d'Ellano nie uciekła sprzed nosa jego wielebności Fulvia di Gracciolani!

- Signore - bąkał skonfundowany mnich - nie żądza złota, lecz jedynie dobro świętego Kościoła...

- Dość ojcze! Teraz rzeczywiście zrozumiałem wszystko do samego końca. I powiem otwarcie: najbardziej mnie niepokoiła ta „bezinteresowna ojcowska miłość” do mnie, padre Morsini! Nie wierzę w mężów sprawiedliwych i nigdy w życiu nie spotkałem człowieka, który nie pragnąłby złota. Teraz jasne są dla mnie te wszystkie bezinteresowne pobudki i wiem, że ojciec jest naprawdę wiernym sprzymierzeńcem... lorda Chancefieldu... Cha - cha - cha!

W tej chwili wszedł kamerdyner prosząc na kolację. Hrabia ze złością tupnął nogą. Kamerdyner cofnął się ze strachu.

- Co mam powiedzieć milady, sir?

- Proszę powiedzieć, że za kwadrans milord będzie miał przyjemność zasiąść do stołu w towarzystwie milady, mister Mortona i doktora Buotti - spiesznie wtrącił się jezuita, wyprowadzając służącego z pokoju.

Milord już położył dłoń na klamce. Ojciec Morsini zaszeleścił habitem w ślad za nim. W drzwiach hrabia nagle przystanął.

- Zaraz, padre, w końcu nadal nie wiem, gdzie ukryła się Izabela?

- W mojej kaplicy, synu!

- Nieźle! Jest tam sama jedna?

- Czuwa nad nią Gregory, mój służący, i...

- Dlaczego ojciec nie kończy? Kto jeszcze jest tam ukryty razem z Izabelą?

- Signore, ja tylko... ofiarowałem uciekinierom schronienie, aby... nie zdążyli na pokład portugalskiego okrętu „Santa Rosa”. Lecz nakłonił pańską córkę do ucieczki nie kto inny, jak właśnie tenże... Reginald Murray, pod obecną postacią prawnika z Kalkuty, Nala Rangora Madżarami. Izabela przyznała mi się...

- Ojcze, moja cierpliwość ma swoje granice. Do kroćset diabłów, dlaczego ojciec nie mówi wszystkiego?

- Izabela przyznała mi się, że jest... narzeczoną Reginalda. On zaś prosił mnie, abym... udzielił im ślubu.

Grellego aż zatkało z wściekłości.

- Synu mój, na litość boską, niechże pan nie traci panowania nad sobą! Izabela jest zupełnie bezpieczna! Nie można wątpić, że mniemany Nal Rangor Madżarami zachowa się jak dżentelmen wobec swej narzeczonej.

- Narzeczonej! Narzeczonej Reginalda Murraya! No dobrze! Już my mu urządzimy wesele, padre! Ale teraz chodźmy, czekają na nas przy stole...

Przy kolacji włoski teolog w krótkich, suchych słowach wytłumaczył cel swego przybycia do Chancefieldu. Jak się okazało, hrabia Paolo d'Ellano wciąż jeszcze zwlekał z podpisaniem testamentu. Jednakże, z uwagi na zły stan zdrowia, postanowił zwrócić się do milorda

Chancefielda z pokorną prośbą o pisemny dokument dla weneckich notariuszy, stwierdzający śmierć ostatniego potomka hrabiego w prostej linii, pirata Giacomina Grellego, w katastrofie szkunera „Czarna Strzała” na Oceanie Indyjskim. Z chwilą dostarczenia takiego dokumentu do Wenecji cały milionowy majątek hrabiego przechodził na rzecz Kościoła...

W godzinę po kolacji poproszono do gabinetu starego Mortona. Przy pomocy ojca Benedykta sporządził on dokument, po który przyjechał doktor Buotti.

Pan Chancefieldu przebiegł oczami papier i pytająco spojrzął na jezuitę.

- Proszę mi powiedzieć, padre, dlaczego jednak Buotti nie próbował nawet namawiać mnie do przyjęcia weneckiej fortuny w zamian za... Chancefield?

- O, to jest jasne jak słońce, mój synu! Zrozumiał, że wysłannik Kościoła, pan baron, zdążył go uprzedzić! Zobaczył też, że pan, milordzie, stanowczo nie ma zamiaru rezygnować z Chancefieldu i działać wbrew interesom potężnego tajnego zakonu! Mogę pana zapewnić milordzie, że gdyby Buotti otrzymał inny dokument... jego powrót do Italii byłby rzeczą wielce wątpliwą...

Milord wzdygnął się. Mnich zniżył głos i obejrzał się na Mortona, który skończywszy pracę nad sporządzaniem dokumentu drzemał teraz w fotelu.

- Synu mój! Buotti zrezygnował z próby przechytrzenia zakonu. Panu pozostaje już tylko skończyć z jego byłymi współnikami... Milordzie, przecież ten dokument musi być jeszcze prawnie uwierzytelniony. Doskonała okazja, by sprowadzić tu tego „prawnika” Leona Noël-Abrahamsa...

- Sprowadzić tutaj? Ach tak... Sprowadzić... i... naprawić stary błąd popełniony w Pireusie?

- Tak, mój synu. Proszę nie zapominać, że londyński dyliżans z generałem przybędzie... za parę godzin.

- Dobrze! - rzucił milord. - Tylko jak sprowadzić tu Diego Luiza nie budząc jego podejrzeń? Jedyną osobą z mego otoczenia, której udało się uspić ich czujność i wkraść w ich zaufanie, jest właśnie ojciec. Inaczej Reginald nie szukałby schronienia w kaplicy!

- To prawda, mój synu! Dlatego proszę pozwolić swemu pokornemu słudze, aby szybko i niepostrzeżenie dostawił tu rzekomego Leona Noël-Abrahamsa.

- No cóż, świetnie. Proszę po drodze wstąpić do „Brzucha Wieloryba” i przysłać mi tu Williama Linsa.

- O, ręka tego wojaka na pewno nie drgnie! To istotnie najlepszy wybór...

- Proszę wziąć dwa wierzchowce - dla siebie i dla tego Noël-Abrahamsa... A Reginald Murray jest ukryty w kaplicy... Mam nadzieję, że on również z niej nie wyjdzie?

- Proszę to pozostawić... opatrności boskiej, milordzie!

Na twarzy pana Chancefieldu pojawił się jego krzywy uśmiech.

- Ojciec byłby prawdziwym skarbem dla bandy nieboszczyka Bernardita. Posiada bowiem ojciec aż trzy zdolności naraz: grzeszenia, odpuszczania grzechów i wysyłania grzeszników wprost do raju! Życzę powodzenia... Czy ksiądz umie jeździć konno?

- Mój synu, w imię świętego celu żołnierz zakonu musi umieć wszystko!

## 2

Dojechawszy do Bultonu jeździec w czarnym habicie skierował się w pierw na ulicę Latarni Portowej i szedł z konia na dziedzińcu tawerny „Brzuch Wieloryba”. Tu, w najdalszym kącie podwórza, obok dużych drzwi do stajni znajdowały się drzwiczki prowadzące do stojła starej klaczy woziwody, bydłęcia spokojnego i nieomal równie flegmatycznego jak sam woziwoda tawerny, zatracony pijaczyna Fletcher. Ten na wpół ślepy starzec, dawny stangret adwokata Thompsona, dożywał tu swych dni trzymany z litości. Czarny jeździec zobaczył, jak dwaj nieznajomi panowie, w których na milę rozpoznać można było pomocników szeryfa,

usadowili na wózku starego Flatchera. Obok wózka stał właściciel tawerny, były sierżant William Lins.

Mnich dał nura w ciemną sień i tylnymi schodami wbiegł na górę. W mrocznym korytarzu natknął się na służącego i poprosił, aby przywołał z podwórza mister Linsa.

Czekał parę minut. Słyszał pijackie krzyki za ścianą, kobiece piski i śmiechy, strzępy marynarskich pieśni i brzęk naczyń. W końcu usłyszał turkot wózka na podwórzu i po chwili ujrzał przed sobą mister Linsa. Wąsy byłego sierżanta były jakby trochę zaniedbane, a wyraz twarzy niezbyt uprzejmy.

- Skąd się tu ojciec wziął? Może z Chancefieldu? Co się stało?

- Wprost od milorda, mister Lins. Bardzo pilna sprawa... Niech pan słucha uważnie...

W kwadrans potem Lins siedział już w siodle. W zanadrzu byłego sierżanta podzwaniały cichutko... instrumenty jego profesji! Zaufany milorda, mister William Lins, spieszył na wezwanie swego patrona, lecz jego twarz nie wyrażała bynajmniej uczuć heroicznych. Malowała się na niej troska i najwyższe niezadowolenie.

Tymczasem czarny jeździec w habicie i szerokim kapeluszu, prowadząc z sobą luzaka, dotarł do zacisznego domku frau Taube przy Garden Road. Uwiązał oba konie przy płocie, wszedł do ogródka i widząc wąską smugę światła, padającego przez szparę w jednej z okiennic, zapukał w to okno. Po chwili drzwi domku otworzyły się i na ganek wyjrzał młody adwokat. Mnich wszedł po schodach i pokornie się skłonił.

- Ojciec Benedykt? - szepnął stojący w drzwiach młody człowiek. - O tej porze? Mój Boże, co jest z Izabelą?

- Mister Riland - odparł szeptem mnich - niech pan będzie spokojny, siostra pana znajduje się w bezpiecznym schronieniu, w mojej kaplicy, pod opieką pańskiego przyjaciela Reginalda Murraya.

- Więc co się stało, ojciec Benedykcie?

- Sir, w Chancefieldzie potrzebny jest natychmiast prawnik, który mógłby dopełnić formalności zapewniających moc prawną pewnemu bardzo ważnemu dokumentowi.

- Czemu nie może tego zrobić mister Morton?

- On sam podpisał ten papier w charakterze świadka. Toteż jego podpis musi być uwierzytelniony. A co najważniejsze, drogi mister Charles, chcę panu dać możliwość... przeczytania tego arcyważnego dokumentu.

- Ach tak! Dziękuję, ojciec Benedykcie. Możemy zaraz jechać.

- A nie chciałby pan zapowiedzieć służącemu, że wyjeżdża pan za miasto, Charles?

- Ojciec Benedykcie, ze względów ostrożności proszę mnie nazywać wyłącznie Leo Noël-Abrahams... W tej chwili jestem sam w domu, wysłałem służącego do portu.

- No cóż, wobec tego nie traćmy czasu! Niech pan nie zapomni o pieczęciach i firmowym papierze, mister Noël-Abrahams. Cały Chancefield oczekuje pana z wielką niecierpliwością. Młody człowiek wrócił do wnętrza domu. W ciemnej sieni szepnął do ucha drugiemu mężczyźnie:

- Mister Went, jadę do Chancefieldu. Słyszał pan moją rozmowę z jezuitą?

- Słyszałem, Charles! Widocznie akcja w Chancefieldzie zbliża się do punktu kulminacyjnego. Niech pan pozdrowi naszego kapitana... i... trzymajcie się mocno, Charles! Młody człowiek zszedł ze schodów niosąc w ręce torbę z papierami. Mnich już odwiązał konie. Adwokat lekko wskoczył na siodło.

- Jedzie ksiądz ze mną?

- Nie, mój synu, czeka mnie jeszcze coś bardzo pilnego - muszę udzielić ostatniego namaszczenia umierającemu. Niech pan jedzie sam, to dobry koń, o świcie powinien pan być w Chancefieldzie. Dokument musi być gotów na rano, gdyż jeszcze jutro zostanie wysłany do

Italii. Szczęśliwej drogi, mój synu! Rano ja też przyjadę do Chancefieldu.

- Do rychłego zobaczenia, ojczcie. Proszę dodać otuchy Izabeli i Reginaldowi!

- Niech się pan o nich nie martwi. Za parę godzin będą już oboje... daleko, mój synu!

Ojciec Benedykt bez pośpiechu odjechał w stronę swej kaplicy. Port był jeszcze pogrążony we śnie. W liliowomodrym brzasku rysowały się mgliście sylwety okrętów na redzie i przy nabrzeżu. Mnich odszukał wzrokiem miejsce, gdzie leciutko kołysała się na fali „Santa Rosa”, i uśmiechnął się drwiąco... O nie, ten okręt nie zaliczy w poczet swych pasażerów ani Izabeli, ani Reginalda...

Jezuita wprowadził konia do ogródka i cichutko zawołał na swego służącego. Ten zajął się koniem i po chwili wszedł za ojcem do kaplicy. Panowała tu jak zwykle cisza i spokój. Mnich wskazał oczami na podziemie:

- Oni... są tam?

Gregory w milczeniu skinął głową.

- Co oni robili i mówili, Gregory?

- Szeptali coś między sobą... Miss bardzo płakała, a on... całował ją.

- Idziemy do nich. Świt się zbliża...

Brzęknęły zasuwki, drzwi się otworzyły i ojciec Benedykt znalazł się w podziemnym schronie. Gregory przystanął na schodkach, czekając na rozkazy.

- Moje dzieci - zaczął z przejęciem jezuita - wracam właśnie z Chancefieldu. Strach, co się tam dzieje. Charles błaga, abyście koniecznie dziś wyjechali. Czy nadal trwasz w swym zamiarze, Izabelo?

- Postanowienie miss Riland jest nieodwołalne - odpowiedział za Izabelę Reginald Murray. - Kiedy „Santa Rosa” podnosi żagle?

- Dziś w południe. Izabelo - zwrócił się mnich do przebranej dziedziczki Chancefieldu - tu jest bardzo zimno. Może łyk wina? To by cię ogrzało i pokrzepiło, moje dziecko! - I nie czekając na odpowiedź Izabeli, rzucił służącemu: - Proszę przynieść trochę wina i coś do zjedzenia dla miss Riland. Tylko prędzej! Ci młodzi ludzie zrobili wiele mil konno od szosy bultońskiej do traktu na Newcastle, a potem niemało przeszli piechotą, porzuciwszy konie, prawda, moje dzieci?

Gregory oddalił się i wrócił po chwili z pękatą karafką czerwonego kościelnego wina, dwiema szklaneczkami i talerzem sandwiczów. Postawił to wszystko na stole i wyszedł. Ojciec Benedykt uczynił porozumiewawczy gest, że wszystko będzie dobrze, i wyszedł za nim. Sam zaryglował drzwi i wydstawszy się na górę razem z Gregorym zasunął na miejsce żelazną płytę.

Młody człowiek w podziemnym schowku obejrzał uważnie obie szklaneczki i jedną z nich napelnił winem. Posłużył się jednak przy tym nie karafką ojca Benedykta. Podczas gdy mnich i jego służący mocowali się z ciężką żelazną płytą, młody człowiek wychlusnął pod ławę połowę wina z pękatej karafki, a do szklanki Izabeli wlał zawartość płaskiej flaszki, którą wyjął wraz z jabłkiem z własnej kieszeni. Karafkę z resztą wina, przyniesioną przez Gregory'ego, odsunął na sam koniec stołu, pozostawiając swoją szklankę pustą.

- Miss Riland - powiedział podnosząc szklankę do ust Izabeli - musi pani wypić to wino. Tak mi nakazano i błagam, aby uczyniła pani wszystko dla ułatwienia Charlesowi i pani przyjacielom ich zadania. Wszyscy oni znajdują się w tej chwili w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Izabela posłusznie opróżniła do dna niedużą szklaneczkę. Już po chwili głowa poczęła jej ciążyć, a powieki same się zamykały. Zdążyła jeszcze rzucić na swego towarzysza smutne, zdziwione spojrzenie, uniosła rękę do czoła, by się przeżegnać, i z jękiem opadła na wznak. Ogarnęła ją przemożna senność, na podobieństwo głębokiego omdlenia. Już nie czuła, jak Reginald otulił ją drugim płaszczem i położył pod głowę zwinięty pled.

Tymczasem na górze ucichła krzątanina przy żelaznej płycie. Reginald szybko zgasił jedną

świecę, drugą zaś schował pod stół i osłonił jej światło. Wpatrując się uważnie w ciemne sklepienie odkrył w nim nagle, tuż nad głową, wążutką smużkę światła. Uszu jego dobiegł ledwo uchwytny szmer na górze, smuga światła troszeczkę się poszerzyła... Młody człowiek chwycił świecę i podniósł ją do twarzy Izabeli.

- Boże święty! Ojciec Benedykcie! - Jęknął głosem śmiertelnie przerażonego człowieka. Na pomoc, prędzej! Gregory! Ojciec!

Odpowiedziała mu głucha cisza. Reginald przyskoczył do drzwi i począł w nie grzmocić z taką siłą, że cała kaplica wypełniła się głośnym metalicznym dudnieniem. Smużka światła na sklepieniu przygasła, lecz jej końce były nadal widoczne. Obserwatorzy położyli się widać na posadzce, przykładając oczy do szpary.

- Ojciec Benedykcie! Gregory! - krzyczał w rozpacz człowiek zamknięty w podziemiu. - Otwórzcie drzwi! Miss Izabela zasłabła! Pal diabli wszystko, trzeba ją ratować! Zawiadomcie ludzi, wezwijcie lekarza!

Na górze panowała martwa cisza. Głos człowieka w podziemiu głużyło kamienne sklepienie, metaliczny odgłos potrząsanych drzwi ledwo był słyszalny na zewnątrz... Nagle sam Reginald chwycił się serce i wolno osunął się na posadzkę u drzwi.

Żaden aktor na świecie, wobec największych tłumów publiczności nie wykazał takiego mistrzostwa w roli Romea przy nieruchomym ciele Julii w grobowcu, z jakim Reginald Murray odegrał podobną rolę przed swoimi dwoma widzami! Widzowie ci, leżąc na płytach posadzki przed ołtarzem, uważnie śledzili przez szparę agonię drugiej ofiary. Klęcząc przed ławą, Reginald złożył głowę na piersi leżącej bez życia Izabeli, zamarł w tej pozie na parę sekund, po czym - utraciwszy ostatki sił - ciężko osunął się na ziemię między stołem a ławą... Podziemne schronienie stało się grobem dwojga otrutych ofiar. Pod stołem paliła się jeszcze świeca i w jej świetle jezuita oraz jego pomocnik wyraźnie widzieli nieruchome ciała Izabeli Riland i jej wiernego rycerza.

Ojciec Benedykt czuł się bardzo zmęczony, lecz świadomość spełnionego obowiązku dodawała mu sił. Nie wątpił w powodzenie misji mister Linsa. Izabela już nie żyła. Udało się odwrócić ogromne niebezpieczeństwo zagrażające świętej sprawie. Jezuita doskonale zdawał sobie sprawę, że jedno spojrzenie hrabiego Paolo na wnuczkę czy wnuka lub choćby tylko na ich portrety mogło zniweczyć cały plan ojca Fulvio! Teraz to niebezpieczeństwo zostało raz na zawsze zażegnane...

Mimo zmęczenia mnich postanowił jednak wrócić do Chancefieldu. Wydawszy Gregory'emu odpowiednie polecenia dotyczące inscenizacji samobójstwa obu ofiar, z lekkim sercem wyszedł z kaplicy. Uwiązany na dziedzińcu koń zarżał i niecierpliwie uderzył kopytem. Gregory podciągnął popręgi i pomógł ojcu Benedyktowi dosiąść wierzchowca...

Wróciwszy do kaplicy Gregory zamknął ją od wewnątrz na dziesięć spustów, znów odsunął płytę i zeszedł na dół.

Tu objaśnił świecę i rozejrzawszy się dokoła wyjął z kieszeni gotowy list i rzucił go na stół. Na wierzchu położył malutki ołówek. Następnie nalał z pękatej karafki trochę wina do obu szklanek. Trzymając karafkę za szyjkę, z największą ostrożnością, by nie zamoczyć palców, do drugiej ręki wziął świecę, jeszcze raz zlustrował uważnym spojrzeniem stół, ławę, nieruchome ciała, po czym spieszenie skierował się do wyjścia...

- Ręce do góry, trucicielu! Stać i nie ruszać się! - rozległ się nagle spokojny głos spod stołu.

Karafka wypadła z ręki Websta i rozbiła się w drobny mak. Wciągnąwszy głowę w ramiona Gregory skoczył ku drzwiom, lecz w tejże chwili wystrzał z pistoletu nappełnił dymem całe podziemie. Służący mnicha upuścił świecę i upadł na schodki otwartego tajemnego wejścia. Reginald Murray wyszedł spod stołu i przede wszystkim nabił na nowo pistolet.



### 3

Nad Chancefieldem wstawiała poranna jutrzienka. Jesienny park mienił się złotem i czerwienią, a lekki szelest więdnącego listowia mieszał się z odległym szumem morskiego przyboju.

Mister Leo Noël-Abrahams, prawnik z Kalkuty, wykonał już wszystko, czego żądali od niego Morton i Buotti. Uwierzył podpisy na dokumencie, uprawomocnił go pieczęcią biura „Noël-Abrahams i Madżarami” i po załatwieniu wszystkich formalności udał się do narożnej baszty, gdzie znalazł chwilowe pomieszczenie w „celi” ojca Benedykta. Nie rozbierając się, młody człowiek leżał na łóżku w oczekiwaniu londyńskiego dylizansu.

Tymczasem pan domu z niepokojem wypytywał Linsa o ostatnie wypadki w Bultonie. Łańcuch niespodzianek wciąż narastał.

- Nie rozumiem, co się dzieje w Bultonie! - rozkładał ręce eks-sierżant. - Dzisiejszej nocy szeryf kazał aresztować Jankinsa, współwłaściciela kantoru „Morton i Jankins”. Przeprowadzono u niego rewizję i... otwarto szopę w podwórzu. Cała partia francuskich banknotów... wpadła w ręce pomocnika szeryfa.

Hrabia zaklął.

- Jak się to stało?

- Bo ten Jankins to skończony dureń, milordzie! Postanowił spróbować szczęścia i wymienił na giełdzie... kilka swoich papierków, przygotowanych dla Leglois na pańskie polecenie. Zrobił to być może nie pierwszy raz. Tylko że dotąd uchodziło mu to na sucho, a wczoraj wpadł.

- Ma pan jeszcze coś, Lins?

- Tak. Mój woziwoda Flatcher... Pamięta go pan, milordzie?

- Flatcher? Ach to... pijaczysko, służył kiedyś...

- ...u Richarda Thompsona, milordzie. Dziś w nocy został aresztowany przez tegoż pomocnika szeryfa.

- Hm... To naprawdę dziwne... Cały łańcuch... A zresztą to wszystko nie jest zbyt groźne. O papierkach dla Leglois wiedzą wysoko postawione osoby w Londynie! Co się zaś tyczy Flatчера... znał on tylko Woodrowa Craga, no i jeszcze tego... jak mu tam było... Alexa Crampflowa... A umarli nie mówią... Ale widzi pan, sprawa, dla której pan tu przybył, mister Lins, jest naprawdę pilna i ważna. Jest pan... gotów?

- Tak, milordzie. Gdzie jest ten gość z Kalkuty?

- W lewej baszcie... Kto tam znowu przyjechał? Słyszę tętent.. William Lins podszedł do okna.

- To ojciec Benedykt wrócił z Bultonu.

- Niech go pan tu poprosi.

Mnich wszedł do gabinetu zataczając się ze zmęczenia.

- Akurat w porę ojciec przyjechał... Czy w kaplicy wszystko w porządku?

- Pańska córka jest bardzo zgnębiona, milordzie...

- Nie szkodzi, to ją nauczy rozumu. Żeby tylko nie uciekł ten jej... towarzysz, Reginald Murray!

- O, milordzie, o to może pan być całkiem spokojny! Jest w takim zamknięciu, że nawet Samson by sobie nie poradził.

- A więc pozostaje tylko Diego... Rady ojca są naprawdę na wagę złota, a gdy się do nich jeszcze doda... wprawne ręce mister Linsa, wszystko powinno pójść gładko... Idźcie więc obaj i pospieszcie się! Czy mi się zdaje, że słyszę w dali głos trąbki pocztyliona?

Gdy ojciec Benedykt i Lins wyszli do przyległego pokoju, mnich szepnął do eks-sierżanta:

- On na pewno usnął... Niech pan idzie do baszty... a ja pomogę potem... usunąć ślady. Muszę wpierw zajrzeć do chorego barona. Może jeszcze sprawię mu radość przed śmiercią. A pan

niech się pospieszy, mister Lins, póki wszyscy w domu śpią. Nad ranem sen jest najmocniejszy, nikt panu nie przeszkodzi.

Ojciec Benedykt minął pierwszy pokój, gdzie spał służący barona, na palcach wszedł do pokoju chorego i zbliżył się do łoża. Młodziutka pielęgniarka drzemała oparłszy głowę o stolik i odwróciwszy twarz od lampy. Zasłonięte okna nie przepuszczały dziennego światła. Mnich odchylił kotarę. Chory poruszył się i od razu otworzył oczy. Nie tylko oddychał równo i spokojnie, ale wręcz ożył! Znikła trupia bladość z twarzy, pęcherz z lodem leżał na poduszce, a w pokoju pachniało nie kadzidłem, lecz tytoniem!

Cudowne uzdrowienie tajnego wysłannika ojca Fulvia napełniło nową radością serce ojca Benedykta. Uznał to za dobry omen. Pochylił się nad chorym i oglądając się na śpiącą dziewczynę zawiadomił barona o wypełnieniu wszystkich poleceń zakonu. Chory wysłuchał go z całkowicie przytomną miną, po czym spytał wcale krzepkim głosem:

- A więc, jeśli spotkam znów ojca Fulvia di Gracciolani, mogę mu powiedzieć, że jako wierny uczeń Ignacego Loyoli skierował ojciec rękę Giacoma Grellego przeciwko jego własnemu synowi, zapewniwszy Grellego, jakoby w osobie prawnika z Kalkuty zabija don Diego Luiza, syna korsarza Bernardita?

- Stanie się tak w imię wyższych celów, mój bracie.

- I ma się to stać...

- Za parę minut, mój bracie...

- A córka Grellego już...

- ...odebrała sobie życie w chwili... grzesznej rozpacz.

Chory baron uniósł się na łożu. Młodziutka pielęgniarka odwróciła do światła swą śliczną główkę. W tej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł służący barona, François Boucher...

Eks-sierżant Lins wszedł po stromych żelaznych schodkach na górę. Drzwi do celi w lewej baszcie były zamknięte. Stał przed progiem i zajrzał przez dziurkę od klucza. Młody człowiek spał w ubraniu na łóżku.

William Lins ostrożnie nacisnął klamkę. Przez szparę w drzwiach zobaczył żelazny haczyk zamykający je od środka. Eks-sierżant wyjął zza pasa wąski sztylet, wsunął go w szparę i podniósłszy haczyk otworzył drzwi. Śpiący nie obudził się...

Przeczekawszy chwilę Lins wziął sztylet do lewej ręki, a prawą włożył do kieszeni wsuwając palce w otwory ciężkiego kastetu... Zamierzył się, celując w skroń ofiary i..., zdrętwiał. Z zasłoniętej prześcieradłem ściennej niszy wyszedł jakiś nieznajomy w zakurzonym podróżnym kaftanie służącego, na progu zaś wyrosła jak spod ziemi wysoka postać nieznajomego mnicha z narzuconym na głowę czarnym kapturem. To nie był ojciec Benedykt... Silne ręce wykręciły do tyłu łokcie byłego sierżanta.

#### 4

Lord admirał Chancefield czuwał sam jeden w swym myśliwskim gabinecie. W kominku słychać było szelest wiatru wśród listowia ogrodu... Z daleka, od strony traktu bultońskiego, dochodził głos pocztowej trąbki. Zasłonięte okna przepuszczały bardzo mało dziennego światła. Jasne plamy na posadzce nie były zdolne rozproszyć półmroku pokoju. To nikłe niebieskawe światło mieszało się z żółtym blaskiem dwu świec palących się na biurku i dlatego smugi dymu tytoniowego snujące się po pokoju wydawały się raz błękitne, to znów szarozółte. W fotelu przed wygasłym kominkiem spał stary Morton.

Naraz z sąsiedniego pokoju dobiegł uszu milorda odgłos czyichś ostrożnych kroków. Do

gabinetu weszła bez pukania lady Riland w lekkim peniuarze i czepku z wstążkami. Ze zdziwieniem spojrzała na Mortona. Stary spał z nie domkniętymi, jak u nieboszczyka, oczyma, spod opuszczonych rzęs wyglądały białka z żółtymi żyłkami.

- Freddie, czy masz jakąś wiadomość o swojej córce? - spytała hrabina zimnym tonem, jakby troska o córkę była wyłącznie sprawą męża.

- Nie mam teraz do niej głowy. Przyjdzie czas, że odszukam i ukarzę smarkulę. Powinna wyjść za mąż! Wydam ją za Williama Blandhilla. Trochę głupkowaty, ale za to będzie uległy.

- Czy nie masz nic do powiedzenia, mój drogi?

- Przygotuj się na przyjęcie gości, Nel! Generał Hawerstone może tu lada chwila zawitać. Dylizans jest już przy „Wesołym Buldogu”... Czy umarł wreszcie ten twój Francuz na górze?

- Freddie, wolałabym, abyś nie mówił ze mną takim tonem. Co tu robi mister Morton? Mogłeś mnie chociaż uprzedzić, że znajduje się tu ktoś obcy... Nie jestem przecież ubrana.

- Wcale cię tu nie prosiłem, Nel!

Dotknięta do żywego nieuprzejmością męża, milady nie znajdując odpowiedzi zagryzła tylko wargi i odwróciła się do wyjścia. W tej chwili ktoś ostro zapukał do drzwi i nie czekając na zaproszenie gwałtownie je otworzył. W progu stanął mnich w czarnym habicie. Miał zarzucony na głowę kaptur i chyba dlatego hrabiemu się wydało, że ojciec Benedykt stał się dziwnie wysoki. Mnich tak nisko pochylił głowę, że pan domu nie mógł dojrzeć jego twarzy. Zbliżył się do biurka trzymając w dłoni jakiś nieduży przedmiot i nie podnosząc głowy rzucił spod kaptura spojrzenie na milady. Pochwyciwszy zniecierpliwiony gest małżonka dama wyszła z gabinetu wielce rozgniewana, trzasnąwszy za sobą drzwiami.

- Załatwione, padre? - spytał lord Chancefield.

Czarny kaptur mnicha osunął się jeszcze niżej.

- Już nie żyje - odparł ściszym głosem jezuita. - A ten medalion zdjąłem mu z piersi.

Z tymi słowami mnich podszedł do okna i rozsunął story. Jaskrawe niebieskie światło zalało pokój.

Lord admirał chwycił złoty owalny medalion. Cienki łańcuszek owinał się wokół jego palców. Nacisnął niebieski szafir na brzegu...

Dwie twarze w emalii, jego własna z lewej strony i... kędzierzawa główka Charlesa Rilanda, malutkiego wicehrabiego Chancefieldu, spojrzały na niego z medalionu.

- Co to... co to jest? - wyrzucił z siebie ochryłym głosem pan Chancefieldu.

- To... zapłata, Giacomo Grelli!

Dopiero teraz głos mnicha wydał się pseudohrabiemu obcy, a jednocześnie jakby skądś znajomy. Lord admirał przyskoczył do niego i wczepił się oburącz w kaptur habitu...

Dwie silne dłonie mocno ścisnęły mu przeguby rąk. Mnich jednym ruchem zrzucił z głowy czarne okrycie. Srebrne włosy rozsypały się po ramionach. Wąską, pooraną zmarszczkami twarz przecinała na ukos czarna przepaska zakrywająca lewe oko. Człowiek w habicie utkwiał przesywające na wskroś spojrzenie jedyne go oka w oszalałych z przerażenia, jak u dzikiego kota, oczach pseudomilorda.

- Bernardito! - cofając się wykrztusił pan Chancefieldu. Miał już wolne ręce i byłby runął na wznak obok fotela, gdyby czarny gość nie przytrzymał go za koronkowy żabot.

- Jak się masz, mój pomocniku! - zagrzmiął głos człowieka w habicie, jak niegdyś grzmiał z mostka „Czarnej Strzały”. - Widzę, że nie bardzo się cieszysz ze spotkania z kapitanem?

- Bądź... przeklęty, Jednooki Diable! Zgiń, przepadnij! Wracaj do swego piekła...

- Do piekła chciałeś wyprawić mego syna Diego, a wyprawiłeś... swojego Charlesa, hieno!

- Puść mnie, diable... Hej, ludzie! Do mnie! Na pomoc!

- Kogo wołasz, hieno Grelli? Chyba nie swoich kompanów, Czarnego Woodrowa i Giuseppe Lorano? Sam im skręciłeś karki na Terpin-Bridge, ty wścikły kulawy psie, a teraz nie wstaną z grobu, aby przyjść ci z pomocą... Stój, nie szarp się!... Nie wyrwiesz się już z moich rąk!

- Litości, senior Bernardito! Pozwól mi spojrzeć na Charlesa, kapitanie! Litości!

- Za późno, Giacomo Grelli! Proś o litość szatana, któremuś się zaprzedał i służył... Twoi zausznicy zdradzili ciebie, tak jak ty ich zdradzałeś i zabijałeś. Twoja córka też nie żyje! Jezuita otrął ją dla weneckich milionów... A teraz przyszła ostatnia godzina i waszej pirackiej lordowskiej mości, caramba! Generał Haverstone trzyma cię za gardło, nie unikniesz szubienicy. Nikt cię od niej nie uratuje! W twoim zamku gospodarzą już ludzie generała!

Stary Morton, którego obudziło starcie dwóch piratów, z przerażeniem przyglądał się hersztom „Czarnej Strzały”. Gdy czarny gość wypowiedział ostatnie słowa, Morton usłyszał jakiś dziwny, narastający odgłos, jakby wychodzący z tygrysiego gardła. Sam Bernardito cofnął się mimo woli i puścił żabot pod gardłem swego wroga. Jak śmiertelnie ranny byk, z pochyloną głową, Giacomo Grelli runął przed siebie, o mało nie zwaliwszy z nóg Bernardita. Pchnięte ze straszliwą siłą drzwi gwałtownie się rozwarły i były pomocnik kapitana na „Czarnej Strzale”, kulawy pirat Leopard Grelli, ze zwierzęcym rykiem, nie widząc nic przed sobą, pognął korytarzem chancefieldzkiego zamku.

Kilka osób wybiegło z różnych pokoi i rzuciło się za oszalałym pseudomilordem, lecz w zamieszaniu zgubili go z oczu w labiryncie korytarza i przejść. Udało mu się umknąć pogoni wpadając w niepozorne drzwiczki podziemnego korytarza, który zaczynał się pod schodami hallu i prowadził do piwnic zamku.

Gdy ścigający go zbiegli do hallu, usłyszeli głos szaleńca już pod ziemią. Z głębi sekretnego dolnego korytarza dochodziły dziwne krzyki:

- Giuseppe! Woodrow! Bijcie królewskich jegrów! Ostrożnie z lontem, Woodrow! Wprowadź do zatoki „Czarną Strzałę”, kapitanie! Skoczę ze skały na pokład...

Nagle po wszystkich zakątkach starego domu rozbrzmiał histeryczny krzyk kobiecy:

- Trzymajcie go, trzymajcie! Tam na dole jest skład prochu!

To krzyczała lady Riland. Z rozwianymi włosami, w nocnej bieliźnie zbiegła ze schodów i rzuciła się ku wyjściu. Ktoś chwycił ją za rękę i pociągnął z powrotem do hallu. Hrabina jęczała i wrywała się z dziką rozpaczą, usiłując dopaść wyjściowych drzwi.

Na dole w podziemiu huknął strzał. Po nim drugi, trzeci... Lady Riland krzyknęła przeraźliwie. Wysoki mnich podtrzymał wpółzemdloną damę i usadowił na ławie. Gdy lady Ellen otworzyła oczy, ujrzała przed sobą jednookiego mężczyznę w czarnym habicie. To nie był ojciec Benedykt! Płonące spojrzenie nieznanego mnicha zdolne było chyba przepalić kamień.

- Proszę mi pokazać wejście do podziemia - zażądał groźnie.

- To już zbyteczne, kapitanie - rozległ się za nimi spokojny głos. - Przewidziałem próbę wysadzenia zamku w powietrze. Obeszło się nawet bez mojej ingerencji - śmierć sama powstrzymała rękę złoczyńcy.

Pod schodami stało dwóch ludzi w ubiorze służących. Właśnie dopiero co wyszli z drzwi tajemnego podziemnego korytarza i otrzepywali kurz z rękawów. Byli to François Boucher, stary służący francuskiego barona, i Caringe, „goniec londyńskiego agenta Clancha”.

- Któż więc strzelał tam na dole, panie majorze? - spytał Bernardito starszego z nich, François.

- Zaraz się pan dowie, senior. Dramat skończony.

I odwróciwszy się do osłupiałej służby rzekomy François Boucher kazał wszystkim opuścić hali. - Tylko pan niech tu zostanie - rzucił w stronę Caringe'a.

Gdy zupełnie zdezorientowana służba oddaliła się, przebrany major podszedł do milady. Hrabina przypominała w tej chwili lady Makbet. Na oczach damy rzekomy służący zdjął perukę i przyprawione siwe brwi.

- Lady Riland, jestem zmuszony aresztować panią - powiedział cicho. - Śmiem zapytać, czy pani mnie poznaje?

- Major Bredd! Mój Boże, co to wszystko znaczy?

- W imieniu swoim i porucznika Brooksona najuprzejmiej proszę, by zechciała nam pani

wybaczyć tę maskaradę ze strojami służących. A teraz zechce pani łaskawie udać się do siebie i nie opuszczać swego pokoju. Pozwolę sobie potem poprosić panią na... krótką rozmowę... Pana zaś, kapitanie Bernardito, proszę na dół, w podziemiu. Czeka tam pana niezbyt przyjemny widok.

Drzwiczki pod schodami były otwarte. Bernardito wziął świecę i poszedł za majorem tajemnym korytarzem. Ten wąski, kręty korytarz, obniżający się stopniowo, doprowadził ich do piwnic. Przed wejściem do lochu korytarz rozszerzał się. Ciężkie żelazne drzwi wiodące dalej w podziemia były na oścież otwarte. Na progu, twarzą do ziemi, leżał pan zamku. Obok walały się trzy stare tureckie pistolety z okopconymi lufami. W wilgotnym powietrzu czuć jeszcze było dym. Na półce obok drzwi paliła się świeca w mosiężnym lichtarzu. Przy jej świetle Bernardito stwierdził, że właściciel zamku zginął od strzału w skroń.

Kapitan zajrzał do lochu.

- Ostrożnie ze świecą, senior Luiz! - ostrzegł go major Bredd.

Około trzydziestu beczek prochu, ułożonych bokiem jedna na drugiej, piętrzyło się pod dwiema ścianami lochu, sięgając niemal pułapu. Ze dwadzieścia nawoskowanych lontów wilo się po ziemi. Ich końce były umocowane do czopów w beczkach.

- Jak się pan domyślił istnienia tej prochowni, majorze? - spytał Bernardito.

- Porucznik Brookson, występujący w roli gońca przysłanego przez Clancha, zauważył drzwi pod schodami. Nocą odkryłem ten skład prochu. Sznury lontów są grubo pokryte kurzem, z czego wniosek, że wszystko już od dawna było przygotowane do wysadzenia zamku w powietrze. Od razu też zauważyłem na półce przy drzwiach, obok leżącej tu w pogotowiu świecy, te trzy staroświeckie, naładowane pistolety. Grelli wyraźnie przygotował je na wypadek, gdyby mu przyszło do głowy skończyć równocześnie z sobą i zamkiem.

Zimny dreszcz przeszedł Bernardita... Jak się okazuje, wszystko, co żyje w Chancefieldzie, siedziało dosłownie na beczce prochu...

- W jaki sposób udało się panu przeszkodzić Grellemu w wysłaniu nas wszystkich do nieba?

- Przez cały czas byłem w stanie napiętej uwagi. Gdy po związaniu mnicha i unieszkodliwieniu Linsa udał się pan w habicie jezuita do gabinetu Grellego, zeszedłem do piwnicy. Klucz od tych drzwi tkwił w zamku. Zamknąłem się od środka, albowiem nietrudno było przewidzieć, że Grelli zdecyduje się na ten ostatni, desperacki krok. Rozumowanie moje okazało się słuszne. Grelli walił w drzwi, starał się je wyważyć, lecz oczywiście żelazne drzwi nie ustąpiły. Po chwili za Grellim wpadł do piwnicy porucznik Brookson. Pseudohrabia chwycił dwa pistolety i wypalił z obu do swego prześladowcy, ale na szczęście chybił. I chociaż doprowadzony strasznym epilogiem swej chancefieldzkiej epopei do utraty zmysłów, Grelli mimo wszystko uświadomił sobie, że musi skapitulować. Uczynił to... pakując ostatnią kulę sobie w skroń... A oto i porucznik Brookson idzie do nas. Do czasu przybycia władz będzie musiał pozostać tu, na dole. Miejmy nadzieję, że w kaplicy też wszystko przeszło szczęśliwie. Proszę natychmiast posłać karetę po miss Izabelę i mister Reginalda Murraya.

Wyszedszy na górę Bernardito zobaczył, jak dwóch rośliwych, silnych ludzi spośród służby niesie do karety związanego ojca Benedykta. Twarz mnicha wykrzywiał grymas wściekłości i strachu. Usadowiono go na siedzeniu obok spokorniałego nagle, zgnębionego Williama Linsa. Doktor Tommaso Buotti, miss Jennie Murray, wolna już od obowiązków pielęgniarki, doktor Gracewell i stary Morton odprowadzali spojrzeniem zdemaskowanych współników Grellego.

Wieczorem tegoż niedzielnego dnia zepsuła się pogoda. Zgasły blaski zachodzącego słońca w zwierciadle chancefieldzkiego jeziora, od strony morza nadciągnęły chmury. Jednak w zamku wszystkie okna były otwarte na oścież, jakby jego mieszkańcy zapraszali do wnętrza świeży morski wiatr. Przycichła służba bez szemrania spełniała każde polecenie majora Bredda i siwego, jednookiego kapitana. Z Bultonu przybyli już szeryf i jego pomocnik. Policjanci wynieśli ciało gospodarza-samobójcy do sali bilardowej i wzięli pod ochronę skład prochu w piwnicy.

## 5

Noc z niedzieli na poniedziałek przeszła w Chancefieldzie całkiem niepostrzeżenie. Po wszystkich kątach starego domostwa słychać było szepty i stłumione, trwożne rozmowy. To szeptali między sobą lokaje, pokojówki, służba przyboczna. Nikt nie wychodził z domu. Wielu spośród służby było przesłuchiwanym przez panów przybyłych z miasta. Kamerdyner March snuł się po zamku jak niemy cień. Za jego zbliżeniem milkły od razu szepty, lecz gdy się tylko oddalał, znów narastał szmer rozmów na podobieństwo szmeru wiatru wśród listowia.

Rano major Bredd wyjechał do Londynu, a porucznik Brookson, uprzejmy i beznamiętny, kończył już przesłuchanie starego Mortona. Rozmowa odbywała się w myśliwskim gabinecie, w obecności kapitana Bernardita i doktora Buotti. Wystraszony starzec, który tak nagle stracił całe oparcie, przedstawiał teraz fakt za faktem, wypadek za wypadkiem - całą historię Giacomina Grellego. Doktor Buotti odnosił wrażenie, jakby był świadkiem operacji złośliwego wrzodu rozciętego skalpelem chirurga.

- Jedynie pański podeszły wiek ratuje pana przed uwięzieniem jako współnika pirata i złoczyńcy... Ale gdyby chciał pan chociaż w części okupić swą winę, to być może wkrótce... nadarzy się okazja po temu. A teraz może pan odejść.

Głos oficera był oschły i surowy. Morton podniósł się z wysiłkiem; szukał jeszcze jakichś słów usprawiedliwienia, lecz porucznik nie patrzył już na niego.

- Odprowadzę pana - powiedział doktor Buotti ujmując starego pod łokieć i wyprowadził Mortona z gabinetu.

Przeszli obok wysokiego constabla w drzwiach wejściowych i powołując się na pozwolenie porucznika, zeszli ze schodów ganku.

Na dworze było jasno i chłodno. W parku i ogrodach Chancefieldu, naznaczonych już barwami przemijania, panowała owa szczególna, jesienna cisza. Liście żółkły nieomal w oczach. Las, jeszcze niedawno pełen życia i letniej świeżości, mienił się teraz wszystkimi odcieniami czerwieni. Ledwo widoczne płowe kędziorki wędnącego mchu, przekwitłe wrzosowiska, ryże smugi wyschniętych, nie skoszonych łąk nadawały sierpniowemu krajobrazowi melancholijny, typowo angielski charakter. Nieruchome, jakby objęte różowym płomieniem poranne obłoki na wschodzie, snujące się w powietrzu nici babiego lata, chłodny błękit jeziora wróżyły szybkie nadejście jesiennej szarugi i przymrozków.

- Co pana skłoniło, mister Morton, by tak długo i wytrwale podtrzymywać oszukańcze kłamstwo i pomagać szalbierzowi? - spytał doktor Buotti.

Morton pochwyił w jego głosie nutę współczucia.

- Miłość do córki, panie doktorze, i przekonanie, że mając oparcie w tak wielkim człowieku, nie zazna ona nigdy nędzy, chłodu i poniżającej troski o kawałek chleba.

- Skoro tak wielka była ta ojcowska miłość, jakże mógł pan, i to bez wahania, odebrać innemu starcowi ostatnią nadzieję na odszukanie potomków?

Morton jeszcze niżej opuścił głowę.

- Ma pan na myśli ten dokument, dla hrabiego d'Ellano?

Doktor Buotti w milczeniu skinął głową.

- Panie, po prostu wypełniłem polecenie. Przecież to mogła być jego kolejna sztuczka... Zresztą Grelle do końca nie przebaczył swojemu ojcu. Niech Bóg go sędzi!

- Czy mogę spytać, mister Morton, ile pan ma lat?

- Siedemdziesiąt dwa, panie doktorze. Przeżyłem moje dziecko o wiele lat.

- Jak to, czyżby pan uważał swoją córkę za zmarłą?

- Moja córka zginęła. Grelle przyznał się, że wśród ofiar indiańskiego napadu na Błękitną Dolinę była również moja Mary.

- Grelle pana okłamał, mister Morton. George Bingle przywiózł panu z Filadelfii list od córki.

- Co? List od Mary? Dla mnie?... To grzech, signore, ludzić mnie próżną nadzieją!
  - Mister Morton, pozwoli pan, że mu wręcę ten oto list.
  - Na miłość boską, proszę mi dać swe okulary, doktorze! Swoje zostawiłem pewno w gabinecie. O Boże, co za dzień!
- Signor Tommaso Buotti podał Mortonowi zamiast okularów silną lupę. Stary rozerwał wąską niebieską kopertę i wyteżając wzrok zobaczył przez lupę znajome pismo

„*Thomas Morton, Esq. Chancefield, Bulton.*

*Łaskawy Panie, dobrze znane Panu względy, które ongiś kazały mi się zdecydować na bardzo bolesne zerwanie, znów stały się powodem, że zwracam się do Pana po piętnastoletnim milczeniu. Tak się składają okoliczności, że ma Pan możliwość odkupienia ciężkiej winy wobec ludzi, których Grelli z Pańską pomocą pozbawił mienia i rodowego nazwiska. Jeśli pomoże Pan tym ludziom w spełnieniu misji, której się podjęli, gotowa jestem zapomnieć o przeszłości i wtedy zniknie dzieląca nas przepaść*

*Mary”.*

Ledwo doczytawszy do końca Morton upuścił lupę i papier. Doktor Buotti podniósł je z wilgotnej trawy. Stali pod starym wiązem przed domkiem Mortona. Nogi uginały się pod starcem, musiał oprzeć się o pień drzewa.

- Proszę mówić, signore, czego pan ode mnie żąda.
  - Znam treść listu pańskiej córki. Czy zechciałby pan, mister Morton, odbyć ze mną podróż do Wenecji i... - Tu Buotti rozejrzał się na wszystkie strony i przekonawszy się, że w pobliżu nie ma nikogo, szepnął Mortonowi coś na ucho.
- Morton otarł pot z czoła.
- To bardzo trudny obowiązek, doktorze!
  - Po spełnieniu tego zadania wyjechałby pan do Ameryki i spędził resztę swych dni w szczęśliwej rodzinie swej córki... Zobaczyłby pan wnuków...
  - Ale czy dostanę pozwolenie na wyjazd z Anglii?
  - Hawerstone gotów jest przymknąć oko na pański wyjazd do Wenecji, a porucznik jest o tym powiadomiony.
  - Dobrze, panie doktorze. Gwoli spotkania z córką gotów jestem spełnić pańskie polecenie.
  - O, tym zmażę pan wszystkie swe grzechy, mister Morton! I żeby radość pana była jeszcze większa, zdradzę panu sekret. Kapitanem jachtu „Tuluza”, na którym bezzwłocznie odpłyniemy do Wenecji, jest nie kto inny, jak... mąż pańskiej córki, mister Edward Went. Z Wenecji już obaj razem wrócicie do waszej Mary w Filadelfii.

Wkrótce po odpłynięciu na jachcie „Tuluza” doktora Buotti i starego Mortona, przywieziona do Chancefieldu Izabela Riland obudziła się z długotrwałego snu. Otworzywszy oczy ujrzała obok siebie miss Trenborn i Helgę Lund.

Przy pierwszym poruszeniu się Izabeli guwernantka i niania jednogłośnie się rozpląkały, obficie skropiwszy ukochaną dziecinę łzami radości.

Izabela poznała zaciemniony, mroczny pokój „chorego Francuza”. Z wysiłkiem uniosła się na łokciu i wyteżając pamięć poczęła sobie przypominać wszystko, co się z nią działo. Wraz z powrotem do świadomości jasno stanęły przed nią szczegóły ucieczki z rodzicielskiego domu i posępny podziemny schron w kaplicy. Bolała ją bardzo głowa. Sen jej nie pokrzepił, przeciwnie, czuła się cała rozbita i chora. Wolno, jak chmura niksąca na horyzoncie,

opuszczała ją senność, lecz jednocześnie w sercu rodziło się uczucie trwogi i niepewności. W tej chwili otworzyły się drzwi i niebieskooki „kawaler de Cresy” gwałtownie wtargnął do tego przybytku ciszy i spokoju. O mało nie wyróciwszy krzesel z opiekunkami Reginald padł na kolana przed łóżem i przycisnął do ust rękę panny.

- Gdzie jest mój ojciec? - wyrzekła wreszcie Izabela, podnosząc się na łożu.

Twarz miss Trenborn od razu pokryła się czerwonymi plamami, Helga Lund bezradnie spojrziała na Reginalda.

Z tej w najwyższym stopniu kłopotliwej sytuacji wybawiło obie kobiety pojawienie się w pokoju dwu nowych osób. Do łóża podeszli kapitan Bernardito i jego przybrany syn Charles. Kapitan słyszał pytanie Izabeli. Położył bratu i siostrze ręce na ramionach i powiedział serdecznie:

- Nie trwóście się, dzieci, wszystkie niebezpieczeństwa są już za wami. Czeka was szczęśliwa przyszłość w otoczeniu oddanych przyjaciół i kochających serc. Ucałuj siostrę, mój mały Lie, a pani, seniorita, może być dumna z takiego brata. Zastąpi on pani ojca, albowiem Leopard Grelli nie żyje! A teraz, moi państwo, zostawmy naszą „zmartwychwstałą” sam na sam z bratem. Mają sobie na pewno wiele do powiedzenia!



## **Wyspa Słoneczna**

### **1**

Minęły już z górą dwa tygodnie od dnia wyjazdu Bredda do Londynu. Ciało Giacoma Grellego, zamknięte w ołowianej trumnie, spoczywało w podziemiach chancefieldzkiego domu. Do miasta poczęły przenikać pierwsze słuchy o śmierci lorda admirała, lecz wszelkie próby dziennikarzy o udzielenie jakichkolwiek informacji na ten temat spotkały się ze stanowczą odmową ze strony porucznika Brooksona. Chancefield nadal żył własnym, zamkniętym życiem i jego mieszkańcy nie pokazywali się poza obrębem posiadłości, podobnie jak nikt z zewnątrz nie bywał tu dopuszczony. Taki był rozkaz władz.

Rankiem piętnastego września 1790 roku kapitan Bernardito wybrał się do „Wesołego Buldoga”, do dylizansu londyńskiego. Brak wiadomości ze stolicy zaczynał już niepokoić wszystkich uczestników „polowania na leoparda”.

Gdy ciężki wehikuł z turkotem żelaznych obręczy, oznajmiony już z daleka głosem trąbki, zajechał przed traktiernię, Bernardito dojrzał w oknie dylizansu trójgraniasty kapelusz majora. Na górze siedziało sześciu żołnierzy w czerwonych mundurach i chudy, wysoki sierżant.

Już z pierwszych słów majora Bredda kapitan domyślił się, że wieści z Londynu są niepomyślne.

- Sierżancie, odmaszerujcie z żołnierzami do zamku - wydał rozkaz major - i zameldujcie porucznikowi Brooksonowi, że przybywacie z oddziałem, by przejąć ochronę Chancefieldu.

Żołnierze ustawili się w szyku marszowym i ruszyli w stronę zaniku. Bredd odprowadził ich wzrokiem i zaproponował kapitanowi, aby wypili po kuflu piwa. Weszli do traktierni i usiedli przy odosobnionym stoliku.

- Jestem przysłany przez generała Hawerstone'a dla wzmocnienia ochrony majątności świętej pamięci lorda Chancefielda...

Bernardito ze zdumieniem spojrzął na majora. Ten z niewzruszoną miną przyglądał się napojowi w kuflu. Pociągnął łyk i mówił dalej:

- W ślad za mną wyjechał już z Londynu sam generał Hawerstone, dyrektor Kompanii Północnobrytyjskiej mister Norward i wysłannik rządowy z pełnomocnictwami lorda kanclerza. Jest nim mister Blannard. Tym razem... prawdziwy! - dodał z niewesołym uśmiechem.

- W jakim celu przyjeżdżają tu ci panowie? - spytał Bernardito przeczuwając coś niedobrego.

- Aby wyrazić współczucie niepokieszonej wdowie, wprowadzić ją w prawa spadkobierczyni i... naprawić błędy popełnione przez nietaktownego i niemądrego majora Bredda! Jutro odbędzie się uroczysty pogrzeb hrabiego Chancefieldu, senior Luiz!

Odsunąwszy pusty kufel Bernardito skinieniem głowy wskazał widoczne przez okno wieżyczki Chancefieldu.

- Nie bardzo rozumiem, panie majorze! A... właściwi spadkobiercy tego domu?

- Kogo ma pan na myśli, kapitanie?

- Jak to - kogo? Naturalnie, że Reginalda Murraya i jego siostrę Jane.

- Widzi pan, kapitanie, lord kanclerz zdecydował, przy aprobacie jego królewskiej mości, iż w obecnych niespokojnych czasach rewolucyjnych wstrząsów na kontynencie należy unikać wzburzenia umysłów, jakie niewątpliwie wywołałoby ujawnienie owych tajemnic, nad których odkryciem trudziliśmy się z przesadnym zapałem. Żadnych enuncjacji na temat przeszłości Giacoma Grel... chciałem powiedzieć świętej pamięci lorda admirała, nie będzie.

W razie ukazania się w prasie jakichś insynuacji nakład ulegnie konfiskacie. Na jednym z placów Bultonu zostanie wzniesiony pomnik hrabiego.

- A więc przysłanie tych żołnierzy...

- Jest środkiem przedsięwziętym w celu zabezpieczenia majątności milorda i milady Riland przed zakusami podejrzanych i niepożądanych cudzoziemców. Spodziewam się, iż pan rozumie, kogo generał Haverstone ma na myśli?

- Chyba tak, oczywiście mnie i...

- ...i pańskich przyjaciół. Czyżby pan, kapitanie, człowiek tak bystry, jeszcze się nie domyślił, dlaczego postarałem się przyjechać tu... przed przybyciem pozostałych członków komisji?

- Panie majorze, prawni dziedzice Chancefieldu z nadzieją oczekiwali pańskiego powrotu!

- Niestety, nadzieje te się nie ziściły. Jedyna rzecz, jaką mogłem zrobić, to ostrzec was, co uważałem za obowiązek uczciwego sojusznika w trudnej walce. Przez swój przyjazd tutaj spełniłem ten obowiązek. Czy teraz... zrozumiał mnie pan, kapitanie?

Bernardito podniósł się i spojrzał w oczy Breddowi:

- Czy nie zechciałby pan sam porozmawiać ze... spadkobiercami, majorze?

- Dobrze. Chodźmy do zamku. Pokażę im wyciągi z protokołu komisji sądu kanclerskiego. Rozwieje to wasze wątpliwości i wówczas będziecie mogli postąpić wedle własnego uznania.

... W gabinecie myśliwskim zamku chancefieldzkiego, pełnym zakurzonych szaf i gablot z bronią, zebrali się w ciasnym kółku „ci, co zwyciężyli leoparda”. Major Bredd znalazł się tu w towarzystwie starego kapitana, obojga spadkobierców - Reginalda i Jennie Murray, miss Izabeli Riland, George'a Bingle'a i wysokiego Charlesa.

Bredd wyjął z teki kilka arkuszy zapisanych wprawną ręką kancelisty. Bernardito, Charles i George Bingle pochylił się nad papierami. Opuszczając nudne formuły prawne z powoływaniem się na artykuły i paragrafy, George Bingle, który najlepiej dawał sobie radę z niezbyt wyraźnym pismem kancelisty, począł czytać na głos ważniejsze miejsca z tego dokumentu:

*„W obecnych burzliwych czasach...” tak... „zatwierdzona przez Jego Królewską Mość tajna komisja sądu kanclerskiego...” tak... „postanowiła dla uniknięcia wzburzenia umysłów obywateli brytyjskich...” O, o, słuchajcie! „Jego Króлева Mość polecił Komisji jak najsumienniejsz zbadać prawa obecnych pretendentów do tytułu i majątności zmarłego... Po rozpatrzeniu wszystkich okoliczności samobójstwa milorda Komisja kategorycznie odmawia przyznania prawa dziedzictwa synowi Alfreda Murraya, albowiem mister Alfred Murray w dniu trzydziestego pierwszego grudnia 1772 r. na pokładzie brygu „Orion” złożył prawomocne oświadczenie, iż nie zgłasza żadnych pretensji do tytułu i majątku wicehrabiów Chancefieldu. Ponadto tenże Alfred Murray prowadził później w Ameryce walkę przeciwko siłom zbrojnym Brytyjskiej Korony, stając się tym samym jej wrogiem, jak również współdziałał w oderwaniu od Zjednoczonego Królestwa jego zachodnich posiadłości. Wobec takiego stanu rzeczy jakiegokolwiek pretensje majątkowe ze strony czy to samego Murraya, czy też jego potomków nie mogą być brane pod uwagę.”*

Gdyby major Bredd spojrzał w tej chwili na Reginalda, zdumiałby go zapewne bynajmniej nie smutny uśmiech na twarzy człowieka, który utracił prawa spadkobiercy. Lecz major patrzył w inną stronę i nie widział też, jak miss Izabela Riland niepostrzeżenie wyciągnęła rękę do niedoszedłego dziedzica Chancefieldu.

- Reggie! - szepnęła czule. - Kochany! Chancefield stał się dla mnie całkiem obcy! Jeśli ty musisz go opuścić... ja też nie chcę tego dziedzictwa... I mogę ci teraz dać odpowiedź, na którą... od dawna czekasz, Reggie!

W tym momencie wszyscy obejrżeli się na nich. Izabela zarumieniła się i umilkła, Reginald

patrzył na nią z uwielbieniem. George Bingle mruczał dalej czytając urywki protokołu:

*„Ze śmiercią osoby noszącej tytuł hrabiego Chancefieldu, earla Bultonu i lorda admirała floty brytyjskiej, powyższy tytuł przestaje istnieć, cały zaś majątek zmarłego, a mianowicie: posiadłość ziemską, zamek, bank, stocznia, zakłady przemysłowe, domy mieszkalne w Bultonie, Londynie i innych miastach, ферmy rolnicze oddane w dzierżawę, okręty i całe mienie ruchome łącznie z kapitałami ulokowanymi w papierach wartościowych i złocie, jak również nadająca się pod uprawę ziemia na wyspie leżącej na Oceanie Indyjskim - zgodnie z prawem przypada w spadku wdowie po zmarłym, dostojnej i czcigodnej milady Ellen Riland, hrabinie Chancefieldu, znanej ze swej dobroczynności, która zasłużyła sobie na niezmienną łaskę rodziny królewskiej przez swe oddanie i wierność dla tronu. Komisja sądu kanclerskiego prosi ową szlachetnie urodzoną, znakomitą damę, aby tymczasem zechciała pozostawić zarząd całym wyżej wymienionym majątkiem w rękach szanownego pana Norwarda, który cieszył się zaufaniem zmarłego milorda i gotów jest nadal się trudzić dla dalszego rozkwitu firmy i przedsiębiorstw utworzonych przez zmarłego. Przedstawiciel Komisji mister Blannard zostaje mianowany tymczasowym gubernatorem Wyspy Charlesa na Oceanie Indyjskim. Dla zaprowadzenia na tej wyspie normalnego porządku kolonialnego i utrzymania go mister Blannard winien zaraz po pogrzebie wysłać tam ekspedycję złożoną z trzech bojowych okrętów i silną ręką umocnić na wyspie panowanie brytyjskie. Komisja wyraża nadzieję, iż milady Riland okaże poparcie materialne temu przedsięwzięciu, spełniając w ten sposób wolę zmarłego małżonka...”*

- Popatrz, George, czy nie ma tam czegoś bardziej ciekawego! - z irytacją rzucił Bernardito. - Czytaj prędzej, wygląda na to, że nie mamy co dłużej robić w tym diabelskim gnieździe!

- „...Wysłuchawszy na tajnym posiedzeniu raportu oficera tajnej kancelarii majora Bredda... zażądać od obywateli amerykańskich Reginalda i Jane Murray, jak również poddanego francuskiego Bernardita Luiza el Gorra, aby w ciągu dwudziestu czterech godzin opuścili granice Zjednoczonego Królestwa. W razie odmowy podlegają oni aresztowi i zostaną przymusowo wysiedleni...” A tu coś o tobie, Charles, i... o mnie. Słuchajcie! „Co się tyczy Charlesa Rilanda, został on uznany za zmarłego we wczesnym dzieciństwie i pogrzebany na wyspie noszącej jego imię, osoba zaś nazywająca się dziś Leo Noël-Abrahams, a inaczej Charles Chambay, zarówno jak niebezpieczny socjalista i jakobin George Bingle - winni być natychmiast aresztowani i dostawieni do Londynu...”

- No, bracie, chyba wystarczy! Wszystko jest jasne! - oświadczył głośno „niebezpieczny jakobin” oddając papier majorowi Breddowi.

- Chwileczkę, majorze, a co będzie z tą całą bandą? - wtrącił się Bernardito.

- Co czeka mnicha-truciciela, oberżystę-mordercę Williama Linsa, tych wszystkich Flatcherów, Webstów, Jankinsów?

- Dożywotnie więzienie - odpowiedział major. - Los ten mógłby ominąć jedynie Jankinsa, gdyby go nie skusiło popełnić nadużycia dla korzyści osobistej. Prawdę mówiąc, nie przyszło mi nawet do głowy, gdy go nakryłem na podrabianiu banknotów francuskich, iż ten fałszerz wykonuje - że tak powiem - państwowe zamówienie z Londynu... Zamówienie to przekazane zostało przez zmarłego milorda. Najwidoczniej rząd był w tym zainteresowany...

- Proszę mi powiedzieć, mister Bredd, czy pan osobiście też uważa za sprawiedliwe to całe

orzeczenie komisji? - spytała Jennie Murray.

- Łaskawa pani, podaję się do dymisji i jego królewska mość był łaskaw zawiadomić mnie przez generała, że moja dymisja zostanie przyjęta. Po załatwieniu spraw w Chancefieldzie i uroczystym pogrzebie milorda moja kariera służbowa się kończy.

- I powodem, dla którego podał się pan do dymisji...

- ...było najwyższe niezadowolenie, z jakim jego królewska mość przyjął, nie wnikając w nie nawet, materiały demaskujące milorda. Zdaniem jego królewskiej mości takie oddanie tronowi, jakie wykazywał zmarły, czyniło go godnym zasiadania nawet w radzie „królewskich przyjaciół”... Ale pozostało nam bardzo niewiele czasu, moi państwo. Komisja może przybyć lada godzina.

...Tego dnia wieczorem nieduża załoga przygotowywała już do rejsu jacht „Krzyż Południa”. W tym samym czasie odbyło się pożegnanie miss Izabeli Riland z matką, która była oszołomiona nowymi wiadomościami nie mniej niż prawdziwi spadkobiercy...

- Opuuszczasz mnie, moja córko? - chłodno spytała hrabina. - Może nie zdajesz sobie sprawy, że tracisz prawo do bogactwa i dobrego imienia rodziców?

- Zrzekam się na zawsze zdobytych w haniebny i występny sposób bogactw ojcowskich, a na dobre imię zasłużę sobie, mam nadzieję, w rodzinie przyszłego męża! - twardo odpowiedziała Izabela.

## 2

Rankiem czternastego września, w pierwszych promieniach łagodnego jesiennego słońca, jacht „Krzyż Południa” opuścił redę bultońskiego portu. Załoga, zwerbowana w ciągu jednej nocy spośród włoskich dokerów i bezrobotnych marynarzy, liczyła dziewięć osób. Przy sterze stał kapitan Bernardito i Charles Riland.

Gdy słońce podniosło się wyżej na niebie, jacht pożeglował z wiatrem biorąc kurs na południe. Wszyscy pasażerowie stali na pokładzie. Skaliste wybrzeże przesłoniło już przed ich wzrokiem wdzierającą się głęboko w ład zatokę bultońską, wysokie spiczaste dachy miasta, szare wieże katedry, wzgórze z twierdzą na szczycie i gmatwaninę okrętowych masztów i lin przy portowych pirsach.

Od strony portu dochodził miarowy, posepny głos obu katedralnych dzwonów. Ten głos chwilami zamierał, zniesiony wiatrem, to znów stawał się wyraźniejszy.

Z pokładu można było dojrzeć gołym okiem czarne mrowie ludzkie zapełniające przedmiejskie ulice. Olbrzymie tłumy ludzi podążały z Bultonu w stronę wzgórz chancefieldzkich. Gdy wiadomość o śmierci lorda admirała została oficjalnie ogłoszona, całe miasto wyruszyło, by odprowadzić doczesne szczątki znakomitego ziomka na miejsce wiecznego spoczynku w rodzinnym grobowcu.

- Nasza misja w Bultonie skończona, synu - rzekł kapitan Bernardito. - Mamy dobry okręt „Trzej Hidalgowie”, na którym powojujemy jeszcze za młodą Francję. Czy zechcesz przybrać moje nazwisko, nazwisko starego włóczęgi i wygnańca, wroga wszelkich królów? Pragnę widzieć cię szczęśliwym, synku!

- Ojczy, ofiarowujesz mi to, na co zasługiwałby najbardziej kochający rodzony syn. A prawdziwe szczęście to pomagać innym, by też byli szczęśliwi. Jestem pochłonięty ideą George'a o Wyspie Słonecznej. Będzie ona rzeczywiście szczęśliwa, gdyż słońce musi tam świecić jednakowo dla wszystkich. Ludzie będą tam wiedli życie sprawiedliwe, będą wspólnie pracować i na równi dzielić owoce swej pracy. Sami będą sobie wybierali przewodników w różnego rodzaju pracach, sami zbudują swoje Miasto Słońca!

- Zamilcz! Nie bardzo się wyznaję w pięknych marzeniach, ale niech mnie piorun trzaśnie, jeśli Kościół święty nie ogłosi cię heretykiem za te pomysły, mój chłopcze! Któż to widział, aby jeden człowiek nie zazdrościł drugiemu, nie oszukiwał drugiego, nie dążył do panowania nad drugim! Lecz gdyby to nawet było możliwe, czyż pozwolą władcy ziemscy, aby gdziekolwiek powstała taka kolonia? Zrobiono by z was niebezpiecznych szaleńców i postarano by się zetrzeć was czym prędzej z powierzchni ziemi razem z waszym Miastem Słońca.

- Dlatego właśnie, ojcze, wybraliśmy wyspę na Oceanie Indyjskim. Będziemy tam z dala od królów, papieży i gubernatorów i nikt nam nie przeszkodzi. I to już nie jest pustynia, mieszkają tam dzielni ludzie, a grunt jest tak przygotowany, że Miasto Słońca może powstać w bardzo krótkim czasie. Ja i George...

- Słyszałeś, synku, o wojennej ekspedycji generała Haverstone'a na Wyspę Charlesa! Jest to wystarczająca przyczyna, aby porzucić wszelką myśl o „sprawiedliwej” kolonii na tej wyspie. Nasi ludzie będą musieli ją opuścić! Zobaczysz, za rok zamiast miasta waszych marzeń będą tam angielskie niewolnicze plantacje i kopalnie.

- Powiedz mi, ojcze, czyż ludność wyspy nie zdoła wytrzymać oblężenia? O szczęście trzeba walczyć! Ty z sześcioma Murzynami zwyciężyłeś załogi dwóch rozbójniczych okrętów! My... przepędzimy stamtąd angielskiego gubernatora.

- My? Charlie i George, tak? Ech, wy, moi bracia-mściciele! Ludzie z naszej wyspy są mądrzejsi, wiedzą, że u hydry w miejsce jednej odrąbanej głowy odrastają trzy nowe... Ale ja wiem, Charles, jak trudno jest się rozstać z marzeniem, które długo nosiło się w sercu. Nie chcę cię rozczarowywać, mój chłopcze! Z Italii popłyniemy na naszą wyspę i zobaczymy, jak inni przyjmą wiadomość o rychłym przybyciu gubernatora. Jeśli ci ludzie dostatecznie mocno wrosli w tę ziemię i wolność - może istotnie gotowi będą pójść za nią na śmierć. Gdyby tak było, stanę i ja przy was, chociaż nie bardzo wierzę w to wasze Miasto Słońca. Nie opuszczę cię w godzinie niebezpieczeństwa, Lie!

### 3

Już od miesiący ojciec Fulvio di Gracciolani spędzał czas na gorzkich rozmyślaniach. Zamiast względów, jakimi niezmiennie zaszczycał go kardynał, nuncjusz papieski w Wenecji i biskup, przewodniczący tajnego trybunału świętej inkwizycji w republice - spotykał się coraz częściej z nader wyraźnie odczuwalnym chłodem. Obaj dostojnicy kościelni mieli dość powodów do niezadowolenia z działalności tajnego wojska, dowodzonego przez ojca Fulvio. Wojsko to, rozsiane po wszystkich zakątkach, zajmowało się drobnym szpiegostwem, a jego szeregi przerzedzały się na skutek tajnych intryg. Nie bardzo spełniało ono pokładane w nim nadzieje; wśród wiernych mnożyły się herezje, rozpowszechniały ateistyczne teorie, a dopływ cekinów i guldenów do skarbców kościelnych stawał się coraz słabszy.

Na chmurnym czole jezuita malowała się głęboka troska. Od ojca Benedykta z Bultonu już dawno nie było wiadomości. Wysłany do niego Luigi Grinelli powinien był wrócić w czerwcu, najdalej w lipcu, a tymczasem była już jesień i ojciec Fulvio daremnie czekał na swego wiernego sługę. Zniknięcie brata Luigi nie na żarty zaniepokoiło ojca. Tajni bracia nie przebaczały zdrady!

W piątek piątego października w weneckiej lagunie zarzucił kotwicę nieduży statek. Sądząc po węzłach na takielunku i szerniałym drzewie burt, ten lekki i szybki jacht pozostawił za rufą wiele tysięcy mil. Skromny wygląd statku i odległy kącik obrany przez jego kapitana na miejsce postoju, jak również brak na jego pokładzie chętnych do wydawania pieniędzy na pamiątki - wszystko to razem sprawiło, że nawet portowe łaziki i przekupnie bardzo szybko przestali zwracać uwagę na malutką „Tulużę”.

Nazajutrz po przybyciu jachtu do Wenecji przed frontonem Marmurowego Pałacu zatrzymała się gondola, z której wygramolił się jakiś źle ogolony cudzoziemiec w niekształtnej peruce i krótkim płaszczu, pozwalającym wszem wobec widzieć pończochy, czarne getry i ciężkie trzewiki o buldogowatych nosach.

„Bakalarz sztuki” Anthony Cenni, którego doktor Buotti zaangażował w pałacowym muzeum pod nazwiskiem Antonia Carillo, był właśnie w swym pokoiku znajdującym się obok pierwszej sali. Ujrawszy cudzoziemca pospieszył mu naprzeciw, lecz gdy ten wszedł do pałacu i sapiąc z gorąca uniósł przed zwierciadłem perukę, by wytrzeć spoconą łysinę - signor Antonio, obserwujący go w lustrze, nagle zmienił się na twarzy i o mało się nie pośliznął na woskowanej posadzce.

- Czy będę mógł, jako podróżny przybywający z daleka, obejrzeć zbiory muzealne tego pałacu? - skrzypiącym głosem spytał gość po angielsku.

Oprócz Antonia, znającego dobrze język Albionu, nie było w westybulu nikogo, kto by władał angielskim. Niemniej signor Antonio uczynił ruch, jakby chciał umknąć do swego pokoiku. I byłoby mu się to udało, gdyby nie wszechobecny Lafcadio, służka ojca Fulvio, który nagle wyrósł obok cudzoziemca.

- Signor Carillo! - zawołał z wyrzutem w głosie. - Czy pan nie słyszy, że signor prosi, by mu pokazać zbiory?

Antonio zawrócił. Nie pozostało mu nic innego, jak podejść do cudzoziemca i otworzyć przed nim drzwi do pierwszej sali. Monotonnym głosem zaczął swe objaśnienia. Cudzoziemiec odniósł się do nich z wyjątkową obojętnością. Poza tym miał tak słaby wzrok, że musiał go bardzo wysilać przyglądając się płótnom.

- Pan się nazywa Antonio Carillo? - szepnął w pewnej chwili.

- Tak, signore.

- Niech pan posłucha. Wiem, kim pan jest... zresztą poznaję pana, signor Cenni. Proszę nie dopatrywać się we mnie wroga... Kiedyś, później, wszystko pan zrozumie. A tymczasem proszę schować ten list od doktora Buotti. Niech pan uważa, by ojciec Fulvio o nim się nie dowiedział.

Antonio Carillo szybko schował list.

- A teraz, mój drogi - szeptał dalej cudzoziemiec - niech się pan postara jak najprędzej skończyć oprowadzanie mnie po muzeum. Muszę niby przypadkiem spotkać się tu z ojcem Fulvio.

Antonio zauważył na ręce cudzoziemca pierścień z agatową pieczęcią. Spojrzał na swego rozmówcę ze zdziwieniem i niedowierzaniem, lecz usłyszawszy w sąsiedniej sali jedwabisty szelest sutanny momentalnie powrócił do swych objaśnień.

- A to jest obraz pędzla Cimabuego. Artysta wziął jego temat... Cudzoziemiec odwrócił się i umyślnie wolnym ruchem podniósł do czoła rękę z pierścieniem, jakby chciał się przeżegnać. Fulvio di Gracciolani powiedział do Antonia:

- Może pan odpocząć, mój synu! Ja sam się zajmę gościem. Otóż ma pan przed sobą płótno Cimabuego, signore. Jego pędzel, podobnie jak sztuka Ghirlandaio, którego dzieła zdobyły Palazzo di Gesu w Rzymie, żarliwie głosi chwałę dobrego Stwórcy...

Antonio Carillo był już za drzwiami. Zamknąwszy się w swoim pokoju rozerwał kopertę wręczoną mu przez angielskiego turystę. Tego turystę signor Carillo poznał od razu, gdy ten wszedł do westybulu. W Marmurowym Pałacu zjawił się... sędziwy attorney Thomas Morton.

Ojciec Fulvio nareszcie doczekał się dobrych wieści! Wszystkie troski, niepokoje i trwogi dręczące go w ostatnich miesiącach ustąpiły miejsca uczuciu głębokiej satysfakcji. Obowiązek został spełniony! Z Chancefieldu przywieziono mu bardzo ważny dokument. Hrabiofskie miliony wkrótce zapelnia pustawy skarbiec zakonu i umocnia pozycję Kościoła

Chrystusowego. Ojciec Benedykt Morsini może to sobie poczytać za ogromną zasługę wobec zakonu!

Dalszy ciąg rozmowy ojca Fulvia z zagranicznym gościem, zaczętej w muzeum przed płótnem Cimabuego, odbył się w prywatnym mieszkaniu pałacowego kapelana.

Mnich pytającym wzrokiem patrzył w bezbarwne, wodniste oczy starca. Thomas Morton wytrzymał ten badawczy wzrok, w milczeniu zdjął z palca pierścień i położył go na stole. Pierścień ojca Benedykta! Tajny znak rozpoznawczy, dany Mortonowi przez bultońskiego jezuitę.

- Czy ma pan przy sobie przywieziony dokument, signore? - spytał ojciec Fulvio.

- Jest tu, zaszyty w kamizelce. Mój przyjaciel, ojciec Benedykt, życzył sobie, abym nie zaniechał pewnych środków ostrożności.

Mister Morton usiłował przy tym zdjąć staromodny frak, kolorem przypominający tabakę.

- Lafcadio! - zawołał ojciec Fulvio.

Młody braciszek zjawił się momentalnie. Wystarczyło jedno spojrzenie ojca, by zrozumiał, co ma zrobić. Zręcznie pomógł panu Mortonowi zdjąć frak, rozpiąć kamizelkę i odnaleźć świeży szew, pod którym leciutko chrzęścił papier. Po chwili szew był rozpruty, a na stole przed ojcem Fulvio znalazła się lekko zmięta koperta.

Schowawszy pierścień i list Fulvio di Gracciolani spytał, gdzie się zatrzymał w Wenecji mister Morton. Angielski adwokat odparł na to, że ma zamiar spędzić dla odpoczynku ze dwa tygodnie w pewnym hotelu na Rialto, po czym wraca do starego, poczciwego Bultonu.

Jezuita odprowadził gościa aż do gondoli, wrócił do swego pokoju i otworzył list. W kopercie, prócz dokumentu z podpisami Fredericka Rilanda, Thomasa Mortona i prawnika Leo Noël-Abrahamsa, znajdował się jeszcze złożony we czworo czysty arkusz grubego białego papieru. W dolnym lewym rogu tego arkusza ojciec Fulvio odkrył małe krzyżyk. Był to oczywiście znak, że ten papier nieprzypadkowo został tu włożony!

Obracając go w palcach mnich wyczuł dotykiem dziwną jego chropowatość. Zamknął drzwi na klucz, zapalił świecę i chwilę potrzymał papier nad płomieniem. Na całej powierzchni białego arkusza poczęły się ukazywać wyraźne, ciemnobrązowe linijki listu napisanego mlekiem, po łacinie.

### ***„In nomine Dei!***

*Spieszę zawiadomić Waszą Wielbność o wykonaniu przeze mnie, niegodnego sługę bożego, powierzonego mi zadania. Niebezpieczeństwo zagrażające naszej świętej sprawie zostało zażegnane. Podstępni wrogowie milorda, zmierzający do jego zdemaskowania, zostali starci na pył, lecz w walce z owymi wyrodkami padł sam milord.*

*Przed śmiercią, za sprawą Ducha świętego, jak również dzięki zabiegom pokornego brata w Chrystusie Waszej Wielbności, podpisał załączone zaświadczenie, będące formalnym, prawnie uwierzytelnionym dokumentem stwierdzającym zgon nieprawego hrabiowskiego potomka pirata Giacoma Grellego oraz brak potomków w linii prostej wyżej wymienionego Grellego. Syn milorda Charles, wrogo usposobiony do własnego ojca, opuścił ziemski padół nie zdążwszy odkryć swego prawdziwego imienia przed nikim poza swą siostrą Izabelą. Ta zaś otrula się w przystępie rozpacz. Jej los podzielił również Reginald Murray, bezprawny, lecz niebezpieczny pretendent do tytułu. Tajemnica milorda umarła wraz z tymi osobami. Niech Bóg przebaczy im wszystkie grzechy i przyjmie ich dusze do królestwa niebieskiego! Amen!*

*Czekając nadaremnie przybycia brata Luigi, stałego posłańca Waszej Wielbności, i kierując się wyłącznie pragnieniem przyspieszenia wysyłki wiadomości, postanowiłem na własną rękę poszukać pewnego człowieka. Pamięć o podeszłym wieku i chorobach naszego jaśnie*

*oświeconego testatora nakazywała mi pośpiech w dostarczeniu tak ważnego dokumentu. Nakłoniłem więc mister Thomasa Mortona, aby jako najbliższy współpracownik swego zmarłego dobrodzieja pojechał do Wenecji i doręczył niniejszy list do rąk własnych Waszej Wielebności. Załączony dokument winien rozwiać ostatnie wątpliwości i grzeszne wahania testatora. Amen!*

*Waszej Wielebności pokorny brat w Chrystusie.*

**Benedykt**

**Bulton, 20 sierpnia 1790 roku.”**

Jezuita przeżegnał się, schował dokument do brewiarza i posłał Lafcadio na górę, by poprosił hrabiego Paolo na sobotnie wieczorne nabożeństwo. Lafcadio zastał hrabiego pogrążonego w drzemce po dość długiej wycieczce gondolą, jaką hrabia odbył przed południem. Przemógłszy zmęczenie starzec zszedł do kaplicy. W czasie nabożeństwa siedział w ławce wsparty na ramieniu nowego członka służby pałacowej, Antonia Carillo. Stary signor szczególnie chętnie korzystał z tego rodzaju usług Antonia, który świadczył je bez cienia unізoności. Cały personel pałacowy podziwiał, jak dobrze wpływa towarzystwo tego młodego człowieka na schorowanego i niedołężnego starca.

Po krótkim nabożeństwie ojciec Fulvio udał się wraz z hrabią Paolo na pokoje. Spiesznie wysłana przez niego gondola przywiozła do pałacu kilka osób urzędowych - głównego notariusza hrabiego d'Ellano wraz z pomocnikami i pisarzami, jak również wyznaczonych przez samego hrabiego Paolo wykonawców jego testamentu. Fulvio di Gracciolani oczekiwał już ich w westybulu. Zaprowadził gości na górę, wyjaśniając po drodze, że zaproszono ich do pałacu celem usunięcia, z woli hrabiego, pewnej klauzuli w jego testamencie. Chodzi bowiem o to, iż pewien dokument otrzymany z Anglii odebrał testatorowi ostatnią nadzieję na odnalezienie i zabezpieczenie potomków.

Hrabia Paolo był bardzo zgnębiony tą wiadomością.

W obecności ojca Fulvia przybyli panowie wprowadzili poprawkę do testamentu.

Była już noc, gdy notariusz ze swą świtą opuścił Marmurowy Pałac. Po jego odjeździe ojciec Fulvio, mimo późnej godziny, udał się do pałacu kardynała. Jedną wysoko postawioną osobą duchowną spieszyła do drugiej, by się z nią podzielić dobrymi wiadomościami.

## 4

Od tego wieczora minęły już prawie dwa tygodnie. Hrabia Paolo rzadko przez ten czas opuszczał swe pokoje. Głęboko wciąż zamyślony tracił często wątek rozmowy, zasypiał przy stole i nie mógł zmrzyć oka w łożu. Z trudem powłóczył obrzękłymi nogami, bywał bardzo rozdrażniony i ogromnie odczuwał swą samotność. Jednakże rozmowy z ojcem Fulvio męczyły go, toteż duchowny hrabiego nie narzucał się staruszkowi. Natomiast hrabia jak dawniej chętnie dopuszczał do siebie Antonia Carillo. Signor Antonio miał przyjemny głos i całymi godzinami czytał choremu jego ulubionych poetów - Petrarę i Dantego.

W tym okresie stary hrabia przyjął za ledwie jedną osobę - sędziwą seniorkę Estrellę Luiz el Gorra. Przybyła ona z Europy na francuskim okręcie wojennym „Trzej Hidalgowie”, którym dowodził jej wnuk. Wylądowała w Tulonie i nie mogła sobie odmówić tej przyjemności i nie wstąpić do Wenecji, by odwiedzić starego przyjaciela - hrabiego d'Ellano. Ojciec Fulvio widział ją przelotnie w westybulu i nawet razem z nią westchnął nad szybkim przemijaniem czasu.

Jezuita nie wiedział, że po odjeździe starej seniorki hrabia Paolo ze wzruszeniem wczytywał



się w ten krótki list:

*„Ekscelencjo, jeśli powtórna przejażdżka w gondoli nie będzie zbyt męcząca, znów oczekuję Pana na pokładzie wiadomego statku. Następnie pojedziemy do Willi Kwiatów, gdzie pewne, od dawna przyrzeczone spotkanie każe Panu zapomnieć o wszystkich cierpieniach duszy i ciała.*

*Głęboko oddany*

***Buotti.***”

Hrabia ubrał się przy pomocy dwóch kamerdynerów i opierając się na ramieniu Antonia zszedł do gondoli. W kabinie wyłożonej dywanem piętrzyły się stosy miękkich poduszek. Ta „pływająca karetka” służyła hrabiemu już wiele lat. Zapach perfum i wschodnich wonności mieszał się z wonią stojącej wody, starego adamaszku i gnijącego drzewa.

Antonio zapuścił firanki i usiadł naprzeciwko hrabiego. Gondola zakołysała się, sternik i drugi gondolier wywiedli ją na Wielki Kanał.

Dzień był ciepły, bez jednej chmurki na błękitnym niebie. Rozbrzmiewały pieśni wioślarzy na spotykanych gondolach.

Gdy hrabiowska „pływająca karetka” zbliżyła się do laguny, eccelenze Paolo uniósł firankę. W czystym, zadziwiająco przejrzystym powietrzu rysowały się wyraźnie maszty i reje okrętów, odbite w zwierciadle zatoki. I podczas gdy hrabia spoglądał na łodzie tłoczące się w ujściu kanału, pałace skąpane w słońcu, bandery, wimble, ludne ulice i dalekie sylwety okrętów, Antonio Carillo uważnie obserwował wodę za rufą. Jak przewidywał, nikt ich nie śledził, żadna łódź nie skradała się za nimi. Widocznie ojciec Fulvio, uspokoiony wprowadzeniem poprawki do testamentu, odwrócił czujny wzrok od hrabiego Paolo,

W jednym z najdalszych zakątków laguny stał przy nabrzeżu mały, niepozorny stateczek. Żagle na jego wysokich masztach były ciasno zwinięte. Po pokładzie chodził wachtowy marynarz, a przy samym trapie dziobowym widać było korpulentną sylwetkę mężczyzny w długiej szacie, przypominającej szaty duchownych, i w czarnym doktorskim birecie. Gondolier wolno podprowadził łódź do trapu. Przed oczami Antonia zaśniły złote, wypukłe litery napisu „Tuluza”. Korpulentny signor w doktorskim birecie zszedł z pokładu do gondoli. Z trudem utrzymując równowagę pasażer ten dał nura do kabiny i padł... w otwarte ramiona hrabiego Paolo.

- Villa dei Fiori! - rzucił doktor Buotti gondolierom.

Czarna gondola pomknęła wzdłuż wybrzeża do zamiejskiej willi hrabiego d'Ellano. Słyszała ona ze swych ogrodów, gdzie kwiaty, krzewy, drzewa, a nawet trawa były tak dobrane, że odbijając się w sadzawkach czy fontannach, jakby zabarwiały wodę; przy jednym brzegu woda sadzawki mieniła się tonami malachitowej zieleni, przy drugim była modra lub też bladoliliowa. Złożona gra światła i barw ożywiła marmurowe posągi najad. Te piękne nagie nimfy zamarły, rzekłbyś, na mgnienie we wstydliwych pozach, gotowe za chwilę pierzchnąć przed ludzkim wzrokiem w gęstą przybrzeżną zieleń. Żywe natomiast łabędzie trwały nieruchomo w wodzie, zdając się być rzeźbami z kararyjskiego marmuru.

Po drodze hrabia skarżył się gorzko doktorowi Buotti.

- Ostatnie dni przymusowej samotności i trwożnego oczekiwania były dla mnie szczególnie ciężkie, drogi przyjacielu - mówił starzec. - Jeszcze boję się uwierzyć w to, co mnie czeka. Wciąż mi się zdawało, że nie dożyję tego dnia i że na próżno pozbawił mnie pan swego towarzystwa.

- Dziś pan się przekona, ekscelencjo, jak mylna była cała pańska „wschodnia filozofia”. Zawsze wierzyłem w swoje przeczucia i oto najśmielsze nadzieje szczęśliwie się spełniły! Teraz, gdy seniora Luiz el Gorra ostatecznie przekonała pana, że Charles i Izabela są

pańskimi rodzonymi wnukami...

Oddech hrabiego, chłonnego te słowa, stawał się coraz szybszy... Antonio Carillo dał znak teologowi, by nie narażał słabego starczego serca na zbyt silne wzruszenia.

Wreszcie gondola przybiła do brzegu i resztę drogi do willi hrabia przebył w lektyce. Pokonanie ośmiu łagodnych marmurowych stopni tarasu okazało się dla hrabiego czymś trudniejszym niż dla Scypiona zdobycie murów Kartaginy, lecz starzec sam wszedł do willi, odrzuciwszy nawet pomoc Antonia.

W środkowym salonie, utrzymanym w bursztynowym tonie marmuru ze Sieny, doktor Buotti usadowił hrabiego w fotelu, Antonio zaś otulił mu nogi ciepłym pledem. Doktor poprosił, by Antonio na chwilę wyszedł.

- Nie, nie, niech Antonio zostanie tu ze mną! Czyż nie pan sam, mój drogi przyjacielu, powierzył mnie opiece tego sympatycznego młodego człowieka? On jest tak cierpliwy, tak miły i wesoły, że wart jest stu doktorów medycyny.

- Eccellenze! Proszę wobec tego wybaczyć nam, to znaczy mnie i Antonio, zatajenie pewnej prawdy. Było to jednak konieczne, postanowiłem bowiem z naukową dokładnością sprawdzić wpierw wszystkie odkrycia i domysły, nim się podzielę z nimi z panem...

Doktor Buotti mówił z takim przejęciem i głos jego brzmiał tak uroczyście, że hrabiemu zatrzęsły się ręce.

- Nie zatrzymujcie się wpół drogi, przyjaciele! - powiedział błagalnie. - Co to za prawda, którą chce mi pan odkryć, mój drogi doktorze?

- Signore, widzi pan przed sobą człowieka, który urodził się, rzecz można, na moich oczach, w rodzinie, w której wychował się pański syn Giacomo Molla. Stoi przed panem signor Antonio Cenni! Znał on dobrze signor Giacoma. A przez ostatnie tygodnie ochraniał pana przed intrygami jezuitów.

- Antonio Cenni? - w zdumieniu powtórzył stary hrabia. - Syn rybaka Rudolfa z Capri? Chłopcze drogi, czy pamiętasz mojego Giacoma?

- Pamiętam go, signor Paolo - odparł Antonio - tylko...

- Mów, mów, mój drogi! Powiedz mi, czy Giacomo wspominał kiedykolwiek o swym... ojcu? Czy serce jego zawsze było pełne nienawiści do mnie? Czyżby naprawdę było mi sądzone umrzeć bez przebaczenia jedyne go syna?

Ze ściśniętym sercem Antonio ucałował rękę starca, lecz zbawcze kłamstwo nie mogło mu przejść przez usta.

- Pańskie wnuki z całego serca przebaczyły panu stary grzech wobec ich ojca - odpowiedział za Antonia doktor Buotti. - Zaraz ich pan uściska, signore!

- Pospieszcie się, moi drodzy! Czuję, że siły mnie opuszczają. Moje wnuki... gdzie oni są... boję się, że umrę...

Doktor Buotti otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju, gdzie kilka osób, wstrzymując oddech, przysłuchiwało się temu, co się dzieje w salonie. Hrabia Paolo usłyszał ostrożne kroki.

- Eccellenze - rozbrzmiał głos Buottiego. - O, jakże jest pan szczęśliwy, mając takich potomków. Niech pan zbierze siły i spojrzy, signore! Oto pańska nieśmiertelność!

Doktor Buotti sam miał w oczach łzy, gdy zwrócił się do drzwi:

- Proszę wejść, signor Carlos d'Ellano, i pani, signorita Isabella. Wejdźcie wszyscy, przyjaciele! Ekscelencjo, oto przed panem brat i siostra, rodzony syn i rodzona córka signor Giacoma. Proszę uściskać swe wnuki, ekscelencjo, może być pan z nich dumny!

W radosnym przyplwywie żywotnych sił starzec podniósł się z fotela i uczynił krok ku swym wnukom. Oparty na ramieniu doktora patrzył na Izabelę i Charlesa rozjaśnionym wzrokiem. Stali przed nim, z lekko pochylonymi głowami, młodzieniec i panna rzadko spotykanej urody. Nie trzeba już było prawników, ani dowodów, ani medalionów! Stary hrabia Paolo d'Ellano widział przed sobą dwie żywe twarze, w których powtarzały się rysy małego Giacoma Molli, jego nieszczęsnej matki Franceski i... samego hrabiego Paolo... Samotny starzec, okłamywany

przez tyle lat, odzyskał nagle tych, o spotkaniu z którymi marzył przez całe życie, nie śmiejąc nawet mieć nadziei, iż te marzenia kiedyś się ziszczą. I ci najbliżsi jego sercu młodzi ludzie, te dorosłe dzieci, w dodatku są tak piękni! Mają jasne, czyste twarze, nie ma w nich cienia pochlebstwa, chęci przypodobania się, wyczekiwania na jałmużnę... Szczęśliwa chwila, najszcześniejsza chwila od wielu, wielu lat!

Starzec uściskał jedno po drugim oboje wnuków, kreśląc nad ich głowami znak krzyża świętego. Kładł im ręce na ramionach, patrzył w oczy i składał na ich czole czoły pocałunek pierwszego spotkania...

W końcu, pamiętając o tym, komu zawdzięcza to spotkanie, starzec odwrócił się do Buottiego, pragnąc raz jeszcze wyrazić swą wdzięczność temu najwierniejszemu z przyjaciół, lecz... nie zdążył. Wzruszenie okazało się zbyt silne, starcze serce nie wytrzymało! Chwila pierwszego spotkania stała się zarazem ostatnią chwilą pożegnania wnuków z dziadkiem.

Gdy przeniesiono hrabiego na łożo, podniósł jeszcze rękę do czoła, by się przeżegnać, a jego wargi wyszeptaly:

- Umieram szczęśliwy! Dzieci, nie zapominajcie o mnie!

Młodzi w milczeniu pochylili się nad nim. Oddychał jeszcze, lecz jego twarz stawała się już biała i przezroczysta, a jej rysy, zniekształcone starością, zaostrzyły się. Uderzające podobieństwo Charlesa i Izabeli do dziadka wystąpiło jeszcze wyraźniej, gdy siwa głowa hrabiego Paola zamarła nieruchomo na poduszce.

Jeszcze dwie osoby, żegnając się znakiem krzyża, podeszły do łoża. Seniora Estrella Luiz uklękła u wezłowania, szepcząc słowa modlitwy, gdy palce Izabeli spoczęły na nieruchomych, na współprzymkniętych powiekach zmarłego. Jej syn, kapitan Bernardito, w milczeniu ucałował skrzyżowane na piersi ręce hrabiego Paola i cicho wyszedł z przybytku śmierci.

Wiadomość o śmierci hrabiego pogrążyła w smutku wielu mieszkańców Pałacu Marmurowego.

Trumna ze zwłokami hrabiego, przewieziona do pałacu, stała na wysokim katafalku w największej sali dolnej pałacowej amfilady. Wszystkie dzieła sztuki zostały wyniesione, tylko portrety hrabiny Beatrice i samego hrabiego Paola wisiały na dwóch przeciwległych ścianach. Przez salę przepływał nie kończący się strumień ludzki. W ciągu dwóch dni cała Wenecja żegnała jednego ze swych starych mecenasów. Pogrążony w głębokim bólu stał u trumny, z mocno zaciśniętymi wąskimi wargami, ojciec Fulvio di Gracciolani. Wielu Wenecjan poznało również poczciwego doktora Tommasa Buottiego, o którym mówiono, że przybył na pogrzeb wprost z okrętu.

Olbrzymie tłumy ludzi zalegały brzegi kanału, gdy kondukt pogrzebowy wyruszył na gondolach w stronę placu Św. Marka. Sam doża Wenecji złożył w katedrze wieniec na trumnie z doczesnymi szczątkami starego patrycjusza i wygłosił mowę pogrzebową. Tego samego dnia trzydziestu księży z kardynałem na czele odprowadziło trumnę hrabiego Paolo do rodzinnego grobowca, gdzie umieszczono ją obok sarkofagu hrabiny Beatrice.

Po pogrzebie, wczesnym wieczorem, w Pałacu Marmurowym poczęli się zbierać ludzie, których zaproszono, aby byli obecni przy otwarciu testamentu. W tej samej sali, gdzie na posadzce zachowały się jeszcze ślady wyniesionego katafalku, służba ustawiła katedrę.

Wykonawcy testamentu hrabiego rozesłali ponad sto zaproszeń. Nie mniejsza liczba gości przybyła do pałacu na zaproszenie ojca Fulvia i doktora Buottiego. Pośród tak wielkiej liczby dostojników świeckich i duchownych, ważnych dygnitarzy i pięknych dam, znalazło się też немало zwykłych śmiertelników, którzy po prostu z ciekawości wcisnęli się do pałacu. Ci nieproszeni goście sprytnie wykorzystali protekcję służby pałacowej, aby potem w domu opowiedzieć z ważną miną o swym udziale w areopagu najpierwszych imion Republiki.

Świetne zebranie powiększało się z każdą chwilą. W dolnej amfiladzie sal pałacowych zapach

kadzidła, zieleni i świec zmieszał się już z aromatem perfum i lekkim dymkiem włoskich papierosów. Migwały tu haftowane mundury, jedwabne szaty duchownych, czarne habity, żałobne woalki, wspaniałe epolety, wstęgi i szarfy. Obecny był nuncjusz papieski i wysoko postawione osobistości. Stary Giovanni Polesta podprowadził do jednego z honorowych foteli sędziwą seniorem Estrellę Luiz, przybyłą na zaproszenie wykonawców testamentu.

W sali ustawiono pięć rzędów aksamitnych foteli; dalej stały krzesła wyściełane czerwonym pluszem dla „mniej ważnych” gości i wreszcie - przyciśnięte już niemal do ściany - ciągnęły się rzędy prostych twardych krzesel, przeznaczonych dla całkiem „poślednich” gości. Między tymi ostatnimi rzędami nie było prawie przejść i siedzący tu ludzie ledwo mogli się poruszać.

W ostatnim rzędzie tych krzesel, w najdalszym kącie sali, ciasno przyparta do marmurowego popiersia hrabiego Paolo siedziała grupka skromnie odzianych cudzoziemców. Signor Buotti mimochodem poinformował ojca Fulvia, że są to jego znajomi z podróży, pasażerowie okrętu, na którym wrócił do Wenecji. W dzień ci znajomi doktora byli obecni na pogrzebie.

Gdy na salę weszli prawnicy, pisarze i siwowłose notariusz hrabiego, umilkły rozmowy. Tylko źle wychowani cudzoziemcy nadal szeptali między sobą w swym kącie.

- Popatrz na ojca Fulvia - szepnął Bernardito do swego przybranego syna, którego nie nazywał teraz inaczej jak don Carlosem. - Bóg mi świadkiem, że nie myślałem o hrabiowskich milionach, gdy patrzyłem zza drzwi na was i dobrego signora Paola, ale teraz diabli mnie biorą. Drogo nas to kosztowało, by uchronić serce hrabiego od ostatniego wstrząsu.

- Pan Bóg z nimi, z tymi milionami, ojcze! Jezuita otrzymali dokument brytyjskiego pseudomilorda i staruszek nigdy się nie dowiedział, jak zadrwił sobie z niego jego Giacomo! Nasz biedny dziadek uwierzył, że Grelli dawno zginął. Dana mu była przed śmiercią chwila radości, i dzięki Bogu za to!

- Patrz, patrz - nie mógł się uspokoić Bernardito - jak świątobliwym ojcom oczy się świecą z chciwości. Pomyśleć tylko, sześć milionów! A może byśmy stąd wyszli, chłopcze? Boję się, że nie wytrzymam! Aż mnie ręka świerzbi, żeby zdzielić tego Fulvia między oczy - i zagle na reje!

- Ci-ci-cho! - przebiegło po sali. - Ts-ss!

Notariusz odwinął z jedwabnej chusty ogromną kopertę opatrzoną pięcioma pieczęciami z czerwonego laku i z ukłonem wręczył ją spowiednikowi hrabiego. W sali zapadła taka cisza, że słychać było, jak spadły na podłogę okruchy laku ze złamanych pieczęci.

Fulvio di Gracciolani spojrzął z góry na bardzo bladego doktora Buottiego, który stał skromnie na uboczu w jednej grupie z notariuszem i pisarzami. Rozległ się trzask rozrywanej koperty i wszyscy ujrzeli w rękach ojca Fulvia duży, niebieskawy arkusz stemplowanego papieru z obszernym tekstem i kilkoma podpisami i pieczęciami u dołu.

Żyrandol, w którym paliło się dziewięćdziesiąt świec, wisiał wprost nad katedrą. Aby nie zasłaniać sobie cieniem własnej głowy, ojciec Fulvio cofnął się o krok i począł czytać miarowym, uroczystym tonem:

*„Ja, z dziedzictwa i urodzenia szlachcic Republiki Weneckiej, członek Wielkiej Rady, hrabia Paolo Vittorio Alberto Giorgio d'Ellano, będąc w pełni władz umysłowych, powodowany pragnieniem zadośćuczynienia za swe grzechy wobec Boga i ludzi, miłością ojczyzny i poczuciem sprawiedliwości, niniejszym wyrażam moją ostatnią wolę odnośnie przeznaczenia całego mojego majątku ruchomego i nieruchomego po mojej bliskiej już śmierci.*

*Należący do mnie Pałac Marmurowy w Wenecji wraz ze wszystkimi zbiorami artystycznymi i naukowymi zapisuję mojemu rodzinnemu miastu Wenecji, z tym, aby zarząd pałacem-muzeum pozostał w rękach obecnego kustosa tych zbiorów, wielce uczonego doktora Tommasa Buottiego, tak długo, jak długo on sam zechce pełnić ów obowiązek.”*

Przy czytaniu tego miejsca przez czoło ojca Fulvia di Gracciolani przemknął lekki cień, lecz jezuita odszukał oczami doktora Buottiego, przywołując na twarz jeden ze swych najśladźszych uśmiechów. Buotti ze swej strony odpowiedział arcyuprzejmym ukłonem.

*„Cały mój pozostały majątek ruchomy i nieruchomy, po potrąceniu niżej wymienionych legatów jednorazowych lub stałych, dzieję w następujący sposób:*

*Wszystkie moje ziemie i posiadłości położone na południu Francji, w Lombardii, Genui oraz Wenecji, oprócz Pałacu Marmurowego i Villa dei Fiori, oraz moje kapitały ulokowane w papierach wartościowych na sumę dwóch milionów skudów zostawiam mojemu wnukowi, hrabiemu Carlosowi d'Ellano, wychowankowi hiszpańskiego hidalga seniora Bernardita Luiza, noszącemu dotychczas umowne nazwiska: Alonso de Las Pados i Charles Chambay.”*

Peruki, tonsury i damskie koafiury, widoczne ponad oparciami foteli przed katedrą, nagle ożyły, w sali rozległy się stłumione szepty. Oczy ojca Fulvia w popłochu biegały po całym arkuszu. Wśród cudzoziemców siedzących w kącie pod popiersiem hrabiego Paola widać było wyraźne poruszenie. Stary signor w marynarskim kaftanie energicznie gestykulował, z ożywieniem szepcząc coś do sąsiadów i potrząsając fajką w zaciśniętej pięści.

*„Zawartość skarbca znajdującego się w podziemiach Pałacu Marmurowego, a zawierającego klejnoty i rodzinne srebro, ogólnej wartości pół miliona skudów, otrzyma moja wnuczka Izabela jako prezent ślubny w dniu zawarcia małżeństwa z obywatelem Wirginii mister Reginaldem Murrayem.*

*Wprowadzenie moich wnuków w prawa dziedzictwa poruczam starej przyjaciółce mojej rodziny seniorze Estrelli Luiz el Gorra oraz memu przyjacielowi i dobroczyńcy doktorowi Tommaso Buottiemu, którym też zapisuję: seniorze Luiz sumę stu tysięcy skudów, doktorowi Buotti - moją wenecką willę zwaną Villa dei Fiori...”*

W miarę jak ojciec Fulvio di Gracciolani czytał ten dokument, głos jego stawał się coraz bardziej chrapliwy i bezdźwięczny. Biskup, przewodniczący tajnego trybunału świętej inkwizycji w Republice, znieruchomiał w swym fotelu. Na jego ustach zamarł uśmiech, niesamowity jak u trupa... Kapelan hrabiego aż nadto dobrze rozumiał, jak niewiele dobrego wróży mu ten uśmiech inkwizytora...

Ojciec Fulvio z największym trudem zachowywał przytomność umysłu. Szybko przebiegł wzrokiem resztę tekstu. Litery skakały mu przed oczami, jakby w rytm jego przyspieszonego pulsu. Był to jakiś dziki płas rozpacz, upiorny taniec śmierci! Runęło wszystko. Praca tylu lat poszła na marne... Czoło czytającego pokryło się lśniącoymi kropelkami potu. Tańczące litery ułożyły się w końcu w jakieś długie imię... Zobaczył je w dalszym ustępie tekstu. To było jego własne imię...

Mnich wpatrzył się w papier... Nie, dalsze czytanie było ponad jego siły. Zapadła chwila męczącej ciszy. Ojciec Fulvio di Gracciolani czynił bezradne gesty, jakby szukał okularów...

Starszy z wykonawców testamentu, signor Umberto Grotto, zrozumiał trudną sytuację kapelana i podszedł do katedry pod żyrandolem.

- Wzrok mnie zawodzi - mruknął ojciec Fulvio.

Ledwo mógł utrzymać papier w rękach. Nie patrząc podał go prawnikowi, który z ukłonem przyjął dokument. Jezuita zszedł z katedry i spojrzął przed siebie nie widzącymi oczami. Wyjście z sali zagradzała zbita gromada służby. Ktoś podszedł do niego, podprowadził do pustego fotela i ojciec Fulvio ciężko osunął się na aksamitne siedzenie, plecami do audytorium. Signor Umberto kontynuował ogłaszanie testamentu:

*„Sumę w wysokości pięciuset skudów pozostawiam mojemu ojcu duchownemu, księdzu Fulvio di Gracciolani, na pokrycie wydatków związanych z jego powrotem do poprzedniej legacji, skąd ongiś przybył do naszego domu.”*

Jezuita aż się wzdrygnął na tę niesłychaną obrazę. Nawet jego łysina, widoczna całej sali, przybrała fioletowy odcień.

- Pięćset skudów, aby się wyniósł do diabła! - z entuzjazmem szepnął do Charlesa Bernardito.  
- Synku! Ten doktor Buotti jest dwakroć chytrzejszy ode mnie! A wygląda na takiego dobrodusznego prostaczka! Niech mnie kule biją, jak on to wszystko sprytnie urządził! Caramba!

Poruszeni do głębi spadkobiercy z trudem dosłuchali do końca. Ostatnie dyspozycje testatora ledwo już dochodziły do ich świadomości.

Sto tysięcy skudów zapisał hrabia na potrzeby sierocińca Św. Magdaleny przy klasztorze oo. franciszkanów pod Livorno. Wreszcie następowały niewielkie ofiary na rzecz weneckich kościołów i instytucji dobroczynnych.

Gdy testament został już odczytany do końca, w sali zahuczało jak w ulu. Ojciec Fulvio wyszedł, gdy tylko umilkł głos czytającego i służba usunęła się sprzed drzwi. Kardynał opuścił pałac ledwo kiwnąwszy głową wykonawcom testamentu. To samo biskup.

Długie sznury gondoli, lektyk i pieszych podążały we wszystkich kierunkach po przyległych kanałach, uliczkach i mostach.

W Pałacu Marmurowym znów zaległa cisza. Służba gasiła żyrandole. Ojciec Fulvio zamknął się w swojej sypialni.

Zmęczony Giovanni zamknął frontowe drzwi od paradnego westybulu, a signor Tommaso Buotti wpuścił tylnym wejściem czterech potężnie zbudowanych policjantów. Doktor szepnął do nich kilka słów i znacząco skinął głową w stronę drzwi prywatnych apartamentów pałacowego kapelana. Zabezpieczywszy w ten sposób pałac, będący od tej chwili publicznym muzeum, przed wszelkiego rodzaju niespodziankami, doktor Buotti powrócił do swych przyjaciół.

- Eccellenze Carlos i signorita Isabella - powiedział wesoło - pozwólcie, że złożę wam gratulacje, moi kochani!

Doktor trzymał w każdej ręce po kielichu szampana. Przyjaciele wypili nie obawiając się już białych kuleczek ojca Fulvia di Gracciolani.

Gdy już umilkły pierwsze toasty, bardzo uroczyste i bardzo wzruszające, kapitan Bernardito zwrócił się do swego sąsiada, doktora Buotti. Obaj on zajmowali najbardziej honorowe miejsca przy stole - zaszczyt, który chętnie im ustąpili młodzi spadkobiercy.

- Na miłość boską, niechże mi pan wreszcie powie, signor Buotti, jak się panu udało wystrugać taki kawał ojcom jezuitom? Nikt się czegoś podobnego nie spodziewał! Przecież hrabia zmienił testament i usunął z niego klauzulę. Jezuici byli pewni, że wszystko dostanie się wyłącznie im!

- Widzi pan, uśpiwszy „tajnym pismem”, przywiezionym z Wenecji przez Mortona, obawy jezuitów, spotkałem się z hrabią, którego zawiadomiłem przez Antonia o swym przyjeździe. W czasie przejażdżki hrabiego po morzu zawiadomiłem go, że za dwa tygodnie przybędzie do Wenecji jego stara przyjaciółka, seniora Estrella Luiz, aby potwierdzić wobec hrabiego Paola pełny sukces poszukiwań. „Niedługo - powiedziałem do hrabiego - uściska pan swe wnuki, Charlesa i Izabelę, którzy przybędą na okęcie z zagranicy.”

Musiałem jedynie ukryć przed hrabią Paolo nazwiska i wiek Charlesa i Izabeli, aby nie wspominać imienia lorda Chancefielda. Świadomość okrucieństwa Giacoma mogła zabić staruszkę... Po rozmowie z donią Estrella hrabia wręczył jej oficjalne polecenie dla

notariusza, by zniszczył poprzedni testament i natychmiast sporządził inny. Seniora Luiz dopilnowała, by to zostało bezzwłocznie wykonane. Zgodnie z wysoką etyką zawodową, prawnicy zachowali ten nowy dokument w tajemnicy. I to wszystko! Z nas wszystkich tylko jedna seniora Estrella Luiz wiedziała o ostatniej woli hrabiego. Wzniesmy kielich za zdrowie pańskiej matki, kapitanie!

W tej chwili podszedł do stołu stary Giovanni Polesta i szepnął coś na ucho doktorowi. Signor Buotti poprosił Bernardita, Charlesa i Antonia do ogrodu i zaprowadził pod okno sypialni ojca Fulvia di Gracciolani. Odchylony brzeg portierki pozwolił im dojrzeć dopalającą się świecę na biurku i niewyraźny zarys nieruchomej postaci mężczyzny w fotelu.

- On tak już siedzi trzy godziny - szepnął Giovanni.

Drzwi sypialni były zamknięte od środka.

- Wyłamać! - rozkazał doktor Buotti.

Ciężkie drzwi długo stawiały opór, policjanci musieli wyłamać zamek. Przez cały ten czas najłżejszy szmer nie dobiegł z pokoju.

Gdy wreszcie weszli do sypialni kapelana, znaleźli go już martwego. Ojciec Fulvio siedział w fotelu, z rękami złożonymi na piersi; u jego stóp leżał na podłodze pierścień z odkręconą agatową pieczętką, na otwartej zaś przy nim księdze - kielich ze śladami czerwonego wina.

Doktor Buotti od razu poznał czarny foliał „Historii zakonu jezuitów” z biblioteki pałacowej.

## 5

W dwa miesiące po owych pamiętnych wydarzeniach lekkoskrzydły jacht „Krzyż Południa” zbliżał się ku wybrzeżom Ameryki. Na filadelfijskim nabrzeżu oczekiwała go już od dawna piękna dama trzymająca za rączkę śliczną dziewczynkę. Gdy „Krzyż Południa” na wszystkich żaglach wpadł do portu, kierując się ku wewnętrznej redzie, dama poczęła powiewać chusteczką, a w pół godziny potem na molo filadelfijskiego portu odbyło się jeszcze jedno szczęśliwe spotkanie sędziwego starca ze swym potomstwem. Witano tu nie tylko głowę rodziny, kapitana Wenta. Wraz z nim powrócił na jej łono i stary ojciec mrs Mary.

Były kalkucki solicitor, dawny agent Giacomina Grellego, który odpokutował swój grzech i uzyskał przebaczenie, ze łzami w oczach przycisnął do serca swą córkę i wnuczkę...

Tymczasem inny jacht, z napisem „Tuluza” na szerniałym dziobie, mknął ku Wyspie Charlesa. Z końcem stycznia 1791 okręt znalazł się przed pasmem podwodnych raf na północ od wyspy. Kapitan jachtu don Bernardito Luiz el Gorra miał wszelkie podstawy, by się spieszyć. Po wyjściu z Gibraltaru jacht wyprzedził eskadrę okrętów wojennych floty brytyjskiej trzymając kurs na południe. W najbliższym porcie marokańskim, Rabacie, kapitan Bernardito dowiedział się, że eskadra złożona z trzech fregat - „Windsor”, „Admirał Chancefield” i „Król Jerzy III” - płynie na afrykańskie wody Oceanu Indyjskiego. Na pokładzie „Windsoru” znajdował się pełnomocnik rządu mister Blannard. Otrzymawszy te informacje Bernardito kazał podnieść wszystkie żagle, aby jak najprędzej wyprzedzić eskadrę szybkich okrętów bojowych. Gdy jacht dotarł do podwodnych raf na północ od wyspy, eskadra pozostała za nim w tyle o jakieś pięć, sześć dni żeglugi.

Do wyspy pozostawało jeszcze osiemdziesiąt mil. Przed zapadnięciem ciemności jacht przebył niebezpieczną strefę raf i znów pomknął pod pełnymi żaglami. Styczniowa noc była upalna, lecz mgielka przesłaniała horyzont. Światło księżyca z trudem przebijało się przez obłoki mgły. Bernardito i Dick Mills stali na mostku i z niecierpliwością wpatrywali się w mrok tropikalnej nocy.

- Nie mogą się już pewno nas doczekać na wyspie - rzekł Bernardito do swego sternika. - Do licha! Mojej donii Dorotei nawet się nie śni, że jej syn został dziedzicem weneckiego patrycjusza! Co mówisz, Dick?

Dick Mills, który też marzył już o szczęśliwej chwili spotkania ze swą Kamilą, sprawdził kurs i wskazał na jasnoszare zwały chmur wyłaniające się zza horyzontu w południowej stronie nieba.

- Będzie burza albo sztorm! - rzekł Bernardito. - Prawdopodobnie bal zacznie się jeszcze przed świtem. Wygląda na to, że będzie to diabelski taniec! Na pokład wyszedł Thomas Bingle.

- Synku! - przywołał go Bernardito.

Młody człowiek był w hiszpańskim berecie, ze szpadą u boku. Wszedł na mostek i złożył kapitanowi rycerski ukłon.

Ty jeden zostałeś teraz ze mną - rzekł Bernardito. - Twój brat George ma zamiar budować swoje miasto na wyspie, o ile uda się ją utrzymać. Charles musi zająć się swym ogromnym majątkiem. Reginald i Izabela pojedą do Ameryki. A co my będziemy robić synku?

- O, znajdziemy sobie zajęcie w naszej nowej ojczyźnie, kapitanie. Nie sądzę, aby don Diego Luiz, dowódca „Trzech Hidalgów”, wyszedł na morze bez swego pierwszego oficera Mateo Velmonteza. Będą się obaj bić o przyszłą republikę francuską, wsparci doświadczeniem sławnego żeglarza i wojownika - prawda, kapitanie?

...Przy bukszprycie jachtu Charles i Antonio rozmawiali z George'em Bingle'em.

- Ludzie szczęśliwi - mówił George, siedząc na masywnej belce bomstengi - z reguły stają się egoistami. Pan, signor Carlos, został bogaczem i na pewno ożeni się pan wkrótce z jakąś piękną dziewczyną, jak na przykład Jennie Murray. Niech pan powie szczerze - czy teraz pańskie poglądy i cel pańskiego życia nie zmieniły się?

- Nie, George. Filozofowie twierdzą, że człowiek to bardzo skomplikowana maszyna. Ale czy nie zauważył pan, że ta maszyna tylko wtedy zdolna jest tknąć szczęście, gdy pracuje nie dla siebie? Człowiek podobny jest do pszczoły. Nie wypija ona wszystkiego miodu, jaki nagromadziła w plastrach, żywi się nim sama, ale i żywi innych. Nie, mój cel życiowy nie zmienił się, lecz stał się wyższy. Uzyskałem coś znacznie więcej niż hrabiowska fortuna.

- O czym pan mówi, Charlie?

- Uzyskałem ojczyznę. Najboleśniej ze wszystkiego odczuwałem dotychczas brak własnego miejsca w świecie. Byłem człowiekiem bez ojczyzny, bez narodowości, nawet bez nazwiska. Nieraz pytałem siebie: „Kim ja jestem? Anglikiem? Hiszpanem? Włochem? Gdzie jest moja ojczyzna?” Nie posiadałem jej! Byłem liściem oderwanym od drzewa. Każdy wiatr mógł mnie zanieść, gdzie chciał. Dlatego tak bardzo wziętem sobie do serca pańskie marzenie o Wyspie Słonecznej, George! Pragnąłem stworzyć ojczyznę dla bezdomnych, nieszczęśliwych tułaczy, takich jak ja. Teraz całym sercem poczułem się Włochem. Pan rozumie, jakie to szczęście!

- Co ma pan zamiar robić w ojczyźnie, Charlie?

- Mój piękny kraj, mój wielki naród jęczy pod strasliwym uciskiem. Gdy przebiera się miara jego cierpliwości, jak ranny zwierz rzuca się na swych ciemieńców, lecz znów ujarzmiają go siłą, usypiają religią. Moja ojczyzna rozdarta jest przez waśnie, uciemżona przez cudzoziemców, biedna i spustoszona. Oddam wszystkie me siły sprawie wolności i szczęścia Italii.

- W jaki sposób zamierza pan osiągnąć swój cel?

- Ja i mój wuj, Antonio Cenni, postanowiliśmy działać wspólnie. Moje nieoczekiwane „hrabiostwo” pomoże nam - synowi i bratu neapolitańskiej rybaczki. Przecież dysponujemy teraz ogromnym majątkiem! Będziemy pomału przygotowywać broń, zbierać w tajemnicy młodzież, aby wypędzić z naszego kraju obcych ciemieżycieli. I wtedy, w wolnym kraju...

- ..powstanie Miasto Słońca?

- Tak, i to niejedno.

- A przecież nawet w „wolnej Italii” pozostaną książeża, więzienia i kler! Ja jednak nadal obstaję przy Wyspie Słonecznej! Wystarczy, by zjednoczyło swe siły kilkuset uczciwych,



wolnych ludzi, którym nikt nie mógłby przeszkodzić w zbudowaniu nowego, sprawiedliwego życia.

- Mnie się wydaje - wtrącił Antonio - że walczyć o szczęście narodu trzeba jednak wspólnie z całym narodem. Kolonia, nawet najbardziej sprawiedliwa, to zaledwie garstka ludzi. A naród jest przecież jak ten ocean bez końca i bez granic, co kruszy najtwardsze skały. Przyjdzie czas - i naród zmiecie w pył ciemnościów...

- Kapitanie! - rozległ się nagle głos sternika, Dicka Millsa. - Łuna na horyzoncie, wprost na kursie!

Przesłonięty mglistym obłokiem księżyc dawał mało światła. W tej słabej poświacie ocean wyglądał dziś zgoła niezwykle.

O zachodzie słońca wiatr nie przekraczał trzech stopni. Po północy przybrał na sile, a na falach poczęły się ukazywać białe grzywy. Fale jednak były inne niż zwykle, długie i majestatycznie powolne fale oceaniczne. Tej nocy były one mniejsze i nie toczyły się, lecz jakby podnosiły się w miejscu, przełamywały i spadały w dół. Bernardito chmurnym wzrokiem patrzył na ten dziwny taniec wody.

Teraz i on widział przed sobą, daleko na południu, purpurowy odbłask na całym dolnym brzegu chmur. Odbłask ten chwilami się wzmagał, to znów prawie przygasał.

Zbliżał się świt. Kapitan wezwał na górny pokład całą niewielką załogę, kazał zarefować żagle i wyjaśnił, że gdzieś w pobliżu ma miejsce prawdopodobnie podwodne trzęsienie ziemi. Niebo stawało się coraz ciemniejsze, wiatr przybierał na sile. Wreszcie północno-wschodni skraj nieboskłonu zaróżowił się, a blask jutrzeńki zmieszał się nieomal z ciemną łuną na południu.

Gdy załoga wykonała manewr z żaglami, do uszu marynarzy dobiegł daleki odgłos grzmotu, a w południowej stronie horyzontu ukazała się ciemna, długa smuga. Wyglądało to jak niska chmura lub pasmo niewysokich gór, które nie wiadomo skąd wyrosły nagle pośrodku oceanu. Bernardito zacisnął palce na poręczy mostka i przygryzł wargi. On pierwszy domyślił się, że ta ciemna smuga to nie chmura ani góry, lecz monstrualna fala wyrzucona z głębi oceanu przez podziemny wstrząs lub wybuch. Zajmowała ona pół horyzontu. Widocznie na dnie oceanu otwarła się na mgnienie przepaść i natychmiast znów się zamknęła, wypchnąwszy wdzierające się w nią masy wody. Z głuchym rykiem, przerażającym jak szum setek wodospadów Niagary, morski gigant walił wprost na statek.

Nagle zrobiło się ciemno, jacht znalazł się jakby na dnie głębokiego wąwozu. Przesłaniając niebo huczącym grzebieniem czarna góra z rykiem runęła na „Tulużę”. W następnej chwili jacht już piął się wzwyż po straszliwej stromiźnie i chociaż wzlot trwał sekundy, każdy z marynarzy ujrzał w tym krótkim momencie całe swoje przeszłe życie, gotując się na śmierć.

Na szczycie fali jacht ze wszystkimi masztami i żaglami pogrążył się w spienionej kipieli grzywy i wynurzywszy się z niej, jak strzała poleciał w dół, ześliznąwszy się z czarnego grzbietu morskiego potwora.

Czterech ludzi nie doliczył się potem kapitan Bernardito, zmyła ich z pokładu grzywa fali! Po pierwszej przyszły jeszcze trzy wodne góry, ale te były już mniejsze i nie przełamywały się.

Wiele dni później stary Bernardito przyznał się synowi, że nigdy w życiu nie doznał uczucia takiego przerażenia, jak w chwili zbliżania się fali-giganta.

W szarym świetle poranka Bernardito na próżno wypatrywał wyspy. Nie znajdował znajomej sylwetki Skalistego Szczytu. Tam gdzie żeglarze przywykli widzieć ów szczyt, stał czarny słup dymu przypominający olbrzymią pinię. Jej płaska korona zajmowała pół nieba. Chwilami purpurowy blask oświetlał od dołu ten upiorny grzyb i wtedy ku niebu wzbijały się białe obłoki pary zmieszane z iskrami. Strumienie ognia wpływały ku dolinom. Patrząc przez lunetę można było dojrzeć lecące w górę głązy skalne.

Poprzez szum wody u burty i świst wiatru w linach słyhać było wyraźne głucho grzmoty. Na wyspie czynny był wulkan; otwarto się dwa nowe kratery, rozpalona lawa płynęła po zboczach w postaci ognistych rzek. Wybuchowi wulkanu towarzyszyły podziemne wstrząsy i huki. Wulkan na wyspie stanowił centrum trzęsienia ziemi, a siła wybuchu była tak straszna, że wszystko, co żyło na wyspie, zamieniało się w popiół. Skalne podłoże wyspy uległo destrukcji.

Walcząc z falą „Tuluza” trzymała się kursu. Do morskich zapachów dołączyła się teraz gryząca woń siarki, płaty popiołu coraz gęściej osiadały na pokładzie. Wiatr co chwila się zmieniał; jego dzikie porywy raz sprzyjały żegludze, to znów pędziły na statek czarne obłoki dymu.

Thomas Bingle pierwszy zauważył z mostka „Tuluzy” ciemny, wydłużony kształt na wodzie. Nurzał się on wśród fal w odległości pięciu mil od „Tuluzy”, na wschód od zachodniego kursu.

Kapitan Bernardito stwierdził, że jest to duża tratwa, i kazał płynąć w jej stronę. W pół godziny potem można już było gołym okiem zobaczyć tratwę zbitą z grubych pni i oblepioną ludźmi. Pośrodku tratwy wznosiły się maszty, umocnione rozporami. Na maszty wciągnięte było płótno żaglowe. Złożona z oddzielnych, związanych z sobą członów, kołysząca się na wodzie tratwa przypominała ogon drewnianego dziecięcego smoka. Kilkadziesiąt osób pracowało przy wiosłach.

Kapitan „Tuluzy” zobaczył przez lunetę starego Brantleya w trójgraniastym kapeluszu i mundurze marynarskim. Bernardito poprowadził „Tuluzę” ku tratwie.

Nie było rzeczą łatwą przyjąć ludzi z tratwy na pokład jachtu. Związane linami człony tratwy mocno kołysały się na wodzie, powtarzając każdy ruch morskiej fali, a lekki jacht to dawał nura w wodne wąwozy, to znów wyskakiwał z wody obniżając dno niemalże po kil. Marynarze spuścili ochraniacze burtowe i przygotowali bosaki. Ludzie na tratwie przyjęli cumy z okrętu. Po rozchybotanych trapach sztormowych, czepiając się spuszczonej im lin, rozbitkowie gramolili się na pokład. Z rąk do rąk podawano sobie płaczące dzieci, zawinięte w koce i prześcieradła. Wreszcie wszyscy ludzie z tratwy znaleźli się na okręcie.

Tymczasem obłoki pary i dymu całkiem przesłoniły wyspę. Silne wstrząsy znów zakołysały powierzchnią oceanu, powodując powstanie nowych gór wodnych. Zerwał się wiatr, targając białe grzywy fal. W powietrzu zawirowały chmury osiadającego popiołu.

Gdy okręt wziął powrotny kurs, wokół było zupełnie ciemno. Wirujące płaty popiołu przesłoniły horyzont. Nad morzem rozszalała się - rzekłbyś - niesamowita czarna śnieżycą.

Przez cały dzień statek nie zbliżał się do strefy podwodnych skał. Po trzęsieniu ziemi mogły się tu pojawić nowe rafy. Ocean był jeszcze wzburzony, lecz chmury utraciły już purpurowy odcień i przygasły ogniste rzeki na wyspie.

Spoza obłoków dymu wyjrzało malinowoczerwone słońce. Wiatr znów dał w kierunku południowo-zachodnim i rozwiął duszący odór siarki. Ocean z wolna się uspokajał.

Wśród ludzi uratowanych przez „Tuluzę” była również żona Bernardita. Charles i Antonio czekali na nią przy trapie. Podczas gdy Dorotea ścisnęła syna i brata, Bernardito stał z boku i tylko się uśmiechał. Kapitan Brantley opowiedział, że pierwsze wstrząsy zaczęły się w nocy przed dwoma dniami, a już w dzień potem przyszło katastrofalne trzęsienie ziemi. Po pierwszych groźnych wstrząsach kapitan Brantley zebrał całą ludność wyspy na piaszczystej mierzei. Miał do pomocy zaledwie kilku Murzynów, jako że prawie wszyscy mężczyźni z osady Bueno-Rio popłynęli na kaperze „Trzej Hidalgowie” do Francji. Brantley kazał rozebrać na brzegu parę budynków i z uzyskanych belek zrobić tratwę. Doświadczony stary żeglarz zbudował ją z kilku związanych z sobą członów i tylko dzięki temu gibka tratwa zdołała się oprzeć olbrzymim falom. Lecz grzywa pierwszej fali zmiotła za burtę połowę mieszkańców wyspy i część zapasów. Kilka osób zginęło na wyspie wpadając do rozpadlin lub żywcem spłonęło. Żona Dicka, Kamila Mills, została ocalona również tylko dzięki

męstwu i zimnej krwi Brantleya.

Straszliwa katastrofa dobiegła końca. Cztery odwieczne żywioły - powietrze, woda, ziemia i ogień - uspokoiły się. Kapitan Bernardito zapragnął przyjrzeć się bliżej swojej wyspie.

Świeży wiatr rozpędził chmury dymu, popiołu i mgły. Kapitan długo patrzył przez lunetę, po czym wykonał zwrot i podpłynął na odległość jakichś dziesięciu mil do wyspy. Antonio i Charles stali obok kapitana. Wszyscy trzej w milczeniu spoglądali na pokryte popiołem zwąły kamieni i spiczaste rafy. Z morza wystawały fantastyczne bramy i łuki utworzone przez zastygłą lawę. Fale przewalały się przez nagie, szerniałe głązy, lizały spiętrzone bryły ziemi. To było wszystko, co pozostało z kwitnącej Wyspy Charlesa i osady Bueno-Rio. Nad ruinami krążyły stada ptactwa. Ptaki też nie poznawały swoich skał i gniazd.

Wyspa Charlesa przestała istnieć.

- Idę o zakład - odezwał się pierwszy Bernardito - że mister Blannard, nowo mianowany gubernator wyspy, nie dopuści nawet myśli o trzęsieniu ziemi. Z wielkim oburzeniem będzie opowiadał starym lordom w parlamencie i admiralicji, jak to pirat Bernardito Luiz ukradł mu sprzed nosa całą brytyjską wyspę!

## 6

W nocy statek znów zbliżył się do podwodnych raf. Świecił księżyc i pasażerowie jachtu wysypali się na pokład. Na statku było ciasno. Ludzie, umieszczeni w ładowniach, powoli wracali do siebie po wstrząsających przeżyciach. Wiedzieli już, że na razie udają się do Włoch, gdzie młody signor d'Ellano pomoże im urządzić sobie nowe życie. Tu i tam na pokładach rozbrzmiewał już śmiech, odzywała się gitara i nieśmiało rodziła się pierwsza pieśń.

Okręt stał na kotwicy przed pasmem podwodnych skał. Noc była ciepła i jasna. W świetle księżycy czerniały nagie i śliskie zęby nowych raf. Dreszcz, jaki wstrząsnął wnętrzem ziemi, wydzwignął na powierzchnię oceanu te skały, sterczące teraz nad wodą jak wyszczerzone kły drapieżnika.

Charles siedział z matką na rufie. Opowiedział Dorotei ostatni rozdział chancefieldzkiej kroniki aż po ową ostatnią stronicę, na której kończyła się dawna, jeszcze z lat dzieciństwa, bajka o Leopardzie.

O wschodzie słońca jacht podniósł kotwicę. Uratowani ludzie płynęli ku nowemu życiu. Białe żagle znikły w końcu gdzieś daleko na północy i wody wokół umarłej wyspy znów opustoszały.

Pośród pustynnego oceanu pozostały kupy martwego, spalonego kamienia. Minęło wiele lat, zanim zazieleniła się na nim trawa i ptaki uwiły sobie gniazda. Najburzliwszy z oceanów nadal toczył swe fale pod Krzyżem Południa, wstrząsał sztormami ląd, a przybój nadal zamieniał ostre odłamki skalne w gładki, okrągły żwir...

...A na mknącym pod białymi żaglami statku śmiali się ludzie, zahartowani w walce z przeciwnościami, do późnej nocy mówili i śpiewali o nowym życiu, w obliczu morza, wiatru i gwiazd. Myśleli oni nie tylko o swych najbliższych. W swoich śmiałych jasnych marzeniach nadal wierzyli, że w tym świecie przemocy i nierówności uda się im zbudować pierwsze Miasto Słońca. Rozumieli jednak, że zbudować Miasto Słońca dla całej ludzkości mogą tylko nowe pokolenia odważnych ludzi, na ziemi oswojonej od strasznej władzy złota. I mieli nadzieję, że stanie się to już niedługo...

*...Odeszli synowie pieśni na spoczynek...  
Tylko mój głos pozostał, jak wiatr,  
Co zawodzi samotnie na skale  
Pośród morza,  
Gdy burza już ucichnie.*

*(James Macpherson - „Pieśni Osjana”)*

**KONIEC**